



WZGÓRZE
pełne SŁOŃCA

ROMA J. FISZER

ROMA J. FISZER

WZGÓRZE
pełne SŁOŃCA



*Córcie Patrycji – za bycie akuszerką tego cyklu
powieściowego i nieustające wsparcie,
Oli Hausner – za wiele wspólnych godzin
spędzonych nad tekstem,
Zbyszkowi Zawadzkiemu – za fachową
i serdeczną opiekę agencyjną.*

Copyright for the Polish Edition
© 2016 Edipresse Polska SA
Copyright for text © 2016 Jacek Wojtkowiak

Edipresse Polska SA
ul. Wiejska 19
00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska
Redaktor inicjujący: Natalia Gowin
Produkcja: Klaudia Lis
Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk
Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska
Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51),
Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73)
Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Ita Turowicz
Korekta: Agnieszka Jez

Projekt okładki i stron tytułowych: Iza Marcinowska
Zdjęcie na okładce: Nadya Korobkova/Schutterstock
Projekt graficzny, skład i łamanie: Perpetuum

Biuro Obsługi Klienta
www.hitsalonik.pl
e-mail: bok@edipresse.pl
tel.: 22 584 22 22
(pon.-pt. w godz. 8:00-17:00)
www.facebook.com/edipresseksiadzki

Druk i oprawa: LEGA, Opole

ISBN: 978-83-7945-493-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłączeniem zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Alte co w zyciu ma sens...?



Anna Nagengast-Prawosz poprawiła się w fotelu, odetchnęła głęboko i przymknęła oczy. Tarasik przy jej pokoju był jakby stworzony dla niej. Mogła stąd oglądać do woli cudowną dolinę okoloną wzgórzami, o której istnieniu jeszcze tak niedawno nie miała pojęcia.

Dolinę leżącą u stóp Felcinego wzgórza pokochała od pierwszego wejrzenia. Urzekła ją wówczas zieleń w niespotykanych odcieniach, złoto zbóż i błękit oczek wodnych. Teraz, kiedy na niebie pojawiały się kolejne gwiazdy, ledwie wypatrzyła ławkę przy księżycowym stawie, świątynię dumania Felci. Moja kochana starsza przyjaciółka... Jak to dobrze, żeśmy się odnalazły. Opowiedziała mi, że skoro zostałam jej prezentem imieninowym w trzydziestym ósmym roku, to sobie wówczas dokładnie mnie obejrzała – Anna uśmiechnęła się. Doskonale zapamiętała ciemną plamkę na mojej łopatce. Serduszko, rombik, kóleczo... Głośno powtarzała, zanosząc się śmiechem, kiedy mama mnie wycierała po kąpeli, a plamka przy każdym moim ruchu zmieniała kształt. I po tylu latach Felcia rozpoznała mnie właśnie po niej, kiedy przypadkiem zsunął mi się szal z ramienia. Zupełnie tak samo o mojej plamce mówiły mi zawsze Kasia i Eliza nad Rusałką... Serduszko, rombik, kóleczo... – Anna zmrużyła oczy. Ile czasu już tu jesteśmy, w „Iskierce”, na Felcinym wzgórzu? Ruszyliśmy z Poznania dwudziestego szóstego czerwca, a dzisiaj mamy szesnasty lipca. To dopiero... dwadzieścia dwa dni, a tyle się już wydarzyło!

Listy mamy Jutki odnalezione w skrytce biurka przez ludzi pana Epsteina wydały jej się z początku irracjonalne. Wynikało z nich, że nie jest biologiczną córką Jutki, która wraz z narzeczonym Janem Bartkowiakiem znalazła ją przy stawie obok przewróconego wózka tuż po krótkiej, lecz strasznej burzy. Nie było czasu na szukanie rodziców poparzonej, z trudem oddychającej dziewczynki... Wszystkie fakty z listów potwierdziły się w opowieściach: najpierw Feliksa Kiedrowskiego, a potem Felci, świadka i uczestnika tamtej tragedii. Okazało się, że ośmioletnia wówczas Felcia z kilkunastoletnim Tadzkiem Kuszerem z Gdyni, spędzającym tamto lato wraz z mamą i siostrą u młodych gospodarzy Zalewskich, byli z ich córką na spacerze wśród pól, kiedy rozszalała się nawałnica. Nie zdołali wciągnąć ciężkiego wózka z nią pod górę... Anna wzdrygnęła się na tę myśl. Dowiedziała się od Feliksa i Felci, że jej mama miała na imię Krysia, a ojciec Bronek. Zginął wówczas podczas ratowania płonących zabudowań. Jego grób znalazła na parchowskim cmentarzu.

Otworzyła oczy i spojrzała w prawo. Wypatrzyła na tle ciemnego pasma lasu jasną plamę brzeziny. Kiedyś w tamtym miejscu stały zabudowania jej rodziców. Teraz trawy skrywają resztki fundamentów; tylko tyle zostało po tragicznym pożarze sprzed wojny. Poczuli szybsze bicie serca, przyłożyła palce do skroni.

Spojrzała teraz w lewo, w kierunku świateł zabudowań, wyostrzyła wzrok. Daleko za wsią, na południu, leży jej rodzinny Poznań, kochany Poznań... Spędziła w nim całe swoje sześćdziesięcioletnie, cudowne życie. Dzisiaj potwierdziło się jednak ostatecznie, że pochodzi z Parchowa. Ten list, który przyniosła Marysia, rozwiał wszelkie wątpliwości. Jej

prawdziwa mama, Krysia Zalewska, wyjechała do Ameryki z rozpacz po śmierci męża i utracie dziecka, bo wśród pól nie znaleziono śladów malutkiego ciała. Może gdyby Jutka i Jan odwieźli mnie z Bytowa wcześniej, inaczej wszystko by się potoczyło? – Potarła czoło palcami. Mam za to brata Władka... – uśmiechnęła się. Wszystko, o czym pisała Jutka w listach, i to, co opowiedzieli mi Felcia i stary Feliks, potwierdziło się. Krysia pisała pamiętniki i stąd Władek wszystko wie, mógł porównać fakty z listów Jutki Nagengast i pamiętników Krystyny Zalewskiej. Więc to, czego dowiedziałam się z ksiąg u proboszcza i w gminie, to też prawda! – Pokręciła głową. Nie dość, że jestem tu swojaczką, to jeszcze dziedziczką!

Spojrzała przez ramię, w oknie pokoju córki było jasno. Pewnie już czyta książkę w łóżku. Kasiula kochana! Była przeciwna zarówno studiom Elizy w Gdyni, jak i jej wyjazdowi na wolontariat w fokarium w Helu. A teraz aż podskakuje ze szczęścia, że dała się jednak przekonać. Spotkała się ponownie z Krzysztofem ze studiów, swoją pierwszą miłością. Szkoda tylko, że on, podobnie jak Piotr, też jest żonaty. Kasia myśli, że ja niczego nie wiem... Nie rozmawialiśmy o tym nigdy – to fakt! Ale przecież matka wie wszystko, czuje – machnęła ręką i szybko odwróciła się w kierunku okna córki. Dobrze mi tutaj z nią. Wszystko jej się ułoży. Wydoroślała przez te trzy tygodnie.

A Elizka, też jej nie poznaję! Widać, że naprawdę kocha tę swoją biologię morza. Dostała się na studia w Gdyni, a teraz realizuje się w Helu. Dobrze, że wreszcie przerwałam tę jej niepotrzebną walkę z Kaśką – pokiwała głową. Bystra dziewczyna! Dowiedziała się tylu spraw związanych z mamą Krysią! Ten dzisiejszy mail od Maxa, a potem rozmowa z nią... Jak ona wszystko potrafi wytłumaczyć! Wielu rzeczy o niej jednak nie wiedziałam – pokręciła głową.

W Poznaniu często się izolowała, a tutaj lgnie do mnie i do Kasi. Wreszcie potrafią ze sobą rozmawiać – objęła się ramionami, ale szybko opuściła je i spojrzała znowu w okno córki. Dobrze, że nie widziała.

Poprawiła się na foteliku i popatrzyła wprost przed siebie. Tam jest Bytów i tam mieszka Ryszard... Czy ja się w nim zakochałam? – Wzruszyła ramionami. Może? – Zmrużyła oczy. On jest... z najwyższej półki! Tak jak Mikołaj. Tyle lat nie zapomniał moich oczu – przyłożyła dłonie do policzków, ale po chwili szybko je opuściła i znowu spojrzała w okno córki. Nie widziała...! A właściwie po co ona jutro jedzie z Krzysztofem do tego Poznania? – Zmarszczyła czoło. – Przecież mówiła mi... – wzruszyła ramionami. – Jak to mi powiedziały z Felcią...? Potrójne zero! – Prychnęła śmiechem. Miały rację. Idę spać.

*

Podróż do Poznania, w którą wyruszyli bladym świtem, minęła prawie niezauważenie. Kaśka nie przeszkadzała Krzysztofowi, wiedząc, że rozmyśla o podpisaniu umowy z Piotrem. W ostatniej wersji tekstu znalazł jeszcze kilka błędnych zapisów i chciał to z nim przedyskutować. Wczoraj nie udało mu się wysłać poprawek, w czasie krótkiego postoju na kawę napisał więc SMS-a, ale odpowiedź brzmiała: „No nie!”.

– To mało miłe, a w ogóle osobliwe – zdziwił się, gdy go przeczytał.

Teraz pewnie dalej się zastanawiał, co to miało oznaczać, Kaśka mogła więc spokojnie rozmyślać o swoich sprawach. Od czasu do czasu czuła na sobie spojrzenie Krzysztofa,

niekiedy coś powiedział lub spytał. Wówczas na chwilę przerywała swoje spekulacje, krótko odpowiadała, uśmiechała się i znowu wpatrywała w szosę. Żałowała, że przed wyjazdem nie zadała mu pytania, czy zaplanował jakieś spotkanie z Piotrem; teraz już nie chciała tego tematu poruszać. Miała w weekend sporo czasu, by obmyślić, co sama powie Piotrowi, kiedy się spotkają. Gryzła ją podsłuchana jego rozmowa z żoną. Choć obok był Krzysztof, jej myśli jednak, zupełnie dla niej nieoczekiwanie, zaprzętał głównie Maciej Skierka. Była nim zafascynowana. Chodząca dobroć i delikatność. W jej uszach nieustannie dźwięczał jego cudowny głos. Widziała dobrotliwy uśmiech i łagodne spojrzenie. Zastanawiała się nad jego prawie dziecięcą ufnością... Z czymś takim nigdy, u żadnego mężczyzny, wcześniej się nie spotkała. Skąd on się wziął...? – myślała. Przecież to pięćdziesięcioletni mężczyzna... Jak się taki uchował? A do tego śmieszne małe okrągłe okulary w stylu Lennona i kitka. Miała nieodparte wrażenie, że i ona mu się podoba. Czuła to, ale też odczytywała z jego reakcji. A potem, kiedy wyjechał, zerwawszy się nagle jak oparzony, padły słowa Marysi, że on jest wolny – nie ma żadnej kobiety. Cieszyła się skrycie jak nastolatka, że to nie jest facet Marysi. Bo tak jej się przecież dotychczas wydawało... Uśmiechnęła się do własnych myśli.

– A z czego tak się, Kasiu, cieszysz? – głos Krzysztofa nagle wyrwał ją z miłego odrętwienia.

Wzdrygnęła się.

– No, jak to z czego...? – zawahała się. – Z tego, że trochę pobędziemy razem – skłamała zupełnie naturalnym tonem, aż się sama zdumiała własną bezczelnością.

– A teraz z kolei masz taką minę, jakbyś się czemuś dziwiła.

– Dziwię się, że wątpisz w moje słowa... – mruknęła, mrużąc oczy.

– Jesteś kochana, Kasienko... O, już widać Poznań. Nie pogniewasz się, jak znowu trochę poczekaś w samochodzie? Oczywiście mogłabyś też pójść sobie gdzieś...

– Nigdzie sobie nie pójde... – przerwała mu z nieco wymuszonym uśmiechem. – Chcę tylko z tobą... – dodała ciszej, ale jakby bez przekonania.

– Moja kochana... – Wziął jej słowa za dobrą monetę. – Gdybyś natomiast zgłodniała...

– To znajdę coś – przerwała mu ponownie. – Ostatecznie jestem u siebie. Tak czy nie?

Czuła, że powiedziała to tonem niezbyt grzecznym, ale Krzysztof, będący już pewnie myślami na spotkaniu z Piotrem, nie zauważył tego. Nerwowo kluczył ulicami w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Znalazł tylko takie jak ostatnio – mocno nasłonecznione. Poglaskał Kaśkę przepraszająco po policzku, złapał dokumenty i popędził.

– Boże! Co ja robię? Jestem z jednym, a myślę o drugim...

Klepnęła się otwartą dłonią w czoło, gdy Krzysztof zniknął jej z oczu. Czy ja mam naście lat? Przynajmniej tak się zachowuję – wydeła usta w dezaprobach dla samej siebie.

– Ale z drugiej strony, na dużo więcej przecież nie wyglądam! – ostatnie słowa prawie wykrzyknęła i roześmiała się w głos.

Przechodzący obok auta starszy pan zatrzymał się. Wpatrywał się w nią, marszcząc brwi.

– Przepraszam! – krzyknęła w jego stronę. – To do własnych myśli!

– Ach, wy dzieciaki... – odparł z uśmiechem, uniósł rondo słomkowego kapelusza i ruszył dalej.

– O Jezu! Jestem jeszcze dzieciakiem! Hurra! – wrzasnęła.

– Pani się tylko tak wydaje... – sprowadziła ją na ziemię korpulentna niewiasta, do

której dotarł Kasiny okrzyk.

– Oj tam, oj tam! – Kaśka machnęła w jej kierunku dłonią.

– A do tego bezczelna! – odgryzła się niewiasta, rzucając na nią złe spojrzenie.

– Nikomu nie można dzisiaj dogodzić... – jęknęła Kaśka.

– Proszę...?! – Teraz obok niej wyrósł umięśniony szatyn. Spoglądał bezczelnie na jej wysunięte z samochodu kolana, z których spłynęła na boki spódnica. – Jakby co, to jestem do usług. Nie mam aż takich wymagań, ale też nie zawiodę – dodał z nutą przechwałki.

– Dobra, dobra. Innym razem... – uśmiechnęła się szeroko.

Nie była ani zła, ani zniesmaczona. Lubiła taką szczerłość ocierającą się o impertynencję.

– To może się umówimy ... – macho próbował kontynuować, ale zaniemówił, wpatrując się w jej zupełnie gołe uda.

– Okej! – odparła zupełnie niespeszona. – Jakby co, to znajdziemy się...

– Ale przecież... my się nie znamy... – dukał zaskoczony, jakby wziął na poważnie jej słowa.

– Oboje jesteśmy z Jezyc, czyż nie? – Ściągała powoli poły spódnicy, śledząc jego wzrok.

– No niby tak, ale... – Spojrzał na nią wreszcie nieco przytomniej.

– Nie ma żadnego ale...

Wstała i zrobiła raptowny półpiruet. Nacisnęła z gracją pilota. Samochód odpowiedział kliknięciem i mrugnął do niej światłami.

– To może...

Jeżycki macho jeszcze coś próbował wydukać, ale Kaśka zrobiła ponownie półpiruet w przeciwnym kierunku, omiotła go powłóczytym spojrzeniem i popłynęła przed siebie.

– Ale kiedy...? – usłyszała jeszcze dramatyczne wołanie.

– Dam znać! – odrzyknęła, nawet się nie odwracając.

Była mistrzynią w pozbywaniu się natrętów, którzy często pojawiali się na jej drodze, ale czyniła to zawsze z gracją i na wesoło. Uważała bowiem, że niektórzy mają naprawdę czyste zamiary, starają się, często nawet to przeżywają, a nie chciała nigdy przez przypadek kogokolwiek urazić. Przecież miała Piotra i to jej w zupełności wystarczało, a takie zdarzenia tylko poprawiały jej humor. Nagle przypomniała sobie, że zupełnie niedaleko jest pewne miejsce, w którym dawno nie była. Tam, w pachnącym cieniu, poczeka na Krzysia. Usłyszała sygnał kukulki oznaczający nadejście SMS-a.

„Nawet dwie godziny – sorry” – właśnie ją informował.

„Szukaj mnie w Botaniku” – odpowiedziała.

Ogród Botaniczny należał do jej ulubionych miejsc. Chodziła tam kiedyś z babcią Jutką, a czasami z mamą i tatą. Dla wyjść z babcią i rodzicami były to inne, ale stałe miejsca, które zawsze ona wybierała. Z Krzysiem też znaleźli tam swoje zakątki. Z Piotrusiem już nie zdążyła, ale z nim to była zupełnie inna bajka. Potrząsnęła głową. Dzisiaj chciała spędzić dzień radośnie. Skierowała się Dąbrowskiego w kierunku Botanika. Szła, zmysłowo poruszając biodrami. Kwiecista spódnica rozwiewała się, odsłaniając jej długie nogi. Jędrne piersi podrygiwały rytmicznie, a rozpuszczone włosy falowały w rytm kroków. Lubiła tak chodzić, gdy miała dobry nastrój. Właśnie tego, oprócz fotografowania i pozowania do zdjęć, nauczyła się kiedyś w szkole modelek. Wiedziała, że taki chód przyciąga wzrok. Lubiła, kiedy wszyscy się za nią oglądają – nawet kobiety. To była próżność, na którą sobie

od czasu do czasu pozwalala. Dzisiaj było podobnie. Co prawda w okolicach Ogrodu Botanicznego ruch nie był wcale taki duży, ale i tak widziała odwracające się za nią głowy.

O, lody...! – spojrzała w witrynę mijanej kawiarenki. Wezmę sobie potrójnego, ale... wtedy będą musiała iść wolno, pomyślała z pewnym żalem.

Trzy kulki wylądowały w rożku: pistacjowa, malinowa i śmietankowa. Wpatrywała się w nie błyszczącymi oczami. Po każdym liźnięciu przymykała oczy. Poczula się, jakby miała dwadzieścia lat mniej. Skręciła w bramę Botanika. Szła na pamięć. Minęła magnolie i forsycje, które cieszyły wzrok wiosną, a zaraz za nimi aleję bzów lilaków, na których widniały jeszcze gdzieś gdzieś kiście kwiatów o wielu kolorach. Przystanęła na moment w pobliżu jaśminowców i wciągnęła mocno powietrze. Cudowny zapach! Obejrzała się wokół. Lubiła podziwiać z pewnej odległości kolekcje drzew, których korony były kuliste lub piramidalne... Wszystkie drzewa i krzewy były teraz wyższe, bardziej rozrośnięte niż wówczas, ale bez trudu dotarła do oazy. Tak nazwali kiedyś z Krzysiem zagajnik położony tuż u podnóża alpinarium, składający się z kilku wierzb, pod którymi zawsze stały ławki. Tu się całowali. Miała szczęście. Jedna z ławek jakby na nią czekała.

Ciekawa jestem, czy Krzysiek pamięta to miejsce, pomyślała.

Przeglądała bez zainteresowania kolorowy tygodnik. Dziwiła się sobie, że ciągle go kupuje, po drodze machinalnie zatrzymała się po niego przy kiosku. Przyzwyczajenie. Patrzyła więc na zdjęcia gwiazd i celebrytów, zastanawiając się jak zwykle, czy oni wiedzą o tym, jak wielu ludzi śmieje się z ich próżności. Spojrzała na zegarek. Minęła już godzina. Było jej dobrze. Pachniało dawnym czasem. Ciszę zakłócił sygnał kukulki. „Gdzie jesteś?” – przeczytała. Odpowiedziała krótko: „Oaza”. Niedługo dojrzała krocącego zwawo Krzysztofa. Podniosła rękę. Machnął w jej kierunku papierami.

– Zapamiętałeś... – szepnęła, gdy usiadł obok niej.

– Trudno zapomnieć... – Przywarł do jej ust swoimi, poczuła jego pot pachnący dobrą kolońską.

Odchyliła się do tyłu.

– I jak było? – spytała z uśmiechem.

– Cudownie... – zamruczał.

– U Piotra – doprecyzowała.

– Aaa! Ten SMS ze słowami „No nie!”, który dostałem od niego, nie był do mnie.

– Jak to nie do ciebie? To po co ci go przysłał?

– Dostał dwa SMS-y prawie równocześnie. Pomylił odpowiedzi. Do mnie było przeznaczone słowo „trudno”, a do tej drugiej osoby to, co ja dostałem. Przeprosił mnie i szybko poprawiliśmy tekst umowy. Zaakceptował wszystkie proponowane zmiany. Pozdrawia cię serdecznie.

– Piotr? – zdziwiła się.

– Piotr! Przecież to u niego byłem!

– No, nie wiem... – zaśmiała się.

– Ale mam problem, Kasieńko... – zamilkł i począł nerwowo rozglądać się na boki. Zdziwiona Kaśka wodziła wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Ktoś cię śledzi?

– Nie! – krzyknął rozbawiony. – Chciałem ci tylko uzmysłwić, jak duży mam ten kłopot, bo to jest kłopot... mieszkaniowy. – Kaśka ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. – Rozglądałem się, gdzie tutaj mógłbym na przykład rozbić namiot. Przynajmniej na lato... –

ciągnął, rozbawiony jej miną.

– Nie rozumiem – zatrzepotała rzęsami.

– Muszę mieć w Poznaniu lokum, mieszkanie, ale na razie nie stać mnie na kupno – spoważniał. – Może znasz kogoś, kto mógłby wynająć? Na tyle na razie będzie mnie stać.

– Ale po co ci tutaj mieszkanie? Chcesz się przeprowadzić?

– Nie, ale w Poznaniu jest od dzisiaj ważniejsza część mojej firmy i nie mogę nią zarządzać zdalnie z Kartuz. Ty będziesz rządziła tam, a ja tu.

Kaśka przypatrywała mu się badawczo. Zmrużyła oczy jak kotka. Teraz ona kręciła z wolną głową.

– Chyba coś wymyśliłaś. Tak czuję... – Krzysztof znowu ją pocałował.

– Puść, łobuzie. To jest miejsce publiczne – roześmiała się. – Na coś naprawdę wpadłam, tylko muszę porozmawiać z mamą.

– Czy twoja mama zajmuje się pośrednictwem w wynajmowaniu mieszkań? Nic mi nie mówiłaś.

– Nie, głuptasie... Wiesz, że mamy mieszkanie na Szamarzewskiego. Mama mieszkała tam z babcią Jutką. Po jej śmierci sporadycznie je wynajmowała, ale od jakiegoś czasu stoi wolne. Nie chce już wynajmować, ale też nie może się zdecydować, aby je sprzedać. Dla ciebie z wynajmem na pewno zrobi wyjątek. Tym bardziej, jeśli powiem, że bardzo mi na tym zależy.

– Kasiu! Kocham cię!

– Jesteś interesowny łobuz z Kartuz! – zasyczała.

– Ja ciebie kocham bezinteresownie i bezapelacyjnie! – wrzasnął.

Przed ich ławką zatrzymał się starszy pan w słomkowym kapeluszu.

– O! To pani! – uśmiechnął się i uchylił róna. – Wcale się panu nie dziwię, że kocha pan tę istotę... Cudowne dzieciaki – powiedział do siebie, powtórnie uchylił kapelusza i podreptał dalej.

Krzysiek ze zdziwienia załopotał rzęsami.

– To... wy się znacie?

– Aha! Zatrzymał się godzinę temu przy samochodzie, zaskoczony moim głośnym śmiechem. Pewnie myślał, że się z niego śmieję.

– A z czego się śmiałaś?

– Z niczego, poczułam się dzisiaj wyjątkowo szczęśliwa, wydało mi się, że mam dużo lat mniej. Tak koło dwudziestu – dokończyła prawie szeptem.

– I za to cię właśnie, Kasieńko, kocham. – Objął ją czule. – Jesteśmy w naszej oazie i mamy dwadzieścia lat mniej... Masz rację. – Przycisnął ją mocno do siebie.

Poddała się temu, ale zarazem poczuła się nieswojo, bo odniosła wrażenie, że z jego strony było to szczere wyznanie. Daję mu się całować i obściskiwać, a myślę, jak po drodze, o Macieju – przemknęła jej przez głowę myśl. Po co ja głupia w ogóle tutaj przyjechałam? Sama go jeszcze niepotrzebnie nakręcam.

– Chcę jeszcze trochę pożyć, Krzysiu... – wyszeptowała, wyzwalając się delikatnie z uścisku, ale wynagrodziła mu to uśmiechem.

– Ja też, ale z tobą. – Spojrzał na nią nieco poważniej.

– Tak o głodzie? – uśmiechnęła się, próbując niezręczną sytuację zamienić w żart.

– Słusznie prawisz. Przecież musimy coś zjeść. – Dał się wciągnąć w jej grę, przewrócił zabawnie oczami i spojrzał na zegarek. – Pospieszmy się. Na szesnastą zamówiłem stólik

w „Magnolii”.

– Potrzebujemy dużo siły – dodała, ale zaraz pożałowała tych słów, dostrzegając jego maślane oczy. Pociągnęła go z ławki za sobą.

– Po drodze muszę jeszcze wpaść do banku na Świętym Marcinie – spojrzał na nią przepaszająco.

Tym razem nie czekała w samochodzie. Przechadzała się chodnikiem, spoglądając na witryny sklepów i banków. Lubiła tę ulicę, mimo iż co chwila przejeżdżały hałasując tramwaje. Od czasu do czasu zerkła w kierunku wyjścia z banku; dojrzała wreszcie rozglądającego się Krzysztofa. Pomachała mu i ruszyła w jego kierunku. Gdy złapali się za dłonie... prawie wpadli na Piotra.

Wszyscy byli zaskoczeni tym nieoczekiwanym spotkaniem.

– Co wy tutaj robicie? – spytał Piotr i ucałował dłoń Kasi. Patrzył na nią radosnymi oczami.

– Mamy zamówiony stół w „Magnolii”... – Krzysztof wskazał w kierunku Kaponiery.

– Kasiu, mogę na słówko? – przepaszająco odezwał się Piotr.

Kiedy odeszli na kilka kroków, nachylił się do jej ucha i powiedział ściszym głosem.

– Wracam do żony. Dzięki tobie.

– Naprawdę? Cieszę się – odparła, siląc się na spokój, choć poczuła ucisk w dołku.

– Chciałbym się z tobą spotkać i wyjaśnić...

– Nie ma potrzeby... – przerwała mu prawie arogancko.

Zmieszał się.

– Wiedziałam o tym, zanim mi to dzisiaj powiedziałeś.

Otworzył szeroko oczy.

– Nie rozumiem...

– Telefony przekazują czasami niechciane słowa... – wbiła w niego wzrok.

– Tak mi się wówczas wydawało, że słyszałem czyjś oddech...

– Więc nic już nie mów – powiedziała twardo i potarła czoło. – Widziałam, że się śpieszysz... – rzuciła nieco impertynencko.

– Coś tu niedaleko muszę załatwić i... pędzę do Palmiarni, bo tam mamy z Urszulą... – wyjąkał i zamilkł, jakby się zawstydzil.

– Swoje stałe miejsce – uzupełniła.

– Skąd wiesz? – zdziwił się.

– Nie wiem, ale myślę, że wszyscy, no prawie wszyscy, mają gdzieś takie swoje miejsce.

Niech ci się ułoży – dodała, siląc się na spokojniejszy i miłszy ton.

– Chyba się nie gniewasz, tym bardziej, że wy... – wskazał oczami Krzysztofa.

– Któż to wie! – rzuciła z drwiącym uśmiechem. – Pędź i bądź szczęśliwy.

Dojrzała zdziwienie w jego oczach.

– Nie rozumiem, ale... niech tobie też się ułoży. Dziękuję ci, Kasiu, za wszystko. – Zobaczyła dziwny błysk w jego oczach.

Zastanawiała się, jakich użyć słów w odpowiedzi, ale nie mogła zebrać myśli. Przymknęła oczy. Byliśmy ze sobą prawie osiemnaście lat... – pojawiła się myśl jak błyskawica.

Nagle poczuła muśnięcie jego dłoni. Spojrzała w dół. Piotr pochylił się, uniósł jej dłoń i pocałował z czułością. Ich wzrok się spotkał. Przymknęła potakująco oczy. Odwrócił się raptownie i ruszył szybkim krokiem, nie patrząc za siebie.

– A cóż wy tak sobie szeptaliście? – w głosie Krzysztofa wyczuła lekkie zaniepokojenie. Przyglądał się jej badawczo.

Kaśka spojrzała jeszcze raz za oddalającym się Piotrem. Uspokajała oddech.

– Krzysiu, wszystko się kiedyś kończy... – powiedziała melancholijnie. – Piotr wreszcie wszystko sobie przemyślał, zmądrzał i wraca do żony.

Czuła, że Krzysztof wziął te słowa do siebie. Dostrzegła jego zmieszanie, tak jak wcześniej u Piotra. Powiedziała prawdę, bo to było od niej silniejsze. Czoło Krzysztofa zrosił pot. Zrobiło jej się go żal.

– Krzysiu, to co, zapraszasz mnie, czy nie zapraszasz? Obudź się – zapiszczała nagle milutko.

– Bo ja myślałem, że ty tak...

– Nie myśl tyle, bo jeszcze myśliwym zostaniesz... – roześmiała się, co przyszło jej bez trudu, gdyż te słowa, bez względu na to, kto je wypowiadał, nawet jeśli to była ona sama, zawsze potrafiły ją rozbawić.

– Kasiu, ale wiesz, że ja...

– Ja wszystko wiem, ale teraz się wreszcie ogarnij. – Z wrażenia, że coś takiego powiedziała, prawie ugryzła się w język. – Pomogę ci – obrzuciła go spojrzeniem. żeby uwiarygodnić wcześniejsze słowa; zaczęła poprawiać mu nieco zawinięty kołnierzyk od koszulki polo i pogłaskała po policzku. – Zawieź mnie wreszcie do tej „Magnolii” – rzuciła po chwili z uśmiechem; spojrzał na nią z wdzięcznością.

Szli uśmiechnięci, trzymając się za ręce. Kaśka poczuła zmęczenie dwuznacznymi gestami i rebusami słownymi, pojawiającymi się od wczesnego rana raz po raz. Potrzebowała dystansu do tego wszystkiego. Zdecydowała, że teraz zajmie się tylko żołądkiem, a sprawy serca i duszy zostawi sobie na potem. Na potem, co nie znaczy, że na deser. Na noc. Bezseną noc.

*

Kaśka przymknęła oczy, udając drzemkę. Radio grało, silnik szumiał. Trzy dni w Poznaniu minęły jej szybko, chociaż gdy sięgała myślami wstecz, wydały jej się dziwne. Powinna właściwie być zadowolona, a nie była. Czekala ją przecież nowa, ciekawa praca, Krzysztof ciągle był obok, nie krył się ze swoim zakochaniem, nadskakiwał jej, lecz czuła, że sama stała się dziwnie refleksyjna, a nawet rozdrażniona. Kiedy usłyszała od niego nad Rusalką, że tutejsza woda jest fatalna i jakaś szara, o mało nie wydrapała mu oczu.

– Wiem, że twój Mausz jest czystszy, ale ta woda pachnie moim dzieciństwem – fuknęła nerwowo, jakby wyrządził jej krzywdę.

Spojrzał na nią, zaskoczony gwałtowną reakcją. Wcale nie chciała, by zabrzmiało to tak ostro, ale stało się. Język był szybszy od głowy. Jakoś się z tego wytłumaczyła, ale niesmak pozostał. Przyłapała się wtedy na tym, że nie dość uważnie słuchała jego wcześniejszych słów, była zbyt pochłonięta natrętnymi myślami – o Piotrze, z którym zakończyli pewien etap wspólnego życia, i o aktualnym związku, a raczej uniesieniu z Krzysztofem, jak to zaczynała sobie na nowo definiować. Wszystko przez to, że w tle pojawiał się od czasu do czasu obraz uśmiechniętego Macieja; widziała wtedy jego ufne spojrzenie i słyszała aksamitny głos.

Podczas wtorkowego dancingu w restauracji nad Małtą, tam gdzie poprzednim razem

wieczór z Krzysztofem został zepsuty przez niespodziewane pojawienie się Piotra, też niepotrzebnie wybuchła. Kilka razy omiotła wzrokiem salę, bezwiednie wypatrując starych znajomych. W pewnym momencie uśmiechnięty Krzysztof spytał, czy znowu na kogoś czeka. Widziała jego uśmiech, cały czas było przecież miło, dużo tańczyli, był szampan, a jednak po tym pytaniu prawie eksplodowała.

– O co ty mnie oskarżasz...?

Nie chciała tak powiedzieć. Dostrzegła w jego oczach dezorientację, zakłopotanie. Przecież w jego słowach i wyrazie twarzy nie było śladu podejrzliwości czy ironii. Pewnie nie powinien takiego pytania zadać, ale też nic nie usprawiedliwiało jej reakcji. Od razu to zrozumiała. Przeprosiła go i wydało jej się, że przeprosiny przyjął, ale już do końca wieczoru nie było tak jak wcześniej. Zastanawiała się, czy Krzysztof też o tym wszystkim myślał. Otworzyła z wolna oczy. Przez chwilę przypatrywała mu się, jak spokojnie prowadzi auto. Wyczuł jej spojrzenie.

– Koniec drzemki?

– Mhm... – przeciągała się, aby ją całkiem uwiarygodnić.

– Jak daleko mamy jeszcze do „Zielonego Dworu”? Kilka minut temu minęliśmy Kcynię.

– Ooo! To już zostało niewiele ponad kwadrans. Dobrze jedziesz.

– Ja jednak nie potrafię na czczo tak jak ty – zrobił zboląłą minę. – Orkiestra marsza mi wygrywa. – Wskazał na żołądek.

– Obiecuję, że to będzie takie śniadanie, jakiego dawno nie jadłeś.

Jeszcze wczoraj wysłała do Henryka Dziedzica SMS-a, że będą około dziewiątej i że zamawia obfite firmowe śniadanie na dwie osoby. Cieszyła się na to spotkanie z nim i jego rodziną, gospodarzami zajazdu. Często bywała tam z wycieczkami i w czasie jednej z nich zaprzyjaźniła się z nimi. Kiedy wjechali na dziedziniec zajazdu, dojrzała, że czeka na nich na jednej z ław pod drzewami. Jego donośne powitanie, w którym Kaśka wyłapała teraz sporo sztuczności, przyciągnęło przed drzwi żonę Adelę i córkę Dianę. Gospodarze zaplanowali posiłek z nimi. Krzysztof szybko znalazł z Henrykiem wspólny język, ale tym razem Kaśka zauważyła, że pani Adela ukradkiem raz po raz zerka na męża.

– Coś mu dolega? – spytała ją półgłosem, gdy Henryk z Krzysztofem podeszli na moment do kominka.

– Mówi, że ma kłopoty z żołądkiem, ale martwię się, że raczej coś z sercem, bo od czasu do czasu łapie się za nie... – odparła pani Adela zboląłym głosem.

– Może ja z nim porozmawiam?

– Byłoby cudownie, bo mnie w ogóle nie słucha. Mówi, że pójdzie do fachowca, jak tylko sezon się skończy, ale przecież aż takiego ruchu u nas nie ma, żeby nie mógł się wybrać do niego teraz.

– Wyciągnę go na krótki spacer...

Po śniadaniu Kaśka wymówiła się od kawy. Dopiła sok i złapała pana Henryka za rękę, pociągając za sobą. Krzysztof poderwał się, ale gestem dała mu znak, by pozostał.

– Wypij spokojnie kawę, chciałabym zrobić kilka zdjęć w parku i potrzebuję wsparcia pana Henryka. Potem może to już być niemożliwe, bo zbiera się na deszcz. Za kilkanaście minut wrócimy.

Pani Adela skinęła głową przyzwalająco. Henryk wyglądał na zdziwionego, jednak wyszedł posłusznie z Kaśką.

– Ale co pani chce jeszcze u nas fotografować, pani Kasiu? – spytał, kiedy znaleźli się w lipowej alei.

– Pana duszę, panie Henryku... – powiedziała twardo i zadrżała mu w oczy.

– Ależ czego pani chce od mojej biednej duszy? – wyjąkał i odwrócił się splotony.

– Na przykład chciałabym wiedzieć, dlaczego pan nie mówi żonie prawdy...

– Na Boga, pani Kasiu – rozejrzał się wokół. – A jaką niby prawdę mam jej powiedzieć?

– Już pan dobrze wie! – przerwała mu stanowczo. – Jeśli nie chce pan, żeby Adela się zamartwiała, to proszę przynajmniej mnie opowiedzieć, co pana dręczy; razem coś wymyślimy.

– Pani Kasiu... – spojrzał błagalnie.

– Serce?

Henryk położył rękę na sercu i głęboko westchnął.

– To coś znacznie gorszego – wyszeptał, rozglądając się ponownie wokół.

– Zauważyłam już poprzednim razem, że coś się z panem dzieje, ale nie mieliśmy czasu porozmawiać.

Przysiedli na ławeczce. Henryk wachlował się kapeluszem.

– Znaleźli się dawni właściciele tego dworku i muszę im to wszystko oddać... – Zatrzęsła mu się broda.

– Co oddać? Jak to? – wykrzyknęła zaskoczona Kaśka.

– Za dużo by opowiadać, ale oni też się z tym źle czują. Tyle tylko, że sprawy zaszły za daleko i jest wyrok sądu.

– Proszę? Jaki wyrok? Czy ja dobrze zrozumiałam, że ci nowi dawni właściciele źle się czują z tym, że odbierają panu dworek?

– Pani Kasiu, musiałbym opowiadać kilka godzin. Powiem pani tylko tyle, że musimy się stąd wyprowadzić do końca roku – głos mu się załamał.

– Mamy znajomych prawników w Poznaniu i w Bytowie.

– Pani Kasiu, ten wyrok jest już prawomocny. Wcześniej żonie nic nie mówiłem i to był błąd. – Pociągnął nosem i zasłonił twarz dłońmi, próbując się uspokoić. – Mój adwokat zgadł się chyba z ich adwokatem – pojawiły mu się łzy w oczach. – Tak mnie bronił, że faktycznie pomagał tamtej stronie, a teraz już jest po ptokach – zachlipał.

– Przecież zawsze jest jakaś możliwość.

– Zwodził mnie cały czas, że mamy sprawę wygraną. Potem, w okresie odwoławczym, byłem tak załamany, że nie umiałem nic rozsądnego wymyślić. Ciągłe mi zresztą tłumaczył, że wcześniej przyjęliśmy złą strategię i obiektywnie nie mamy szans. Ale strategia to przecież jego zadanie, nie moje. A poza tym koszty... Wierzyłem, że jak dużo mu płacę, to będzie dobrze mnie bronił! – wykrzyknął zduszonym głosem. – Kiedy już minął czas na odwołanie, a on ciągle mi nic nie proponował, zrozumiałem, że mnie ograł, ale wtedy już było za późno.

– To dokąd pójdziecie? – Kaśka ze smutkiem patrzyła na pana Henryka. Siedział z opuszczonymi rękoma i wyginał rondo kapelusza, zapłakany, zasmarkany, prawdziwy obraz nędzy i rozpacz.

Wstała i zaczęła chodzić wokół ławki. Oddychała głęboko. Uspokajała się. Wreszcie stanęła przed nim i położyła dłonie na jego ramionach. Podniósł głowę do góry. Ich wzrok się spotkał.

– Panie Henryku, musi się pan opamiętać i zacząć działać – powiedziała twardo. – Nie

może pan zawieść żony i dzieci.

– Ale ja naprawdę... – znowu zaczął łamiącym się głosem.

– Proszę wziąć się w garść, po sarmacku! – krzyknęła i tupnęła nogą.

Henryk chwilę milczał. Nagle wstał, otarł oczy i spojrzał na Kaśkę przytomnym wzrokiem.

– Sarmata... – powiedział jakby do siebie i podkreślił wąsa. – Ma pani rację – dodał nieco twardszym głosem. – Sarmatyzm to nie tylko dobroduszość i gościnność, ale też męstwo i odwaga – rzekł pompatycznie z błyskiem w oczach. – Ależ mnie pani trafiła – spojrzał na nią z podziwem. – Tego było mi potrzeba. Dobrze, że pani przyjechała.

– Wracajmy, bo Adela będzie się niepokoić. Trzeba powiedzieć jej zaraz całą prawdę. Pomogę panu.

Henryk spojrzał na nią z wdzięcznością.

*

Zostali w „Zielonym Dworze” na jednodniowy popas. Henrykowi po usłyszeniu nowiny ze szczęścia zabłyśły oczy. Przy każdym posiłku wracał temat wyroku sądu, konieczności opuszczenia zajazdu i przekazania go nowym właścicielom. Gospodarze nie odstępowali ich przez cały dzień na krok. Kaśka cieszyła się, że jej rady przydały się, poprawiły rodzinie humor. Przy kolacji Dziedzicowie i ich dzieci już się uśmiechali.

– Ciężki miałaś dziś dzień – rzucił współczująco Krzysztof, gdy Kaśka wyszła z łazienki, w której zniknęła na długo, po tym jak wieczorem wreszcie trafili do swojego pokoju.

– A co, źle wyglądam? – Ze śmiechem poklepała się po policzkach i spojrzała w dół na swoje gołe, szczupłe nogi.

– Nie! Wyglądasz cudownie, ale tak się wczułaś w ich problem, że aż było mi Ciebie żal.

– Przecież należało im pomóc. Oni tutaj nie mają nikogo z rodziny, która i tak ma im ciągle za złe, że nie podzielili się wygraną.

– Ale wówczas nic by im nie zostało.

– Tak, to są zawsze trudne sprawy – westchnęła, położyła się obok niego, prostując swoje zgrabne nogi na kołdrze. – Wiesz, gdy byłam dzieckiem, nasza dalsza ciotka też wygrała milion i kiedy poszłam do niej z tatą z życzeniami imienninowymi, poczęstowała nas katarzynkami. Długo nie mogłam wyjść ze zdziwienia, że niczego z tej wygranej tacie nie dała – zaśmiała się cicho.

Dłoń Krzysztofa zbłądziła zygzakami na jej udo. Powstrzymała ją stanowczo.

– Jeśli Henryk zostanie przez nowych właścicieli powołany jako ich przedstawiciel do grupy rzeczoznawców, to będzie miał wpływ na ustalenie ceny sprzedaży – wróciła do tematu.

– Dziwne, że ci nowi chcą to sprzedać.

– Henryk też był wstrząśnięty, kiedy mu zdradzili, że nie nadają się do tego, by tutaj osiąść i prowadzić zajazd. Takich Dziedziców i im podobnych jest niewielu. Bo to naprawdę ciężka praca. Inni, tak jak ci nowi, chcą tylko szybko dorwać się do forsy. Sprzedać, kupić sobie coś, pozwiedzać świat.

– Ale Adela i tak mężnie to zniosła... – Krzysztof wyswobodził swoją dłoń z Kasinej i zaczął wkradać się pod jej kusą koszulkę.

– Mądra kobieta... Ej, łaskoczesz! – krzyknęła Kaśka i podskoczyła na kołdrze, szybkim

ruchem naciągając ją na siebie.

Krzysztof spojrział na nią zawiedziony.

– Dzieci gorzej to zniosły. Żal mi szczególnie Diany. Była taka błada i poważna; nawet dołeczek na policzku ani razu się nie pojawił, kiedy rozmawialiśmy – dodała smutnym głosem i zamyśliła się. – Jeśli Henrykowi uda się utrzymać w umowie te dwadzieścia procent od sprzedaży, które mu ci nowi obiecali, odzyska prawie wszystko, co włożył. Mama mu poleci dobrego prawnika – skóry z niego na pewno nie zedrze.

– Jeśli doliczyć spadek wartości pieniądza, to odzyska blisko połowę – odezwał się Krzysztof po chwili. – Tyle tylko, że nie mają gdzie mieszkać, a sprzedaż może nie być taka szybka.

– I to jest problem, ale zostało im jeszcze kilka miesięcy, więc trzeba być dobrej myśli. Gasimy? – spytała Kaśka i nie czekając na odpowiedź, nacisnęła wyłącznik lampki.

Poczuła, jak dłoń Krzysztofa zsunęła się z jej ramienia i ruszyła w kierunku piersi.

– Krzysiu... – szepnęła. – Jestem dzisiaj wykończona. Śpijmy, proszę.

Coś zamruczał, ale po chwili poczuła jego długi pocałunek na ramieniu. Niedługo dotarło do niej jego ciche pochrapywanie. Przycisnęła palce do skroni. Dlaczego moje życie było dotąd takie puste? Poczuła, jak serce przyśpiesza, przestraszone pytaniem. Bo wszystko, co dotąd robiłam, było chyba bez sensu – odpowiedziała sobie szybko, jednak ta odpowiedź wcale jej się nie spodobała; ściągnęła brwi. Ale co w ogóle w życiu ma sens?! Że też akurat teraz nachodzą mnie takie dziwne pytania! Dlaczego nigdy wcześniej?

Spojrzała na śpiącego obok spokojnie Krzysztofa. Znowu się we mnie zakochał, jest taki dobry. A ja co? A Maciej...? Uśmiechnęła się. On jest zupełnie inny! Koniecznie muszę go dobrze poznać.

Kamienna cisza



Anna siedziała na werandzie „Iskierki,” wpatrując się w bramę. W każdej chwili mógł nadjechać Ryszard. Bardzo chciała już być razem z nim. Wspominała poniedziałkową kolację. Przyjechał wówczas z dwoma ślicznymi bukietami, jednym dla niej, a drugim dla Felci. Ta była wniebowzięta. Potem, kiedy już odjechał, zdradziła Annie, że nie pamięta, kiedy dostała taką elegancką wiązanekę.

– No, bo wiesz, kwiaty często dostaję, ale to był przecież prawdziwy bukiet! – krzyknęła podekscytowana. – Taki filmowy... – rozmarzyła się, przymykając oczy. – On zresztą mówił, że kwiaty zawsze sam wybiera. Zasuszę je sobie!

Felicja do tamtej kolacji wszystko przygotowała sama, nie pozwoliła jej niczego tknąć. Anna była jej za to wdzięczna, bo mogła się zająć sobą. Nałożyła wtedy ciemnobłękitną sukienkę i delikatne srebrne dodatki. Włosy upięła w duński warkocz – nauczyła się tego, kiedy pracowała w operze. Pomadka i paznokcie w odcieniu cherry dopełniły reszty.

Podczas kolacji Ryszard nie mógł oderwać od niej oczu. Kiedy przyjechali pozostali goście „Iskierki”, Gulewscy i Zagórscy, zaproponował, aby się dosiedli. Była mu za to wdzięczna. Już wcześniej chciała, żeby go poznali, a tu niespodziewanie trafiła się taka okazja. Zauważyła, że Felcia z początku trochę kręciła nosem, ale potem jej przeszło. Siedzieli na werandzie, aż poszarzało.

*

Zza wzgórze zaczął dochodzić narastający odgłos silnika samochodu, a po chwili jej oczom pokazał się wzniesiony kurz, granatowy audik Ryszarda. Anna wstała i skierowała się w kierunku bramy.

– Baw się dobrze, Aniu... – usłyszała głos Felci.

Spojrzała za siebie; ta stała oparta o futrynę. Musiała tu już być od jakiegoś czasu, ale Anna nie słyszała, kiedy weszła.

– Na razie! – odpowiedziała Felci wesoło i pomachała dłonią.

Za chwilę witała się już z Ryszardem.

– Jeśli się zgodzisz, to najpierw pokażę ci moje mieszkanie, a potem będzie kolacja przy świecach na Zamku.

– Zgadzam się – odpowiedziała krótko.

Piętnastokilometrowa droga do Bytowa minęła niezauważenie.

Ryszard mieszkał w przedwojennej kamienicy. Duża sień i wysokie sufity trochę przypominały jej mieszkanie na Szamarzewskiego. Oprowadził ją po pokojach. W jednym z nich miał urządzone gustownie gabinet do pracy, największy z trzech pokoi pełnił funkcję salonu, najmniejszy służył za sypialnię. Wszystko jej się podobało. Starannie dobrane meble, gustowna tapicerka i bezpretensjonalne dodatki. Była pod wrażeniem czystości, także w kuchni i łazience.

– Czy masz jakąś pomoc? – spytała bezwiednie i zaraz ugryzła się w język.

– Sprawia mi przyjemność, kiedy sam sobie wszystko posprzątam. Ela pomaga mi tylko

przed świętami – odpowiedział niespieszony, jakby oczekiwał takiego pytania. – To nie zabiera dużo czasu.

Nie wątpiła w prawdziwość jego słów. Zresztą nigdzie nie zauważyła nawet najmniejszego śladu kobiety – szukała takich śladów mimowolnie.

– Jeśli pozwolisz, to zaproponuję lampkę wina – rzucił, gdy wrócili do salonu.

Nie odmówiła. Wskazała na półśłodką malagę stojącą pośród trzech butelek. Od dawna było to jej ulubione wino.

– Skąd wiedziałeś? – odstoniła zęby w uśmiechu.

– Wyłapałem to w którejś z twoich opowieści podczas wizyty w moich rodowych włościach – uśmiechnął się. – Przeszukałem piwniczkę i... już – skubnął wąsika.

– Malaga jest pyszna...

– Sprawdziłem w swoich notatkach, jak wyglądało lato w Hiszpanii w 1973 roku. Czerwiec był wilgotny i gorący, lipiec nieco chłodniejszy jak na Hiszpanię, potem aż do zbiorów w połowie września było umiarkowanie gorąco i tylko od czasu do czasu padało. Owoce nie przeżyły w okresie wzrostu żadnego szoku, były duże i mocno dojrzałe, więc smak i bukiet są wyborne. Spójrz, jakie klarowne... – Pokręcił swoim kielichem i uniósł go w kierunku światła.

– Teraz widzę, że to coś więcej niż hobby.

– To, niestety, wina taty... – uśmiechnął się. – Muszę powrócić do przeglądu piwniczki, bo jak ci już niedawno mówiłem, nad górną częścią już panuję, ale dolna wymaga jeszcze pracy. Tam na pewno są takie wina, które do wypicia już się nie nadają, chociaż mają wartość dla zbieraczy... O, mżawka! – spojrzął za okno. – Musimy więc podjechać pod Zamek autem. Zaplanowałem spacer, ale w tych warunkach...

Restauracja przywitała ich gwarem. Pośrodku przy dużym stole biesiadowało około dwudziestu osób. We wnękach przyokiennych stały mniejsze stoły, niektóre jeszcze bez gości. Ryszard poprowadził Annę do jednego z nich, który nakryto na dwie osoby. Szybko zjawił się kelner i zapalił świece. Otworzył wino i napełnił lampki.

– Danie na gorąco będzie za piętnaście minut, zgodnie z pana zamówieniem. Zgadza się? – ni to stwierdził, ni to zapytał. Ryszard skinął głową.

Annie już poprzednio spodobał się ten lokal, ale wówczas ważniejsza była rozmowa niż podziwianie jego wnętrza. Surowy ceglany mur w dolnej części ścian, sklepienia i reszta ścian pokryte białym tynkiem, kamienne podłogi, wszystko to ładnie harmonizowało z umiejętnie dobranym wyposażeniem restauracji. Urody dodawały ciekawie zaaranżowane wnęki.

– Za miły wieczór... – Ryszard uniósł lampkę.

– Dziękuję, już jest miło – odpowiedziała.

– Chciałem ci, Anno, opowiedzieć pewną historię sprzed kilku lat... – Ryszard przyjął poważniejszą minę.

Anna dla zachęty delikatnie się uśmiechnęła, lecz zaraz spojrzała na niego badawczo, bo zdziwił ją utrzymujący się marsowy wygląd jego twarzy.

– Z powodu tej historii porzuciłem palestrę i chcę, a właściwie muszę, właśnie dzisiaj o tym opowiedzieć – ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem.

Anna trochę się zaniepokoiła niespodziewanie poważnym tonem jego głosu i próbowała przykryć zmieszanie uśmiechem.

– To dotyczy mojego ostatniego adwokackiego pojedynku z Mikołajem.

Annę przeszył dreszcz.

– Sprawa toczyła się już ponad dwa lata... – ściszył głos i nachylił się w jej kierunku, spoglądając głęboko w oczy. Anna ponownie zadrżała. – Jesienią dziewięćdziesiątego czwartego roku dotarłem do pewnych dokumentów, które w efekcie przechyliły szalę w tym procesie na korzyść mojego klienta. To była sprawa ocierająca się o światek biznesu i polityki, i dotyczyła zdarzeń z końca lat osiemdziesiątych. Nic o tych dokumentach Mikołajowi wcześniej nie powiedziałem, chociaż o takich sytuacjach zwykle się nawzajem informowaliśmy. Użyłem tych dokumentów z zaskoczenia dopiero na sali sądowej. Mikołaj dziwnie na mnie spoglądał, gdy je cytowałem. Po kolejnym dniu procesowym, ale już poza salą sądową, delikatnie zwrócił mi uwagę, że wie, jak one powstały. „I dziwię się tobie, że korzystasz z nich, bo przecież one są sfabrykowane przez służby” – powiedział do mnie. „Powinieneś o tym wiedzieć. Skrzywdzisz niewinnych ludzi, bo to niestety w tym kierunku idzie”, dodał. Czasami się ze sobą droczyliśmy, ale nigdy żaden z nas nie użył jako argumentu słów o fabrykowaniu dowodów.

Anna wpiła się paznokciami w obrus, krew odpłynęła jej z twarzy; patrzyła spłoszona na Ryszarda, ale nie była w stanie mu przerwać.

– Wtedy odebrałem to jako bardzo ostry wist z jego strony, prawie ocierający się o insynuację. Uśmiechnąłem się tylko, a on dziwnie na mnie popatrzył. Na ostatnim posiedzeniu sądu po mowach obu stron dostrzegłem, że źle wygląda. W przerwie zaproponowałem mu, żeby złożył wniosek o dokończenie posiedzenia w innym terminie, a ja się do tego przychyliłem. Stosowaliśmy wiele razy tego typu zagrywki. On nic nie odpowiedział, tylko machnął ręką; proszono nas już na salę na ogłoszenie wyroku. Sędzia ogłosił wyrok korzystny dla mojego klienta. Byłem zadowolony, a Mikołaj siedział błądy. Podszedłem do niego, ale nawet nie chciał mnie słuchać. Po prostu odwrócił się ode mnie.

– Ta sprawa toczyła się w Bydgoszczy, a wyrok zapadł w ostatnich dniach maja? – spytała suchymi ustami Anna. Ryszard skinął głową. – To znaczy, że ty byłeś powodem śmierci Mikołaja! – wykrzyknęła zduszonym głosem.

– Anno, dopiero po sprawie jeszcze raz sprawdziłem źródło, skąd otrzymałem dokumenty... Nigdy przedtem mnie nie zawiodło, ale tym razem Mikołaj miał rację. Ku mojemu przerażeniu i tego człowieka, który dostarczył mi dokumenty, znaleźliśmy potwierdzenie, że były one sfalszowane. Wbrew zwyczajom i procedurom procesowym, napisałem do sądu pismo, w którym przyznałem się do skorzystania ze sfalszowanych dokumentów, składając jednocześnie wniosek o wycofanie tych dowodów i ponowne rozpatrzenie sprawy. Pismo pozostało bez odpowiedzi, a ja zacząłem otrzymywać dziwne telefony z pogrózkami, a potem miałem wypadek, którego powodem były przecięte przewody hamulcowe w aucie. Śmiertelnie mnie to przeraziło. Zadzwoiłem do Mikołaja, chciałem się z nim spotkać, żeby wszystko mu opowiedzieć, poradzić się, co i jak dalej robić. Odmówił. W trybie nagłym rzuciłem adwokaturę. Kilka dni później dowiedziałem się o jego śmierci.

Annie trzęsła się broda, czuła, że za chwilę rozplacze się w głos.

Zapadła kamienna cisza. Na bladej twarzy Anny blask świec tworzył dziwne refleksy o różnych barwach, podkreślające jej południową urodę. W innej sytuacji Ryszard pewnie by ją skomplementował, ale dzisiaj nie było mu to w głowie. Szczerze się martwił, że wybrał zły moment dla swojej opowieści. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, wytłumaczyć się, ale Anna go ubiegła.

– Niedawno podjęłam decyzję o pozostaniu tutaj na zawsze, a ty byłeś jednym z jej powodów – cedziła słowa lodowatym głosem. – Niestety, dzięki tobie podjęłam przed chwilą inną decyzję. Wracam jednak do Poznania...

– Ależ, Anno... – usiłował przerwać jej Ryszard.

– ...wracam, kiedy tylko porozmawiam z Władysławem, moim bratem z Ameryki – kontynuowała, nie zwracając na niego uwagi. – A z tobą nie chcę mieć już nic więcej wspólnego.

– Przecież mogłem ci tego wszystkiego nie mówić, ale chciałem być uczciwy, wyczyścić przeszłość. Mikołaj też by tak zrobił, jestem tego pewien.

Ponownie zapadła cisza. Anna uniosła dłonie do skroni. W głowie czuła pustkę. Chciała zareagować na te słowa Ryszarda, ale nie potrafiła. Wcisnęła się w oparcie krzesła. Mikołaj... Co by zrobił Mikołaj? – usiłowała w myślach skupić się na ostatnich słowach Ryszarda.

Spoglądała w twarz człowieka, który jeszcze kilka minut temu wydawał jej się bardzo bliski, z którym zaczynała wiązać jakieś nadzieje, może nawet na wspólną przyszłość, a który ją tak oszukał. Dzisiaj okazało się, że był kimś zupełnie innym niż ten, za kogo się podawał. Oszukał i skrzywdził jej męża, przyczynił się do jego śmierci. Wpatrywała się w Ryszarda, nie spuszczać wzroku nawet na moment. Nagle z przerażeniem dostrzegła w jego poszarzałej twarzy coś, czego kilka chwil wcześniej nie widziała. Na jego obliczu rysowała się bezgraniczna rozpacz. Nie potrafił jej ukryć, widać było, że nie próbuje nawet z tym walczyć.

Więc co? Może to ja jego skrzywdziłam? – zadawała sobie w myślach pytania. Być może Mikołaj zachowałby się tak samo, ale... ale to jednak Ryszard jest wszystkiemu winien. Może jego opowieść była w ogóle niepotrzebna. Może i ja coś niepotrzebnie powiedziałam? Boże...!

– Proszę, odwieź mnie do Parchowa! – rzuciła gwałtownie.

Poczuła natychmiastową potrzebę powrotu do „Iskierki” i przemyślenia wszystkiego w samotności. Czuła, że wieczór i tak jest stracony, a dalsze przebywanie z Ryszardem do niczego dobrego nie doprowadzi.

– Ależ, Anno...

Anna wstała i ruszyła w kierunku wyjścia. Nogi miała jak z waty i kręciło jej się w głowie. W samochodzie nie odezwali się do siebie ani razu. Żadne słowo nie padło także na pożegnanie. Kamienna cisza.

Wpadka na Maxa



Eliza późnym wieczorem znalazła wreszcie czas, żeby porozmawiać z Maxem na NetMeetingu. Wcześniej ciągle coś się działo, jeszcze godzinę temu doktor Siwek zawołał nagle wszystkich wolontariuszy do świetlicy. Dostał informację, że koło Dziwnowa fale wyrzuciły na brzeg małą martwą foczkę, i chciał wszystkim pokazać otrzymane przed chwilą zdjęcia oraz porozmawiać jeszcze raz o zachowywaniu szczególnej uwagi podczas monitoringów. Gdy spotkanie się skończyło, Eliza została sama w świetlicy. Miała wreszcie, tak jak chciała, komputer do dyspozycji i cieszyła się, że Igor miał rację z tym TASK-iem^[1]. Znaleźli się z Maxem w sieci błyskawicznie, klawiaturowa rozmowa płynęła powoli, lecz bez zakłóceń. Pochwalił nawet jej angielski.

Dobrze, że nie słyszysz jak mówię, uśmiechnęła się do własnych myśli. Ale muszę się podciągnąć...

Drzwi do świetlicy otworzyły się z piskiem.

Mogli by je nasmarować, pomyślała. Kogo tu niesie? Spojrzała w ich kierunku; na progu stał doktor Siwek.

– Co tutaj robisz? – odezwał się, podchodząc do stołu. – NetMeeting – odpowiedział sam sobie. – A kogo masz po drugiej stronie? – zaciekawiał się.

– To jest taki znajomy... właściwie rodzina... bo babcia szuka swoich korzeni – zaczęła nieskładnie, jękając się.

– Czy mam rozumieć, że wykorzystujesz uczelniany sprzęt i łącza internetowe na prywatne sprawy?

– To jest taka sprawa, że dzięki babci w ogóle tu przyjechałam... – zaczęła się tłumaczyć. Opowiedziała o listach prababci, o swojej walce o studia i wolontariat i o przyjeździe do Parchowa. Zauważyła po kilku zdaniach, że mina doktora złągodziła, a w jego błysnęło oczach zainteresowanie. Przysiadł obok niej.

– A musisz się tak męczyć i rozmawiać klawiaturowo? Nie łatwiej fonicznie?

– No tak, ale ja nie mam prywatnego sprzętu, a tutaj na stanowisku też nie ma.

– Spytaj go, czy ma w zestawie mikrofon i głośniki – wskazał na komputer.

– Ma... – odparła po kilku chwilach, gdy Max odpisał.

– To podtrzymuj rozmowę, ja zaraz przyniosę swoje, a jutro kupimy i do tego zestawu.

Po kilku minutach doktor Siwek, sapiąc, podłączał do komputera przyniesiony sprzęt.

– Wywołaj go teraz przez mikrofon – rzucił krótko po wykonaniu stosownego testu.

– Max, tu Eliza, jak mnie słyszysz?

– Good! Hello! Jaki masz śliczny głos, kuzyneczko! – zadudnił głos Maxa.

Rozmowa zaczęła się toczyć szybciej niż na klawiaturze, chociaż Elizie czasami brakowało słów albo czegoś nie mogła zrozumieć. Od czasu do czasu podpowiadał jej doktor Siwek.

– A kogo masz tam za suflera?

Siwek po usłyszeniu pytania parsknął śmiechem.

– Jestem szefem tutejszego fokarium. Doktor Siwek – odpowiedział sam.

– Wow! Witam pana serdecznie! Eliza, jeśli tam u was przy każdym studencie jest co najmniej doktor, to poziom uczelni i wiedzy studentów musi być naprawdę wysoki. Gratuluję!

– Może nie zawsze tak bywa, ale Eliza ma naprawdę zadatki na dobrą studentkę – odparł poważnym tonem Siwek, choć twarz miał uśmiechniętą.

– A może mi pan doktor powiedzieć, jak wygląda moja kuzyneczka? – odezwał się ponownie Max.

Siwek i Eliza spojrzeli po sobie.

– Jest śliczną, ciemnooką, młodą dziewczyną o bardzo ognistych włosach...

– Ognistych? Słowianka?

– Ufarbowałam je tak dla fantazji... Max, może to sobie kiedyś wyjaśnimy, a dzisiaj wracajmy do naszych spraw – ze śmiechem włączyła się w rozmowę Eliza.

Drzwi do świetlicy znowu otwały się z piskiem.

– A, tutaj jesteś! – krzyknęła od progu Wika, ale dojrzawszy doktora Siwka, przysłoniła usta.

Siwek spojrzał na nią, położył palec na ustach i gestem zachęcił, żeby podeszła do nich. Rozmowa znowu zaczęła się wartko toczyć. Teraz rolę podpowiadacza przejęła Wika.

– A czyj to głos słyszę tam jeszcze w tle? – zapytał Max.

– To moja... – Eliza zawahała się – ...moja przyjaciółka Wika – dokończyła. Wika z wrażenia aż przysiadła obok Elizy.

– Takiego imienia nie znałem – zadudnił Max.

– To skrót od Wiktorii.

– Piękne imię. Doktorze, a może pan jeszcze powiedzieć, jak wygląda Wiktorii?

Dziewczyny spojrzały po sobie, a rozbawiony pytaniem Siwek aż klasnął w dłoń.

– Słyszał pan te oklaski? To moje! Też śliczna, też czarna i też Słowianka! Ja panu powiem już do widzenia, bo dziewczyny dają sobie doskonale radę. Pełniłem tylko funkcję serwisu technicznego. Nic tu po mnie – uśmiechnął się do dziewczyn.

– Dziękuję i do widzenia – zadudniło w głośniku.

– Ależ facet ma głos... – wyszeptała Wika. Eliza skinęła głową.

– Max, czy ty lubisz śpiewać? – spytała go.

– Tak, ale niektórzy mówią, że to jest męczące, bo nie lubię śpiewać cicho. Jednak nie fałszuję.

– To jak się spotkamy, to pośpiewamy – będę akompaniować na gitarze.

– O, grasz na gitarze! Ja też trochę potrafię. Już nie mogę się doczekać.

– Kto to jest? – spytała szeptem Wika.

– Kuzyn z Ameryki...

– Max, wróćmy do naszych spraw – roześmiała się Eliza. – Opowiedz coś wreszcie o sobie.

– Urodziłem się w siedemdziesiątym szóstym roku, jestem wysoki, jak to mówią, kawał chłopca – roześmiał się. – Ciemny szatyn, strzygę się na jeża.

– Ale czy z ciebie ten kawał chłopca to taki po McDonaldach? – roześmiała się Eliza. Wika puknęła się w czoło.

– Co to, to nie! Nasza rodzina takie bary czy restauracje omija szerokim łukiem. To wszystko wina taty, który ma to po babci. Mówi, że jako Słowianin z pochodzenia uwielbia wyłącznie domowe jedzenie. Mama nauczyła się gotować po polsku od babci

Krysi, a ta była prawdziwą mistrzynią kuchni. Dokąd byśmy się nie wybierali, zabieramy zapasy domowej wałówki. Mama, chociaż rodowita Amerykanka, to przy tacie też się odzwyczaiła od gotowego jedzenia.

Eliza zachnęła się, spojrzała na koleżankę i zasłoniła dłonią mikrofon.

– Czy on tak musi opisowo? Nie może krócej? Podpowiedz mi, bo połowy nie rozumiałam.

Wika szeptem przetłumaczyła.

– Podobają mi się ich poglądy na kuchnię! – szepnęła, zerkając na Elizę, i podniosła kciuk do góry

– Wika mówi, że jej się podoba ten wasz zwyczaj.

– Ty powiesz Wiktorii, że ona też mi podoba – odpowiedział łamaną polszczyzną Max.

Dziewczyny parsknęły śmiechem.

– Nic nie mówiłeś, że umiesz trochę po polsku – obruszyła się Eliza.

– No, jak wy się z tego śmiejecie, to na pewno nie było po polsku. Zostaję w takim razie przy swoim angielskim, bo twój angielski jest lepszy niż mój polski. – Głośnik podskakiwał w takt śmiechu Maxa.

– Max! Wróć, proszę, do opowiadania o sobie.

– Okej! Mam dwadzieścia pięć lat...

– To już sobie w międzyczasie policzyłam.

Obie dziewczyny zaniósły się śmiechem.

– To u was matematyki też uczą? Przecież ponoć w Polsce... – głośniki znowu wpadły w rezonans od jego śmiechu. – Przepraszam was! Kilku kumpli stłukłem za opowiadanie kawałów o Polakach. Niektórzy od tego czasu stali się prawdziwymi kumplami, inni jak mnie widzą, przechodzą na drugą stronę ulicy albo znikają w jakiejś przecznicy.

Teraz i Eliza, i Wika podniosły jak na komendę kciuki do góry i jednocześnie uśmiechnęły się.

– To też masz po tacie? – wyrwała się Wika.

– A żebyś wiedziała. Na naszym domu ciągle wiszą dwie flagi: polska i amerykańska. Indyka jemy tydzień po tygodniu... – Głośniki znowu podskoczyły od Maxowego śmiechu, a kciuki dziewczyn ponownie powędrowały w górę. – Uwielbiam to! To znaczy tydzień po tygodniu, ale tylko w listopadzie, bo czwartego i jedenastego są nasze święta narodowe. Dom pełen gości i pyszne jedzonko. Potem post aż do świąt Bożego Narodzenia. – Głośniki dudniły śmiechem.

Wika już bez pytania, tak na wszelki wypadek, cały czas szeptem tłumaczyła słowa Maxa, wciągnęła się.

– Muszę się zapisać na jakieś konwersacje. Ona jest ode mnie lepsza z angielskiego. – Eliza spoglądała na Wikę z lekką zazdrością. – Pisałeś w mailu o studiach i o pracy. Powiedz coś więcej o tym – poprosiła.

– Studia... fajnie się bawiłem, czego i wam życzę. – Max opowiedział o studiach oszczędnie, ale nie szczędził śmiechu.

– Twój głos jest taki głęboki, że nasze głośniki nie przenoszą takich tonów. Ciągłe dudnią!

– *All* mi to gadają, ale inszej nie potrafie. Tata dawno dal na gramofon taka wasza opera, chyba to Sztraszny Dwor, a kompozaiter Monioszko, czy tak jakosz, a tam było taka aria Skoluba, no i ja potem ta aria dużo *training*, a goszczom musi to podobacz, bo *always*

jak som u nas w domu, to daje repete – opowiadał w jakimś dziwnym języku, zaśmiewając się.

– To tę arię zamawiam sobie na finał wieczoru, kiedy się spotkamy – skwitowała, tłumiąc śmiech Eliza. – Fajnie mówisz po naszymu. A te studia i praca?

– No, biznesowe, w tym dużo prawa gospodarczego – wrócił do angielskiego. – Dużo tego było, ale na futbol też miałem sporo czasu – zaśmiał się.

– A pracę już znalazłeś? Bo u nas z tym są zawsze problemy.

– Mój daleki kuzyn, Peter, jest dobrym prawnikiem i doradza w firmie biznesowej. Poznał mnie z właścicielem, a ten powiedział, że jeśli będę chociaż w połowie tak dobry jak kuzyn, to nie będę miał problemu, żeby dłużej u nich pracować. Na razie przyjął mnie na trzy miesiące. To biuro, gdzie mam pracować, jest w WTC w Nowym Jorku. Lubię Chicago, ale trudno. To tylko nieco ponad siedemset dwadzieścia mil i tylko dwie i pół godziny samolotem – roześmiał się.

– Kurczę! – wyrwało się Elizie.

– O co poszło z tym *chicken*? – zadudniło w głośnikach. Eliza i Wika parsknęły śmiechem.

– To u nas takie delikatne powiedzonko, dla dziewczyn z dobrych domów, zastępujące bardzo brzydkie powiedzonko.

– To ja też teraz zacznę używać tego *chicken* zamiast na przykład *shit*. Już widzę zdziwienie kumpli. Wow!

– Na pewno się zdziwią. Max, opowiedz coś jeszcze o rodzinie.

– Najbardziej cieszę się, że będę miał wreszcie białą kuzynkę – zaśmiał się. – Tata, jak wiesz, nie miał rodzeństwa i stracił rodziców, więc z jego strony nie mamy żadnej rodziny. Siostry i bracia mojej mamy, wszyscy co do jednego mają za mężów i żony albo czarnoskórych, albo mulatów, albo metysów, albo żółtych. *Colors of Benetton*! Wszystkie kuzynki i kuzyni są kolorowi. Fajni są, a jak wszyscy tańczą! Jak przyjedziesz do nas, to zrobimy imprezę, na którą zaprosimy kogo się da. Tylko obiecaj, że przyjedziesz z Wiktoria – ja funduję!

Wika zarumieniła się.

– Wika bardzo się cieszy! – krzyknęła rozbawiona Eliza. Wika pogroziła jej. – A rodzina ze strony babci Krysi?

– Nie utrzymujemy kontaktów. Tak jak ci pisałem, urwały się po śmierci babci, ale jeśli będziesz chciała, zawsze możemy je wznowić.

– Super. Max, może na dzisiaj już skończymy, bo u nas niedługo północ, a jutro mamy monitoring i musimy być wypoczęte. Skrzyknijemy się znowu mailowo, okej?

– Szkoda, bo tak się z wami fajnie rozmawia. Obie ciemne Słowianki, a jedna z nich osobista kuzyneczka. I piękne imiona, i w ogóle. *Sweet honey*!

– Dziękujemy za komplementy! – krzyknęły prawie chórem.

– A opowiedzcie jeszcze, co wy robicie na tych monitoringach?

– Nasze główne zadanie to obserwacja, czy nie pojawi się gdzieś jakaś foka. Czasem woda wyrzuca na brzeg chore albo wycieńczone małe foczki i wtedy specjalna ekipa zabiera je do fokarium. Opiekujemy się nimi, a jak wyzdrowieją lub dorosną, wypuszczane są ponownie do morza.

– Pięknie! Tylko po co tyle tej roboty? Nie możecie po prostu pojechać na Grenlandię pooglądać sobie foki? Po co się męczyć i wypatrywać tego, czego w tym waszym morzu

i tak nie ma?

Tym razem obie jak na komendę opuściły kciuki w dół.

– Max, może o fokach pogadamy innym razem. Przekaż proszę pozdrowienia dla rodziców od babci, mamy, pani Felci i do usłyszenia. Trzymaj się!

– Ściskam cię, kuzyneczko, i Wiktorię również. – Ta znowu się zarumieniła. – *Bye! Bye!*

– *Bye! Bye!* – odpowiedziały równocześnie.

Eliza pociągnęła łyk wody z butelki i głęboko odetchnęła.

– Usta mnie bolą od tej rozmowy. Dziękuję ci za pomoc – podziękowała Wice z uśmiechem. – To co, jedziemy do Ameryki na imprezę? – Wyrzuciła rytmicznie ręce na boki i poruszyła biodrami.

– No co ty...

– Zaprasza i płaci, słyszałaś przecież. Mamy przyjechać obie. Dobrze, że to nie dzisiaj, bo jestem skonana... – Eliza ziewnęła i wyłączyła komputer.

Gaska i góral



Do wyjeździe Krzyśka do Kartuz, Kaśka wysłuchiwała opowiadania Anny o nieudanej kolacji z Ryszardem na zamku w Bytowie. Zaskoczyło ją jednak, że mama nie wyrażała o nim jakichś radykalnie złych opinii. Pomyślała wówczas, że w tej relacji pewnie celowo pominęła kilka faktów. Nie będę naciskać, pomyślała. Widzę, że to cię boli, ale panujesz nad wszystkim. Podobno czas leczy rany. To stare powiedzenie jest ciągle aktualne i prawdziwe.

Zastanawiała się więc, czy nie wyciągnąć mamy na mauszowski cypel albo na długi spacer do lasu, ale na początek postanowiła trochę jej dogryźć. To ją powinno ciut otrzeźwić.

– Mamo! Wszystko się jakoś ułoży. Zawsze się jakoś układa. Tylko czy ty musiałaś się tak zaperzyć, zanim on skończył opowiadanie? Sama mówisz, że tato uczyniłby podobnie.

– Ale to przez niego tata...

– Ktokolwiek byłby na miejscu Ryszarda, tacie stałoby się to samo. Ile razy mamy to sobie powtarzać? On przecież był taki delikatny, wrażliwy, chociaż zawsze robiliśmy z niego twardziela.

– A ty skąd to wiesz? – Anna nigdy jeszcze nie usłyszała od Kaśki takiej opinii o ojcu.

– Przecież znałam go kilkadziesiąt lat.

– To ty już jesteś taka stara?

– Zajmij sobie tym buzię, żebyś więcej głupot nie gadała! – Kaśka rzuciła w kierunku mamy żółtoczerwonym jabłkiem leżącym przed nią na półmisku.

– Ty wstrętna dziewucho! W matkę jabłkiem!

– Tam są witaminy, a tobie to się przyda – zaśmiała się Kaśka. – Mamo! Wszystko, co przesłaś podczas ostatniego spotkania z Ryszardem, to betka wobec problemów Adeli, Henryka i ich dzieci.

– A co się stało? Opowiadaj! No już! – Anna poderwała się na fotelu.

– Stracili „Zielony Dwór”... – Kaśka opowiedziała z detalami całą znaną sobie historię związaną z utratą przez Dziedziców ich posiadłości pod Nakłem.

– Boże! To prawdziwy dramat! Musimy im jakoś pomóc! Zaraz zadzwonię do Edwarda Długołęckiego, pomoże im. Tylko co my możemy jeszcze zrobić?

– Obawiam się, że na razie nic więcej.

– Wobec tego ściągnijmy ich tutaj!

– Jak to? Przecież same jesteśmy u Felci w gościnie, a do tego wracasz przecież do Poznania.

– Kto ci to powiedział?

– Taką podjęłaś decyzję...

– Ale teraz powstała inna sytuacja, a moje sprawy, żeby nie powiedzieć, fanaberie, mogą poczekać.

– Fanaberie? No a Ryszard?

– Co Ryszard ma do tego? Chyba tyle, że też mógłby im jakoś pomóc.

– Ale przecież jesteś na niego obrażona na śmierć. Tak mówiłaś.

– Dziecko, człowiek czasami mówi różne rzeczy. Wierz mi! Teraz Dziedzicowie są najważniejsi. Więc może jednak spróbować ich tu ściągnąć?

– Mamo, już ci mówiłam...

Anna zamyśliła się.

– Wiem! Mogą czasowo zamieszkać u nas na Sołaczku!

– A ty dokąd wrócisz?

– Ja ze swoimi sprawami mogę trochę poczekać, mówiłam ci już. Moja sprawa przy ich problemie to betka – zmrużyła oczy. – Tak powiedziałaś, a ja się z tym zgadzam – uśmiechnęła się.

*

Kaśka po obiedzie zorientowała się, że mamie przeszła już obraza na Ryszarda, zaczęła nawet sobie przypisywać winę za zaistniałą sytuację. To, zdaniem Kaśki, też nie było dobre podejście, więc ponownie skierowała jej myśli na Dziedziców. Słyszała, z jaką pasją mama potem rozmawiała z Długołęckim. Teraz siedziały razem na werandzie, mama udawała, że czyta książkę, a ona udawała, że przegląda czasopisma. Obie mogły dzięki temu zająć się własnymi sprawami.

Kaśka cieszyła się, że sprawa z Piotrem rozwiązała się prawie bezboleśnie, przynajmniej dla niej. Trochę było jej żal, ale postanowiła iść naprzód. Zmrużyła oczy i przeciągnęła się jak kotka. Mama spojrzała na nią i uśmiechnęła się.

Jak ma teraz postąpić z zafascynowanym nią Krzysztofem? Bo nie miała już wątpliwości, że jej zauroczenie po niespodziewanym spotkaniu w Kartuzach było tylko chwilowe. Dziękowała Bogu, że dane jej było go spotkać, że dzięki niemu ma nową pracę, ale zrozumiała także, iż nie powinna się z nim wiązać na dłużej. Tym bardziej, że on również – podobnie jak Piotr – miał żonę. Dziwiła się sobie samej, że kalkuluje takie sprawy na zimno. Przypominała sobie ostatnią rozmowę z Krzysztofem, gdy wyjeżdżając z Parchowa, zaproponował wspólny weekend.

– Krzyś, posłuchaj. Mama przechodzi kryzys w swoim związku z Ryszardem, widziałeś przecież. Muszę tu być cały czas, żeby ją pocieszać i czymś zajmować myśli. Z nami jest wszystko w porządku, jesteście młodzi, ale w jej wieku...

Uśmiechnęła się wówczas do własnych myśli, że tak łatwo jej przychodzi ściemnianie.

– Ale przyszły weekend spędzimy razem? Obiecuj! – Wziął jej uśmiech za dobrą monetę.

– Zadzwoni w czwartek, to się umówimy. Zresztą przecież możesz dzwonić codziennie. Aha, napomknęłam mamie o mieszkaniu na Szamarzewskiego. Mówi, że jeśli ono ma być naprawdę dla ciebie, to nie ma sprawy...

– Kasieńko, to super. Dziękuję ci!

Kaśka była zdziwiona, że tak łatwo jej poszło. Robię się wyrachowana! Ale nie mogłam mu przecież powiedzieć, że w głowie mam Macieja... Cel uświęca środki! – uśmiechnęła się w myślach. A może Maciej jutro odwiedzi Marysię? Może już wrócił z Londynu?

Na werandę weszła Felcia, przynosząc ze sobą aromat kawy, który zmieszał się z zapachem kwiatów z gazonu. Postawiła ostrożnie tacę na stole.

– Kaśka, a nie mogłaś to mnie wyręczyć? – fuknęła w jej kierunku.

– A bośmy się zagadały, a potem się zamyśliłam.

– Żartowałam przecie. Do zaparzania kawy trzeba podchodzić z uczuciem, a ty to robisz na chybcika. Widzę to! A najczęściej, kiedy ona jeszcze się nie zaparzy, ty już lejesz białe i mieszasz.

– No wiesz, Felciu... – Kaśka zrobiła buzię w ciup.

– Felcia ma rację – potwierdziła Anna. – Jak się robi kawę, to trzeba myśleć o niej, a ty na ogół...

– ...myślisz o dupie Maryni – przerwała jej Felcia, łapiąc się za brzuch, który zatrzęsł jej się ze śmiechu.

– Czy wy te teksty ustalacie zawsze wcześniej? – Kaśka też się roześmiała.

– Zawsze nie, ale czasami tak – zripostowała Felcia i teraz już wszystkie trzy śmiały się do rozpuku.

Telefon Kaśki zaczął wibrować.

– Eliza... – Kaśka odczytała wyświetlony na ekranie napis. – No cześć, córcia! Cztery dni minęły, jak nie dzwoniłaś, masz zajęty cały czas... I co Max mówił? – Wyprostowała się gwałtownie.

A potem przez kilka minut słychać było tylko na przemian jej okrzyki: „No co ty?! Nie mów! Ojej, to niesamowite! Tak, tak! Nie żartuj!”.

– Ty też masz pozdrowienia od całej naszej trójki. Trzymaj się! – Odłożyła telefon.

– No i co tam Max? – niecierpliwiła się Anna.

Kaśka powtórzyła całą rozmowę Elizy z Maxem, którą usłyszała od córki.

– Dobry ten chłopak. Władysław też musi być dobrym człowiekiem – zamyśliła się Anna.

– Widzisz, Aniu! Wszystko się układa, teraz jeszcze ty musisz pogodzić się z Ryszardem.

– A czy to ja zepsułam nasze stosunki, czy on?

– Mamo, daj mu szansę.

Anna spoglądała raz na Felcię, raz na Kaśkę, ale z obu stron widziała skinienia głowy.

– Łatwo wam tak mówić, a moja duma to co?

– Duma sruma – zachichotała Felcia, a Kaśka jej zawtórowała.

*

Dopiero wieczorem udało się Kasi wyciągnąć mamę na spacer. Po podwieczorku mżyło, potem mama zdrzemnęła się, ale wieczorem była jakaś odmieniona. Jakby coś sobie przemyślała, coś jej się w głowie ułożyło.

– Lepiej się czuję i w ogóle – zakomunikowała uśmiechnięta.

To „i w ogóle” spodobało się Kasi najbardziej. Terapia, którą zastosowała wobec mamy, przyniosła efekty. Pokazać, że inni mają jeszcze gorzej, zająć myśli rozwiązywaniem problemów bliskich... Powietrze po deszczu było czyste i pachnące. Szły przez wieś w milczeniu. Gdy Kaśka zapukała do szkolnych drzwi, te otworzyły się natychmiast. Przed próg wyskoczyła podekscytowana Marysia, jakby tylko na to pukanie czekała. Przywitała się z Anną i uściskała Kaśkę, szepcząc jej do ucha:

– Przyjechał godzinę temu prosto z lotniska. Zobaczysz, jaki jest zakręcony.

– Skąd wiedziałaś, że to my?

– A telefony do czego służą?

Do Anny coś z tych szeptów musiało dotrzeć, bo zaczęła przyglądać się im badawczo.

Odwróciła się w stronę schodów, gdy usłyszała kroki... W ich kierunku zmierzał nieznanemu jej mężczyzna.

– Już nie mogłem się pań doczekać, więc zszedłem na dół – zabrzmiał barytonem, a jego twarz rozświetlił uśmiech.

Wygląda i mówi zupełnie jak prawdziwy anioł – przez głowę Kaśki przeleciała świętokradcza myśl.

Zdumiona Anna przenosiła wzrok z Kaśki na Macieja i z powrotem. Widziała, że nie mogą oderwać od siebie oczu. Kim on jest? – zastanawiała się. Wszyscy stali w milczeniu. Marysia z jakimś dzikim uśmiechem, a Kaśka i Maciej wpatrzni w siebie niczym zahipnotyzowani. Anna postanowiła przejąć inicjatywę, żeby szybko zaspokoić swoją ciekawość, bo wcale nie miała ochoty stać w miejscu przez kilka minut, a na to się zanosilo.

– Jestem Anna Nagengast-Prawosz. – Wyciągnęła w kierunku mężczyzny dłoń.

– Maciej Skierka. – Schylił się i z największą galanterią złożył pocałunek na dłoni Anny.

Tę zamurowało. A całkiem niespeszony sytuacją Maciej przypatrywał jej się z chochlikami w oczach. Przełknęła ślinę.

– Czy ja dobrze usłyszałam? Maciej Skierka? Czy pan jest synem Felicji? – spytała.

– A pani jest tą Basią Zalewską?

Obydwoje odkiwnęli sobie twierdząco głowami. Twarz Anny rozjaśniła się uśmiechem.

– Czy my tu jeszcze na kogoś czekamy? – rzuciła w kierunku Marysi.

– Nie, już jesteśmy w komplecie – odparła, tłumiąc śmiech.

– No, to ruszajmy!

Anna ominęła Macieja, kierując się korytarzem w kierunku schodów. Marysia ruszyła za nią, strzelając klapkami i kręcąc pupą.

Dopiero wówczas Kaśka i Maciej mogli się ze sobą przywitać.

– Ledwie się doczekałem naszego spotkania. – Maciej delikatnie musnął ustami jej policzek.

– Ja też... – wyszeptala Kaśka.

Teraz on stanął jak zamurowany i wpatrywał się w nią z zachwytem. Kaśka oprzytomniała pierwsza.

– Chodźmy, bo gotowe sobie coś pomyśleć.

– Tak, tak, chodźmy... – wydukał Maciej.

Kiedy oboje pojawili się w pokoju nauczycielskim, Marysia zaordynowała, wskazując nożem:

– Maciej będzie podczaszym, a ciebie, Kasiu, poproszę, żebyś wyciągnęła stąd kielichy.

– Najpierw wskazała na róg pokoju nauczycielskiego, a potem na szafkę wiszącą nad barkiem.

– I co? – szepnęła w kierunku Kaśki, kiedy Maciej nieco się oddalił.

– Coś się ze mną dzieje... – Kaśka pomachała dłonią na wysokości czoła, jakby się chłodziła. – On jest niesamowity! – odszepnęła.

– Czułam, że tak będzie. – Marysia mrugnęła do niej. – Tylko pamiętaj, co ci już kiedyś mówiłam! Jak Maciek, to nie Krzysiek, bo inaczej cię oskalpuję! – Zrobiła szybki ruch nożem w powietrzu.

– Czy wy ćwiczycie jakieś japońskie sztuki walki? – Anna kątem oka dostrzegła Marysiny ruch nożem.

– Nie! Pokazywałam Kaśce, jak Indianie skalpowali swoich wrogów – odparła Marysia, nie odrywając oczu od blatu szafki.

– A czy zapamiętałaś to z jakiegoś konkretnego indiańskiego filmu? – spytał poważnym tonem Maciej.

Wszystkie trzy skierowały raptownie wzrok w jego stronę.

– No właśnie, nie możemy sobie przypomnieć, na którym filmie z serii o Winnetou była scena skalpowania – uzupełniła Kaśka, sądząc, że to zamknie temat.

– A wiecie, że byłem wielokrotnie na wszystkich filmach o Indianach? – Maciej uśmiechnął się szeroko. – Powiem wam, że scen ze skalpowaniem tam na pewno nie było. Taką prawie realistyczną widziałem dopiero w *Ostatnim Mohikaninie*. – Wszystkie trzy otwały usta ze zdziwienia. – Filmy z Winnetou kręcili DDR-owcy... Nie potrafili tego zrobić – zaśmiał się.

– To pan lubił takie filmy? – zdziwiła się Anna.

– Tak! Zresztą lubię je do dzisiaj. Byłem przecież chłopakiem. Co ja mówię, ciągle jestem chłopakiem! – zaśmiał się barytonem.

Kaśka i Marysia spojrzały na siebie szeroko otwartymi oczami. Kaśka podeszła do fotelika i źle wyliczywszy wysokość, opadła na niego, aż zaskrzypiał.

– Słabe te foteliki – skonstatował Maciej. – No tak, ale to przecież szkoła, a na inne ich tutaj nie stać.

– A jak tam Londyn? – Kaśka postanowiła radykalnie zmienić temat.

– W Londynie kiedyś byłem, w kinie Odeon przy Leicester Square, właśnie na premierze *Ostatniego Mohikanina* – odparł, jakby zupełnie nie zrozumiał intencji pytania.

– To jest największe i najdroższe kino na Wyspach – powiedziała Anna, a Maciej, nie przestając się uśmiechać, potwierdził to skinieniem głowy.

– Maćku, a mówiłeś mi, że wpadłeś na chwilę do Harrodsa^[2] – wystrzeliła gwałtownie Marysia, chcąc jednak koniecznie zmienić temat.

– Marysieńko! Kochana jesteś. Jak ja mogłem zapomnieć? Upominki! Gdzie ta moja torba? – Lustrował pomieszczenie, nie wstając z fotela. – O, tutaj jest, koło mnie. Jaki ze mnie gapa – uśmiechnął się przepraszająco.

Wszystkie wodziły oczami za jego wzrokiem. Uniósł torbę na kolana.

– Kiedy tam jestem, zawsze muszę sobie kupić przynajmniej jeden krawat. Tym razem kupiłem dwa! – Wyciągnął z uśmiechem dwa kartoniki i położył je na stoliku.

Kobiety podawały sobie z rąk do rąk pudełka, podziwiając wzory i odważną kolorystykę krawatów.

– Odpowiednich na konferencje czy na uczelnię mam sporo, więc tym razem zaszalałem i kupiłem sobie coś bardziej ekstrawaganckiego – wyjaśnił. – Jeszcze tylko nie wiem, kiedy i do czego je nałożę – rozłożył ręce.

Na twarzach kobiet pojawiło się zdumienie. Maciej zmieszał się i nagle wykrzyknął:

– Ale, ale! Tak naprawdę poszedłem po coś zupełnie innego, a te krawaty kupiłem tylko przy okazji – uśmiechnął się przepraszająco. – To jest trunek w sam raz na dzisiejszy wieczór, aby uczcić nasze poznanie się, a tutaj coś dla każdej z pań...

Najpierw na stole postawił karton z szampanem, a potem poderwał się i każdej wręczył metalowe pudełeczko z czekoladowymi ciasteczkami.

– Włożę go na kilka minut do zamrażalnika – rzucił, puścił oko do Anny i podszedł do

lodówki.

– Nieźle się pan wykosztował. Zupełnie niepotrzebnie. – Anna była zaskoczona wyborną marką prezentów i dobrym gustem.

– Pani Anno! Takich miłych kobiet jak pani, jak Kasia, którą poznałem u Marysi już wcześniej... – zdziwiona Anna spoglądała na przemian na Kaśkę i na Macieja – ...no i oczywiście Marysieńka, znam naprawdę mało, więc to dla mnie niewysłowiona radość i przyjemność, jeśli mogę choć tak podziękować za czas, jaki panie dla mnie poświęćcie. A jak, Kasiu, twoje decyzje? – Teraz on nieoczekiwanie zmienił temat.

Kaśka z wrażenia przymknęła oczy. Zaczęła się zastanawiać, o co może mu chodzić; nie potrafiła jednak przypomnieć sobie rozmów z poprzedniego spotkania u Marysi.

– Już niedługo zaczyna pracę w Kartuzach! – wyrwała się Marysia, chcąc wybawić przyjaciółkę z zakłopotania i naprowadzić na właściwy temat.

– Podpisałam z Krzysztofem umowę. Mówiłam ci o nim. Będę kierowała kartuską filią firmy.

– Aha, mówisz o tym przyjacielu ze studiów. Pamiętam – uśmiechnął się. – Dzięki temu będziemy mieli okazję częściej się widywać. Już się cieszę!

Kaśka zatrzepotała z wrażenia rękami. Anna widząc to, pokiwała głową. Teraz już była pewna, że tych dwoje coś łączy. Wcale jej to jednak nie zmartwiło.

– Ja też się cieszę, że będziemy się częściej widywać. Trzymam pana za słowo! – wyrwało się Annie, uśmiechnęła się uroczo w jego kierunku.

Kaśka wcisnęła się głęboko w fotel, aż ponownie zaskrzypiał.

– Kasiu! Musisz naprawdę uważać, bo jak fotelik się rozpadnie, to możesz się pokaleczyć! – rzucił ostrzegawczo Maciej. – Ja w swoim siedzę, prawie go nie dotykając.

– A wie pan, że Kasia zerwała, można tak powiedzieć, wszystkie więzi z Poznaniem? – rzuciła nieoczekiwanie Anna. – Ja w zasadzie również. Chyba zamieszkamy tutaj, a Krzysztof przeprowadzi się tam, to znaczy do Poznania.

– Mamo... – jęknęła Kaśka.

– Ty byś sobie pewnie o tym nie przypomniała. Bo wie pan, strasznie dużo spraw córka ma ostatnio na głowie.

– Podoba mi się w Kasi jej nieśmiałość, chociaż tak naprawdę jest bohaterska i odważna... Tyle ważnych spraw ostatnio załatwiła i to na pewno wszystko według ścisłego planu! Takich kobiet jest mało! Domyśliłem się, że to ona naprowadziła córkę – zdaje się, że ma na imię Eliza – żeby spędziła część wakacji na wolontariacie w Helu. No i studia w Gdyni, wyrobienie w córce zamiłowania do biologii morza. Dużo spraw, a teraz jeszcze zerwanie więzi z Poznaniem.

– Ma pan rację. To jej sprawa, bo przecież czyja inna miałyby być? – Anna spoglądała przenikliwie na Kaśkę. – Cieszę się, że ona taka dzielna, choć kiedyś tak to nie wyglądało.

– Wyobrażam sobie, ile one musiały się ze sobą narozmawiać, żeby to wszystko uzgodnić! Inne matki nie poświęcają się chyba tak dla córek, nie mają ze sobą tak dobrego kontaktu. Ma pani się z czego cieszyć i czym chwalić.

– Mam, oj, mam czym się chwalić!

Marysia od kilku minut nie mogła z siebie wydusić ani słowa, nie wiedziała, jak zareagować, tak wciągnęła się w wymianę zdań pomiędzy Anną i Maciejem. Chciała to przerwać, by dać Kaśce odetchnąć, tym bardziej, że Anna zbyt mocno wykorzystywała prostolinijność Macieja. Udało jej się wreszcie rzucić koło ratunkowe i skierować rozmowę

na inny temat.

– Pani Anno, czy jutro możemy zacząć pracę dla gminy? Czas płynie, a mamy jeszcze tyle spraw do omówienia.

– Oczywiście, Marysiu, z największą przyjemnością, tym bardziej, że Felcia przewiduje na jutro opady – mówiąc te słowa, Anna przyglądała się zza zmrużonych oczu Kaście i Maciejowi, którzy podeszli do barku; delikatny uśmiech błąkał się po jej twarzy.

Cichy syk otwieranej butelki szampana i po chwili Maciej kroczył już z tacą, z wypełnionymi kielichami.

– O! czerwony! Lubię taki. Kiedyś któryś z zagranicznych choreografów, bodaj Roland Petit, poczęstował kierownictwo baletu opery podobnym, dziękując za współpracę, a ja wtedy przypadkiem też się tam znalazłam. – Maciej ze zdziwienia aż poprawił okulary. – Byłam tłumaczką, nie tancerką – wyjaśniła Anna, uśmiechając się.

– Zdrowie pań. – Maciej podniósł swój kielich w górę. – Obyśmy mogli się jak najczęściej spotykać.

– A dlaczego nalałeś sobie tak mało? – Kaśka wskazała na jego kielich.

– Zapomniałaś, Kasiu? Przecież nocuję jak zwykle w Sulęczynie, w „Leśnym Dworze”, i muszę tam dojechać.

Anna wlepiła wzrok w córkę, która zmieszała się kolejny raz tego wieczoru.

– Kasiu, już poprzednio miałem cię spytać, czy kiedykolwiek tam byłaś? – Maciej nieświadomie wybawił ją z kłopotu. Kaśka przecząco poruszyła głową, co również nie uszło uwagi Anny.

– Ponieważ słyszałem, że twoja mama umówiona jest na jutro z Marysieńką – kontynuował – to jeśli nie odmówisz, porwę cię w tym czasie nad Mausz na *essoxa*, a potem na obiad do „Leśnego Dworu”. – Anna i Marysia po słowie *essox* jak na komendę spojrzały na Kaśkę. Ta wcisnęła się w fotelik, który znowu zaskrzypiał złowrogo, a Maciej zachowywał się, jak gdyby niczego nie widział ani nie słyszał; uśmiechał się miło do wszystkich kobiet. Zapadło milczenie.

– Jest pan nadzwyczaj śmiały, mówiąc o takich sprawach głośno i bezpośrednio – Anna nie wytrzymała napięcia.

– Pani Anno... – Rozejrzał się wokół i przyciszył głos. – Połowem *essoxa*, czyli szczupaka, którego w Mauszu jest coraz mniej, nie powinienem się chwalić ani w jakikolwiek sposób do tego zachęcać, ale myślę, że ani Kasia, ani pani, nie wydadzie mnie – uśmiechnął się czarująco. – Ja im naprawdę krzywdy nie wyrządzę! – Podniósł dłoń w górę jak do przysięgi.

Frenetyczny śmiech wszystkich kobiet rozniósł się na całą szkołę, a może nawet na całe Parchowo. Maciej patrzył na nie nieco zmieszany, niepewnie się uśmiechając. Pierwsza uspokoiła się Marysia.

– Maćku! Pani Annie i Kaście możesz zaufać bezgranicznie.

– W takim razie napełnię kielichy. – Wrócił mu dobry humor. – Za zaufanie! – Podniósł kieliszek w górę.

W drodze powrotnej Anna i Kaśka długo milczały. Nagle Anna zatrzymała się, złapała córkę za ramię i zajrzała jej w oczy.

– Ten Maciej jest bardzo porządnym człowiekiem. Nie skrzywdź go, on jest taki...

– Naiwny?

– Za mocno powiedziałaś, ale czasami sprawia takie wrażenie. Jesteś dużą dziewczynką,

więc wszystko widzisz i wiesz. Dużo pięknych określeń można znaleźć, żeby go opisać. Tylko jest jeszcze Krzysztof.

– Od pewnego czasu zastanawiam się, jak to wszystko sobie poukładać. Wiesz, w ciągu tych trzech tygodni mocno wydorostałam. – Przytuliła się do matki i głęboko westchnęła.

– Córeczko! A tak broniłaś Elizie tego wyjazdu. Dobrze, że Maciej tobie przypisuje wszystko dobre, co dotyczy Elizy. Niech tak zostanie, chociaż trochę mnie kusiło.

– Lepiej, że się powstrzymałaś – Kaśka zmrużyła oczy.

– Dla mnie z tego wyjazdu najważniejsze jest to, że lepiej poznałam was obie. Jesteście cudowne, a życie, jakie prowadziłyśmy przez tyle lat, krępowało nam wszystkim ruchy.

– Mamuś, a możesz i ty mi coś obiecać?

– A co?

– Że też postarasz się ułożyć jakoś swoje relacje z Ryszardem.

– Jakoś tak, ale dużo też musi zależeć od niego. – Przewróciła oczami. – Jestem już wystarczająco dużą dziewczynką, więc nic na siłę, chociaż... chciałabym. On też musi się starać, ale ja... nie będę mu mocno utrudniać – uśmiechnęły się do siebie zmrużonymi oczami.

– Mamuś, ale o Maćku nie będziemy chyba Felci nic mówić?

– Na razie nie, ale ona i tak o wszystkim wie. – Kaśka spojrzała na matkę z niedowierzaniem. – Tak, tak! Wie! W odpowiednim czasie porozmawiam z nią i o tym. Obiecałyśmy sobie przecież mówić całą prawdę.

*

Marysia wstała od stołu, zebrała w jedną kupkę koperty białe, w drugą zaś koperty żółte.

– Sporo tego dzisiaj zrobiliśmy, prawda?

– Dobrze, że już potrafisz obsługiwać drukarkę, bo inaczej ręcznie byśmy się zapisały na amen.

– W zeszłym roku tak miałam! W środę ściągnęłam koleżankę od informatyki, posiedziałyśmy dwie godzinki, potem trochę potrenowałam i już. – Marysia uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Dobrze, że pani podpowiedziała, by zaproszenia na dożynki drukować na żółtym papierze i wkładać do żółtych kopert; widać od razu, która paczka kopert jest na jaką okoliczność.

– Ale powiedziałam to nie tylko dlatego, żeby odróżnić te paczki, ale ponieważ dożynki kojarzą mi się z żółtymi łanami zbóż, które znikają. Niech więc zostaną jeszcze w żółtym kolorze kopert.

– O...! A wie pani, że ja o tym wcale nie pomyślałam? Ładne, a zarazem sprytne! No tak, ale pani to prawdziwie artystyczna dusza... – Zrobiła buzię w ciup.

– Jeden i drugi powód jest dobry. – Anna wysączyła ostatni łyk kawy z filiżanki. – Miałam cię spytać, jak to się stało, że masz koleżankę czy znajomych w Bukowinie Tatrzańskiej, bo pewnie Kasia ci mówiła, że też mamy tam dobrych znajomych.

– Tak, mówiła mi, że kiedyś Eliza była tam na szkolnej wycieczce, zaprzyjaźniła się z córkami gospodarzy, a potem polubiliście się z nimi wszyscy.

– Fajni są i do tego tacy bezinteresowni. Bardzo się lubimy.

Marysia skończyła płukać filiżanki i przysiadła obok Anny.

– Z tymi naszymi znajomymi to dłuższa historia. Studiowałam w Słupsku. Jedna

z koleżanek zabrała mnie kiedyś na weekend do siebie, do Sierakowic. – Anna skinęła głową. – Jej brat prowadził zespół w restauracji. Chyba miała pomysł, żeby skojarzyć mnie z nim, ale nie wpadliśmy sobie w oko. Nie dziwiłam mu się, ale wtedy byłam taką gąską... – Marysia uśmiechnęła się.

– Ty i gąska? Nie może być. – Anna pokręciła głową.

– Tak było! – klasnęła w dłonie Marysia. – Wybrałyśmy się na dancing, bo wprowadził nas za friko do knajpki, gdzie grał ten jego zespół. Muzyka była taka sobie, za to dużo dymu... – zawiesiła głos. – W pewnym momencie do tańca poprosił mnie marynarz.

– Prawdziwy marynarz? A skąd on tam? Przecież zdaje się, że Sierakowice to tu niedaleko...

– Był na przepustce, przyjechał do kolegi z niedalekich Siemirowic. Tam stacjonują samoloty Marynarki Wojennej. – Anna skinęła głową. – Czarny, opalony i tak fajnie zaciągał po góralsku. To znaczy on starał się mówić czysto, ale momentami jednak tak słodko zaciągał... a to mi się wtedy tak bardzo spodobało, że hej! – Przymknęła oczy i uśmiechnęła się. – Dzisiaj zresztą też lubię, hej, hej! – Poruszyła gwałtownie głowę, aż koński ogon zakołysał się. – Jaśko jestem, przedstawił się. Szybko zakochałam się w nim na zabój.

– Marysiu! A czy ty jeszcze teraz się w nim nie kochasz? – Anna popatrzyła na nią uważnie.

– Oczywiście! Ale teraz kocham go jak brata! – roześmiała się i znowu zakołysała końskim ogonem. – Mam ja ci teraz przecież swojego Klausika, hej! – zaciągnęła po góralsku, przymknęła oczy i głęboko westchnęła. – Tylko on za rzadko do mnie przyjeżdża. – Zrobiła zmartwioną minę.

– Zobaczysz, Marysiu, że wreszcie osiądzie z tobą na stałe. Już ja z nim pogadam! – pogroziła Anna.

– Tylko nie to! – Marysia zaperzyła się na niby. – On jest artystą, rockmanem, wolnym ptakiem. Nie chcę go uwięzić! Chyba, że sam zechce.

– Masz rację, ale co było dalej z tym Jaśkiem?

– Przyjeżdżał do mnie na przepustki, najpierw do Słupska, a potem już tutaj. Kochaliśmy się mocno, czas słodko płynął, a jego służba w wojsku zbliżała się do końca – spoważniała. – Byłam od niego starsza o trzy lata. – Pokiwała głową, bo Anna spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Tego po nas nie było widać, bo on kawał górala, a ja taka pomorska gąska. Chociaż nie, szybko przy nim zrobiłam się taka sexy lady, tak mi mówił. – Przybrała pozę à la Marilyn Monroe, rozbawiając tym Annę.

– Marysiu, ty ciągle jesteś sexy babka! – Anna nieoczekiwanie klepnęła Marysię w kolano, aż ta podskoczyła. – Żeby on mi tylko tu szybko osiadł! Już ja z nim... – pogroziła znowu, ale Marysia nie pozwoliła jej dokończyć, kładąc palec na usta i potrząsając głową.

– Rozmówiłam się z Jaśkiem. Był przestraszony, bał się reakcji rodziny, otoczenia, bo ja starsza i nie stamtąd. Kochałam go, byłam zdesperowana, więc pojechałam za nim, walczyłam o niego. – Roześmiana uderzyła pięścią w stół. – Dalej to już jest całkiem nieprawdopodobna historia. Ale tak było, naprawdę! Musi mi pani uwierzyć! – zaperzyła się. Anna pokiwała głową ze zrozumieniem. – W Bukowinie się okazało, że kilka obojętów dalej miał dziewczynę, Hańcię, która na niego czekała, i tyż go mocno kochała, hej! Dopiero tam mi o tym powiedział! – Podskoczyła na krześle. – Zdębiałam. Pomyślałam

sobie: stara a głupia. Gdzie ja miałam cały czas oczy!? – umilkła na moment. – Gościł mnie u siebie. Jego rodzice cały czas bacznie mi się przyglądali. Byli mili, ale małowólni, i ciągle wodzili za mną oczami. Poszłam przeżywać ten swój zawód miłosny na hale wokół Bukowiny Tatrzańskiej. Sama. Zabroniłam mu iść ze sobą. Posłuchał mnie. I z przestraszonymi oczami wyznał mi, że Hańcia straszyla go, że coś sobie zrobi. Bo to góralka i nigdy nic nie wiadomo! – dodał. Obiecałam mu, że ja na pewno nic sobie nie zrobię. Schodziłam się, przeżywałam, płakałam, ale kiedy wreszcie usiadłam, żeby chwilę odpocząć, dojrzałam wreszcie ten cudowny widok Tatr i zaczęłam go chłonać. Uspokajałam się. Piękne doliny, hale, dalekie szczyty połyskujące w słońcu... Widziałam owieczki, które tu i tam się pasły, było tak cudnie, że hej! – Zamilkła na chwilę. – Uspokoiliłam się trochę. Wróciłam do domu Jaśka, a tam koło płotu stoi ta Hańcia. Ładna, czarna. W warkoczu, białej bluzce, na szyi drobne czerwone koraliki, a na ramionach śliczna kolorowa chusta, bo przyszedł chłodnawy wiaterek. Stała i patrzyła na mnie bez uśmiechu. Minęłam ją i weszłam do domu. Jasiiek poprosił mnie, żebym poszła z nią porozmawiać. Ale o czym miałam z nią rozmawiać? Poza tym trochę się jej bałam, bo to postawna była dziewczucha, hej! – uśmiechnęła się jakoś tak do siebie.

Anna bawiła się cudownie. Takiej opowieści w życiu nie słyszała.

– Słońce zaczynało się chować za górami, a ona dalej stała koło Jaśkowego płotu. Zrobiło mi się wreszcie jej żal, zdecydowałam się z nią porozmawiać, ale na wszelki wypadek wzięłam do ręki pilniczek do paznokci. – Anna rozwarła oczy ze zdziwienia. – Postanowiłam, że łatwo jej ze mną nie pójdzie, hej!

Złapała nożyczki ze stołu i stanęła przed Anną, która zaniósła się śmiechem.

– Wtedy mi wcale nie było do śmiechu – Marysia spoważniała. – Zagadła do mnie takim trochę gardłowym, cichym, aksamitnym głosem. Z wrażenia otworzyłam usta. Od razu ją polubiłam. Ona mi zaczęła opowiadać o tej swojej miłości do Jaśka, no i że pójdzie w góry i takie tam. Zdradziła mi, że jest miękka, zupełnie jak nie góralka. Tylko nikomu tego nie opowiedz, poprosiła. A ja słuchałam spokojnie i nic tylko podziwiałam jej głos, ubiór i urodę. Zaczęłam się do niej uśmiechać. Powiedziałam jej: Hańciu, jestem Marysia i zostawię ci Jaśka, bo przy tobie nie mam żadnych szans. A ona wtedy na to też poważnie, że to ona nie ma szans. I tak się śmiesznie zaczęłyśmy chwilę droczyć, aż ona wreszcie się uśmiechnęła. Ale jak to tak, spytała. Nie oceniaj mnie źle, Hańciu, tak jej powiedziałam, ale któraś z nas musi ustąpić i to będę ja. Wpatrywała się we mnie tymi czekoladowymi wielkimi oczami, aż w kącikach jej oczu pojawiły się łzy. I mnie też. Zryczałyśmy się obie okropnie, no i trwało to, że hej! – Marysia spoważniała, ale dalej trzymała nożyczki w dłoni.

– Boże, co za historia! – Annie zrobiło się markotno, aż pociągnęła nosem.

– Spytałam ją, czy zawsze chodzi ubrana tak pięknie jak dzisiaj, a Hańcia mi odpowiedziała, że to miał być dla niej bardzo ważny dzień, coś jak święto, i nie wiedziała, co się wydarzy. Poza tym chciała, abym zobaczyła, że jest prawdziwą góralką. Potem wbiła we mnie oczy i zamilkła. A po chwili dodała cicho: Ja nie jestem taka nowoczesna jak ty, ale wiem, żeście byli razem. Zrobiłam wtedy oczy wielkie jak telewizory. Ona spokojnie ciągnęła: No i trudno, nie mam do ciebie aż takiego żalu, a jemu już też przebaczyłam. Ty pewnie ustąpisz, boś mądrzejsza, tak mi przed chwilą chyba chciałaś powiedzieć. Na to też się nie obrażam, bo naprawdę jesteś mądrzejsza; tyś nauczycielka. Ja po prostu bez niego nie mogę, wyszeptwała i rozplakała się, a ja razem z nią... – Marysia zamyśliła się. – Pani

Anno! Tylko jednej Felci opowiedziałam kiedyś tę historię; mamie nie zdążyłam... – Teraz Marysia pociągnęła nosem.

Anna wyciągnęła z jej dłoni nożyczki; przyciągnęła Marysię do siebie.

– Przeszłaś sporo! – Popatrzyła na nią smutno, ale gdy ujrzała w jej oczach chochliki, znowu się uśmiechnęła. – No, a jak to wszystko się skończyło?

– W drodze powrotnej z Zakopanego do Parchowa popłakiwałam od czasu do czasu, ale im bliżej domu, tym mniej. Zaczęłam sobie tłumaczyć, że jestem starsza, a to niezbyt mądre rozwiązanie, gdy żona ma więcej lat, do Bukowiny bym się nie przeprowadziła, no a przecież Jaśko inaczej sobie nie wyobrażał...

– Więc jak to się stało, że teraz tam jeździecie? – Anna niecierpliwiła się.

– Przed gwiazdką Jaśko nieoczekiwanie przyjechał z Hańcią do Parchowa – ożywiła się Marysia, a w jej oczach znowu pojawiły się chochliki. – Jego tata zarobił sporo duków w Ameryce i kupił mu używanego fiata. Miałam ciężki okres, bo to było przecież całkiem niedługo po tej rozmowie z Hańcią, zbliżał się koniec pierwszego półrocza roku szkolnego, zaczęłam zaocznie studiować psychologię. Zupełnie nie rozumiałam powodów ich wizyty. A oni jedno przez drugie: będziesz świadkiem na naszym ślubie! Musisz i nie ma gadania! Inaczej stąd nie wyjedziemy, hej! – Podskoczyła na krześle, aż Anna klasnęła w dłonie. – To co miałam zrobić? Musiałam wziąć tygodniowy urlop i pojechaliśmy wszystko omówić do Bukowiny. W czerwcu było wesele – byłam świadkiem Hańci, hej!

Zerwała się z krzesła i zaczęła podśpiewując, drobić kroczkami i kręcić piruety jak prawdziwa góralka. Anna zerwała się z krzesła, nie mogąc wyjść z podziwu.

– Nauczyłam się tego na trzy dni przed ślubem. Zostałam przebrana za góralkę! Tylko ten jeden, jedyny raz. Piękne góralskie wesele z pytokami^[3]... – Anna skinęła głową, bo wiedziała, o co chodzi. – Potem w sierpniu byłam u nich tydzień, bo zaraz były u nas „Pobocza Folku”, a rok później na dożynkach poznałam Klausa – roześmiała się. – Gitarzysta na cudownym motocyklu! A do tego romantyczna dusza. Następnego lata pojechaliśmy do Bukowiny razem z Klausem jego motorem. Dostałam wtedy od niego skórzany strój, ale teraz mogę go tylko na chwilę nałożyć. Za bardzo uciska, wyrosłam z niego – roześmiała się. – Tylko ten jeden raz tam byliśmy razem, bo niedługo dzieci przyszły na świat. Jak córka miała już cztery lata, zaczęłam z nimi jeździć znowu, ale teraz jeżdżę tylko sporadycznie. Jaśko wiele lat przyjeżdżał po nas autem, a potem odwoził. Kochany człowiek. Teraz drugi rok dzieci jeżdżą już same, dorosły!

Anna przytuliła Marysię.

– Gdyby mi kto inny opowiedział, że mu coś takiego się wydarzyło, nie uwierzyłabym. Nieprawdopodobna historia! Ale wiesz co? Ty masz zdolności aktorskie i mogłabyś to przedstawiać jako monodram.

– Takie osobiste sprawy? Nigdy! – zaśmiała się. – Jesteśmy z Hańcią i Jaśkiem przyjaciółmi, na zawsze, i nie mogłabym wywlekać takich spraw z naszych domów i serc!

– Masz rację!

– Ale to jeszcze nie wszystko! – Anna ze zdziwienia przysiadła, aż rozbawiło to Marysię.

– Proszę uważać na nasze foteliki! – roześmiała się perliście. – Od tamtych wydarzeń minęło już osiemnaście lat. I tak żyjemy, ja tu, a Klaus tam – powiedziała ciszej i spojrzała w okno ponad Anną. – Wszyscy tutaj myślą, że my mamy ślub, nawet nasze dzieci!

– Przecież mówiłaś, że jesteście małżeństwem!

– Bo to mi tutaj właściwie wmówiono, że mamy ten ślub, i że zawarłam go w Niemczech, no bo tu go przecież nikt nie widział. I tak już zostało. Co miałam im wtedy i wam teraz powiedzieć? To jest mój prawdziwy problem, tak naprawdę jesteśmy kociołapstwem – zakończyła cicho.

– E tam. Ważne, że się kochacie. Wszystko można zawsze naprawić. Może jeszcze tego lata odważycie się, Marysiu... – Ta spojrzała na Annę szeroko otwartymi oczami. – Pogadamy jeszcze, ale teraz chcę cie o coś spytać – uśmiechnęła się szeroko. – Gdzie mieszkają ci wasi, Jaśko i Hańcia, w Bukowinie? Bo nasi znajomi tak trochę z boku, na Olczańskim Wierchu, jeśli wiesz, gdzie to jest.

– Nasi też mieszkają na Olczańskim...

– Ale gdzie, u dołu przy Klinie czy gdzieś wyżej?

– Na samej górcie, niedaleko miejsca, gdzie drogi się rozchodzą na trzy strony.

– Nasi też tam mieszkają! – Anna złapała Marysię za rękę. – Kasia ma fotki z zeszłego lata, wieczorem obejrzymy.

– To ja przyniosę swoje papierowe fotki. Ależ ten świat jest mały!

Dwa koguty



Nauczona doświadczeniem niesławnego rejsu po Wdzydzach, tym razem Kasia ubrała się na żaglówkę sportowo. Krótkie spodenki, t-shirt, czapeczka z daszkiem. Nałożyła nawet adidas, ale na wszelki wypadek klapki schowała na dnie niewielkiej torby. Rower, którym wyjechała z „Iskierki”, zostawiła u Marysi, bo niedaleko szkoły, na stacji benzynowej, czekał na nią Maciej.

– Żeby tak wszyscy byli przygotowani na łódkę jak ty. Widać, że znasz się na tym – pochwalił ją swoim urzekającym barytonem Maciej, Kasia podziękowała mu uśmiechem.

Uśmiali się na dzień dobry prawie do łez z wczorajszego *essoxa*. W pierwszym momencie ona i mama źle zrozumiały Maćka słowa. Dotarła do nich tylko końcówka *sex* oraz *Mausz*...

Opłynęli żaglówką cały Mausz wraz z Dobrzynicą. Wiatr nie był zbyt silny, ale prawie cały czas im sprzyjał. Tylko dwa razy musieli podpłynąć po kilkaset metrów na elektrycznym silniczku. Gdy halsowali, Kaśka wiedziała już, jak sobą balastować łódkę. Maciej był zachwycony, mógł swobodnie sterować. Wreszcie wpłynęli na Mały Mausz.

– Jak cudnie – zachwyciła się Kaśka.

– Kiedyś przyływały tutaj tłumy na łódkach i kajakach, ale odkąd skończyły swój żywot dawne ośrodki wczasowe, bywa tu zdecydowanie mniej ludzi. Za to więcej jest kłusowników, bo trudno ich nazwać wędkarzami. A powinno się przecież wędkować sportowo.

– To znaczy jak?

– To znaczy tak bardziej po angielsku. Wyłów, zrób zdjęcie i wypuść z powrotem do wody, niech inni też się nacieszą.

– Kiedyś oglądałam coś takiego w telewizji. Ale myślę, że dla naszych wędkarzy może to być trudne do przyjęcia. – Maciej spojrzał na nią z zainteresowaniem. – Chyba głównie ze względów mentalnych.

– Masz rację – pokiwał głową. – Ale u nas też tak powinno być – stwierdził zupełnie innym niż zwykle tonem. – I tylko tak! Przecież rybę można kupić, prawda? Są rybacy, którzy tylko tym się tutaj zajmują. Mają swoje łodzie naprzeciw cypla. – Kaśka potwierdziła skinieniem głowy.

Skierował się wprost w rejon, na którym królowały lilie wodne. Zwolnił i wpatrywał się w wodę.

– Spójrz, jakie tu są cudowności! Na wodzie kwitną nenufary. Co za biel i żółć! Piękne są... i te wielkie liście. Pod wodą całe bogactwo roślin i żyjątek. O, widzisz? Błyskają pojedynczo małe płocie i ukleje. A tam, przy dnie – dwa niewielkie liny! Spójrz! Przed dziobem ławica zupełnie malutkich węgorzy. Widzisz, ile tu kijanek? Słyszysz żaby? To tam, w głębi trzcin. A tam z kolei – wyścigi topików. Teraz widać niewielkie okonki, pływają po kilka sztuk, w małych ławicach.

Słuchała jego słów i wpatrywała się w wodę. Dziwiła się, że tak wszystko zauważa. Sama pewnie niczego by nie dojrzała.

Płynęli na zmianę przy jednym brzegu albo opodal przeciwnego. Minęli niewielki

półwysep, kierując się w stronę wysepki. Przyglądała się, jak Maciej sprawnie zarzucił kotwicę w zatoczce. Wyciągnął ze schowka pod siedzeniem nieduży kolorowy zbiorniczek z wodą. Uchylił wieczko.

– Kupiłem dzisiaj rano w Kartuzach kilkanaście egzemplarzy żywczyka, żeby zmierzyć się ze szczupakiem. – Dojrzała w wodzie kilkanaście małych rybek. – Dzisiaj jest niezgorsza pogoda, nie pali słońce, więc szczupak nie poszedł jeszcze zbyt głęboko. Mam nadzieję, że ciągle polują na górcę. – Wskazał w kierunku wysepki.

– Na jakiej górcę? – Kaśka przysłoniła oczy dłonią, przypatrując się uparcie w kierunku wskazanym przez Macieja.

– Czego tak wypatrujesz?

– Szukam tej górci, o której mówiłeś...

Maciej uśmiechnął się, poprawił czapkę na głowie i zamknął wieko zbiorniczka z rybkami.

– Przy wysepce jest niewielki pas wolnej wody, po lewej zaś widać pole trzciny, czyli tam jest wyniesienie, które w naszym kierunku opada – mówił spokojnie, pięknie modulując głos. – To wszystko w znacznej części porasta *elodea canadensis*, znaczy moczarka kanadyjska, o której kiedyś rozmawialiśmy. Ale tam wszędzie rośnie także wywłócznik kłosowy i rdestnica przeszyta...

– Rosną pod wodą, a mają takie piękne nazwy... – Kaśka przymknęła oczy.

– Prawda? – uśmiechnął się Maciej. – Następnie dno wyrównuje się, jest płasko, kilkadziesiąt metrów dalej pojawia się kilkumetrowej wysokości wybrzuszenie, czyli górcę, dalej dno najpierw trochę opada, a potem wznosi się aż do miejsca, gdzie cumujemy. Tutaj jest około czterech, pięciu metrów. – Plusnął ręką w wodzie. – Od nas w stronę brzegu dno unosi się mocno. Piękna podwodna łąka... – rozmarzył się. – Szczupak uwielbia polować szczególnie w okolicach górek i w zagłębieniach, w pobliżu trzciny przy brzegu.

– Jak ty ładnie i obrazowo opowiadasz o czymś, czego nie widać – zachwyciła się.

– Ja? – zdziwił się. – Przecież tutaj się wychowałem i znam każdy zakątek w Mauszu. Dopiero potem, studiując i pracując na uniwersytecie, poznałem naukowe nazewnictwo.

– Ale mówisz o tym tak prosto, że nawet ja zrozumiałam – uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Teraz mnie chwalisz ponad miarę, a zresztą ty też o tym wszystkim pewnie wiesz, może tylko nie używasz fachowych określeń. – Kaśce rozszerzyły się oczy. – Bo skoro zaszczyliłaś córce miłość do biologii, dzięki tobie poszła na studia na moją uczelnię, a teraz również dzięki tobie jest na wolontariacie, to...

– To nie było tak, Maćku – rzuciła i niespodziewanie ucichła, aż odwrócił się w jej kierunku, zdziwiony tą reakcją.

– Poczekaj chwilę, zaraz wrócimy do naszej rozmowy, tylko zarzucę.

Skinęła głową. Żałowała wypowiedzianych słów, które były szybsze niż głowa. Nie zdążyła ich wyhamować i teraz zastanawiała się, co powiedzieć dalej. Przypatrywała się, jak sprawnie wyjmuje z pokrowca wędkę, potem ją rozkłada, uzbraja i nakłada na haczyk rybkę. Zamach do tyłu, zestaw wykonał lot łukiem w powietrzu, a po chwili wylądował z pluskiem blisko trzciny. Na wodzie kołysał się spławik, a pod nim, w toni, pływała uwięziona na haczyku mała rybka.

Kaska poczuła, że ściszony telefon wibruje w kieszeni. Nie mogła w tym momencie nawet spojrzeć, kto dzwoni.

– Chyba coś powiedziałem nie tak, bo się ze mną nie zgodziłaś. – Maciej odwrócił się na moment w jej stronę.

– Zrobiłaś takie przedstawienie z wędką, że zupełnie zapomniałam, o czym rozmawialiśmy – częściowo skłamała.

– Trochę ręce mi się trzęsły. Pewnie widziałaś.

– Przecież poszło ci całkiem gładko.

– Od wczoraj wielokroć składałem i rozkładałem w myślach wędzisko, bo nie chciałem dać przy tobie plamy. Dawno nie byłem z wędką nad wodą.

– Czy ty zawsze opowiadasz o tym, co zrobisz, z takimi szczegółami? – znowu jej usta były szybsze niż głowa.

– Wiesz, podziwiam cię. – Spojrzał na nią przenikliwie, ale zaraz się lekko uśmiechnął.

– Rozszyfrowałaś mnie. Taki właśnie jestem i wiem, że to jest moja największa wada. – Teraz z kolei on przybrał poważną minę.

Kaśka zbaraniała. Myślała, że ją zaraz zacznie wypytywać, co miała wcześniej na myśli, a ten nie dość, że sam się przyznał do jakichś swoich wad, to jeszcze ją komplementuje. Nie mogła zrozumieć, czy to jest jakaś jego gra, czy on jest taki w rzeczywistości. Wybawił ją z opresji spławik, który nagle zaczął się dziwnie poruszać.

– Maćku, spójrz! – wyszeptwała, wskazując ręką.

Ten raptownie odwrócił się we wskazaną stronę, lekko uniósł wędkę i poruszył kołowrotkiem. Spławik położył się delikatnie na wodzie, a po chwili raptownie pod nią zniknął. Maciej szybkim, krótkim ruchem szarpnął wędziskiem i zaczął zwijać żyłkę.

– Coś jest! – szepnął rozemocjonowany. – Ciekawym, co to?

To zwijał żyłkę, to ją popuszczał, unosił wędzisko w górę, to znowu je obniżał w kierunku wody.

– Szczupak to raczej nie jest, bo reakcja byłaby inna, raczej sporawy okoń. Jeszcze tylko kawałek żyłki.

Manewrował wędziskiem, żeby doprowadzić rybę do burty ze swojej prawej strony. Podał Kaśce dwa przedmioty, z których jeden przypominał siatkę na motyle.

– Spróbuj to złożyć – powiedział. – To jest podbierak. Tam na rurce ma tuleję na sprężynie, pociągnij ją, a potem wciśnij w nią rurkę drugiego elementu z siatką i puść tuleję.

Zrobiła tak, jak powiedział. Rurka weszła w tuleję, popuściła ją, w środku coś stuknęło. Podbierak był złożony i gotowy do akcji. Podała mu go.

– Znakomicie! Mówiłem, że się na wszystkim znasz.

Odwrócił się i mrugnął do niej. Teraz jedną ręką opuścił podbierak za burte, a drugą podholował w jego pobliże rybę. Wówczas podał jej znowu trzonek podbieraka.

– Jak zobaczysz, że ryba znajduje się nad podbierakiem, unieś go zdecydowanie w górę, byle nie za gwałtownie.

Znowu zastosowała się do jego słów. Kiedy spostrzegła rybę kotłującą się przy powierzchni wody, tuż nad trzymanym przez nią podbierakiem, uniosła go zdecydowanym ruchem w górę.

– Dobrze, nie opuszczaj go ani o centymetr. Teraz zamienimy się sprzętem.

Podał jej delikatnie wędzisko, a sam zdecydowanym ruchem złapał podbierak.

– Unoś teraz powoli w górę wędzisko, a ja będę to samo robił z podbierakiem.

Gdy podbierak znalazł się nieco powyżej burty łódki, przesunął go płynnie do jej

wnętrza.

– Połóż trzonek wędki na dnie, a jego wierzchołek oprzyj o burtę. Znakomicie. Musiałaś pewnie sporo w życiu wędkować – rzucił w jej kierunku.

– Jestem pierwszy raz w życiu na rybach – odpowiedziała, nie kryjąc emocji w głosie.

– W takim razie jesteś urodzonym wędkarzem! – Podniósł kciuk. – To okoń!

Wyciągnął go z podbieraka, trzymając jedną ręką mocno w pobliżu skrzeli, a drugą za tułów – ryba wiła mu się w dłoniach.

– Ma ponad pół kilograma. – Spojrzał na moment w kierunku Kasi. – Pomyśl sobie jakieś życzenie... – Delikatnie wyciągnął haczyk z pyska okonia i uniósł rybę wyżej. – Pływaj i rośnij, malutki! – Cmoknął w powietrzu ustami, delikatnie zanurzył rybę w wodzie, zwalniał uścisk, czekając aż odpłynie; okoń przez moment się zawahał i dał nura w głębie.

– To tak można? – Kaśka nie dowierzała.

– Tak tutejsi wędkarze powinni zawsze robić, chociaż z drugiej strony, ten okoń pasował akurat do patelni – uśmiechnął się. – A co sobie pomyślałaś?

– Nie zdążyłam, tyle się przecież działo – odparła zakłopotana.

– Wobec tego próbuję jeszcze zapolować na *essoxa*, tym razem spinningiem – uśmiechnął się, a Kasia odwzajemniła uśmiech. – Może uda się coś złowić, a ty zdążysz pomyśleć sobie jakieś życzenie. Mamy jeszcze około dwóch godzin, bo w „Leśnym Dworze” o piętnastej czeka na nas obiad.

Po kilkunastu rzutach spinningiem w kierunku podwodnej górki, zaczął manipulować wędką, żyłką i kołowrotkiem. Podciągał wędkę w górę, wykonywał kilka obrotów kołowrotkiem, czasami zwalniał hamulec – żyłka schodziła wtedy pod wodę. Znowu podciągał wędkę, a potem ponownie wykonywał kilka obrotów kołowrotkiem.

– Chyba zawiesił się mały szczupaczek, czuję to, ale niestety, niewiele było w tym mojego udziału.

Kaśka emocjonowała się walką Macieja z rybą. Kiedy sprawnie doholował rybę do burty łodzi, podbierak trzymała już w pogotowiu. Tym razem ujrzała zielonkawożółtawą rybę o charakterystycznym długim pysku, pełnym ostrych zębów. Potwierdziło się przypuszczenie Macieja – to był szczupak. W myślach oceniła jego długość na czterdzieści centymetrów. Maciej dopiero w tym momencie dostrzegł czekający przy burcie podbierak.

– Wspólniczko... cudownie! – prawie zaśpiewał swoim barytonem.

Po chwili wyzwolił szczupaka z woblerowego haczyka i uniósł go zręcznie oburącz w górę.

– Kasiu, pomyślałaś sobie jakieś życzenie? – Spojrzał na nią, a ta odkiwnęła głową.

– Proszę cię, złota rybko, spraw, abym zawsze była gotowa na każdą prawdę! – wypowiedziała, nie oszczędzając głosu.

– Ależ, Kasiu, miałaś je sobie tylko pomyśleć, a nie wykrzyzczyć na całe jezioro! – zaśmiał się.

Pochylny, wolno zanurzył szczupaka w wodzie, delikatnie zwalniając uścisk. Tym razem ryba odpłynęła powoli, z niejakim dostojeństwem.

– Taki młody, a już widać u niego cechy prawdziwego rybiego arystokraty – roześmiał się Maciej.

– Podoba mi się, że zawsze znajdujesz odpowiednie określenie. Nawet w takiej sytuacji, jak pożegnanie uwolnionego szczupaka – uśmiechnęła się.

– To żadna sztuka – odparł. – Wykrzyzczyć takie życzenie jak ty, to jest dopiero maestria. A wiesz, że ja pomyślałem sobie coś podobnego do twojego życzenia?

– No nie mów...

– Poprosiłem rybkę, aby dała mi zdolność odróżniania prawdy od nieprawdy – uśmiechnął się jakby trochę zawstydzony, jednak Kaśka przypatrywała mu się z niedowierzaniem. Jakoś dziwnie współgrały te słowa i jej wcześniejsze niedopowiedzenie. – Bo wiesz, zawsze mam z ich odróżnianiem problem, a chciałbym wreszcie to w sobie zwalczyć. Już najwyższy czas – uzupełnił cicho i dziwnie na nią spojrział.

Po chwili zachęcił Kasię gestem, żeby usiadła u steru. Wyciągnął kotwicę, uruchomił silnik i wskazał kierunek, z którego przy płynęli na łowisko.

– Pilnuj tylko, żebyś zawsze była około pięciu metrów od brzegu. W pobliżu przesmyku zwolnij, a jak będziesz chciała, to ja przeprowadzę przez niego łódkę – powiedział.

Kaśka wciągnęła się w sterowanie łodzią, która posłusznie reagowała na każdy jej ruch. Stwierdziła, że to duża frajda, przypominająca trochę kierowanie autem. Znowu poczuła, że telefon w kieszeni wibruje, ale nie chciała sobie przerywać zabawy. Sterując w kierunku przesmyku, przyglądała się Maciejowi, który robił porządki po wędkowaniu. Poskładał wędziska i pochował w pokrowce. Zwyczki, które zostały w zbiorniczku, wypuścił delikatnie do wody. Powycierał szmatką siedziska i podłogę, zamoczone podczas zmagania z rybami. Pozbierał drobinki sitowia i innej wodnej roślinności, które zauważył w łódce, i powyrzucał do wody. Wszystkie czynności wykonywał dokładnie, wręcz pedantycznie. Była pod wielkim wrażeniem. Urzekło ją też jego umiłowanie przyrody. Nie krył się z tym wcale, a wszystko, co robił i mówił o faunie i florze, cechowała wielka pasja i czułość. Tego nie można zagrać, o nie! Taki po prostu jest. Gdzie on się uchował...? – Spoglądała na niego z nieskrywaną przyjemnością.

– Z czego tak się cieszysz, Kasiu? – przerwał jej rozważania swoim głębokim głosem.

– Dawno nie spędziłam tak cudownych chwil jak dzisiaj – wyrwało jej się z ust i natychmiast pożałowała tych słów. Czy ja się nigdy nie nauczę trzymać języka za zębami?

Maciej odwrócił się w jej kierunku. Widać było, że jest poruszony jej słowami. Wpatrywał się w jej oczy z uśmiechem. Milczeli. Kaśka nagle oprzytomniała.

– Maćku! Przesmyk! Ratuj! – wrzasnęła.

Ten bez żadnej gwałtowności w ruchach, nie przestając się uśmiechać, odwrócił się w kierunku dziobu.

– Odrobina w prawo, teraz prostuj... Teraz ciut w lewo... prostuj, a teraz znowu... dalej jak chcesz. – Odwrócił się w jej kierunku i uśmiechnął jeszcze szerzej. – Jesteś wybornym sternikiem! Czujesz już tę łódkę.

Jak on potrafi pięknie komplementować i to takim zwykłym językiem, i w zupełnie zwykłych sytuacjach... Zmrużyła oczy zadowolona z celności swoich myśli.

– Tyle się dzisiaj nauczyłam... – powiedziała głośno i zawahała się, czy kontynuować. – Zdradź mi, proszę, czy studenci na twoich zajęciach zajmują się czymś innym, nudzą się albo nie daj Boże śpią? – roześmiała się ze swojego pytania.

– Ciekawe, że o to pytasz! Kiedyś rozmawiałem o tym z kolegami, którzy żartowali ze mnie, że pewnie hipnotyzuję studentów, bo wiesz, u mnie zawsze jest cisza – roześmiał się perliście. – A z tym spaniem to czasami się zdarza, ale po głębszej analizie wyszło mi, że ma to miejsce wyłącznie w poniedziałki. – Kaśka zdziwiła się. – Niektórzy wracają z domów po weekendzie i mogą być zmęczeni, niedospani. Ot, i cała tajemnica – znowu się zaśmiał.

– Ja też byłem młody.

Kaśka cieszyła się, że Maciej nie wraca do jej wcześniejszej urwanej wypowiedzi dotyczącej Elizy. Bawiła się rozmową, zważając aby przypadkiem nie naprowadzić go na ten temat. Około pół godziny zabrało im przepłynięcie Mausza wzdłuż, zacumowanie i dotarcie do „Leśnego Dworu”. Kiedy przy nim parkowali, niespodziewanie dostrzegła, że do swojego samochodu wsiada Krzysztof. On też ją dostrzegł. Wysiadł i szedł z wolna w ich kierunku. Kaśka też ruszyła w jego stronę. Stanęli trzy kroki przed sobą jak zamurowani.

– Dzwoniłem – wypalił Krzysztof, omiatając złym spojrzeniem Kaśkę, a po chwili przeniósł wzrok na Macieja, który stał przy swoim aucie.

– Miałam ściszony telefon, nie słyszałam.

– Mama powiedziała, że miałas tutaj wpaść.

Mężczyźni wpatrywali się uparcie w siebie. Obaj od razu się domyślili, kim jest ten drugi. Kaśka spojrzała uważnie na Krzysztofa, a potem przeniosła wzrok na Macieja. Dostrzegła, że obaj zacisnęli pięści. Wyglądali jak dwa nastroszone koguty.

– Właśnie przyjechałam na obiad, ale... już mi się odechciało.

– Mnie odmówiłaś – wycedził przez zaciśnięte usta.

– Mama... – zaczęła.

– Widzę, że mama – przerwał jej obcesowo. – Do poniedziałku! – Cisnął jeszcze złe spojrzenie na Macieja, zawrócił, wskoczył do samochodu i ruszył z piskiem opon, wzniesając kurz.

Maciej podszedł do Kaśki. Bez uśmiechu.

– Domyślam się, że to Krzysztof, twój nowy pracodawca – rzucił ponuro, zupełnie innym niż zwykle głosem. – Skąd wiedział, że tutaj będziesz?

– Nie odbierałam telefonu, więc zadzwonił do mamy i się dowiedział. – Kaśka była bliska płaczu.

– No, to chyba dobrze, że mama powiedziała mu prawdę.

– Tak, dobrze, dobrze! – prawie krzyknęła, aż się wzdrygnął.

– Chyba nie masz do mnie pretensji...

– Oczywiście, że nie mam – odezwała się nieco ironicznym tonem. – Jak zwykle tylko ja jestem winna. Zawsze i wyłącznie ja!

– Mogłaś do niego nie podchodzić...

– Miałam pozwolić, żebyście się na siebie rzucili?

– Może by nie było tak źle.

– Moje życzenie, abym zawsze była gotowa na każdą prawdę, dotyczyło takich sytuacji jak przed chwilą. Mówić prawdę i domagać się prawdy, bo inaczej zdarza się to, co się przed chwilą zdarzyło!

Maciej nie wyglądał na kogoś, kto zrozumiał wszystko ze sceny, która się przed chwilą wydarzyła, a szczególnie ze słów Kaśki. Próbował się uśmiechnąć, nałożyć swoją stałą maskę.

– Maćku, mamy teraz sporo do przemyślenia zamiast wspólnego obiadu... Proszę, odwieź mnie do domu.

– Ależ Kasiu, może...

– Proszę cię bardzo, odwieź mnie – dokończyła łagodnym tonem.

Pod szkołą pożegnali się zdawkowo. Kaśka nie miała nawet ochoty na rozmowę

z Marysią. Bez słowa wsiadła na rower.

– Mamo! Czy ty musiałaś Krzyškowi powiedzieć, gdzie jestem? – rzuciła zdenerwowana, kiedy dotarła do „Iskierki” i weszła na werandę. – O mało co się nie pobili!

– O ciebie, córeczko?! Ja też bym tak chciała! – rzuciła pogodnie Anna.

– Tobie się pewno zdaje, że zrobiłaś mi fajny dowcip? – Kaśka spoglądała na matkę, doszukując się w jej oczach oznak wesołości.

– Nie o to chodzi. Miałam na myśli zupełnie coś innego. Wczoraj przyznałam ci, że dorosłaś, a to oznacza, że trzeba także brać odpowiedzialność za swoje czyny. Nie można ciągnąć dwóch srok za ogon! – zakończyła z naciskiem.

Zapadła cisza. Kaśka usiadła i spojrzała w dal, w kierunku doliny. Anna uczyniła podobnie. Na werandę wbiegła Felcia.

– Czy mnie się wydawało, że się kłócicie? – przyglądała się obu.

– Czasami matka i córka muszą sobie coś ważnego powiedzieć i to może się odbywać głośno. – Anna spojrzała na Kaśkę.

Ta przeniosła wzrok na matkę, potem na Felcię i z powrotem na matkę. Na jej ustach pojawił się słaby uśmiech.

– Felciu kochana. Mama przekonała mnie przed chwilą, że trzeba zawsze mówić prawdę i domagać się prawdy – powiedziała dobitnie.

– Przecież to takie oczywiste! – skwitowała Felcia z uśmiechem.

– Ja wciąż rosnę. – Kaśka roześmiała się i podeszła do Anny. – Dziękuję ci, mamo. – Przytuliła ją i ucałowała.

– Jak wam się tak porobiło, to już szykuję kawę! – Felcia klasnęła w dłonie. – A może uczymy to kieliszeczkiem nalewki? – Zaglądała na przemian w oczy Annie i Kaśce; obie skinęły głowami.

*

Poranek w Parchowie wstał słoneczny, ale nie upalny. Anna, Felcia i Kaśka spoglądały po sobie, zastanawiając się, jak spędzić ten dzień. Po wczorajszej przedwieczornej nalewce były w dobrym humorze.

– Dziewczynki, a może chcecie się wybrać do Kościerzyny? – wykrzyknęła niespodzianie Kaśka.

– My jesteśmy dziewczynki? – zdziwiła się Anna.

– Że co? – dodała prawie jednocześnie Felcia.

– Tak jak słyszałyście! Dziewczynki! – Kaśce śmiały się oczy. – Przyda wam się taka przejażdżka, a ja też powinnam odreagować wczorajszy dzień.

– Ale po co ja wam tam? – jęknęła Felcia, chociaż w jej oczach dojrzeć można było radosne błyski.

– Aj tam! Nie daj się prosić! – Anna połaskotała ją pod pachą.

– No co ty! – wrzasnęła Felcia i podskoczyła. – Tylko w co ja mam się ubrać? – Spoglądała pytająco na Annę i Kaśkę. – Wstydu wam tylko narobię.

– Jakby co, mogę ci pożyczyć dzinsy – rzuciła Anna.

– Czegoś takiego to ja na swój zadek na pewno nie włożę! – huknęła Felcia. – Już wiem, co założę! – Zakręciła spódnicą i zginęła w sieni. – A ile mam czasu? – doszedł

jeszcze jej krzyk.

– Piętnaście minut! – odkrzyknęła Kaśka.

Obie czekały już w Żabie, kiedy dotarła tam Felcia.

– Musiałam jeszcze Ewelince dać dyspozycje w sprawie pokoi na jutro dla nowych letników.

– Felciu, zapomniałam, że dzisiaj mamy dwudziesty drugi lipca, a ty tego dnia przecież nie lubisz... – Anna przybrała smutną minę.

– No co ty! Tak było do dnia, w którym cię rozpoznałam. Teraz, kiedy się odnalazłaś, mogę wreszcie się cieszyć! – roześmiała się. – Tylko Broniek, twój tata... – spoważniała.

– Myślę, że on by nie miał nic przeciwko temu, żebyśmy się wybrały na wycieczkę – odparła Anna.

– Masz rację. Powiedz mi, Aniu, czy wyście w domu też jakoś świętowały ten dzień?

– Dobrze to nazwałaś. Jakoś świętowaliśmy. Mama Jutka nie lubiła tego święta. Z Mikołajem chodziłam po południu na spacer, o ile byliśmy wtedy w Poznaniu. We wszystkich miastach były do południa defilady, manifestacje, wiece, mowy. W radiu, a potem telewizji, szły transmisje z centralnych uroczystości w Warszawie. Po południu otwierano stragany albo przyjeżdżały samochody bufety z różnymi towarami, z obowiązkowymi parówkami z musztardą, pod wieczór odbywały się festyny, koncerty, pokazy sztucznych ogni.

– To wesoło było, tak jak i tu. Czasami docierała na moje wzgórze muzyka.

– Ale to wszystko było jakieś takie sztuczne... Ludzie to czuli. Czekali tylko na te stragany i festyny – Anna zaśmiała się.

– A ja z tego święta pamiętam tylko parówki – odezwała się wesoło Kaśka zza kierownicy. – Dziadek mówił na nie sosyski...

– Pamiętam święto dwudziestego drugiego lipca pięćdziesiątego szóstego roku. W Poznaniu, po masakrze dwudziestego ósmego czerwca, ludzie byli niechętni jakimkolwiek imprezom, chociaż jakieś się jednak miały odbyć. Umówiłam się wstępnie z koleżankami na mieście, ale mama odradziła mi to wyjście. Bała się prowokacji, postanowiła więc zająć mi czymś czas. W południe powyciągała skądś stare albumy i dokumenty, których nigdy dotąd nie widziałam. Potem zrobiła sobie kawę, a mnie herbatę z malinami i pokroiła makowiec. Do dzisiaj czuję ten zapach... – Anna głęboko wciągnęła powietrze, jakby go znowu poczuła.

– Mamuś, a dlaczego ja nigdy o tym nie słyszałam? – Kaśka zerknęła we wsteczne lusterko.

– Sama mówiłaś mi wczoraj, że właśnie dojrzałaś, więc nie dziw się, że dopiero teraz to usłyszysz.

– Aleś ty jędza... – pokręciła głową Kaśka.

Anna i Felcia roześmiały się.

– Tak naprawdę nigdy się jakoś nie składało, ciągle było coś innego ważnego, ale kiedy dostałam koperty mamy Jutki schowane w biurku Mikołaja, postanowiłam sobie, że kiedy tylko tę sprawę rozwikłam, przekazę ci całe nasze rodzinne archiwum. No i nadszedł czas... Ty masz do takich spraw smykałkę!

– Już myślałam...

– Za dużo nie myśl! Opowiem ci o wszystkim, co pamiętam, bo to dużo dat i różnych faktów... – Zamyśliła się. – Od tamtego lipca może tylko ze dwa razy przeglądałam te

papiery.

– To nareszcie się dowiem czegoś o twojej mamusi, Anno. Ciągle mam w oczach jej bladą twarz... – odezwała się Felcia.

– A wiesz, że ona mimo tych wszystkich przejść była bardzo wesołą kobietą? Potrafiła ślicznie się śmiać, chociaż to były ciężkie czasy. Dla mnie zawsze miała uśmiech.

– Mamo, dasz wiarę, że z mieszkaniem na Szamarzewskiego zawsze kojarzył mi się właśnie makowiec? – wtrąciła Kaśka.

– Mnie też – Anna zamyśliła się. – Mój prapradziadek Antonius był ochrzczony w Księżu Wielkopolskim, pomiędzy Śremem a Jarocinem, w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym roku. Tak wynika z dokumentów kościelnych, a w tym samym Księżu sześć lat wcześniej pobrali się jego rodzice. To byli koloniści niemieccy... – Anna zawiesiła głos i spojrzała na Kaśkę, a potem na moment na Felcię.

– Kiedyś mi powiedziałaś, ale tak ogólnie, że babcia miała niemieckie korzenie, ale to wszystko, co pamiętam. – Kaśka skinęła głową.

– Rodzicami Antoniusa byli Andreas Nachengast i Anna Catharina Werigern – podjęła Anna. – Ich rodziny przed rokiem tysiąc osiemset osiemnastym, czyli przed tym ślubem, musiały mieszkać w Kolonii Kiełczyn, blisko Księża. Z mamy notatek wynika, że Nagengastowie przybyli do Wielkopolski prawdopodobnie aż spod dzisiejszej granicy z Francją i wówczas pisali się Nachengast. Trudno powiedzieć, kiedy to było dokładnie, ale według mamy mogło się to stać po Kongresie Wiedeńskim. A może zanim ustalono tam granice? Rewolucja francuska, a potem wojny napoleońskie to okres wędrówek ludów...

– Oj, ciekawa ta nasza historia – wtrąciła, kiwając głową, Felcja.

– Prapradziadek Antonius w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku ożenił się z dziewczyną o imieniu Maria Anna, pochodzącą także z rodziny kolonistów niemieckich o nazwisku Pohl. Ta rodzina szybko się asymilowała z Polakami, bowiem wybranką syna Antoniego, także Antoniego – mojego pradiadka, który przeniósł się z Kiełczyna do Poznania, została w tysiąc osiemset siedemdziesiątym piątym roku Rozalia z domu Malinowska z naszych Jeżyc, wtedy jeszcze podpoznańskiej wsi. Ślub wzięli w Świętym Wojciechu. Rozalia była córką tamtejszego sołtysa, a do tego gorącą patriotką, lubiła poezję ludową – sama też tworzyła.

– Och, jaka piękna historia! – Felcia klasnęła w dłonie, Anna skinęła głową.

– W domu ani mężowi, ani dzieciom nie pozwalała mówić po niemiecku. Musiał się nauczyć po polsku, taka była ta Rozalia – uśmiechnęła się. – Kiedyś Antoniego odwiedzili w domu koledzy z pracy, Niemcy. Zaprosił ich na piwo. Rozochocili się i próbowali zagadywać do jego kilkuletniego syna, kolejnego Antoniego, który oczywiście nic po niemiecku jeszcze nie rozumiał. Jeden z Niemców szybko doniósł o tym do odpowiedniego urzędu i wkrótce Nagengastowie zostali karnie przeniesieni za to przewinienie do Berlina-Charlottenburga. Mieli tam nabrać pokory, wyuczyć się języka, żeby stać się wreszcie porządnymi niemieckimi obywatelami.

– Coś takiego – jęknęła Felcia.

Anna pokiwała głową. Potarła czoło, zbierając myśli. Spojrzała przelotnie najpierw na Kaśkę, a potem na Felcię.

– Wyjechali w tysiąc dziewięćset trzecim, a wrócili w tysiąc dziewięćset siedemnastym roku. Wówczas udało im się z całą rodziną osiedlić najpierw w Kruszewicy, skąd dwa lata później wyruszyli do Poznania. Jutka urodziła się właśnie w Charlottenburgu i kiedy

osiedli na powrót w Poznaniu, miała jedenaście lat. Umiała doskonale mówić zarówno po niemiecku, jak i oczywiście po polsku. W Berlinie było dużo Polaków, spotykali się więc w towarzystwach śpiewaczych, stowarzyszeniach sportowych, a do tego Rozalia pilnowała jak zawsze polskiego w domu.

– A kogo jechała odwiedzić w trzydziestym ósmym roku Jutka, skoro wszyscy wrócili do Polski? – zdziwiła się Felcia.

– Mówiłam ci już, że tam mieszkała jej młodsza siostra Anna. Właściwie to pomieszkiwała u przyjaciółki, też Polki, którą знаła z czasów berlińskich. Na początku trzydziestego dziewiątego roku wróciła do Poznania, dowiedziawszy się, że mąż tamtej, Niemiec, wstąpił do SS. Mieszkali od dziecka w jednej kamienicy, zawsze się razem bawili, to i nie dziwota, że się zakochali i zostali małżeństwem.

– Boże, co za czasy... – Felcia pokręciła głową.

– Wiktor, syn Anny, siostry Jutki, tej, do której w trzydziestym ósmym roku jeździła do Charlottenburga, prawie całą drugą wojnę spędził na robotach, a jego siostra Regina ledwie przeżyła uwięzienie w ósmym forcie w Poznaniu. Niemcy to były potwory... – Anna zamilkła.

– Moje pokolenie ma szczęście – przerwała milczenie Kaśka. – Chociaż z drugiej strony, jak nie wojna – to komuniści, czy inni lewacy, ze swoimi chorymi ideologiami... Cholera by ich wzięła!

Felcia westchnęła.

– Ja kiedy już zostałam sama, miałam to wszystko w nosie, choć wcale nie było mi łatwo, ale wy, w tym Poznaniu? – Spojrzała na Annę, a potem na Kaśkę.

– Czerwiec, marzec, grudzień, znowu czerwiec, ponownie grudzień... Są jeszcze miesiące nieobsadzone jakimiś strasznymi rocznicami z tych wszystkich lat? – Anna machnęła ręką.

– Dziewczynki! Popatrzcie trochę na widoki, zobaczcie, jak tutaj ładnie... Niedługo w prawo będzie zjazd na Wdzydze, a za tamtymi lasami już Kościerzyna! – zawołała wesoło Kaśka.

Anna i Felcia spoglądały na pola z ciężkimi kłosami zbóż, na lasy, na łąki, oczka wodne i wymieniały się uwagami. Gdzieś dojrzały bociana, zwróciły uwagę na jakiś kościółek albo ładne zabudowania.

W Kościerzynie Kaśka oprowadziła mamę i Felcię po tych samych miejscach, które nie tak dawno Krzysztof pokazywał jej i Elizie. Obie panie były pod wrażeniem sanktuariów Matki Boskiej. Zachwyciły się ich wnętrzami, a potem długo w każdym modliły. Wreszcie rozpromienione usiadły w znanym już Kasi kawiarnianym ogródku. Felcia, po narozglądaniu się wokół i wypiciu kilka łyków kawy, zmarkotniała.

– Boże! Tak blisko Parchowa, a ja nigdy nie przyjechałam Świętych Panienek odwiedzić. Co za wstyd! – Zasłoniła twarz dłońmi. – To znaczy byłam parę lat temu na ukoronowaniu Madonny Kościerskiej koronami papieskimi, ale nie widziałam tych koron ani obrazu, taki był tłum.

– A wiesz... – próbowała coś wtrącić Anna.

– Nie śmiej się! To była wielka uroczystość, tylko zaraz po niej musiałam szybko pędzić do autobusu i jechać z powrotem.

– Ależ daj już spokój, Felciu – próbowała ją pocieszyć Anna. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że prawie czterdzieści lat temu, kiedy jako młodzianka mężatka byłam

w poznańskiej katedrze na wielkiej uroczystości ustanowienia jej bazyliką, to stałam daleko na moście, bo cała Wielkopolska tam przysła. Też nic nie widziałam.

– Ani nie słyszałam – wtrąciła Kaśka z uśmiechem.

– Żebyś wiedziała, że tak było. Gdy ludzie przed nami klękali, to i my klękaliśmy, a gdy wstawali, to i my wstawaliśmy. Kiedy z przodu padały słowa jakiejś pieśni, to zanim dotarło do tyłu, co się śpiewa, to z przodu zaczynała się już kolejna zwrotka. Taka jakby ciągła fala ruchu i głosów, coś jak dzisiaj specjalnie robi się na stadionach. Trudno to zapomnieć! Władze umyślnie nie pozwoliły postawić wielkich głośników, ale na pierwszymo maja stały zawsze w całym centrum! To wszystko robiono na złość!

– A patrzcie dzisiaj! – Anna zatoczyła ramieniem łuk wzdłuż rynku. – Też dwudziesty drugi lipca, ludzi mało, w każdym razie jest jeszcze gdzie usiąść.

– Mamo! W tym budynku, na który wskazałaś, był kiedyś ratusz. Tam ma być tam w przyszłości muzeum, może i akordeonów... – Kaśka opowiedziała zasłyszana od Krzysztofa historię o kościerskim pasjonacie akordeonów.

– Broniek był muzyczny... – zaczęła Felcia i nagle umilkła.

Anna spojrzała na nią, prosząc gestem, by kontynuowała.

– Miał coś mniejszego od akordeonu, trzymał to przed sobą w dłoniach i ładnie grał wesołe melodyjki – uśmiechnęła się. – Miało dziwny kształt... – Felcia zaczęła kreślić w powietrzu.

– To w takim razie była concertina – wyjaśniła Kaśka.

– A niech się i tak nazywa! – machnęła dłonią Felcia. – Ważne, że ładnie grał, a jak jeszcze inny gospodarz ze wsi przyniósł ze sobą akordeon, to dopiero było wesoło. Ludzie od razu rwali się do tańca. Przygrywali na imieninach, geburstagach, weselach, chrzcinach. Na twoich chrzcinach, Aniu, też, bo był dosyć ciepły dzień. – Felcia wzięła się pod boki. – Tobie się tylko oczka śmiały, kiedy Krysia pokazywała ci tańce.

– Ślicznie to opowiedziałaś – rzekła w zadumie Anna, gładząc ją po dłoni. – Ale jeśli mój tata był muzyczny, to nie dziwota, że poszłam w jego ślady!

– No tak! To przecież oczywiste! – skwitowała Felcia. – Ależ piękny dzisiaj dzień! – westchnęła głęboko i spojrzała radosnymi oczami na Annę i Kaśkę. – Dobrze, że wyrwałyście mnie trochę z domu.

– A co jeszcze powiesz nam, córcia, o Kościerzynie? – spytała Anna.

Kaśka w kilku słowach opowiedziała historię miasta, dodając drobne ciekawostki dotyczące czasów współczesnych.

– Dużo wiesz o tym mieście – pochwaliła ją Anna.

– Dużo! – przyznała Felcia. – I fajnie opowiadałaś.

– Nie wiedziałam, że przyjeżdżałaś tutaj na wycieczki.

– Nasze biuro nigdy nie miało Kaszub w swoim programie. Krzysztof wszystko mi pokazał. Jestem tutaj dopiero drugi raz...

– Fiu, fiu! To masz taką dobrą pamięć jak ja – przerwała jej Felcia z uśmiechem.

– Kto z kim przystaje, takim się staje – odpowiedziała porzekadłem.

– A o kim myślisz? – dociekała Felcia.

– O tobie, Felciu, o mamie, o Krzysztofie i o...

– Daj spokój z tym spowiadaniem się w taki piękny dzień! – przerwała jej zaniepokojona Anna.

– Obiecałam sobie niedawno, że zawsze będę mówić prawdę i domagać się prawdy –

kontynuowała Kaśka. – I z tym właśnie wiąże się pamięć, o której przed chwilą rozmawialiśmy. Wydawało mi się kiedyś, że jeśli czegoś nie powiem głośno, to tego nie ma. To było jednak złe założenie. Trzeba pamiętać wszystko i o tym mówić – Kaśka ani myślała przerwać, ale po chwili zamyśliła się.

– A może jednak przerwiesz ten wywód, który trochę nie pasuje do dzisiejszego dnia. – Anna zaniepokoiła się nie na żarty.

– O kurczę! – krzyknęła raptem Felcia. – Ja właśnie coś źle zrobiłam!

Anna i Kaśka z wrażenia wyprostowały się, patrząc na nią z niepokojem.

– Co się stało?

– Źle powiedziałam Ewelince, jakie powłoki ma nałożyć na kołdry dla tych z Bydgoszczy!

– A co się stanie, jeśli nałoży inne? – zainteresowała się niespodzianie Kaśka.

– Dobrze, że to ty pytasz. Jak by ci tu powiedzieć...? No nic się nie stanie! – ostatnie słowa wykrzyknęła półgłosem i spojrzała na nią pociesznie. Kaśka była zupełnie dezorientowana. – Ja właśnie powiedziałam głośno o tym, że coś źle dzisiaj zrobiłam, tak jak ty przed chwilą mądrze nam wykladałaś. Przyznałam się, powiedziałam prawdę! Dobra jestem, no nie?

– Felciu, ty to potrafisz rozładować napiętą atmosferę, doprowadzając ją *ad absurdum*^[4]... – Kaśka przerwała, bo ujrzała zdumienie w oczach Felci. – Innymi słowy, kazałaś mi zamknąć dziób, bo to nie był dobry czas na takie słowa!

– Aleś ty mądra! Takie słowa! Ho, ho, ho! Mam nadzieję, że mnie nie obraziłaś – rzekła Felcia i pochylając głowę, z ukosa przyglądała się Kaśce. – Ale z tym dziobem to miałaś rację! – Nagle jej brzuch zatrząsł się od śmiechu.

– A to, co miałaś powiedzieć dzisiaj, powiesz kiedy indziej – dokończyła swoją wcześniejszą myśl Anna. – Zresztą wcale nie jestem pewna, czy dzisiaj byłaś już gotowa. – Spojrzała na Felcię i obie jak na komendę skinęły głowami. – Co nam teraz pokażesz?

Kaśka nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Nagle sięgnęła do torebki i spojrzała na wyświetlacz komórki.

– Przepraszam was na chwilę – rzuciła i odeszła od stolika na kilka kroków. – Maciej? – odezwała się cicho. – ...no, dziwię się... Nie mogę głośniej, jestem z moją i twoją mamą w Kościerzynie. ...Przyjmuję przeprosiny, chociaż to była trochę i moja wina! Czekaj w takim razie na telefon. Do usłyszenia!

Kaśka schowała komórkę do torebki. Przymknęła oczy. Ten ma klasę! Całą winę wziął na siebie i jeszcze ją przeprosił! Dotąd zachowywała się sztucznie, a teraz wrócił jej humor.

– W takim razie, dziewczynki... – zaczęła, wróciwszy do stolika – teraz zrobię wam przejażdżkę po mieście, a potem zabiorę na pyszny obiad.

Kiedy padło słowo „dziewczynki”, Anna i Felcia spojrzały po sobie, ale potem jak na komendę machnęły ręką. Kaśka domyśliła się, co to wszystko oznacza, więc wygłosiła przygotowaną specjalnie dla nich wersję wydarzenia.

– Dzwonił Krzysztof – rzuciła. – Pamiętajcie, że jutro zaczynam pracę w Kartuzach?

– Aha! – odpowiedziały prawie jednocześnie.

– Ustaliliśmy wreszcie, jak ma to wyglądać, ale przed chwilą wpadłam na pomysł, żeby kupić na dobre przywitanie kawałek jakiegoś ciasta i może butelkę wina... – Spojrzała pytająco na matkę.

– Dobry pomysł – zgodziła się Anna. – Idź, a my poczekamy. – Wskazała cukiernię w rogu rynku.

Kaśka ucieszyła się, że jeszcze przez chwilę może zostać sama i przemyśleć rozmowę z Maciejem. Zadowolona była też, że mama z Felcią łyknęły jej kłamstewko. Chyba łyknęły, ale to już ostatni raz kłamię. Chyba... Dzisiaj inaczej nie mogłam... Podniosła oczy ku niebu, potem odwróciła głowę, spoglądając na stolik. Co prawda zapłacę za to obiadem, ciastem i butelką wina, ale w aktualnej sytuacji to i tak niewielka cena.

Potem zajęła się zapowiadaną wycieczką po mieście. Wybrała trasę Krzysztofa, bo innej i tak nie знаła; powtarzała jego słowa, sama się sobie dziwiąc, że wszystko doskonale pamięta. Po jakimś czasie zorientowała się, że jest już kilka kilometrów za miastem. Z zaskoczeniem zrozumiała, że postąpiła dokładnie jak wówczas Krzysztof, tyle tylko, że uczyniła to zupełnie bezwiednie. Zdumiona, zwolniła.

– Coś się stało? – spytała zaintrygowana Anna.

– Zatrzymujemy się? – dorzuciła Felcia.

– Nie, tylko zastanawiam się czy nie będzie dla was za daleko, jeśli pojedziemy na Wdzydze...

– Ja chcę! – krzyknęła Anna.

– Ja też chcę! – wspomogła ją Felcia.

Kaśka spojrzała w lusterko wsteczne. Ujrzała rozpromienione twarze dwóch przyjaciółek. Uśmiechnęła się do własnych myśli i do lusterka.

– ...Bo pierwotnie planowałam obiad w mieście, ale potem pomyślałam, że lepiej będzie w „Niedźwiadku”. Chciałam wam zrobić niespodziankę! – rzuciła kolejne kłamstewko.

– Widzę, że jedziemy dzisiaj szlakiem Elizkowego „szkoda, że babcia tego nie widzi” – ucieszyła się Anna.

– Mamo, zapamiętałaś...

– Ja też to pamiętam! – roześmiała się Felcia. – Elizka tak to fajnie wtedy opowiadała, a my tutejsi... – szturchnęła Annę w bok – zawsze wszystko dobrze pamiętamy, no nie?! – Anna potwierdziła zmrużeniem oczu.

Kaśka przyspieszyła. Starła się wiernie powtarzać słowa Krzysztofa o porcelanie z Lubiany, jej udziale w filmie *Amelia* i znaczeniu na rynku. Były ciekawe wszystkich szczegółów.

Niedługo powitały je Wdzydze Kiszewskie. W trakcie spaceru po skansenie Anna i Felcia zachwyciły się, jak kiedyś Kaśka i Eliza, starymi chatami, dworkami, wiatrakami, kościółkiem, karczmą, studnią z żurawiem. Felcia przejęła rolę przewodnika.

– Ja takie rzeczy pamiętam jeszcze sprzed wojny. Dobrze, że zrobili ten skansen, gdzie każdy może obejrzeć, jak kiedyś było.

– Nie myślałam, że tutaj jest tak ślicznie... – rozmarzyła się Anna podczas obiadu w „Niedźwiadku”.

– Do tego wszystkiego, jesteś śliczną Kaszubką... – oceniła Felcia, gdy Anna przymierzyła kupioną na jednym ze straganów chustę w kaszubskie wzory.

Wróciły do „Iskierki” w porze kolacji, a rozmowy przeciągnęły się długo w noc.

Trzy burze i dwa kace



Wika wdzięczyła się do słuchawki, a na zakończenie krótkiej rozmowy rzuciła:
– Okej, mami! Za pięć minut jestem!

Zaszcebiotała w kierunku Elizy:

– Rodzice wpadli odwiedzić swoją Wiczkę po drodze z działki do domu! – uśmiechnęła się, a na widok dziwnej miny koleżanki pogroziła palcem. – Tylko oni mogą tak o mnie mówić, albo ja sama o sobie, pamiętaj! – Zakręciła się i wybiegła.

Eliza rzuciła się na wznak na łóżko, aż zaskrzypiały sprężyny. Cieszyła się, że robi sobie małe *la dolce far niente*. Przymknęła oczy. Przez głowę przelatywały jej różne myśli. Leniwym wzrokiem dokonała przeglądu wszystkich narożników sufitu. Znowu przymknęła oczy. Miłe odrętwienie spłynęło na jej ciało. A może drzemka? Ciszę przerwała dochodząca skądś muzyka. Znam to. *Most na rzece Kwai*. Powoli otworzyła oczy i spojrzała w kierunku, skąd dochodził dźwięk. Po parapecie sunął, grając i wibrując jej telefon. Zerwała się na równe nogi. Podniosła go do ucha, nie patrząc na ekran.

– Halo? To ty Wika? – zdziwiła się. – Co? Niech się tobą nacieszą! – wywróciła oczami. – Uparli się? – Pogroziła ręką nie wiadomo komu. – No dobrze, zaraz będę – jęknęła z rezygnacją w głosie.

Opadła na łóżko, które znowu zaskrzypiało. Po co jej to? Czy nie mogli sobie darować? Przymknęła oczy. Znowu *Most na rzece Kwai*.

– Co mam wziąć...? Twój kajet w szkocką kratę? Okej!

Wstała i podeszła do szafy. Zmieniła koszulkę, pomalowała usta, poczochręła dłonią włosy i wyszła na korytarz. Za chwilę witała się serdecznie z rodzicami Wiki.

– Zamawiamy lody! Wybierz sobie – zachęciła ją Wika.

Przyglądała się rodzicom Wiki, a oni jej. Wyglądali sympatycznie. Mama, ciągle uśmiechnięta okrągła czarnula o południowej urodzie, z piękną opalenizną i białymi zębami, co dodatkowo podkreślała szminka w głębokim wiśniowym kolorze, i złotymi, dużymi kólkami na uszach. Przy każdym zwrocie głowy kołysały się, błyskając w słońcu.

Co za bluzka, co za dekolt, a jaki oddech...! – uśmiechnęła się Eliza do własnych myśli. Tata Wiki, krótko ostrzyżony siwiejący szatyn, mówił szybko, poruszał się nerwowo i mocno gestykulował. Eliza przypomniała sobie, że widziała go podczas egzaminów.

– Dziadziuś codziennie wieczorem jak zwykle oznajmia: „Dobrze, że jest ta noc!” – powiedział tata Wiki. Wybuch śmiechu.

– Babusia cały dzień tylko: Tadiusz to, Tadiusz tamto – dodała mama i znowu wybuch śmiechu. – Bierzemy więc Kacperka, a czasami porywamy też dziadka, i wybieramy się na cypel. Woda super, chociaż przez trzy dni były sinice i nie można się było kąpać.

Eliza przyglądała im się z przyjemnością. Byli tacy... normalni. Mama, babcia i ja też poznałyśmy fajny cypel nad jeziorem, uśmiechała się do własnych myśli.

– Z czego się cieszysz? – zapytała Wika.

– Podoba mi się, że twój chłopak jest blisko z twoimi rodzicami.

– Mój chłopak? – zdziwiła się Wika.

– Przecież mówiłaś coś o Kacprze już na egzaminach, a teraz słyszę, że chodzi nad

jezioro z twoimi rodzicami i dziadkiem.

Rodzice i Wika spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem.

– Elizka! Kacperek to nasz jamnik! – wykrzyknęła Wika. – A właśnie, gdzie on jest? – spytała, rozglądając się wokół.

– Został z dziadkami! – odparła mama. – To tylko jedna noc, nie braliśmy go, chociaż ostatnio miał znowu dwie ucieczki.

– Słyszałem, Eliza, że jesteś z Poznania? – wtrącił z uśmiechem tata.

– Tak. Mieszkam na Sołaczu.

– To była zawsze moja ulubiona dzielnica – westchnął tato Wiki.

– A dlaczego? – Eliza zmrużyła oczy.

– Bo kojarzyła mi się z wakacjami, jazdą dziewiątką nad Rusałkę albo na zawody żużlowe lub lekkoatletyczne.

– Ale teraz chyba już nie organizują tam żadnych zawodów.

– Bo to było prawie czterdzieści lat temu. – Tata Wiki znowu się uśmiechnął. – A wiesz, że kiedyś nad Rusałką prawie wygrałem rower? – Spojrzał na żonę i zawiesił głos.

– Nigdy nic takiego nie opowiadałeś... – zdziwiła się mama Wiki.

– Na dwudziestolecie „Głosu Wielkopolskiego”, w sześćdziesiątym czwartym roku, zorganizowano wielki festyn nad Rusałką. Konkursy, koncerty, zawody sportowe... Przez cały dzień były tam tłumy. Dla takich jak ja nastolatków przygotowano konkurs wiedzy ogólnej, główną nagrodą był rower. Marzyłem o nim, bo rodziców nie było na niego stać.

Z Głównej na Gołęczin jest daleko i nikomu nie chciało się jechać. Ja miałem motywację, inaczej też bym się tam nie wybrał. Do południa miały być eliminacje, a po południu finał konkursu. Śniadanie zjadłem słabe, bo byłem bardzo zdenerwowany. Eliminacje przeszedłem jak burza. Prowadził jeden ze znanych konferansjerów z najlepszego show tamtych czasów, radiowej „Zgaduj zgaduli”, Przybylski albo Rokita. Po eliminacjach powiedział mi: Idziesz jak burza, jesteś moim faworytem. Poczuję się podniesiony na duchu, a także, czemu się nie dziwiłem – głodny. Pieniądzy na jedzenie nie miałem. Na tramwaje i trolejbusy, jakieś drobne – tak. Po eliminacjach pojechałem więc do domu, a tam tylko resztki zupy. Myśleliśmy, że zjesz coś nad Rusałką – usłyszałem od kogoś z rodzeństwa, kto tego dnia był kuchaczem. Jeden z braci postanowił pojechać ze mną: ustaliliśmy, że będziemy wracać na zmianę rowerem.

To było święto i nie przewidziałem, że komunikacja jeździ rzadziej. Czekanie na trolejbus, na jeden tramwaj, a potem na drugi do Gołęcina przedłużało się. Kiedy wreszcie tam dotarliśmy, pobiegłem za scenę, gdzie miała być zbiórka półfinalistów. Mimo że uczestnicy konkursu jeszcze nie wyszli na scenę, mnie nie wpuszczono. Byłem załamany. Oglądałem konkurs zrozpaczony, ze złamanym sercem. Znałem odpowiedzi na wszystkie pytania, a każdy z półfinalistów przynajmniej raz się pomylił. Rower naprawdę byłby mój. Poszedłem do lasu wyryczeć się, ale to nie pomogło. Nie pomogły także świetne występy: Trio Mexicanos, Marino Marini i Bogusław Wyrobek. Nie ukoilił mojego bólu nawet największa niespodzianka wieczoru, którą trzymano w tajemnicy – jeden z pierwszych występów Czerwono-Czarnych. Trauma została na całe życie... –Tata Wiki pociągnął nosem. – Teraz nie będę już ryczał, ale było mi wtedy bardzo, bardzo ciężko. Nigdy rowerowi nie dostałem, a wtedy mogłem wygrać.

– Taką historię chciałeś zostawić dla siebie? Spodobała mi się. – Wika zmrużyła oczy.

– Wyciągnąłem z tego zdarzenia naukę na całe życie! Odtąd zawsze jestem wszędzie

przed czasem – uśmiechnął się tata.

– A dlaczego nie chciałaś studiować w Poznaniu? Przecież tyle tam różnych uczelni? – zwróciła się Wika do Elizy.

– Bo tam nie ma ani morza, ani biologii morza – uśmiechnęła się Eliza. – A poza tym postanowiłam, że muszę sama zacząć o sobie decydować, chciałam też przestać walczyć z mamą – zawahała się.

Cała trójka Maćkowiaków wpatrzyła się w nią z uwagą.

– Walczyć... z mamą? – powtórzyła po chwili poważnym tonem mama Wiki.

– Zaczęłaś, to teraz opowiadaj – przycisnęła ją Wika.

Tata Wiki zachęcił Elizę kilkukrotnym skinieniem głową. Pokazał palcem kolejno po wszystkich i zasunął eklera na ustach. Eliza uśmiechnęła się.

– Dziadek nauczył mnie kochać przyrodę... – zaczęła, a cała trójka słuchała z rosnącym zainteresowaniem. – Najciekawsze jest to, że nigdy nie mieliśmy żadnego zwierzaka w domu, a w ogrodzie rosło tylko kilka śliw, świerków i kwiaty na gazonie, chociaż tuż obok domu jest Park Sołacki.

Eliza opowiedziała o swoich fascynacjach biologicznych, częstych wyprawach z dziadkiem nad staw w pobliskim parku, do zoo, o szkolnej wycieczce do gdyńskiego Akwariumu, o książkach, które kupowała w antykwariatach, buszowaniu po internecie i wreszcie o znalezieniu fokarium w Helu, i korespondencji mailowej z innymi zakręconymi jak ona miłośnikami biologii morza.

– Szkoda, że wcześniej nie wpadłyśmy na siebie – przerwała jej Wika. – Miałam ze swoim dziadkiem dosyć podobnie, ale z tatą też... – dodała, uśmiechając się od ucha do ucha, jej rodzice tylko skinęli głowami.

– Miałas mówić o walce z mamą – przypomniała mama Wiki.

– Ta walka rozpoczęła się zupełnie niedawno. – Eliza zawahała się; chciała jak najogólniej opowiedzieć o swoich potyczkach z mamą o studia w Gdyni.

Dostrzegła w oczach Wiki i jej rodziców, że czekają na coś więcej, ale nie uważała za stosowne zdradzania im szczegółów dotyczących spraw, bądź co bądź, domowych.

– No i jestem tutaj, gdzie chciałam! – zakończyła z uśmiechem.

– Wika też tak chciała, to i ma – uśmiechnął się jej tato i posłał córce całusa ponad stołem.

– Mam – zaszczebiotała Wika. – Super są nasze monitoringi – mrugnęła do Elizy – karmienie fok, kąpiel w zatoce, ale tęsknię też za cyplem, przesmykiem, spacerem po lesie...

– Wytrzymasz... – Machnęła ręką mama Wiki.

– Ja nie narzekam, ale ten nasz cybel... – Przymknęła oczy.

A nasz cybel nad Mauszem też jest fajny, uśmiechnęła się w myślach Eliza.

*

Kaśka wyobrażała sobie rozpoczęcie pracy w Kartuzach mimo wszystko trochę inaczej. Obrażony Krzysztof czekał na nią na parkingu, a potem prawie bez słowa przeszli do biura. W sali obsługi klientów przywitała ich na stojąco trójka pracowników: dwie na oko trzydziestoletnie kobiety i jeden nieco starszy od nich mężczyzna.

– Pani Katarzyna Prawosz jest od tej chwili waszą szefową – poinformował załogę

Krzysztof; Kaśka spozrzała na niego zaskoczona drętym tonem. W myślach machnęła ręką. Uśmiechnęła się i z wyciągniętą ręką podeszła do przyglądającej jej się z ciekawością trójki.

– Teresa, Wanda, Robert – usłyszała imiona, witając się z nimi.

– Jeśli to państwu nie przeszkadza, chciałabym, abyśmy mówili sobie po imieniu.

Młode kobiety uśmiechnęły się miło, zaś Robert odezwał się nieco ironicznie:

– Pani wybór... przepraszam, twój wybór. Ale może być. – Bezczelnie spojrział Kaśce w oczy.

No, no, no, pomyślała.

– Kasiu! Robert jest twoim zastępcą, wszystko ci pokaże i opowie. Zresztą dużo tutaj nie ma. – Wskazał na otwarte drzwi w głębi; tam, w niewielkim pokoiku dojrzała biurko i regały z kolorowymi teczkami. – Ja w takim razie pędzę, bo chcę być przed piętnastą w Poznaniu. W piątek albo sobotę spotkamy się tutaj i porozmawiamy o finansach firmy.

– Ale chciałam jeszcze zaprosić... – wyjąkała Kaśka, pokazując na torbę, którą postawiła przy wejściu.

– Beze mnie. Porozmawiajcie sobie we własnym gronie. Tak będzie lepiej. A jakby co, to dzwoń. – Musnął jej dłoń i spojrział nieco cieplej w oczy. – Trzymajcie się! – Podniósł rękę i wyszedł szybkim krokiem, nie oglądając się za siebie.

Gdyby nie to, że to był jej pierwszy dzień w pracy, Kaśka też by pewnie natychmiast wyszła. Głęboko odetchnęła, kryjąc zażenowanie. Przywołała na twarz najpiękniejszy uśmiech, na jaki ją było stać w tej chwili.

– Myślę, że nie odmówicie mi małego poczęstunku. Przy kawie uda nam się na większym luzie porozmawiać i lepiej poznać – rzekła, spoglądając po pracownikach swojej nowej firmy.

W niepewnych uśmiechach i spojrzeniach Teresy oraz Wandy widziała życzliwe przyzwolenie, ale i dostrzegła, że coś je powstrzymuje przed bardziej spontaniczną reakcją. Spojrzała na Roberta. Przeczesał palcami włosy, jakby to, co działo się wokół, w ogóle go nie interesowało. W jego oczach dostrzegła dziwny blask. Poczula, że nie wróży jej to niczego dobrego.

– Przerwiemy, jeśli przyjdzie jakiś klient – uprzedziła zastrzeżenie Roberta.

– Widzę, że chcesz wprowadzić u nas jakiś nowy świecki obyczaj – rzucił impertynencko. – Tutaj nigdy tak nie było, a już na pewno nigdy alkoholu – dodał, gdy ujrzał butelkę wina, którą Kaśka właśnie stawiała na biurku.

– Lampkę wina nazywasz alkoholem?

– Jakiego wymyślnego byś nie użyła, to i tak w tej butelce jest wino... – Stanął w progu, wskazując oskarżycielsko palcem na butelkę. Kaśka zdębiała. Spojrzała na Teresę i Wandę – wyglądały na tak samo zaskoczone obrotem sytuacji.

– Chciałabym pokroić to ciasto.

– Pomogę ci... – Teresa ruszyła w kierunku Kaśki, a po chwili Wanda uczyniła podobnie.

Robert przyglądał się krzątającym się po biurze dziewczynom, zaczesując palcami włosy nad uchem.

– Wy tu sobie balujcie, a ja wychodzę – odezwał się nonszalancko, wzrok jego i Kaśki spotkał się na chwilę. – Mam umówione spotkanie na mieście – dodał i ruszył w kierunku wyjścia. – Za godzinę wracam! – rzucił już prawie zza progu.

– Ale, ale...! – wykrzyknęła Kaśka.

– Na imię mam Robert! I wróć! – odkrzyknął już z ulicy.

Kaśka z wrażenia aż przysiadła za biurkiem i wodziła wzrokiem za dziewczynami. Wanda w milczeniu rozstawiała talerzyki i łyżeczki, Teresa wsypywała kawę do filizanek.

– Czy on zawsze jest taki? – zwróciła się do nich Kaśka.

– Już prawie poczuł się szefem, no i nagle pojawiłaś się ty. Myślał pewnie, że jako daleki kuzyn Krzysztofa awans ma jak w banku – odparła Teresa.

– Krzysztof mi zdradził, że nie chciał robić szefem nikogo z rodziny – zaczęła Kaśka.

– Myśmy o tym także wiedziały, ale Robert nie – uśmiechnęła się Teresa. – W niektórych rodzinach jest dziwnie...

– No, a któraś z was?

– My wolimy jeździć z wycieczkami, no wiesz, wolność! A tutaj siedzimy tylko wtedy, gdy musimy. Lubimy fruwać. – Wanda uniosła dłonie i pomachała końcówkami palców. – Planowanie wycieczek, koordynacja tego wszystkiego, finanse, zarządzanie firmą i takie tam, to nie dla nas. – Machnęła ręką, a Teresa potwierdziła skinieniem głowy.

Kaśka wlała wino do szklaneczek. Uniosła w górę swoją. Dziewczyny bez oporów uczyniły podobnie. Nie wiedzieć kiedy polubiła je; wyczuwała, że nie będzie miała z nimi żadnych problemów.

*

W oczekiwaniu na porę kolacyjną siedziały na werandzie. Anna przyglądała się Kaście. Zasmuciły ją słowa córki, że pewnie straci w nowej firmie trochę sił i czasu, żeby ułożyć się ze swoim zastępcą. Nieustający taniec palców po stole wskazywał, że Kaśka ciągle o tym myśli; znała jej odruchy. Zastanawiała się, czym by odciągnąć jej uwagę. Nagle zza nisko wiszących burych chmur rozległ się przeciągły rumor.

– Jeszcze burza jest mi tu dziś potrzebna! – poderwała się z przestraszeniem Kaśka.

– Czy musisz mnie budzić? – Felicja otworzyła jedno oko i spojrzała na nią.

– Ale to przecież burza!

– Ty jesteś głośniejsza niż ta burza. – Felcia otworzyła drugie oko i poprawiła się na krześle.

– Nie musisz się tak denerwować – dodała Anna. – Burza będzie albo nie będzie. Dobrze mówię?

– Źle mówisz! – roześmiała się Felcia.

Teraz zahuczało już bliżej, spod Bawernicy.

– Wczoraj mówiłam, że będzie, a dzisiaj rano, że przyjdzie. A to nie jest to samo, smarkulo – zaśmiała się Felcia, spoglądając na Annę.

– Ja smarkula?! – zaperzyła się Anna.

– Bo będzie, to znaczy, że gdzieś będzie, niekoniecznie u nas. A przyjdzie – to znaczy, że będzie u nas i może nawet pobędzie trochę dłużej.

Dwie błyskawice przecięły ciemniejące niebo, a po chwili rozległy się jeden po drugim dwa przeciągłe grzmoty. Kaśka zerwała się na równe nogi i poczęła cofać w kierunku drzwi.

– Odwagi, córko! – zaśmiała się Anna. Kaśka skuliła się, bo znowu błysnęło i zahuczało. – A wiesz, Felcia, że z tą burzą to masz chyba rację...

– Na szczęście nie ma tu Stacha, bo by ci powiedział, że chyba to pchła po jajach, a czasami pod pachami... – zaśmiała się Felcia. – Ja ci tak nie powiem, bo jestem dobrze wychowana. – Dygnęła zabawnie i opuściła skromnie oczy. – Kaśka! A przynieś ino ze spiżarni wiśniową nalewkę! – wykrzyknęła nagle w stronę kuchni. – Dzisiaj się przyda – mrugnęła do Anny. – Burza na dłużej zagości. Jak przyjechałyście w czerwcu, było tak samo – uśmiechnęła się. – Wlazła wtedy między jeziora i długo nie mogła się spomiędzy nich wydostać. Dzisiaj może być podobnie – powiedziała, przyglądając się z zatroskaniem kwiatom na gazonie szarpanym przez wiatr i siekanym coraz mocniej zacinającym deszczem.

Anna wzdrygnęła się. Ciemne, nisko wiszące ołowiane chmury wypływały z siebie potoki wody, wiatr przyginał do ziemi drzewa w sadzie, coraz krótsze były przerwy pomiędzy błyskawicami a grzmotami. Felcia przeżegnała się, Anna uczyniła podobnie. Ruszyły z werandy do wnętrza domu. Kaśka siedziała skulona przy kuchennym stole, zakrywając oczy. Karafka z wiśniówką czekała, lampa nad stołem rozjaśniała wnętrze kuchni, wywołując refleksy w kryształowych kieliszkach.

– A dlaczego jeszcze nie nalałaś? – zdziwiła się Felcia.

– Bo się boję – jęknęła Kaśka.

Po pobliskich wzgórzach i dolinach przetoczył się kolejny grzmot, który zakołysał domem. Szyby w oknach i kieliszki na stole zadzwoniły. Felcia i Anna przeżegnały się ponownie.

– Ale widzę, Kaśka, że ty się jednak nie boisz? – zauważyła Felcia.

– Boję się! – powtórzyła Kaśka.

– Gdybyś się bała, to byś się przeżegnała tak jak my...

Kaśka spojrzała na nią przestraszonym wzrokiem i szybko wykonała znak krzyża.

– A teraz polej – zarządziła Felcia.

Kaśka napełniła kieliszki, ale jednym okiem zerknęła od czasu do czasu w kierunku okna.

– No, to żeby ta cholera szybko sobie poszła! – Felcia machnęła ręką i uniosła kieliszek.

– Sześćdziesiąt trzy lata temu było gorzej. – Anna i Kaśka spojrzały na nią. – Dobrze, że był przy nas Tadzio... – Znowu machnęła ręką i zamilkła. – Wtedy zemdlałam z przerażenia, z bólu i od dymu. Ale najpierw ryczałam, wyłam ze strachu, aż na kilka dni straciłam głos... No nie glapcie się tak na mnie, tylko podnieście wreszcie swoje kieliszki.

Anna i Kaśka wykonały potulnie jej polecenie i uniosły kieliszki do ust. Każda piła inaczej. Felcia przymknęła oczy i wlewała w siebie rubinowy płyn, wolno podnosząc kieliszek i przechylając głowę, Anna smakowała nalewkę małymi łyżkami, Kaśka raptownie przechyliła kieliszek, wypijając zawartość jednym haustem, po czym natychmiast skierowała rękę w kierunku karafki.

– Dobra jesteś – uśmiechnęła się Felcia i przysunęła swój kieliszek.

Kaśka powtórnie napełniła kieliszki.

– Żeby ta cholera szybko sobie poszła – po raz drugi wyrecytowała Felcia, wskazując na okno i unosząc kieliszek.

Rytuał powtórzył się: Felcia sączyła powoli, Anna smakowała łyżkami, Kaśka znowu wypijała jednym haustem.

– Tak się wtedy nabałam, naprzerażałam, że dzisiaj burze już nie robią na mnie żadnego wrażenia. Nawet je lubię – uśmiechnęła się.

– Wiesz co, Felciu? Ja mam podobnie, może też po tamtej burzy? – Anna postawiła swój kieliszek obok karafki, bo zauważyła, że Kaśka już zaczęła napełniać opróżniony kieliszek Felci.

– Jak by się tak zastanowić, to może być prawda. Ty też wtedy mocno płakałaś... – Poglaskała Annę po rękę.

Kieliszki powędrowały znowu w górę.

– Wraca mi życie – sapnęła Kaśka, biorąc głęboki oddech. – Dobrze to. – Wskazała na karafkę, mrużąc po swojemu oczy.

– Na burzę zawsze najlepsza jest nalewka wiśniowa. – Felcia przebiegła wzrokiem po kieliszkach. – Nalej jeszcze jednego szybkiego, ale potem zwolnij tempo, bo burza będzie długa. – Zjecie coś?

Anna i Kaśka pokręciły przecząco głowami.

– No, to ja jednak coś podam. – Felcia żwawo podeszła do kredensu; po chwili na stole znalazły się talerzyki, chleb, noże, masło, później zaś cebula, umyte pomidory, kawałek swojskiej suchej kielbasy, żółty ser i trzy deski do krojenia. – No, a teraz niech każda sama się obsługuje, jak zgłodnieje. – Klasnęła w dłonie z zadowolenia i uniosła kieliszek, Anna i Kaśka uczyniły podobnie.

Kaśka coraz rzadziej wzdrygała się i spoglądała w okno; rozmowa całkiem ją pochłonęła. Kiedy zegar na kredensie wybił jedenstą, z uśmiechem przyniosła ze spiżarni kolejną karafkę. Błyskawice i grzmoty nie robiły już na niej żadnego wrażenia. Kobiety rozmawiały głośno, przekrzykując się wzajemnie. W pewnej chwili Kaśka zamilkła i zaczęła pocierać czoło.

– Głowa cię boli? – dostrzegła Anna.

– Nie... Uzmysłowiłam sobie tylko, że to dzisiaj już moja druga burza. Pierwszą miałam przecież z Robertem. Co prawda nie grzmiało, ale wyładowanie było całkiem, całkiem spore. Ciekawam jutra.

– Eee tam – zaśmiała się Felcia. – Jutro dasz mu bobu. Dopiero zobaczy, kto jest w firmie szefem!

Burza trwała całą noc. Gdy za oknem wstawał już dzień, zegar na kredensie wybił czwartą godzinę, ogłaszając przy okazji koniec nawałnicy. Po kilku chwilach zmęczone kobiety ruszyły ostrożnym, wolnym krokiem do swoich pokoi.

*

– Dlaczego mnie nie obudziłyście?! – Kaśka z wrzaskiem wpadła na werandę. – Przecież to już dziesiąta!

Anna i Felcia raczyły się schłodzoną lemoniadą i spokojnie przyglądały przestraszonej Kaśce. Ta porwała ze stołu szklankę stojącą przed matką i wychyliła duszkiem jej zawartość.

– Dziecko, i tak byś nie mogła pojechać – rzuciła Anna.

– Kowaliki, rozumiesz – dodała Felcia, pokazując znacząco na skroń.

Kaśka opadła na krzesło i złapała się oburącz za głowę.

– No, to dzisiaj dam plamę. Jak mogłyście!

– Stach ma sprawę w Kartuzach i czeka na sygnał. Ogarnij się i powiedz, za ile ma pojechać.

– A jak stamtąd wrócę?
– Kopnę się po ciebie, a przy okazji zwiedzę trochę miasto. Nigdy tam nie byłam – uśmiechnęła się Anna. – Felciu, pojedziesz ze mną?
– Eee tam. – Machnęła ręką Felcia. – Przygotuję w tym czasie dobrą kolację, bo przecież Kaśka zapowiedziała w nocy, że dzisiaj dalej walczymy.
Kaśka skoczyła na równe nogi.
– Ja...? Kiedy?
– Eliza by ci wytłumaczyła, ale jej...
– Tylko nie mówcie, że Eliza też tu wczoraj była!
– No jasne, głuptasie, że jej nie było. Ona by ci tylko wyjaśniła, że powiedziałaś to w tak zwanym międzyczasie! – Anna roześmiała się, a Felcia przybiła jej piątkę.
– Boże, dobrze, że jej tutaj nie było.
– Masz rację, co ona by powiedziała, gdyby zobaczyła... – Anna zawiesiła głos, patrząc na przerażoną Kaśkę – ... trzy pijane baby! – Roześmiała się wniebogłosy, a Felcia jej zawtórowała. Kaśka dołączyła do nich po chwili.
– Aleście mnie nastraszyły. – Poczochrała się po włosach. – Dobra, idę wziąć prysznic, coś zszamam i za pół godziny jestem gotowa. Dajcie znać Stachowi.

*

Gdy wysiadła z poloneza przed kartuskim biurem, dojrzała, jak współpracownicy ze zdziwionym uśmiechem przyglądają się jej przez okno. Stach Janik stał na ulicy i siłował się z drzwiami auta po jej stronie, bo od wewnątrz nie mogła ich otworzyć. Kiedy wreszcie drzwi się raptownie otwarły, omal nie wypadła na chodnik.

– Dziękci, panie Stachu.
– Nie ma sprawy. Krucafuks, zacinają się.
Kaśka weszła do biura.
– Dzwonił chwilę po dziesiątej Krzysztof, ale powiedziałem, zgodnie z prawdą, że nie wiem, gdzie jesteś – rzucił na powitanie Robert.
– Hej, hej – odezwały się dziewczyny.
Kaśka spojrzała na zegarek. Dochodziła dwunasta.
– A nie mogliście czegoś wymyślić? Upiłam się w nocy ze strachu przed burzą i zasnęłam! – Nerwowo szukała komórki w torebce; na moment tylko podniosła oczy do góry, gdy usłyszała dobiegające z trzech stron: – Ooo!
Usiadła na fotelu przy swoim biurku, wyciągnęła z torebki komórkę i zadzwoniła do Krzysztofa. Po wymianie kilku niezbyt przyjemnych zdań zakończyła rozmowę.
Spoglądała przez niewielkie okno pokoiku na kartuską ulicę, bębniąc palcami po biurku. Ludzie szli nieśpiesznie, uśmiechnięci, a ona czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Spojrzała w kierunku sali dla klientów. Trzy wpatrzone w nią pary oczu natychmiast zmieniły kierunek.
– Przepraszam was – do współpracowników; cała trójka znowu na nią spojrzała. – Ma rację, ale...

Jej telefon, wibrując, sunął po biurku. Krzysztof.
– ...Nie! To ja zakończyłam rozmowę... Tak, ty byś się nie zdenerwował, oczywiście, okej! Masz rację, ale wiesz... Krzysiek, nie dałeś mi dojść do słowa... Jasne, że cię

przepraszam, ale... Do usłyszenia, pa.

Przymknęła oczy. Dobra, ma rację, ale musiał tak frontalnie? Jak belfer do uczniaka? Zazdrosny mężczyzna jest chyba gorszy niż zazdrosna kobieta. Bez powodu wywołał burzę, żeby tylko pokazać, kto tu rządzi. Oddychała głęboko. Wreszcie poczuła, że palce już trochę wolniej bębnią po stole. Uśmiechnęła się i spokojnie położyła dłoń na telefonie. Ciężar na żołądku stał się mniejszy. Przeniosła wzrok na trójkę współpracowników. Tym razem nikt nie opuścił oczu.

– Co powiecie na wspólną kawę...? – Skinięcie trzech głów. – Zrobię wam po poznańsku, a potem, jeśli nie masz znowu jakiejś sesji na mieście... – zmrużyła oczy i spojrzała na Roberta, a on odwrócił wzrok – ...może wprowadzisz mnie w sprawy planistyczno-finansowe?

– A dasz dzisiaj radę? – rzucił impertynenckim tonem i wbił w nią wzrok.

– Zdziwisz się – posłała mu nieco ironiczny uśmiech. – Jeśli macie zaplanowane jakieś rozmowy telefoniczne, to wykonajcie je teraz, a za dziesięć minut zapraszam na kawę.

Wprowadzanie w dokumenty firmowe przebiegło bez żadnych spięć, zauważyła nawet, że Robert stał się jakby miłszy.

Kiedy pod wieczór wracała z matką do Parchowa, skonstatowała, że w ciągu jednej doby przeżyła trzy burze i dwa kace. Moralniak jest gorszy niż kac po nalewce wiśniowej! Oj, nie zaczęła mi się najlepiej praca w nowym miejscu, pokręciła głową.

Zbieranie patyków



Eliza zauważyła w ciągu dnia, że technik kilka razy wchodził do świetlicy z kartonami i jakimiś kablami. Kiedy poszła tam wieczorem, poczuła się mile zaskoczona. Pojawiło się drugie stanowisko komputerowe, w dodatku dobrze wyposażone. Większy monitor, fajne czarne głośniki, mikrofon i nawet słuchawki. Kiedy się zastanawiała, przy którym komputerze usiąść, przez uchylone drzwi zajrzał szef stacji.

– Siadaj przy tym nowym – uśmiechnął się. – Ciągłe walczyć przy jednym stanowisku, ja to wiem! Ty rozmawiasz z Ameryką, więc musisz mieć lepszy sprzęt.

Pomachał jej i wycofał się z uśmiechem.

Po chwili drzwi otworzyły się gwałtownie i do świetlicy wpadła z impetem Wika.

– A! Jeszcze nie zaczęłaś? Super, bo chciałam zdążyć na początek! – Usadowiła się obok.

– Hej, kuzyneczko – po chwili oczekiwania zadudniło w głośnikach.

– Hej, Max!

– A jest tam z tobą twoja przyjaciółka Wiktoria?

– Cześć, Max! – wrzasnęła Wika.

Elizę zatkało. Wika jest moją przyjaciółką?! Kurczę, przecież to ja sama tak ostatnio powiedziałam!

– Hej, Wiktoria! Dobrze zapamiętałem imię? Masz ty głos, membrana mi prawie z głośnika wyskoczyła – zaśmiał się Max.

– Dobrze zapamiętałeś – odparła trochę ciszej Wika.

– Dzisiaj mam koło siebie tatę, bo koniecznie chciał z Elizą zamienić parę słów.

– Dobry wieczór, panie Władysławie. – Eliza lekko uniosła się na krześle i prawie dygnęła.

– Dzień dobry, bo u nas są wczesne godziny popołudniowe. Witam również twoją przyjaciółkę Wiktorię, bo usłyszałem też i jej głos.

– Dobry wieczór. – Wika prawie się zarumieniła.

– Posłuchaj, Eliza! Skoro jestem bratem twojej babci, to mów mi wujek, a nie pan, będę czuł się bardziej rodzinie.

– Dobrze, wujku. – Eliza zaśmiała się cicho.

– Śmiej się głośniej. Masz ładny śmiech. Powiedz, co tam nowego słychać u was?

– Babcia, Felcia i moja mama, były... co ja mówię, do dzisiaj pewnie są w szoku po informacjach z maila Maxa, a potem po jego opowieści o sobie, którą też im przekazałam. Ależ wujek dobrze mówi po polsku!

– Mama mnie wytresowała... znaczy wyuczyła! – zaśmiał się Władysław. – Ja też mocno wzięłem sobie do serca wszystko, co mi gadał Max, aż się wtedy zdyszałem... to znaczy przejąłem. Mylą mi się takie słowa.

– Ale my wszystko rozumiemy. A Max też rozumie?

– Ja słucham i trochę rozumuje – zadudniło w głośnikach.

– Opowiedz jeszcze coś o Basi, twojej babci, znaczy Annie.

– Jest elegancką i śliczną kobietą, zna kilka języków...

Eliza opowiedziała o babci to, o czym wcześniej nie napisała Maxowi: co lubi, o jej pracy w operze, ale dodała też kilka słów o dziadku. Na zakończenie w kilku słowach przypomniała historię odnalezienia listów w biurku.

– Jakie to wszystko niezwykle, taki przypadek!

– A wiesz, wujku, ja przy tym biurku uczyłam się przez kilka lat i nie miałam pojęcia, że tam jest skrytka?!

– Mam nadzieję, że macie jakieś fotki tego biurka – zadudnił głos Maxa. – Mój kolega robi w drewnie, więc chcę, żeby mi zrobił takie samo biurko – zaśmiał się. – No i oczywiście tam musi być taka sama skrytka, jak u was!

– Od nas raczej niczego się o niej nie dowiesz, bo skrytka to skrytka. Tylko dziadek Mikołaj ją znał, ale wiesz co? Mama poznała w Warszawie takiego pana z Tel Awiwu, który może coś wam podpowie... – Teraz Eliza zaśmiała się.

– Ty się, Eliza, nie śmieję! Jak ja koledze zapłacę, to on tam pojedzie i zrobi, jak trzeba! – znowu zadudniło Maxem w głośnikach.

– Eliza, posłuchaj, jeszcze jedna sprawa, bo o szczegółach Max nic ci nie napisał, ani nie opowiadał. Kiedy moja mama, Krystyna Zalewska, usynowiła mnie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, miałem pięć miesięcy. Moi rodzice krótko przed tym zginęli w wypadku. Ich auto wpadło pod pociąg. Oboje byli jedynakami w swoich rodzinach – nikogo tutaj nie mieli. Zostałem zupełnie sam. Mama, która była wychowanką ochronek w Polsce, a tutaj też takie prowadziła, adoptowała mnie zupełnie nieoczekiwanie dla samej siebie. Opowiedziała mi, kiedy już dorosłem, że gdy pierwszy raz mnie zobaczyła i usłyszała od policjantów moją historię, nie mogła postąpić inaczej. Kochana mama! Była bardzo mądrą kobietą, oddaną temu, co robiła. Taki anioł, który porusza się prawie bezszelestnie, a do tego jeszcze cicho mówi. Bo ona mogła mówić tylko bardzo cicho, gdyż inaczej bardzo chrypiała...

– Wujku! Historię o tym, dlaczego miała taki głos, opowiedziała nam niedawno Felcia Skierka.

– Ta mała przyjaciółka mamy?

– Tak, ta sama.

– A czy w tej opowieści było coś o jej matce? To znaczy...

– Jeśli wujek myśli o zakonnicy, matce Florentynie, to tak – przerwała mu Eliza. – Bardzo smutna i wzruszająca historia.

– Przepraszam cię, Eliza, ale to był mój ostatni test, taki ostatni szczegół, który chciałem zweryfikować. Jestem bardzo wzruszony i szczęśliwy, że się odnaleźliśmy. Kocham was wszystkich i chciałbym się z wami jak najszybciej spotkać.

– Dziękuję, wujku, za dobre słowa, my też byśmy chcieli się z wami spotkać, ale to jest...

– Eliza, posłuchaj teraz uważnie mnie – głos Maxa zadudnił w głośnikach. – Tata się wzruszył i musiał sobie pójść...

– Oj, ale ja nie chciałam...

– On chciał sam o tym usłyszeć – chrząknął. – Kiedyś tata obiecał mi wspólną wycieczkę do Europy. Nie dziw się, że o tym opowiadam, tylko wysłuchaj uważnie. Zawsze myślałem, że z tą wycieczką żartuje. Chcieli, stać ich na to było, ale z drugiej strony powtarzali, że to zbędna ekstrawagancja; woleli wydawać na dzieci w ochronkach.

– Oooo!

– Tak było, gdy babcia żyła, i tak jest teraz. Zanim poszedłem na studia, miałem w życiu szalony okres, ciągle sprawiałem rodzicom kłopoty, no wiesz...

– To ty taki trochę... diabeł! – Wika nie wytrzymała.

– O! A już się martwiłem, że sobie poszłaś. Diabeł, powiedziałaś? Dobra nazwa! Tak! Czyli rozumiem, że wszystko wcześniej też słyszałaś, tak?

– Tak!

– To super! Bo teraz będzie dobra wiadomość dla was obu! – Dziewczyny spojrzały po sobie, a Wika pokręciła głową. – Przed egzaminami na studia tata przeprowadził ze mną bardzo poważną rozmowę. Z tą wycieczką nigdy nie żartowałem, powiedział. Chcemy, żebyś miał dobrze w życiu, ale jeśli dalej będziesz postępował tak, jak przez ostatnie dwa lata, to wycieczki nie będzie, a ja się zastanowię, czy ty w ogóle możesz po nas dziedziczyć! Zaniemówiłem! Siedziałem jak sparalizowany, bo nagle zrozumiałem, że ojciec nie żartuje. Długo milczeliśmy, a on na mnie patrzył i patrzył. I wówczas dopiero opowiedział mi tę swoją historię. Wcześniej jej nie znałem, nigdy nie chciałem dowiedzieć się czegoś o babci, o jej rodzinie. Byłem strasznym egoistą i za dobrze miałem... – W głośniku zapadła cisza, słychać było głęboki oddech.

– Jesteś tam, Max? – po kilku chwilach spytała Eliza.

– *Shit!* Przepraszam, *chicken!* Teraz mam kłopot sam ze sobą... – Znowu chwila ciszy. – Okej, wróciłem. Wtedy, podczas tej rozmowy, coś mi się w głowie przestawiło. Bo wiesz, zawsze byłem słabym uczniem, ale dobrym futbolistą. Studia miałem pewne, bo chciały mnie drużyny uniwersyteckie, a ja liczyłem na kilka lat fajnej zabawy – chrząknięcie. – Po tej rozmowie postanowiłem sobie, że koniec z takim durnym życiem. Wziąłem się do roboty. Pieniądze miałem, więc płaciłem kolegom i koleżankom za korepetycje. Powoli, powoli podciągałem się. Nawet... – zaśmiał się, aż zadudniło – zaczęło mi brakować czasu na trening i trener posłał mnie na ławkę rezerwowych. Ale ze studiów nie mogli mnie usunąć, bo już dobrze się uczyłem. A ojciec z semestru na semestr był coraz bardziej tym zdziwiony i uradowany, mama zresztą też.

– To teraz jesteś orzeł! – zapięła Eliza.

– Fiu, fiu! – dodała Wika.

– A wiecie, że na studiach takie właśnie miałem przezwisko? – znowu zadudniło. – Postanowiliśmy więc, że w sierpniu przyjedziemy całą rodziną pozwiedzać Europę: Anglia, Francja, Włochy! I wtedy dokończymy rozmowę o tym wszystkim.

– No co ty? Jak to?

– Niedługo napiszę ci wszystko, bo teraz na kilka dni chcę wyjechać z kumplami. Nie podam wam dzisiaj żadnych szczegółów, musimy z tatą dopiero porządnie zaplanować te europejskie wakacje.

– Ale ja w sierpniu nigdzie do Europy się nie wybieram – odparła zdziwiona Eliza.

– Dziewczyny! Chcemy z rodzicami przyjechać na kilka dni do Polski, ale najpierw musimy wszystko dokładnie omówić, bo to świeża sprawa. Okej? – Eliza i Wika były zaskoczone, po chwili jednak ich kciuki powędrowały w górę.

– Już się cieszę – rzuciła Eliza.

– Ja też – dodała Wika i zmieszała się.

– To trzymajcie się w takim razie! – znowu zadudniło od śmiechu. – Do usłyszenia! Bye! Bye!

– Bye! Bye! – odkrzyknęły dziewczyny zgodnym chórkim.

O co tu chodzi? Przecież to sprawa mojej rodziny, a nie jej... Eliza spoglądała na Wikę. Poza tym my się przecież prawie nie znamy, a Max chce widzieć nas obie. Do tego ona jest takim dziwadłem... Wiczka zasadniczka. Moja... przyjaciółka?

Boże! Wika przypatrywała się Elizie. Co ja mam z nią wspólnego? Z tym farbowanym dzikusiem z Poznania? Po co ja się wkręcam w nie swoje sprawy? Max jest jej rodziną, nie moją. Nic z tego nie rozumiem, za głupia jestem...

*

– A dlaczego mi wczoraj nie przysłaś opowiedzieć, że Eliza gadała z Władkiem? – zachnęła się Felcia i odstawiła filiżankę.

– Bo Kaśka przyszła z tym już po dziesiątej.

– No to masz szczęście, bo bym cię pogoniła.

– Ty raz tak, a raz tak...

– Mówiłam ci, że jak księżycy nie ma, albo jak kilka dni się na niego napatrzę, to chodzę wcześniej spać – uśmiechnęła się Felcia. – No, to mów wreszcie...

– Władek sprawdzał, to znaczy naprowadzał w rozmowie Elizę, żeby sama wypowiedziała imię Florentyna. – Felcia chwyciła twarz w obie dłonie. – To był jego sposób na ostateczną weryfikację, że ja to ja! Kiedy mi Kaśka opowiadała przebieg tej rozmowy, pomyślałam, że to wszystko jest tak niezwykle... taki przypadek... Władek w rozmowie z Elizą użył tych samych słów.

– Brat i siostra, jedna krew – wypaliła Felcia.

– Ale my przecież nie jesteśmy...

– No i co z tego, jednakowo myślicie. – Felcia błyszczącymi oczami wpatrywała się w Annę. – A co jeszcze mówiła Elizka?

– Władek ma przyjechać w sierpniu z żoną i Maxem do Europy, ponoć planują wpaść na kilka dni do Polski.

– Boże! A czy oni czasem nie bujają, że niby jadą do Europy, a faktycznie chodzi im o to, żeby przyjechać tylko do Polski?

– Nie! Ta wycieczka to prezent dla Maxa, w nagrodę za ukończenie studiów z wyróżnieniem. Chcą być we Francji, Anglii, no i Italii. Też bym tak chciała – rozmarzyła się Anna. – Sprawa wizyty w Polsce urodziła się dopiero wczoraj, przed telefonem. Jego rodzicom też się to wydaje irracjonalne, ale Max powiedział Elizie, że na pewno mu ulegną!

– Ten Max to dobry chłopak – uśmiechnęła się Felcia.

– A wiesz, że ja też będę mogła porozmawiać niedługo z Władkiem...

– Kiedy? Jak?

– Jak Eliza wróci z Helu, to Igor ma coś tam pogrzebać w komputerze, w programach, a może nawet załatwi jakiś inny, lepszy modem, żeby rozmowa stąd była możliwa.

– Co za emocje! – Felcia objęła dłońmi rece Anny.

Od schodów dotarł odgłos kroków; do kuchni wkroczyła Kaśka.

– Co wy się tak, dziewczynki, już od rana czulicie? – rzuciła od progu, spoglądając na splecione dłonie matki i Felci.

– A bo przeżywamy, że Władek z rodziną przyjedzie do Polski – odparła Felcia z uśmiechem.

Anna wpatrywała się w nieokreślony punkt za oknem. Milczała.

– Spójrz – Felcia dodała ciszej i wykonała lekki ruch głową.

Po twarzy Anny błąkał się delikatny uśmiech. Kaśka przygotowała sobie kanapkę z miodem i popijała ją małymi łydkami kawy. Wreszcie Anna poruszyła się. Skierowała wzrok najpierw na córkę, a potem na Felcię.

– Zastanawiam się, skąd się tacy ludzie biorą – zaczęła cicho. – Bo niby obcy człowiek, ale jak on musiał tę swoją matkę kochać...

– A czy trzeba daleko szukać, żeby znaleźć podobną sytuację? – zachnęła się Felcia. – Ty i Jutka! Tak samo! – dodała mocnym głosem. – Czasem matka z wyboru potrafi być lepsza niż ta prawdziwa! O!

Kaśka z wrażenia odłożyła kanapkę i odstawiła filiżankę. Anna aż wyprostowała się na krześle. Obie mierzyły Felcię wzrokiem. Ta poczuła się niepewnie; uśmiech zadowolenia po ostatniej tyradzie schodził z wolna z jej twarzy. Docierało do niej, co powiedziała. Przymknęła oczy.

– Felciu, wiem, co mi chciałaś przed chwilą powiedzieć. To piękne. Bardzo mnie to wzrusza i dziękuję ci za to. Władek i ja mieliśmy dużo szczęścia. Jutka i Krysia wybrały sobie nas i kochały nad życie. – Anna pogładziła spracowaną dłoń Felci. – A sobie niczego nie wyrzucaj, bo ty też kochasz Maćka.

– Nic nie rozumiecie! – Felcia zerwała się i szlochając, wybiegła z kuchni.

Anna i Kaśka w milczeniu dokończyły kawę.

*

Szli gęsiego brzegiem morza. Minęła godzina, odkąd wyruszyli ze stacji. Na czele kroczyła Wika, za nią stąpała Eliza, na końcu człapał Mrozu. Wika co jakiś czas zatrzymywała się, lustrowała wody morskie przez lornetkę w poszukiwaniu foki, morświna lub czegokolwiek, co by wzbudziło jej zainteresowanie. Czasem kucąca i podnosiła z piasku kawałek drewnianka lub coś innego, przyglądała się temu i albo wyrzucała, albo wkładała do foliowej torby. Od czasu do czasu robiła jakieś notatki. Idący za nią Eliza i Mrozu posłusznie wówczas przystawali, wpatrując się w jej egzorcyzmy. Eliza też czasami coś podniosła, ale częściej wykrzykiwała: „Mrozu! Podaj mi to! Nie to, tylko tamto!” – I wskazywała ręką. Zawłaszczyła go. On wskazaną rzecz podnosił, podawał jej, ona zaś, nie chcąc być gorsza od Wiki, nader starannie to oglądała, po czym odrzucała na bok. Ponieważ nic jej dotąd nie zaintrygowało, jej plastikowa torba ciągle była pusta. Na razie nie sporządziła też żadnej notatki. Mrozu swojej plastikowej torby nawet nie wyciągnął z kieszeni. Szedł znudzony i poirytowany, rozchlapując stopami nacierającą w przyboju wodę. Na głowie miał dziwny zielony kapelusz, na torsie furkotał mu zbyt długi zielony t-shirt, z niesionego na ramieniu grubego kija zwisały, dyndając na sznurówkach, adidas. Pewnie żałował, że brakuje mu harmonijki, gdyż zaraz na początku marszu Eliza zauważyła, że podobny jest do Włóczykija. Bardzo mu się to porównanie spodobało, więc brak instrumentu rekompensował sobie pogwizdywaniem smętnych melodii. Tylko to go utrzymywało w jako takiej formie psychicznej, którą pogarszała narastająca z każdym krokiem irytacja, wywołana bezsensownym, jego zdaniem, monitoringiem, polegającym na zbieraniu patyków i innych śmieci.

– Czy nie uważacie, że te patyki i inne duperele mogliśmy pozbierać sobie na

promenadzie, a potem usiąść pod parasolem przy piwku? Ja bym przecież postawił – dodał chępliwie.

– Mrozu! Podaj mi to, co leży metr przed tobą, takie zielone – przywołała go do rzeczywistości Eliza, puszczając mimo uszu jego wynurzenia. – Co to jest?

– Mrozu, zostaw to, nie dotykaj! – wrzasnęła Wika. – To może być żrące! – Podbiegła do... zielonego czegoś leżącego przy nogach Elizy i Mroza.

Kucnęła i nałożyła na dłoń plastikową rękawiczkę.

– To wygląda jak rozkładający się glon!

Wika uniosła jego fragment na patyku bliżej oczu, obejrzała z kilku stron i powąchała. Eliza spoglądała na jej zabiegi z rosnącym zainteresowaniem, a Mrozu z rosnącą dezaprobatą.

– Tak, to już gnije. Ma charakterystyczny zapach.

– Chyba smród – wtrącił Mrozu, otrząsając się z obrzydzeniem.

– A właśnie, że zapach. – Wika nawet nie uniosła głowy. – Trochę przypomina siarkowodór, ale to nie to. Nie potrafię tego nazwać. Eliza, może ty spróbujesz?

Ta, wykrzywiając się niemiłosiernie, dała się jednak namówić dla dobra nauki.

– Siarkowodór to faktycznie nie jest, ale śmierdzi obrzydliwie... – Najpierw wstrząsnęła się, a po chwili uśmiechnęła. Mrozu pokiwał głową.

– Wyrażajcie się bardziej naukowo. – Wika z pozycji w kucki spojrzała z wyższością na Elizę i Mroza. – W nauce nie ma pojęcia smród.

– Wiczka... – jęknął Mrozu, na co Wika przeszła go stalowym spojrzeniem. – Przecież to po prostu śmierdzi, a podnoszenie takich gównien i jeszcze obwąchiwanie ich to już naprawdę jakiś masochizm.

– Słuchaj i ucz się, orle!

– Mrozu jestem. Zapomniałaś?

– Mam w bocznej kieszonce plecaka małe plastikowe torebki. Eliza, sięgnij po nie, proszę. Weźmiemy ten glon do stacji do przebadania.

– A coś podejrzewasz? – Elizę zaintrygowały słowa i działania Wiki.

– Dotknęłam przypadkiem palcem i wydaje mi się to bardzo śliskie, co może wskazywać, że tam, skąd ten glon przydryfował, intensywnie kwitną sinice. Wiadomo przecież, skąd wieje wiatr i będzie można przynajmniej ostrzec turystów. Może szef stacji przekaze gdzieś tę informację dalej i odpowiednie służby zrobią rekonesans, monitoring z powietrza?

– O kurczę! Aleś ty mądra – cmoknęła z podziwem Eliza. – Nigdy bym nie pomyślała.

– No nie! Druga zakręcona! Jakież śmierdzące byle co znalazły i chcą wywołać nalot lotniczy na morze! – Mrozu podniósł ręce do nieba.

– Ty to naprawdę jesteś czubek. A już myślałam, że tylko po pijaku ci odbija – powiedziała z wyrzutem Wika, a Eliza tym razem jej przytaknęła.

Mrozu widząc, że obie zaperzyły się nie na żarty, spuścił wzrok i odszedł parę kroków, ze złością wzbijając stopami fontanny piasku. Nagle dojrzał coś i ruszył w tym kierunku.

– O, tu jest jeszcze jedno takie zielone gówno! A tam leży następne! – wrzasnął.

– Nie dotykaj tego! – krzyknęła Eliza.

– Chyba, że chcesz mieć poparzenia, biegunkę lub zawroty głowy – dopowiedziała Wika. Mrozu zaczął się drapać i złapał za brzuch.

– Trzeba było tak od razu – jęknął.

Dziewczyny ostrożnie zapakowały fragment glonu do torebki. Wika wyciągnęła notatnik i odnotowała zdarzenie.

– Mrozu! Znajdź trzy porządne patyki, wbijemy je w trójkącie, a w środku położymy duży kamień. Nie tutaj! Tak z pięć metrów od brzegu, bo może być duży przybój i nikt tego miejsca nie znajdzie!

– Mrozu to, Mrozu tamto. Tylko komenderuj! Co wy byście bez Mroza same tutaj zrobiły?

– Ale mógłbyś chociaż myśleć?! – Wika rozsierdziła się. – Choć trzeba ci przyznać, że dzisiaj poświęciłeś kilka minut dla rozwoju nauki – dodała po chwili pojednawczo.

– Zartujesz! – Mrozu stanął jak wryty. – Zbieranie patyków i innego badzewia to wkład w rozwój nauki? Naprawdę? Nigdy bym nie pomyślał... – pokręcił głową.

– A widzisz! Dokonałiśmy dzisiaj ważnego odkrycia. Jeśli jest tak, jak myślę, to szef będzie z nas zadowolony. Przerwywamy więc monitoring, bo te glony trzeba szybko przekazać do laboratorium. Przedzwonię tylko do nich... – Wika sięgnęła po telefon.

– Czyli będę mógł dzisiaj pójść wcześniej na piwko! – Mrozu, nazwany Włóczykijem, zagwizdał tym razem wesołą melodię.

– A ten znowu to samo – jęknęła Wika.

– Ten typ tak ma – dodała z uśmiechem Eliza.

Słyszeć, ale nie widzieć



Przykre wydarzenia ostatnich dni położyły się cieniem na relacje pomiędzy Felcją, Anną i Kaśką. Wszystkie trzy kobiety spotykały się przy posiłkach, rozmawiały o drobiazgach, ale każda czuła się najlepiej we własnym towarzystwie. Potrzebowały jakiejś odmiany, kontaktu z innymi osobami, zwłaszcza że w międzyczasie wyjechali z „Iskierki” pozostali letnicy – Ludka z Arturkiem i Zagórscy.

Na przyjęcie z okazji imienin Anny Felcia zaprosiła więc Marysię i Stacha z żoną. Jako że poprzedniego dnia słońce zachodziło krwawo i Felcia przepowiedziała na wieczór świętej Anny wiatr i pierwszy chłód, stół miał zostać nakryty w kuchni.

Anna przypadkiem usłyszała rano fragment szeptanej rozmowy pomiędzy Felcją i Kaśką, a resztę sobie dopowiedziała. Od poobiedzia udawała, że nie widzi przygotowań. Wymówiła się bólem głowy i poszła do siebie. Oznajmiła, że zejdzie dopiero na kolację. Kiedy Kaśka wróciła chwilę po osiemnastej i poprosiła ją, by zeszła za godzinę na dół, bo mają dla niej niespodziankę, udała zdziwienie. Chwilę po siódmej spłynęła na dół w kwiecistej sukience, rozpuszczonych włosach, z kolorowymi dodatkami. Wyglądała uroczo. Czekał na nią tort z wianuszkami zapalonych świeczek i śpiew *Sto lat*. Udała zaskoczenie. Z przejęciem zdmuchnęła świeczki, przyjęła życzenia i upominki. Kiedy wszyscy wygodnie się rozsiedli, a Stach rozpoczął wygłaszanie toastu, do kuchni wkroczył ksiądz proboszcz. Już od progu zaczął mówić.

– Moja droga parafianko Anno, proszę przyjąć piękne życzenia w dniu swojej patronki świętej Anny. Proszę Boga, aby dał pani dużo zdrowia, by mogła być z nami na wiele długich lat. – Uścisnął jej rękę. – Ponieważ są to pierwsze pani imieniny u nas, nie mogłem sobie odmówić przyjemności odwiedzenia jej.

– Nie spodziewałam się tak miłego gościa...

– To wszystko przez to, że kilka dni temu o pani pomyślałem...

– Ooo! – rozległo się u stołu.

– Tak, tak, przyznaję, pomyślałem. A jak już pomyślałem, to postanowiłem sprawić pani przyjemność. – Wyciągnął z kieszeni sutanny płaskie zawiniątko i położył przed Anną.

– A cóż to takiego? – uśmiechnęła się.

– Aa, proszę rozpakować.

– Oj! to przecież piąta i siódma symfonia Ludwiga van Beethovena! – zawołała Anna po odwinięciu papieru. – Uwielbiam je! Skąd ksiądz wiedział?

– Kiedy rozmawialiśmy na plebanii o Griegu, tak mi się wydawało, że Beethoven również nie jest pani obojętny. O coś jeszcze muszę panią spytać, ale to dopiero po toaście – uśmiechnął się.

– Pani Aniu. Anno... – rozpoczął Stach i łypnął na proboszcza.

– Mów pan tak, jakby mnie tutaj nie było.

– Znaczy się... Anno nasza, Anno miła, / coś w Poznaniu dotąd żyła, / niech Parchowo tobie służy, / dom wybuduj tutaj duży, / żyj tu z nami w szczęściu, w zdrowiu, / i przy pełni, i przy nowiu! – Stach, wyrecytowawszy ciurkiem, nabrał powietrza.

– Niech twój dobry czas nadejdzie... – Felcia weszła mu w słowo, po czym dorzuciła: –

...pijmy szybciej, bo szkłem przejdzie! – zawołała roześmiana i podniosła kieliszek w górę, wszyscy uczynili podobnie.

– Zdrowaś Mario! Eee, to jest, zdrowaś Anno, znaczy: zdrowia, Anno! – zaplątał się proboszcz i machnął rozbawiony ręką.

Wszyscy spełnili toast.

– A dlaczegoś mi przerwała? – Stach spojrział na Felcię. – Przecież miałem jeszcze dwie zwrotki – zaśmiał się. – To był mój pierwszy występ od skończenia podstawówki... He, he, he! No dobra, dokończę za rok.

Wszyscy roześmiali się serdecznie.

– Wracając do pytania... czy pani wie, kim była święta Anna? – spytał proboszcz, gdy ucichło, i uśmiechnął się zagadkowo.

Anna spojrzała na niego zakłopotana.

– To wielka postać. Po pierwsze: jej rodzice, według legendy, byli potomkami sławnego rodu Dawida, a ona sama była matką Maryi, której synem był Jezus Chrystus.

– Ooo! – rozległo się znowu wokół stołu.

Anna nagle wsparła się na łokciach. Wpatrywała się z poważną miną w siedzącego naprzeciw księdza.

– Coś się stało? Źle się poczułaś? – zaniepokoiła się Felcia.

– Sama nie wiem... Tak pragnęłam tego dzisiejszego spotkania, a teraz sobie uzmysłowiłam, że przecież nie jestem Anną, tylko Barbarą. Tak mi przecież dali na chrzcie, prawda? – Przeszyła księdza wzrokiem.

Ten niespeszony położył dłonie na stole, oparł się o oparcie krzesła i dobrotliwie uśmiechnął.

– Także wiele o tym myślałem. Chrzczyny, a potem nagła potrzeba zmiany imienia... W sytuacji, jak to się dzisiaj mówi, ekstremalnej, w stanie wyższej konieczności. Pani Jutka wypowiedziała w szpitalu bezwiednie imię Anna, gdyż dostrzegła literkę A. Była w tym bardzo naturalna i przekonująca. Prawda? To jak to nazwać? – Przynął się do stołu i oparł o niego łokciami, przyglądał się Annie.

Ta potarła palcami skronie i rzuciła wzrokiem na Felcię, a potem na córkę.

– Nic nie rozumiem – wyszeptała i opadła na siedzenie.

– Wszystko wie tylko On. – Wskazał palcem w górę. – Jutka ujrzała znak i doświadczyła daru wypowiedzenia słowa, imienia. Widocznie tak miało się stać, tak było jej i pani pisane. Więc proszę się nie trwożyć, że nosi pani nieprawnie imię Anna. On dał na to przyzwolenie! – Znowu podniósł palec w górę. – Panie Stachu, czy pan zasnął? – roześmiał się rubasznie.

– Nie, nie, ale zrobiło się jak na kazaniu w niedzielę! Prawie się zdrzemnąłem –zaśmiał się Stach Janik, aż zatrzęsły mu się policzki. – Już dawno jest nalane... chciałem się zasłonić i samemu łyknąć, ale dobrze, że ksiądz już skończył.

– To teraz wypijmy za zdrowie moich gości – nieoczekiwanie rozchmurzyła się Anna i potoczyła wzrokiem wokół stołu. – Dziękuję, że jesteście.

– Pani Aniu, ale na Barbary też proszę nas zaprosić, bo pani musi nadrobić te wszystkie imieniny, które obchodziła pani poza Parchowem – zaśmiała się Marysia i potrząsnęła końskim ogonem.

– Tak! Słusznie pani prawi. To nam się absolutnie należy! – Proboszcz przełożył rękę na drugą stronę stołu i delikatnie poklepał Annę po dłoni.

Toasty, głośne rozmowy i śmiechy długo jeszcze roznosiły się po domu.

*

Kaśka ucieszyła się, że w piątek w południe Wanda, Teresa i Robert rozjechali się z wycieczkami po świecie. Klientów było mało, więc przeglądała dokumentację firmy, zastanawiając się nad ewentualnymi korektami. Dużo czasu poświęciła na zapoznanie się z rocznym planem finansowym i harmonogramem wycieczek. Trochę się w tych dokumentach gubiła, zanim zrozumiała nieco pokrętny układ tabel zrobionych w Excelu. Poza tym dokumenty wyglądały tak, jakby dosłownie przed chwilą zostały wydrukowane. Lubiła, kiedy dokumenty żyją, widać na nich pracę, uwagi. A tutaj? Nawet jednej fajeczki ani podkreślenia! Pracę przerwał jej telefon. Maciej!

– Witaj, Kasiu! Przyjeżdżam dzisiaj wieczorem – usłyszała jego baryton i natychmiast poczuła mrowienie w stopach.

– To miło, ale... czy zobaczymy się? – spytała.

– A będziesz mogła pod wieczór wpaść do Marysi?

– Oczywiście.

– A więc jesteśmy umówieni?

– Bardzo umówieni...

– Bardzo co?

– Bardzo się cieszę, ale bardzo... umówieni też... – roześmiała się.

– Do zobaczenia w takim razie.

– Do zobaczenia!

Kasia opadła na fotel. Mrowienie w stopach, motyle w brzuchu i szum w głowie. Wszystko na raz i to tylko przez tembr jego głosu. Wyobrażała sobie, jak uśmiechają mu się oczy spoza małych okrągłych szkiełek i kołysze kitka zebrana czarną gumką; kiedyś nie lubiła kitek u mężczyzn. Rozejrzała się po biurze. Nie wysiedzi tutaj do siedemnastej. Musi się urwać. Spojrzała na zegarek. Trzynasta trzydzieści siedem. Wróciła do przerwanej zajęcia i po kilku minutach komplet dokumentów miała już złożony i zapakowany w teczkę z gumką. Spojrzała znowu na zegarek. Trzynasta czterdzieści dwie. Sięgnęła po telefon i wybrała numer Krzysztofa.

– To ty, Kasiu? – usłyszała na powitanie.

– Tak, to ja, twoja Kasia! – odpowiedziała.

Bożesz! – uderzyła się kilkakrotnie pięścią w czoło. Co ja wygaduję!

– Tak ładnie mnie przywitałaś, więc myślę, że dzisiaj już nie będzie problemu ze spotkaniem się.

– Właśnie w tej sprawie dzwonię.

– O! Jak miło...

– Chyba nie bardzo, bo mama... źle się czuje i muszę wrócić natychmiast do Parchowa – skłamała.

– To ja specjalnie pędzę z Poznania, żeby się z tobą zobaczyć, a ty... już kolejny raz... Czy ty mnie unikasz?

– Krzyś! Mama ma dołek. Mówiłam ci, że wpadła w niego po spotkaniu z Ryszardem.

– Ale czy ty musisz cały czas ją tulić, dopieszczać? Nie przesadzaj!

– Muszę ją wspierać, wiesz przecież, że ma problemy z sercem!

- No, a kiedy będziesz mogła...?
- Zadzwoń po niedzieli.
- To nieodwołalne?
- W tej sytuacji tak.
- W takim razie zawracam do Poznania, chociaż jestem już pod Chodzieżą...
- Szkoda mi ciebie...
- Popracuję trochę nad papierami. Pa!

Kaśka uspokajała oddech. Nad moimi papierami chcesz pracować? Ty...? To w twoich papierach jest bałagan i dlatego biorę je do domu na weekend! Moje lepiej zostaw! Oj, żebyś ty wiedział, jaka mama jest silna, kiedy ma kłopoty. Wtedy zrobi wszystko jak najsilniejszy... wałach! Ale palnęłam! – zaśmiała się głośno. Chyba powinno być jak koń ardeński albo perszeron! Spojrzała za okno i po namyśle zadzwoniła do Anny.

- Mamuś?! Za godzinę jestem... Muszę odetchnąć! Jedziemy nad jezioro!

Cypel przywitał je kilkoma namiotami i lekko zachmurzonym niebem. Znalazły dla siebie spokojne miejsce, odległe od innych odpoczywających wczasowiczów.

- Wagary sobie zrobiłaś? – Mama puściła oko, gdy rozłożyły ręczniki.

- Rozleniwiłam się i nie chce mi się wcale pracować! Zresztą tam prawie nie ma ruchu. Dzisiaj trzy wycieczki ruszyły w świat, a ja wymówiłam się Krzyškowi... tobą! – zaśmiała się głośno.

- Jak mną?

- To ty nie wiesz, że dzieci zawsze usprawiedliwiają się chorą mamą?

- Ty niedobra dziewczucho! Z matki robisz umarlaka? – Anna wymierzyła Kaśce soczystego klapsa.

- Ała! To boli! – wrzasnęła Kaśka.

- To miało boleć – zaśmiała się Anna. – I co jeszcze skłamałaś?

- Więcej grzechów z dnia dzisiejszego nie pamiętam. – Kaśka zrobiła buzię w ciup. – Po prostu zatęskniłam za naszym cypelowym *la dolce far niente*...

- Dobrze, że przyjechałaś. Wykąpmy się!

*

Wiem, że ty wiesz, z kim się za chwilę spotkam, pomyślała Kaśka, wychodząc wieczorem z „Iskierki” i machając na pożegnanie Felci, która odprowadzała ją wzrokiem. Do szkoły dotarła jak na skrzydłach. Drzwi wejściowe otworzył uśmiechnięty Maciej.

- Witaj, Kasiu – jego baryton wprawił Kasię w drżenie.

- Witaj, Maćku. Dobrze, że jesteś. – Pocałowała go w policzek.

Maciek z wrażenia zupełnie się pogubił. Ni to schylił się, by ucałować jej dłoń, ni to chciał powtórzyć gest Kaśki. W efekcie tego szamotania przytulili się na chwilę.

- Musiałem przyjechać, bo się umówiliśmy, choć zaraz po twoim telefonie dostałem inny – wydukał w sposób zupełnie niepodobny do niego.

- Kaśka spojrzała na niego badawczo.

- Niczego nie musiałeś – wymsknęło jej się, teraz on zmierzył ją wzrokiem.

- Oj, źle powiedziałem. Bardzo chciałem przyjechać, żeby cię chociaż na chwilę zobaczyć. Tylko nie mogę zostać na weekend, bo jutro i w niedzielę mam sympozjum. Właściwie to warsztaty, a nie sympozjum, a w gruncie rzeczy to dni otwarte instytutu,

wiesz, takie działania w ramach klastra naukowego, finansowanego z programu konsolidacji... – zamilkł, gdyż Kaśka spoglądała na niego coraz bardziej rozszerzonymi oczami.

Nie mogła się nadziwić, że tak nieudolnie można próbować wyjaśnić coś tak oczywistego. Zmrużyła oczy i przytuliła się do niego.

– Ty nawet nie wiesz, jak poprawiłeś mi już humor, więc zostaw te zawile tłumaczenia i jeśli potrafisz, i chcesz, nacieszmy się tymi kilkoma chwilami. – Poszukała jego ust i przywarła do nich.

– Oj, przepraszam! – krzyknęła Marysia, wpadając na nich z impetem. Zasłoniła teatralnie oczy.

– To ja przepraszam, że nadużyłem gościnności – wydukał Maciek. Kaśka i Marysia spojrzały po sobie i parsknęły śmiechem.

Maciek stał zmieszany i uśmiechał się niepewnie, jak licealista przyłapany na jakimś niewłaściwym uczynku.

– To już trochę trwało, więc pomyślałam, że nie możesz dać sobie rady z zamkiem – zatrajkotała Marysia. – On czasami się zacina... – machnęła dłonią. – Chodźmy wreszcie na górę, bo chce mi się... – zawiesiła głos i spojrzała na obojga – ...kawy! – wykrzyknęła. – Mnie się też chyba coś od życia należy, no nie? – Sunęła przed nimi po schodach, kręcąc pupą. – Inni mogą się spotykać, a ja ...*sama w taką noc*...

Godzina przy kawie minęła niepostrzeżenie. Kaśka wracała w dobrym humorze. Gdy wysiadała przy „Iskierce”, zadzwonił Krzysztof.

– Co do tych waszych poznańskich papierów, to ja chcę się z nimi tylko zapoznać. Żeby w Kartuzach takie były... – powiedział przepraszającym tonem.

– Wydawało mi się, że je krytykowałeś!

– W życiu! Wróciłem do Poznania i właśnie kończę je przeglądać. Wszystko jasne, plany i harmonogramy przejrzyste, może byś tam zrobiła na wzór tych?

– Właśnie je wzięłam ze sobą, żeby poprzeglądać w weekend.

– Wiesz co? Zrób sobie w takim razie cały najbliższy tydzień wolny, tylko wywieś na drzwiach kartkę z notką o urlopie – zaśmiał się Krzysztof.

Kaśka z wrażenia przystanęła. Przez jej głowę przelatywały myśli jak błyskawice.

– Dziękuję, mama się ucieszy. Tylko wiesz co? Musisz z archiwum dokumentów przysłać mi mailowo ich wzorce, bo inaczej...

– Jasne, zaraz je wyślę. To już nie przeszkadzam. Całuję cię!

– Ja też!

Spojrzała na krwawe słońce chowające się powoli za horyzont.

A to go podkreśliłam! Do faceta trzeba jednak czasami twardo!

*

Kaśka wstała o siódmej, dużo wcześniej niż w inne wolne dni. Kiedy zeszła na dół, mama z Felcią kończyły poranną kawę.

– Mam nadzieję, że nie odmieniło ci się i idziemy na kurki. – Anna zmierzyła ją wzrokiem.

– Kurnik to domek kurek... – dziecinnym głosem odpowiedziała Kaśka; obie się roześmiały. – Oczywiście, mam, idziemy, ale chyba nie muszę jakoś tak specjalnie się

spieszyć, co? – Przerzuciła wzrok z mamy na Felcię i z powrotem, obie wykonały przeczący ruch głową.

– Stach zaraz przyjedzie. – Felcia wskazała na zegar na kredensie; dochodziło wpół do ósmej.

W tej samej chwili od bramy rozległ się klakson.

– O! Stach przyjechał. Musimy iść. – Felcia wstała i ruszyła do sieni.

– A moje śniadanie, kawa... – jęknęła Kaśka.

– Nie rycz, mała – uśmiechnęła się Anna i wskazała na kosz stojący przy wyjściu. – Zrobiłam ci kanapki, jest lemoniada, a w termosie nawet kawa. Wiedziałam, że wstaniesz później.

Łąka za bramą przywitała ich zapachem i rześkim wiaterkiem. Stach przeciągał się koło samochodu, ziewając szeroko.

– Jeszcze trochę i pojechałbym sam. Myślałem, żeście kobiety zapomniały – zaśmiał się.

– A Felcia nie jedzie?

– Jedzie, jedzie... – Kaśka wskazała w kierunku werandy, na której pokazała się właśnie gospodyni „Iskierki”.

Anna nachylona do wnętrza auta spoglądała niepewnie na tylne siedzenie obsypane różnymi klamotami. Delikatnie je przekładała z miejsca na miejsce.

– Ojej! Jak przeszkadzają, to zrzucić je na dół i już. Felcia i tak będzie zła, że siada pani na jej miejsce – rzucił Stach.

– Ona jest starsza, więc niech usiądzie wygodniej – rzuciła Anna i podniosła nogę, decydując się zająć wreszcie miejsce z tyłu.

– Stój! – wrzasnęła Felcia, która zauważyła ten ruch. – To moje miejsce, przywykłam do niego! – Anna z lekkim przestachem wycofała się. – Tam mam taką ulubioną śrubę, która mnie zawsze bodzie w pewne miejsce – zarżała Felcia i klepnęła się w tył biodra.

– A nie mówiłem! – zawtórował jej Stachu.

– No dobra, dobra. – Anna, zaśmiewając się, obesła samochód i usiadła obok Stacha.

Teraz z kolei Kaśka, unosząc co chwila biodra, wygarniała spod siebie jakieś przedmioty, Felcia przyglądała jej się z rozbawieniem.

– O! jeszcze wiertło, nie zauważyłam – syknęła Kaśka, pokazując Felci.

– Małe, więc niczego złego nie robi. Na pewno nie wkręci się gdzieś tam... To przecież tylko dziesiątka, he, he, he – zaśmiał się rubasznie Stach, a Felcia znowu mu zawtórowała.

– To dokąd jedziemy? – spytała Felcia.

– Na Bawernicę, na nasze stałe miejsce za brzezinką.

Wyjechali na szosę wspinającą się lekkim łukiem w las.

– Ładnie tu – odezwała się Anna.

– Lasy wszystkie są ładne – rzucił filozoficznie Stach Janik.

– Mama zaraz powie, że te są bardziej pachnące, już nie mówiąc o tym, że bardziej zielone – uśmiechnęła się Kaśka.

– A żebyś wiedziała, że tak czuję i widzę – ofuknęła ją Anna.

– Aniu, masz rację. Nigdzie nie ma takich pięknych lasów jak nasze kaszubskie – Felcia wydeła usta.

– A do jakich to innych lasów my zawsze jeździmy, jak nie do kaszubskich? – rzucił zdroworoządkowo Stach Janik.

– Ej, jak tak można gadać? Są najładniejsze i koniec gadania! Jedź prosto! – wrzasnęła

Felcia, dociśnięta pędem auta do drzwi.

– Kiedy tu zakręty – zaśmiał się Stach.

– To chociaż wolniej, żeby tak nie rzucało...

– Wolniej to jeżdżę na wstecznym. He, he, he.

Przed nimi pojawił się wśród zakrętów mostek nad rzeką.

– Słupia. Tu nawet można dostać pstrąga... Pychota, taki prosto z rzeki... – Stach oblizwał się.

– A ktoś tu sprzedaje? – zainteresowała się Anna.

– Dostać to znaczy złowić, a kupić to można z hodowli, nawet w samym Parchowie. A chcecie? Mogę wam uwędzić.

– To pan wędzi ryby...? Czego pan jeszcze nie potrafi?

– No... tego chyba jeszcze nie wymyślili... – zaśmiał się Stach. – A tam, po lewej, jest droga do leśniczówki. Całkiem niedaleko.

– Ale ten las jest naprawdę ładny – nieoczekiwanie odezwała się milcząca dotąd Kaśka. – I to zupełnie niedaleko od „Iskierki”. Możemy tutaj przychodzić nawet spacerem. A co tam dzieci na górce zbierają?

– Jagody. Za godzinę, dwie, każde będzie miało pełne wiaderko i do skupu. Zarobią sobie parę groszy – wyjaśniła Felcia. – Całymi rodzinami chodzą... jak jest dużo jagód to można podratować trochę budżet domowy.

– Zaradni ludzie – pochwaliła Kaśka.

– To głównie z potrzeby. Ci, co nie mieli ziemi, a pracowali w pegeerach, czasem nie mają wyjścia. Grzyby też warto dawać do skupu.

Minęli zagajnik świerkowo-sosnowy, posadzony po obu stronach szosy na niewielkich wzgórkach.

– Już w przyszłym roku będą tu maślaki – rzucił Stach.

– Jo – potwierdziła Felcia.

– Fajna brzezina w przecince porosła. – Stach wskazał głową. – W zeszłym roku dostałem tu sporo kozaków i czerwonołowców.

– Nie gadałeś mi nic. Pewnie bałeś się, że zaraz tu przyleżę, co? – Felcia klepnęła go w ramię.

– E, tam. Nie złożyło się jakoś – mruknął, uśmiechając się od ucha do ucha Stach.

Las stawał się coraz wyższy.

– No, to tutaj sobie zaparkujemy... – Zwolnił i wjechał na niewielki leśny parking.

– Musimy przejść z pięćset metrów, a potem zrobimy sobie kurkowe żniwa. Wczoraj pod wieczór byłem sprawdzić.

Zachwycona Anna spoglądała na drzewa i głęboko oddychała.

– Gdybyście kiedyś same chciały przyjechać do lasu, to patrzcie na słupki; one są co sto metrów. – Stach wskazał na słupek stojący przy drodze obok parkingu. – Na samej górce czasem jest numer drogi, potem liczba kilometrów od jej początku, a najniżej liczba setek metrów ostatniego kilometra. Jak wyleziecie na drogę, a nie będzie widać auta, to kiedy spojrzycie na słupek, już będziecie wiedziały, w którą stronę iść. Proste? Nigdy nie wiadomo, kiedy to się może przydać.

Po kilku minutach znaleźli się pośród nieco niższych drzew. Felcia i Stach zaczęli powoli przeczesywać niewielki zagajniczek sosnowo-świerkowy, Anna i Kaśka przyglądały im się.

- Czy kurki rosną według jakiejś reguły?
- Jo! Najważniejsza reguła to mało ludzi – zaśmiała się Felcia.
- Idzie się na wycucie – dodał Stach. – O! Zaczynają się już! Patrzcie... Trzeba tylko trochę uchylić mech, a tam... żółto. – Wskazał na dużą kolonię sporych kurek.
- Ja też już znalazłam! – krzyknęła po chwili Kaśka, unosząc w górę gałąź iglaka i grzebiąc wśród mchu.
- A ja mam tutaj! – kucając, zawołała Anna.
- No, to teraz już wiecie – Felcia uśmiechnęła się. – Ile nie nazbieramy, to i tak wystarczy. Na pewno będzie i do zjedzenia na świeżo, i do octu. A jak się nam zachce, to w przyszłym tygodniu znowu pójdziemy do lasu.
- Ja tak samo planuję! – wykrzyknął Stach.
- Kobiałki i koszyki szybko wypełniały się grzybami.
- Dopiero pół godziny i już tyle znaleźliśmy – Kaśka nie mogła się nadziwić.
- Nigdy na raz nie widziałam tak dużo kurek – zachwyciła się Anna.
- A dużo chodziłaś na grzyby? – Felcia, prostując się, rozcierała oburącz krzyż.
- Parę razy w życiu – odparła nieco speszona Anna.
- No, to wiele tłumaczy – roześmiała się Felcia.

*

Anna kłęzczała wśród jagodzin i spoglądała na pochyloną Kaśkę, wrzucającą raz po raz po kilka granatowych kulek do żółtego wiaderka. Spojrzała na swoje dłonie, potem na dłonie córki. Granatowe.

- Pokaż język! – Zmrużyła oczy, kiedy Kaśka otworzyła buzię. Roześmiali się.
- Gdyby ktoś z Poznania nas teraz zobaczył... – Anna usiadła na mchu. – Ależ tu bosko, co, córcia? Rano mnie zaskoczyłaś z tym urlopem...
- Tyle tu się dzieje, że zupełnie zapomniałam! Wczoraj pojechałyśmy z Marysią do Kartuz, głównie po to, by wywiesić informację, że biuro jest zamknięte przez tydzień. A z mojego gadania wyszło, że pojechałyśmy na lody. One były tylko dodatkiem. – Kaśka uśmiechnęła się, odstawiła wiaderko i usiadła obok matki. – Nie myślałam, że zbieranie jagód jest takie męczące – stęknęła.
- Mhm... ja też już opadłam z sił. Felcia miała rację, żebyśmy nie brały drugiego wiaderka. – Pokazała głowę. – To mamy prawie trzy litry, co? A te dzieci, pamiętasz w sobotę?
- Każde z nich miało duże wiadro... – Pokręciły głowami.
- Jak okiem sięgnąć, jagodziny... – Anna podniosła ramię. – To wracamy, czy przejdziemy się jeszcze trochę po lesie?
- Możemy... – zgodziła się Kaśka. – Ale jagód już nie zbieramy, co?
- Brodziły przez wysokie jagodowe krzaki, aż doszły do szczytu pagórka. Stamtąd dojrzały niewielkie zagłębienie, a dalej kolejny pagórek. Przed nimi błyszczało niewielkie oczko wodne, wokół którego rosły krzaki jałowca.
- Po lewej jest niewielka brzezina, może tam znajdziemy kozaki – zaproponowała Kaśka.

Maszerowały zadowolone, wpatrując się pod nogi.

- No niestety, żadnych grzybów – stęknęła Kaśka.

– Kiedyś Stach mówił, że zna zagajnik z jodłami i modrzewiami, gdzie zawsze rosną jakieś grzyby. – Anna zatrzymała się, gdy wyszły z brzeziny. – Spójrz tam – pokazała w prawo. – Czy to nie właśnie jodły i modrzewie?

– Okej! Może tam? – zapaliła się Kaśka.

Zeszły z jednego pagórka i wspięły się na kolejny. Wysokie drzewa dostojnie szumiały, na ziemi leżały niewielkie szyszki i wiele igliwia. Tylko gdzieniegdzie pojawiały się skąpe kępki mchu albo trawy.

– W jednym lesie kilka lasów... Jakie to wszystko ciekawe, ale grzybów nie ma! – Anna machnęła z rezygnacją dłonią.

– Może to nie ta pora? – mruknęła Kaśka. – Wracajmy już!

– A w którą stronę musimy iść? – Anna spojrzała na córkę.

Kaśka rozejrzała się wokół.

– Myślę, że stamtąd przyszliśmy. – Wskazała ręką.

– Mam nadzieję, że jakoś to śledziłaś, bo ja wcale – uśmiechnęła się zawstydzająco Anna.

Wdrapały się na kolejny pagórek. Anna spojrzała na córkę.

– Tak mi tutaj dobrze... A teraz dokąd, Kasiu? – Ta znowu wskazała kierunek.

Zeszły w dół, kierując się w stronę jasnej plamy brzeziny.

– Tylko tamta brzezina była jakaś inna... – Kaśka zawahała się.

– Jak to inna? – zdziwiła się Anna. – Ale dobrze idziemy? – Spojrzała na córkę.

– Już nie jestem pewna...

Kaśka przystanąła. Rozglądała się wokół.

– A przedtem byłaś pewna, kiedy zaczęliśmy powrót?

– No, nie bardzo, ale wydawało mi się, że niedaleko odeszliśmy i poznaję. – Kaśka pocierała nerwowo czoło. – Chyba zadzwonię do Stacha.

– No to dzwoń, dzwoń!

– Panie Stachu, potrzebujemy pomocy! Trochę się zgubiłyśmy.

– A jak ja mam wam pomóc? Skąd mogę wiedzieć, gdzie wy jesteście?

– No, w lesie!... – krzyknęła Kaśka z rozpaczą w głosie.

– Aha, w lesie! He, he, he! A zapamiętałyście chociaż numer słupka, jak wchodziłyście do lasu?

– Tak, ale drogi nie widzimy!

– To posłuchajcie, czy słycać samochody...

– Nic nie słycać!

– Stańcie twarzą do słońca, czyli na południe. Co, słońca nie widać? Drzewa, chmury...? To poczekać chwilę, aż wylezie zza chmury, rozłożyć ręce na boki i wtedy iść, jak pokaże lewa ręka – znaczy na wschód. No i nie zmieniać kierunku!

– Ale jak długo?

– A skąd ja mogę wiedzieć? A długo już tak łazicie po tym lesie?

– Na pewno z pół godziny.

– No to z pół godziny idźcie na wschód! Dacie radę... He, he, he!

Kaśka odetchnęła głęboko. Trochę ją Stach Janik uspokoił, ale kiedy wybrała kierunek według jego instrukcji, oceniła, że przez ostatnich kilka minut chyba cały czas oddalały się od szosy.

Po kilku minutach przystanąły.

– Słyszysz? – Kaśka położyła palec na ustach.

– Co?

– No, samochód.

– Aha, słyszę! Ale nie wiem, z której strony.

Kaśka znowu stanęła twarzą do słońca i wyciągnęła ręce na boki. Ruszyły ponownie na wschód. Po jakimś czasie znowu przystanęły.

– O, teraz słysząc już wyraźnie – uśmiechnęła się. – To gdzieś przed nami. Ale ciągle nic nie widać... Chyba dobrze idziemy. Zadzwoń jeszcze raz do Stacha.

– No, zadzwoń.

– Panie Stachu, słysząc już auta, ale nie widać.

– A idziecie tak jak kazałem?

– Tak!

– To znaczy, że dobrze idziecie. Idźcie tak dalej! – zaśmiał się.

Kaśka wzruszyła ramionami. Po kilku minutach stały na pagórku wśród wysokich jagodzin. Jakies sto metrów przed sobą dojrzały szosę.

– Udało się! – zawołała uradowana Kaśka.

– A na drugi raz pilnuj drogi, bo przez ciebie tylko strachu się najadłam. – Anna pogroziła córce.

Po chwili stały obok słupka przy drodze.

– O! Liczba kilometrów ta sama co przy samochodzie, tutaj jest siódemka, a tam była trójka, czyli mamy czterysta metrów do samochodu. To pewnie zaraz za tamtym zakrętem.

– Kaśka wskazała z uśmiechem.

– Popatrz. – Anna spojrzała na komórkę. – Trzy godziny minęły, odkąd jesteśmy w lesie. O czym sobie myślałaś, jak tak chodziłyśmy? – Spojrzała na córkę.

Kaśka zatrzymała się i zmarszczyła czoło.

– Bo ja wiem? Chyba o niczym! – roześmiała się.

– Też starałam się przed chwilą przypomnieć sobie, czy coś mi zajmowało głowę, ale wydaje mi się, że także myślałam o niczym – zaśmiały się obie. – Tylko o jakimś patyczku, szyszeczce, jagodach, grzybach, czy zabłądziłyśmy i takie tam.

– Mamuś, jakie to wszystko jest zdrowe dla duszy.

– No, a dla ciała nie?

– Też... A w Poznaniu... – Kaśka wskazała w kierunku słońca – ...ciągle tylko nerwy! Myśli: czy zdążę, co jeszcze miałam załatwić, a co jutro? Dlaczego tam nie potrafiłam zwolnić, zastanowić się nad sobą, przemyśleć, czy wszystko, co robię, ma sens?

Wyszły zza zakrętu. Niedaleko dostrzegły Żabę.

– To wszystko wina kieratu! – powiedziała Anna. Kaśka spojrzała zdziwiona. – No wiesz! W kółko to samo i człowiek myśli tylko o robocie, a jak wracasz z niej, to padasz, a kiedy się ockniesz, to znowu pewnie myślisz o robocie! Jest tak?

– A ty tak nie miałaś?

– Ja nie! Bo potrafiłam zachować dystans do pracy i kochałam to, co robię. – Anna spojrzała na córkę poważnie.

– Ja też lubię swoją pracę, ale... A dlaczego mi nigdy w domu tego nie powiedziałaś? – Kaśka spojrzała na matkę z wyrzutem.

– Mało to razy chciałam z tobą rozmawiać? Nigdy nie miałaś czasu... Ech, szkoda gadać! Ale cieszę się, że wpadłaś na to wreszcie sama.

Kaśka stanęła na poboczu. Odstawiła wiaderko i wzięła się pod boki. Zmrużyła oczy. Anna postąpiła identycznie. Zaśmiały się i mocno przytuliły. Obok nich przejechał szybko samochód. Odskoczyły od siebie i obejrzały za nim.

– Wariat! – krzyknęła Kaśka.

– Ty też. – Anna pogłaskała córkę po policzku. – Dobrze, że zatrzymałaś się wreszcie, dobrze, że Eliza ma to, czego chciała! – ostatnie słowa wypowiedziała z naciskiem.

– Czemu ja byłam taka głupia?

– Zapętyliłaś się. To też moja wina. Teraz tylko ogarnij się ze wszystkim, co ci zalega, no wiesz... – Anna przeszła Kaśkę wzrokiem.

– Masz rację – niespodziewanie miękko odezwała się Kaśka. – Jestem na drodze oczyszczania swojego życia. W Poznaniu nie dałabym rady czegokolwiek w nim zmienić – powiedziała melancholijnie.

– A teraz? Nie zazdroścę ci. Krzysiek i Maciej... – Anna zmrużyła oczy.

– Na razie wiem jedno. Nie chcę już rozbijać małżeństw! – rzuciła mocno.

– Już? – Annie rozszerzyły się oczy.

– Tak! W Poznaniu zakończyłam taką jedną historię... – Kaśka zamilkła.

Anna wpatrywała się w córkę, jakby oczekiwała jakichś wyjaśnień.

– Mamo, nie! – pokręciła głową Kaśka.

– Ja niczego nie potrzebuję wiedzieć, ale powiem ci, że bardzo się z tego cieszę.

Kaśce rozszerzyły się oczy.

– To ty wiedziałaś?

– Od początku... Znam każdy ruch twojej powieki, zmrużenie oczu, drżenie w kącikach ust, nienaturalny głos, sztuczny śmiech... – Anna mówiła cicho, Kaśka znieruchomiała. – Przecież jesteś moim dzieckiem. Nie byłeś w stanie niczego przede mną ukryć. – Kaśka zakryła twarz dłońmi. – Matka to czuje. Wiesz, że takie same słowa powiedziała mi Stefania? – Anna położyła dłonie na ramionach córki.

– Nie chciałam cię martwić. Potrzebowałam... – wyszeptła Kaśka.

– Przecież gdybym wiedziała, że coś ci grozi, a jak wiesz, matka wszystko czuje – Anna uśmiechnęła się melancholijnie – ...to bym cię ostrzegła. Wszystko rozumiem, tak kiedyś wybrałaś i nie potrzebuję już żadnych słów. Ważne, że tamto masz już za sobą, a teraz znajdziesz na pewno właściwe rozwiązanie.

Kaśka zaczęła się wachlować dłońmi.

– Aż mi się ciepło zrobiło, na sercu też – odetchnęła głęboko. – To ja ciebie, mamo, też już nie będę więcej pytać o Ryszarda – zmrużyła oczy. – Chyba, że sama coś opowiesz. Ale cieszę się, że o nim myślisz!

– Każdy musi dojrzeć do rozwiązania własnych spraw. Ja z Ryszardem też. No, ale idźmy już do samochodu, bo gotów nam odjechać! – zaśmiała się, obróciła na pięcie i ruszyła żwawo w kierunku Żaby.

Złośnica łagodnieje



Siedziały nad sprawozdaniem z monitoringu.

Ona chyba mnie wykończy! Eliza spojrzała na Wikę. Czy nie może tego robić na nieco większym luzie? Owszem, uśmiecha się czasami. Niekiedy powie coś miłego, ale to wszystko wygląda tak, jakby ten luz sobie wydzielala. Chociaż jak się czasami zapomni, to jest całkiem fajna. Ja tak nie potrafię i nie chcę. Przez cały czas muszę się pilnować, żeby czegoś nie palnąć

– Eliza! – rozległ się nagle czyjś krzyk na korytarzu. – Narzeczony przyjechał!

– Kto? – Eliza zerwała się na równe nogi. – Jakieś głupie żarty. Jaki narzeczony? Szlag mnie trafi!

Wika zmierzyła ją wzrokiem.

– No, na co czekasz? Pędź!

– Ale ja przecież nie mam narzeczonego – prychnęła Eliza.

– Ale on jednak przyjechał. – Wika spojrzała na nią nieco szyderczo. – No idź już, idź, nie każ Igorowi na siebie czekać. – Pchnęła ją delikatnie i uśmiechnęła się. – Sama dokończę sprawozdanie.

Eliza popędziła do pokoju. Szybko zmieniła bluzeczkę, psiknęła perfumami, nabłyszczyla usta i zbiegła do recepcji. Pod oknem stał Igor, w którego wpatrywała się rozanielonym wzrokiem recepcjonistka. Jak zwykle ubrany był w krótkie spodnie, sandały i t-shirt. Eliza pociągnęła go za sobą w kierunku wyjścia.

– Dlaczego powiedziałaś, że jesteś moim narzeczonym? – rzuciła, mierząc go złym wzrokiem, kiedy byli już na zewnątrz.

– Nic takiego nie powiedziałem. Ta pani albo mnie źle zrozumiała, albo tak chciała usłyszeć – Igor uśmiechnął się. – Nie cieszysz się, że cię odwiedziłem?

– Cieszę się, cieszę, ale nie lubię takich niespodzianek!

Igor stanął jak wryty.

– No, ale... – zaniemówił.

– Nie, nie chodzi o twój przyjazd! O tego narzeczonego! Tak nie można.

– Pokażesz mi trochę Hel? – Igor przyciągnął ją delikatnie do siebie i pocałował w policzek. – Może byśmy tylko schowali gdzieś mój plecak? Zostawiłem go w recepcji.

Uspokoila się. Skinęła twierdząco głową. Skierowali się w kierunku wejścia do budynku.

– Wszystko już załatwione – odezwała się ni stąd, ni zowąd pani z recepcji.

Eliza nawet nie zareagowała. Igor uśmiechnął się, podniósł plecak i ruszył za nią. Pokonali schody i weszli na korytarz wiodący do świetlicy.

– Wiesz – zrównał się z nią i zajrzał w oczy – zaplanowałem zostać tutaj do jutra. Cieszysz się?

– Co? – zachnęła się Eliza.

Przed nimi nieoczekiwanie wyrosła Wika.

– To Wika, koleżanka, z którą mieszkam – Eliza przedstawiła ją drętym tonem.

– Witam. Jestem Igor. Z Kartuz – uśmiechnął się i delikatnie uściśnął dłoń Wiki. – Eliza

pisala, ze bardzo dobrze jej się z tobą mieszka i pracuje.

Eliza zdębiała. Nie pamiętała, aby wysyłała takiego SMS-a. Musiała jednak natychmiast przybrać inną minę, gdyż dostrzegła, że Wika uśmiecha się do Igora. Kupił ją i to natychmiast. A do tego moim kosztem. To ci Igorek!

Na korytarz wysunął się zwabiony rozmową Mrozu. Oparty o framugę drzwi, przyglądał się im z zainteresowaniem.

– A to jest Mrozu. – Eliza postanowiła i jego przedstawić Igorowi. – *Enfant terrible* naszej monitoringowej trójki – dodała nieco zgryźliwie.

– *Enfant* czy *elephant*, bo jakoś nie dosłyszałem? – roześmiał się od ucha do ucha Mrozu.

Igor i Mrozu podali sobie dłonie z uśmiechem.

– Pewnie jedno i drugie. Widzę, że dziewczyny muszą cię lubić – Igor mrugnął do Mroza.

– Muszą! I da się to jakoś wytłumaczyć – uśmiechnął się Mrozu. – Ciągłe mają potrzebę opiekania się kimś, dlatego niekiedy robię im za dziecko, a czasami pewnie zbyt ciężę, wtedy z kolei jestem słoniem. Taka zmiana nastrojów, wiesz, jak to u kobiet! One mnie także uważają za – ściszył głos i rozejrzał się na boki – ...za prawdziwego orła! – dodał z emfazą.

Dziewczyny roześmiały się w głos.

– Aha! – Wika klepnęła się w czoło. – Nie musisz już załatwiać pokoju dla Igora. Wyręczyłam cię!

Eliza aż zagotowała się w środku. No nie! Tego już za wiele. Najpierw ten tu zwała się do niej w odwiedziny, jak do jakiejś licealistki, cały świat dowiaduje się, że narzeczony przyjechał, a potem Wika załatwia mu nocleg. Ja wam pokażę! – pokręciła głową i głęboko westchnęła.

– Mrozu – odezwała się słodziutko. – Pomożesz mi coś...

– Zawsze i co tylko zechcesz! – Mrozu przerwał jej, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Może ja ci pomogę... A czy dzisiaj musisz coś zrobić? – Igor wyglądał na zdezorientowanego. – Przecież w soboty macie chyba wolne...

– Obiecałam ci, że sama dokończę sprawozdanie – wtrąciła przytomnie Wika.

– Wika, do ciebie też mam prośbę. Czy możesz wziąć Igora na trochę do fokarium? – Oboje spojrzeli na Elizę zdziwieni. – Ja za kilka minut do was przyjdę. Proszę! – Popchnęła lekko Wikę i Igora w kierunku schodów i uśmiechnęła się do nich promiennie.

– Nie nadążam, ale... dobrze – spasowała Wika. – Chodźmy, Igor. Może czasami lepiej czegoś nie rozumieć? – Ruszyli w dół.

– Ale o co ci chodzi? – Mrozu podszedł do Elizy.

– Cicho! – Położyła palec na ustach. – Chodź do mojego pokoju. – Zamknęła drzwi, gdy tylko weszli. – Trochę się wkurzyłam na nich. Pomożesz mi zrobić dzisiaj wieczorem imprezę, okej?!

– No, nareszcie! Coś takiego zacząłem wyczuwać, jak usłyszałem twoją odzywkę.

– Bo ty jesteś inteligentny, a do tego błyskotliwy.

– Poważnie? – Mrozu ze zdziwienia przysiadł na jej łóżku.

– Poważnie. Wstawaj! – podniosła głos. – Tylko czasami wykorzystujesz tę inteligencję niewłaściwie – dodała ciszej.

Mrozu rozłożył ręce na boki.

– To jak to zrobimy? – zaświeciły mu się oczy.
– Masz pieniądze?
– Eliza, ja i pieniądze. Ja mam inne walory, sama przecież zauważyłaś – uśmiechnął się bezczelnie. – Zresztą to ma być twoja impreza, czy tak?
– Tak! Ponieważ ja muszę do nich pójść, żeby niczego się nie domyślili, ty sam wszystko zorganizujesz.
– Jak to ja sam?
– Tak to! – uśmiechnęła się zniewalająco. – Ktoś z chłopaków jest na miejscu? – Mrozu skinął głową. – To pomoże ci w zakupach, a resztę ty sam przygotujesz. Okej? A wiesz, że dzisiaj szef stacji nie zostaje tu na noc?
– O szefie nie wiedziałem, ale wiedziałem, że nie ma Naczelnego Instruktora – podkreślił dwa ostatnie słowa.
– A nie możesz mówić o nim po prostu Waldek, a nie tak ciągle go tytułować? Przecież to fajny gość!
– Nie, bo on według mnie zachowuje się czasami jak urzędnik, a o urzędnikach trzeba mówić wielkimi literami – roześmiał się.
– Czy za dwie stowy da się taką imprezkę zorganizować?
– Daj dwieście pięćdziesiąt, to się zmieszczę. Na którą ma być gotowe?
– Na dziewiętnastą trzydzieści, okej? Ty też bierzesz w niej udział.
Mrozowi znowu zaświeciły się oczy.
– Jak się wkurzę, to... się upiję! – zaśmiała się. – Dotrzymasz mi chyba towarzystwa, kobieta cię prosi! – Mrozu podniósł kciuk w górę. – Działaj w takim razie!
Zbiegła do fokarium. Dostrzegła, że Wika oprowadza Igora pomiędzy basenami. Turystów było już mniej, kończyło się wieczorne karmienie fok.
– Wesoło tu macie! – Igor uśmiechnął się do Elizy, gdy podeszła.
– Jakie wesoło! – zachnęła się Wika. – To dla nauki!
Igor spojrzał na nią zdziwiony, a Eliza w myślach załopotała skrzydłami. Kobieto! Wyluzuj! „Upływa szybko życie...” – zanuciła cicho słowa starej piosenki.
Wika spojrzała na nią badawczo.
– Czy to jakaś muzyczna szarada? – spytała, wpatrując się w Elizę.
– Mhm! – Eliza zmrużyła oczy. – Jutro... – zawiesiła głos, Wika i Igor czekali na dalszy ciąg – ...jutro kończymy dwa tygodnie pobytu tutaj! Niestety zostaną jeszcze tylko dwa... – Zrobiła buzię w ciup.
– Nic się nie martw. Będziemy mogły przez pięć lat ciągle tutaj przyjeżdżać – pocieszyła ją poważnym tonem Wika.
Cała trójka się uśmiechnęła. Widzisz, Wiczka, ciebie też można ograć, pomyślała Eliza, ciągle się uśmiechając. Nie tylko ty jesteś cwana!
Spojrzała na zegarek.
– Spacer? Kąpiel? Na co, Igorio, masz ochotę? – rzuciła. – Bo my z Wiką cały czas jesteśmy w gotowości... – Pociągnęła lekko w dół spodenki, pokazując kostium. Wika się uśmiechnęła.
– Super! – odparł ucieszony Igor. – Czy wiecie, że ze trzy lata nie kąpałem się w morzu?

Kiedy weszli do pokoju, oniemieli z wrażenia. Na stole poukładane talerzyki, sztuce, kieliszki, szklanki, olbrzymi talerz z zakąskami, pieczywo, maselko, chipsy, wody i piwa na parapecie, a w poprzek łóżka Elizy z puszką piwa w dłoni leżał uśmiechnięty Mrozu.

– Mrozu, złaż! – krzyknęła Eliza. Ten zerwał się z łóżka jak oparzony.

– A co tu się dzieje? – wykrzyknęła Wika.

Igor roześmiał się.

– Całkiem fajnie. To jest niespodzianka! – zaśmiała się Eliza. – Poprosiłam Mroza, żeby coś przygotował, i widzę, że sprawił się dzielnie. Wika, należy nam się przecież trochę przyjemności!

– No, Mrozu, chyba cię nie doceniałam! – Wika z podziwu gwizdnęła.

– Ponieważ pani z recepcji załatwiła mi narzeczonego, a Wika załatwiła ci, Igorio, pokój, więc jest co opijać! – powiedziała Eliza i zmrużyła oczy. Igor i Wika spojrzeli na nią ze zdziwieniem.

*

– Ale mnie boli głowa... – jęknęła Eliza, otwierając oczy. – A co to jest? – Uniosła się na łokciu, wskazując na puszki otaczające kręgiem jej łóżko i stojące obok na parapecie.

– To puszki po piwie, które wczoraj wypiliście z Mrozem. Uznał, że ty wygrałaś i tobie należy się wieniec laurowy – zaśmiał się sztucznie Igor, cedząc słowa. – Zresztą pomagałaś mu je ustawiać!

– Daliście wczoraj czadu! – dodała Wika.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i na rozdygotanych nogach stanął w progu rozczochrany Mrozu.

– O! Mistrzynie trunkowania obudziła się! Witam cię, o pani! – ukłonił się Elizie. – Oj, boli głowa – stęknął. – Dobra jesteś, szacun! Naprawdę nie sądziłem! Sporo tego wypiliśmy, ho, ho! – wskazał na puszki. – A kto latał po piwo? – Potoczył wzrokiem po Wice, Elizie i Igorze.

– Dwa razy ty, a raz Eliza! – wypaliła Wika.

Eliza złapała się za głowę, na twarzy Mroza rysowało się bezgraniczne zdziwienie.

– Nic... nie pamiętam... – wyjąkał.

Wika i Igor spojrzeli po sobie. Dziewczyna dyskretnie pokręciła głową, Igor potwierdził ruchem powiek.

– Która godzina? – ocknęła się Eliza.

– Zaraz dziesiąta. – Wika spojrzała na komórkę.

– No, Eliza, dosyć mazgajenia! – rzucił niespodziewanie Igor. – Pomóż jej, proszę, się ogarnąć, a ja za dziesięć minut przyniosę coś, co postawi ją na nogi – zwrócił się do Wiki.

– Nie mamy za dużo czasu, w południe zaczynamy dyżur przy fokach. – Wika podeszła do Elizy.

– A co wy tak jak ojciec i matka? – fuknęła Eliza.

Igor machnął ręką i wyszedł, wlokąc za sobą Mroza.

– Masz siłę, żeby pójść sama pod prysznic? – spytała Wika, gdy tamci wyszli.

– Chyba przeginasz!

– Tylko nie mówmy o przeginaniu. – Wika zacisnęła usta. – W takim razie rusz się sama, a ja tu wrócę za dziesięć minut! – rzuciła ostro i wybiegła, trzaskając drzwiami.

Eliza zacisnęła zęby i przymknęła oczy. Potrząsnęła głową, złapała ręcznik i ruszyła pod prysznic. Po kilku minutach siedziała znowu na łóżku, wycierając włosy. Otworzyły się drzwi.

– To ci pomoże... – Wika zestawiała z tacy dużą szklankę soku pomidorowego z lodem i ziołami oraz talerzyk z tostami z szynką i serem.

– Będziesz jak nowa – dodał, uśmiechając się Igor.

– A czemu wy się tak mną przejmujecie? – nerwowo zareagowała Eliza. – Co ja, jakieś dziecko czy niedojda? Przecież dzisiaj też nie ma szefa stacji!

Igor zbaraniał, a Wika tylko przewróciła oczami.

– Na wszelki wypadek, gdybyś tego nie tolerowała – Igor wskazał na stół – ...to masz tabliczkę czekolady i butelkę wody gazowanej. Jedna kosteczka i łyk wody, a potem przerwa kilka minut. To sposób mojego ojca – uśmiechnął się.

– No nie! Zagłaszcza mnie jak kota! – prychnęła Eliza.

Igor bezradnie pokręcił głową. Wika opadła na krzesło.

– To powodzenia. Dzięki, Wika. Trzymaj się! – Spojrzał na nadąsaną Elizę, uśmiechnął się do Wiki i wyszedł.

– A ten co? – burknęła Eliza po chwili.

– Ja przecież nie wyjadę, a on mógł sobie na to pozwolić. – Wika uderzyła dłonią w kolano, aż Eliza spojrzała na nią.

– Ale o co kaman?

– A o to, że niektórym warto pomagać, a innym... sama powinnaś wiedzieć.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi i ukazała się ciągle rozczochrana głowa Mroza.

– Chodź no tutaj, orle! – warknęła Eliza. – Jak jeszcze raz sam się upijesz, a przy okazji mnie, albo będziesz jeszcze kiedykolwiek wyskakiwał z alkoholem, to cię uduszę i w ogóle zniszczę! – krzyknęła.

Mrozu cofnął się.

– Zawołaj Igora!

– Jak to... zawołaj? – wyjąkał Mrozu.

– No tak, po prostu – Eliza wysiliła się na miłszy głos.

– Ale on wyjechał.

– Jak to wyjechał?

– Tak to wyjechał! – Wika nie wytrzymała. – Upijasz się, a potem odstawiasz księżnę Grymaselę! No, to Igor nie wytrzymał, chociaż to prawie święty człowiek! – krzyknęła.

Eliza zdębiała, wtuliła głowę w ramiona. Mrozu pokiwał głową.

– On rzeczywiście jest prawie święty... *Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa* – opuścił oczy.

– Ja chyba śnię! – Eliza wyprostowała się. – Ta na mnie wrzeszczy, a ten za mnie bije się w piersi. Czy wam się coś pop...? – zamilkła niespodziewanie, widząc powagę na twarzach Wiki i Mroza.

– Zaczynj dostrzegać coś poza czubkiem swojego nosa – spokojnie odparła Wika. – Ja Igora uważnie obserwowałam. Był bardzo zniesmaczony!

Eliza zamknęła oczy i znowu wtuliła głowę w ramiona.

– Mrozu, ogarnij się i ty! – Wika wskazała ręką na drzwi. – Spotkamy się za dziesięć minut koło pakamery z rybami.

*

Minęły dwa dni. Eliza starała się udobruchać Wikę, ale ta była niewzruszona. Przyglądała się próbom Elizy ze stoickim spokojem. We wtorek wieczorem ich trójce znowu wypadło karmienie fok.

– Wika, poczekaj, ja wezmę. – Eliza nachyliła się nad wiadrem z rybami. Wika jednak złapała je szybciej i ruszyła w kierunku ogrodzenia.

– Mogłaś pomóc Mrozowi, on sam poniósł skrzynię – mruknęła i spojrzała na Elizę wymownie, która bez słowa poczłapała za nią.

Mrozu czekał przy pierwszym basenie.

– Nie brudź się, dzisiaj ja... – Eliza odezwała się cicho. Wika wzruszyła ramionami.

Po wrzuceniu kilku ryb do basenu poszły w kierunku kolejnego.

– Pomógł mi w niedzielę twój sok pomidorowy – rzuciła Eliza, zaglądając Wice w oczy.

– To Igor poszedł go kupić, a potem sam przygotował. – Wika nawet nie spojrzała na Elizę.

Stojący z boku Mrozu przypatrywał się dziewczynom i ironicznie uśmiechał.

– Zapiekanka też była super... – próbowała dalej Eliza.

– To także był jego pomysł. – Wika wrzuciła kolejną rybę do basenu.

– Mrozu, co ty się tak ciągle głupawo uśmiechasz? – fuknęła Eliza.

– A dlaczego ty się tak ciągle jej podlizujesz? – Mrozu wyszczerzył się, a Wika ironicznie zaśmiała.

– Mrozu! – Eliza pogroziła mu rybą i wrzuciła ją z rozmachem do basenu. Bryzgi wody poleciały w jego stronę.

Złapała kolejną rybę, znowu zamachnęła się w kierunku Mroza, ale poślizgnęła się i zaczęła zjeżdżać po mokrych kamieniach w kierunku wody.

– Mrozu, ratuj! – wrzasnęła.

– A tyle się mówiło, żeby stać twardo na dwóch nogach! – zdążyła jeszcze rzucić Wika, zanim Eliza, a za nią Mrozu, zniknęli na moment pod wodą.

– Złap mnie za rękę! – zaśmiewała się Wika, podając dłoń gramolącej się z basenu, ociekającej wodą Elizie.

– Wszędzie mam wodę – prychała, śmiejąc się Eliza.

– A mnie kto pomoże?! – wrzasnął Mrozu.

Wika rżała, patrząc na przemoczonych kolegów. Nie zostało im nic innego, jak tylko dołączyć się do jej śmiechu.

– Dopiero teraz puścił mi niedzielny kac! – zawołała Eliza.

*

Dziewczyny plażowały. Eliza siedziała na ręczniku z wyciągniętymi przed siebie nogami, podpierając się rękoma z tyłu. Spoglądała w kierunku Gdyni. Jasna plama redłowskiego klifu wyraźnie się odznaczała na tle lasów. Eliza lubiła ten widok. Uśmiechała się do siebie. Skierowała wzrok na stopy. Wcisnęła je pod piasek, a po chwili wyciągnęła. Poruszyła palcami, patrząc, jak piasek przesypuje się pomiędzy nimi. Po chwili znieruchomiła. Podrapała się po czerwonej czuprynie.

– A co wy na to, żeby wyskoczyć na balety? – rzuciła niespodziewanie. –

Podśluchiwałam nieraz, jak grają w kafejce na molo. Momentami nawet całkiem, całkiem muzyka.

– Może być – bez entuzjazmu odparła Wika, przewracając się na brzuch i nagarniając piach pod ręcznik.

– No, nareszcie coś będzie się działo! Wytańczę was na amen! – Mrozu z wrażenia aż usiadł.

*

W kafejce pojawili się około dwudziestej. Usiedli blisko wyjścia. Z głośników wydostawała się dzika muzyka.

– Akurat musieliśmy trafić na jakiegoś czubka didżeja? – jęknęła Eliza, spoglądając na Wikę.

– Mówiłaś coś...? – Wika opuściła dłonie z uszu. – Nic nie słyszałam. Ten czubek chyba całkiem oszalał.

Muzyka zmieniła się na nieco łagodniejszą.

– To która wreszcie pójdzie się ze mną pokręcić? – Poirytowany Mrozu kolejny raz próbował zaprosić którąś z dziewczyn do tańca, ale kolejny raz dostał kosza.

Pił już trzeciego drinka. W międzyczasie wychodził na parkiet, gdzie dołączał się do kółeczka małolatów.

– Mrozu! Tylko znowu nie przeholuj jak w sobotę – ostrzegła go Eliza.

– Po pierwsze nie mam forsy – odparł ze śmiechem.

– A to?!

– A to jest tylko mikstura wyglądająca jak drink. Jego erzac! – zaśmiał się. – Pogadałem z barmanem... On mi wlewa do wody z cytryną tylko jedną czwartą ilości alkoholu przeznaczonego na firmowy drink. Latam częściej do toalety, ale na tyle mnie stać! – znowu się zaśmiał.

– Dobrze! – Wika pokiwała z uznaniem głową.

– Mówiłam, że jesteś inteligentny. – Eliza zmrużyła oczy.

– Czy mogę prosić... – Przy stoliku pojawił się chłopak w jasnych spodniach i nachylił w kierunku dziewczyn.

Wika pokręciła przecząco głową. Eliza przez chwilę się wahała, ale postanowiła spróbować. Usiłowała tańczyć oddzielnie, ale partner uparcie dążył do tańca blisko siebie, w zwarciu. Wykręcała się od tego wymyślnymi kroczkami i figurami. Wika przyglądała się jej wymykom z rozbawieniem. Gdy utwór się skończył, Eliza wróciła do stolika.

– Co za facet! A niech go...! – rzuciła.

Mrozu pociągnął kilka łyków ze swojego drinka, otarł pot z czoła i znowu popędził do kółeczka z małolatami. Obok stolika wyrósł opalony na brąz, udekorowany złotym łańcuchem, uśmiechnięty młodzian. Wika znowu odmówiła. Eliza postanowiła spróbować jeszcze raz. Wytrzymała jak poprzednio tylko jeden utwór.

– Od tego dansera z kolei jechało piwem. A fuj! – skrzywiła się po powrocie.

– Mówiłem, żeby zatańczyć ze mną – nadął się Mrozu.

– Idziemy wobec tego razem do kółeczka! – zawołała Wika.

Muzyka nie ułatwiała im tańca, udało się wytrzymać tylko kilka szalonych utworów. Najbardziej zadowolony był Mrozu, który mógł wreszcie zaprezentować niespotykane

wygibasy i piruety. Dziewczyny kilka razy nawet mu zaklaskały. Eliza spoglądała na fruwiący wokół Wiki koński ogon. Miała podobne jak ona poczucie rytmu. Obie zresztą przyciągały wzrok tańczących. Balansowały na ugiętych nogach, wyginały się w biodrach, unosiły i opuszczały zalotnie ramiona, wykonując przez cały czas coraz to inne, drobne kroczyki.

– Wiecie co? – odezwała się Wika, gdy na moment ucichła muzyka. – Wracajmy do bazy – uśmiechnęła się. – To prawdziwa katorga tańczyć przy takiej muzyce i przy takich jak tutaj facetach.

– Ładnie to tak? A ja? – obruszył się Mrozu.

– Ty jesteś okej! – zaśmiała się Eliza. – Masz rację, Wika, lepszy będzie dłuższy spacer.

Zapadała ciemność, przyjemny lekki wietrzyk owiewał rozgrzane ciała. Światła helskiego portu i promenady zachęcały do pobytu na powietrzu. Spoglądali na lunę światła Trójmiasta widoczną po drugiej stronie zatoki. Nie chciało się wracać.

*

Niedzielny poranek postawił stację helską na nogi. Dotarł tu sygnał, że na plaży w Jastarni leży ranna foka. Zarządzono wyjazd. Akcją dowodził sam szef stacji. Eliza, Wika i Mrozu razem z nim i instruktorem Waldkiem popędzili jeepem w kierunku Jastarni.

– Na pewno pan doktor chciał sobie dzisiaj gdzieś wyjechać, przecież to niedziela, czas urlopów – próbował zagaic Mrozu, ale przerwał zmieszany, gdyż szef stacji odwrócił się i dziwnie zaczął się w niego wpatrywać.

– Powiem wam coś – rzekł wreszcie, poprawiając okulary – Sądzę, że wasza trójka zrozumie to doskonale – przebiegł wzrokiem po Elizie, Wice i Mrozu. – „Przyroda nie zna pojęcia: urlop, weekend, niedziela, święto... nie zna tego ludzkiego podziału czasu”^[5]. Ja ją rozumiem, jestem zawsze na jej wezwanie, wtedy gdy ona nas potrzebuje. – Spoglądał po trójce dobrotliwie, z delikatnym uśmiechem. Zapadła krótka cisza. – Nie mam czasu na urlop – dodał po chwili. – Tylko o tym cicho sza! – mrugnął i położył palec na ustach.

*

Kiedy pojawili się na plaży, fokę otaczał spory wianuszek wczasowiczów. Doktor Siwek i Waldek wytłumaczyli zebranym konieczność odsunięcia się na kilkanaście metrów. Eliza otrzymała zadanie fotograficznego dokumentowania całej akcji. Skupiała się na robieniu zdjęć, ale podziwiała też fachowość, z jaką doktor Siwek i Waldek zabrali się do badania foki. Siwek ocenił, że to kilkunastomiesięczna samica. Lewy bok miała rozorany na odcinku kilkunastu centymetrów, na piasek sączyła się brunatna wydzielina. Doktor udzielał Wice i Mrozowi wskazówek przy odkażaniu rany. Eliza przypatrywała się, jak angażują się w te czynności. Doktor Siwek niespodziewanie powiedział do Mroza:

– Miałem rację, mówiąc na spotkaniu rozpoczynającym wolontariat, że zgadzam się na używanie ksywy, a na twoją zabawę nie. Widzę, Mrozu, że przyjąłeś te uwagi ze zrozumieniem i stosujesz się do mojego życzenia. Sporo się już nauczyłeś. Jesteś bardzo dociekliwy, zresztą wiem od pana Waldka, że wspólnie z Elizą i Wiką stanowicie najlepszą trójkę na tym turnusie. Masz od kogo się uczyć i korzystaj z tego! – uśmiechnął się, spoglądając na Wikę i Elizę. – Jeśli dalej będziesz się tak przykładał, to może kiedyś

zaczniez wyręczać nawet instruktorów.

Mrozu po usłyszanych słowach skurczył się i prawie schował w wodery, a Wika zrobiła dziwną minę. Eliza starała się uwiecznić na zdjęciach tę niespodziewaną sytuację.

– Panie doktorze, czy ona wytrzyma jeszcze pół godziny bez wody? – zmienił temat Mrozu, wskazując na fokę.

– Ludzie mówili, że widziano ją już o piątej, więc pewnie wypelzła na brzeg wcześniej. Jest ósma... – Doktor Siwek zafrasował się, gdy zerknął na zegarek. – Sądzę, że leży tutaj już z pięć godzin. Trzeba ją zmoczyć.

– A co pan powie na to, żeby ją wziąć na stację i podleczyć? Myślę, że to ma sens! – Mrozu wlepił w szefa oczy.

– Wiesz, sam od kilku chwil się nad tym zastanawiam.

– Wzięliśmy na wszelki wypadek brezentowe nosidło – dodała Wika.

– Panie Waldku, czy najmniejszy basenik jest pusty? – Doktor Siwek spojrział w kierunku Waldka; ten skinął głową.

– No, to bierzemy ją na stację. Dokładnie przebadamy, podkurujemy, może wyposażymy w nadajnik, a za tydzień, dwa, wypuścimy.

Mrozu nie czekał już na ostatnie słowa, tylko pędem ruszył do jeepa po nosidła. Eliza podała Waldkowi aparat i weszła do wody z brezentowym wiadrem.

– Panie Waldku, udał się panu ten zespół – powiedział doktor Siwek, a instruktor otworzył usta ze zdziwienia. – Mrozu to dziwak, czasami nawet szalony, ale będzie kiedyś dobrym fachowcem. Ma zadatki, bo widzę, że myśli sercem. Pan wie, co zawsze mówię – spojrział na instruktora. – Lepiej pochwalić, a nie zniechęcać przyganami.

– Szefie, ale czasami człowiek nie wytrzyma, kiedy piwo jest ważniejsze niż...

– Młody jest! A my to nie piliśmy, co? – powiedział cicho Siwek i się roześmiał. – O! Jesteś już... – Poczekał, aż Mrozu położy na piasku obok foki nosidła, po które pobiegł do jeepa, i złapie oddech. – Dziewczyny, wy też słuchajcie! – Skinął w kierunku dziewczyn, żeby podeszły bliżej. Spojrział na morze, a potem rozejrzał się po stojących wokół wczasowiczach. – Wieczorem zrobimy wspólnego grilla! – uśmiechnął się. Eliza, Wika i Mrozu spojrzeli po sobie zaskoczeni. – Zgłóście się po osiemnastej do kuchni po surowce, a ja około dwudziestej przyjdę do was! – zaśmiał się głośno. – Dobrą robotę trzeba należycie uczcić!

Wśród wczasowiczów otaczających ekipę z fokarium dał się słyszeć szmer. Doktor Siwek rozejrzał się wokół.

– A jeśli ktoś z państwa będzie dzisiaj wieczorem przejeżdżał przez Hel, to także zapraszam. Nie żartuję!

W drodze powrotnej doktor Siwek był w dobrym humorze. Kiedy tylko ruszyli, odwrócił się w kierunku Elizy, Wiki i Mroza.

– Dziewięć lat temu, kiedy też z Jastarni przywieźliśmy do Helu pierwszą fokę, ranną Balbinę, a właściwie Balbina^[6] – uśmiechnął się – ...bo w pierwszej obdukcji nie rozpoznaliśmy, że to chłopak... – Machnął dłonią, tłumiąc śmiech. – No więc wtedy nie wiedzieliśmy jeszcze, że powstanie fokarium. To wszystko się stało dzięki pasji ludzi – pokiwał głową. – Dzisiaj już wiemy, jak możemy tej focie pomóc. Panie Waldku, a to chłopak czy dziewczyna? – zaśmiał się i wskazał na leżącą w nosidłach fokę.

– Dziewczyna, wiadomo. – Waldek spojrział zdziwiony na szefa.

– Myśmy też rozpoznały... – uśmiechnęła się Wika, spoglądając najpierw na Elizę, a potem na doktora Siwka. – Chociaż pierwszy z nas zauważył Mrozu. – Pokazała palcem. – A myśmy tylko potem to potwierdziły.

– Ja też wiedziałem, że on wie, bo mi cicho o tym szepnął, kiedy tylko uklękliśmy obok niej... – Doktor uśmiechnął się. – Przed wami wiele wyzwań. Nad... nad fokami zaczynamy powoli panować. Przynajmniej wiemy, co chcemy robić, żeby mogły znowu tutaj żyć. Podobnie z morświnem, chociaż dopiero raczkujemy. Moja praca magisterska była o szczupaku z Zatoki Puckiej. Dzisiaj go nie ma. Wyginął. To jest wyzwanie... – Rozłożył dłonie.

– Ale co my możemy zrobić? – cicho spytała Eliza.

– Macie większą świadomość, wrażliwość, cała wasza trójka myśli sercem. Widzę to. Wszystko przed wami. – Pokiwał głową. – Czy wiecie, że przed wojną było w Helu pięćdziesiąt wędzarni? Myśmy zbudowali fokarium na terenie ostatniej z nich. Zabrakło ryb, fachowców, drewna do wędzenia, to i wędzarnie umarły, ale w ogóle lata siedemdziesiąte to były złe czasy dla Helu, Pucka, dla zatoki. To wszystko trzeba próbować przywrócić. Dziadowie, ojcowie tyle nam zostawili, a my nie potrafiliśmy tego utrzymać... – Pokręcił głową i zamilkł. – Wiesz, Wika, czego mi brakuje w Gdyni? Pytam ciebie, boś ty gdynianka – spojrzał na nią.

– Nie za bardzo... Nie wiem, o czym pan doktor myśli.

– Gdynia to miasto z morza. Dawniej w niej pachniało właśnie morzem, mączką rybną, gigantycznymi stosami beczek na ryby. Port rybacki tętnił życiem. Kutry wpływały i wypływały, puf, puf, puf, grały ich silniki. Rozlegały się ich bucuki... Dużo mew, ich śpiew mieszał się ze śpiewem innych ptaków, nawet gawronów i wron. Piękna muzyka. Tego wszystkiego mi tam brakuje. To czeka na ciebie, na was. Dzisiaj spisaliście się dzielnie – uśmiechnął się. – Pamiętajcie o grillu.

– Ja się zajmę ogniem! – wykrzyknął Mrozu.

– No myślę! – doktor też wykrzyknął, rozśmieszony tym okrzykiem. – A wiesz, że ja kiedyś byłem hipisem?

– No nie, pan doktor?

– Wyobraź sobie, że kiedyś miałem tyle lat co ty i też miałem odjechane, jak teraz mówicie, pomysły, no wiecie.

Eliza i Wika zmrużyły oczy, a Mrozu rozdziawił usta.

– Takie są prawa młodości – uśmiechnął się doktor. – My, studenci, mieliśmy swoje ścieżki. „Liliput”, „Roxana”, „Arkadia”. Zamawiało się herbatę, a siedziało godzinami. To były czasy. Uczyliśmy się na dworcu... – Machnął dłonią.

– Jak to na dworcu? – zdziwiła się Wika.

– Tam, gdzie w Gdyni jest część dworca SKM, na górze, była salka, w której mieliśmy zajęcia – uśmiechnął się. – Wy też sporo najeździcie się po Trójmieście, ale kiedyś nasz kompleks się rozbuduje. Wtedy, być może, już wy będziecie uczyć młodych. Gdynia ciągle powstaje. Tutaj drzewa są starsze od budynków, a starówka miasta położona jest na morenach, na wzgórzach.

– Pan doktor słyszy muzykę w dźwięku kutrów, śpiewie ptaków? – Eliza pokręciła głową.

– Może dlatego, że chodziłem do szkoły muzycznej na skrzypce.

– O jejku! – zawołała Wika.

– Ale prawda jest taka, że chłonę przyrodę wszystkimi zmysłami. Słuchem, wzrokiem, zapachem, dotykiem, a nawet smakiem. To coś więcej niż muzyka. U waszej trójki widzę wiele z siebie... Panie Waldku! – Odwrócił się nagle się w stronę kierowcy, jakby dotychczasowej rozmowy wcale nie było. – Rozumiem, że dzwonił pan do fokarium, by wszystko było gotowe.

– Tak, załoga czeka. – Waldek uśmiechnął się do szefa, ten skinął głową.

Trochę dobrze, trochę źle



Anna wspólnie z Kaśką smakowały parchowskie lato. Wiele spacerowały po łąkach lub okolicznych lasach, a kiedy przysła im ochota, jechały Żabą na mauszowski cypel zażyć kąpieli. Dużo rozmawiały i ciągle się okazywało, że jest jeszcze coś, o czym chcą pogawędzić. Bardzo często tematem ich rozmów był helski wolontariat Elizy. Przy którymś z kolei powrocie do tego tematu, podczas spaceru po łąkach, Kasia wyjawiała matce, że ma do siebie żal za niepotrzebną, ponaddwuletnią walkę z córką.

– Przecież ja ją cały czas krzywdziłam. O mało co nie poszła przeze mnie na studia ekonomiczne! – jęknęła z rozpaczą w głosie.

– Obserwowałam was i nie dopuściłabym do tego, jednak mocno żałuję, że wcześniej nie opowiedziałam się po jej stronie – odparła Anna.

Kaśka spojrzała zaskoczona na matkę.

– Zrobiłabyś to?

Anna skinęła głową.

– Tak, choć z bólem, że muszę wystąpić przeciwko tobie.

– Ale i tak przed wyjazdem z Poznania byłaś przeciwko mnie!

– Zrozum! Eliza i tak by pojechała do Gdyni i na Hel, a ja decydując się na tak nagły wyjazd w swoich sprawach, pomogłam też tobie! Mogłyście wreszcie nieco spokojniej porozmawiać, bo pojawiło się coś ważniejszego, coś innego zaprzątnęło wam głowy. Dobrze, że stał się ten cud z listami, że skrytka w biurku się odnalazła. Dzięki temu mogłaś wreszcie dostrzec, że Eliza to wrażliwa dziewczyna, która ma ciekawe zainteresowania. Wiedziałaś, że ona ładnie pisze?

– Nie miałam pojęcia. – Kaśka spuściła oczy.

– W szkole pisała cudowne wypracowania i zawsze mi się nimi chwaliła. Do ciebie z tym nie przychodziła, bo kiedy pojawiałaś się w domu, to musiałaś odpocząć. Ona cię kocha i nie chciała męczyć takimi przyziemnymi sprawami.

– Jak ja mogłam?!

– Ciągle pędziłaś i przez to swoich spraw też nie ułożyłaś sobie najlepiej. Ale to, niestety, także moja wina.

– Co ty, mamo, mówisz...

– Tak, bo kiedy się wreszcie uspokoiłaś po śmierci Piotrusia, a potem poszłaś do pracy i zaczęłaś wracać do domu uśmiechnięta, nam z Mikołajem to już wystarczyło. Dziękowaliśmy Bogu, że odzyskaliśmy ciebie, że ma cię Eliza, i nie chcieliśmy znowu czegoś popsuć. Nasze wygodnictwo...

– Ależ mi naprawdę było dobrze, tylko że...

– Sama wiesz, że to była ułuda – przerwała jej Anna. – Przynajmniej teraz już siebie nie oszukuj.

– Masz rację. – Kaśce zaszkliły się oczy. – Kiedy spotkałam w Kartuzach Krzysia...

– Umówmy się, ustalmy, że ja nie chcę rozmawiać o twoich sprawach, a ty odpuścisz mi pytania o moje sprawy! – Anna uśmiechnęła się. – Zmądrzałyśmy po wyjeździe z Poznania, mamy na wszystko więcej czasu i każda z nas musi załatwić swoje sprawy po swo-je-mu! –

podkreśliła Anna.

Kaśka przytuliła się do matki.

*

Pierwszy poranek sierpnia wstał chłodny i dżdżysty. Kaśka po śniadaniu nałożyła pelerynę i wybrała się w odwiedzinę do Marysi. Anna z Felcją ubrały się ciepłej i zasiadły na werandzie. Rozmowa im się nie kleiła. Zawsze tego dnia w Poznaniu Anna szła rano do kościoła pomodlić się za powstańców warszawskich. Potem czekała na godzinę siedemnastą, na dźwięk syren przypominających o „Godzinie W”. W ciągu dnia jej myśli na ogół powracały do opowieści mamy Jutki o Janie Bartkowiaku, który zginął na początku wojny na przedpolach Warszawy, potem zahaczały o sceny z filmu Forda *Ulica Graniczna*. Sama się sobie dziwiła, dlaczego tak się stało, gdyż był to film o powstaniu w getcie warszawskim. Znała oczywiście filmy o powstaniu warszawskim, takie jak *Kanał*, *Eroica*, *Miasto nieujarzmione* czy *Zakazane piosenki*, ale przed oczami zawsze stawał jej tamten. Był to pierwszy film, jaki obejrzała, będąc nastolatką, pokazujący zniszczenie przez Niemców tej części Warszawy, a nade wszystko hekatombę jej mieszkańców. Przeżyła go ogromnie. Czasem wracała także do książki Aleksandra Kamińskiego *Zośka i Parasol*, gdyż jej zdaniem najpełniej oddawała prawdę tych tragicznych dni. Przypomniała sobie przeczytany kiedyś fragment rozkazu Hitlera, wydany pierwszego sierpnia na wieść o wybuchu powstania w Warszawie: *...każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy*^[7]. Westchnęła głęboko.

– Jak oni mogli nam coś takiego robić? – wyrzuciła z siebie.

– Kto i co? – Felicja oprzytomniała.

– Niemcy! Warszawie, a w ogóle – Polsce, w czasie wojny.

Felicja spojrzała na Annę, zacisnęła usta i pokiwała głową.

– Panie Boże, powstrzymaj mnie, żebym nie powiedziała złego słowa... – Uniosła oczy w górę, zapadło krótkie milczenie. – Kiedy Niemcy się u nas pojawili, mama powiedziała Staszce i mnie: Na wojnie lédze sã nie rodzą, le dżiną^[8]. Pilnujcie się domu... – Przymknęła oczy.

– Czy oglądałaś kiedyś film *Ulica Graniczna*? – spytała po chwili Anna.

– Bo ja wiem, raczej nie... A to o wojnie, tak?

– Ten film to hołd dla polskich Żydów, pomordowanych przez Niemców w getcie warszawskim, hołd dla tamtej Warszawy. – Felcia pokiwała głową. – Jest w nim wiele dramatycznych scen, oglądałam go tylko raz w latach pięćdziesiątych, do dzisiaj wiele obrazów mam ciągle przed oczami. Różnie o tym filmie przez lata się mówiło... – Machnęła dłonią i zamilkła. – Sznur zrozpaczonych Żydów poganianych przez Niemców wychodzi z tobołkami z getta, wokół płonące domy, a w jednym z nich stary Żyd, krawiec Liberman, w schowku za szafą modli się z ramionami wzniesionymi w górę... – Anna zawiesiła na moment głos, Felicja wpatrywała się w dal z półprzymkniętymi oczami i kiwała głową. – On postanowił tam zostać! Ciągle widzę jego uduchowioną twarz, wyrażającą niewyobrażalne cierpienie, wzrok skierowany ku górze i słyszę rozpaczliwe wołanie: Adonai! – Znowu na chwilę zamilkła. – Tę scenę pamiętam doskonale.

– Niemcy to lotry! – wyszeptała Felcia.

– Za co oni nas tak nienawidzą?!

– Tak sobie myślę, że to wszystko ze strachu – odpowiedziała Felcja po chwili i zacisnęła pięść. Anna spojrzała na nią zaskoczona. – Ale niech uważają. Wiesz, ja to może jestem głupia, ze wsi, ale też dużo czytałam. Myślę, czuję, że tak naprawdę oni nas się boją.

– No co ty?

– Czasem wolę nie przyznawać się nikomu, co wyczytałam w książkach i co o tym wszystkim myślę. Trzymam je na strychu, no wiesz... – Na jej twarzy mimo przykrego tematu pojawił się cień chytrego uśmiešku. – Tak szczerze jak z tobą, to ja z nikim jeszcze nigdy nie rozmawiałam! – Spojrzała na Annę. – I już nie będę.

– Ale jakie to książki i dlaczego na strychu? – spytała Anna, lecz Felcia położyła palec na ustach.

Zerwał się silniejszy deszcz. Krople uderzały w schody i moczyły posadzkę werandy.

– Dobrze, że kazałam tu zrobić kachelki. – Felcia nieoczekiwanie zmieniła temat, wskazując głową na podłogę. – Potem tylko przejeżdżam mopem i już! – zamilkła. – Mój brat Staszek... – odezwała się ponownie po chwili przerwy – ...zginął też w czterdziestym czwartym. Niedaleko od domu... – Pokazała ręką przed siebie. – Przy jeziorze Żukówko wylądowała grupa zwiadowcza zrzucona przez Ruskich. Kilku partyzantów z Gryfa miało ochraniać lądowisko. Niemcy jakoś się o tym wywiadzieli i skierowali tam silny oddział wojska. Ciężko rannego Staszka i jeszcze jednego chłopaka udało się naszym wynieść w lasy. Tam obaj niestety umarli. Mieli po osiemnaście lat... – Otarła łzy. – Tato rozpacział, bo go Staszek uprosił, żeby go puścił na tę akcję. Po wojnie w lesie, w miejscu, gdzie ich pochowano, postawiono pomnik.

– Jakie my mamy szczęście, że tyle lat jest pokój... – Anna próbowała zakończyć tę smutną rozmowę.

– Niby tak, ale po wojnie dowiedzieliśmy się, że grupy zwiadowcze Sowietów miały też całkiem inne zadanie.

– Jakie?

– Rozpoznać organizację Gryfa^[9]. Po wojnie ludzi, którzy do niej należeli, pozamykano w więzieniach, przetrzymywano bez wyroków, wielu wysłano do Rosji do łagrów, a niektórych po prostu zamordowano i to bez jakiegokolwiek sądu!

– Straszne...

– To czerwoni Polacy i nasi wyzwolicieli, ruscy komuniści! Wszystko zwierzęta! – krzyknęła Felcia i zacisnęła pięści. – A poza tym... Przecież oni mieli dopaść i zniszczyć Niemców i wszystko, co niemieckie, to było ich zadanie! A nie wyzwalali, tylko zdobywali, brali łupy i szli dalej!

– Felciu, może byśmy napiły się kawy?

– Jeszcze coś ci muszę opowiedzieć. – Felcia spojrzała dziwnym wzrokiem na Annę. – Jak przyszło wyzwolenie, to ludzie próbowali zaufać wojsku, które się tu zjawilo – westchnęła. – Wydawało nam się, że najgorsze już minęło, ale... to, co żołnierze frontu, który tędy szedł, robili po okolicznych wsiach i w Bytowie, to aż skóra cierpie! – podkreśliła dobitnie. – Wiesz, Ruscy, ale z początku i Polacy, traktowali przecież Kaszubów jak Niemców, jak wroga. To wszystko przez nasz język. A co się robi z wrogiem? Łupi go! Więc niech mi nikt nie mówi o jakimś wyzwalaniu. Przynajmniej tu, na Kaszubach. Ale to jeszcze nie było najgorsze. Ta dzicz uznała, że ma prawo do kobiet

wroga, do nas, bo to przecież Niemki! Rozumiesz?! – zaskłała. – Zaczęły się gwałty. Ojcowie chowali żony i córki, gdzie tylko się dało, ale wiele z nich ta pijana dzicz znajdowała. Boże! Jak ci rodzice, mężowie potem rozpaczali. Wyli z bezsilności! A potem ciężę i porody! Boże! – Felicja zaniosła się płaczem.

– Felciu kochana, gdybym wiedziała, to bym tej rozmowy wcale nie zaczęła... – Anna przytuliła ją do siebie.

– Mnie udało się ukryć, ale były kobiety w okolicy, które nie miały tego szczęścia... – łkała Felcia. Anna głaskała ją po ramionach.

– Masz rację, o tym nigdy nie da się zapomnieć – szepnęła cicho.

– Opowiedziałam ci to, bo jesteśmy rodziną. Musiałam! Przecież przez te wszystkie lata nie miałam z kim o tym rozmawiać. Przepraszam cię... – Felcia wytarła oczy i spoglądała na zapłakany deszczem gazon, łąki i dolinę.

Uspokajała się. Po chwili spojrzała na Annę z dziwnym błyskiem w oczach. Pokręciła głową. Wstała i złapała się za brzuch. Na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Jak tak pada i pada, to na ogół chce mi się... sikać! – zaśmiała się głośno. Annie rozszerzyły się oczy. – To przez wilgoć w powietrzu! Dzisiaj z jej nadmiaru to jeszcze się poryczalam! At! – Machnęła ręką. – Lecę, a jak będę wracać, wstawię wodę na kawę! Przyjdź zaraz do kuchni.

*

– Mamo, nie miałabyś może ochoty wysłuchać koncertu organowego?

– W Parchowie? – Anna podniosła oczy znad książki i spojrzała zdziwiona na Kaśkę.

– Nie, w Oliwie. W katedrze.

– Specjalnie jechać do Oliwy na koncert? – Matka spojrzała pytająco na Kaśkę. A może to byłoby fajnie... odpowiedziała sama sobie.

– Zajrzałam do internetu i przeczytałam, że latem są tam koncerty, no a dzisiaj jest ciągle pochmurno, więc może...

– Dobrze! Wypijmy w takim razie kawkę i możemy jechać. – Anna ruszyła do kuchni.

Kawa i przygotowania zajęły im prawie dwie godziny. Ruszyły dopiero około południa. Na Złotej Górze Kaśka skręciła na Kaszubską Drogę w stronę Wieżycy.

– Jak tutaj ślicznie – zachwycła się Anna.

Kaśka powtarzała zasłyszane od Krzysztofa informacje o Szwajcarii Kaszubskiej.

– Skąd ty tyle wiesz o Kaszubach?

– No przecież od Krzysztofa!

Anna pokiwała głową. Potem drogą kościerną wjechały do Kartuz, a stamtąd ruszyły na Żukowo, gdzie Kaśka, nieoczekiwanie dla Anny, nie wybrała drogi do Gdańska.

– A Oliwa to nie Gdańsk czasem? Jedziemy przecież na Gdynię.

– Najpierw zjemy obiad w Gdyni na Kamiennej Górze, a dopiero na osiemnastą pojedziemy do Oliwy.

Niespiesznie posiliły się w „Panoramie”, a potem podziwiały widok Gdyni z tarasu widokowego obok krzyża.

– Śliczne miasto... Byłam tu tylko raz, dosyć dawno i to bardzo krótko. – Anna rozglądała się wokół. – Pewnie gdzieś tutaj niedaleko mieszkaliście z Elizą, prawda? – Kaśka wskazała ręką. – A może przejdziemy się schodami w dół? Dokąd one prowadzą?

– W dole jest Skwer Kościuszki, okręt „Błyskawica”, wiele ładnych pomników, marina jachtowa, Bulwar Nadmorski, ale to wszystko już widziałas z góry. Będiesz potem miała siły na koncert?

– Za kogo ty mnie uważasz? Czy ja jestem jakaś stara babcia?

– Przepraszam – roześmiała się Kaśka.

– Muszę przecież zobaczyć, co w tej Gdyni naszej Elizie tak się podoba, sama dotknąć, jak trafiła mi się okazja. – Anna zmrużyła oczy.

*

Jechały wolno ulicami Gdyni.

– Miasto w sam raz dla Elizy. Młode jak i ona. Niedaleko jest stary Gdańsk, zawsze może odwiedzić Poznań...

Anna spoglądała z uśmiechem na nowe budynki, szerokie ulice, zadbane skwery. Gdy minęły Orłowo i wjechały do Kolibek, Kaśka zwolniła.

– Tu po lewej, pomiędzy drzewami, stał jeszcze do wojny kościół pod wezwaniem Świętego Józefa. Nie został uszkodzony w czasie walk obronnych toczonych w pobliżu. Ale natychmiast po zajęciu Orłowa rozpoczęło się niszczenie tego miejsca, tak bliskiego Kaszubom.

– Przecież to barbarzyństwo! – wykrzyknęła Anna i poruszyła się gwałtownie.

– Opowiedzieli mi o tym właściciele pensjonatu, w którym spałyśmy z Elizą... ... Pochodzą stąd – powiedziała Kaśka, kiwając głową. – Kolibki to była rezydencja Jana III Sobieskiego, ulubionego króla tutejszych mieszkańców. Kaszubi pamięć o rezydencji i królu przekazywali sobie w legendach z pokolenia na pokolenie. W skarpie nad morzem Marysieńka miała swoją grotę, z której machała chusteczką do króla płynącego ku niej morzem. Na bramie i w kościele były herby króla polskiego. W kościele był obraz, ufundowany przez królową, Matki Boskiej Piaseckiej, do której król miał pielgrzymować przed wyprawą pod Wiedeń, oraz sztandary. A tam po lewej, ten duży głaz z orłem na szczycie, to pomnik poświęcony bohaterom obrony Gdyni z 1939 roku. Siedmiu żołnierzy z punktu obserwacyjnego granicy, umieszczonego na wieży kościoła, broniło się do końca. Nie mieli takiego rozkazu, sami chcieli jak najdłużej powstrzymać wroga. Jednej nocy zginęli wszyscy^[10].

Umilkły. Za chwilę były już w Sopocie. Spoglądały na uśmiechniętych mieszkańców i turystów, spacerujących wzdłuż alei Grunwaldzkiej, podziwiały pozostałości secesyjnej zabudowy. Na ich twarze wrócił uśmiech. Wjechały do Oliwy. Anna uśmiechnęła się.

– Stare te budynki i ładne.

– W lewo jest ulica Polanki, tam stoi kilka pięknych dworców z siedemnastego wieku, ale dzisiaj będzie mało czasu na zwiedzanie. – Kaśka wskazała dłonią, gdy minęły skrzyżowanie. – Tam dalej mieszka Wałęsa... – Anna skinęła głową. – Ten tutaj zajazd był już w szesnastym wieku. Teraz to pensjonat.

– Stara Karczma – przeczytała Anna.

Pokluczyły kilka chwil ciasnymi uliczkami i zaparkowały wreszcie przed katedrą.

– Mamy jeszcze godzinę, więc przejdźmy się po parku.

Po chwili stały już przed Pałacem Opatów, podziwiając jego zgrabną bryłę. Część francuska i część angielska parku były pięknie utrzymane. Figurki, rzeźby, pomniki,

strumień, mostek i kaskada, wszystko to cieszyło oczy. Z daleka dostrzegły na tle drzew pomnik.

– To Mickiewicz.

– Jak on ma tutaj nastrojowo. Może się skupić... – Anna w zamyśleniu zmrużyła oczy. – Stoi pod drzewami, deszcz go nie zmoczy, zawsze jakiś przechodzień może obok niego przycupnąć na ławce i porozmawiać, patrzy na ładne kwiaty, oczy mu odpoczywają.

Szły wolno alejkami przy stawach, podziwiając pływające ptactwo. Klomby cieszyły feerią barw. Weszły w zacienioną aleję.

– Jaki piękny bindaż^[11]! – Anna zatrzymała się z podziwu. – Czy wiesz, co to za drzewa? Lipy! Ładnie je ktoś prowadzi, przycina. Widziałam taki bindaż w Wersalu. Ten nie jest wcale gorszy! Jak tutaj musi cudnie pachnieć, kiedy lipa kwitnie!

Wracały w kierunku katedry.

– A cóż to takiego? Zabytek? – Anna spojrzała na grotę.

– Mhm. To pozostałość osiemnastowiecznego wyposażenia parku, groty szeptów. Tam jest druga – wskazała Kaśka. – Nazywane też są Uszami Dionizosa! Jak w jednej mówi się szeptem, to w drugiej słychać to wszystko dokładnie.

– Ależ tu dużo ludzi – szepnęła Anna, kiedy weszły do katedry.

– Mówiłam ci, żeby już wracać.

– Przysiadźmy na schodkach tamtego ołtarza, jak inni – wskazała Anna, kiedy po bezowocnych poszukiwaniach miejsc w nawie głównej weszły do nawy bocznej. – Pokaż program. Znam to! – odezwała się po chwili szeptem. – To znaczy kompozytorów: Arcangelo Corelli, Johann Sebastian Bach i Feliks Mendelssohn-Bartholdy. Dobrze trafiłyśmy! – uśmiechnęła się.

Gdy popłynęła muzyka, Anna przymknęła oczy. Wcześniej obawiała się, że w nawie bocznej nie będzie dobrze słychać, ale było doskonale. Znała jakąś sarabandę Corellego, ale jego sonaty organowe, których dzisiaj słuchała, pozwoliły jej się przenieść do innego świata. Piszczalki i basy, piękne harmonijne akordy, kaskady cudownych dźwięków, wszystko to poruszało jej wnętrze spragnione takich doznań.

Kaśka wodziła wzrokiem po wnętrzu katedry, po ludziach słuchających muzyki. Większość miała przymknięte oczy. Na twarzy mamy dojrzała niebiański uśmiech. Dobrze, że tutaj przyjechały.

Uspokoiła wzrok i też przymknęła oczy. Dała się ponieść muzyce, ale wśród dźwięków raz po raz słyszała miły głos Krzysztofa i ciepły baryton Macieja. Co ja mam z Krzysiem zrobić? Jak postąpić? Rozmówić się z nim poważnie? Przecież on, jeśli dotąd nie odszedł od żony, to teraz także tego nie uczyni. Igor ma dobre relacje z matką, wszystko widzi, więc jej opowie, jak było pomiędzy mną a Krzysztofem i jak jest! Co innego, gdyby Krzysztof był sam. A Maciej? – uśmiechnęła się do własnych myśli. Gdy tylko go poznałam, dostałam dreszczy, a teraz jest jeszcze gorzej! – prychnęła, ledwie tłumiąc śmiech. Spojrzała na mamę – nie otworzyła oczu. Krzysztof i Maciej, jak im się tak dokładniej przyjrzeć, to obaj są wygodni i mało skłonni do podejmowania decyzji. Mają zalety, ale wady też. Krzysiu czasami histeryzuje, a Maciej...? Ładnie mówi, pięknie się uśmiecha, ale to chyba jeden wielki życiowy rozgardiasz. Aha, teraz Bach. Poznają, to któraś toccata. Cudowne.

Spojrzała ukradkiem na mamę. Jej palce tańczyły po kolanach. Chyba osiągnęła wyższy

poziom uduchowania – ten uśmiech i drzenie powiek...

Obaj są jacyś tacy mało zorganizowani i męscy! Ale ze mnie zrobiła się kalkulatorka! – zakrztusiła się, tłumiąc śmiech.

– Kasiu, przecież to nie humoreska Dworzaka, a Bach. Zachowuj się! – szepnęła głośno mama, szturchając ją jednocześnie w bok.

*

Stach Janik wdrapał się resztką sił na werandę i opadł na krzesło.

– Krucafuks! Ale se dałem w dupę! Pić się chce!

– Panie Stachu, tu są damy! – zapięła nieco teatralnie Felcia, wskazując na Annę i Kaśkę.

– Ale ja przecież powiedziałem o swojej dupie! – zarechotał, błyskając białkami oczu.

Anna odłożyła książkę.

– Gdzież to pan tak się dzisiaj narobił? – spytała współczującym głosem.

– A bo każdy coś chce. Najpierw byłem w Jamnie, tam kabel musiałem pociągnąć do lodówki, później nad Małym Mauszem u takiej jednej kobity, bo się sracz zatkał, a potem koło Parchowskiego Młyna słupki do bramy cementowałem. No i moja też jeszcze dzisiaj czegoś chce, ale koło chaty nawet się nie zatrzymałem, przyjechałem odpocząć trochę u was, w cieniu. Pić się chce! – powtórzył i sapnął.

– Ze strachu przed swoją kobietą się nie zatrzymałeś... Dobri kón bez batuga jidze, ale widzec òn gò mùszì^[12] – zarżała Felcia. Stach łypnął okiem. – No wiem, wiem... Dëtczi^[13] zawsze potrzebne – spoważniała.

– Dëtczi nikògò nie zbawią. – Stach łypnął okiem, ale zaraz się uśmiechnął.

– Dlaczego pan nie wstąpił do sklepu, żeby się napić...? – spytała Anna.

– Tutaj lepsze, zimniejsze. He, he, he! A poza tym kto by mnie tam po schodach wciągnął?

– No, ale z drugiej strony, kto wyjeżdża na robotę bez picia! – wytknęła mu Felcia.

– W samochodzie picia mam zawsze pełno – obruszył się Stach.

– No to nie rozumiem...

– Lubię pić w towarzystwie. He, he, he! A poza tym wrzătku by się panie napiły, jak taki upał? No! Dlatego i ja nie piłem, a przyjechałem tutaj! He, he, he!

– To trzeba było tak od razu mówić!

– Ile będziemy jeszcze tak gadać o piciu? Już śliny nie mam...

– Kasiu, tam w kuchni stoi karafka z lemoniadą, przynieś, proszę – zwróciła się Felcia do Kaśki.

– Wiedziałem, że tu se wreszcie odpocznę.

Gdy Kaśka przyniosła lemoniadę, Stach wlał ją do szklaneczki i wychylił duszkiem. Nalał powtórnie, wypił, otarł usta wierzchem dłoni, poprawił się na krześle i uśmiechnął.

– Teraz wiem, że żyję! – kolejny raz odsapnął. – No to jak, wiecie już teraz, kobiety, że słupki przy szosie do czegoś się przydają?

– Ale się wtedy przestraszyłam – uśmiechnęła się przepraszająco Anna.

– A jak słońca nie ma, to dobrze pamiętać, że drzewa od północy mają mech. To też pomaga, żeby się nie zgubić.

– Jak człowiek się zakręci i trochę przestraszy, to wszystko wywiewa z głowy – rzuciła

Kaśka, machając ręką. – A przecież byłam harcerką i wiem o tym.

– To jeszcze kiedyś was zawiozę za Naklę, do bukowego boru, i pokażę, jak szukać prawusów – nadął się Stach. – Już się powoli pokazują! A wiecie, że tak naprawdę to wszystkie grzyby są jadalne? – Stach popatrzył poważnie na Annę i Kaśkę, obie pokręciły głowami.

– Jo! – potwierdziła Felcia. Anna i Kaśka spoglądały na nich z niedowierzaniem.

– ...Ale niektóre... tylko raz! He, he, he! – zaśmiał się Stach, wzbudzając tym wesołość kobiet.

*

– Idę się przejść na pocztę. Potrzebujesz czegoś? – Kaśka zamasyżując wkroczyła na werandę.

– Nie... Ładnie wyglądasz. – Anna spojrzała na córkę znad książki.

Rozkloszowana spódniczka do pól uda w kolorowe spirale, krótka bluzeczka w kolorze mango z wycięciem na pępek, płaskie zielone sandaalki na paseczkach i kolorowe dodatki, wszystko to czyniło z Kaśki zjawiskową istotę. Anna odprowadziła córkę wzrokiem aż do bramy.

A cóż mi tutaj wibruje? Kaśka zatrzymała się zaraz za bramą i wyciągnęła komórkę z torebki z zielonkawej słomki. Wiadomość od Macieja! „Będę w sobotę u Marysi!” Serce zabiło jej mocniej, poczuła motyle w brzuchu. „Czekam z radością!” – wystukała na klawiaturze. Odetchnęła głęboko, obejrzała się na dom i ruszyła wolno w kierunku szosy. Wiatr przyjemnie owiewał jej długie nogi i odkryte ramiona. Szła, kołysząc biodrami i czując, jak rytmicznie fruwa jej spódniczka.

Schodziła powoli w kierunku szosy. Znowu wibracja – tym razem długa, powtarzająca się. Krzysiek!

– Witaj, Krzysiu...

– Dzień dobry, Kasiu... Jak zapatrujesz się na spotkanie w sobotę?

– W sobotę...? Nie mogę, bo mam dyżur przy mamie! – rzuciła bez zastanowienia. – Dzielę się dyżurami z Felcią, bo musimy mieć mamę na oku... dzisiaj wieczorem mogłabym...

– Ale na dzisiaj ja nie dam rady...

– Aha! Nie dojedziesz! No szkoda...

– Nie planowałem na dzisiaj... A czy ty, Kasiu, czasem nie robisz tego specjalnie?

– To znaczy czego...?

– No, bo tak sobie myślę, że to nie pierwsza wymówka, a chyba mam jakieś prawo...

No wiesz, zaproponowałem ci pracę...

– Że co? Że masz prawo?... Poczekaj chwilę! – Kaśka przystanęła, przelożyła komórkę do drugiej dłoni. Czuła, że adrenalina po ostatnich słowach Krzyśka uderzyła jej w skronie. Starła się głęboko oddychać.

– Coś ci, Krzysiu, powiem! – rzuciła twardo, starając się zachować spokój. – Nikt, nawet ty, mimo że – jak mówisz – dałeś mi pracę, nie ma do mnie prawa! Nikt! Rozumiesz?

– A z Maciejem pewnie się spotykasz... Przecież weekendy miały być dla nas.

– A co Maciej ma niby do tego? Że weekendy miały być dla nas?!... To trzeba to było

wpisać w umowę! Naprawdę myślałeś, że tym kupisz sobie do mnie prawo?

– Ale ja tak przecież nie powiedziałem!

– Tak nie powiedziałeś...? Nie spodziewałam się tego! Daj mi chwilę odetchnąć!

Przymknęła oczy. Poczowała silne pulsowanie w skroniach. A to mnie zaskoczył. On czasami świruje, ale dzisiaj to już przegiął. Tylko, że ja chyba trochę też.

– Krzysiu, to może ja przyjadę w niedzielę do Kartuz? – rzuciła ugodowo.

– W niedzielę rano wracam do Poznania. Miałem nadzieję na większą lojalność...

– Coś ty znowu powiedział? Jestem nielojalna?

– Przepraszam cię. Przejęczyłem się.

– Czy ty nie możesz do takiej ważnej rozmowy napisać sobie jakiegoś planu, a nie ciągle przepraszać? Przejęczyłeś się? Nie...! Posłuchaj mnie teraz uważnie! Przystaję u ciebie pracować!

– Ależ, Kasiu... przepraszam...

– Nie przerywaj mi i nie przepraszaj teraz! Nieodwołalnie od zaraz przystaję u ciebie pracować! Aha! Umowa na wynajem mieszkania nie ma nic do tego! Możesz wynajmować je, jak długo chcesz! Ja teraz sobie odpocznę, przemyślę wszystko, co od ciebie usłyszałam, pomogę mamie w poszukiwaniu rodziny, mogę tu – jakby co – pracować dorywczo, nie zanudzę się, formalnie nie odmówiłeś mi bezpłatnego urlopu, więc na niego wracam, no chyba, że potraktujesz moje słowa jako formalne wypowiedzenie albo nawet porzucenie pracy!

– Nie... Miałeś prawo do zdenerwowania. Zgadzam się na twój urlop.

– Dobrze, zgadzasz się na wszystko?! Dziękuję! Odpocznijmy zatem i przemyślimy wszystko na spokojnie. Do usłyszenia. Odezwę się niedługo.

Nie czekając na odpowiedź, Kaśka wyłączyła komórkę. Oparła się plecami o drzewo. Przymknęła oczy. A to dał czadu... Nielojalna! Choć z drugiej strony, miał trochę racji... Teraz mam to, czego sama chciałam! Nawet się nie zająknęłam... Otworzyła z wolna oczy i popatrzyła wokół. Uspokajała oddech. Tam żniwują, psy dookoła szczekają, słońeczko nie za mocne, wszystko jak trzeba. Świat nadal jest piękny. Nic się nie stało... – uśmiechnęła się do swoich myśli. Krzysztof przyjedzie tutaj jutro, a ja mam się domyślać i czekać na niego jak jakaś hurysa! Potrząsnęła głową. O, twoje niedoczekanie! – roześmiała się głośno, ale zaraz obejrzała wokół.

Spojrzała na swoje nogi od ud aż do stóp, poruszyła spódniczką, obciągnęła bluzeczkę, potrząsnęła włosami. Wszystko w porządku, oddech też się uspokoił, więc mogę iść na pocztę!

Wrzuciła komórkę do torebki przewieszanej przez ramię i ruszyła ponownie w kierunku centrum Parchowa.

*

Wieczór z Maciejem był uroczy. Spędzili go w „Leśnym Dworze” w Sulęczynie. Po smacznej kolacji, której towarzyszyły miłe, ciepłe słowa, Kaśka sączyła półwytrawne argentyńskie wino przy dźwiękach muzyki Ornette Colemana. Maciej wypił do obiadu tylko naparstek koniaku, a potem towarzyszył jej sokiem pomarańczowym i ciągle pięknie się uśmiechał. Było jej dobrze. Odpoczywała. Przygaszone światła, upojne dźwięki trąbki, saksofonu, fortepianu, a w tle utrzymująca rytm perkusja, do tego kontrabas i gitara

basowa. W kilku utworach pojawiły się skrzypce, które jako instrument jazzowy mile ją zaskoczyły. Nie była dotąd fanką jazzu, ale pamiętała opowieść Elizy o koncercie, na którym była tu z Igorem. Elizę wówczas ta muzyka uwiiodła – tak się wyraziła. Teraz czuła, że i ona ulega jej magii. Dotąd uważała, że cuda na koncertach skrzypcowych wyprawia Nigel Kennedy, chociaż bardziej to dotyczyło stroju, sposobu gry, zachowania, niż samej techniki, wirtuozerii. W pamięci miała utwór *Purple Haze* Jimiego Hendrixa, brawurowo zagrany kiedyś przez Nigela na koncercie. Jednak jazzman, który dzisiaj grał na skrzypcach, zburzył jej dotychczasowy konserwatywny pogląd dotyczący sposobu gry na tym instrumencie. Bawiła się jak dziecko. Poruszała ciałem, klaskała, trochę nuciła, bo na ogół znała główne tematy utworów, ale gdy skrzypek zaczynał improwizację i milkły inne instrumenty, wciskała się w krzesło i całą sobą chłoneła wszystkie dźwięki wydawane przez instrument.

– Dostałem kiedyś w prezencie winylową debiutancką płytę Ornette Colemana, *Something Else!* z pięćdziesiątego ósmego roku i wpadłem... – rzucił Maciej w przerwie między utworami i jakby zawstydzził się, gdy spojrzała na niego badawczo.

– Człowiek ciągle się uczy – wtrąciła Kaśka. – To jest wyświechtane powiedzenie, ale dzięki tobie znowu się czegoś nauczyłam: słuchać muzyki innej niż dotąd.

Dotknęła jego ręki, on najpierw się spłoszył, ale po chwili położył na jej dłoni swoją drugą dłoń.

– A wracając do Colemana, musiałem kupić dobry adapter i potem zacząłem kupować kolejne jego płyty. Mam już ich ponad dwadzieścia i ciągle mi mało – uśmiechnął się szeroko. – Ufam, że kiedyś będzie nam dane wspólnie ich posłuchać.

Kiedy wracali do Parchowa, przypomniała sobie, nie wiedzieć czemu, zabawę w biorytmy z Felcią i jej reakcję na zadane pytanie o datę urodzin Macieja. Przecież nie może tak być, że dorośli ludzie nawet nie próbują się spotkać i ze sobą szczerze porozmawiać. Nie chcą! Tych kilkadziesiąt dni od wyjazdu wiele ją nauczyło i nie rozumiała, dlaczego Maciej też nie mógłby się czegoś od niej nauczyć.

– Zadałam kiedyś Felci pytanie o ciebie... – rzuciła obcesowo.

Zacisnął usta, spochmurniał i począł wpatrywać się w szosę. Trafiłam cię! – pomyślała.

– Chyba już czas, żeby zakopać topór wojenny. Naoglądałeś się tego na indiańskich filmach... – w jej głosie zabrzmiała lekka ironia. – Tyle lat minęło, przecież nie jesteś już dzieckiem. Każdy ma prawo do szczęścia. Matka także. Ona ma swoje lata, a ty też nie jesteś już przecież młodzieniaszkiem! – podkreśliła ostatnie słowo.

Zjechał na pobocze i zatrzymał się. Zdjął okulary i nerwowo je przetarł. Kaśka wpatrywała się w jego twarz. Przez moment żałowała, że poruszyła ten temat, ale przypatrując się jego reakcji, porzuciła żal. Wyglądał trochę jak rozkapryszony berbec. Milczał i patrzył w dal.

– Kasiu, może jednak nie dzisiaj – odezwał się po chwili nieswoim głosem. – Po niedzieli wyjeżdżam na konferencję do Krakowa, a potem na KUL do Lublina i właśnie miałem tam zacząć szukać ojca... Jana. – Spojrzał na nią pobladły. – Mam zamiar do niego dotrzeć. Tak niedawno postanowiłem.

Kaśkę zatkało. Czyżby był tak przebiegły jak inni i potrafił to zagrać? Wymyślił to na poczekaniu?

– Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, ale spróbuj. Chcę, żebyś zaczęła traktować mnie jak poważnego człowieka, bo wiem, że nie zawsze na takiego wyglądam – zamilkł

i niepewnie się uśmiechnął.

– Mów dalej, proszę cię... – Zmrużyła oczy, ale nie była pewna, czy i ona powinna się uśmiechnąć.

– Dowiedziałem się już czegoś o ojcu Janie, ale dzisiaj nie chcę mówić nic więcej o nim i o całej tej sprawie. Proszę cię! – spojrzał na nią prawie błagalnie.

Kaśka uśmiechnęła się. Podniosła dłoń i pogładziła go delikatnie po policzku, a potem pocałowała. Lekko zaskoczony i przestraszony, odsunął się. Po chwili przysunął się z powrotem i pocałował ją w usta. Nie protestowała. Czuła bicie serca i drżenie w udach. To był długi pocałunek. Wreszcie on oderwał usta od jej warg i spojrzał głęboko w jej oczy.

– Kasiu! Mam bardzo poważny plan naprawienia wszystkiego, co kiedyś zepsułem. Przyrzekam ci, że go zrealizuję. Robię to naprawdę dzięki tobie. Chyba dorosłem.

Wpatrywali się w siebie z czułością. Maciej zdjął okulary. Znowu połączył ich długi pocałunek.

*

Anna układała przed sobą listy od zespołów potwierdzających przyjazd na festiwal „Pobocza Folku”. Na jedną kupkę kładła zgłoszenia z Polski, na drugą z zagranicy. Przy okazji porównywała otrzymane pisma z listą zespołów, do których wysłano zaproszenia.

Brakowało potwierdzeń jedynie od pięciu zespołów na dziewiętnaście zaproszonych, no, to chyba nieźle. Przyglądała się wzorowi podziękowania, przygotowanemu przez Marysię jeszcze w ubiegłym roku.

Zastąpię tylko sformułowanie: *serdecznie pozdrawiamy* na: *z kaszubskim pozdrowieniem* – będzie ciut inaczej. Uśmiechnęła się. Reszta może pozostać bez zmian.

Cieszyła się, że trochę przypomni sobie pisanie w różnych językach. Segregowała koperty zespołów zagranicznych.

Białoruś, Litwa i Ukraina – te listy po rosyjsku, Niemcy i Austria – po niemiecku, Aha! Duńczycy też napisali po niemiecku. A tu co...? Italia! Super! Zaraz, zaraz... Uczniowie liceum z Neapolu są na wymianie z uczniami z gdyńskiego liceum – tłumaczyła sobie, wolno czytając. Będą wśród nich członkowie szkolnego zespołu ludowego. Mogą wziąć stroje i instrumenty i w ramach wycieczki po Kaszubach przyjechać i dać koncert. No, to prawdziwa gratka! Ale się w gminie ucieszą!

– Aniu, czy już mogę zalewać? – doszło do Anny wołanie Felci z kuchni.

– Taak! – odpowiedziała śpiewnie.

Przesunęła koperty nieco dalej, zwalniając miejsce na filizankę. Otworzyła brudnopis i zaczęła pisać. „Liebe Freunde!”

– Wiem! *Funiculì, funiculà!*^[14] – krzyknęła; od kilku chwil starała się przypomnieć sobie jakąś neapolitańską piosenkę. Odłożyła długopis i wzięła się pod boki:

*Jamme, jamme 'ncoppa, jamme jà,
Jamme, jamme 'ncoppa, jamme jà,
funiculì, funiculà!
funiculì, funiculà!
'ncoppa, jamme jà, funiculì, funiculà!*

Przy ostatnich słowach Felcia pojawiła się na werandzie z tacą.

– Co ty tutaj tak się wydzierasz? Co ci się stało? A gdzie twoja widownia? – Felciny głos udawał poirytowanie, ale mina wskazywała na coś zupełnie innego.

– Ucieszyłam się, że do nas przyjedzie zespół z Italii!

– Do nas?! – Felcia uśmiechnęła się szeroko. – No jasne, że do nas! To z tych papierów tak śpiewałaś?

– Czytałam listy i tam był jeden z Italii, który mnie uradował. Robię to dla Marysi, znaczy dla gminy robię tłumaczenia podziękowań dla zespołów.

– Aaa! Liebe... Freunde... to przyjaciele... – Felcia czytała na raty, spoglądając Annie przez ramię. – To po niemiecku! W tym języku możesz trochę mnie wykorzystać... byle nie przy kawie – zastrzegła, sadowiac się na swoim miejscu.

– A Kasia gdzie? Idzie już? – Anna wychyliła głowę w kierunku sieni.

– Wyręczyła mnie trochę, pomagając Ewelince przy pościelach, a kwadrans temu widziałam, jak wychodziła przez ruchomą deskę w płocie na łąki. Kazała Ewelince przekazać nam, że idzie z kwiatami do dziadka Bronka, a potem na kawę do Marysi.

– Kochana... Też muszę tam pójść. – Anna zatrzepotała powiekami.

– Pójdziemy razem pod wieczór spacerowo, chcesz?

Anna skinęła głową. Zabieliła kawę.

– No popatrz, Kaśka nam dziecinnieje, dziury w płotach... Następny etap to włożenie na drzewa – uśmiechnęła się.

– Niech się wyżywa. Tyle lat nie była na wakacjach. Ty zresztą też.

– Miało nie być słodkości, a jednak przyniosłaś babkę. – Anna sięgnęła po kawałek ciasta.

– A bo rano przechodziłam koło sklepu, a tam mieli jeszcze ostatnią z Sierakowic. Chwaliłaś ją kiedyś. Jak już jesteśmy same, to powiedz mi, kiedy wreszcie ruszysz swój zadek do Bytowa?

– A po co?

– To ja tam nabroiłam z Ryszardem czy ty?

Anna złapała się palcami za skronie i przymknęła oczy.

– Felcia...

– Felcia, srelicia.

Anna spojrzała na przyjaciółkę i rozchmurzyła się.

– Ty mnie zawsze potrafisz rozśmieszyć. To nie tak, że ja o tym nie myślę; wtedy chyba faktycznie za ostro go potraktowałam. Trzeba było właśnie porozmawiać, dowiedzieć się...

– Eee! Tyle to każdy głupi wie! – Felcia podniosła filiżankę do ust i pomachała wyprostowanym palcem odsuniętym od uszka. – Mnie ciekawi, co teraz myślisz, i dlaczego tak długo ci to idzie! Bo Ryszard to przecież bardzo dobry człowiek.

– Też tak uważam...

– A ja się na tym doskonale znam – uśmiechnęła się Felcia. – Całe życie musiałam polegać na sobie i nigdy się nie pomyliłam co do ludzi. Ino wiesz, na ludziach tak w ogóle to ja się znam, ale na chłopach nic a nic! Ciągle sama... – Teraz ona przymknęła oczy.

– A jeśli obiecuję ci, że ruszę zadek – zaśmiała się Anna – ...i spróbuję jeszcze raz porozmawiać z Ryszardem, to ty mi też coś obiecujesz?

– A co ja mam do tego? Co ja bym ci miała niby obiecać?

– Że ty też rozmówisz się z Maćkiem i spróbujesz odszukać Jana! – Anna spojrzała na

Felcię przenikliwie.

Ta spuściła oczy. Zbierała palcem okruchy ciasta leżące na talerzu, a potem przenosiła je do ust, żeby zlizać.

– No, starsza przyjaciółko? Twój prezent imieninowy cię prosi. Halo!

Felcia po ostatnich słowach Anny prychnęła, nie utrzymawszy powagi.

– To nie jest tak, że ja o tym nie myślę – roześmiała się. – Widzisz? Nawet odpowiadam twoimi słowami. Przy tobie i dzięki tobie myślę dużo o nich... o moich chłopakach – spoważniała. – Nie jestem przecież z kamienia. Tylko pierwszy ruch musi należeć do nich i już!

Anna wiedziała, że więcej nic nie wskóra. Podziwiała twardość Felci, ale też przebiegłość, z jaką zmusiła Annę, by obiecała, że postara się spotkać z Ryszardem. Sama nie ustąpiła, ale przynajmniej nie uciekła od rozmowy.

*

– Zaczęli żniwić na całego! – rzuciła Felcia, gdy zeszły po śniadaniu na gazon.

– To może by pójść na pole pomóc kopki stawiać? – wyrwało się Annie.

Felcia uśmiechnęła się i kucnęła przy kwiatkach.

– Ty jesteś, panienko, z jakichś innych czasów! – spojrzała na Annę od dołu. – Teraz to już snopowiązałek nie ma. Co chcesz stawiać?

– No to jak?

– Kombajnem koszą! Gospodarze umawiają się i koszą po kolei. Czasu i zdrowia szkoda na snopowiązałki. Tamte czasy się skończyły! A tak od razu ziarno jest wymłócone, a słoma w belach. Jak chcesz, to możemy pójść, żebyś zobaczyła, jak to wygląda. Uh! Uh! – Felcia wyprostowała się, stękając.

Zeszły w dolinę. Z daleka dojrzały zielonkawy kombajn. Szły w jego kierunku przez łąki i rzyska.

– Tam chodzą trzy bociany prawie przy ludziach, nie boją się? – zachwyciła się Anna.

Zbliżyły się do ptaków. Bociany popatrzyły na nie i zeszły im z drogi jak kury, gdy idzie się przez podwórze. Nie uciekały.

– To pewnie te, co mi pokazywałaś przy stawie.

– No zobacz... Dwa stare już nauczyły młodego, że ma się nie bać. Znaczący przekazały mu w genach wraz z tą mapą przelotów, co to ci mówiłam. Chociaż coś musiały mu przed chwilą jeszcze dopowiedzieć, bo on tak się na ciebie dziwnie patrzy.

– No co ty? Nie zauważyłam. – Anna zawstydziała się.

– Oj, Aniu, Aniu! Ty lubisz, jak ci makaron na uszy nawijać – parsknęła Felcia. – Żartowałam. Ale stań i popatrz. Rób to co ja.

Felcia stanęła i wyciągnęła rękę w kierunku bocianów. Po kilku chwilach bociany ruszyły wolno w ich kierunku, wysoko podnosząc czerwone nogi. Anna wyciągnęła do nich dłoń tak jak Felcia. Bociany dały się głaskać, szczypały je dziobami po bluzkach i spodnicach, przekrzywiając śmiesznie głowy na boki.

– Cudownie! – Anna była szczęśliwa.

– To wszystko sprawka Bronka, twojego taty! – powiedziała Felcia.

Ruszyły dalej. Anna oglądała się za bocianami, a te z kolei spoglądały na nie. Wreszcie dotarły w pobliże pasa, którym zbliżał się kombajn, kurząc za sobą sianem. Maszyna

zatrzymała się na ich wysokości. Operator wychylił się z kabiny.

– Szczęść Boże! – wykrzyknęła Felcia, a za nią Anna.

– Bóg zapłać! – odkrzyknął. – Przyszły panie mnie zluzować?

– Pani Anna chciała obejrzyć z bliska, jak to wygląda, bo pamięta jeszcze snopowiązałki.

– Aaa! To proszę patrzeć! – Schował się do kabiny i ruszył dalej.

– Zobacz... Wirujące łopatkami nagarniają zboże pod spód kombajnu do skoszenia, w środku kłosa są młócone, ziarno leci z nich do zbiornika, o, tam do góry, a z tyłu, spod maszyny, wydmuchiwana jest słoma. To wszystko!

– A jak się potem zbiera tę słomę?

– Jedzie taka inna maszyna ciągniona przez traktor i wypuszcza z tyłu albo bele, albo kostki. I to wszystko.

– Takie proste! Teraz żniwa to nie to, co kiedyś. Ale tamte chyba miały większy urok. Dużo ludzi, dziewczyny, chłopaki, kwaśne mleko albo woda z malinami schowana w kopkach, wspólna przerwa na jedzenie, kobiety wiązały snopki powróslami, młodzi stawiali je w kopki.

– Skąd ty to wiesz?!

– Jako harcerka jeździłam na żniwa. Lubiłam je, tylko potem wszędzie w bieliźnie pełno było tych źdźbeł, drobinek ze słomy.

– Nawet w gatkach! – zaśmiała się Felcia.

– A żebyś wiedziała. Nawet w gatkach! – zawtórowała jej Anna.

Helskie ocieplenie



Czy ona musi tak wrzeszczeć i chichrać się? – pomyślała Eliza, spoglądając z dezaprobatą na Wikę. Tutaj, przy mnie tak się nie śmieje, a jak rozmawia z mamunią, to bez przerwy.

– To teraz jesteście w Parchowie? – Eliza po tych słowach Wiki wlepiła w nią oczy. – A na cyplu często bywacie? Aha...! A do Bytowa kiedy jedziecie? Aha! ...To buziaki. Pa!

Eliza przełknęła ślinę. Parchowo, blisko Bytów, jakiś cypel. Czyżby...?

– Wika, a o jakim Parchowie rozmawiałaś z mamą? – Ta zmierzyła ją wzrokiem, jakby chciała powiedzieć, że nie podsłuchuje się cudzych rozmów. – Przepraszam, ale tak wrzeszczałaś, że trudno było nie usłyszeć. – Eliza zrobiła przeproszającą minę i zmusiła się do uśmiechu.

Wika przyglądała jej się trochę ironicznie.

– A czy ty znasz jakieś inne Parchowo? Wiem, że w Polsce jest tylko jedna wieś z taką nazwą.

– A czy przy tym Parchowie, o którym mówisz, jest jezioro Mausz?

Teraz Wice rozszerzyły się oczy.

– No jasne... Ale skąd ty możesz o tym wiedzieć, przecież ty nie stąd...

– Bo jak jechałyśmy z Poznania do Gdyni, to miałyśmy awarię samochodu właśnie w Parchowie, a mama i babcia ciągle tam są od dwudziestego piątego czerwca.

– W naszym Parchowie?

– Jak to w waszym?

– No, w naszym, bo my tam mamy działkę, to znaczy nie we wsi, a nad jeziorem.

– Nad Mauszem?

Wika stanęła na równe nogi.

– Jak Parchowo, to chyba nad Mauszem, nie ma innej opcji!

– A mówiłaś jeszcze o jakimś cypelku, to on też nad tym jeziorem?

– No, pewnie jest ich kilka, ale najfajniejszy jest ten na naszym brzegu, niedaleko od Parchowskiego Młyna!

Eliza i Wika stały naprzeciw siebie z szeroko otwartymi oczami. Pierwsza skinęła głową Eliza, po chwili uczyniła podobnie Wika. Na ich twarzach pojawiły się uśmiechy.

– To jeśli ten cypel, o którym dzisiaj mówiłaś, jest tym samym cyplem, o którym rozmawiałaś z rodzicami przy lodach, to ja go doskonale znam! – wykrzyknęła Eliza i rzuciła się do ściskania Wiki.

Wika z początku nie wiedziała, jak ma się zachować, ale po chwili też już ścisnęła Elizę. Zaczęły się głośno śmiać.

– A gdzie wy mieszkacie w Parchowie? – Wika odsunęła się i spojrzała Elizie w oczy.

– Za zakrętami, jak wyjeżdża się już na Bytów, po prawej stronie na górcie jest duże gospodarstwo agroturystyczne.

– Nie znam tam nikogo, ale czasami jak z tatą tamtędy jeździmy, to widzę na górcie taki charakterystyczny dom z deskami na murze.

– To jest właśnie „Iskierka”! A te deski na murze to szachulec! – krzyknęła Eliza. – I tam

właśnie mieszkamy!

Eliza jeszcze raz przytuliła się do Wiki, a ta odwzajemniła uścisk. Uśmiechały się do siebie, podobnie mrużąc oczy.

– My tam mamy działkę od początku lat osiemdziesiątych. Całe lato zawsze tam spędzamy.

Znowu roześmiały się głośno.

W uchylonych drzwiach pojawił się Mrozu i zaraz je zamknął, ale po chwili znowu otworzył.

– Myślałem, że pomyliłem pokój. Czy wam coś się stało, że tu takie krzyki i śmiechy?

– Mrozu, właśnie przed chwilą się poznałyśmy! – wrzasnęła Wika.

– Co? – Mrozu potrząsnął głową i przyglądając się dziewczynom, wszedł ostrożnie do pokoju.

– No jak to, nie rozumiesz? – pisnęła rozbawiona Eliza. – Przecież to proste! Okazało się, że znamy tę samą wieś na Kaszubach! Babcia, mama i ja teraz tam mieszkamy, zostaliśmy w niej na całe lato, a Wika ma nad jeziorem, tuż obok, działkę letnią.

– Wika, ty masz działkę?! – Mrozu podrapał się po głowie i usiadł na łóżku Wiki.

– Orle! Moi dziadkowie i moi rodzice mają! Rozumiesz? Wstawaj z mojego łóżka! – Mrozu poderwał się na równe nogi.

– Teraz już rozumiem! – Spoglądał z ukosa na Wikę. – A jak się nazywa ta wieś?

– Parchowo! – wrzasnęły obie jak na komendę.

– Też nie znam. – Wzruszył ramionami. – To ja może sobie lepiej już pójdę. – I oglądając się za siebie, zniknął za drzwiami.

– I tam jest straż pożarna naprzeciw szkoły – zaczęła Eliza. Wika skinęła głową.

– I budynek GOK-u obok policji, a naprzeciw przystanek autobusowy – dodała Wika. Tym razem głową skinęła Eliza.

– A w głębi, za dużym sklepem na rozdrożu, jest kościół z czerwonej cegły, wchodzi się do niego po schodach, a za nim jest piękny cmentarz ze starymi dębami, co mają kilkaset lat, no i piękne groby... – Eliza ściszyła głos.

– A byłaś może w Sulęczynie...?

– Tak, w „Leśnym Dworze”, na koncercie jazzowym – uśmiechnęła się Eliza.

– O ty zołzo! – Wika podskoczyła na krześle. – To ja jeszcze nigdy w nim nie byłam!

– Sama bym nie poszła, ale zaprosił mnie taki jeden Kartuziak.

– Igor?

– Mhm! – Obie roześmiały się, mrużąc oczy.

– Super!... Sama nie wiem, czy lubię jazz... Lubię Oldfielda, nasze starsze polskie zespoły, Beatlesów, nawet to, czego słuchają rodzice. Żadnych różowych czubów, ani ciężkiego metalu, wolę już jakieś fajne kawałki operowe czy symfoniczne...

– Ja mam tak samo! Babcia lubi Rominę Power i nas zawsze katuje. Ja marudzę czasami, ale tak naprawdę... też ją bardzo lubię!

– Moja mama też kocha włoszczyznę, głównie Bocellego i Rominę, a tata Pink Floyd, ELO i takie tam podobne... ale słuchamy wszystkiego. Jeden tylko warunek... – potrząsnęła głową. – Musi być harmonia.

– My w domu tak samo mówimy!

Rozmowa o zainteresowaniach trwała do późnego wieczora. Nawet kiedy były już w łózkach, ciągle miały sobie coś do powiedzenia. Wika w pewnym momencie ziewnęła.

– Wiesz co, Eliza, rano mamy dyżur, więc śpijmy już, jutro też jest dzień.

Eliza zamknęła oczy. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że nazwa jednej wsi kaszubskiej mogła tak wiele zmienić w jej spojrzeniu na Wikę. Przecież ona jest naprawdę superdziewczyną! Dlaczego tego wcześniej nie zauważyłam? Tak jak ja zakręcona biologią morza, rybkami, wiele innych zainteresowań, w tym muzyczne, mamy podobne, kiedyś rozmawiałyśmy o historii, to też się zgadzałyśmy. Może tylko jest ode mnie bardziej wymagająca i krytyczna, jeśli idzie o chłopaków. Ma dziwne zasady... No zaraz, ale jakie ja mam zasady w tym względzie? Przecież ja pozuję, a ona jest bardziej prostolinijna. Tak naprawdę to mało się różnimy.

Ziewnęła i po chwili odpłynęła w sen.

*

Ranek wstał dżdżysty. Eliza i Wika miały doskonałe humory. Śniadanie zjadły z apetytem, a potem poszły karmić foki. Wspólnie złapały ciężką skrzynię z rybami i pomaszerowały. Mrozowi, który moment się spóźnił, zostały do niesienia wiadra.

Śmiały się radośnie przy karmieniu fok, zupełnie nie zważając na mżawkę. Dla Mroza były zaskakująco miłe, przez co stał się nerwowy i o mało co nie wpadł kolejny raz do baseniku.

– Uważaj! – krzyknęły razem i to go uratowało.

A po chwili z zapalem wróciły do pogawędki.

– Wiesz, że ja zaczęłam wędkować, jak miałam pięć lat?

– No co ty? Ja może trochę później, ale też bardzo lubię. To znaczy lubiłam, jak dziadek żył, bo teraz nie bardzo mam z kim i gdzie.

– Eliza! Jak skończymy wolontariat, to wracasz do Parchowa, tak?

– No tak!

– Przyjedziesz na naszą działkę i wybierzemy się razem na ryby! A kiedy wracacie do Poznania?

– To jest właśnie problem. Kiedy zepsuł się nam samochód, miałyśmy tam zostać tylko na czas naprawy...

Eliza opowiedziała Wice całą historię z listami i poszukiwaniami przez babcię swoich korzeni, o kolacji w Erinie, o tym, jak mama po latach spotkała w Kartuzach Krzysztofa, o Igorze i weekendzie na Kaszubach, wreszcie o Ryszardzie z Bytowa.

– No i teraz żadnej nie chce się wracać do Poznania. Ja i tak tu zostanę, a one? Nie wiem!

– Niesamowita historia! I to wszystko w tak krótkim czasie?

– Noo!

– Dziewczyny, czy wy nie możecie przestać? Przecież jesteście tylko dwie, a hałasu robicie za cztery. Nie mogę się skupić. Zamiast patrzeć na to, co robię, cały czas gapię się na was. Znowu coś mi się stanie – zaśmiał się.

– Mrozu, jesteś fajny! – krzyknęła Wika.

– Ja też cię lubię, Mrozu... Mówiłam ci już kiedyś – uzupełniła Eliza.

– Poważnie? – Mrozu z wrażenia przysiadł na wiadrze. – Co tak patrzycie? Siedzę, żeby nie wjechać do basenu! Ludzie! Tu coś się stało! – wrzasnął.

Kilku turystów zwiedzających fokarium skierowało z zaciekawieniem wzrok w ich

stronę.

– Proszę państwa, wszystko w porządku! Przy okazji karmienia robimy próbę teatralną!
– niespodziewanie odkrzyknęła Wika w kierunku turystów.

– No, nie! Wam naprawdę coś się stało! – Mrozu wstał z wiadra. – Ale wolę was takie jak teraz, niż jak byliście jeszcze niedawno! – uśmiechnął się.

– Widziałaś już zamek w Bytowie? Bo mówiłaś, że tamtędy jechałyście... – przypomniała sobie Wika.

– To było zaplanowane jeszcze w Poznaniu! Zjadłyśmy tam obiad. Wiesz, że mój dziadek bawił się w rycerstwo, a ja z nim jeździłam przez trzy lata po zamkach...?

– Naprawdę? Bytowski zamek to mój ulubiony. Od wielu lat bywam tam w lipcu na turniejach. W tym roku niestety przepadło.

– Dziewczyny, może weźmiecie mnie na giermka? – wtrącił się Mrozu.

– Rycerz musi być abstynentem! – dobitnie powiedziała Wika.

– Rycerz, ale nie giermek! Czyli co, zgadzacie się! – Skinęły głowami.

– To może w przyszły roku razem wybierzemy się na turniej do Bytowa, okej? – spytała Wika.

– Postanowione! – ucieszyła się Eliza. – Gdzie byśmy w przyszłym roku nie mieszkały, na pewno latem przyjadę do „Iskierki”. Słowo! – Uniosła kciuk w górę.

*

– Mrozu, Mrozu! – krzyknęła Wika, wychylając głowę ze świetlicy. – Tu go też nie ma? – zdziwiła się i ruszyła w kierunku jego pokoju.

– Zdrzemnąłem się... – Rozespany Mrozu, ślaniając się nieprzytomnie, wyszedł na korytarz. – Czy musiałaś tak krzyknąć?

– Przepraszam – powiedziała już ciszej. – Nie widziałeś gdzieś Elizy? Od ponad godziny jej szukam i nie mogę znaleźć.

Z klatki schodowej weszła na korytarz jakaś dziewczyna z czarnymi włosami i minęła ich bez słowa.

– Kurczę! Naprawdę mnie nie poznaliście? – krzyknęła nagle głosem Elizy, zatrzymując się trzy metry od nich.

Wika i Mrozu odwrócili się zdumieni.

– Eliza... – wyszeptła Wika. – Co ci się stało?

– Ładnie ci – skwitował krótko Mrozu. – Jesteś jeszcze ładniejsza!

– Dziękuję. Wróciłam do czarnego koloru. To prawie taki sam jak mój naturalny. Już nie mogłam na siebie patrzeć! – zaśmiała się.

– Ale dlaczego? Przyzwyczaiałam się do czerwieni, a tu zonk! – Wika pokazała w uśmiechu wszystkie zęby.

– Skończyłam z buntem! – Eliza potrząsnęła głową i podniosła pięść do góry. – Mama się ucieszy. Ufarbowałam się na złość mamie tuż przed wyjazdem tutaj, ale teraz wszystko sobie przemyślałam. Chcę być znowu taka jak kiedyś! Dostyc wygłupów! No, nie patrzcie tak na mnie!

– Jestem pod wrażeniem... – szepnęła Wika.

– W głowie mi się nie mieści. Chyba się dzisiaj upiję. – Mrozu czochnął się nerwowo po głowie. – Przed obcymi przyznawać się do takich rzeczy!

– Jacy wy obcy? Prawie jak rodzina! – uśmiechnęła się szeroko Eliza. – Zrobię mamie niespodziankę! Igorowi też podpadłam, to trochę przez tę rudziznę. Coś mi ta kasztanowa farba chyba w głowie przepaliła, albo przynajmniej pomieszała. – Pokręciła palcem obok skroni. – Mama nie chciała, żebym zdawała na uniwersytet w Gdyni, i przeciwko temu był mój bunt! Gdyby nie sprawa babci z listami, może bym z nią przegrała. Kto wie?

– Eliza! Jesteś... wielka! Muszę ci powiedzieć, że wyładniałaś, chociaż ty w ogóle jesteś śliczną dziewczyną – Wika rozpędziła się w komplementach.

– Czy wy znowu, jak kiedyś, macie się ku sobie...? – Mrozu, śmiejąc się, próbował wykonać charakterystyczną figurę palcami obu rąk.

Wika przeszkodziła mu, czochrając go po włosach.

– Eliza! Ty tak w ogóle jesteś fajna!

– W tym ustępie zgadzam się z przedmówczynią w całej rozciągłości. – Mrozu podniósł dwa palce w górę i uśmiechnął się.

Eliza poczuła, że krew napłynęła jej do twarzy. Gdyby nie jej ciemna karnacja, miałyby chyba rumieńce. Było jej bardzo miło. Nie spodziewała się, że wczorajsza rozmowa i dzisiejsze przefarbowanie włosów tak wiele mogą zmienić.

– Mrozu! Dzisiaj będzie twój wielki dzień! – Eliza mrugnęła do Wiki. Mrozowi z wrażenia zamarł uśmiech na twarzy. – Dzisiaj przyjmujemy twoje zaproszenie na piwo! – Wika otrząsnęła się z niesmakiem. – Ale tylko na jedno!

– Ale... jak to... dlaczego ja mam stawiać? To ty się przecież zmieniłaś i to ty powinnaś zaprosić, czyż nie? Poza tym... – Próbował znaleźć wsparcie w oczach Wiki, a po chwili w akcie rozpaczki pokazał puste kieszenie.

Gdzie ci mężczyźni?!



Anna nie mogła znaleźć sobie miejsca, kręciła się niespokojnie pomiędzy werandą a kuchnią. Kaśka usiłowała przerabiać firmowe kartuskie papiery na modłę poznańską, ale rozpraszała ją mama, ciągle wędrująca tam i z powrotem.

– Biegasz jak kot z pęcherzem, a może ty masz owsiki? – rzuciła zaczepnie, podnosząc wzrok znad laptopa.

– Nareszcie mnie zauważyłaś. Tylko czy musiałaś aż tak grubiańsko?

– Mamo! Grubiańsko to by było, gdybym powiedziała na przykład...

– Nie kończ!

– To teraz już wiem, dlaczego tak hałasowałaś! – Kaśka wskazała oskarżycielsko na nogi mamy. – Od kiedy chodzisz po domu w butach na obcasach?!

– Bo przecież jedziemy do Bytowa! – odparła Anna z filuternym uśmiechem.

– Jak to jedziemy? Kto jedziemy? Ja nic o tym nie wiem. – Kaśka wskazała na komputer i papiery na stole.

– Bo jesteś niedomyślna, ale teraz już wiesz! Kiedy ruszamy?

– Mamo, ale tak nie można... – jęknęła Kaśka.

– Można, można, przecież sama nie pojedę.

– Jak mama ma pojechać sama do miasta? No jak, Kasiu? – rzuciła Felcia, stając w progu z założonymi rękoma. – Od czegoś chyba ma się córkę? – uśmiechnęła się szeroko. – Nie widziałaś, że mama już od rana kręciła się, jakby miała owsiki? – Felcja pokazała zęby w uśmiechu.

– Gadasz zupełnie tak samo jak Kaśka! Czy wyście się zmówiły? – Anna spojrzała na nią z dezaprobatą, ale po chwili się uśmiechnęła. – Musimy, Kasiu, zrobić jakieś zakupy.

– Jakie? A czego nam brakuje?

– Tego jeszcze nie wiem. Się zobaczy!

– A to po jakiemu? – Kaśka, spoglądając to na mamę, to na Felcię, zamykała otwarte w komputerze programy. Wiedziała, że dyskusja z upartą mamą to jak walka z wiatrakami.

– Po coś zawsze warto pojechać... – wtrąciła filozoficznie Felcia.

– No widzisz. Aaa! Mówiłaś, Felciu, że przyprawy się skończyły!

– Skończyły – potaknęła.

– I po przyprawę trzeba jechać do Bytowa, to już tutaj nie można ich dostać?

– A po co mamy samochód? Ty też musisz rozprostować kości. Pospacerujesz trochę, pokręcisz biodrami, tam nie zakurzą ci się stópki.

Kaśka spojrzała na mamę. Już wiem, co ci w głowie! – pomyślała. Dojrzałaś do spontanicznego spotkania z Ryszardem, boś wszystko sobie przemyślała! No dobrze, gramy w to!

– To za dziesięć minut będę! – oznajmiła, mrużąc oczy. Wzięła pod jedną pachę laptopa, pod drugą papiery i ruszyła do siebie.

Zakupy w Bytowie nie były jakieś okazałe. Oprócz przypraw Anna kupiła jeszcze tylko cztery filiżanki do kawy.

– Ładne! Kształtem i kolorami przypominają mi trochę te po mamie Jutce –

uśmiechnęła się radośnie, gdy wybrała je spośród innych.

Kiedy wracały do samochodu, przypomniało jej się nagle, że o czymś zapomniała w sklepie. Kaśka zdziwiona podniosła w górę okulary, ale wzrok mamy wszystko tłumaczył.

– To nawet dobrze! – rzuciła ze zrozumieniem. – Ty się w takim razie przejdź, a ja sobie zjem lody. I tak nie lubisz takich. – Wskazała na witrynę.

– Masz rację! – odparła Anna i ruszyła w kierunku, skąd przed chwilą przyszły.

Kaśka spoglądała za nią. Anna szła szybkim krokiem i cały czas wpatrywała się w budynek, gdzie mieściło się biuro notariusza. Po półgodzinie wróciła, ale nie wyglądała na zadowoloną.

– Wiesz, kiedy już szłam z powrotem, tu na rogu, jeszcze raz zawróciłam, bo znowu mi się coś przypomniało – tłumaczyła się. – Wracajmy do domu. Chyba wszystko mamy! – rzuciła markotnie.

*

Kiedy weszły do pokoju nauczycielskiego, Marysia klęczała na podłodze i wpatrywała się w zamalowany na kolorowo arkusz papieru.

– Fajnie? – spojrzała pytająco.

– I to już tak zostanie? – spytała Anna. – Przecież tam prawie nic nie widać. Czemu rysowałaś takimi lichymi flamasterkami?

– To tylko wizja, a jutro grafik zrobi z tego finalny plakat! Farbami, flamastrami niezmywalnymi i czym tam jeszcze będzie chciał.

– Aha!

– Zobaczcie! Czternaście zespołów na dwa dni to aż za dużo! – Pokazała wydrukowany program. – Jak przyjadą, trzeba będzie poprosić wszystkich, żeby skrócili swoje występy, bo najpierw chcieliśmy półgodzinne, teraz dwudziestominutowe, a i to może być za dużo – powiedziała z przejściem Marysia.

– A jeśli od tych pięciu zespołów, które dotąd nie odpowiedziały, przyjadą jeszcze ze dwa potwierdzenia jutro albo pojutrze? – zafrasowała się Anna.

– No właśnie! Ja bym tego nie zostawiała na ostatnią chwilę, ale wysłała im jeszcze maile, żeby się na taką ewentualność przygotowali – rzuciła Kaśka.

– Ale jeszcze się obrażą i gotowi nie przyjechać! – zatrajkotała Marysia.

– E tam! Trzeba to dyplomatycznie napisać. Na przykład: *Prosimy o przygotowanie opcji skrócenia programu o dziesięć minut ze względu na zapowiadane pogorszenie pogody.* I już!

– Kacha, dobra jesteś, sama bym na to nie wpadła. A może wysłać te maile jeszcze dzisiaj?! Pomożesz mi?

– *Do dziewiątej jeszcze tyle, tyle godzin...* – zanuciła Kasia.

Marysia uśmiechnęła się.

– W takim razie obejrzałyście już i zatwierdziłyście plakat i program... – Wskazała ręką najpierw na stół, potem na podłogę. – Jak wypijemy po kawce, to pomożesz mi jeszcze wykaligrafować zaproszenia, które jutro rozwiezie się po gminie i do powiatu, a na koniec wysłamy maile i... *przyjdzie północ i nas rozdzieli* – teraz z kolei ona zanuciła.

– Obie jesteście dobre! – Anna uśmiechnęła się. – Ale wiecie co, żeby nas tu noc nie

zastała, to ja wypiszę zaproszenia, a wy w tym czasie wyślijcie maile, co? – Spojrzała na Marysię i Kasię. – No chyba, że jest ich strasznie dużo.

– Nie, około dwudziestu pięciu, a trzeba wypisać tylko nazwiska i funkcje. O, tu jest lista! – pokazała Annie.

– To teraz kwadrans na gadki! – Kaśka opadła na fotelik.

– Mówiłam wam, że Klaus przyjedzie w środku tygodnia, jeszcze przed festiwalem, i zostanie do końca września? Pierwszy raz będzie tak długo! – zatrajkotała szczęśliwa Marysia.

Kaśka zerwała się, żeby ją wyściskać.

– Należy się wam. – Anna przyciągnęła do siebie Marysię i wycalowała ją.

– Mówił mi przez telefon, że coraz mniej chętnie jeździ w trasy koncertowe. Chyba przemyśliwuje nad tym, co będzie kiedyś robić...! – Marysia objęła się ramionami i zrobiła słodkie oczy. – Ale się cieszę! – pisnęła.

– W życiu mężczyźni muszą się realizować. – Anna spojrzała poważnie na Marysię, a potem przeniosła wzrok na Kaśkę. – Trzeba im pozwalać, żeby mieli jakieś swoje hobby, choć zawsze to jest dla kobiet poświęcenie, a cena czasami bywa wielka...

– Wiem coś o tym... – Marysia zrobiła buzię w ciup.

– Ale dobrze sobie poradziłaś! Mój Mikołaj, chociaż jako prawnik był ciągle bardzo zajęty, to hobby też miał czasochłonne. Dużo wyjeżdżał.

– Kasiu, nie martw się. – Marysia, widząc smętną minę Kasi, podeszła do niej i pogłaskała po policzku. – Może wypijemy po koniaczku, ale tylko po jednym? – Mrugnęła i nie czekając na odpowiedź, popędziła do szafki w rogu pokoju, kręcąc biodrami.

– Tylko ociupinkę. – Anna powstrzymała Marysię nalewającą do jej kieliszka. – Muszę ładnie wypisać zaproszenia, a jak wlejesz za dużo, to już nie będą zawijasy, tylko wywijasy! – uśmiechnęła się.

– Opowiesz coś jeszcze o Klausie? – Kasia spojrzała na Marysię.

– Oczywiście przyjedzie swoim harleyem, może i ja będę mogła trochę się przejechać. Lubię! – westchnęła głośno.

– To w czym problem? – Kasia powąchała zawartość kieliszka.

– W tym, że z tego starego skafanderka trochę już wyrosłam! – Zrobiła smutne oczy. – Jak się prowadzi motor, to musi być wygoda, a nie cały czas myśleć, że trzeba być na wdechu, bo jak się zwolni mięśnie, to jeszcze gdzieś coś trachnie. Z gołym tyłkiem nie będę przecież paradować! – Potrząsnęła z desperacją końskim ogonem.

– A to by się niektórzy ucieszyli! Taka atrakcja! – Kasia zmrużyła oczy. – Spróbujmy tego eliksiru. – Podniosła kieliszek do ust, a za nią Anna i Marysia.

– To za tych naszych mężczyzn, żeby szybko wracali. – Marysia spojrzała dwuznacznie na Annę.

– Aj tam! – krygowała się Anna. – Już mu przebaczyłam, ale muszę się jeszcze porządnie rozmówić.

– W piątek rano nie byłaś tak kategoryczna! – Kasia spojrzała na matkę.

– Jak to nie? A po co niby chciałam jechać do Bytowa? – uśmiechnęła się. – Dobrze to, ale więcej już nie chcę. – Wysączyła ostatnie krople z kieliszka i odstawiła go daleko od siebie.

*

Po śniadaniu Kaśka rozglądała się za Ewelinką.

– A po cóż ci ona? – zainteresowała się Anna.

– Nasza Żaba nie była kąpana już półtora miesiąca, potrzebuję więc wiadra, żeby rozrobić szampon, no i nie wiem, gdzie jest schowany szlauch. Takim brudasem nie mogę przecież jechać po Elizę.

– Popatrz, jak ten czas szybko płynie... – Anna klasnęła w dłonie. – Ale lepiej poczekaj na Felcię! Mówiła, że za godzinę wróci.

– Zanim ona wróci, to Żaba będzie się już wygrzewać w słońcu po kąpieli.

Anna machnęła ręką, a Kaśka zbiegła po schodach do ogrodu. W tej chwili pozostawiony przez nią telefon zaczął wibrować i sunąć po stole.

– Kasiu! Ktoś dzwoni!

Kasia wbiegła z powrotem na werandę.

– O! Eliza! – spojrzała na wyświetlacz. – Cześć! To jutro wracasz czy zostajesz na następny turnus? – zaśmiała się. – ...Dobrze, dobrze. Zdążysz jeszcze powczasować! ...To o której mam u ciebie być? ...Jak to nie muszę przyjeżdżać? Igor cię przywiezie?... Nie? Kto?... Aha, tato Wiki!... A wy się wszyscy zmieścicie?... No dobrze, dobrze, po prostu Żaba jest większa!... No to pa!

Kaśka wypuściła z płuc powietrze i usiadła na krześle. Spojrzała w kierunku sieni, a potem przeniosła wzrok na gazon. Wzruszyła ramionami.

– Czego szukasz, coś ci się nie podoba?

– Niczego nie szukam, ale teraz nie wiem, co mam robić. Poniedziałki są najgorsze.

– Przecież chciałaś umyć samochód...

– Gdybym miała jechać po Elizę, to bym go umyła, ale jeśli mam jechać nad Mausz, to po co się męczyć? Umyję i wrócę siwym! Znaczy siwą Żabą. Widziałaś kiedyś siwą żabę? – roześmiała się.

– Nigdy...

– A poza tym Felcia mówiła, że jutro, pojutrze powinno padać!

– To pojedźmy na cypelek wykąpać się, a po powrocie wypijemy z Felcią kawę, co?

– Dobra!

– Tylko jedźmy szosą, bo nie lubię siwych żab! – zaśmiała się Anna, a Kaśka jej zawtórowała.

Ruszyły w dobrych humorach do pokoi po kostiumy i ręczniki.

*

– Kasiu, muszę pojechać do Bytowa.

– Znowu?

– Jak to znowu?

– Przecież dopiero co tam byliśmy.

– To było w zeszłym tygodniu.

– Byliśmy w piątek, a dzisiaj jest wtorek.

– Aleś ty drobiazgową. Muszę koniecznie coś kupić i już!

– A ty już jesteś gotowa do wyjazdu? – Kaśka otaksowała matkę. – Widzę, że tak. Daj

mi chociaż dziesięć minut!

– Dobrze! Tylko pospiesz się! – krzyknęła Anna za znikającą w sieni Kaśką.

Przygotowania do wyjazdu zabrały Kaśce niewiele czasu. Skupiła się za to nad przygotowaniem spontanicznego spotkania mamy z Ryszardem. Wystukała kilka słów na klawiaturze. Odpowiedź przysłała błyskawicznie: „Dziękuję! Będę!”.

W Bytowie zaparkowała przy zamku, w tym samym miejscu, co gdy przyjechały tu pierwszy raz.

– To tak daleko będziemy iść! – jęknęła Anna.

– Zawsze mówisz, że lubisz trochę pospacerować, a teraz nagle, że daleko.

– Bo te schody są takie niewygodne.

– To trzeba było założyć tak jak ja sandały!

– W sandałach do miasta? Jeszcze mnie kto zobaczy i jak ja się będę czuła?

– Ktoś z opery? – zaszydziła Kaśka.

– Z opery? A może tutaj są inni ludzie, którzy mnie znają.

Przeszły przez niewielki zaułek i skierowały się w stronę Rynku. Kiedy tylko wychyliły się zza kościoła, tuż przed nimi wyrósł niespodziewanie Ryszard. Zatrzymał się, zaskoczony podobnie jak one.

– Dzień dobry, Anno! Dzień dobry, pani Kasiu!

Anna trzepotała rzęsami.

– Co za nieoczekiwane spotkanie! – uśmiechnęła się. – Na pewno się spieszysz...

– Nie! Właśnie wracam ze spotkania z klientem. – Ryszard przyglądał się Annie z zachwytem.

– Ale jakoś dziwnie wracasz, bo przecież twoje biuro jest tam. – Anna oprzytomniała na moment i wskazała na kierunek, skąd przyszedł Ryszard.

– Postanowiłem, że zrobię sobie dodatkowe kółko wokół rynku, bo ostatnio mam trochę zbyt mało ruchu – odparł bez zmrużenia oka.

– To o mało co byśmy się rozminęli... Ależ mamy szczęście!

Kaśka i Ryszard zdążyli do siebie dyskretnie mrugnąć.

– Czy idziecie panie dokądś, w jakimś konkretnym celu, czy...?

– W zasadzie nie, tak sobie przyjechałyśmy – przerwała mu Anna i spojrzała na córkę.

– Chciałaś przecież coś sobie kupić! – zmrużyła oczy Kaśka.

– Zakupy mogą poczekać. – Anna machnęła ręką i uśmiechnęła się promiennie do Ryszarda.

– Wiecie co? – rzuciła Kaśka. – Skoro przytrafiło wam się takie przypadkowe spotkanie, wykorzystajcie to, a ja sobie sama pochodzę. Jakby co, to telefon mam! – Klepnęła dłonią w torebkę, zakręciła się i nie czekając na odpowiedź, oddaliła się żwawym krokiem.

– Skoro tak... – Ryszard spojrzał na Annę – to zapraszam na kawę i lody.

– To rzeczywiście musi być jakiś znak – odpowiedziała Anna, przenosząc wzrok z Ryszarda na płynącą przez skwer córkę. – Mamy sobie tyle do wyjaśnienia...

*

Eliza wyściskała się z Wiką.

– Dziękuję bardzo za miłą podróż! – dygnęła w kierunku jej taty. – To będziemy

w kontakcie! – krzyknęła do przyjaciółki wychylającej się przez szybę.

Pomachała za samochodem oddalającym się w kurzu. Przez chwilę przyglądała się dolinie, a potem skierowała wzrok na dom. Co tutaj tak cicho? Dlaczego nikt mnie nie wita?

– Mamo, babciu! Wróciłam! – wykrzyczała, przepychając plecak i torbę przez furtkę.

– Pojechały do Bytowa! – Felcia wybiegła do niej na werandę. – Ooo! – zrobiła wielkie oczy. – W czarnym zdecydowanie jest ci lepiej – pochwaliła, patrząc na czuprynę Elizy. – Stęskniłam się za tobą, kruszyno. – Przytuliła ją. – Podkarmię cię, bo jesteś taka wymizerowana. Zbladłaś! Głodna jesteś?

– Jak wilk, Felciu!

– Czyli nie zmieniłaś się aż tak bardzo. – Felcja błysnęła okiem. – Daję ci pięć minut, jak zjedziesz, dostaniesz przegryzkę, a obiad zjesz potem, razem z nimi.

Felcia pomogła Elizie wciągnąć bagaże do sieni.

– Aha! W saloniku u góry jest komputer! – krzyknęła za nią w kierunku schodów.

Eliza natychmiast skierowała się w tamtą stronę, porzucając bagaże przy schodach. O! fajny! Są nawet głośniki i mikrofon! Tylko żadne kable nie są podłączone. Pewnie też nic nie jest skonfigurowane jak należy! Chodzi, bo chodzi.

– Igor? – rzuciła do telefonu, siadając na krześle przed komputerem. – Wróciłam z Helu! Przyjedziesz? Potrzebuję ciebie przy komputerze!... To na razie!

Chwilę posprawdzała, co komputer ma, a czego nie, ale jej podejrzenia okazały się trafne. Jest dosyć szybki, tylko wymaga ręki Igora! Wrzuciła torby do pokoju, nie rozpakowując ich nawet, opłukała twarz i ręce i zbiegła na dół.

– To było więcej niż dziesięć minut – zauważyła Felcia i postawiła przed Elizą parujący talerzyk z kilkoma ziemniakami i kubek zimnego, gęstego kwaśnego mleka ze śmietankowym kożuchem. – A posyp sobie jeszcze zielonym. – Wskazała na miseczki z posiekaną pietruszką, szczypiorkiem i koperkiem.

– Jak dobrze znowu być w domu! – przeciągnęła się Eliza, mrużąc oczy. – Igorio zaraz przyjedzie – błysnęła zębami.

– A przecież twój dom jest... – zaczęła Felcia.

– Ze mną, Felciu, nie musisz próbować takich podchodów. – Spojrzała z poważną miną sponad talerza. – Nawet jak one wyjadą, to ja u ciebie na pewno zostanę. – Felcia niepewnie się uśmiechnęła. – Na studiach też tu będę przyjeżdżać na weekendy, bo przecież nie do Poznania. – Zajadała, przerywając raz po raz na kilka słów. – Postanowiłam! Teraz tutaj jest mój dom, a ty jesteś moją drugą...

Uśmiechnięta już od ucha do ucha Felcia pogroziła Elizie palcem.

– ...jesteś moją kochaną Felcią! – roześmiała się, prychnąc drobinkami ziemniaków, kwaśnego mleka i zieleniny.

– Zachowuj się, dziewucho! – Rozradowana Felcia potargała Elizę po czuprynie. – Tak ślicznie ćwierkasz, bez ciebie jest tutaj jednak jakoś inaczej. Musisz tu być, a ja się z tego bardzo, bardzo cieszę! – Przetarła zwilgotniałe oczy.

– Felciu kochana! O! przyjechały! Usłyszałam Zabę!

Zerwała się i popędziła w kierunku werandy.

– Mamo! Babciu! Jestem już! – dotarł do Felcji jej okrzyk już z gazonu, co sprawiło, że przetarła raz jeszcze oczy i smarknęła ze wzruszenia w chusteczkę.

Anna i Kaśka stanęły na widok Elizy jak wryte. Anna przeżegnała się, a Kaśka

przyłożyła dłonie do twarzy.

– Eliza! Córeczko! – Anna i Kaśka kolejno tuliły ją i całowały.

Ona zaś po frenetycznym wybuchu radości przycichła, chociaż uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

– Wróciłam. – Eliza spojrzała poważniej na mamę i babcię. – Nic więcej wam nie powiem, bo chyba mnie rozumiecie. – Przyglądała im się, przekrzywiając głowę na boki. – Do was wróciłam – dokończyła szeptem i zmrużyła oczy. – A jak tam w Bytowie? Co słyszać u króla zwierząt? – Eliza mrugnęła do babci.

– Dobrze już. Bo to była też i moja wina. Wyjaśniliśmy sobie dzisiaj wszystko. On jest taki... – westchnęła Anna i jeszcze raz przytuliła Elizę. – Nic więcej ci nie powiem! Rozmawialiśmy sobie niedawno z mamą i zgodziłyśmy się, że każda musi rozwiązywać swoje sprawy sama. Po swoim, byle dobrze! – Przeniosła wzrok z Elizy na Kaśkę, która skinęła głową. – Ty też! – Spojrzała ponownie na wnuczkę. – Kaszuby ci służą, pod każdym względem!

– Bo ja nie jestem ptakiem do klatki. Potrzebuję swobody! – Eliza podskoczyła i zamachała rękoma.

Felcia czekała na nie na werandzie, siedząc przy stole.

– Dobrze? – ściągnęła Annę wzrokiem.

– Bardzo dobrze! Miałś rację, jak zwykle.

– To daję wam kilka minut, bo ziemniaczki dochodzą. A któż jeszcze tutaj... do nas?

Pod bramą zatrzymał się, wzbudzając kurz, samochód. Po chwili na podwórko wbiegł Igor.

– Dzień dobry wszystkim paniom! Ooo! – Dojrzał Elizę i stanął jak wryty. – Jaka ty jesteś śliczna! – wydukał. Anna, Felcia i Kaśka spojrzały po sobie. – Teraz wszystkie panie jesteście do siebie podobne. – Przeniósł wolno wzrok z Anny na Kaśkę, a potem na Elizę. – Takie same – podkreślił, pokręcił głową i zapatrzył się na Elizę.

– Czekałeś na mój telefon przy straży pożarnej w Parchowie? Tak szybko przyjechałeś – obudziła go Eliza.

– Dzisiaj pobiłem rekord toru z Kartuz. Trzydzieści trzy minuty! – Spojrzał na nią chępliwie, ale zaraz zmieszał się pod naporem jej wzroku.

– Nie chcę tak więcej, pamiętaj. – Pokręciła głową. – Cieszę się, ale tak nie chcę! – powtórzyła twardo. – Zdążysz! Rozumiesz? Zawsze zdążysz! – uśmiechnęła się i ucałowała go w policzek.

Igor z wrażenia przysiadł i znowu wbił w nią wzrok. Felcia nieoczekiwanie klepnęła rękoma o stół. Wszystkie oczy podniosły się na nią.

– Jak wszystko jest dobrze, to teraz siusiu i mycie rączek, a za pięć minut widzę was przy stole. – Wstała, zakręciła się i ruszyła żwawo do wnętrza.

Przy obiedzie w kuchni wszystko drżało od śmiechu. Eliza opowiadała o wolontariacie, zaś Anna i Kaśka relacjonowały swoje leśne przygody oraz koncert w Oliwie. Gdy uspokoiło się nieco, Felcia powtórzyła słowa Elizy o planach przyjazdów do „Iskierki”. Anna z Kaśką zaniemówiły i utkwily w Elizie wzrok.

– A wiecie, co to znaczy tracić bez sensu ponad dziesięć godzin? – Eliza zmrużyła oczy, przenosząc wzrok z mamy na babcię i z powrotem.

– No tak, ale... – Kaśka spojrzała niepewnie na Annę.

– Odpowiedzcie mi, ale szczerze... – Eliza ciągle mrużyła oczy. Felcia złożyła ręce na

brzuchu.

– Czy to zawsze musi być strata? – odezwała się niepewnie Anna.

– Mamo, babciu! Nie chcę co tydzień, co dwa, tracić dziesięciu godzin, kiwając się w pociągu i do tego w nerwach, jasne?!

Uśmiechnięta Felcia przytaknęła, ale Anna i Kaśka miały nietęgę miny.

– Przez dziesięć godzin to można ho, ho! – odezwał się raptem Igor i wszyscy przenieśli wzrok na niego.

– Dobrze to podsumowałaś! Lepiej bym chyba nie potrafiła! – Eliza pokazała wszystkie zęby w uśmiechu i klasnęła w dłonie. – Słuchajcie, dziewczynki, bo dwa razy powtarzać nie będę!

Anna i Kaśka jak na komendę potrząsnęły głowami, a na ich twarzach pojawił się uśmiech.

– Wróciłam, tak?! – Spoglądała w milczeniu to na babcię, to na matkę, aż dojrzała wreszcie w ich oczach oznaki zrozumienia. – O reszcie decyduję ja sama! – Anna i Kaśka po chwili znowu zgodnie skinęły głowami. – Jest co prawda problem finansowy, ale sądzę, że mnie jakoś wspomócie, tym bardziej, że oszczędzę na pociągach! – zaśmiała się. – Jestem pyra i wiem, co to są pieniądze!

– No jasne, tym bardziej, że ja... – zaczęła Kaśka.

– I ja też! – dodała Anna.

– To wy już teraz sobie same podywagujcie, co i jak chcecie robić dalej, a ja nie mam już czasu, pędzę z Igorio do kompa! – Złapała Igora za rękę i pociągnęła za sobą w kierunku sieni. – Felciu! Dziękujemy za papu! Wszystko było pyszne! – doszedł jej okrzyk ze schodów.

Felcia spoglądała na Annę i Kaśkę z triumfującą miną.

– No i co, dziewczynki? A wy?

– Ja...? Na pewno zostaję tu do końca wakacji – zadeklarowała Anna.

– I ja też – dodała Kaśka.

– A potem się zobaczy, no nie? – Teraz Felcia klasnęła w dłonie. – Wy się ucicie od Elizy! Parchowska krew! – Położyła ręce na ich dłoniach. – Ona już się odnalazła, wie, czego chce. Teraz kolej na was. – Przyglądała im się dobrotliwie. – Pokażcie, że nie jesteście gorsze! – Przymknęła oczy, w kuchni zrobiło się cicho.

– A wiecie...? – przerwała nieoczekiwanie ciszę Anna i zawiesiła głos; Felcja i Kaśka spojrzwały na nią. – Kiedy tak sobie rozmawialiśmy z Ryszardem... – znowu na moment zawiesiła głos – ...spytał mnie, czy nie wybrałabym się z nim gdzieś za granicę!

– No nie mów! – klasnęła Felcia.

– A dokąd myślisz pojechać? – Kaśka spojrzwała na matkę.

– Poczekajcie. Spytał mnie jeszcze, gdzie bym pojechała i co kiedyś zrobiło na mnie największe wrażenie.

– Ciekawe, co mu powiedziałas? – Kaśka nachyliła się nad stołem.

– Opowiedziałam mu o swoim pierwszym zagranicznym wyjeździe na początku lat sześćdziesiątych, zaraz po ślubie. To była wycieczka z Orbisem do Paryża. Mieliśmy pojechać razem z Mikołajem, ale akurat prowadził pierwszą samodzielną sprawę i musiał zostać w Poznaniu – posmutniała. – Od pół roku cieszyłam się tym wyjazdem, więc jednak pojechałam sama – uśmiechnęła się. – Kiedy wjechaliśmy do centrum Paryża, oniemiałam. Jechaliśmy Polami Elizejskimi prosto w kierunku Łuku Triumfalnego. Zmierzchało.

Objechaliśmy go prawie wokół. Kiedyś ten plac, czy rondo, nazywał się Placem Gwiazdy, a dzisiaj Charlesa de Gaulle'a. Skręciliśmy do hotelu leżącego przy alei Victora Hugo. Tak naprawdę to było coś jak u nas dom turysty, ale dla mnie to był superhotel – uśmiechnęła się. – Następnego dnia mieliśmy pojechać do Luwru, okazało się jednak, że z powodu jakiejś awarii muzeum będzie zamknięte. Mieliśmy więc dzień wolny. I wiecie, co ja zrobiłam? Poczekalam, aż wszyscy gdzieś się porozchodzą, a potem poszłam na Plac Gwiazdy, obeszłam go wokół, znalazłam kafejkę ze stolikami na zewnątrz i chyba ze trzy godziny oglądałam ruch wokół ronda – roześmiała się.

– No, co ty? – zdziwiła się Kaśka.

– Samochody na rondzie, secesyjne budynki i kamienice wokół niego. Nie mogłam oderwać wzroku.

– Pojechałaś do Paryża oglądać ruch wokół ronda? – Kaśka pokręciła głową i uniosła ramiona w górę.

– Gdybym to wszystko zobaczyła, to siedziałabym tam chyba ze dwa dni! – Felcia przysła w sukurs Annie.

– Potem opowiedziałam mu jeszcze o zdarzeniu w Luwrze. – Anna oparła się łokciami o stół. – Zwiedzaliśmy galerię malarstwa. Po około trzech godzinach zobaczyłam obraz, który wyjątkowo przykuł moją uwagę. Przysiadłam na ławce i patrzyłam, patrzyłam... Wcześniej nawet Mona Lisa nie zrobiła na mnie takiego wrażenia... – Potoczyła wzrokiem po kobietach.

– Co to było?

– *Madonna w grotcie* Leonarda da Vinci. Dziwna kolorystyka i dziwny nastrój obrazu.

– Pewnie widziałam go, ale nie pamiętam – powiedziała, kręcąc głową, Kaśka.

– Maria siedząca przed grotą z małymi Jezusem i świętym Janem Chrzcicielem. Święty Jan ma złożone dłonie, a Jezus go błogosławi. Obok anioł Uriel wskazuje palcem na Jana Chrzciciela. Patrzyłam i nie rozumiałam przesłania. Dalej go nie rozumiem... – Anna rozłożyła dłonie.

– Jak to na świętych obrazach. Niby wszystko jasne, ale jednak nie! I można patrzeć, i patrzeć – zgodziła się Felcja. – Ciągłe oglądałam te obrazki z książeczki i zawsze mam wrażenie, jakbym je pierwszy raz widziała. – Spojrzała na Kaśkę, a ta potwierdziła skinieniem głowy.

– Okej, ale co ustaliliście z Ryszardem?

– A widzisz, prawie zapomniałam. Powiedział, że już wszystko wie i jak będzie gotów, to mi powie, żebym zdążyła się przygotować do wyjazdu.

– No, jo! – skwitowała krótko Felcia.

– Tylko widzicie, ja mu powiedziałam, że za żadną granicę nie chcę już jechać, bo nie wiedziałam nawet, jakie skarby są w Kościerzynie! Tutaj jest co zwiedzać, a ja już nie mam ochoty się włóczyć ani autobusami, ani nie daj Bóg samolotami. On dziwnie na mnie spojrzał i zamilkł. Milczał dosyć długo, a potem zaczął się uśmiechać. Wreszcie powiedział, że chyba mam dużo racji, jeśli idzie o wyjazdy zagraniczne, ale postara się zorganizować coś bliżej, co będzie w stanie mnie także zaintrygować.

– To mi się podoba! – uśmiechnęła się Felcia. – Nie chcę, żebyś na długo wyjeżdżała. – Położyła dłoń na ręce Anny.

– I na czym wreszcie stanęło? – Kaśka zagrała palcami po stole.

– Powiedziałam mu to, co przed chwilą Felcia – odparła Anna z uśmiechem. –

Dwudniowe wycieczki jakoś może zniosę, no i nie za daleko. Jestem już bardzo wygodnicka. On popatrzył na mnie, poskubał wąsa i stwierdził, że będzie bardzo wygodnie, i że zmieścimy się w dwóch dniach. I to wszystko.

– No, ale w końcu jedziecie gdzieś...? – nie wytrzymała Kaśka.

– Ustaliliśmy, że powie mi o najbliższej wycieczce dwa dni przed wyjazdem. – Anna zmrużyła oczy.

– Jo! To mi się podoba. Konkretny facet! – roześmiała się Felcia.

*

Igor sprawnie podłączył do komputera głośniki i mikrofon. W międzyczasie przyglądał się Elizie, bo czegoś nie zrozumiał. Natychmiast polubił jej nowy image – z czarnymi włosami, gdyż wydał mu się bardziej naturalny. Zdążył zaobserwować w niej jeszcze jedną przemianę, której nie potrafił na razie sobie wytłumaczyć. Momentami była ekspresyjna jak dawniej, ale po chwili wyciszała się i dziwnie łagodniała. Dostrzegł, że gdzieś zniknął jej bunt, dzikość, jak to sobie kiedyś zdefiniował. Spojrzał w jej śmiejące się oczy.

– Czy dzisiaj będziesz chciała porozmawiać z Maxem?

– Nie, raczej nie – odpowiedziała po chwili. – Zależało mi tylko, żeby z tobą chwilę pobyc, a komputer to tylko pretekst. – Uśmiech rozjaśnił jej twarz.

Przysunął się bliżej i przywarł ustami do jej warg. Nie opierała się. Czuł, jak ślicznie pachnie, tęsknił do tego. Przerwali. Delikatnie dotknął językiem jej ramienia. Posmakował.

– Czułem zapach morskiej wody... chciałem sprawdzić. – Wpatrywał się w jej oczy.

– Wstałyśmy z Wiką wcześniej, zjadłyśmy szybko śniadanie, a potem leżałyśmy po kolana w wodzie aż do przyjazdu jej taty – roześmiała się.

– Ty i Wika?

– A co w tym dziwnego?

We wzroku Igora musiało jednak być coś bardzo dziwnego, bo Eliza opuściła powieki, po chwili je podniosła i spojrzała mu prosto w oczy.

– Takiej koleżanki jak Wika nie miałam nigdy. Zrozumiałam to dopiero, gdy wtedy wyjechałeś.

Znowu się pocałowali.

– I to nie dlatego, że ona ma działkę tutaj nad Mauszem – rzuciła z uśmiechem, gdy na chwilę przerwali, żeby nabrać powietrza.

– Tutaj? – Igor zrobił duże oczy. Eliza skinęła głową.

– Ona mi uzmysłowiła, że powinnam skończyć z buntem. Szkoda na to czasu. Zresztą wiesz, osiągnęłam właściwie wszystko, co chciałam, prawda? – Uśmiechając się, podniosła brew do góry, znowu przez moment była tą Elizą sprzed wyjazdu.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Przyłożyła palec do jego ust.

– Nie kłam. Oboje wiemy, że nie było ci wszystko jedno – uśmiechnęła się.

Igor podrapał się po głowie.

– No dobrze, ale...

– Powiem ci tylko jeszcze jedno i zakończymy ten temat, okej?

– Okej.

– Zrzuciłam maskę. Jestem znowu sobą, tak jak kiedyś, gdy żył jeszcze dziadek.

Straciłam trochę czasu... – Jej oczy się zaszkliły.

– Eliza, nie...

Ujął jej twarz w obie ręce i osuszył łzy. Spojrzała na niego z wdzięcznością. Od strony schodów dały się słyszeć kroki.

– Eliza, Igor, jesteście tam?

– Tak! Komputer już gotowy! – krzyknęła Eliza, prostując się.

W progu saloniku stanęła Kaśka.

– Bo tak cicho się zrobiło, że zastanawialiśmy się, czy wyście czasem nie poszli niezauważenie na łąki.

Igor i Eliza spojrzeli na siebie.

– A wiesz, mam, podsunęłaś mi dobrą myśl. Zateśniłam za lasem. Igor, przejdźmy się trochę w kierunku Bawernicy. – Igor skinął głową.

– Idźcie, ale za godzinę wróćcie na podwieczorek. Wiem, że Felcia cuda popiekle, i byłoby jej przykro.

– Jasne! – Eliza zerwała się z krzesła i pociągnęła za sobą Igora.

Głośny tupot na schodach i śmiechy młodych poniosły się po całym domu.

*

Wieczorem zeszły się wszystkie do saloniku. Eliza przygotowywała rozmowę z Maxem. Kiedy wybrzmiały powitania, od których zadudniły głośniki, usłyszały głos Władysława.

– Jak rozumiem, Elizo, jesteś już w Parchowie. A może mógłbym porozmawiać z siostrą? – Anna wcisnęła się w krzesło i przymknęła oczy.

– Oczywiście! – Postawiła mikrofon przed babcią.

– Dobry wieczór, Władku, przepraszam, że sama się wyrywam, ale to z emocji! – pokrzykując drżącym głosem, zaczęła Anna.

– Możesz mówić ciszej... – szepnęła Eliza.

– Uszanowanie siostrze! Jak się cieszę! – w głosie Władka też można było usłyszeć wzruszenie. – Mam dobrą wiadomość! Przyjedziemy do Polski!

– Niemożliwe, to cudowna wiadomość! – Anna wpatrywała się w mikrofon.

– Tak, siostrzyczko! Bardzo chcemy cię poznać. Tak jak mówiliśmy Elizie, już za kilka dni ruszamy do Europy. Będziemy w Anglii, we Włoszech, a na koniec we Francji. Stamtąd chcemy przyjechać do was, do Parchowa.

– Ale jak wy to zrobicie? Taki szmat drogi to przecież kłopot!

– Anno! U nas w Stanach często jeździmy po kilkaset mil z miasta do miasta i to w jeden dzień. Nie widzę problemu, żeby przyjechać z Paryża do Polski, to mniej niż tysiąc mil!

– Ale się zmęczycie...

– Ja jestem już wygodny, ale Max ma dużo siły!

– Damy radę, ciociu! – zadudniło w głośnikach. Eliza i Kaśka zasłoniły usta, żeby się nie roześmiać.

– Dzień dobry, Maksiu! – przywitała go Anna.

– Ciociu, ten Maksiu ma prawie dwa metry wzrostu, ale podoba mi się to zdrobnienie – zadudniło śmiechem.

– Pojedziemy na zmianę, my do tego zwyczajni. W Paryżu wynajmiemy auto i ruszamy!

- wtrącił Władysław. – Jak się jeden zmęczy, to drugi śpi!
- A nie odwrotnie? – zaśmiała się Eliza.
- Co odwrotnie? Aaaa! To wina naszego polskiego, ale wiecie, o co chodzi!
- To kiedy chcecie tutaj przyjechać? – rzuciła Eliza.
- Na początku wrześnie... trzy, cztery dni... Max zaczyna pracę... – głos Władka zaczął uciekać, transmisja mowy zanikała.
- A powiedz mi jeszcze, Władku, coś o mamie, tak bym chciała coś o niej od ciebie usłyszeć! – Anna znowu nachyliła się do mikrofonu.
- Siostró, może... o tym porozmawiamy u was. Ja muszę ciebie widzieć przy takiej rozmowie – głos cichł i zanikał. – Coś słabo was teraz słyhać, pewnie nas też, więc niech Max z Elizą dograją jeszcze szczegóły, a my porozmawiamy już w Polsce. Teraz muszę odpocząć – takie wzruszenia! Do zobaczenia, siostró!
- Do zobaczenia, bracie! – Anna wcisnęła się w oparcie krzesła.
- Kiedy Eliza skończyła rozmowę z Maxem, poszła zdać relację mamie i babci. Anna otulona ciepłym kocem siedziała w foteliku na tarasie, a Kaśka w dresie stała obok.
- No, jesteś. I co tam jeszcze ustaliliście? – Babcia spojrzała w kierunku Elizy.
- Podpowiadałam Maxowi, którądy najlepiej jechać, tylko nie wiem, czy nie wprowadziłam go w błąd.
- Przecież od granicy droga prosta.
- Max chciał przez Luksemburg, Frankfurt i Pragę do Wrocławia, a potem przez całą Polskę, a ja mu powiedziałam, żeby przez Belgię pojechali na Berlin i wjechali do nas przez przejście położone najbardziej na północ.
- Dobrze mu powiedziałaś.
- Chociaż nie jestem kierowcą, ale tak mi się wydawało najlepiej. – Eliza potarła się po odkrytych ramionach. – Chłodno już się zrobiło, wejdźcie do domu.
- Anna wstała i skierowała się do pokoju.
- A co tam jeszcze? – dopytała, kiedy już znalazły się u niej w pokoju.
- Oni przyjeżdżają do Europy z jeszcze jedną rodziną – przyjaciółmi. Żona Władka zostanie z nimi w Paryżu, a panowie przyjadą sami. Stwierdziła, że to dla niej zbyt męczące. W tym czasie pozwiedza jeszcze coś ze znajomymi, bo druga taka okazja może się jej nie trafić.
- No i ma rację, zresztą oni też powinni się zastanowić.
- Babciu, nad czym? Max mówił, że dwie noce debatowali, jak to zorganizować. Władek chciał jechać sam, żeby Max nie stracił tej wycieczki, ale ten mówi, że woli zobaczyć miejsce, skąd przyjechała do Ameryki babcia Krystyna, niż jakiś Wersal.
- Kochany!
- A poza tym koniecznie chce poznać kuzynkę białaskę. Muszę mu wysłać jakieś nasze zdjęcia.
- Ale chyba teraz nie będziesz ich robić?! – Anna zerwała się jak oparzona.
- Babciu! Przecież fotek mamy tony, daj spokój.
- Bo mnie przestraszyłaś! Ale ten Władek był wzruszony, prawda?
- Ty też, babciu. Max mówił, że w pewnym momencie tak się zakręcili, że chcieli tu przyjechać na dłużej i odpuścić sobie Francję! – Eliza zmrużyła oczy. – Tylko mama na nich wsiadła i zaniechali.
- Rozsądna kobieta. Szkoda, że jej nie poznam.

- Poznasz, poznasz! Przyjadą znowu za rok!
- Jeszcze nie przyjechali, a już planują, co będą robić za rok? A jak im się coś tu nie spodoba?
- Max przyznał się, że żałuje, że nie poznał nas ze cztery lata wcześniej, bo wtedy by wybrał inne studia. Coś, co bardziej by się mogło tutaj przydać.
- Jak to? – Anna otworzyła szerzej oczy.
- Zaczął coś mówić, że może by wtedy nastawił się na jakiś interes w Polsce, ale zerwała się całkiem łączność i pożegnaliśmy się już na klawiaturze. Nie dokończyliśmy rozmowy, skończymy ją w Polsce.
- Patrzcie, młodzi to mają pomysły. – Anna pokręciła głową. – Tam mieszka, a chce do naszej biedy.
- On się poczuł Polakiem. Tak się w tę całą historię wkręcił! – uzupełniła Eliza. – Aha! Wiecie? On ma pracować w Nowym Jorku w WTC!

*

Eliza od jakiegoś czasu spoglądała w kierunku wsi, wypatrując Wiki. Dojrzała ją wreszcie. Szła wolnym krokiem, przystając co kawałek i rozglądając się wokół. Eliza wyszła jej naprzeciw.

- Myślałam, że już nie dojdiesz! – przywitała ją uśmiechem.
- Hej! Opowiadałaś, że tu są ładne widoki, więc musiałam sprawdzić. Jak się jedzie autem, to się na to zbytnio nie zważa.
- I co...?
- Urzekająco! Już sobie nawet odpowiedziałam, dlaczego tu ze wzgórza lepiej wszystko widać.
- No, i...?
- Bo tu wyżej o jakieś piętnaście metrów!
- Zaśmiała się, a do Elizy dopiero po chwili dotarła ta odpowiedź. Uśmiechnęła się.
- Powiedziałam najpierw Felci, a potem mamie i babci, że tutaj zostaję na czas studiów.
- Wskazała na „Iskierkę”.
- Ostatnio nie mówiłaś jeszcze o tym w tak zdecydowany sposób.
- Kiedy mnie wysadziliście i przeszłam przez bramę, od razu podjęłam decyzję. Serce zabiło mi mocniej, aż się zdziwiłam. – Przewróciła oczami i powachlowała się dłonią.
- Aż tak?
- Miałam tak samo, gdy jako dziecko wracałam z kolonii do domu i pociąg wjeżdżał w granice Poznania – wyjaśniła Eliza. Wika zatrzymała się. – Serce biło mi jak oszalałe, zawsze stałam na korytarzu i wpatrywałam się w mijane dzielnice.
- Nigdy bym nie pomyślała, że tak masz.
- Mam! Dotąd mówiłam o pozostaniu tutaj jako opcji, a teraz postanowiłam!
- To super! Będziemy miały do siebie blisko.
- Ja już nigdy się stąd nie ruszę! – Eliza tupnęła nogą.
- No coś ty, a Poznań?
- Kocham Poznań. To pewnie jest jak z pierwszą miłością. Pokazałam Igorowi ten mój Poznań... nie mówiłam ci o tym. A wiesz, że jemu pierwszemu też powiedziałam, że zdjęłam maskę?

– No coś ty?
– Wika! Znamy się krótko, ale już dobrze. Nie wiem, jak to będzie wyglądać kiedyś. – Eliza złapała Wikę za ramię. – ...Ale on jest tym, któremu chciałabym wszystko mówić.
– No, nie wiem ...
– Ty zawsze jesteś taka powściągliwa?
– Nie zawsze, ale nie wiem, czy bym tak potrafiła. – Spojrzała na Elizę.
Po chwili jej wzrok uciekł na bok i rozszerzyły się oczy.
– O, mamuniu, ale klomb...!
– To gazon!
– A to nie to samo?
– W zasadzie tak, ale my mówimy gazon...
Wika zatrzymywała się przy kwiatkach, kuciała i wahała je.
– Nie spalone słońcem, wypielone, jak tu kolorowo i jak one wszystkie pachną! Kto może przeznaczać tyle czasu na kwiaty?
– Ja! – dobiegł je głos Felci.
Eliza i Wika zajrzały do wnętrza ocienionej werandy.
– Czegoś tak pięknego to jeszcze nie widziałam... Dzień dobry paniom... Domyślam się... pani to Felicja, pani jest babcią Elizy, a pani mamą. – Wika ukloniła im się z uśmiechem. – Nie mogłam się napatrzeć... – Wskazała ręką w kierunku doliny.
– A myśmy zastanawiały się, czy może coś ci wypadło – rzuciła Anna.
– Eliza prawie na mnie nakrzyczała! – Wika spojrzała na uśmiechniętą Elizę wlewającą lemoniadę z bąbelkami do szklaneczek.
– Tylko pamiętaj, dziecko, przed beknięciem się nie broń, bo to zdrowo! – powiedziała Eliza teatralnym głosem, zaglądając Wice w oczy.
Felcia i Anna zaśmiały się, a Kaśka pogroziła Elizie palcem.
– Teraz będziesz zawsze mówiła za mnie tę formułkę! – klasnęła Felcia.
– Ale panie fajne! – Wika śmiało sięgnęła po szklaneczkę; piła powoli, aż ukazało się dno. – Lemoniada doskonała... Upsss! – zasłoniła usta. – Przepraszam!
– A nie mówiłam? – Eliza znowu przedrzeźniła głos Felci.
– Jesteście nawet trochę do siebie podobne. – Kaśka przyglądała się uważnie Wice. – Dostrzegłam, że masz nawet podobny do nas trzech tik, mrużenie oczu! – uśmiechnęła się. Wika skinęła głową i jak na komendę zmrużyła oczy.
– Witaj w naszym babińcu, Wika, i czuj się jak u siebie w domu! – Anna wyrecytowała pompatycznie, ale zaraz spojrzała zmieszana na Felcię, ta wzięła się pod boki.
– Nareszcie to powiedziałaś! Teraz już wiem, że nigdy stąd nie wyjedziesz!
– Ale mnie się tylko tak niechący powiedziało... Jak się jednak zastanowić, to chyba tego coraz bardziej chcę – rzekła cicho i spuściła oczy.
– A mnie Eliza przed chwilą też powiedziała, że już nigdy stąd nie wyjedzie!
Wika przenosiła wzrok z jednej kobiety na drugą. Felcia złożyła dłonie na piersiach, patrząc z uśmiechem na Elizę, zaś Anna i Kaśka nieco spoważniały.
– Wiesz, dziecko... Coś nam się tutaj dzieje z głowami... – zaczęła Anna.
– Wika! Po prostu mama i babcia zmądrzały wreszcie! – przerwała jej Eliza, mrużąc oczy. – Im potrzebny był wstrząs. – Anna i Kaśka skinęły głowami. – Więc zamówiłam burzę, której się cholernie boję, i walnęliśmy...
– W krawężnik! – wykrzyknęła Wika.

Pięć kobiet zaśmiało się wniebogłosy.

– I poczucie humoru masz nasze. – Kaśka przytuliła do siebie Wikę. – Od czasu do czasu chętnie wam pomatkuję, bo wiem, że żadnych kłopotów z wami mieć nie będę – uśmiechnęła się.

– Mama powiedziała mi rano po śniadaniu coś podobnego...! – Wika sięgnęła po szklaneczkę z lemoniadą.

– A mama czym się zajmuje? – spytała Anna.

– Lepiej byłoby raczej spytać, czym się nie zajmuje! Mną, Kacperkiem, dziadkami, tatą, jeszcze zakupy, dom... Pełno tego! I zawsze uśmiechnięta!

Anna pokiwała głową.

– Masz ty dobrze, dziecko.

– Wszyscy mamy dobrze, bo gdyby nie mama... – Wika spoważniała – ...to nie wiem, jak by wszystko wyglądało.

– Ja tak miałam przez kilka ostatnich lat, wiem, co to znaczy... Mówi się, że to tylko dom, ale...

– Mamo, babciu! – odezwały się prawie jednocześnie zaskoczone Kaśka i Eliza.

– Nie skarżę się, ale tak sobie szczerze rozmawiamy...

– I to by było tyle! – podsumowała Felcia. – Robimy kawkę, a potem idźcie sobie na spacer albo co – zaśmiała się i złapała Elizę za rękę. – Chodź na chwilę, pomożesz mi!

– Ja też mogę pomóc! – Wika poderwała się z krzesła.

– To chodź, zobaczysz przy okazji dom. – Felcia ruszyła do środka.

Anna i Kaśka spoglądały po sobie.

– To mówisz, że podjęłaś już decyzję, że tutaj zostajesz... – odezwała się Kaśka.

– Córcia, powiedz mi, co nas trzyma w Poznaniu? Tyle tylko, że tam jest i dom, i mieszkanie.

– Mieszkanie to betka, ale gdyby chcieć sprzedać taki dom... Na razie nie wyobrażam sobie tego! – Kaśka zachnęła się.

Umilkły. Zwróciły głowy w kierunku doliny. Na werandę weszła z rozmachem Felcia.

– Co wy jesteście jakieś takie markotne? – Postawiła głośno tacę. – Pokłóciłyście się? – Spojrzała na nie przenikliwie.

– Nie, nie! – jak echo odpowiedziały Anna i Kaśka.

– Tylko co?

– Bo nawet jakby chcieć tutaj zostać, to tam... – Anna pokazała na horyzont – ...jest dom, który trzeba sprzedać, bo inaczej to nie będzie dutków, żeby się tutaj urządzić. – Spojrzała na Felcię, a Kaśka tylko potaknęła.

– Ciągłe to samo! I tak w kółko! Dziewczyny! Jak jest co sprzedać, to nie ma czym się martwić – powiedziała, rozstawiając talerzyki i sztućce. – Do końca wakacji zostawcie wszystko jak jest! Powoli!

– Ale jak to? – spytała Kaśka, a tym razem Anna potaknęła.

– Po prostu! – Felcia usiadła. – Nie zamartwiajcie się dzisiaj tym wszystkim. Półtora miesiąca temu chciałyście załatwić sprawy w ciągu tygodnia, tak? Niecały miesiąc temu mówiłyście już o zostaniu tutaj na wakacje, dzisiaj rozmawiamy, jakby to zrobić, żeby zostać na zawsze. Poczekajcie! Ważne, że już potraficie o tym myśleć. Musicie pozałatwiać swoje sprawy – klasnęła w dłonie. – Potem się zobaczy! A przynieś jeszcze z kredensu nalewkę i kieliszki, proszę – zwróciła się do Elizy.

– I jeszcze kartkę i ołówek, muszę ci narysować plan! – krzyknęła Wika za znikającą w drzwiach Elizą.

– Wybieracie się szukać skarbu? – spytała słodko Anna.

– Aha! – Wika zmrużyła oczy. – To ja jestem tym skarbem! Eliza musi mnie jutro znaleźć nad Mauszem.

– Wszystko słyszałam! Mam cię jutro znaleźć nad Mauszem! – zawołała Eliza, stając w progu sieni.

– Chciałabym, żebyś koniecznie przyszła do nas jutro na ognisko! A wcześniej pójdziemy sobie poleniuchować na cypel.

– To rysuj.

Wika wyrysowała drogę przez pola, brzeg jeziora z cyplem, granice lasów; gdzieś tam narysowała prostokąty domków. Zaznaczyła krzyżykiem jeden z nich.

– To ten? Trzeba było od razu tak mówić, nie musiałyś rysować! Mniej więcej stamtąd zabrał nas Stach Janik, jak zepsuł się mamie rower, kiedy wybrałyśmy się pierwszy raz na cypel.

– To wy go znacie?

– Cypel?

– Nie! Stacha!

– To dzięki niemu Żaba jest naprawiona!

– Auto tak nazywacie? – Wika spojrzała z niedowierzaniem na Elizę, która przytaknęła.

– A kto wymyślił taką fajną nazwę? Pani? – Wika zwróciła oczy na babcię Elizy.

Anna, Kaśka i Eliza spoważniały.

– Dziadek... – odparła Eliza.

– A już dajcie spokój! Humory jak na huśtawce. Kaśka! Nalej! – huknęła Felicja.

Chatka na kocankach



Anna wyciągnęła dziewczynki na spacer. Chciała je mieć trochę dla siebie. Niby ciągle były blisko, ale ostatnio wciąż musiała się nimi z kimś dzielić. Werandę odwiedzali letnicy – starzy bywalcy „Iskierki” albo ktoś ze wsi; tam wiecznie coś się działo.

Trzy podobne do siebie gracje szły wolno przez łąki w kierunku ściany lasu. Dolina po żniwach zmieniła swój wygląd i koloryt. Zniknęły błyszczące łany żyta, gdzieśgdyś widniały jeszcze niewielkie poletka nieskoszonego jęczmienia lub pszenicy. Teraz w dolinie i na wzgórzach przeważała zieleń drzew i łąk o różnych odcieniach, przykurzona żółć rżysk oraz szarość zaoranych pól. Pod nogami spacerujących, wśród traw, ciągle kwitły różnokolorowe polne kwiaty.

– Powąchaj! To są kocanki. To ich pora! – Kaśka kucnęła i zerwała szarozieloną łodyżkę z wianuszkami małych żółtych kwiatków na szczycie.

Eliza wciągnęła nozdrzami zapach.

– Ale dusząco słodkie! Śliczne są te kocanki. Jaka ładna nazwa – zachwyciła się. – Podobne do malutkich słoneczek!

Kaśka znowu kucnęła, w rękach trzymała scyzoryk.

– A skąd ty w ogóle znasz ich nazwę? – Eliza spojrzała na matkę.

– Od mamy, a mama od Felci. Ona nas tutaj wszystkiego uczy.

– Naścinam ich dzisiaj na kilka wiązanek, na suszenie. Już czas.

Anna skinęła głową, przyglądała się córce i wnuczce, które po raz pierwszy od niepamiętnych czasów zgodnie się czymś interesowały.

– Wiecie, dziewczynki, fajnie byłoby mieć chatkę na kocankach... – Zaciągała się zapachem kwiatów zrywanych i podawanych przez córkę. – Tutaj właśnie!

Kaśka i Eliza odwróciły się w jej stronę. Anna stała z rozmarzoną twarzą, tuląc do piersi kocanki. Spoglądała to na nie, to na łąkę, to na dolinę.

– Ty tak poważnie, mammo?

– Wiecie, kocham nasz dom, kocham Sołacz, kocham dziewiątkę, jak tnie z hałasem szyny na zakręcie, uwielbiam zapach moich śliw i świerków, przyjemność mi sprawia pielęgnacja gazonu, ale marzę o tym, żeby już zawsze budziły mnie rankiem parchowskie koguty. Tutaj odnalazłam spokój i siły. Nie wiem, jak bym się czuła tutaj jesienią i zimą, ale potem... przecież znowu przyjdzie wiosna i lato. – Anna uśmiechnęła się. – Jeśli cokolwiek miałabym jeszcze zmienić w swoim życiu, to teraz jest ostatni moment.

Zapadło milczenie. Ponad łąkami unosiło się cykanie świerszczy, a od stawu dochodził rechot żab. Trzy gracje spoglądały w dolinę. Wszystkie miały uśmiech na twarzy.

*

Kaśka zbiegła do kuchni z telefonem w dłoni.

– Marysia ma święto! – zawołała uradowana. – Napisała mi SMS-a.

– Bożesz! A o czym to ja zapomniałam? – Felcia z wrażenia wcisnęła się w oparcie. – To już nie mogła zadzwonić do mnie, tylko do ciebie pisze te robaki!

- Klaus przyjechał!
 - Aaaa! – odetchnęła Felcia. – I na te robaki miała czas? Z łóżka pisała? – zachichotała.
 - Ty to jesteś! – Anna machnęła ręką.
 - Też bym się podzieliła taką wiadomością. – Kaśka uniosła oczy w górę. – Jak ona musi się cieszyć. Poprzedni raz widzieli się dwa dni w maju!
 - Ciekawa jestem tego jego harleya – z napchaną buzią odezwała się Eliza.
 - Nie widziałaś nigdy harleya? – Kaśka spojrzała na córkę.
 - W Parchowie nie widziałam! Tutaj to będzie atrakcja!
- Temat Klause i jego harleya towarzyszył im przez całą kolację. Kiedy Felcia zaczęła zbierać naczynia po posiłku, Eliza przytrzymała ją za ramię.
- Dzisiaj moja kolej. Tylko się nie rozchodźcie, bo zaraz chcę wam coś przeczytać. – Wskazała głową na notes leżący na parapecie.
 - Kaśka spoglądała z niecierpliwością raz na córkę, raz na notes. Anna też była ciekawa.
 - Co ty tam znowu naskrobałaś...? – popatrzyła na wnuczkę z uśmiechem.
 - Eliza zawsze pisze ekstra, a nie skrobie! – odezwała się Felcia, wydymając usta.
 - To ty już wszystko wiesz, a osobista matka nic a nic? – Kaśka wlepiała oczy w Felcię, a potem przeniosła wzrok na córkę.
 - Żadna z was nic nie wie! – ucięła Eliza. – Babciu! Tak mi wczoraj zapadły w pamięć twoje słowa o chatce na kocankach, że nie mogłam się powstrzymać.
 - Czy ja może o czymś nie wiem? – Felcia poruszyła się nerwowo i zaczęła łypać oczami.
 - Nie! Tak mi się tylko wczoraj powiedziało, jak wahałam kocanki – uśmiechnęła się Anna i zmrużyła oczy.
 - Szkoda, że nie o chatce będziemy gadać. – Felcia machnęła dłonią.
 - Posłuchajcie, choć to dopiero początek – Eliza odchrząknęła i nabrała powietrza.

*Hej żółte kocanki, piaskowe kocanki,
 ależ z was piękności, na bukiet, na wianki.
 Kaszubskich łąk jesteście prawdziwą ozdobą,
 nawet kiedy suche, zachwycacie sobą!
 Maleńkie, polne, kaszubskie słoneczka...
 to na waszą cześć ta krótka piosneczka!*

- ... I już! – Eliza zmrużyła oczy i odłożyła notesik.
- Kaszubskie słoneczka, jakie piękne porównanie! – Anna była zachwycona. – No, super!
- Mówiłam, że Eliza zawsze pisze ekstra? – Felcia znowu wydeła usta.
- Podoba mi się, ale dlaczego nie napisałaś więcej?
- Bo już mi się oczy kleiły, mamó. Ciągle się zastanawiam, po kim mam ten ciąg do pisania.
- Po mnie raczej nie, może po tacie? Z tej strony Piotrusia nie zdążyłam niestety poznać
- Kaśka przy ostatnich słowach posmutniała.
- Kiedyś czytałam, że takie zdolności objawiają się czasami dopiero w drugim, a nawet trzecim pokoleniu – poddała myśl Felcia. – Ania ma artystyczną duszę, ładnie pisze, ale chyba bardziej potrafi się odnaleźć w muzyce. Więc tak sobie myślę, że to może po

Krystynie? Jak ona ślicznie potrafiła opowiadać, czasami mi mówiła wiersze... Bardzo rzadko odmawiała, chociaż męczyła się przy mówieniu. W gospodarstwie na pisanie i czytanie nie miała czasu, ale po wyjeździe do Ameryki, kiedy już jej się jakoś ułożyło, poprawiło, może ta jaskółka dotąd uwięziona w jej duszy uleciała i Krysia zaczęła pisać pamiętniki. Max o nich wspominał. Może to jest źródło talentów Elizy?

– Ojej, Felciu, ale zasunęłaś. – Eliza zaczęła się wachlować dłonią.

– Ale zasunęła celnie! – Annie rozbłysły oczy. – Ładnie powiedziałaś o tej jaskółce.

– Taki brodaty kiedyś na festiwalu w Opolu śpiewał i skojarzyło mi się jakoś – uśmiechnęła się Felcia.

– To był Borys! – rzuciła Kaśka.

– Nie! To był nasz, znaczy Polak! – obruszyła się Felcia.

Kaśka i Eliza zaśmiały się.

– Stan... Borys! – wyjąkała Kaśka, tłumiąc śmiech.

– A! Ten! – Felcia uśmiechnęła się od ucha do ucha. – Fajnie śpiewał. Do dzisiaj sobie nuczę tę piosenkę. To ja wam teraz coś powiem, ale musicie obiecać, że nikomu mnie nie wydacie! – Pogroziła palcem.

– Felciu!

– Jak byłam dzieckiem, to podróżowałam z tatą w jego opowiadaniach. Dostałam globus... Potem przyszła wojna, a po niej rodziców niedługo zabrakło – ściszyła głos. – Ale ja mam przecież maturę, pamiętacie! Więc uczyłam się tego i owego, aż się nauczyłam. – Kiwała głową ze śmiejącymi się oczami. – My tutaj, jak wiecie, jesteśmy uparci, Ania też, i mamy dobrą pamięć.

Anna potwierdziła skinieniem głowy.

– Jak już poznałam geografię, historię, to mnie nie za bardzo było w stanie cokolwiek zadziwić. Czasami jeszcze podróżowałam w myślach sama, no bo byłam sama... – zawiesiła głos – ...ale zaczęłam sobie kupować ciekawe... – rozejrzała się wokół i nachyliła ku stołowi – ...książki! – zakończyła dobitnie, lecz ciszej. – Już Ani coś niedawno wspominałam, ale wtedy to nie była stosowna chwila, żeby gadać o jakichś tam książkach.

Na chwilę umilkła.

– Więc kupowałam książki, ale nie powieści, bo te mogę sobie wypożyczyć w bibliotece we wsi, ale historyczne, geograficzne, o podróżach, o wykopaliskach. Początkowo mało, ale od drugiej połowy lat siedemdziesiątych coraz więcej!

– No, a jak je przeczytasz, to pewnie wyrzucasz, bo nigdzie ich nie widziałam u ciebie.

– Anna spojrzała badawczo na Felcię, ta się roześmiała.

– Przecież mówiłam ci, że wynoszę je na strych. One są dla mnie, a nie do pokazywania! Robię im tam maskowanie!

– Nie rozumiem.

– Kiedyś mi się wydawało, że muszę je chować przed ludźmi i tak mi już zostało do dzisiaj – uśmiechnęła się szeroko. – Myślałam, że to będzie źle widziane, jak ludzie się zwiedzą, że czytam. No wiecie, wyzwolona baba! – zaśmiała się głośno.

– Ale tak było? – Kaśce z niedowierzania rozszerzyły się oczy.

– Tak naprawdę to nie wiem, czy kiedyś tak było, albo tylko mówiło się tak, czy jedynie w mojej głowie to powstało. Ja nikogo do chaty nie wpuszczałam, co najwyżej na werandę, ale na wszelki wypadek robiłam sobie przechowalnię na strychu. Sucho, zawsze zamknięte i wdrapuję się tam po nie dopiero późną jesienią i zimą, bo tylko wtedy mogę

czytać. No bo jak tu latem czytać?!

– Trzeba było nam tak od razu mówić! – Anna spojrzała z wyrzutem na Felcię.

– Jak to od razu? A ja wiem, kto wy jesteście? – Felcia spojrzała na nie dziwnym wzrokiem. Anna Kaśka i Eliza zbaraniały.

Felicja omiotła je wzrokiem, odsunęła krzesło, wolno podniosła się, otrzepała spódnice i... nagle zaczęła podskakiwać i chichotać. Biegała i wycierała ze śmiechu łzy. Gdyby miała dość siły, pewnie by się jeszcze wytarzała po podłodze. Trzy poznanianki patrzyły na nią zdumione. Felcia uspokajała się z wolna. Usiadła wreszcie przy stole. Popatrzyła na nie z dobrotliwym uśmiechem.

– Ależ wami można zakręcić! Kocham was! Jesteście jeszcze bardziej porządne niż ja. – Gładziła je po dłoniach. – Chciałam sprawdzić, czy potrafię jeszcze zagrać okropną kłamczuchę i podejrzliwą babę w jednym. W liceum grałam w teatrze szkolnym! Mówili nawet, że mam talent! – Potoczyła dumnym wzrokiem po ciągle osłupiałych kobietach.

– Felcia, ale nas zrobiłaś. Zagrałaś pysznie! – Anna uśmiechnęła się wreszcie. – Toż ja nie mam już co czytać, więc chętnie bym sobie pożyczyła coś z twoich zasobów.

– Ja też – dodała Kaśka.

– Tylko nie wiem, czy was zainteresują takie książki, jak mam na strychu.... – Teraz Felcia, przedrzeźniając je, także przymrużyła oczy.

– Znowu sobie z nas żartujesz?

– Nie, teraz nie, Aniu! Ale czy was będą interesować książki o piramidach, Egipcie, o odkryciach geograficznych, znikających lądach, zatopionych cywilizacjach i kontynentach, planetach, kosmologii, jakieś Dänikeny, Sitchiny i inni autorzy wariaci?

– A teraz dalej żartujesz, czy...

– Nie! Takie są właśnie moje książki. To mnie po prostu interesuje! Wszystko przez tatę! Zrozumcie! W jego opowieściach wszędzie byłam, a potem zapragnęłam sprawdzić, co i jak sobie wówczas myślałam, wyobrażałam. W ostatnich latach wspomagają mnie w tym Gulewscy i Zagórcy. Piszemy do siebie listy albo telefonujemy, oni mi wyszukują ciekawe książki, potem opowiadają, co i jak, a na koniec kupują i przywożą.

– A ja się zastanawiałam, co też oni dźwigają w tych szarych paczkach po przyjeździe... – Anna pokręciła głową.

– Teraz jeszcze więcej wiecie o mnie i moich tajemnicach. Z tą wiedzą już was stąd nie wypuszczę! Nie macie co o tym marzyć. – Spojrzała na nie groźnie i wykonała ruch dłonią przy szyi.

– Nie przestraszysz nas, bo my ciągle marzymy o czymś odwrotnym. Co zrobić, żeby tutaj zostać? – Anna zmrużyła oczy.

– To proste! Przestańcie wreszcie marzyć, a zacznijcie myśleć, jak to zrobić! – odparła Felcia groźnym tonem, ale z uśmiechem.

Anna i Kaśka spojrzały po sobie i pokiwały głowami.

– Zapomniałam wam opowiedzieć coś jeszcze o Ryszardzie! – poderwała się Anna. – Kiedy tak rozmawialiśmy sobie z nim o tym i owym... – spojrzała na Felcię, potem na Kaśkę, a w końcu na Elizę – ...jakoś tak zeszło na temat przyjaźni...

– Nie rozumiem, mam... – Kaśka spojrzała na Annę.

– Może chodziło o mnie i Ryszarda – zaśmiała się Eliza.

– Kto z kim ma się przyjaźnić? – spytała Felcia z poważną miną.

– No, my z Ryszardem. Tak to sobie nazwaliśmy. – Anna złączyła dłonie i zatrzepotała

powiekami.

– Trzeba było od początku mówić, że to coś... – Felcia uniosła roześmianą twarz i przymknęła na chwilę oczy – ...nazywacie przyjaźnią.

– No tak. – Anna spuściła oczy. – Obiecaliśmy sobie, że zostaniemy przyjaciółmi już na zawsze...

– Ooo! – Felicja, Kaśka i Eliza jak na komendę wydały głos podziwu.

– Postawiłam tylko jeden warunek – dodała cicho Anna.

– Jaki znowu warunek! – Felicja spojrzała na nią groźnie.

– Będę się z nim przyjaźnić już zawsze, chyba że zbije mi mój wazonik. Wtedy to koniec. – Anna wykonała energiczny ruch dłonią nad stołem.

– Ale o co chodzi? – Felcia zirytowała się nie na żarty. – Jakiś głupi wazonik się stłucze i będziesz chciała zrywać!

– To jest relikwia... – powiedziała cicho Kaśka, Eliza skinęła głową.

– Jaka znów relikwia? – Felcia potrząsnęła dłońmi. – Teraz wy w coś ze mną gracie?

Anna pokręciła głową.

– W czterdziestym czwartym roku, na Gwiazdkę, poszliśmy z mamą z wizytą do jej koleżanki Klary, mieszkającej w sąsiedniej kamienicy. Ona miała córkę w moim wieku, Bożenkę. Spotykałyśmy się często na spacerach, lubiłyśmy się bawić, chciałyśmy razem siedzieć w pierwszej klasie. Podobał mi się u nich mały kolorowy wazonik, który stał zawsze na bufecie. W tamte święta była w nim mała gałązka świerku z przyczepioną złotą bombką. Stanęłam przed bufetem i wpatrywałam się w to чудо; zawsze na niego tak patrzyłam. Mama Klary, babcia Werka, uśmiechnęła się i powiedziała, że skoro tak mi się on podoba, to da mi go na rozpoczęcie roku szkolnego. Ucieszyłam się, ale Bożenka zaczęła płakać. Też lubiła ten wazonik. Babci zrobiło się przykro i nie wiedziała, jak się zachować. Mama Jutka powiedziała wtedy: wazonik może należeć do was obu, będzie tylko stał na kredensie u nas. Dzięki temu, Bożenko, będziesz częściej odwiedzała Anię. Obie się ucieszyłyśmy i poszłyśmy się bawić. Kiedy Niemcy bronili się już tylko na Cytadeli, mieszkańcy zaczęli wychodzić na ulice. Klara z Bożenką też gdzieś poszły. Długo nie wracały. Przestraszona babcia Werka przyszła sprawdzić, czy nie ma ich u nas. Nie wróciły do domu. Następnego dnia mama dowiedziała się, że mąż babci Werki zidentyfikował Klarę i Bożenkę w kostnicy w szpitalu. Tragedia! Znalezione je martwe na Zwierzynieckiej, blisko Kaponiery. Prawdopodobnie były ofiarami jakiegoś niemieckiego snajpera ukrywającego się jeszcze w Zamku albo w którymś z okolicznych budynków. Płakałam kilka dni... Pół roku po wojnie, w przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego, przyszła do nas babcia Werka i przyniosła ze sobą ten wazonik. Ciągle przechowuję go jak relikwię – Annie załamał się głos.

– Smutna historia. – Felicja otarła wilgotne oczy. – Straszna była ta wojna... – Zapadło długie milczenie. – No dobrze, Aniu – przerwała ciszę Felicja. – Wytłumacz mi tylko, co wazonik ma do waszej przyjaźni? I dlaczego on miałby go stłuc?

– Kiedy po ślubie zamieszkałam na Sołacz, znalazłam dla wazonika stałe miejsce na bufecie. Powiedziałam Mikołajowi, że musi pilnować razem ze mną tego wazonika, bo jak on się stłucze, to coś się skończy. Zrobił dla wazonika piękną wyściełaną skrzyneczkę. Kiedy wyjeżdżaliśmy, chowałam go do niej. Teraz przed wyjazdem też go w niej schowałam.

– No, to o co chodzi? Jest bezpieczny! – Felcia rozłożyła ręce.

– U mnie w domu, na Szamarzewskiego, pilnowała go mama Jutka, na Sołaczu pomagał mi go pilnować Mikołaj, ostatnie lata bałam się, że coś może mu się stać i wołałam nie wyjeżdżać. No wiesz... Teraz nie wiem, co będzie, ale powiedziałam Ryszardowi o nim, tak na wyrost, żeby wiedział, co i jak... – Anna uśmiechnęła się melancholijnie.

– Ależ ty potrafisz zagmatwać prostą rzecz. Nie mogłaś mu powiedzieć wprost, że chcesz, żeby się tobą opiekował już zawsze? Tylko opowiadasz takie wygibasy. A jak się nie domyśli? – Felcia złapała dłoń Anny w swoje dłonie.

– Sądzę, że się domyśli. Na razie obiecaliśmy sobie przyjaźń... – Anna zmrużyła po swojemu oczy.

*

Eliza, nie wiedzieć czemu, przypomniawszy sobie rano Mroza i Włóczykija. Kiedy więc spojrzała na wieszak przy wyjściu na werandę i dojrzała wiszący tam zawsze meksykański, błękitny słomkowy kapelusz, bez zastanowienia nałożyła go na głowę.

– Pozdrów Wikę i jej rodzinę – rzuciła za nią mama.

– I nie zapomnij o życzeniach imieninowych dla taty Wiki! – uzupełniła babcia.

Eliza klepnęła się w czoło. Idąc przez wieś, wstąpiła do sklepu. Przejrzała półki w poszukiwaniu jakiegoś drobiazgu. Spośród gadżetów wybrała coś, co skojarzyło jej się z morzem i marynarzami: koło sterowe z dodatkiem w postaci termometru. Wesoła, użyteczna tandeta i tylko pięć złotych.

Na działkę trafiła bez żadnego problemu. Już z daleka witał ją ujadający czarny jamnik. To na pewno Kacperek! Kucnęła i pogłaskała go. Z początku nieufny, powarkiwiał, pokazywał zębki, wymykał się, ale po kilku chwilach położył się na plecach i pozwolił drapać po brzuszku. Przy bramie szybko pojawiła się Wika.

– Cześć, Eliza! Oo, Mrozu by ci pozazdrościł. – Wskazała na kapelusz. – Fajowy!

– Witaj! A wiesz, że właśnie dzisiaj on mi się przypomniał. Dlatego go nałożyłam!

Dziewczyny weszły na teren działki. Dwa nieduże domki, ładnie utrzymane żywopłoty i jałowce wytyczające drogę wjazdową. Po obu jej stronach rosły drzewa iglaste: sosny, świerki. Mały ogródek z kilkoma drzewami i krzewami owocowymi, spory trawnik, a pośrodku miejsce na ognisko ogrodzone kamieniami, z zawieszoną nad nim okrągłą płytą do grillowania. Malwy pod oknem, niewielki klomb przed tarasem, stół z ławkami. Podobało jej się tutaj. Dziadkowie i rodzice Wiki odpoczywali na leżakach.

– To jest Eliza – przedstawiła koleżankę Wika. Eliza przywitała się ze wszystkimi i wręczyła prezent ojcu Wiki.

– Dziękuję! Skąd wiedziałaś, że tego właśnie brakuje mi na moim mostku? – Wskazał na mniejszy z domków.

– Intuicja! – Zmrużyła oczy.

– No, to teraz będę mógł wreszcie wszystkim sterować!

– Wika mówiła mi, że pan był kiedyś marynarzem...

– W zasadzie tak, chociaż tak naprawdę tylko chodziłem w mundurze marynarskim – uśmiechnął się. – Niedługo minie już dziesięć lat, jak odszedłem z wojska...

– Jakby co, to ja jestem gotowa do wyjścia. – Wika zmrużyła oczy i podniosła leżącą na ławce torbę. Spojrzały po sobie i ruszyły w kierunku bramy.

– Ale tak w biegu...? Naprawdę trzeba było chociaż chwilę odpocząć... – Babcia

poderwała się na leżaku.

– Jak się zmęczymy, to wrócimy – odpowiedziała Wika. – Damy radę! Na cypelku odpoczniemy! – zawołała już od bramy.

Kiedy dotarły na cypel, przywitał je miły zefirek i lekko sfalowana woda. W zasięgu wzroku miały tylko trzy namioty na wzgórzu i dwie grupki letników wypoczywających na ręcznikach przy samym brzegu.

– Wczasowicze już powoli stąd odjeżdżają. Najwięcej namiotów jest na przełomie lipca i sierpnia.

– W końcu czerwca, jak pierwszy raz przyszliśmy się wykąpać, nikogośko tutaj nie było. – Eliza rozpościerała ręcznik.

– No, wtedy jest super! Wysoka niezdeptana jeszcze trawa wchodzi w nos, żadnych ludzkich głosów, tylko owady, pluskające się kaczki, dostojne łabędzie i chmury płynące po niebie... – przymrużyła oczy Wika. – I to wszystko tylko dla ciebie. To jest to! – Położyła się na brzuchu i podparła na łokciach. – Przed rozmowami byłam tu przez tydzień z mamą.

– Poważnie? Ja ze swoją miałam wtedy największe kłótnie.

– Ważne, że wszystko dobrze się skończyło!

– Ale spójrz, ile w tym wszystkim było przypadków, lub jak mówi moja babcia, pojawiały się znaki.

– Pójdziemy się popluskać, jak ci odejdą na obiad. – Wika ruchem głowy wskazała sąsiadów zbierających ręczniki.

– Mhm!

– Wczoraj była u nas fajna rozmowa o książkach... – Eliza położyła się na boku. – Okazuje się, że Felcia ma bogaty księgozbiór, dwie pełne biblioteczki, które trzyma na strychu. Pokazała nam, bo my jesteśmy, jak wiesz, prawie rodziną.

– A dlaczego na strychu?

– Na wszelki wypadek! – prychnęła Eliza. – Kiedyś sobie ubzdurała, że ktoś może zobaczyć u niej książki i wziąć ją za zbyt postępową... Tak powiedziała, ale kto ją tam wie... może tak naprawdę kiedyś było. Ona cały czas żartuje, więc nigdy nie wiadomo, co jest prawdą. Ale posłuchaj, jaka tematyka tych książek. Na przykład o odkryciu Troi albo o piramidach egipskich, ale nie takie, że one są, tylko takie, które kwestionują na przykład ich budowę przed około trzema tysiącami lat przed naszą erą, a dowodzące, że zbudowano je dużo wcześniej!

– No to mogłaby sobie podać rękę z moim tatą! – Wika przewróciła się na bok.

– Poważnie...?

– Sama mu co chwila coś nowego kupuję, zamawiam... Jakieś katastrofy kosmiczne, planeta X, albo różne Dänikeny... O! Dużo ma na przykład o Atlantydzie!

– Ona ma podobne książki!

– Najbardziej lubi takie, które mówią o jakichś śladach materialnych, artefaktach, o ich badaniu, bo z nich może coś wynikać.

– Felcia wczoraj coś podobnego mówiła... Wiesz, też bym może coś takiego przeczytała... tylko nie ma kiedy – Eliza uśmiechnęła się. Chodź, idziemy schłodzić zwoje, bo mi się od tematyki tych książek już rozgrzały.

A potem była długa kąpiel, po niej kanapki na ręcznikach i znowu rozmowy o wszystkim i o niczym. Umówiły się nawet, że letnią sesję na pierwszym roku muszą

zaliczyć w terminie zerowym, żeby móc tutaj być już od dwudziestego czerwca. Po szesnastej, kiedy na niebie pojawiło się trochę więcej chmur, ruszyły z powrotem na działkę. Tato Wiki rozpoczął właśnie rozpalenie ogniska, żeby przygotować dobry żar. Przysiadły się w pobliżu dziadków i mamy Wiki i gawędziły o przygodach na wolontariacie. Dziadek opowiadał historie z czasów, kiedy jeszcze pływał w Dalmorze jako mechanik Baaderów, maszyn do obróbki ryb na trawlerach-przetwórniciach.

– To pan był marynarzem! – zawołała zdziwiona Eliza.

– Mundury mieliśmy obaj, ale on... – dziadek wskazał na tatę Wiki – ...choć służył w Marynarce Wojennej, pływał tylko do Helu, a ja na peruwiańskie łowiska, na łowisko Georges Bank, aż do wysokości Nowego Jorku, albo blisko wybrzeży Labradoru czy Grenlandii. Stamtąd mieliśmy niedaleko do portu St. John's w Kanadzie. Pływałem po Morzu Śródziemnym, na łowiska w pobliżu Wysp Kanaryjskich, a nawet Afryki Południowej.

– Kawał świata pan zwiedził! – zachłysnęła się Eliza.

– Z tym zwiedzaniem to bym się za bardzo nie zgodził, ale i tak dużo zobaczyłem. Zwykle ruszałem w trudne półroczne rejsy daleko od domu, żony, dzieci. Ciężka, bardzo ciężka praca. Wchodziliśmy czasami do portów, żeby wyładować rybę, na dzień, dwa, a maksimum trzy. Tam też była robota przy rozładunku. Każdy chciał wyjść, kupić jakiś drobiazg, zrelaksować się. Na pamiątki nie zawsze starczało, bo musiało zostać na życie dla rodziny. Nie było w tym pływaniu żadnej magii, tylko próba charakterów i wytrzymałości własnej i rodzin.

– A ja myślałam...

– Wiesz, dziecko... wszyscy tak myśleli. Jeśli kobiety były twarde, tak jak moja żona, umiały coś zaoszczędzić, ale pod warunkiem, że mąż nie przepuścił za dużo w kantinej statkowej podczas rejsu.

– Na takim statku jest kantyna?

– W morzu pół roku, a chce się papierosa, słodczy; było tam też piwo, mocniejszy alkohol, takie rzeczy. Niektórzy ciężko przeżywali samotność, rozstanie z rodziną i pili za dużo. – Dziadek machnął dłonią. – Byli też na statku cwaniacy, jak wszędzie, którzy podpuszczali tych słabych, żerowali na nich. Jak się widziało coś takiego, to się reagowało, ale nie było łatwo. Czasem dochodziło do dramatów, bo pieniądze zostały przepite albo przegrane w karty i na koncie czarna dziura. Ech! Niektóre kobiety też różnie się zachowywały. Mężowie wracali do domu, a tutaj rogi, rozwody. Człowiek musiał pilnować samego siebie i to już była sztuka! – Dziadkowi zmienił się głos, cmoknął.

– Tadiusz, daj spokój, nie męcz dziewczyny – fuknęła babcia.

– Kiedy to jest bardzo ciekawe, przecież z telewizji i gazet takich rzeczy bym się nie dowiedziała.

– No, widzisz, Julcia. Są dzieci, przepraszam, panienki, które potrafią to zrozumieć. No i jak tam, oficerze? – krzyknął dziadek w kierunku taty Wiki.

– Dobrze, kapitanie! Żar już gotowy, można wstawiać jedzonko. Ale zapomniałeś, tato, że ja też byłem koło Esbjerg na Morzu Północnym.

– Ale to był rejs prawie wycieczkowy, chociaż na okręcie MW RP! – zaśmiał się dziadek.

– Nie da się ukryć! – przyznał, śmiejąc się również tata Wiki. – Ale tak czarnego nieba i z taką ilością gwiazd to już nigdy i nigdzie nie zobaczę!

– Jesteś jeszcze młody! Kto to wie?!

– Tato, a my po pół piwka machniemy, co? – zmienił temat ojciec Wiki.

– Piwkiem chcesz się wykpić? Wieczorem sobie sam wypijesz, jak będziesz znowu patrzył na gwiazdy!

– Masz rację! W takim razie strzelimy sobie po lampeczce brandy. Julijka też wypije? – tata Wiki zwrócił się do babci.

– A co to, ja gorsza? Za zdrowie zięcia nie mam wypić? Nie uchodzi! – roześmiała się babcia.

Elizie podobała się atmosfera na działce u Wiki. Wszyscy normalni, nikt się nie nadymał i czuła, że długo będzie pamiętać historię opowiedzianą przez jej dziadka.

Tata Wiki ustawił stół i przygotował siedziska dla dziadków, żony i dziewczyn, sam zaś wybrał miejsce przy pniakach obok ogniska.

– Muszę mieć was wszystkich na oku – powiedział, co wywołało powszechną wesołość.

– Zresztą, jak zauważył tato, będą tutaj siedział do nocy, więc muszę sobie wygrzać to miejsce.

Dziadek, babcia i tata Wiki wypili po kieliszku i wpatrywali się w ogień. Foliowe zawiniątka zaczynały już skwierczeć i pachnieć. Mama Wiki małymi łyчками popijała owocowe piwo.

– Jeszcze kwadrans! – oznajmił tata Wiki, wskazując na grilla.

Potem było zajadanie z apetytem wysmażonych we własnym sosie kawałków karkówki i niewielkich krupnioków z warzywami i przyprawami. Towarzyszyły temu rozmowy i śmiechy. Nie obyło się jeszcze bez kieliszka brandy. Kiedy zaczynało zmierzchać, Wika i Eliza przyniosły kolejne foliowe zawiniątka.

– A cóż tam znowu niesiecie? – zdziwiła się mama Wiki, patrząc na tackę.

– To jest deser. Niespodzianka Elizy! – zakomunikowała Wika. Eliza uśmiechnęła się. – Tato, czy mógłbyś rozgarnąć trochę to drewno, żeby nie było płomieni?

Tato posłusznie rozgarnął płonące szczapy, robiąc miejsce na wstawienie rusztu na długich, stalowych prętach. Eliza i Wika delikatnie kładły na nim srebrne zawiniątka, używając długich szczypiec.

– Dziesięć minut im wystarczy! – oznajmiła Eliza.

Dyskretnie przyglądała się siedzącym przy ognisku. Wszyscy z wolna, krok po kroku przysuwali się do ognia, bo dawał się odczuć nadciągający od jeziora wilgotny chłód. Jej gołe palce stóp w sandałach wyczuwały rosę na trawie. W powietrzu słychać było cykanie świerszczy, od łąk i jeziora niósł się rechot żab. Żar oświetlał zadowolone twarze. Zrobiło się całkiem szaro. Na klombie, jeden po drugim, rozkwitały na żółto wielkie kielichy, którymi obwieszane były wysokie łądygi.

– Piękne te kwiaty... – Eliza trąciła Wikę. – Jak one się nazywają?

– Wiesiołek pospolity... Niektórzy mówią, że to chwast, ale my go kochamy.

– Rozsiewają się właściwie same, a wiosną tylko trzeba pilnować, żeby nie zdominowały klombu... – wyjaśniła babcia.

– Można zdejmować zawiniątka, tato! – zawołała Wika. – Tylko proszę, nie ściskaj szczypcami, delikatnie!

Gorące paczuski trafiały po kolei do wszystkich.

– A co to takiego? – spytała mama Wiki.

– Banan pieczony z czekoladą! – rzuciła Eliza.

- Pyszne pyszności! – oblizwała się teatralnie Wika. – Eliza zrobiła na Helu!
- Wspaniale! – pochwaliła, smakując, mama. – A skąd ty znasz przepis na takie coś?
- Byli u nas uczniowie z liceum w Szwecji i pokazali, jak się to robi.

Dziadkowie zajadali się z apetytem bananowym przysmakiem, ale zaraz stwierdzili, że po tym wszystkim trzeba napić się jeszcze mięty. Zupełnie jak u Felci! – pomyślała Eliza. Postanowili jednak wypić herbatę już w domku. Mama Wiki ruszyła im pomóc.

Na niebie wschodziły gwiazdy, przysłaniane od czasu do czasu przez chmury. Wika i jej tato pokazywali Elizie niektóre ze znanych im gwiazdozbiorów.

– Dla nas świeci tutaj najjaśniej Wega, to tam ... Ona jest w gwiazdozbiorze Lutni. – Tata Wiki wskazał dłonią. – Tutaj przez drzewa widzimy w ogóle mało gwiazd, bo tylko te na południowym niebie i nad nami.

– Ja tam najbardziej lubię Delfinka... – uśmiechnęła się Wika. – Przyglądam mu się, jak sobie płynie ponad drzewami. Niknie za nimi, jakby to były fale, a potem znowu się wynurza.

– Na waszym wzgórzu, jeśli od zachodu nie ma drzew, zobaczysz jeszcze jaśniejszą gwiazdę, to Altair, należy do gwiazdozbioru Wolarza – dodał tata Wiki.

– Tata choruje od wielu lat na teleskop. Mówi, że jak pójdzie na emeryturę, na pewno sobie kupi – zachichotała Wika. – Wtedy będzie oglądać nocami księżycowe kratery.

Nad głowami fruwały z cichym furkotem leśne nietoperze, od czasu do czasu z głębi lasu docierał przytłumiony głos puszczyka.

Niedługo potem ruszyli do Parchowa. Jazda przez pociemniałe pola była dodatkową atrakcją kończącego się pięknego dnia. Eliza przyglądała się, jak światła reflektorów omiatają wawóz, wąską polną drogę, ślizgają się po powierzchni stawu, a potem rozświetlają ciemne, zaorane pola.

– Fajna ta wasza działka. Jeszcze raz dziękuję za cudowną gościnę – rzuciła Eliza, spoglądając w kierunku taty Wiki.

– Tutaj ładujemy akumulatory na resztę roku – odparł, kierując na chwilę wzrok na wsteczne lusterko.

– My o działce mówimy, że to nasza świątynia dumania, jak mawiała Ania z Zielonego Wzgórza! – dodała Wika.

– Felcia też tak nazywa swoje ulubione miejsce nad stawem! A dokładniej jest nim ławka pod drzewem, z roku na rok coraz większym. Stoi ciągle w tym samym miejscu, w którym postawił ją pierwszy raz jej tata, gdy była malutkim dzieckiem.

*

Kiedy Eliza wróciła do „Iskierki”, babci i mamy jeszcze nie było; poszły do wsi na stadion. Porozmawiała więc chwilę z Felcią, ale ta wymówiła się zmęczeniem..

– My z babcią Anią wstajemy o piątej, więc nie chcę być jutro niewyspana.

Poczochrała Elizę po czuprynie, uśmiechnęła się i skierowała do swojego pokoju. Eliza zaparzyła sobie w filiżance zieloną herbatę. W domu przyzwyczajona była do tej z saszetek, ale Felcia przekonała je wszystkie do liściastej. Jak zwykle miała rację. Teraz Eliza napawała się jej aromatem. Wyszła na chwilę na gazon, żeby posłuchać, czy babcia i mama czasem nie wracają. Od wsi niosły się dźwięki muzyki z pierwszego koncertu „Poboczy Folku”, ale trudno było rozpoznać melodię. Kiedy wracając od Wiki, przejeżdżali obok

placu nazywanego stadionem, widziała sporo ludzi wokół oświetlonej sceny. Gdyby wiedziała, że one tam ciągle są, znalazłaby je.

Wróciła do kuchni. Piła herbatę małymi łydkami. Czuła, jak ciepło wypełnia jej wnętrze. Rozpuścimy was, niedobre tłuszczycy! – uśmiechnęła się do własnych myśli. Kilka minut i filiżanka była pusta. Umyła ją i odstawiła na suszarkę. Kiedy po kąpieli zeszła ponownie na dół, usłyszała głosy mamy i babci.

– A ty jeszcze nie śpisz?

– Myślałam, że postanowiliście zostać tam do rana.

– To nie była moja ulubiona muzyka, ale wciągnęłam się. – Babcia miała dobry humor.

– Poznałyśmy Klauza – powiedziała Kaśka, gdy weszły do kuchni. – Marysia jest w siódmym niebie.

– A jaki on jest?

– Taki... nieogolony, ale w ogóle postawny facet, nawet przystojny. Włosy nosi spięte w kitkę... – Kaśka zmrużyła oczy – Ubrany jak rockman, ale bez przesady. Bardzo spokojny, łatwo zapomnieć, że on gra ostrą muzykę. Ładnie się wysławia, uczynny, Marysia wpatrzona w niego, jak my w Felci księżyc – roześmiała się. – A co tam, córcia, u ciebie?

– Ognisko super! Dziadek Wiki, marynarz floty połowowej, ciekawe historie opowiadał. Gdzie on nie był, kiedy jeszcze pływał w Dalmorze! Wszędzie oprócz Azji i Australii! A tato Wiki pochodzi z Poznania...!

Anna spojrzała z zaciekawieniem na wnuczkę.

– Dziadek go wydał, że kiedyś był oficerem Marynarki Wojennej...

– A jak się nazywa?

– Tak jak Wika, czyli Maćkowiak...

– To może być przypadek, ale Mirka też ma brata... w Gdyni... i z tego, co pamiętam, też służył w Marynarce Wojennej. Może to zbieżność nazwisk, ale równie dobrze może to być jej brat.

– Mamo, Maćkowiaków w Poznaniu jest na kopy... – Kaśka pokręciła głową.

– Tyle to i ja wiem, ale nazwisko, Gdynia i wojsko zgadzają się...

– Ciekawa jestem... Bądźcie ciszej, a w ogóle to chodźcie już na górę, bo przecież Felcia śpi. – Anna pokazała palcem na ścianę i ruszyła w kierunku schodów. – Zamknijcie tylko drzwi! Dobranoc, dziewczynki!

*

Kiedy Anna, Kaśka i Eliza weszły na stadion, na scenie występował zespół folkowy z Irlandii. Grali ładną, melodyjną muzykę.

– Takie skrzyżowanie celtyckiej z szantami – rzuciła Kaśka.

– Granie podobne do tego z Erinu... – dodała Eliza.

– Podoba wam się? – Anna spojrzała na córkę i wnuczkę; zasłuchane odpowiedziały skinieniem głowy.

W muzykę wmieszał się cichy warkot motoru. Kaśka i Eliza złe, że ktoś im przeszkadza, odwróciły się jak na komendę. Błyszczący harley-davidson zatrzymał się opodal. Za kierownicą siedziała niewielka postać, z tyłu ktoś wyższy. Pasażer zsiadł pierwszy i zdjął kask.

– Klaus! Nie poznałam cię! To moja córka! – zawołała Kaśka i wskazała na Elizę. – A gdzie jest Marysia?

Kierowca mocował się z podnóżkami. Klaus nachylił się ku niemu, a potem odłożył kask na siedzenie.

– Maryszia? – spytał gardłowo, dziwnie szeleszcząc i otworzył usta w uśmiechu. – Tu ona! – wskazał palcem.

Kierowca zdjął kask. Na ramiona okryte skórzanym skafandrem wylały się długie pofalowane włosy i uśmiechnięta twarz Marysi ukazała się w całej krasie. Trzy poznaniarki nie mogły oderwać oczu od tego zjawiska. Czarna skóra, opinająca zgrabne ciało Marysi, kaskady włosów na ramionach, czerwona wyzywająca szminka na ustach uczyniły z niej kogoś innego, hollywoodzkiego wampa.

– Marysiuuu! – Anna uniosła okulary słoneczne. – Nie poznałam cię!

– Bosko wyglądasz! – pisnęła Kaśka.

Eliza ułożyła palce w kółeczko i mrugnęła.

– Klaus zrobił mi niespodziankę! Dostałam w prezencie nowy kombinezon i pozwolił mi prowadzić dzisiaj maszynę, choć to całkiem nowy nabytek – zatrajkotała Marysia.

– Pasujecie do siebie! – Kaśka z podziwu pokręciła głową. – Cała trójka! – Wskazała na Marysię, Klause i motor.

– Klaus wczoraj mi powiedział, że ma plany...

– Marysiu! – przerwał jej Klaus. – Obiecałaś! – Spojrzał na Marysię groźnie, ale zaraz parsknął śmiechem. – Och, wy kobiety!

Marysia mrugnęła do Kasi, rozumiały się. Do motoru zbiegła się chmara dzieci. Z wielu stron dały się słyszeć dziecięce powitania.

Marysia rozejrzała się wokół.

– Dzień dobry! Dzień dobry! – Kaskady włosów fruwały na boki z każdym obrotem. – Powiedzcie wszystkim pozostałym, którzy się tutaj jeszcze nie dopchali, że też ich witam! – roześmiała się perliście. – A teraz zmykajcie! Chyba że chcecie w poniedziałek przyjść już do szkoły?! – Spojrzała groźnie wokół.

– Nie! Nie! Nie! – Dzieci rozbiegły się z krzykiem.

Starsi mieszkańcy, znający nauczycielkę, także przyglądali się jej z zaciekawieniem, komentując po cichu inny niż dotąd wygląd.

– O, Ryszard już przyjechał! – Anna radośnie spojrzała w stronę parkingu.

– Felcia powiedziała mi, gdzie jesteście. – Ryszard przywitał się z wszystkimi. – Trudno było nie znaleźć tego miejsca, z daleka słyhać muzykę. – Chcecie stać, czy może przysiadzimy? O tam! – Wskazał na wolny stół z ławami.

Szybko znaleźli z Klausem wspólny język. Oprócz podobnego piwnego gustu, okazało się, że łączy ich także muzyka.

– Na studiach bawiłem się w klawiszowe jazzowanie – uśmiechnął się Ryszard. – Wiesz, Anno, gdyby w Bytowie była filharmonia, może bym studiował muzykę, a tak poszedłem na prawo.

– Nie chwaliłeś się dotąd.

– Nie było okazji. Ale w moim rodzowym domu widziałeś fortepian; przejąłem go po mamie i to dzięki niej, i zakreconemu nauczycielowi muzyki z Bytowa, ukończyłem program średniej szkoły muzycznej! – Z dumą pokręcił głową. – Kiedy tam jestem, to sobie grywam.

– A co najbardziej lubisz? – zainteresował się Klaus.
– Dobrze mówisz po naszymu – pochwalił go, uśmiechając się wesoło Ryszard.
– Chodziłem na kurs... no i grał u mnie perkusista Polak, który mnie podciągał w waszym języku.
– A mnie się nie pochwalileś? – zdziwiła się Marysia.
– Bo wiesz, Ryszardzie, mam plany... – Zasłonił sobie usta i spojrzał radośnie na Marysię.
– Plan, rzecz najważniejsza! – Anna postanowiła przerwać wątek, którego treści wszyscy prawie się już domyślali, choć Marysia i Klaus próbowali go niby unikać. – A więc pochwal się, Ryszardzie, co grywasz? Takie rzeczy? – Wskazała na scenę.
– Takie też, ale najbardziej lubię sobie improwizować, choć nazywam to fantazjowaniem, kiedy przypomni mi się jakiś standard.
– Oooo! To się kiedyś musimy pobawić! – Klaus klepnął Ryszarda w ramię.
– Jak tylko trafi się okazja! – Ryszard oddał klepięcie Klausowi, co rozbawiło wszystkich przy stole.
– O! Wika z rodzicami! – krzyknęła Eliza.
– Przeprowadź ich do nas, poznamy się! – Anna poruszyła się. – Jakoś się tutaj pomieścimy ...
Trójka Maćkowiaków za chwilę wesoło odnalazła się przy stole. Rozmowa toczyła się bez przeszkód, bo właśnie zapowiedziano półgodzinną przerwę.
– A potem będą te dzieci z Włoch – przypomniała Annie Marysia.
– Trochę chyba nie pasują do programu, ale myślę, że tutejsze dzieciaki się ucieszą!
– Czyli mówisz, Olku, że jesteś z Poznania i Mirka to twoja siostra – zaczęła Anna, ściągając na siebie wzrok taty Wiki.
– Tego nie da się w żaden sposób ukryć, pani Anno!
– Nie, nie, nie! Mówmy sobie po imieniu.– Mrugnęła do taty Wiki. – Dobrze, Olku? – Ten skinął głową. – Mirkę znam od pierwszego dnia jej pracy w operze. Zaczęłam chyba rok albo dwa lata wcześniej niż ona.
– Czy ty też jesteś tancerką?
– Oczywiście! Dancingową! – uśmiechnęła się szeroko. – Byłam jedynie tłumaczką i akompaniorką baletu. Taką nieformalną! I właśnie na sali prób baletu poznałyśmy się z Mirką. Zachorowała kiedyś prawdziwa akompaniorka...
– I tak to się zaczęło... – kiwnął głową Olek.
– *Niby nic, zwyczajne pa, pa, pa!* – zanuciła Anna. – Mirka kilka razy o tobie wspominała. Bywałeś czasem na przedstawieniach? Bo twoje zainteresowania były chyba inne?
– Długo by opowiadać – westchnął Olek, ale natychmiast się rozpogodził. – Kiedy poszedłem pierwszy raz do opery, a był to *Straszny dwór*, poczułem się... jakbym wszedł na jakąś...
– Górze!?! – wyrwała się Eliza.
– A skąd ty to wiesz? – Olek przeniósł na nią wzrok.
– Czuli się pan pewnie jak w jakiejś świątyni, taki... uduchowiony. – Eliza przekrzywiła głowę.
Tata Wiki nachylił się ku stołowi i ściszył głos.
– Proszę nikomu tego nie powtarzać, bo to moja wielka tajemnica. – Powiódł

spojrzeniem po wszystkich. – Czułem się dokładnie tak, jak mówi Eliza. Ty też tak miałaś? – Dziewczyna skinęła głową. – Jesteśmy w takim razie pokrewne dusze! – uśmiechnął się do Elizy; Wika i jej mama spojrzały po sobie.

– Poznaniacy tak mają! – uśmiechnęła się Anna. – Leti! – zwróciła się do mamy Wiki. – Sołacz, Szeląg i Główna oddalone są od siebie znacznie i leżą na dwóch przeciwnych brzegach Warty. Ale może jest tam jakiś niewidzialny dukt, po którym przemieszczają się te same fluidy, dotykające różnych ludzi?

– On taki jest! Wydaje się, że nigdy nie pasował do swoich kolegów ani do marynarki...

– I dlatego go wybrałaś?

– Któż to wie? – Leti zaśmiała się, kołysząc kółkami w uszach. – W porównaniu z innymi z jego środowiska jest trochę dziwny – uśmiechnęła się, pokazując białe zęby.

– Rodzeństwo Olka kilka razy ratowało spektakle. – Anna potoczyła wzrokiem wokół stołu. – Oni byli niesamowicie zdolni! Kiedyś zachorowała jedna z koleżanek i Mirka musiała zatańczyć w *Jeziorku łabędzim* białego i czarnego łabędzia. Fizycznie to się da, ona to przecież udowodniła, była zresztą tego wieczoru znakomita! Oba łabędzie nie spotykają się na scenie obok siebie w jednym akcie, mimo to zwykle obsadza się w przedstawieniu dwie różne tancerki, bo to jest jednak bardzo duży wysiłek.

– Kiedyś o tym słyszałem, ale nie byłem na tym spektaklu. Wpadałem na ogół znienacka do Poznania. Kiedyś, na początku lat siedemdziesiątych, miałem pójść na spektakl z utworami Bartoka...

– Tak, był taki! Opera *Zamek Sinobrodego* i balety: *Divertimento* i *Cudowny Mandaryn*. Luba i Jerzy tańczyli w nich jako soliści.

– Spóźniłem się, nie pamiętam dlaczego, nie wpuszczono mnie w każdym razie na salę *Sinobrody* już się zaczął, wtedy śpiewał Andrzej „Kizio”, szwagier – zaśmiał się Olek.

– Coś cię rozśmieszyło? Przecież on miał dobry głos, chyba zbyt mało wykorzystywany...

– Kiedy tak sobie spacerowałem po korytarzach foyer i dochodziły do mnie strzępy muzyki, a ona jest trudna – mrugnął – ...to tak do końca nie żałowałem, że się spóźniłem – znowu się roześmiał. Anna spojrzała na niego badawczo. – Ta historia zawsze mnie bawi. Jakiś facet wyszedł na korytarz chyba w połowie tej jednoaktówki, jakby zdegustowany, zły. Patrzył na mnie i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. A ja chodzę, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wreszcie zagadnął, dlaczego tak chodzę. Kiedy mu wyjaśniłem, że spóźniłem się, więc spaceruję, a potem w środku się nasiedzę, powiedział mi, że bym nie żałował, bo ten, co tak śpiewa, jest dopiero przy czwartych drzwiach, a muzyka jak flaki z olejem – Olek znowu się zaśmiał. – Facet dodał, że próbował się dowiedzieć od sąsiada siedzącego obok, ile tych drzwi tam jest, ale tamten też nie wiedział, więc wyszedł! A pan wie, ile tych drzwi tam jest? – spytał mnie. Wcześniej z nudów przeczytałem program od deski do deski, więc wiedziałem, że siedem! Powiedziałem mu. To w takim razie dobrze zrobiłem, że wyszedłem, rzucił. Mam dużo czasu, więc idę teraz do bufetu na kawę, dodał – zakończył Olek, śmiejąc się, a reszta mu zawtórowała. Po chwili dorzucił: – Tacy też przychodzą do opery.

– Wtedy rozprowadzali bilety w zakładach pracy i rzeczywiście przypadkowi widzowie czasem się trafiali. – Anna spoglądała badawczo na Olka. – A jesteś pewien, że to właśnie tobie się przydarzyło?

– Tak naprawdę to nie wiem, komu to się przydarzyło – wyznał z uśmiechem.

– Jak to nie wiesz? Ja pamiętam z tamtych lat, że najlepsze tego typu kawały wymyślali panowie z baletu, i chyba kiedyś już to słyszałam. – Anna zmrużyła oczy.

– Mnie to właśnie kiedyś Jurek opowiedział – Olek znowu się zaśmiał – a ja to dzisiaj połączyłem tylko z moim spóźnieniem. Ale ten facet wtedy naprawdę wyszedł i powiedział, że szlag już go trafiał... – teraz jeszcze raz się roześmiali. – Balety wówczas oczywiście obejrzałem, a Mirka i Jurek tego wieczoru tańczyli cudownie. Żałowałem, że odszedł z opery, i dopiero kiedyś dotarło do mnie, że pewnie jemu w duszy i w głowie co innego wówczas grało...

– Jerzy miał wielki talent i doskonałe pomysły. Kiedyś, w przeddzień przedstawienia, dowiedział się od Conrada, że następnego dnia musi zatańczyć Rudobrodego w *Jeziorze*. Czas miał tylko na próby z tancerkami i to tylko takie sytuacyjne, gdzie i kiedy jest ktoś na scenie plus podnoszenia. Resztę miał zrobić po swojemu, jak będzie chciał. Conrad po przedstawieniu był zachwycony i żałował, że nie robił sobie notatek, szkiców, że nie nagrywano. Wiele jego pomysłów chciał potem wykorzystać, ale Jerzy niebawem poszedł swoją drogą...

Na scenie pojawiły się dzieci w kolorowych ludowych strojach, ustawione w pary. Do mikrofonu podeszła jedna z dziewcząt.

– Przyjechaliśmy z Neapolu... – Burza oklasków zagłuszyła jej słowa. – Urodziłam się we Wrocławiu, ale mieszkam w Italii już dziesięć lat – znowu oklaski. – Zatańczymy tarantelę, taniec charakterystyczny dla okolic Neapolu, a potem wykonamy trzy pieśni neapolitańskie. – Dygnęła i wróciła do swojego partnera.

Żywiłowy taniec poruszył widownię. Po kilku taktach wpadającej w ucho melodii widowia podjęła ją. Wielu widzów poruszało się wokół własnej osi z dłońmi uniesionymi w górę, poruszając nimi w takt melodii. Anna z błyskiem w oczach włączyła się w tę zabawę, reszta zaś wybijała rytm oklaskami. Po zakończeniu tańca rozległy się niekończące żądania bisu. Włoscy uczniowie byli zaskoczeni; z przyjemnością powtórzyli taniec. Po nim do mikrofonu podeszła ta sama co poprzednio uczennica, która wcześniej naradzała się z członkami zespołu.

– Jesteśmy zaskoczeni państwa reakcją, nie wiedzieliśmy, że Kaszubi to kuzynowie Włochów – roześmiała się głośno, na co widowia zareagowała burzą oklasków. – Jeśli idzie o pieśni, postanowiliśmy zmienić dzisiejszy repertuar i zaśpiewamy jednak inne, najbardziej popularne neapolitańskie pieśni, to znaczy: *O sole mio*, *Santa Lucia* i *Torna a Surriento*. Pierwszych dwóch tytułów na pewno nie trzeba kuzynom tłumaczyć, a trzeci to po prostu *Wróc do Sorrento*.

Zabrzmiały gitary elektryczne, mandoliny, harmonia i perkusja. Chłopcy instrumentalisci przebrani byli za neapolitańskich rybaków, z charakterystycznymi czerwonymi chustami na głowach. Przy mikrofonie grupka dziewcząt i chłopców żywiłowo śpiewała w innym rytmie niż znany dla tych pieśni. I ta część występu spotkała się z żywiłowym przyjęciem widowni, która nie chciała puścić dzieciaków ze sceny.

– Co za występ! – Anna nie potrafiła ukryć zachwyty, kiedy wreszcie emocje opadły.

– A ta mała Włoszka z Wrocławia ma naprawdę niesamowity głos...! – Kaśka z podziwu pokiwała głową. – Coś jak Bonnie Tyler albo Suzi Quatro.

– Cieszę się, że podobają wam się nasze Pobocza i że dobrze się bawicie – uśmiechnęła się Marysia.

– Trochę już też nasze – skorygowała ją Anna.

Uroczy wieczór, przetykany rozmowami i występami zespołów z Ukrainy i Polski, zakończył występ zespołu Klaus. Grali mocnego męskiego rocka i stylizowany pop na kanwie melodii Słowian Połabskich. Ciemność rozjaśniały reflektory i ogniska po obu stronach sceny, na koncercie pojawiło się dużo młodzieży, która ruszyła do tańca. Nawet wieczorna rosa nie była w stanie im przeszkodzić.

Jak żyć?! No jak?



Kaśka zaplanowała niedzielne popołudnie z książką. – Z książką? Poczytasz, jak wrócimy – próbowała jej popsuć ten plan Anna. Jednak ta nie podniosła nawet oczu znad tekstu. – Wydaje mi się, że Marysia przygotowała jakąś niespodziankę na dzisiaj – dopowiedziała tajemniczo, ale Kaśka spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Przecież wspólnie pracowałyście nad programem i tylko ci się wydaje?

– Może mi coś umknęło – zmieszala się Anna.

– Czyli będzie niespodzianka, o której nic nie wiesz, jednakże wiesz, że będzie – Kaśka pokręciła głową. – No, no, no! Udało ci się mnie zaintrygować, zresztą teraz mam nudny fragment, więc może rzeczywiście rozruszam się trochę.

– Ale i tak musisz go przeczytać.

– Po kąpielu, w łóeczku, po kilku minutach zamykają mi się oczęta, więc ten fragment uśpi mnie jeszcze wcześniej – zaśmiała się Kaśka.

Anna ze zdziwieniem przyglądała się rozbawionej córce. Nie rozumiała jej wywodów, ale trudno. Sama ją zaczęła, więc niech tam.

Za piętnaście minut szły zgodnie spacerem w kierunku wsi.

*

Niedzielny wieczór ściągnął na stadion jeszcze większe tłumy parochowian i przyjezdnych niż w poprzednie dni. Wszyscy spodziewali się dzisiaj najlepszych występów. Niosąca się ze sceny muzyka niezbyt porywała Annę, głównie ze względu na swoją hałaśliwość – poszła tam głównie po to, by posłuchać zespołu z Gdyni. Intrygowało ją, co kryło się za dziwną reakcją Marysi, gdy przeczytała informację o tym zespole.

– A to się Kasiuła zdziwi...

Po drodze odwiedziły cmentarz, a potem ruszyły wolno przez wieś. Przed stadionem czekał już na nie Ryszard. Od momentu wejścia na murawę rozglądały się za Elizą i Igorem, ale oni sami się znaleźli.

– Eliza, czy ty widzisz to co ja...? – Kaśka wskazała na stojącą za sceną bagażówkę z zielonym napisem ERIN.

– Mamuś! Przyjechali Wojtek, Adam i Cherubin – wyszeptała Eliza. Kaśkę zatkało. – Widziałam też Rafała z Chojnic! – dodała już nieco głośniej.

– Teraz rozumiem! Czyli to jest ta twoja tajemnica! – Kaśka wlepiła oczy w matkę.

– A skąd ja mogłam wiedzieć, że wy znacie kogoś stamtąd? – Anna wyglądała na prawdziwie zaskoczoną.

– To ja już nic nie rozumiem – potrząsnęła głową Kaśka. – Muszę w takim razie pogadać z Marysią!

Dojrzała wreszcie Marysię i Klauza i ruszyła w ich stronę.

– Kasiu, a gdzie tak pędzisz? – doszedł do niej nagle, gdzieś z boku, znajomy głos.

Zatrzymała się raptownie i spojrzała w tamtym kierunku.

W jej stronę zmierzali uśmiechnięci Adam, Wojtek i Cherubin.

– Jak to miło spotkać w nieznanym miejscu znajomą buzię. – Adam rozłożył szeroko ramiona.

Kaśka zmartwiała. Kątem oka dostrzegła, że Marysia i Klaus też idą w jej kierunku, zwróciła się w drugą stronę, a tam czekał na nią wzrok matki. Adam, nie patyczkując się, poderwał ją w górę i obrócił się z nią wokół osi. Postawił na ziemi i wycałował z dubeltówki.

– Zupełnie nie mieliśmy pojęcia, że ciebie tutaj spotkamy – odezwał się. – A gdzie masz Elizę?

Oszołomiona Kaśka wskazała palcem. Kątem oka dojrzała, że Eliza też ma szeroko otwarte oczy, w jej stronę zmierzał Cherubin.

– Ale zobacz, Kasiu, kto jeszcze z nami przyjechał! – Wojtek wskazał w kierunku bagażówki, skąd machając dłońmi, zbliżali się Susan i Greg.

– Marysia Sołyga! – tuż obok Kaśki zadźwięczał Marysiny głos. – Chyba to ja jestem sprawczynią tego zamieszania – wybawiła ją.

Potrząsała końskim ogonem, kręcąc się wokół. Adam wlepił w nią oczy.

– Jestem Klaus, rockman! – rzucił raptem Klaus, otaczając ramieniem Marysię.

Anna zatrzepotała rzęsami. Zrobiło jej się żal Kasi.

– A ja jestem Anna, mama Kasi i babcia Elizy – odezwała się, rzucając jej w ten sposób dodatkowe koło ratunkowe.

– Ooo! – Adam ucałował jej dłoń. – To moi koledzy...

– Pani Marysiu, nie mogła mi pani napisać, że tutaj będą także nasze znajome z Erina? – Szantymen Wojtek wskazał na Kaśkę i Elizę.

Marysia potrząsnęła końskim ogonem

– Taka dobra, żeby czytać na odległość w czyichś myślach, to ja nie jestem – uśmiechnęła się Marysia i przytuliła do Klauska.

– Ty jesteś doskonała! – Klaus nachylił się i ucałował ją. – Teraz już wiem wszystko, bo Marysia coś mi opowiadała. To wy jesteście tą niespodzianką z Gdyni dla Kasi, a to pewnie Susan i Greg! Cieszę się. – Wyciągnął w ich stronę rękę.

– Byliście już może w „Iskierce”? – spytała Marysia.

– Nie, bo pomyśleliśmy sobie, że tu wszędzie jest blisko i najpierw zobaczymy miejsce koncertu.

– Tu nie trzeba potwierdzać jak w hotelu – uśmiechnęła się. – Ale zaraz zadzwonię do gospodyni.

– Przyjechaliśmy w takim składzie, jak napisałem, to znaczy: osiem osób, cztery pokoje, jedna noc! – roześmiał się Wojtek.

– A jak nam się spodoba... – zawołał rozradowany Adam. – A właśnie, Kasiu, to wy mieszkacie tutaj, w Parchowie?

– Tak i to właśnie w tej samej „Iskierce”, gdzie macie mieć nocleg – wyręczyła ją Marysia

– Eliza, Igor, biegnijcie, stół się zwolnił! – rzuciła Kaśka, ucieszona, że może się czymś wykazać, bo z rozmową na razie ciężko jej szło.

Towarzystwo zaczęło się przemieszczać w stronę stołów. Zaczął się kolejny występ. Adam dostrzegał spłoszony wzrok Kasi, usiadł więc przy Marysi i Klausie, pozwalając, żeby

to ona sama wybrała sobie miejsce. Przysiadła na brzegu ławki naprzeciw Susan i Grega.

– Będziecie występować razem z Wojtkiem? – zagadnęła ich.

– Tak nam się spodobał repertuar, który ułożyłaś nam wtedy w Gdyni, że powtórzymy go. Jeśli i tutaj widzom się spodoba, to wydłużymy *Portsmouth*... – zaśmiał się Greg. – I mamy jeszcze w rezerwie trzy skoczne irlandzkie melodie.

– Super! Kaszubi lubią się bawić! A pieśń, którą wówczas śpiewałaś? – Kaśka spojrzała na Susan.

– Też będzie, ale w którym momencie, zdecydujemy dopiero w trakcie koncertu.

Kaśka uspokajała się. Eliza z Igorem i Cherubinem poszli na jej prośbę po kielbaski i napoje. Widziała, że Adam doskonale odnalazł się w rozmowie z Marysią i Klausem. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się; odpowiedział jej tym samym. Ma klasę! Mama i Ryszard od razu poczuli się wśród jej gdyńskich znajomych doskonale – włączali się raz w jedną, raz w drugą rozmowę. Głęboko odetchnęła. Wsłuchiwała się w muzykę. Zespół z Podhala, grający stylizowaną góralską muzykę z ostrymi riffami gitarowymi, mocną perkusją i łagodnymi, gardłowymi zaśpiewami wokalisty, przypominał jej zespół De Press. Dobry występ.

– Kasia, ten muzyk trochę jak Dziubek, no nie? – poprzez głośnie muzykę przebił się do niej okrzyk Klausea.

– A ty go znasz?

– Tego nie, a Andrzeja Dziubka tak... My kamraty ze świata! – uśmiechnął się jowialnie.

Czas szybko płynął. Wojtek z Susan i Gregiem poszli przygotowywać się do koncertu, bo zapowiedziano ostatni numer Podhala. Adam z Klausem w coraz lepszej komitywie odnajdywali coraz więcej wspólnych tematów. Marysia przysiadła obok Kasi.

– Naprawdę chciałam ci zrobić niespodziankę... Przepraszam. Dopiero po twojej reakcji domyśliłam się, że znasz Adama – szepcząc, zajrzała w Kasine oczy. – On się od razu zorientował, że coś... Ma klasę, więc odpręż się. – Potrząsnęła ogonem. – Garną się do ciebie ludzie. Podziwiam cię za to!

Oklaski umilkły, scena opustoszała. Zostały tylko rozmowy i wybuchy śmiechu. Zrobiło się chłodniej niż wczoraj, w powietrzu czuć było zbliżający się deszcz. Żeby tylko nie w czasie koncertu, pomyślała Kaśka.

Stało się tak, jak sobie życzyła. Cały koncert odbył się bez deszczu. Każde pojawienie się Grega z dudami wywoływało niekończący się aplauz. Publiczność bawiła się wspaniale. Mżawka zaczęła się dopiero przy ostatnim występie Susan. Reflektory z dwu stron i ona w zielonej błyszczącej sukni. Wszyscy wsłuchali się w ciszy w jej anielski śpiew. Niewielkie kropelki deszczu mieniły się tęczowym światłem jak kryształki. Po oklaskach Wojtek zapowiedział ponownie *Portsmouth*. Jeszcze w trakcie utworu w niebo uleciały pierwsze fajerwerki. Wracali w rosnącej mżawce, osłaniając się, czym kto miał. W sieni przywitała ich Felcia.

– Dobrze, że zadzwoniłaś, Marysiu, ściągnęłam Ewelinkę. Zrobimy dzisiaj otwarcie stodoły! – Klasnęła w dłonie. – Za ile będą ci z Gdyni?

– Okazało się, że to znajomi naszych dziewczynek. Spakują się, pewnie z pół godziny im to zabierze – uśmiechnęła się Anna. – Felciu, czy do tej stodoły trzeba się ciepłej ubrać?

– Tam to się będziesz rozbierać! Nie chciało mi się iść na koncert na stadion, to może koncert przyjdzie do mnie?! – zaśmiała się Felcia. – W kuchni stoją kosze z jedzeniem,

tylko nosić. Kasiu, Eliza. pomożecie Ewelince.

– Ja silny! – Klaus naprężył muskuły.

– A ja to gorszy? – obruszył się Ryszard.

– Pan weźmie się za napoje i kieliszki, tylko trzeba jeszcze je popakować. Potrzebny będzie dzisiaj podczaszy, pasuje?

– Lubię taką funkcję. Przyniosę tylko coś specjalnego z auta. Mam tam przewoźny barek – uśmiechnął się, po czym ruszył w kierunku zejścia z werandy.

– To proszę jeszcze otworzyć bramę i wjechać na wewnętrzny parking.

– A ci z Gdyni tutaj trafią? – Ryszard zatrzymał się.

– Stachu Janik mówił, że im wytłumaczy, zresztą może przyjedzie też z żoną. Pomaga im ładować sprzęt.

Anna zatrzymała się w progu stodoły jak oniemiała.

– To dlatego nie pozwoliłaś nam tutaj zajrzeć. Mówiłaś, że to zwykła stodoła, a to prawdziwa sala bankietowo-koncertowa. – Rozglądała się wokół. – I jakie tu wszystko gustowne... – Pokręciła z podziwem głową.

– Oj tam, to jeszcze nie jest skończone!

– Nawet jest niewielka scena i pianino! – Anna ruszyła w jego kierunku. – Wesela tu będzie można robić! – krzyknęła.

– I sylwestry! – odrzyknęła jej Felcia. – Pianino za dwieście złotych kupiłam wiosną w graciarni w Bytowie, trochę poobijane, ale nie fałszuje! Przynajmniej jak grałam *Wlazł kotek*, wszystko mi pasowało – zaśmiała się głośno. – Jeszcze tylko Stachu uruchomi nagrzewnicę olejową i takie tam drobiazgi, i będzie fertyś!

Anna podniosła klapę od pianina i pogłaskała klawiaturę. Uderzyła w klawisze i przekrzywiła głowę. Ładny dźwięk! Zagrała pasaż z Chopina. Wszyscy spojrzeli w jej stronę. Anna poprawiła sobie krzesło. Drugi pasaż wykonała już z udziałem pedałów. Świetny instrument! Rozmasowała palce i poprawiła gumkę w kucyku.

– Coś wam zagram! – zawołała. Towarzystwo oczarowane dźwiękami, jakie wydobywała z instrumentu, zmierzało w kierunku sceny.

Uderzyła mocno w klawisze. Krótki wstęp, przygrywka, jakby sygnał trąbki.

– *Wilhelm Tell*^[15]! – uśmiechnęła się Kaśka.

Dźwięki wypełniły stodołę po dach. Tam, gdzie trzeba, Anna grała cicho, lekko i zwiewnie, w innych miejscach – dynamicznie i głośno. Utwór zakończyła żywiołowo zagrany finałem. Rozległa się burza oklasków.

– Anno! To było super! – Ryszard wbiegł na scenę i ucałował jej dłoń.

– E tam! Dawno nie grałam. Teraz ty! – zaśmiała się Anna.

– Aniu! Będziemy tutaj często przychodzić! – Felcia przytuliła ją, gdy zeszła ze sceny. – Poproszę Stacha, żeby ściągnął skądś ze dwa foteliki i mały stolik. Muszę mieć wygodę do słuchania – uśmiechnęła się. – A on się dziwił, po co mi scena. Ja coś czułam! Ależ ty pięknie grasz!

– Klaus, szukaj gitary, bo ja już pianino mam! – Ryszard uśmiechnął się ze sceny, obchodząc instrument wokół.

– No przykro, nie pomyślałem! – Klaus rozłożył ręce. – Chociaż dom niedaleko.

– Ewelinka! – wrzasnęła Felcia. – W komórce za moim pokojem wisi w pokrowcu gitara pana Zagórskiego.

– A kto to Zagórsky? Muzykant? – Klaus spojrział na Felcię.

– Mój dobry stary letnik. Jak ostatnio się dowiedział, że tutaj bywają zdolni ludzie, którzy czasami nie mają instrumentu, pojechał specjalnie do domu i przywiózł ją!

– Dobry człowiek! – uśmiechnęła się Anna.

– Powiedział, że ma trzy, a i z dwiema jest w domu sporo problemów. Żonie zawadzają. – Felcia machnęła ręką. – Trzecią trzymał na pawlaczku!

Ryszard siedział już przy pianinie. Rozgrzewał na przemian palce i robił krótkie próby akordów. Klaus podszedł do niego i oparł się o obudowę instrumentu.

– To dobre przedwojenne pianino... – Ryszard wskazał ruchem głowy na miedzianą tabliczkę nad klawiszami.

– Krause & Dress! Gut firma – potwierdził Klaus i otworzył górną klapę. – Po dźwięku myślałem, że rama jest metal i tak jest. Super!

Ryszard zaczął grać jakąś melodię.

– Poznajesz? – Spojrział na Klause.

– *Georgia On My Mind*^[16] – uśmiechnął się Klaus. – Dobry jesteś!

– Gitara! – od progu dobiegł krzyk Ewelinki.

Klaus ruszył w kierunku wejścia.

Szybkie wyciągnięcie gitary z pokrowca, korekta jej zestrojenia i Klaus był gotów. Sięgnął do tylnej kieszeni po kostkę do gry i przysiadł w pobliżu pianina. Ryszard zaczął następny utwór i spojrział na Klause.

– Lubię to! *What a Wonderful World*^[17]... Satchmo! – odgadł Klaus. Ryszard uśmiechnął się i skinął głową.

Kobiety stojące już przy stole wróciły pod scenę.

Ryszard zaintonował głosem kilka taktów.

– Okej! – rzucił Klaus. – Jeszcze!

– Nie, nie! Brak mi kondycji i słów nie pamiętam. – Ryszard pokręcił głową.

– Szkoda... – Anna była niepokieszona.

– O! A tutaj kto tak pięknie koncertuje? – od wejścia zagrział tubalny głos Adama, za nim do stodoły weszli Susan i Greg oraz członkowie zespołu Wojtka.

Wszyscy stanęli przed sceną, przysłuchując się grającym.

– Mamy poważną konkurencję – uśmiechnął się Wojtek.

– A może byśmy tak najpierw zasiedli do stołu. Zapraszam! – zawołała Felcia.

Wszyscy jak na komendę odwrócili się w kierunku gospodyni i ruszyli hurmem do stołu.

– Całkiem sporo nas się tutaj dzisiaj zebrało. – Felcia wyczekała, aż wszyscy się usadowili. – Poczekajcie chwilę z widelcami – roześmiała się, unosząc pusty kieliszek. – Ktoś coś chyba obiecał... – Spojrzała na Ryszarda.

Ryszard zerwał się do wypełniania funkcji podczaszego. Nie obeszło się przy tym bez małego zamieszania.

– Tylko Annie możesz nalać wino! – zawołała Felcia i pogroziła Ryszardowi palcem. – Reszta pije moją nalewkę! Susan, ty też! – Rudowłosa piękność na dźwięk swojego imienia zwróciła twarz w kierunku Felci i uśmiechnęła się, chyba zrozumiała gospodynię. – Powiem wam szczerze, że bardzo się cieszę z tego wieczoru... Chociaż właściwie powinnam już spać – uśmiechnęła się szeroko. – Lepsza okazja nie mogła mi się trafić. –

Popatrzyła na zebranych wokół stołu. – Niektórych z was widzę dopiero pierwszy raz, ale wiem, czuję – przyłożyła dłoń do piersi – ...że jesteście jak moja rodzina. Znajomi, przyjaciele moich dziewczynek, z którymi odnalazłam się przypadkiem tak niedawno, są moimi przy-ja-ciół-mi! Wszystkie trzy – spojrzała kolejno na Annę, Kaśkę i Elizę – przyciągają najlepszych spośród dobrych! Zdrowie moich gości! – Wychyliła kieliszek jednym haustem i znowu potoczyła wzrokiem wokół.

Toast Felicji wywołał oczekiwaną przez nią reakcję – wszyscy posłusznie wypili do dna. Nawet Anna. Felicja usiadła, ale wzrok zebranych dalej skupiał się na niej. Jej twarz promieniała radością, w oczach błyskały chochliki.

– Pierwszy toast, i to na życzenie gospodyni, spełnia się bez protestów. Dziękuję wam za to. Tutaj kiedyś z rodzicami i bratem składaliśmy snopki, młóciliśmy zboża. – Wskazała wokół. – U góry pod dachem jest jeszcze trochę przedwojennego siana. Nawet konstrukcja tamtej części pozostała bez zmian, to na pamiątkę. – Pokiwała głową. – Bardzo lubiłam stodołę. Nie zastanawiałam się, czy ją zostawić, tylko zawsze myślałam, jak ją dobrze zagospodarować. Muzykowanie Anny, Ryszarda i Klause potwierdziło, że dobrze uczyniłam.

Po tych słowach atmosfera zrobiła się prawdziwie rodzinna. Felcia nie musiała tego wieczoru nikomu przypominać, żeby mówiono jej po imieniu. To stało się zupełnie naturalnie. Po posileniu się Wojtek i koledzy oraz Susan i Greg przynieśli swoje instrumenty i nadszedł czas na prawdziwe muzykowanie oraz tańce.

– Mówiłam, że może koncert przyjdzie do mnie, i przyszedł! – Felcia nie posiadała się ze szczęścia.

Zabawa trwała do białego rana.

*

– Czy mi się zdawało, czy widziałam, że Marysia tutaj leci? – Felcia wstała od stołu i ruszyła w kierunku drzwi, zdziwiona Anna odprowadziła ją wzrokiem.

Po kilku chwilach ciszy z sieni dały się słyszeć kroki i głosy. Felcia wprowadziła do kuchni zapłakaną Marysię.

– Siadaj i opowiadaj teraz spokojnie... – Felcia pogłaskała Marysię po policzku. – Zrób jej kawkę! – rzuciła w kierunku Elizy.

– Nie chcę kawy, chcę kielicha! – zaskąła Marysia i pacnęła dłonią o stół.

– O! To z tobą nie jest aż tak źle, jeśli chcesz kielicha. Przynieś, Kasiu, karafeczkę, proszę.

– Jest gorzej niż źle, jest do dupy!

– No córcia, tu chyba przesadziłaś!

– Ja? Klaus przesadził, bo uciekł! – Marysia głośno zaskąła.

– Jak to uciekł? Co to znaczy uciekł?

– Na motorze uciekł!

– Ale po co miałby uciekać, może pojechał coś załatwić!

– Co on ma tu do załatwiania? Chyba tylko kupę! – zaniósła się płaczem.

Kaśka i Eliza prychnęły śmiechem.

– A czego wy się głupie śmiejecie? – fuknęła Anna.

– Napij się! – Kaśka postawiła przed Marysią kieliszek z nalewką.

– Czy ja jestem jakaś pijaczka, żeby sama piła?
– Kasiu, postaw nam też kieliszki! – zakomenderowała Felcia.
– Ale tak wcześnie, o dziesiątej? – Anna rozłożyła dłonie.
– Wcześnie to jest piąta rano! – Zatarła ręce Felcia. – Teraz to wyższa konieczność, towarzyszenie pokrzywdzonej. A w ogóle przyda mi się, bo od rana jestem taka jakaś...
Kaśka błyskawicznie napełniła kieliszki rubinową nalewką.
– Ale, Marysiu, powiedz nam, czy wyście o czymś drażliwym rozmawiali albo pokłócili się o coś? – Anna spróbowała łyżkiem zawartość kieliszka.
– Wczoraj jeszcze późno w noc rozmawialiśmy o wspólnym życiu... w Parchowie... – Marysia otarła łzy. – Może mu wtedy coś głupiego powiedziałam?
– Jak to, nie wiesz? – zachnęła się Kaśka.
– Na jego słowa, że boi się osiadłego życia, powiedziałam mu, że miał prawie szesnaście lat, żeby to sobie wyobrazić.
– No i dobrze mu powiedziałas – wtrąciła Felcia.
– Tak, ale wtedy on poderwał się i odparł, że nie ułatwiam mu decyzji, bo on przecież naprawdę chce zmienić swoje życie. Wyszedł do kuchni i już do mnie nie wrócił.
– Może trzeba było za nim pójść – rzuciła Kaśka.
– Byłam już strasznie senna, rozmawialiśmy, leżąc, a jemu zdarza się, że wstaje napić się wody. Tak wczoraj pomyślałam i zaraz potem zasnęłam. W nocy dobrze spałam, a kiedy się obudziłam po siódmej, jego nie było w domu.
– I dopiero teraz przyleciał do nas? – Felcia pokręciła głową.
– Najpierw zobaczyłam, że motoru też nie ma, potem próbowałam dzwonić, ale nie odpowiadał – zalkała. – Dwie godziny i jeszcze trochę wytrzymałam, ale więcej nie dałam rady.
– A z telefonem wszystko jest w porządku...? – Eliza spojrzała na ekran. – Bateria naładowana, zasięg jest.
W chwili kiedy oglądała telefon Marysi, odezwał się dzwonek. Eliza podskoczyła.
– To Klaus! – krzyknęła i natychmiast podała jej telefon.
– Gdzie jesteś? W szpitalu? – Marysia szeroko otworzyła oczy, a lewą dłoń przycisnęła do serca. Trzy kobiety siedzące przy stole wbiły w nią wzrok. – Do odbioru...? A co ty tam robisz? Wypadek? O motorze mi nie mów, tylko co z tobą? Aha! ...dobrze, dobrze, co robiłeś? A po co tam w ogóle pojechałeś!? Dobrze, dobrze... – Pokręciła głową – Przyjadę po ciebie, buziaki! – Marysia uśmiechnęła się blado.
– No mów, co się stało! – Kaśka klepnęła ją w dłoń.
– Mnie już nie wlewaj! – krzyknęła Marysia, gdy ta nachyliła karafkę do jej kieliszka; wytarła oczy chusteczką, poprawiła gumkę na końskim ogonie i głęboko odetchnęła. – No więc tak. Jak się napił wody, chwilę postał w oknie i wrócił do mnie. Mówił, że ślicznie pochrapywałam... – Kaśka i Eliza zrobiły maślane oczy, a Marysia uśmiechnęła się szeroko.
– ...Usiadł więc na fotelu i patrzył na mnie. Nie mógł spać, a rano pojechał!
– Ale po co? – wyraziła zdziwienie wszystkich Kaśka.
– Powiedział, że mi opowie, jak przyjadę po niego. Kasiu, pojedziesz ze mną?
– Oczywiście! Ale najpierw mała kawka, żeby ten alkohol zabić!
– Klaus przecież czeka. – Marysia wstała i spojrzała na Felcię.
– Poczekaj.
– Nie ma wyjścia – dodała z uśmiechem Anna.

*

Dojrzały Klaus na szpitalnym parkingu opartego o motor. Prawe ramię spoczywało na temblaku.

– No i coś ty, wariacie, zrobił! – Marysia rzuciła się z pocałunkami.

– Chciałem ostatni raz poczuć wolność w pędzie – uśmiechnął się, gdy udało mu się wyzwolić od pocałunków. – Dziękuję ci, Kasiu. – Przybili sobie piątkę.

– Co to znaczy ostatni raz...? – Marysia spojrzała na niego czujnie.

– Marysiu! Ty mówiłaś o ślubie, a ja... dotąd... zawsze wolny ptak. Wieczorem przestraszyłem się... ale rano byłem już spokojny. – Teraz on pocałował Marysię prosto w usta. – Tak naprawdę to pojechałem po bukiet kwiatów i świeże bytowskie bułeczki... mówiłaś kiedyś o nich, że smaczne.

Marysia przytuliła się do niego.

– Ty mój kochany wariacie... Mogliśmy przecież pojechać razem, a zresztą około dziesiątej przywożą do naszego sklepu...

– To by nie było to samo. Chciałem ci podać śniadanie do łóżka razem z kwiatami.

Marysia pocałowała go w usta.

– Hej! Może byście przestali się tak tutaj migdalić, bo zaczynam i ja mieć ochotę! – zawołała, śmiejąc się Kaśka.

– No tak, przecież ty tu jesteś – ocknęła się Marysia, odwróciła się i pocałowała Kasię.

– Tfu! – krzyknęła Kaśka, udając obrzydzenie. – Klaus! Czy motor jest okej? – Ten skinął głową. – To przebieraj się, Marysiu, i wracajmy.

– Masz kombinezon? – Klaus spojrzał na Marysię z uznaniem. – Cieszę się, że motor nie pojedzie na pace jak niesprawny grat!

– A jak to się w ogóle stało, że znalazłeś się w szpitalu? – spytała Kaśka.

– Z naprzeciwnika jechał samochód, musiałem przyhamować i zjechać na pobocze, a tam był rozlany olej. Nie zauważyłem... Wpadłem w poślizg, motor znalazł się w rowie, a ja w ostatniej chwili zrobiłem salto i łokieć dostał w kość! – zaśmiał się. – Ale na gitarze będę mógł grać!

*

Marysia obserwowała Klause, który zdjął temblakową chustę i delikatnie masował prawe przedramię i łokieć.

– Czy lekarz pozwolił, żebyś już dzisiaj robił jakieś czary z tą ręką?

– Powiedział, że miałem sporo szczęścia – Klaus pokazał zęby w uśmiechu. – Tak naprawdę czuję tylko lekki ból w samym łokciu i tutaj. – Klepnął się w tyłek i uśmiechnął.

– A to salto?

– Oglądałaś kiedyś wyścigi motocyklowe?

– Raz, a i to przez przypadek.

– A ja oglądam właśnie dla takich trudnych sytuacji.

– Ale przecież na wyścigach nie ma aut jadących z naprzeciwnika! – Potrząsnęła końskim ogonem, a Klaus zaśmiał się.

– Obserwuję wyścigi pod kątem zachowań motocyklistów w trudnych sytuacjach.

Kontrolowane poślizgi, koziołkowanie, czasem nawet wszystko to poprzedzone saltem. Ponieważ jechałem dosyć wolno, miałem sporo czasu, żeby wybrać optymalną reakcję. Kiedy motorem ześlizgnąłem się do rowu, sądziłem, że on stamtąd już nie wyjedzie, więc musiałem się z niego jakoś ewakuować. Bałem się tylko, żeby mnie gdzieś nie przycisnął, jak będę się zsuwał na bok. Pomógł mi duży kamień w rowie, bo nagle wyrzuciło mnie w górę, zrobiłem więc salto trochę w bok, żeby wylecieć ponad rów, a tam niestety czekał na mnie drugi kamień.

– Czy ty to wszystko mówisz na poważnie, czy się ze mnie nabijasz? Mówisz tak, jakby to trwało i trwało.

– Marysiu! Jak najpoważniej! Ważne, żeby wiedzieć, jak się zachować, i nie stracić zimnej krwi. – Przytulił ją i ucałował. – Dobrze jechałaś dzisiaj – zmienił temat. – Mogłem spokojnie oglądać widoki. Nawet nie myślałem, że z tyłu jest tak fajnie.

– Ja lubię i z przodu, i z tyłu, ale z przodu bardziej...

– Marysiu! Nie poznaję cię! – zaśmiał się, a Marysia zasłoniła oczy.

– To był taki skrót myślowy. – Machnęła ręką, śmiejąc się. – Ale wiesz, coś sobie przypomniałam. – Spojrzała na Klausea poważniej. – Wygadałam się poznaniankom, że nie mamy ślubu!

– No to weźmiemy.

– Wczoraj miałaś wątpliwości, a dzisiaj już nie?

Klaus wstał i podszedł do okna. Przyglądał się przez kilka chwil w milczeniu motocyklowi stojącemu przed domem. Odwrócił twarz w kierunku Marysi.

– Chcę zostać tutaj z tobą i z dziećmi – powiedział cicho. – Sam bym się źle czuł, gdybyśmy tego nie uregulowali. Ślubu też już się nie boję...

Marysia podeszła do niego i wspięła się na palce. Pocałowała go.

– To moja wina, że kiedyś bez sensu powiedziałam komuś we wsi, że wzięliśmy ślub w Niemczech, rozeszło się to po ludziach i potem było głupio.

– A u mnie nie chciałaś, jak proponowałem!

– No bo jak tak, bez przyjaciół...

– A ja?

– Ty w ciągu kilku dni poznałeś tylu fajnych ludzi i wszyscy cię lubią. Może przecież przyjechać też ktoś z twojej rodziny.

– Raz, że to komplikacja, a dwa, ja u siebie też powiedziałem, że ślub wzięliśmy w Parchowie – zaśmiali się oboje. – Musimy to sobie jeszcze wszystko spokojnie przemyśleć. – Klaus przytulił Marysię.

Po chwili wyzwoliła się nieco z uścisku i spojrzała mu w oczy.

– A jeśli idzie o granie, to tutaj przecież nie jest zupełna pustynia, są różne imprezy...

– Myślisz o graniu do kotleta? – uśmiechnął się.

– Dobra muzyka przy jedzeniu to lepsze trawienie! – Poklepała się po brzuchu. – A nie jesteś czasem głodny?

– Przecież kolację już jedliśmy.

– A pić ci się nie chce?

– Coś cię nosi, moja kobieto... chyba wiem, o czym myślisz!

– Mamy szampany, stoją od czerwca.

– Masz rację! Napijmy się! – Ruszył w kierunku kuchni. – Siądź i zaczekaj!

Po chwili wrócił z butelką szampana Lanson^[18].

– Myślałam, że przyniesiesz ten drugi.

– Tamten będzie dla gości! – zaśmiał się. Marysia pogroziła mu. – Ten jest bardziej odpowiedni na dzisiaj! Przecież planujemy życie!

Twarz Marysi rozświetliła się szczęściem.

– Czyli zostaniesz tu ze mną...

– No, jeśli myślałaś, że zostawię cię innemu, to się myliłaś. – Przybrał poważną minę. – Chcę tu zostać, ale się boję. Musisz mi po prostu pomóc, a czasami wybaczyć, że reaguję tak, a nie inaczej.

– Ależ...

– Ja po prostu nie rozumiem osiadłego życia. Chcę z tobą, z wami być i chcę się tego nauczyć.

– Nie myślałam, że o takich sprawach można rozmawiać tak po prostu... przy szampanie.

– Tego też się nauczymy. To moja wina, że mnie tu nie było, a teraz musimy pewnych rzeczy szybko nauczyć się wspólnie. Ja od ciebie, a ty ode mnie. – Podniósł kieliszek z szampanem, wypili, patrząc sobie w oczy. – Dobrze mi z tobą, Marysziu! – Klaus odstawił kieliszek i przytulił ją.

– A co do grania... – Marysia zajrzała w oczy Klausowi. – Przecież możesz uczyć dzieciaki w GOK, w kościele też można grać, a oprócz tego... bo ja wiem...

– Znajdę sobie miejsce. Poza tym należy mi się choćby częściowa muzyczna emerytura – zaśmiał się. – Trochę przecież mamy odłożone, zobaczy się.

*

Marysia kręciła się nerwowo po domu, przystając raz po raz przy oknie.

– Przecież trafią – rzucił Klaus, gdy znowu spojrzała na ulicę.

– Ale już powinni być. Dwie godziny temu byli przecież w Toruniu.

– A ile to kilometrów?

– Myślę, że prawie dwieście.

– To trzeba liczyć przynajmniej trzy godziny, tym bardziej, że robi się szaro. Usiądź i pooglądaj telewizję.

– Latem nie oglądam!

– To zajmij się czymś innym.

– Wszystko już zrobiłam.

– A może zmienisz Joasi powłóczkę na kołdrze na inną!

– Przecież już zmieniłam. – Marysia spojrzała zdziwiona na Klause.

– A którą powłokłaś?

– Taką w kolorowe esy-floresy. Ale pójdę jeszcze przygotować jej piżamkę.

– Strasznie ją rozpieszczasz.

– Bardzo za nią tęsknię, za Miłoszem też zresztą. Niedługo już nie pozwolą mi się tak rozpieszczać – posmutniała. – Idę! – Ruszyła do drzwi.

– Zmień jej powłóczkę na tę w słoniki.

Marysia zatrzymała się w drzwiach i obróciła głowę w kierunku Klause. Na jej twarzy rysowało się zdumienie.

Klaus uśmiechnął się.

– Ona tak ją lubi...

Marysia zatrzepotała rzęsami, otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale zaraz je zamknęła. Uśmiechnęła się szeroko.

– To ty masz pamięć do takich rzeczy?

– A Miłoszowi mogłabyś zmienić na tę z koniem.

Marysia podbiegła do Klaus. Przywarli do siebie w pocałunku.

– Nie doceniałam cię... – wyszeptła.

– Mam bardzo dobrą pamięć...

– Pomożesz mi zmieniać...?

– Oczywiście.

W pokoju Miłosza poszło im szybko. U Joasi przy naciąganiu poszwy roześmiany i szczęśliwy Klaus pociągnął Marysię za rękę; upadli oboje na łóżko. Zapomnieli się...

– Mamusiu! Halo...! Jesteśmy! – od drzwi wejściowych doszły wołania dzieci.

Marysia i Klaus ocknęli się i zerwali na równe nogi, zaczęli wygładzać pościel i poprawiać ubrania.

– A, tu jesteś! – Joasia od progu rzuciła się w ramiona matki. – Myślałam, że może gdzieś wyszłaś i... – Jej oczy omiotły pościel, zawiesiła głos. – Moje ulubione słoniki! – zawołała. – Pamiętałaś! – Marysia pokazała palcem na róg pokoju. – Tatuś? – Joasia spojrzała z niedowierzaniem.

Klaus rozłożył ramiona. Córka ruszyła najpierw wolno, ale po chwili z impetem wpadła ojcu w objęcia. Klaus uniósł ją w powietrze i wykonał obrót. Potem postawił na podłogę. Przez długą chwilę trwali w uścisku.

– Jesteś coraz ładniejsza! – Odsunął się od córki na odległość ramion, wpatrując się w jej twarz.

Policzki Joasi przykrył rumieniec.

– Miłosz! Tatuś tu jest! – zawołała, chcąc odwrócić od siebie uwagę.

Marysia podeszła do drzwi, żeby pierwsza przywitać się z synem. Potem Miłosz wszedł dalej i dojrzał Klaus i Joasię. Ich wzrok się spotkał. Podeszli ku sobie i objęli się, poklepując po plecach.

– Muszę wam coś ważnego powiedzieć... – Klaus zawiesił głos, cofnął się i spojrzał z uwagą na dzieci. Zrobił dwa kroki w kierunku Marysi, złapali się za dłonie i spojrzeli na siebie. Joasia i Miłosz wpatrywali się w nich zaintrygowani.

– Mamie już to powiedziałem... – zaczął i znowu zawiesił głos. – Postanowiłem zostać z wami na zawsze!

Marysia wspięła się na palce i pocałowała go w policzek; dzieci przywarły do nich.

– Nareszcie, tato! Miałam dziwne przeczucie, że coś ważnego czeka nas w domu, ale w żaden sposób nie mogłam się domyślić co. Przez chwilę mignęło mi coś takiego, ale...

– Kiedy poznaliśmy się z mamą, obiecałem, że kiedyś będziemy razem. Później, gdy urodził się Miłosz, przysiągłem sobie... rozumiecie, sobie, że tę rozłąkę kiedyś zrekompensuję...

– Przepraszam, kochani, ale chodźmy do kuchni, porozmawiamy przy kolacji... – Marysia ruszyła w kierunku korytarza. – Wstawcie tylko bagaże do pokoi.

Po kilku minutach siedzieli przy kolacyjnym stole. Oczy wszystkich błyszczały szczęściem. Każdy chciał coś mówić, nie wiadomo było, co jest najważniejsze. Klaus uniósł

dłoń. Wszyscy umilkli i spojrzeli na niego.

– Pozwólcie, że wyjątkowo dzisiaj ja pierwszy coś powiem. Kiedy przyjechałem do mamy do szpitala, a pędziłem wtedy, żeby być jak najszybciej, powiedziałem, pokazując na ciebie... – uśmiechnął się do syna – ...że to nasza miłość. Wiecie, jak ja mówię: *miłosz*, bo mi to sz najlepiej wychodzi! Mama spojrzała wtedy na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała, jest takie imię Miłosz, i ona chce, żeby nasz syn nosił to imię.

– No nie, nigdy bym na to nie wpadł! – roześmiał się uszczęśliwiony Miłosz.

– A czy z moim imieniem też związana jest jakaś historia?

Marysia i Klaus spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się.

– Kiedy miałaś się urodzić, znalazłem zastępcę na swoje miejsce w zespole i przyjechałem do Parchowa, żeby razem z wami czekać na poród. Chodziliśmy wspólnie na spacer, mama i ja z Miłoszem w wózek. Wtedy nie wiedzieliśmy się, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka.

– Ja czułam, że to będzie dziewczynka – wtrąciła Marysia.

– Tak było, a ja też tak chciałem, chociaż wszyscy wokół mówili, że mama miała apetyt jak przy chłopaku, tylko kwaśne i kwaśne. Przy Miłoszu też tak było. Ale Marysia ciągle mówiła, że czuje dziewczynkę, bo coś ją mniej uwiera w boku – Klaus roześmiał się, Marysia machnęła dłonią, wszyscy dołączyli do śmiechu.

– Ale jak to było z moim imieniem? Opowiadajcie dalej! – poprosiła Joasia.

– Na coś się zgniewałam na Klauza, ale tak lekko... Pomyślałam sobie, że tym razem ja wybieram imię i nie będzie mu łatwo – znowu wybuch śmiechu. – Powiedziałam mu, że tak długo nie urodzę, dopóki nie nauczy się dobrze wymawiać imion Joasia i Maciuś.

– Nie!

– To była ciąża przechodzona, nie chciałaś na świat, miałaś u mnie, Joasiu, bardzo wygodnie, chociaż ostatnie dwa tygodnie było już ciężko. Tata nauczył się wreszcie dobrze wymawiać oba imiona – uśmiechnęła się Marysia. – Postanowiliśmy więc ruszyć do szpitala. Miłosza zostawiliśmy u Felci, a nas zawiózł Stach Janik.

– Na tych śrubach!

– Wtedy nie miał ich tak dużo, bo to był mały fiat.

– Fajne historie, nie Asia? – Miłosz poprawił gumkę na kitce.

– Ale zapomniałam ci, mamo, podziękować za słoniki! – Joasia pogłaskała mamę po dłoni.

– To tata! Dlatego nas tam zastałaś – przyznała się Marysia.

– Tata?! – Joasia spojrzała na Klauza, ten skinął głową. – To dziękuję wam obojgu – Strzeliła oczami na boki. – Zauważyłam, że do ostatniej chwili usiłowaliście ją rozprostowywać, ale ciągle ma trochę zgmiotów! – Z roześmianą buzią spoglądała raz na mamę, raz na tatę.

– Czyli na mojego konia mieliście jeszcze siły, ale potem z nich opadliście? – Po słowach Miłosza znowu nastąpił wybuch śmiechu. – Tato, mam ci coś ciekawego do opowiedzenia, ale... chwila!

Zerwał się od stołu, wybiegł z saloniku, a po chwili wrócił, chowając coś pod T-shirtem.

– Znasz gitarzystę z zespołu GREPS, tego, co gra na solówce?

– Tak, to Waldek, ale nazwiska nie pamiętam, a co? – Klaus spojrzał na syna z zaciekawieniem.

- To są jego włosy! - Wyciągnął spod koszulki perukę i położył na stole.
- Zabierz to natychmiast ze stołu! - wykrzyknęła Marysia.
- Mamo, to tylko peruka, a nie prawdziwe włosy.
- Z kogo zerwałeś ten skalp, synu? - uśmiechnął się Klaus.
- Kilka dni temu byliśmy z Joasią na koncercie zespołu GREPS w Bukowinie.
- Nieźle grają...

- To ich ostatnia trasa, tak powiedział ten Waldek. Fajny koncert, dobra zabawa. W pewnym momencie, po długiej soczystej solówce spytał, czy ktoś nie zechciałby zagrać na jego gitarze, pochwalić się jakąś solówką albo riffem. Najpierw nie było nikogo chętnego, potem ktoś zgłosił się z przodu, pewnie z jakiegoś zespołu, no i ja. On wybrał mnie, chyba dlatego, że siedzieliśmy dalej. - Joasia potwierdziła skinieniem głowy.

- Super! - Klaus wyprostował się, Marysia złapała go za dłoń. - A co im zagrałeś?

- Na wiosnę odkryłem *Comfortably Numb*^[19]. - Klaus z wrażenia odchylił się gwałtownie, aż poruszyła się kanapa, a Marysia spojrzała z przestraszonym wyrazem twarzy. - To jest ponadczasowe! - wykrzyknął Miłosz. - A ta solówka! - Klaus pokręcił z niedowierzaniem głową. - Nie dziw się, tato, nie znałem wielu ich utworów. Jeszcze nie gram tego tak, jak bym chciał, ale już jest całkiem nieźle.

- I pewnie w tej sprawie chciałeś się poradzić w czerwcu? - spytał Klaus, Miłosz skinął głową. - Obiecuję, że opracujemy coś razem, na przykład *Hotel California*^[20], chcesz? - Miłosz ponownie skinął głową.

- Kiedy wszedłem na scenę i powiedziałem mu, co chcę zagrać, to złapał się za głowę. To trudne, powiedział, ale spróbuj, i podał mi gitarę, tak z niedowierzaniem. Spytałem go, co i jak na gitarze, spróbowałem kilku dźwięków, małe *vibrato*^[21] i *tremolo*^[22], a potem zagrałem półtoraminutowy fragment. Wiesz, tato, pierwsze dźwięki tej solówki były najtrudniejsze, bo trema, ale potem poszło. Dostałem bardzo solidne oklaski. - Podniósł brodę w górę i zamknął oczy. - Ten Waldek cały czas kręcił głową, potem zrozumiałem, że z podziwu. Powiedział, że nie jest pewien, czy sam by tak dobrze zagrał.

Teraz Klaus pokręcił głową, a Miłosz się uśmiechnął. Marysia wsunęła swoją dłoń pomiędzy dłoń Klausa, jej oczy się śmiały.

- Kiedy sala trochę ucichła - mówił dalej Miłosz - Waldek sięgnął do torby leżącej obok perkusji i wyciągnął stamtąd perukę. Powiedział: ja kończę, teraz twoja kolej! Zdjął perukę i dał mi, a tamtą drugą nałożył. Sala ucichła, a potem oszalała. Przecież nikt z widzów nigdy go nie widział z językiem! Kiedy się wreszcie uciszyło, spytał mnie, gdzie i kto mnie uczy. Odpowiedziałem, zgodnie z prawdą, że z uczeniem mnie jest problem i raczej sam się uczę, ale mam mistrza, i że jest nim Klaus Berg. No to on mnie spytał, czy często się kontaktujemy, a ja mu na to, że niestety nieczęsto. On patrzył na mnie ciągle z niedowierzaniem. Przecież Klaus Berg mieszka w Niemczech - powiedział. No tak, odparłem, ale czasami przyjeżdża do mnie i daje mi wskazówki, pokazuje coś. Zrobił wtedy taką minę, no wiesz, i zapytał, czy nie pomyliłem go z kimś. Znam go doskonale, odpowiedziałem, poznaliśmy się szesnaście lat temu, jest moim ojcem! - Teraz cała czwórka roześmiała się. - Ta cała rozmowa szła przez mikrofony, a sala łapała to i było dużo śmiechu. No to szacun, kolego, powiedział, teraz wszystko jasne, skąd masz te uzdolnienia! - Miłosz zamilkł i spoglądał Klausowi w oczy. - Dziękuję, tato! - Wyciągnął rękę w kierunku ojca, przybili piątkę.

Marysia przez całą rozmowę przenosiła wzrok z Klausa na Miłosza i z powrotem. Jej zaskoczenie osiągnięciem syna było nie mniejsze niż Klausa, ale oprócz tego cieszyła się zarówno dobrym kontaktem ojca z dziećmi, jak i cudowną rodzinną atmosferą. Jeszcze wczoraj wydawało się to czymś nieosiągalnym.

– Słuchaj, młodzieży! Od jutra robimy próby naszego zespołu. Ty, Joasiu, grasz przecież na klawiszach...

– I na perkusji! – Joasia podniosła palec w górę jak uczennica. – Nie dziw się, ale niedawno pojawiła się potrzeba i zastąpiłam kolegę. Wszystkim się spodobało, a najbardziej mnie! – pisnęła.

– A mamusia będzie wokalistką! – huknął Klaus.

– Co to, to nie, ale będę waszą największą fanką! Ale wiesz co? – Spojrzała na Klausa przenikliwie. – Wpadł mi do głowy pomysł... Może mógłbyś w naszym GOK-u prowadzić szkółkę instrumentalną dla dzieci?

Rodzinna rozmowa przeciągnęła się długo w noc.

Kartuskie „crash bum-bum”



Elizie bardzo spodobała się wyprawa z Wiką i jej tatą na zamek w Bytowie. Przypomniało jej się zwiedzanie zamków z dziadkiem Mikołajem. Powoli spacerując przez sale, mogła się nacieszyć każdym interesującym ją eksponatem. Zaskoczyło ją, że tata Wiki opowiadał ze znanstwem, o jakie by go nie podejrzewała, do czego służą różne przedmioty gospodarcze.

– Kiedy na początku lat sześćdziesiątych jeździłem na wakacje do Broniszewic, Szamotuł czy Liskowa, zdarzało się, że pomagałem gospodarzowi i używałem takich narzędzi, albo przynajmniej widziałem podobne do tych.

– Nigdy do tej pory nie mówiłeś, że spędzałeś wakacje na wsi. – Wika podniosła zdziwione oczy na ojca.

– Coś tam opowiadałem, ale pewnie zbyt mało. W tamtych czasach wszyscy jeździli gdzieś na wieś, teraz o tym się już nie mówi, bo i różnica pomiędzy miastem a wsią prawie się zatarła. Były też kolonie... Popatrzcie, niektóre przedmioty mają oznaczenia robione przez dawnych właścicieli.

– Ale w jakim celu?

– Gospodarze pożyczali sobie różne sprzęty, więc jakoś musieli je znaczyć, żeby wrócili do właściciela. Nacinali metalowe przedmioty pilnikami, a drewniane piłą lub pilnikami do drewna albo wypalali czymś znaki. Nie wszyscy wszystko mieli, wśród gospodarzy nie było wielu bogaczy, a z drugiej strony pożyczanie sobie narzędzi świadczyło o gospodarności i dobrej współpracy pomiędzy nimi. Patrzcie, tutaj jest osprzęt do połowu ryb. – Ojciec Wiki zerknął na tabliczkę. – To siekiera do lodu. Na obuchu są trzy wyraźne nacięcia pilnikiem, a środkowe ma jeszcze jakby poprzeczkę. Jak gospodarze szli na ryby, to mogli sobie ją pożyczyć, a kiedy było ich kilku, siekier zaś więcej niż jedna, to właściciele w taki sposób odróżniali własną. Zobaczcie tutaj. Narzędzia dla gospodyń... To maselnica, pamiętam taki przyrząd z Broniszewic. Siostry zakonne ubijały w tym śmietanę na masło. Na niej są wypalone chyba jakieś litery. Pierwsza to chyba L...

– L – O – L – L – przeczytała Wika.

– Coś to oznacza, ale co? Nazwisko? Jakieś dziwne. – Zmarszczyła brwi Eliza.

– Tato! Przecież nasz gospodarz nazywa się Loll! – Wika aż podskoczyła.

– Masz rację! Tam jest jakaś informacja na tabliczce na ścianie. Przeczytaj ją!

– „Przedmioty będące częścią ekspozycji pochodzą z darowizny gospodarza S. Lolla z Parchowa”.

– No i wszystko jasne!

– Nie będziemy chyba sprawdzać wszystkich eksponatów, co? – zaśmiał się tata Wiki.

– Jeszcze tylko to wielkie coś, drewniane... – Wika kucnęła i szukała jakiegoś oznaczenia.

– To chyba balia do prania albo do kąpeli. Trochę przypalona z tamtej strony – ocenił tata Wiki. – Ale przecież nie wszystkie przedmioty oznaczano.

– W tym się kąpali? – zdziwiła się Eliza.

– Na początku dwudziestego wieku łazienek było mało, przynajmniej po wsiach.

Gospodynie też chciały się przecież wykąpać, no i swoich chłopów też tam czasem zagoniły – zażartował tata Wiki.

– Wydaje mi się, że tutaj widzę w dwóch rzędach litery – poinformowała nachylona nad balią Wika. – W górnym: Z-A-L-E-W, a w dolnym P-A-R-C-H-O... – literowała – ... a reszta jest wypalona.

– Zaraz, zaraz! Daj i mnie spojrzeć! – Teraz Eliza kucnęła, żeby odczytać litery, Wika i jej tata spojrzeli po sobie.

– A co tam jest napisane na kolejnej tabliczce na ścianie? – Tato Wiki zwrócił się do córki.

– Niektóre eksponaty pochodzą z przedwojennego pogorzeliska ze wsi Parchowo.

– No tak! Zgadza się! Tak myślałam! – wykrzyknęła z przejęciem Eliza, aż inni zwiedzający zaczęli na nich spoglądać.

– Ale o co chodzi? – odezwała się szeptem Wika.

– Babcia przyjechała tutaj szukać swoich korzeni, mówiłam ci. Była córką gospodarzy, których zabudowania spłonęły. – Eliza poświęciła kilka minut na opowiedzenie historii sprzed wojny.

– Sądziś, że ta balia może pochodzić z tamtego gospodarstwa? Niewykluczone. – Tata Wiki pokiwał głową.

– Muszę tutaj przyjechać jeszcze raz z mamą i babcią i obejrzyć to wszystko dokładnie! Byłyśmy tu, jadąc do Gdyni, ale wówczas oprowadzała nas pani z muzeum, a ja tylko słuchałam i omiatałam wzrokiem! Nie tak jak dzisiaj.

Dalsze zwiedzanie zamku przebiegało już bez sensacji. Kiedy wyszli wreszcie na dziedziniec, cała trójka poczuła się zmęczona.

– Dziewczyny! Dla was lody, dla mnie kawa. Co wy na to? – rzucił propozycję tata Wiki. Eliza i Wika skinęły głowami.

*

Pogoda w drugiej połowie sierpnia tego roku była wyjątkowo łaskawa. Co prawda noce zdarzały się chłodne, ale słońce w ciągu porannych godzin operowało wciąż jeszcze na tyle mocno, że woda w jeziorze nadawała się do kąpieli. W czwartek sprawdziła ją Eliza, która poszła do Wiki na plotki. Dlatego też w piątek Anna, Kaśka i Eliza wybrały się na dłuższą cypeliadę. Dużo kanapek, woda w butelkach, w termosie kawa.

– Z Felcią uzgodniłam, żeby dzisiaj nie myślała o obiedzie dla nas – rzuciła Anna, gdy rozkładały swoje rzeczy na cyplu. – Zapowiedziała, że zrobi dobrą kolację.

Słońce nie było palące, ale dawało wiele przyjemności. Kąpiel, opalanie, leniwe rozmowy, a nawet drzemka. Anna przejrzała kolorowe gazety, a potem wzięła się za czytanie *Pianisty Szpilmana*. Chwila czytania i rzut oka na wodę, znowu chwila czytania i spojrzenie na las. Nie potrafiła się skupić.

– Chyba to zbyt ciężka lektura na lato... Poczytam jesienią – powiedziała prawie przeproszającym tonem. Kaśka i Eliza spojrzały w jej kierunku. – Kupiłam ją, ale teraz potrzebuję czegoś lżejszego. A ty co czytasz? – Spojrzała na Kaśkę.

– *Nigdy w życiu* Grocholi i nieźle się bawię. – Kaśka pokazała okładkę. – Ale nie dam ci, nie rób takiej miny! Mam coś zapasowego. – Wyciągnęła z torby inną książkę. – Coś poznańskiego! – Anna zmrużyła oczy, starając się przeczytać tytuł. – Nie męcz się, bo to

i tak nie w twoim guście.

– A skąd ty możesz wiedzieć?

– Przecież nie lubisz Jeżycjady!

– Ja nie lubię? Lubię, bo to o Poznaniu! Dawaj!

– To jest moja książka! – Eliza jak lamparcica rzuciła się ze swojego ręcznika.

– Babci nie pożyczysz? – Anna zrobiła proszącą minę. – W Poznaniu nie czytam Musierowicz, bo jak chcę Jeżycjady, to idę tam na spacer. A tak w ogóle lubię Małgosię, bo to prawie mój rocznik, to znaczy ona jest smarkula: kiedy ja szłam do liceum, to ona dopiero do podstawówki.

– No dobra, jak tak mówisz, to ci pożyczę. – Eliza machnęła ręką i podała babci książkę.

– *Kalamburka*, ładny tytuł – pochwaliła Anna, obejrzała okładki, otworzyła książkę i natychmiast zaczęła czytać. Po kilku chwilach na jej twarzy pojawił się uśmiech.

Kiedy wróciły po siedemnastej do „Iskierki”, na włożenie do piekarnika czekały jakieś zawiniątka w folii, na stole stały misy z sałatkami i pieczywo.

– Przyjdźcie za pół godziny, zapraszam, już wstawiłam na małym ogniu ziemniaczki w mundurkach. Eliza, zjedź chwilę wcześniej, to mi pomożesz, okiej?

– Okiej, Felciu! – Mrugnęły do siebie.

Szczupak w warzywach smakował wszystkim.

– Dawno nie jadłam z takim apetytem... – powiedziała Anna, dokładając sobie sałatki z pomidorów, w której była i kukurydza, i ogórek, i oliwki. – Też tak czasami w domu robię.

– Słuchałam, jak kiedyś opowiadałaś, więc zrobiłam podobnie – uśmiechnęła się Felcia.

– Najpierw chciałam zrobić ziemniaczki zapiekane, ale potem pomyślałam, że w mundurkach będą lżejsze. A jak ich zostanie, to można jutro dogotować i zrobi się z nich wasze szagówki, po naszymu kopytka, a jak będzie mało, to dorobię jeszcze trochę golców.

– A co to są te golce? – spytała pełną buzią Eliza.

– Aaa! Ty jeszcze ich nie jadłaś. Mówi się też na nie *nadzy kłosczy*... Robiłam je, jak byłaś na Helu – uśmiechnęła się Felcia. – Surowe ziemniaki się trze, niektórzy dodają też trochę zmielonych ugotowanych ziemniaków, do tego jajka, trochę mąki, przyprawy i zagniata.. A potem łyżką kładzie się na wrzątek. I już!

– Pyszne są! – Kaśka zrobiła z palców kófeczko i cmoknęła.

– Smakowały mi z cebulką, a do tego kiszona kapusta... Mniam! – dodała Anna, mrużąc oczy.

– Dobre są też, jak się je dojada do różnych zup – dodała Felcia.

– Obiecałam sobie, że nie będę brała na posiłki telefonu, ale zapomniałam. – Eliza spojrzała na sunący po parapecie telefon. – Halo! Nie rozumiem! ...jaka stłuczka? Kto? – Pozostałe kobiety wlepiły w nią oczy. – W szpitalu? – potrząsnęła telefonem. – Przerwało...!

– Co się stało? – Kaśka wstała.

– Dzwonił Igor, ale przerwało. Zaraz spróbuję oddzwonić, bo zrozumiałam tylko, że Krzysztof miał jakiś wypadek, stłuczka i trafił do szpitala.

– Ale co mu się stało? – Teraz nie wytrzymała Anna.

– No nie wiem! Przerwało...

Eliza kilka razy próbowała dodzwonić się do Igora, ale bez skutku.

– Może ja spróbuję. – Kaśka wyszukała na komórce numer Krzysztofa. – No też jakoś dziwnie, raz jest sygnał, raz nie ma – odparła po kilku próbach.

Kaśka i Eliza spojrzały po sobie.

– To może... – zaczęła Kaśka.

– No jasne! Jedźmy!

Po kilku minutach pędziły Żabą w kierunku Kartuz.

– Coś ostatnio lubią nas wypadki. Najpierw Klaus, teraz Krzysiek... – Kaśka spojrzała na córkę.

– Z Klausem to było na wesoło.

– A Igor nie zdążył powiedzieć, co się stało Krzyškowi?

– Nie, bo przerwało...

– A jaki miał głos?

– No, swój... – Eliza zakryła usta.

– Z czego się śmiejesz?

– Sama z siebie się śmieję. Głos Igora? Bo ja wiem... Chyba nic nienormalnego w nim nie zauważyłam. – Teraz Eliza spojrzała poważniej na matkę.

– I o to mi chodziło.

– Przecież gdyby było coś nie okej, to by powiedział w pierwszych słowach, prawda?

– Też tak myślę... Dobrze, że nie jest jeszcze całkiem ciemno, bo nie lubię na światłach... – Kaśka pokręciła głową. – Pewnie nic złego... – Spojrzała na Elizę. – Ale jednak nic nie wiem...

– Bądźmy dobrej myśli – próbowała się uśmiechnąć Eliza, ale też wyszło jej to nietęgo.

– Dobrze, że pusta szosa. O, Złota Góra, jeszcze kilka minut.

– Pędziłaś...

– Powiemy im, że mamy rekord toru? Poniżej trzydziestu minut?

– Nie! – Eliza spojrzała na matkę. – Może kiedyś, jak będą się znowu przechwalać! – Lekki uśmiech zagościł na ich twarzach.

Po kilku minutach jazdy przez coraz ciemniejszy las wjechały w granice miasta.

– Zatrzymam się, a ty spytaj, którą do szpitala.

Eliza słuchała odpowiedzi przechodnia, a Kaśka kiwała głową.

– Już wiem! Dziękujemy! – krzyknęła i ruszyła ostro.

Po wejściu do izby przyjęć obie stanęły jak wryte. Na ławce na wprost drzwi siedział uśmiechnięty od ucha do ucha Krzysztof w bandażu i plastrach, obok uśmiechniętej blondynki z ciemnymi odrostami, a z drugiej strony Krzysztofa stał rozbawiony Igor. Cała trójka spoglądała z zaciekawieniem na kobiety stojące w progu.

– Miałem drobny wypadek – zaczął Krzysztof i zaprosił ruchem palca Kaśkę i Elizę, by podeszły bliżej. – Zuzanno – zwrócił się do siedzącej obok kobiety: – To Kasia, znaczy Katarzyna Prawosz, opowiadałem ci, a to jej córka Eliza, a to moja... żona.

Kaśka obserwowała bacznie Krzysztofa i jego żonę. Nie była pewna, czy wyciągnąć rękę do przywitania; uczyniła krok do przodu. Zuzanna była jednak szybsza. Podała zamasyście dłoń i szeroko się uśmiechnęła.

– Miło mi – uśmiechnęła się. – Krzysztof... to hipochondryk. – Machnęła ręką. – Przestraszyłam się trochę, kiedy zadzwonił Igor, ale jak mi powiedział, że tata sam do niego telefonował, to już czułam, że nic takiego się nie stało.

– Zagapiłem się i pojechałem prosto przez rondo. Dobrze, że to było już po godzinach

szczytu – roześmiał się Krzysztof. – Najpierw mnie podrzuciło, gdy wjechałem na krawężnik, a potem ze strachu raptownie zahamowałem i walnąłem głową w szybę, a jak opadałem, to przejechałem nosem przez kierownicę. – Wskazał na bandaż na głowie i plaster na nosie.

– A do tego rozładowały nam się komórki. Przepraszam was. Niepotrzebnie jechałyście.
– Igor spojrział ze skruchą.

– Bardzo dobrze, że przyjechały – roześmiała się ponownie Zuzanna. – Może nie było aż tak ważnego powodu, ale po rozmowie z Krzysztofem zapragnęłam panią jak najszybciej poznać – wyrzuciła z siebie na bezdechu. – No i przypadkiem się stało.

Spoglądała na Kaśkę, oczekując jej reakcji. Kaśka czuła, że nie ma wyjścia, i uśmiechnęła się. Zupełnie nie mogła zrozumieć, dlaczego od pierwszych słów polubiła tę kobietę, jej spontaniczne reakcje, szczerść w słowach. Zuzanna jakby na to czekała. Przystąpiła bliżej Kaśki i objęła ją.

– Mówmy sobie po imieniu, proszę – uśmiechała się całą sobą.

Igor odciągnął Elizę na bok i coś tam sobie chwilę szeptali, śmiejąc się i zerkając na dorosłych.

– Z czego się śmiejecie? Z nas? Mam coś ważnego do powiedzenia i to was też dotyczy!
– Krzysztof powiedział głośniejszym głosem, siląc się na powagę.

Eliza i Igor podeszli do nich.

– Kasiu! – Krzysztof spojrział poważnie na Kaśkę i złożył ręce. – Proszę cię... bardzo cię proszę, abyśmy mogli dalej być przyjaciółmi! – Rzucił okiem na żonę, a ta skinęła głową; Kaśka miała niepewną minę. – Proszę cię, abyś natychmiast wróciła do firmy, do swojej pracy, bo tam źle się dzieje!

– Kasiu, ja też cię proszę o to, bo chcę, żeby Krzysztof nie musiał denerwować się tym, co się dzieje tu w Kartuzach. Będę cię odwiedzała... – Kaśka spojrzała na nią, mrużąc bardziej niż zwykle oczy. – Czasami wyjdziemy na kawę, porozmawiamy... Chcę, żeby Krzysztof nie musiał myśleć o pracy, kiedy będzie przyjeżdżał do domu na weekend. Dużo zawiniłam w całej naszej sprawie. – Wykonała szeroki ruch ramieniem. – ... A teraz chcę, żeby wszystko wróciło na swoje miejsce. – Spuściła oczy.

Kaśka spoglądała raz na nią, raz na Krzysztofa. Widziała, że także Igor oraz Eliza oczekują jej reakcji. Nie wszystko jeszcze rozumiała, ale jedno dostrzegła wyraźnie: oto kolejny jej partner, kochanek wraca do żony. I to dzięki niej! Uśmiechnęła się.

– Ale... – zawiesiła głos, a cała reszta wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. – ...pod jednym warunkiem! Dopiero w poniedziałek! – krzyknęła i uśmiechnęła się szeroko.

– Super! – Krzysztof poderwał się na równe nogi. – A już się bałam, że będziesz chciała podwyżki! – Pokazał zęby w uśmiechu.

– Ty sknero! A może ty jesteś z Poznania? – zawołała Zuzanna, spojrzawszy na Kaśkę i zmieszawszy się.

Kaśka roześmiała się głośno, za nią Krzysztof, a potem reszta.

Igor, korzystając z małego zamieszania, znowu odciągnął Elizę na bok.

– Mam propozycję. – Kaśka spojrzawszy na Zuzannę i Krzysztofa. – Przyjedźcie do Parchowa na następny weekend. U nas są dożynki – w jej głosie dało się usłyszeć przechwałkę – więc będzie też okazja, żebyśmy się lepiej poznały.

– Kasiu, ty mówisz już jak stara parchowianka. – Krzysztof spojrzawszy na nią

z niedowierzaniem.

– Sama nie wiem, co się dzieje, ale coraz mniejszą mam ochotę wracać do Poznania, przynajmniej w najbliższym czasie. – Spojrzała na Zuzannę i Krzysztofa. – Coś mnie tutaj trzyma.

– Takie rzeczy na ogół nie dzieją się bez powodu. – Zuzanna spojrzała przeciągle na Kaśkę.

– Może w tym coś jest... – Kaśka zmrużyła oczy. – To do zobaczenia w poniedziałek na kawie, Zuzanno.

*

– Ale jaja! – rzuciła Eliza, kiedy tylko zamknęły za sobą drzwi Żaby.

– I do tego strusie...! – roześmiała się Kaśka i złapała za głowę.

– Wiesz, kiedy Igor zobaczył, że matka i ojciec sobie wybaczą, umyślnie nas tu ściągnął, żeby dzisiaj wszystko się wyjaśniło. On na punkcie porządku ma jakiegoś fioła!

– Wiesz co, on jest... strasznie normalny! – Kaśka spojrzała na córkę. – Trzeba takie zachowania umieć docenić... – Eliza spuściła wzrok. – Tacy powinni być wszyscy...

Milczenie trwało dłuższą chwilę. Kaśka jechała ulicami miasta, po chwili znalazła się poza nim.

– Igor mi powiedział o podejrzeniach Zuzanny, że powodem wypadku mogły być jakieś problemy z funkcjonowaniem firmy w Kartuzach...

– Ale mówił coś konkretnego?

– Nie, to chyba tylko jego przypuszczenie.

– Czyli może tak, a może nie? Sądzę, że Krzysztof jest raczej przepracowany, bo musi być i tu, i w Poznaniu, podróże w tę i z powrotem, a do tego... Może i sam chciał wrócić do Zuzanny, a nie wiedział, jak rozwiązać sprawę ze mną. Przerosło go to wszystko. Stres! Co ja? Mnie już jest dobrze. Jestem jakaś spokojniejsza... Od pewnego czasu. – Spojrzała na Elizę.

Znowu chwilę milczały. Kaśka jechała wolno, prawie spacerowo.

– Ładne to Ręboszewo... – rzuciła cicho. – Patrz, ja już tutaj miejscowości rozpoznaję, nawet po ciemku... Za kilka minut będzie Złota Góra. Zatrzymamy się tam na chwilę, dobrze? – Dojrzała, że Eliza skinęła głową.

Po kilku minutach wyszły z Żaby na parking. Daleko na wzgórzach i w dolinach paliły się światełka. Przeszły na drugą stronę szosy, pod pomnik. Spoglądały w dal.

– Jaki tu spokój... – westchnęła Kaśka.

– Ale dzisiaj wyszło super, nie? – Eliza spojrzała na matkę. – Muszę ci coś jeszcze powiedzieć... – Kaśka zerknęła na córkę badawczo. – Igor celowo wyłączył ojca komórkę! – prychnęła, zasłaniając usta. – Powiedział, że inaczej nie byłoby efektu! Ale przeprosił...

Kaśka pokręciła głową.

– Dobrze, że Krzyškowi nic się nie stało – spoważniała. – Teraz muszę bardzo poważnie pomyśleć o sobie. Jestem wreszcie wolna, chociaż nie tak do końca... i jest mi z tym dobrze. – Zmrużyła oczy, Eliza odpowiedziała tym samym; rozumiały się.

Canossa Macieja



W sobotę śniadanie było później. Kaśka zbiegła ze schodów jak na skrzydłach. Po chwili dał się słyszeć tupot nóg Elizy. Obie przemieszczały się po kuchni, trącając się i uśmiechając. Anna i Felicja zaintrygowane wodziły za nimi wzrokiem.

– Z czego tak się cieszyacie? Że Krzysztof miał wypadek? – Anna wreszcie nie wytrzymała. Kaśka i Eliza spojrzały po sobie i zmrużyły oczy.

– Wczoraj zapomniałam powiedzieć... Wracam do pracy! Od poniedziałku! – z radością na twarzy oznajmiła Kaśka.

– No, a wypadek? – Anna wykonała gest zdziwienia.

– Jemu nic takiego się nie stało! – prychnęła Eliza.

Kaśka skinęła głową.

– Eliza ma rację. Najważniejsze, że Krzysiek jest cały.

– To już wczoraj mówiłyście, ale ta dziwna radość to chyba coś więcej, czy tak?

– Krzysiek wraca do Zuzanny, znaczy do żony.

Anna z wrażenia upuściła na stół łyżeczkę. Wlepiła w córkę nieco przestraszony wzrok.

– Ale córcia... co teraz?

– Zuzanna jest bardzo fajna! – krzyknęła Eliza.

– O właśnie! I to jest wartość dodana tej wczorajszej akcji ratowania Krzyśka! – Kaśka uśmiechnęła się. Anna wyglądała, jakby ciągle niewiele do niej dotarło. – Mamo! Stało się to, co miało się stać. Rozmawiałyśmy kiedyś, prawda...? – Spojrzała na matkę, Anna skinęła głową. – O tym, że każda ma rozwiązywać swoje sprawy jak najlepiej, pamiętasz?

– Dobrze mówi – Felicja uznała, że już czas wnieść coś konstruktywnego do rozmowy.

– Jo! – dodała głośniej.

Kaśka i Eliza uśmiechnęły się. Anna pokręciła głową.

– No! Wszystko jest fertyś! – dodała Kaśka i zaśmiała się.

– O! I po naszymu gadasz. Teraz już wszystko rozumiem, a ty nie? – Felicja spojrzała na Annę, która niepewnie się uśmiechnęła.

– I to wszystko załatwił jeden wyłączony telefon Krzysztofa! – Kaśka pokazała zęby pełne drobinek szczypiorku.

– Nie zapominajmy, mamo, że także trochę pomogła rozładowana komórka Igora! – uzupełniła Eliza.

– Teraz i ja się pogubiłam, chociaż zawsze mówię, że te wasze telefony mogą doprowadzić do zguby! – Felicja potoczyła wzrokiem wokół stołu. – Jo! Dobrze powiedziałam! Włączone psują, wyłączone poprawiają!

– Jo! – Kaśka potwierdziła pełnymi ustami, z zębami wbitymi w kawałek żółtego sera.

– A możesz wreszcie jaśniej, Kasiuła? – Anna już się zaczynała cieszyć, chociaż nie do końca była pewna z czego.

– Zuzanna jest w dechę, a Krzysiek szczęśliwy – dojrzeli! W poniedziałek jadę ratować kartuską firmę, więc nie będę miała głupich dylematów, co robić: czy wracać do Poznania, czy nie... – Spojrzała uśmiechnięta na Elizę.

– No, a ty i Krzysiek? – Anna podjęła ostatnią próbę, żeby usłyszeć jasne wyjaśnienie.

– Oni byli pogubieni, a ja też całkiem niedawno dojrzałam. Pamiętasz?

Anna i Kaśka patrzyły sobie prosto w oczy. Wreszcie Anna objęła córkę i przytuliła ją do siebie.

– Teraz mam wreszcie jasność. Cieszę się – powiedziała. – Dojrzałaś – szepnęła jej do ucha.

Po śniadaniu wyszły na werandę. Wesolość Kaśki i Elizy udzieliła się pozostałym. Co chwila któraś przypominała sobie jakieś wesołe zdarzenie z lata, po którym następował kolejny wybuch śmiechu. W końcu Felcia, ocierając łzy, wstała i podeszła do zejścia z werandy na gazon. Spojrzała w niebo.

– Nie wybieracie się na cypel? – Odwróciła się i ujrzała zaprzeczenie. – To coś mi się widzi, że zaraz wypijemy wcześniejszą kawkę.

Już miała ruszyć w kierunku kuchni, gdy nagle coś przykuło jej uwagę.

– Kurzy się od wzgórza, chyba nikt nam w kawie nie ma zamiaru przeszkodzić? – Przyłożyła rękę nad oczami. – Już myślałam, że to Stach Janik, ale to nie on... A któż to jest...? Nie! To niemożliwe...! – ostatnie słowa wypowiedziała nieswoim głosem. Anna, Kaśka i Eliza spojrzały w jej stronę. – Boże! – jęknęła i zachwiała się.

Eliza podskoczyła ku niej. W ostatniej chwili udało jej się podtrzymać Felicję. Kaśka ruszyła z pomocą, wspierając z drugiej strony. Felicia stała pomiędzy nimi pobladła i wpatrywała się w postać zmierzającą w kierunku domu.

– To Maciej – rzuciła cicho Kaśka w kierunku Anny.

Maciej kroczył wolno, z poważną miną, z bukietem kwiatów w dłoniach. Przystanął przed werandą. Podniósł oczy na matkę.

– Mamo... Przyszedłem cię przeprosić za te wszystkie lata niegodziwości z mojej strony. – Felicia zamknęła oczy, spod jej powiek wypłynęły łzy. – Mamo, proszę cię o wybaczenie, bardzo się wstydzę tego, co ci zrobiłem...

– Dziewczynki, idziemy. Niech zostaną sami – rzuciła półgłosem Anna, poderwała się i przywołała gestem Kaśkę i Elizę.

– Nie! Zostańcie! Proszę. – Felicia odwróciła się w kierunku Anny. – Maćku... te kobiety... to moja rodzina...

– Ja już wszystko wiem, mamo – odparł cicho drżącym głosem.

Felicia pokiwała głową. Maciej pokonał trzy schodki, przyklęknął przed nią i przywarł ustami do jej dłoni. Ona uniosła drugą dłoń, żeby schłodzić sobie czoło. Łzy płynęły jej po twarzy ciurkiem. Maciej uniósł głowę w górę i spojrział na nią. Felicia, nie otwierając oczu, położyła rękę na jego głowie i pogłaskała go. Po chwili Maciej wstał i objął matkę; bukiet kwiatów upadł. Oboje przytuleni do siebie drżeli, szlochając. Anna i dziewczyny nie wiedziały, co ze sobą począć.

– Idziemy na górę – szepnęła Anna, ale Felicia dosłyszała te słowa i zatrzymała ją gestem dłoni.

Maciej schylił się po leżący bukiet.

– Mówiłam ci niedawno, Aniu, jak musi być? – Spojrzała w jej oczy i zawiesiła głos. Anna skinęła głową, kładąc palec na ustach.

Felicia spojrzała na trzymany bukiet, a potem przeniosła wzrok na syna. Ich oczy się spotkały.

– Bolało, synku... tyle lat... Tyle razy przyjeżdżałeś do wsi, a do mnie nigdy...

– Mamo, ale teraz chcę tu być, chcę tutaj zostać na zawsze. Pozwól.

– Tak, zostań tutaj ze mną, z nami, chcę tego... Bardzo! – Znowu przypadli do siebie.

Po kilku chwilach Felicja odsunęła syna na długość ramion i spojrzała mu w twarz, przekrzywiając nieco głowę.

– Wyrosłeś, Maćku... Dojrzałeś!

Anna i Kaśka spojrzały na siebie. Anna pokiwała głową. Po chwili Felicja odstąpiła od syna i podeszła do Anny.

– Powiedziałaś mi kiedyś przy stawie, że jak patrzysz na tamte bociany, to myślisz, że ja, Maciej i Jan też tak kiedyś zrobimy jak one. Że do tej pory ciągle zataczaliśmy wielkie koła i dlatego nie mogliśmy ani się dojrzeć, ani spotkać! Że kiedyś zrobimy wreszcie małe koło, na którym zdołamy się zobaczyć, a potem szczęśliwie razem wylądować. I popatrz, zaczyna się sprawdzać. Dzisiaj Maciej, a kiedyś... może... – Spojrzały sobie z czułością w oczy.

– Ty masz pamięć! Słowo w słowo... – Anna pokręciła z podziwu głową.

– No! – Felicja uśmiechnęła się blado. – I jeszcze ci w podzięce powiedziałam wówczas, że dobre słowo mało kosztuje, a może bardzo pomóc. – Uniosła dłoń w geście triumfu. Anna pokręciła głową. – Jak to nie? Tak mi wtedy powiedziałaś! – Felicja wyglądała na lekko zdezorientowaną.

– Nie, Felciu. – Annie śmiały się oczy. – Powiedziałaś: Bělné słowò mało kòsztěje, a skòpicą wiele mòže dobrégò zrobić^[23]. – Teraz ona wykonała dłonią gest podobny do gestu Felicji sprzed kilku chwil i zaśmiały się obie.

– Widzisz! – zawołała, spoglądając na syna. – Anna już całkiem nasza. I pamięć nasza i po naszymu już całkiem, całkiem gada. – Ale Maćku... – Felicja niespodzianie oprzytomniała. – Przywitaj się wreszcie z moją rodziną, którą odzyskałam po sześćdziesięciu trzech latach.

Maciej podszedł do Anny i pocałował ją w dłoń. Po chwili skierował się w stronę Kaśki, stanął przed nią i niepewnie się uśmiechnął.

– Przyszedłem, widzisz... – Nachylił się ku jej dłoni, a potem pocałował w policzek. Na koniec podszedł do Elizy. Uśmiechnął się szeroko, ona także odpowiedziała uśmiechem.

– Witaj, studentko!

– Witaj, professore! – Padli sobie w ramiona.

Oczy Felicji, przed chwilą poważne, stały się nieco radośniejsze. Westchnęła głęboko.

– Może my zrobimy sobie spacer, a wy tymczasem... – Anna zaczęła myśleć.

– Nie! – przerwała jej Felicja. – Wy szykujcie kawę, a ja zabieram Maćka do świątyni dumania. To nam dobrze robi. – Złapała go za rękę i pociągnęła w kierunku gazonu.

Anna, Kaśka i Eliza podeszły do krawędzi werandy i spoglądały za oddalającymi się matką i synem.

– Żeby jeszcze odnalazł się Jan – rzuciła Anna.

– Maciej go odnajdzie, obiecał mi – z przekonaniem powiedziała Kaśka. Potrząsnęła głową i wytarła oczy do sucha.

– Uparty jak Felcia, ale... dobrze ułożony. – Anna usiadła obok niej.

– A jakby co, to egzaminy z jednego przedmiotu mam już zaliczone! – wykrzyknęła nieoczekiwanie Eliza i zaśmiała się głośno.

*

Felicja i Maciej szli w kierunku werandy roześmiani. Wyglądali, jakby rozmowa nad

stawem ich odmłodziła.

– A wiecie co, dziewczyny? Okazało się, że tę ławkę to również Maciek załatwił. – Poglądziła go po ramieniu. – Tego wam wcześniej nie mówiłam, ale ona jest inna niż wszystkie dotąd, wygodniejsza, no i zielona. Jak tatusiowa sprzed wojny! O takiej zawsze marzyłam. Montował ją Stach Janik, więc sądziłam, że to on ją zrobił... – Zajrzała synowi w oczy. – A kawa jeszcze nie dymi? – Spojrzała na stół.

– Woda wrzała już chyba ze cztery razy. – Eliza rozłożyła ramiona.

– Ja tylko jeszcze na stronę i możecie zalewać – zaśmiała się Felicja i zakręciła spódnicą.

Kaśka i Eliza ruszyły po ciasto i kawę do kuchni. Maciej stanął obok stołu z niepewną miną.

– Cieszę się bardzo, że panie przyjechały.

– Jak pan wie, myśmy tylko tędy przejeżdżały... i stało się – powiedziała Anna. – Zupełnie nie wyobrażam sobie, co by było, gdybyśmy zrealizowały pierwotny plan.

– Mama jest od dwóch miesięcy zupełnie inną osobą, cieszę się z tego! Zawsze była silna, ale Marysia wspominała mi wiosną, że trochę się martwi jej depresjami. Teraz sam widzę, że znowu jest pełna wigoru.

– Trafiliśmy tu dzięki Marysi.

– Zdała mi relację telefonicznie zaraz następnego dnia, gdy panie zamieszkały w „Iskierce” – uśmiechnął się i poprawił okulary.

– Same przypadki nami kierowały. Gdybyśmy zatrzymały się w Parchowie w drodze powrotnej z Gdyni, mogłybyśmy spotkać zupełnie innych ludzi.

Na werandę weszły rozbawione Felcia, Kaśka i Eliza. Maciej poderwał się.

– A co wy tutaj tacy poważni? – Felicja przebiegła wzrokiem po Annie i Macieju.

– Rozmawiamy o przypadkach i znakach w życiu – wyjaśniła Anna. Maciej potwierdził skinieniem głowy.

– A ciebie, Maćku, taka tematyka interesuje? Przecież ty naukowiec! – Felicja spojrzała na syna z niedowierzaniem.

– Mamo, jeśli mnie to samego jakoś dotyczy, to tak, chociaż byłem i jestem wątpiący.

– Wiecie co... – Felcia zawiesiła głos, czekając, aż Kaśka z Elizą ułożą talerzyki i filiżanki i usiądą – ...kiedyś Maciek pokłócił się z chłopakiem o to, czy relikwią może być przedmiot ze snu.

– Chodziło o Sanderusa z *Krzyżaków* i ten szczebel z drabiny, o której się śniło Jakubowi – roześmiał się głośno.

– No i potem przyszła matka tamtego, bo poskarżył się matce, że Maciek go pobił.

– A myśmy się nie bili, tylko gonili i on wpadł na jakieś klamoty, porozrywał i pobrudził sobie spodnie. – Maciek rozbawiony spoglądał wokół.

– To czemu wtedy mi tego nie powiedziałeś? – Felicja wyprostowała się.

– Mamo! Romek dostał nowe spodnie do komunii. Pierwszy raz nie po bracie. Nie miał wyjścia, musiał tak powiedzieć, bo inaczej sam by dostał lanie, a ja cóż... wzięłem to na siebie!

– To dopiero teraz mi to mówisz! Już ja się z Zochą policzę! – poderwała się z krzesła.

– Musiałam wtedy pójść proboszcza przeproszać, że masz jakieś dziwne poglądy na relikwie! – Wskazała w kierunku kościoła.

– I co ci proboszcz powiedział?

– Był bardzo zmartwiony. Podparł twarz ręką i długo milczał, właściwie z nerwów aż

drzał! Ja się wtedy przestraszyłam, że z tego jeszcze jakąś sprawę zrobi!

Anna, Kaśka i Eliza wciągnęły się w historię sprzed lat i wodziły wzrokiem za Felicją i Maciejem.

– A kiedy opuścił ręce, oczy miał pełne łez – kontynuowała Felicja. – Powiedział wzruszonym głosem, żebym już sobie poszła, a on będzie się za ciebie modlił. – Felicja spojrzała na syna i przyłożyła ręce do policzków. Maćkiem wstrząsał śmiech, z trudnością go tłumił. – Za kilka dni spotkałam go znowu. Powiedział mi, że Bóg wysłuchał modlitwy i mogę znowu spać spokojnie! I spałam! – rozchmurzyła się.

Felicja przez kilka chwil wpatrywała się w Macieja w milczeniu, ale wyraz ich twarzy zmieniał się z wolna z poważnego na wesoły. Nagle jak na komendę roześmieli się w głos, zerwali z miejsc i ruszyli do wesołego tańca. Anna z dziewczynami oniemiały ze zdziwienia. Maciej po kilku szalonych obrotach zatrzymał się i spojrzał na matkę poważnym wzrokiem.

– Mamo, nie mogę więcej...

– Coś cię boli?

– Nie mogę tańczyć – zawiesił głos, po chwili zaś roześmiał się głośno: – ...bo moi studenci patrzają! – Tu wskazał na Elizę, a jego komiczna mina ponownie rozśmieszyła kobiety.

– Maciek naprawdę wrócił do domu! – Felicja podeszła do Anny. – Myśmy kiedyś tak często robili. Rozumieliśmy się zawsze bez słów... Zobacz, Maćku, ile straciliśmy przez te lata. Tak zdziwionych twarzy jak te dawno już nie widziałam – zaśmiała się.

– Ale jak tak można? Ja już myślałam, że naprawdę coś się stało. – Anna pokręciła głową, a Kaśka i Eliza potaknęły jej. – Czy wyście tę scenkę przygotowali sobie nad stawem? – Anna zmrużyła oczy.

– Tam ... – Felicja wskazała głową w kierunku doliny – rozmawialiśmy poważnie do bólu, a tym tutaj chyba odreagowaliśmy tamto.

– Co powiecie na ognisko dziś wieczorem? – wtrącił zniecierpliwiony Maciej, przerywając rozmowę. – Będzie sucho i dosyć ciepło.

– A skąd to wiesz? – spytała Kaśka.

– Od mamy. – Pokazał zęby w uśmiechu.

– Dzisiaj jeszcze nie rozmawialiśmy o pogodzie. – Felicia przekornie spojrzała na syna.

– Bo to było wczoraj... – Felicja potrząsnęła głową, że nie rozumie. – Mamo, takie trochę dawniejsze wczoraj, dawniejsze o ponad trzydzieści lat – ściszył głos i spoważniał. – Nauczyłem się przecież wszystkiego od ciebie, a potem to już tylko nauka definicji. – Położył obie ręce na jej dłoniach. – Zawsze opowiadałem kolegom, studentom, że to, co teraz tak naukowo definiujemy, ma swoje źródło w tak zwanej wiedzy ludowej, powtarzanej sobie z pokolenia na pokolenie. – Teraz Felicja uśmiechnęła się. – W pracy doktorskiej poświęciłem temu nawet spory rozdział, który profesor, mój promotor, początkowo chciał wykreślić. – Podniósł ręce w górę w teatralnym geście. – Sama obrona pracy to był drobiazg, ale przez ponad pół roku walczyłem z nim o pozostawienie tego rozdziału! – zaśmiał się. – Zagroził mi, że nie dopuści do mojego doktoratu, więc ja mu zagroziłem, że w takim razie nie robię go i już! Zaniemówił. Spytałem go, czy ostatni raz może mi poświęcić pół godziny... Tak go wtedy zatkało, że tylko skinął głową. Podeszedłem do tablicy i zacząłem rysować chmury, promienie słońca, kierunek wiatru, opowiadałem o temperaturze, odczuwalnej wilgotności... Pisałem wzory, robiłem

wyliczenia... Miałem to wszystko przecież dokładnie przemyślane i opisane. On z lenistwa – potem się przyznał – przeczytał tylko początek rozdziału; reszty nawet nie chciał analizować. Kiedy skończyłem, dalej milczał. Kiwał głową. Podszedł do mnie, uściśnął mnie i powiedział: doktorze Skierka, gratuluję. Nie myślałem, że to się da wszystko matematycznie i logicznie wyjaśnić. Był wzruszony... – Maciej zawiesił głos. – Rozmawialiśmy tego wieczoru długo. Przyznał się, że będąc w moim wieku, dał się uwieść nowym trendom w nauce i odrzucił to wszystko, co sam kiedyś wiedział. Odrzucił, a potem zapomniał. W drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych koledzy informatycy tę moją teorię oprogramowali, a teraz jest już trzecia wersja programu. Będziesz, Eliza, musiała się tego uczyć! – pięknie zmodulował głos i znowu teatralnie podniósł ręce w górę.

*

Wokół ogniska było gwarno. Późnym popołudniem nieoczekiwanie pojawił się Igor, potem przyszła Marysia z Klausem i dziećmi, i Stach Janik z żoną. Panowie produkowali żar, na przemian drobili okrągłe klocki na szczapy i podrzucali do ognia. Panie plotkowały, od czasu do czasu wybuchając śmiechem. Gdy Kaśka z Elizą przyniosły z kuchni kosz ze srebrnymi zawiniątkami, żaru było akurat tyle, że Stach część zawiniątek od razu ułożył na rusztach. Po kilkunastu minutach miły zapach roznosił się już wokół. Plastry podrumienionej wcześniej, soczystej karkówki oraz szaszłyki były gotowe do jedzenia. Wesole rozmowy i śmiechy krzyżowały się ponad ogniskiem. Kilka toastów z nalewki też szybko zrobiło swoje. Wszyscy byli w doskonałych humorach. Kiedy zaszło słońce, pojawił się Ryszard.

– Wszystkich przepraszam, ale musiałem być dzisiaj pilnie w Łebie i nie zdążyłem... – rzucił zdyszany przepraszającym tonem.

– Masz szczęście, że cię lubię, boś swój chłop! – Stach roześmiał się pełnymi ustami. – Zostawiłem kilka zawiniątek dla spóźnialskich. – Wskazał na stojący obok kosz.

– Po wstępie Stacha o tym swoim chłopie, nie mogę nie opowiedzieć historii sprzed ponad czterdziestu lat z Poznania... – Ryszard, czując na sobie wzrok Anny, spojrzał na nią i zawiesił głos. – Było to jeszcze w czasach górnych i chmurnych, takie historie i nam się zdarzały... – Popatrzył z uśmiechem w kierunku Elizy oraz dzieci Klause i Marysi. – Wracaliśmy kiedyś z tak zwanego szlaku piastowskiego, to było kilka lokali w centrum Poznania. – Anna pokręciła głową, Stach zaordynował kolejny toast nalewką. – Wracaliśmy mocno podchmieleni do akademika, a mieszkaliśmy w Hance Sawickiej przy Niepodległości. – Poznaniarki pokiwały głowami. – Jeden z kolegów, Wojtek, tuż przed akademikiem złożył się jak scyzoryk. – Wszyscy roześmiali się, nawet Anna, choć znowu pokręciła głową. – Wciągaliśmy go na drugie piętro. On ocknął się na kilku ostatnich schodkach i spojrzał na mnie prawie przytomnie. Jesteś swój chłop, powiedział i czknął. Odsunąłem się, bo to nigdy nic nie wiadomo... – Znowu śmiech wokół ogniska. – Zaczęliśmy go ponownie ciągnąć z kolegą w górę, a on zaparł się nogami. Poczekaj, mów, pomyliłem się! Ty nie jesteś swój chłop, ty jesteś... mój chłop! – podkreślił ostatnie słowa; znowu wybuch śmiechu, choć i tym razem Anna pokręciła głową.

– Toście tam nieźle balowali – tubalnie odezwał się Stach.

– Już ty byś lepiej nic nie gadał! – Żona Stracha klepnęła go w plecy.

– Mnie nikt nigdy nie wciągał w górę, nie daliby rady! – Stach zachichotał.

– Ale jak nie piliśmy, tośmy się uczyli! A u was się nie piło? – Ryszard spojrział w kierunku Macieja. – Źle się czujesz? Minę masz jakąś nietęgą.

– No właśnie, nie smakuje ci? Ucichłeś jakoś? – Siedzący obok Stach trącił go łokciem.

Maciej chrząknął. Spojrział na matkę, a potem na siedzącą obok Kaśkę.

– Też chcę wam opowiedzieć pewną historię... – zawahał się, spoglądając w kierunku młodzieży – ... chociaż... Opowiem ją, bo lepsza okazja może mi się nie trafić, za długo z tym czekałem. Polej jeszcze tylko, Stachu, na odwagę.

Kieliszki zostały opróżnione bez toastu i wszyscy skierowali wzrok na Macieja. Ten znowu chrząknął.

– Poznałem kiedyś kobietę. – Spojrział na Kaśkę. – Znaliśmy się od dawna z jej mężem, a ją dobrze poznałem właściwie całkiem niedawno... – Uciekł wzrokiem w bok. – Bywałem tam od czasu do czasu w celach naukowych – uśmiechnął się i ponownie spojrział na Kaśkę. – No... starsza ode mnie, jeśli o to chodzi, ale to zupełnie nie ma nic do rzeczy. – Spoglądał po siedzących przy ognisku. – Bardzo atrakcyjna, a do tego wdowa. Mieszka niedaleko, u nas na Kaszubach. Robiła dobre śniadania, a ja lubię rano dobrze zjeść. Chyba przez to, że rano się śpieszę i nie zawsze o to dbam, ale jednak lubię zjeść dobrze.

– Maciej, to jakaś abstrakcyjna historia, już się zapętlilem – uśmiechnął się do niego Ryszard.

– Ale będzie happy end. – Maciej odpowiedział mu uśmiechem. – To jezioro to jej własność. I ona mi przy którymś śniadaniu powiedziała, że ma dla mnie propozycję, i zamilkła. Okulary od razu mi zaparowały, przez głowę przelatowały mi różne myśli. Co ja teraz mam zrobić, jeśli powie to, czego się wówczas spodziewałem. No wiecie: wdowa, atrakcyjna kobieta, robi dobre śniadania i tak na mnie jakby zalotnie patrzy. Byłem przerażony i gdyby nie śniadanie, to bym pewnie szybko uciekł.

Kaśka mimo woli zmrużyła oczy.

– Tymczasem ona mówi: nie bój się, wiele przecież nie chcę, a ty tylko na tym zyskasz. Będiesz tutaj częściej, a ja dzięki temu będę mogła sobie wtedy gdzieś wyjechać. Chcę ci wydzierżawić to jezioro – ja nie łowię, ty zarybiasz, robisz jakieś badania... To co, zgoda? I zgodziłem się! – zaśmiał się głośno.

Opowieść ta nie wzbudziła wielkiego entuzjazmu ogniskowiczów. Pośmiali się trochę, ale szybko ucichli.

– Czy jesteś pewien, że to właśnie chciałeś opowiedzieć?

– Chciałem żeby było coś wesołego, ale jakoś mi nie wyszło...

– Mnie tam bardzo się podobało. – Ryszard uniósł kieliszek z nalewką. – Taki trochę angielski humor...

– No, a happy end jest taki, że mam jezioro w lesie, jest duża chata i można spokojnie powędkować, nawet na patelnię – uśmiechnął się promiennie do Kaśki.

*

– Wy to chyba macie gdzieś jakieś chody... – Wika spojrzała znacząco na Elizę i pokazała palcem w kierunku nieba.

– My, to znaczy kto? – Eliza przysiadła na kolanach i zmrużyła oczy.

– Wy, poznanianki!

– Ale dlaczego?

– Bo ostatnio mamy ciągle taką pogodę, że można uprawiać prawie całodzienne cypeliady!

– Ja w ogóle nie pamiętam, żebym tyle razy jednego lata jeździła w Poznaniu nad Rusałkę, co tutaj bywamy. – Eliza zrzuciła bluzeczkę i szorty. – Cudowne *la dolce far niente*...!

Położyła się na brzuchu i podniosła stopy w górę.

– Chyba ostatni namiot. – Spojrzała w kierunku wzgórza. – I tylko jeden koc. – Wykonała ruch głową, wskazując na matkę z dwójką małych dzieci.

– No tak, większość wczasowiczów z dziećmi już wyjechała, to ostatni tydzień przed szkołą, wiadomo. Chociaż jak patrzę tam na domki, to jeszcze sporo ludzi, ale dla nich chyba za zimna woda.

– No co ty?

– Sprawdzimy?

Roześmiane puściły się biegiem do jeziora.

– Trochę chłodna – pisnęła Eliza i zatrzymała się.

– E tam! – Wika rzuciła się na wodę. – To tylko pierwsze zetknięcie...

Pływały wzdłuż brzegu. Trochę żabką, trochę crawlem. Eliza zatrzymała się.

– Wika, zobacz, ile tu się dzieje! Kaśka – Krzysztof, Felicja – Maciej, Maciej – Kaśka, Marysia – Klaus, Anna – Ryszard!

– Zapomniałaś o kimś! – Wika pacnęła ręką o wodę. Eliza podniosła brwi w górę i pokręciła głową. – Eliza i Igor! – krzyknęła Wika i rzuciła się plecami na wodę.

Eliza kucnęła i schowała się na chwilę pod wodą. Po chwili pojawiła się ze smutną miną. Zgarnęła dłońmi wodę z włosów i twarzy.

– Chyba nic z tego nie będzie. On ciągle z taką rezerwą do mnie...

– Ty go kochasz, Eliza! – wrzasnęła Wika, aż spłoszone cyranki i krzyżówki zerwały się z pobliskich trzcin do lotu.

– Cicho bądź. – Eliza zmrużyła oczy, przez chwilę patrzyły na siebie uśmiechnięte.

– Na pewno się wam ułoży... – Wika śmiejąc się, znowu pacnęła ręką o wodę.

– Spójrz, jesteśmy tutaj niecałe dwa miesiące, a tyle się wydarzyło. Było już tyle emocji, adrenaliny, a to jeszcze miesiąc do końca wakacji...

– Naszych wakacji! – roześmiała się Wika.

– A ty będziesz nad Mauszem do końca września?

– Tak długo, jak będą tu dziadkowie, bo rodzice za kilka dni wracają do pracy.

Wyszły z wody, kierując się na swoje legowiska. Opadły na nie i sięgnęły niemal równocześnie po kanapki.

– Zastanawiam się, czy to już koniec wydarzeń u nas. – Eliza uniosła ramiona.

– No ileż można? – Wika też wzruszyła ramionami. – Ale z drugiej strony, to jeszcze...

– ...Miesiąc! – krzyknęły obie prawie jednocześnie. Ostatnie kaczki ukryte w trzcinach zerwały się w górę spłoszone ich krzykiem.

*

Kaśka wysiadła z Żaby i skierowała kroki w stronę biura. Zaparkowała trochę dalej, bo chciała przespacerować się wzdłuż rynku, żeby ułożyć sobie przywitania. Przez witrynę nie zobaczyła w sali obsługi klientów nikogo z pracowników. Pchnęła lekko drzwi.

– Kasia! – przywitał ją chóralny okrzyk.

Wanda, Teresa i Robert stali roześmiani w progu biura firmy, od dzisiaj znowu jej firmy. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia tym, że nawet Robert szczerze się uśmiechał. Przy powitaniu przytrzymał jej dłoń nieco dłużej.

– Wiedziałem, że dzisiaj się nie spóźnisz. – Pokazał zęby w uśmiechu. – Wczoraj nie było burzy! – prychnął.

Kaśka na wszelki wypadek zmrużyła oczy. Ale dostrzegła w jego oczach figliki. Spojrzała na dziewczyny; czekały na jakieś jej słowa.

– Wiecie co? – Kaśka cedziła wolno. – Stęskniłam się za pracą i za wami! – rzuciła okiem najpierw na dziewczyny, a potem na Roberta, w którego oczach dalej świeciły się figliki. – Za tobą również.

– Miałem przyjechać dopiero dzisiaj, ale obujałem wycieczkę, że autobus jest potrzebny wcześniej i skróciłem wyjazd o jeden nocleg – roześmiał się. – Chciałem koniecznie być w biurze, kiedy będziesz do niego wchodzić.

– Ooo! – Kaśce rozszerzyły się oczy.

– Prawda jest taka, że on najlepiej zna się na torcikach – rzuciła Wanda, wykonując dyskretny ruch kciukiem za siebie.

Kaśka dojrzała torcik na swoim biurku.

– Cicho, Łonda! Plizz! – Robert podniósł oczy w górę.

– On nas ciągle tak tuczy. – Teresa klepnęła się w biodro.

– Kaśka, podobnie jak wy, może jeść słodkości prawie bez umiaru – zachichotał. – Dzięki tobie, Kasiu, jeszcze mniej towaru trzeba będzie utylizować...! – zaśmiał się głośno.

– Idealny byłby jeszcze schłodzony szampan. – Kaśka oblizwała się. – Jak szaleć, to szaleć!

– Wolisz półsłodki czy słodki? – Robert kokieteryjnie zajął jej w oczy.

– Niby wskazany jest słodki, ale ja wolę półsłodki – odpowiedziała zalotnym uśmiechem.

Robert wyciągnął na środek biura niebieską przewoźną lodówkę. Zgrabnie otworzył wieko i pokazał cztery butelki spoczywające na kostkach lodu.

– Dwa szampany i dwa wina: półsłodkie i słodkie. Tak na wypadek, gdybyś wybrała inaczej.

– Bożesz! Ja tylko sobie żartowałam! – Kaśka ukryła twarz w dłoniach.

– Maryjo! Ja też! – Robert szybko zamknął wieko i zaczął ciągnąć skrzynkę z powrotem za drzwi.

– Nie! Zostaw to! Otwieraj! – wykrzyknęły jednocześnie Kaśka, Wanda i Teresa.

Robert spojrział na Kaśkę i zaczął ponownie otwierać skrzynkę, uśmiechał się przy tym od ucha do ucha.

– Kasiu! Wtedy spieprzyłem twoje przywitanie, więc dzisiaj chcę to naprawić – przewrócił oczami.

– Robercie! Ty chcesz rozpijać kierownictwo! – Kaśka zrobiła groźną minę.

– I personel! – dodała Wanda.

– Przyznaję się! Ale tak będzie tylko raz w miesiącu!

– Tylko raz w miesiącu?! Przecież to w ogóle nie ma sensu! Bo albo pijemy, albo nie pijemy! – Kaśka roześmiała się i podeszła do Roberta, ucałowała go z dubeltówki.

– Ooo! A mnie? – jęknęła Wanda, a w ślad za nią Teresa.

– Jeszcze ja! – krzyknął Robert i nadstawił policzek dla całusa od Wandy i Teresy.

– Tego się nie spodziewałam. – Kaśka spoglądała roześmianymi oczami na współpracowników.

– W sobotę Krzysztof zaprosił mnie na piwo... – powiedział Robert.

– Ooo! – zdziwiły się wszystkie.

– Ostatecznie jesteśmy kuzynami. Najpierw chciałem go olać, ale zmusiłem się, przecież mój dziadek pochodził spod Poznania – mrugnął do Kaśki i zaśmiał się. – Jak go zobaczyłem w bandażu wystającym spod czapeczki i w plastrze na nosie, o mało nie parsknąłem śmiechem. Spytałem, czy to Zuzanna go pobiła. – Robert machnął dłonią. – Krzycho zrobił wtedy taką minę, jakby go rzeczywiście pobiła. Opowiedział mi o wypadku, a potem zaproponował awans. – Robert zawiesił głos, Kaśka ze zdziwienia odchyliła się na krześle. Wanda i Teresa wyglądały na jeszcze bardziej zdezorientowane.

– Przecież powiedziałaś na dzień dobry, że Kaśka wraca i będzie szefować – wydukała Wanda.

Kaśka zmrużyła oczy.

– I ten awans przyjąłem, ale pod pewnym warunkiem.

– Czy ty możesz mówić jaśniej? – Teresa uderzyła dłonią o dłoń.

Kaśka potarła czoło ręką i wlepiała oczy w Roberta, któremu znowu zapaliły się figliki w oczach.

– Powiedziałem mu, że zgodzę się, jak Kaśka się zgodzi – podkreślił ostatnie słowa. – Zgadzasz się, Kasiu?

– Dobra, zgadzam się... chociaż nie wiem, o co chodzi, ale pod jednym warunkiem! – Kaśka zmrużyła oczy. – Masz natychmiast otworzyć tego szampana!

– Wchodzę w to... – Robert zaczął odbezpieczać korek butelki, po czym napełnił kieliszki szampanem. – Kasiu, w imieniu załogi witam cię ponownie na naszym pokładzie... – Robert podniósł swój kieliszek – ...i myślę, że tym razem już dokąd się da! – Podniósł kieliszek do ust.

Kaśka pokręciła głową.

– Miałeś powiedzieć, co usłyszałeś od Krzysztofa.

– Najpierw wypijcie. – Pokręcił głową, poczekał, aż wszystkie wypiją i odstawią kieliszki na biurko.

– Powiedział mi, że jesteśmy rodziną i że rodzina powinna się popierać, że wszystko, co tu się działo, to była jego wina, że chciał dobrze, ale zachował się jak słoń...

– Robert! Do brzegu! – krzyknęła Kaśka.

– Ojej, chciałem tylko zrobić odpowiednie przygotowanie. Zatem czy zgadzasz się, żebym cię czasami zastępował? – Zrobił maślane oczy.

– Zgoda! A wiesz, że wczoraj wieczorem wymyśliłam coś jeszcze lepszego? Mógłbyś zostać moim formalnym zastępcą. – Robert spowaźniał, słuchając słów Kaśki. – Zrobimy specjalne upoważnienie, pieczętki. Będziesz jeździł na nowe wycieczki, trasy i będziesz miał pełne uprawnienia, żeby negocjować ceny w hotelach, obiektach do zwiedzania i gdzie tam jeszcze. Tylko przygotujesz sprawozdanie, analizę kosztów i od tego będzie zależała twoja premia, okej?

– Chcesz mi dać aż tak dużą samodzielność?

– Przecież twój dziadek pochodził z Poznania, no nie?

Robert napełnił kieliszki szampanem i podał jeden Kaśce. Wanda i Teresa wodziły za

nimi wzrokiem.

– A jak się Krzychu nie zgodzi? – Uniósł lampkę w górę.

– Tak funkcjonowała moja stara firma w Poznaniu, miałam takie uprawnienia i wszystkim było dobrze! – Kaśka uśmiechnęła się. – Rozumiesz? Firma w Poznaniu, z poznaniakami na pokładzie! Dziewczyny, a wy czego takie markotne? Wy też dostaniecie podwyżkę! – Spojrzały badawczo na Kaśkę. – Mam dla was zadanie, które polubicie! Chcecie jeździć w miejsca stałe, czy tak? – Skinęły głowami. – Koszty, ceny hoteli, jedzenia i lokalnego transportu nie muszą być stałe, prawda? – Znowu skinęły głowami. – Więc macie je śledzić, porównywać z innymi w miejscach, do których jeździcie. Część z tego, co firma zaoszczędzi, dostaniecie do kieszeni, okej? – Wanda i Teresa uśmiechnęły się.

– Właściwie to ja się czasami już w niektórych miejscach nudzę... – Wanda pokiwała głową.

– No to rozumiemy się?

– Dobrze, że jednak wróciłaś. Zdrowie szefowej! – Kieliszki spotkały się w powietrzu.

– Halo, czy jest tutaj ktoś? – rozległo się od progu wołanie.

– Po głosie poznaję, że to ta babka, która co dwa tygodnie chce gdzieś pojechać i ciągle nie może się zdecydować... – wyszeptał Robert. – Powiem, żeby przyszła za pół godziny – dodał cicho.

– Już idę! – krzyknęła Kaśka i ruszyła do sali obsługi klientów.

W progu stała niewysoka blondynka w średnim wieku. Zmierzyła Kaśkę wzrokiem od stóp do głów.

– A nikogo z obsługi nie ma?

– Od dzisiaj ja kieruję tym biurem. Jestem Katarzyna Prawosz. Mamy małą naradę organizacyjną, ale słucham panią. – Klientka uśmiechnęła się niepewnie i zatrzepotała rękami. – Usiądźmy, proszę. – Kaśka wskazała stolik. – Czy ma pani jakiś pomysł na wycieczkę, czy chce, żebym ja coś zaproponowała?

– Chciałabym gdzieś pojechać z mężem. To ma być niespodzianka, wie pani, coś bym chciała zobaczyć, ale też może trochę pokąpać się w morzu.

– A lubi pani ciasto? – Kaśka spojrzała jej w oczy. – Może mały trójkącik tortu i kawę, będzie się nam przyjemniej rozmawiało. – Klientka uśmiechnęła się i skinęła głową.

Kaśka podeszła do pokoiku na zapleczu.

– Podajcie, proszę, kawę i kawałek torcika. – Kaśka mrugnęła, przymknęła nieco drzwi i wróciła do klientki.

– Wie pani, to może ja poproszę mamę, ona mi jeszcze doradzi... Czuję, że dzisiaj się wreszcie na coś zdecyduję. Pani jest taka miła. – Wyciągnęła telefon. – Mamciu, przyjdź do biura podróży, pomożesz mi zdecydować. ...Poczekaj chwilkę! A dla mamy też może być kawa? – Kaśka skinęła głową. – Chodź, chodź! Do rozmowy jest kawa gratis! Taka miła pani!

– Podacie dziewczyny jeszcze jedną kawę z torcikiem? – Kaśka uchyliła drzwi do zaplecza.

Kawa pachniała na stoliku, klientki wsłuchiwały się w propozycje Kaśki. Ustalanie miejsca wycieczki, liczby dni oraz możliwych opcji podczas wyjazdu trwało kilkanaście minut. Panie były szczęśliwe, gdyż Kaśka zaproponowała jeszcze stuzłotową obniżkę ze względu na krótki termin, jaki pozostał do wyjazdu.

– One ci jadły z ręki. – Wanda pokręciła z podziwu głową.

– Tylko, Kasiu, będzie problem z przerzuceniem ich z San Marino do Rzymu – dodała Teresa.

– A co ty na to? – Kaśka zwróciła się do Roberta; zmrużyła oczy, nałożyła na łyżeczkę odrobinę torciku i z lubością go smakowała.

Robert siedział bez słowa i kiwał głową, z błyskiem w oku przypatrując się Kaście zajadającej marcello.

– Jeśli dobrze zrozumiałem, to co drugi dzień muszę przynieść torcik – roześmiał się. – Krzysiek powinien cię ozłocić! Nie stosowaliśmy tutaj takich chwytów, bo... bo ja wiem...? – wzruszył ramionami.

– Posłuchajcie... Ja niedawno uzmysłowiłam sobie, że możemy tu wykorzystać metody pracy i kontakty z mojej poznańskiej firmy. Tylko potem porobiło się... e, co tam! – Machnęła ręką. – Do strategii Krzyškowi nie będę się wtrącać, on wie, co ja wiem, i w razie czego porozmawiamy, ale na pewno da nam dużą samodzielność. – Kaśka uśmiechnęła się szeroko. – A teraz zastanówmy się, jak lepiej docierać do potencjalnych klientów.

*

Podczas drogi powrotnej do Parchowa Kaśka mogła wreszcie pomyśleć o sobie. W pracy zdążyli dzisiaj wiele ustalić, przedyskutować, ale na myślenie o swoich sprawach czasu już jej nie starczyło. I dziewczyny, i Robert wykazywali się tak dużą inwencją, aż musiała ich trochę hamować. Torcik stał się hitem dnia. Oni sami doszli do wniosku, że dobre wieści rozchodzą się najlepiej, i że pierwsza klientka musiała opowiedzieć o poczęstunku chyba niejednej osobie w mieście, bo wysyp potencjalnych klientów był niespotykany. Teresa zaśmiewała się, że Robert zrezygnował nawet ze swojej porcji, byle tylko starczyło dla klientów.

Teraz spoglądała na drogę i uczyła się jej. Lubiła otwartą przestrzeń, otwierającą się zaraz po wyjeździe z lasów kartuskich i ciągnącą się aż do Smętowa Chmielińskiego. Przypominała jej, nie wiedzieć czemu, szosę w okolicach Ojcowa. Potem było Ręboszewo, czasami zatrzymywała się na ulubionej Złotej Górze, zwalniała w Brodnicy, a za nią dało się jechać szybciej aż do Borucina. Tam z kolei czekała ją wolna jazda, bo poboczami chodziło jeszcze sporo letników. Lubiła przyglądać się szczęśliwym ludziom, a za takich zawsze uważała wszystkich wczasowiczów i turystów. Teraz dostrzegła żaglówkę niedaleko od brzegu jeziora. Przypominał jej się rejs z Maciejem po Mauszu. Jego spojrzenie zza okrągłych okularów, cudowny baryton, opanowanie i wyrozumiałość. Nie spotkała dotąd mężczyzny, o którym po tak niewielu spotkaniach mogłaby mieć tak wiele ciepłych myśli. Tylko z opowieścią na ognisku przesadził... Chciał opowiedzieć coś innego, ale zorientował się pewnie, że słuchacze nie ci... Już ja go kiedyś odważę, uśmiechnęła się.

Co teraz będzie za miejscowość? Coś chyba z nosem... ale co? Nie, to jakaś huta...? Aha! Jeszcze tylko parę zakrętów pod górę do Nowej Wsi, a dopiero wówczas to coś z nosem... Nie mogła sobie tej nazwy przypomnieć; obserwowała cały czas drogę, przyglądając się jakimś istotnym miejscom, które mogą być zagrożeniem jesienią albo zimą. Ho, ho, ho! To ja już myślę tak daleko? O kurczę! Dobra jestem! Ooo! Jadę bez muzyki... Jak to się stało? Co by tu puścić? Co tutaj leży? Skaldowie? A skąd się oni tu wzięli? Pewnie mama grała, jak jechała sama do Bytowa. Ależ to stara płyta! Ale nic, niech będzie.

O! *Wszystko mi mówi, że mnie ktoś pokochał!* Śliczne to, a jakie aktualne! Nuciała piosenkę razem ze Skaldami.

To Klukowa Huta! Ha, ha, ha! Miałam rację, że coś z nosem... Teraz zapamiętam. No, to jeszcze tylko Węsiory, Sulęczyno i jestem w domku. A nie, jeszcze Parchowski Młyn! Co ja powiedziałam? W domku? No, w domku, a gdzie? Boże, jak tutaj cudownie. Życie nie umierać. Wszystko mi się ułożyło... Jak ta piosenka się nazywa? *Wspólny jest nasz świat*. Kaśka wtórowała:

*Ja i ty – jeden mamy świat,
Ja i ty – jedno niebo.
Jedna droga i jeden most,
Jedna jest nad nami noc.*

*Oddaj mi, połowę oddaj świata,
Smutku pół, radości oddaj pół.
Zabierz mi tym jednym swym uśmiechem
Smutku pół, świata pół.*

Ależ to prawdziwe słowa... To pewnie Moczulski. Kiedy mama znalazła tę płytę? Pasowała jej, bo zakochała się w Ryszardzie. Chociaż... może one i do mnie pasują? Kaśka uśmiechnęła się.

Już Mausz... zaraz kolacyjka. Wjechała do wsi. Szkoła. Marysia na pewno w domu, z Klausem i dziećmi. Uśmiechając się, pomachała krawężnikowi przy wysepce autobusowej, dzięki któremu zostały w Parchowie na lato. Dziękuję ci, że tutaj jesteś! Krawężnik i awaria... To był właśnie ten znak, który mama od razu rozpoznała. A ja głupia się śmiałam... Jaki mam czas? Czterdzieści cztery minuty... Czyli zimą co najmniej godzina. Ale to i tak nieźle. Czterdzieści cztery... skąd ja znam tę liczbę? O kurczę! To przecież... *Dziady* Mickiewicza! „A imię jego będzie czterdzieści i cztery...”. Nieźle pojechałam... nie ma co!

*

Anna zdążyła zjeść kanapkę z miodem i wypić z Felicją poranną kawę, kiedy przyjechał Ryszard. Czekala z niecierpliwością, zastanawiając się, jakież to niespodzianki przygotował na dwudniowy wyjazd.

– Zacniemy od Słupska. To niedoceniane miasto, jeśli idzie o zabytki. Będziemy tam za godzinę. Zaparkujemy gdzieś i pospacerujemy sobie trochę – powiedział, kiedy już siedzieli w samochodzie.

– Ze wstydem się przyznam, że nic prawie nie wiem o tym mieście.

– Różne były jego dzieje. W początkach osiemnastego wieku ponoć około sześćdziesiąt procent mieszkańców miasta mówiło jeszcze po kaszubsku^[24]. – Ryszard dojrzał w oczach Anny zdziwienie. – Kaszubi przecież zamieszkiwali niegdyś całe Pomorze od Odry do Wisły – zawiesił głos, dostrzegając kątem oka, że Anna pokręciła głową.

– Wiesz, to będzie trochę wyglądało jak tłumaczenie, ale kiedyś poza operą niewiele mnie interesowało. Byłam na inne sprawy jakby zaimpregnowana – posmutniała. – Poza

tym zawsze było mało czasu – dodała po chwili.

Zapadło milczenie. Jechali przez lasy. Pomiędzy migającymi za oknem drzewami Anna dojrzała w pewnym momencie błękit wody. Spojrzała pytająco na Ryszarda.

– To jezioro Jasień, ma prawie osiem kilometrów długości i siedem wysp. Kiedyś tu bywałem – rzucił Ryszard.

Anna zamyśliła się. Błądziła wzrokiem po szosie, starając się zajrzeć w głąb lasów, wychwycić coś, o co będzie mogła znowu spytać.

– Wracając do Kaszubów i Pomorza – odezwała się po jakimś czasie – ...dokończ, proszę, tę opowieść – uśmiechnęła się prosząco.

– Ja jestem stąd. W domu rodzice ciągle mówili o sprawach kaszubskich, a potem sam zdobywałem różne informacje, pogłębiałem swoją wiedzę – uśmiechnął się, na moment oderwał rękę od kierownicy i przelotnie pogładził dłoń Anny. – Kaszubi przez setki lat byli spychani na wschód przez Niemców. Większość stała zawsze przy Polsce, przy Koronie. Ale wracając do Słupska... Długo nosił nazwę Stolp, należał do Hanzy. To były dobre lata w jego historii. – Znowu zerknął na Annę. – W połowie szesnastego wieku, podobnie jak w wielu miejscach Europy, pojawiła się tu reformacja; w efekcie katolicyzm został stąd wyparty. Zapanował luteranizm. Po wojnie trzydziestoletniej miasto znalazło się w granicach Elektoratu Brandenburgii. Rozpoczął się proces germanizacji jego mieszkańców i w dziewiętnastym wieku było to już całkowicie niemieckie miasto.

– Sporo wiesz. – Anna przez cały czas patrzyła na Ryszarda. – Dziwna ta nasza historia... – Pokiwała głową.

– Dlatego też, razem z Mikołajem, zajmowaliśmy się rycerskością, bo to i nauka historii, i szkoła patriotyzmu.

Ani się obejrzeni, kiedy wjechali do Słupska. Zaparkowali przed okazałym gmazyskiem.

– To pewnie ratusz – rzuciła Anna, gdy wysiedli.

– Tak. Zbudowano go na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku. A to Nowy Rynek – odparł z uśmiechem Ryszard. – Wolę tę nazwę niż oficjalną. Tam jest Nowy Ratusz, zwany Belwederkiem, a tam kawałek starych murów – to Nowa Brama.

Anna nie spodziewała się, że Ryszard z taką swadą będzie opowiadał o mieście i jego zabytkach. W pewnym momencie zachwycona widokiem ronda, w którym zbiegało się promieniście kilka miejskich arterii wraz z pięknymi secesyjnymi budynkami wokół, zatrzymała się i ucałowała Ryszarda w policzek.

– Nie chciałam jechać do prawdziwego Paryża, a ty pokazałeś mi namiastkę tego, co tak ukochałam w tamtym mieście. Dziękuję.

– W dawnych czasach Słupsk, dzięki tej części miasta, nazywano Paryżem Północy. – Anna otworzyła oczy szeroko. – Musieliśmy więc tutaj przyjechać. Pokażę ci jeszcze pozostałości starego Słupska, ale najpierw chodźmy nad Słupię.

Anna wcisnęła dłoń pod jego ramię; jej twarz promieniała radością.

– Zaraz opowiem ciekawostkę, ale najpierw o coś cię spytam – rzucił Ryszard, gdy wyruszyli ze Słupska. Anna spojrzała na niego, mrużąc oczy. – Wspomniałem, że Słupsk był członkiem Hanzy, ale wydało mi się, że ciebie to nie zainteresowało. Dobrze zauważyłem?

– Pomyślałam, że się przejęczyłeś.

Ryszard uśmiechnął się.

– Dawniej często o tym opowiadałem różnym osobom i na ogół też wywoływało to

zdziwienie. Słupsk był bardzo prężnym członkiem Związku, a Ustka jako jego port obsługiwała handel Ziemi Słupskiej. Przybijały tu statki z Anglii, Holandii, Szwecji i Polski.

– Ustkę uważałam za stary port rybacki, słowiański czy kaszubski, a tu...

– Ustka utraciła kaszubskość co najmniej sto lat przed Słupskiem. Stała się potem na tyle bogatą osadą, że zaczęła stanowić konkurencję dla Słupska. Zazdrośni słupszczanie najechali ją więc i splądrowali. Nie było to mądre i przypomina stare polskie przysłowia. – Ryszard zaśmiał się. – Przecież Słupsk przez chciwość tutejszych mieszkańców stracił swoje okno na świat. Ustka całkowicie upadła po wojnie siedmioletniej i wojnach napoleońskich.

– No, ale zaraz po drugiej wojnie światowej był tam przecież port...

– Ustkę zaczęto odbudowywać w połowie dziewiętnastego wieku, stała się państwowym niemieckim portem, a na przełomie wieku jednym z najmodniejszych nadbałtyckich kąpielisk i kurortów leczniczych.

– Koleżanki z Opery opowiadały mi, że w Ustce jest cudna plaża. – Anna spojrzała pytająco na Ryszarda.

– Są dwie plaże: na zachód od portu i na wschód. Na zachodnią jest dosyć niewygodny dojazd, tę drugą, w centrum miasta, coraz trudniej utrzymać w dobrym stanie, bo sztormy ją niszczą.

– Ale pospacerować tam chyba można – uśmiechnęła się.

– Tak! Jest przy niej urokliwa promenada, może gdzieś tam zjemy obiad.

Anna skinęła głową. Było jej dobrze. Dawno już nikt się nią nie opiekował, nie dbał, nie wyręczał. Czuła się przy Ryszardzie bezpieczna. Przez moment pofrunęła myślami do Mikołaja. Nie! On nie miałby nic przeciwko temu, że przyjaźni się z Ryszardem. Przyjaźni? Zerknęła na niego, mrużąc oczy: dobrotliwy uśmiech i silna postura, wciąż rozpiera go energia. Ryszard wyczuł to spojrzenie i skierował radosną twarz w jej stronę.

– Wygodnie ci, Aniu? Może...

– Jest mi doskonale. Mogłabym tak jechać z tobą bardzo daleko. – Położyła delikatnie dłoń na jego przedramieniu. – Nie przeszkadza ci to?

– Jest bardzo miło – uśmiechnął się.

Potem była wizyta w latarni morskiej i długi spacer obok basenu portowego, a następnie promenadą. Obiad zjedli w restauracji, w której nie proponowano typowego menu. Można było sobie wymyślić cały posiłek, a kelner tylko dyskretnie podpowiadał. Spotkała się z takimi knajpkami we Włoszech: w Wenecji, Florencji, San Remo...

Kiedy ruszyli kolejny raz w drogę, zastanawiała się, jaka będzie następna niespodzianka zaplanowana przez Ryszarda na dzisiaj. Postanowiła nie pytać, czekała, aż sam coś powie.

Trasa wiodła krętymi, wąskimi, ale niezłe utrzymanymi drogami. Spoglądała na drogowskazy, ale nie potrafiła odgadnąć celu podróży.

– Widzę, Aniu, że zastanawiasz się, dokąd teraz jedziemy – rzucił w pewnej chwili Ryszard.

– No właśnie, intryguje mnie to.

– Jedziemy do księstwa! – mrugnął.

– Proszę? Do jakiego księstwa? – Anna poprawiła się w fotelu.

– Do jedyne go księstwa w Polsce.

– Co to jest za księstwo? Chyba mnie nie bujasz...?

– Nie bujam! – Pokręcił głową.

– To nie rób dłużej z tego tajemnicy.

– Niecałą godzinę jazdy stąd – zaczął tajemniczym tonem – jest miasto Łeba. – Anna skinęła głową. – Trzy lata temu tamtejsi przedsiębiorcy, czy jak wolisz biznesmeni, postanowili w celach promocji miasta utworzyć Księstwo Łeba i wybrać swojego monarchę – zakończył.

– Nic o tym nie wiedziałam – przyznała Anna. – To trochę w stylu waszych zabaw w rycerstwo.

– Tak! Właśnie dlatego pojechałem na rozmowę z pierwszym wybranym księciem, kiedy już trochę okrzepł we władaniu... – Ryszard rzucił roześmianym wzrokiem na Annę – ...i zaoferowałem mu swoje usługi. Wówczas miał skromniejsze plany, jak wydawanie paszportów, bicie monety, organizację corocznych parad, w których brać mają udział, oprócz księcia ze świtą, mieszkańcy poprzebierani w stroje z epoki.

– I właśnie teraz będzie taka parada?

– Niestety, była już w lipcu. Może uda się za rok – rzucił Ryszard i spojrzał w jej stronę. Anna uśmiechnęła się. – Łeba to miła letniskowa miejscowość i spędzimy w niej, jak sądzę, ciekawy wieczór.

Wjechali do miasta. Anna przyglądała się mijanym domom mieszkalnym i pensjonatom.

– Ładnie tutaj i schludnie.

– Mieszkańcy żyją tu z wczasowiczów i turystów, muszą się więc starać. Bycie księstwem też do czegoś zobowiązuje – odparł z emfazą Ryszard. – Zwiedzimy po drodze najstarszą budowlę w mieście... To kościół pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Zatrzymali się na pobliskim parkingu.

– Ciekawa budowla. – Anna uniosła rękę do czoła, zasłaniając oczy przed słońcem.

– To dawny zbór protestancki, który ma bogate dzieje. Jego historia zaczyna się w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku...

– Roku Wiktorii Wiedeńskiej! – wyrwało się Annie.

– Masz rację. – Ryszard skinął głową. – Tutaj wcześniej stała kaplica, ale miasto potrzebowało większej świątyni. Stare miasto, a potem także kościół, leżące na lewym brzegu rzeki uległy zagładzie po wielu kataklizmach naturalnych, więc mieszkańcy zaczęli rozbudowywać osadę na prawym brzegu, dzisiejszą Łebę. Do budowy tej świątyni użyto w części materiałów z rozbiórki tamtej. Katolickim kościołem została po niewielkich przeróbkach rok po wojnie.

– Dużo tutaj na Kaszubach tego typu historii. Podobnie było w Kartuzach z kościołem w rynku i w Helu, gdzie teraz jest muzeum. Opowiadały mi Kasia i Eliza.

– Tak, Kaszubi byli na tych ziemiach przez długi okres mniejszością, mocno germanizowaną. Niemcy, Prusacy byli zasadniczo ewangelikami. Kaszubi to dzielny lud, który w znacznej części nie poddał się germanizacji i trwał przy Kościele katolickim.

Weszli do świątyni. Anna na moment przyklękała w progu.

– Wnętrze przypomina mi trochę kościół parchowski – rzuciła cicho. Ryszard skinął głową.

Po chwili ruszyli wolno w kierunku ołtarza.

– Ta wisząca przed prezbiterium figurka chrzcielnego anioła ma z pewnością dwieście lat, wisiała tu już w tysiąc osiemset dwudziestym czwartym roku. – Ryszard wskazał dłonią.

Anna zatrzymała się pośrodku kościoła i wodziła wzrokiem po wnętrzu. Drewniane

sklepienie, drewniany chór z organami, witraże w gotyckich oknach.

– Cudo... – wyszeptała. – A cóż to za piękny obraz? – spytała cicho.

– Ten obraz namalował Niemiec, profesor Max Pechstein, znany ekspresjonista okresu międzywojnia, który na czas wojny i hitlerowskich prześladowań skrył się w Łebie. Stąd pochodziła jego żona.

Przysiedli w ławce naprzeciwko obrazu i Ryszard opowiedział Annie historię jego powstania.

– Wielki człowiek ten Pechstein – westchnęła. – Życie pisze jednak najbardziej nieprawdopodobne scenariusze.

– Ten obraz nazywany jest różnie: Madonną Orędowniczką lub Madonną z Morza i Orędowniczką Rybaków, a kościół – rybackim.

– Skąd ta nazwa?

– To stara tradycja. Zasypany kościół świętego Mikołaja związany był z kultem srebrnego dorsza, po kaszubsku zwanego pomuchlem. – Ryszard mógł się wykazać znajomością i tej historii; cieszyło go, że Anna była wdzięczną słuchaczką. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku łebscy rybacy ofiarowali Janowi Pawłowi II srebrnego dorsza – symbol ich życia. W dwutysięcznym roku w kościele umieszczono i poświęcono pamiątkę tego daru.

Wyszli na zewnątrz.

– To nie wszystko, od dwóch lat w dniu świętego Mikołaja, szóstego grudnia, organizowany jest w mieście Festiwal Pomuchla.

– Może przyjedziemy tutaj? – spytała Anna; Ryszard skinął głową.

Po chwili znowu jechali samochodem, kierując się w stronę centrum miasta. Na ulicach było coraz więcej spacerujących turystów. Anna z zainteresowaniem wodziła wzrokiem po odrestaurowanych domkach.

– Dużo z tych domków pochodzi z pierwszych lat dwudziestego wieku, ale ten... – Ryszard wskazał głową –...z tysiąc siedemset dwudziestego trzeciego roku.

Skręcili w drogę prowadzącą przez las.

– Wyjeżdżamy z miasta? – Anna wykonała ruch ręką i obejrzała się za siebie.

– Nie – uśmiechnął się Ryszard. – Zaraz zobaczysz.

Zatrzymali się przed dużym gmachem. Ryszard zgasił silnik i otworzył drzwi.

– O, jaki śliczny pałacyk. Co tu jest? – spytała Anna, kiedy wysiedli z samochodu.

– Teraz hotel – uśmiechnął się Ryszard – ale przez czterdzieści pięć lat był to dom wczasowy, a przed wojną Kurhaus, dom kuracyjny, przyjeżdżały tutaj elity Trzeciej Rzeszy. – Spojrzał poważniej na Annę. – Wówczas i dzisiaj jest to wizytówka Łeby – ostatnie słowa dodał już weselszym tonem. – Niektórzy liczą jego wiek od tysiąc dziewięćset siódmego roku, inni odejmują jeszcze cztery lata. Tutaj zaplanowałem nocleg. – Spojrzał na nią, skinęła głową. – Pójdźmy w takim razie się rozgościć, a potem możemy wybrać się na spacer.

– Z największą chęcią. – Anna omiotła go powłóczystym spojrzeniem.

Po kilku minutach podziwiała apartament, który zamówił. Gustownie urządzonej salonik z sofą, a za przesuwными drzwiami sypialnia z szerokim łóżkiem. Uśmiechnęła się do siebie i podeszła do uchylonych drzwi balkonowych.

– Cóż za prześliczny widok, a jakie powietrze... – Oparła się o balustradę i odetchnęła głęboko.

– Dzisiaj będzie piękny zachód słońca – usłyszała tuż za sobą głos Ryszarda i poczuła zapach dobrej wody kolońskiej. Odwróciła się w jego stronę.

Uniosła dłonie w górę, oparła się o tors mężczyzny i spojrzała mu w oczy.

– Przywiozłeś mnie do księstwa, a ja w tej wieży czuję się jak prawdziwa księżna – powiedziała cicho, gdy objął jej dłonie swoimi.

– Miałem obawy, czy zdecydujesz się na wyjazd ze mną – Ryszard uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

– To lato jest takie nieprzewidywalne, nie wiedziałam, jak zareagować na twoją propozycję, ale teraz jestem szczęśliwa... – Przymknęła oczy.

Ryszard uniósł jej prawą dłoń i złożył na niej pocałunek.

– Masz ciągle takie same czarne, błyszczące oczy jak wtedy.

Przeszywali się wzrokiem. Ryszard z wolna pochylał się w kierunku jej twarzy, aż do spotkania się ust.

Objął ją silnymi ramionami, a ona przywarła do niego ufnie.

– Nie myślałam, że coś takiego może mi się jeszcze w życiu zdarzyć – wyszeptała po chwili.

– A ja nigdy bym nie pomyślał, że kiedykolwiek wypowiem słowa o marzeniach, które się spełniają – odparł. Przytulili się mocno.

– Ludzie patrzą – zreflektowała się Anna, spoglądając w dół.

– Chyba nie musimy się ukrywać? – Ryszard roześmiał się.

Oparli się o balustradę i spojrzeli na chodnik, kilkoro spacerujących wpatrywało się w nich. Ryszard skłonił głowę i uniósł dłoń. Ktoś z dołu klasnął, ktoś inny pomachał ręką. Anna i Ryszard uśmiechnęli się, pozdrowili spacerujących i weszli do pokoju.

*

Anna wyszła z łazienki i spojrzała na Ryszarda. Jego zamurowało na jej widok. Błękitna sukienka, wiśniowa pomadka i kolorowe dodatki.

– Nieźle wyposażona łazienka. – Pokazała kciukiem za siebie, udając, że nie zauważa jego wzroku pełnego podziwu.

– Chyba błękit wynaleziono specjalnie dla ciebie. – Poderwał się z sofy.

– Dziękuję – zmrużyła oczy. – Zdecydowałam się jednak na prysznic. Teraz możesz ty...

Ryszard spojrzał na zegarek.

– Dziesięć minut mi starczy. Chciałbym, żebyśmy wrócili do pokoju piętnaście minut przed dwudziestą, bo wtedy będzie czas na kąpiel słońca w morzu – uśmiechnął się.

Kiedy po kolacji i spacerze wokół pałacyku wrócili do pokoju, słońce niemal już dotykało tafli wody. Anna skierowała obiektyw aparatu w stronę błyszczącej tarczy.

– Zdjęcia będą pyszne. Takich z zachodzącym słońcem dawno już nie robiłam – uśmiechnęła się do Ryszarda. – Popatrz, teraz słońce i woda spotkały się – cieszyła się jak mała dziewczynka.

Co kilka chwil robiła kolejne zdjęcie, uwieczniając schodzenie słońca coraz niżej pod wodę. Niebo na zachodzie miało kolor ciemnoceglasty, prawie czerwony. Słońce u dołu w kolorze ciemnożółtym, wyżej przechodziło w tonacje jaśniejsze.

– Przed chwilą mewy przeleciały na tle słońca. To może być cudowne ujęcie –

uśmiechnęła się szeroko.

Rozległo się pukanie do drzwi. Anna obejrzała się. Ryszard podszedł do drzwi. Zobaczyła kelnera z tacą. Szampan.

– Ooo!

– Nie przerywaj sobie, Anno, ja w międzyczasie otworzę.

Kiedy słońce wystawało już tylko niewielką częścią górnej krawędzi ponad wodę, Ryszard podał Annie kieliszek.

– Chciałbym zawsze widzieć cię taką radosną.

Ich kieliszki spotkały się w powietrzu, usta Anny musnęły policzek Ryszarda.

Od morza u ich stóp dochodziły krzyki mew i szum przyboju. Kiedy wreszcie zgasili wszystkie światła, Anna podeszła bosą do sofy, na której Ryszard szykował się do snu.

– Chcę, żebyś spał obok mnie – wyszeptała i pociągnęła go za sobą w kierunku sypialni. Przemierzyli salonik w świetle księżycy.

– Jesteś prawdziwą księżną...

Leżeli w ciszy. Anna spoglądała na księżyc, przesuwaną powoli po niebie. Ryszard wsparł się na lewym łokciu i spoglądał na jej radosną twarz.

– Tyle dzisiaj emocji, przyjemności... Rankiem Paryż Północy, a wieczorem zachód słońca i księżyc. Chciałabym, żeby to się nigdy nie kończyło... – Przytuliła się mocno do Ryszarda.

– Jeszcze niedawno nie uwierzyłbym, że coś takiego i mnie może się przydarzyć. – Spojrzał w jej oczy. – Sądziłem, że takie rzeczy zarezerwowane są tylko dla młodych.

– Ja czuję się dzisiaj bardzo młodo...

– Ja przy tobie też...

Wielkie sprzątanie



– Kogo tu lichy niesie? – Eliza spojrzała na swoją komórkę, sunącą po stole i grającą *Most na rzece Kwai*. – Pasjansa nie można sobie spokojnie postawić?

– Halo! Ooo...! To ty Max?! Zapomniałam zapisać twój numer i o mało co bym nie odebrała... Dzwoniłbyś do skutku?!.. Super! Dobra, już zamieniam się w słuch!...

– Coś tak się wydzierała? – Gdy Eliza skończyła rozmowę, na werandę weszła Felcia.

– Max dzwonił! W piątek będą u nas!

– I ty tak spokojnie to mówisz?! – Felcia prawie podskoczyła.

– Przecież się wydzierałam!

– Ojoj! – Felcia usiadła na krześle. – I co my teraz zrobimy? – Popatrzyła w popłochu na Elizę.

– My? Może wypijemy kawkę? – Eliza zmrużyła szelmowsko oczy.

– Kawkę? A wiesz, że to niegłupia myśl. Ale ty robisz! – zaśmiała się.

Za kilka minut popijały kawę z filiżanek.

– A dzwoniłaś już do Kaśki? – Felcia spojrzała na Elizę.

– Wysłałam SMS-a. Niech pracuje! – Eliza pokazała zęby w uśmiechu. – Odpisała, że postara się trochę wcześniej wrócić.

– No i dobra... A do babci dzwoniłaś?

– Felciu! Taka głupia to ja już nie jestem! Toż babcia wyrwała się na imprezę pierwszy raz od nie wiedzieć kiedy, a ja mam jej tyłek zawracać?

– Jak ty się wyrażasz o babci? – Felcia roześmiała się. – Jo! Pewnie z radości jest... cała zgrzana. Masz rację, nie trzeba jej gadać, bo zaraz by chciała wracać do domu. – Felcia postukała wyprostowanym palcem wskazującym w stół. – A teraz co tam naciskasz? Do mnie piszesz?!

– No tak! – Eliza mrugnęła. – Piszę do mamy, żeby nie ważyła się dzwonić do babci.

– Masz rację! Aleś ty mądra.

– Ktoś musi taki być, Felciu. Tutaj nikt nie ma czasu na myślenie. – Eliza prychnęła, prawie krztusząc się drożdżówką.

– No, no! Dziewucho! – Felcia pogroziła jej palcem, zaśmiała się i potargała po czuprynie.

*

Anna i Kaśka pojawiły się w „Iskierce” prawie jednocześnie, chwilę po tym, gdy zegar w kuchni wybił piętnastą. Ledwie Ryszard po odprowadzeniu Anny i kilku chwilach rozmowy z Felcią i Elizą pożegnał się i wyjechał, nadjechała Kaśka. Weszła energicznie na werandę.

– I jak było? – Felcia zdążyła się jeszcze słodko uśmiechnąć do Anny.

– Bosko. On jest taki...

– Potem pogadacie sobie o tych karesach, a teraz do rzeczy – przerwała im Kaśka.

– Ale o co chodzi? – Anna zrobiła oczy. – Dlaczego nie możemy sobie z Felcią teraz

pogadać?

– W piątek przyjeżdżają Władek i Max! – zawołała Eliza.

Anna zgubiła uśmiech i poczęła spoglądać na przemian na dziewczyny i Felcię. Z każdej strony zobaczyła skinięcie głową.

– No, to dopiero teraz mówicie?! Trzeba było mnie uprzedzić!

– Mówiłam, Felciu? – Eliza potrząsnęła dłońmi.

– Mówiłaś! – Felcia skinęła głową.

– Mamo, chyba cię poniosło! O mało co bym do ciebie zadzwoniła, ale Eliza mnie ostrzegła...

– Mówiłam, Felciu?! – powtórzyła Eliza.

– I miałaś rację! – Felcia założyła ręce na brzuch. – Siadajcie!

– No przecież siedzę! – Anna zdziwiła się.

– Bo dwa razy powtarzać nie będzie! – zachichotała Felcia. – Dobre antre, Elizka?

– Doskonałe antre, Felciu! A więc słuchajcie mnie, kobiety! – Eliza ściszyła głos i nachyliła się nad stołem.

– Czy to jakaś tajemnica? – zaniepokoiła się Anna.

– Babciu, chcesz, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli? – Eliza rozejrzała się wokół, Anna podążyła za jej wzrokiem.

– Przecież tutaj nikogo oprócz nas nie ma...

Eliza zaśmiała się głośno.

– No dobra! Władek i Max przyjeżdżają w piątek. Całkowicie pozmieniali trasę wyjazdu – rozłożyła ramiona. – Nie wiem dlaczego, ale Max powiedział, że oni sami też nie do końca wiedzą, jak to się stało. Betty trzy dni przed wyjazdem miała jakiś sen, odwołali wszystkie rezerwacje hoteli, zostawili tylko bez zmiany lot do Londynu. Zobaczyli to, co chcieli zobaczyć w Anglii, teraz są w Paryżu, no a stamtąd przyjadą do nas.

– A jak przyjadą? – Anna spojrzała na Elizę.

– Wypożyczyli samochód i nim przyjadą. Betty zostaje w Paryżu z przyjaciółmi, a panowie wybierają się tutaj sami.

– Ale na jak długo? No, bo wiecie... – Felcia nie wytrzymała napięcia.

– Max mówił, że wszystko rozwiązują w działaniu i się okaże – prychnęła Eliza. – Wychodzi z nich słowiańska natura. Na pewno jakieś trzy dni będą u nas!

– No, położę ich w wozowni. – Felcia uderzyła dłonią o stół. – Będą mieli dla siebie cały budynek. Tam są nowsze łazienki – uśmiechnęła się.

– Mam tylko dzisiaj pod wieczór wysłać Maxowi propozycję trasy. Coś już wybrał, ale woli to porównać jeszcze z inną. – Eliza spojrzała na Kaškę.

– To dobrze trafił, bo znam dobre drogi przez Niemcy i Beneluks – uśmiechnęła się Kaška.

– No dobra, o tym porozmawiacie sobie później, a teraz może skoczmy do Bytowa po zakupy? – Anna spojrzała na Kaškę i Elizę.

– Jedźcie, a ja się w tym czasie naradzę z Ewelinką. – Felcia zerwała się raptownie z krzesła. – Ewelinka! – krzyknęła głośno. – Ewelinka!

Piętnaście minut później Żaba pędziła już w kierunku Bytowa.

– Dochodzi czwarta, mamy mało czasu. Może najpierw kupimy jakieś upominki, a potem coś delikatesowego? – Kaśka spojrzała na matkę.

– Jedź od razu pod Wieżę, tam można kupić fajne pamiątki. – Eliza klepnęła ją w ramię. – A jeśli tam nie będzie czegoś ekstra, to w rogu rynku, tuż przy kościele jest sklep...

– Byłam tam niedawno, mają ładne rzeczy, obrazki, figurki – przerwała córce.

– A kiedy ty tam byłaś? – Anna spojrzała na córkę.

– Wtedy, kiedy ty spotkałaś się spontanicznie z Ryszardem – zaśmiała się Kaśka.

– Przyznał mi się, że to jednak nie było spontaniczne spotkanie. – Anna pogroziła Kaśce palcem.

– A kiedy mieliście czas rozmawiać o takich sprawach? Już inne tematy wam się skończyły?

– No faktycznie, cały dzień mieliśmy bardzo zajęty, ale była przecież noc...

Kaśka spojrzała na matkę.

– Mamo, trzymaj fajerę i patrz przed siebie! – wrzasnęła Eliza.

– A ty słyszałaś, co babcia wygaduje?!

– Że rozmawiali w nocy... i co w tym złego?

Anna uśmiechnęła się do wnuczki.

– Felci opowiem więcej, ale wam...

– Mamo! Babciu! – Kaśka i Eliza zaprotestowały prawie równocześnie.

– To słuchajcie i nie przerywajcie... Ryszard jest super! Pokazał mi wczoraj Paryż Północy, czyli Słupsk. Śliczne miasto. Wiecie, że ja tyle jeździłam po Europie, a nie wiedziałam, że mamy tutaj takie skarby? – Anna rzuciła kolejno wzrokiem na Kaśkę i na Elizę. – Potem byliśmy w Ustce, a na koniec w Łebie – uśmiechnęła się. – Wieczorem pokażę wam zdjęcia zachodu słońca i dzisiejszego wschodu.

– O Boże! To kiedy ty spałaś?

– No przecież mówiłam, że rozmawialiśmy długo w noc... w łóżku, po tym jak wypiliśmy szampana. – Anna znowu się uśmiechnęła.

– Czy ty sobie, babciu, żarty z nas robisz?

– Jak nie mówię, to źle, jak mówię, to też niedobrze. Słuchajcie mnie po prostu i już! Kaśka, pilnuj szosy! Wczoraj miałam dużo czasu, żeby pomyśleć o sobie. Patrzyłam przez cały dzień na mężczyznę, który kocha mnie od czterdziestu lat. Jest prawie idealny – zmrużyła oczy. – Wiem, co myślicie... Myślałam też wczoraj o Mikołaju... Kaśka, pilnuj kierownicy! Jestem pewna, że nie miałby nic przeciwko temu, że chcę być teraz z Ryszardem.

– Mamo, ale tak nagle?

– Jakie nagle?! Znamy się przecież już od miesiąca! – Anna uśmiechnęła się. – Ostatnio myślałam tylko o nim, podczas tego wyjazdu obserwowałam go i sprawdzałam w działaniu. – Spojrzała na swoje dziewczynki. – Czy my oboje tak dużo chcemy? Czy oczekujemy czegoś wielkiego? – zamilkła.

Dziewczyny też milczały, przy szosie mignęła tablica z napisem BYTÓW.

– Kiedy obudziłam się rano, czekało na mnie śniadanie. Tak bajkowo nie musi być zawsze i pewnie nie będzie – znowu się uśmiechnęła – ale pokazał, że bardzo mu na mnie zależy, a ja chcę tego, co i on.

– A to łóżko, mamo? – Kaśka zmrużyła oczy.
– Ty nie mruż oczu, jak prowadzisz! – skarciła ją Anna i zaśmiała się. – Łóżko...!
Wygodne było i już!

*

Anna z dziewczynami wypakowywały zakupy na kuchenny stół.

– Elizka, spożywcze stawiaj tam, na kredensie.

Eliza wyciągała z toreb słoiczki, puszcзки, kartoniki i pojemniczki z delikatesowymi rarytasami.

– Wyście od tego Szulty wszystko wykupiły? – Felcia na moment spoważniała.

– Wiem, poniosło nas, ale to się zje. Przez dwa miesiące nie miałam okazji robić zakupów, wydawać, więc dzisiaj było bez hamulców. – Anna spojrzała na Felcię radośnie.

– Żartowałam, ale wielu tych tam nie znam. – Felcia wskazała palcem na kredens i pokręciła głową. – Jakby co, będziesz mi mówiła, jak co się je – zaśmiała się. – Oni i tak będą chwalili nasze jedzenie. Zobaczysz! A co tam macie w tamtych torbach?

– Kasiu, wyciągnij najpierw tego aniołka. To dla ciebie, Felciu.

Anna postawiła na stole przed Felcią drewnianą, kolorową figurkę ze skrzydełkami. Felcia oglądała ją ze wszystkich stron.

– To dla Betty?

– Nie, Felciu, powiedziałam przecież, że to dla ciebie ode mnie. Od nas – poprawiła się Anna.

– Jak to dla mnie? A czy to ja przyjechałam z Ameryki, czy co?

– On jest jakby stworzony do twojego pokoju. W tej wieży prawie jednocześnie spojrzaliśmy na niego i pomyśleliśmy o tobie, każda z osobna. – Anna pogładziła Felcię po dłoni.

– Powieszę go pomiędzy zdjęciami rodziców i Macieja... – Felcia chlipnęła. – Cudo. Dziękuję wam.

– A teraz zobacz, co mamy dla nich. Dla Betty obrazek z naszym pejzażem i chustę we wzory kaszubskie, Władek dostanie tabakierkę i dzwon, a dla Maxa obrazek z alfabetem kaszubskim i fajka.

– Ładnie wybrałyście... – Felcia oglądała prezenty wykładane kolejno na stół.

– Jeszcze tylko dziewczynki skoczą rano do księgarni albo na zamek po jakiś album. Dzisiaj już nie zdążyłyśmy.

– Album niech będzie ode mnie. Mam dwa o Kaszubach, pomożecie tylko wybrać. Czekają na taką okazję, jeszcze w folii. Tylko trzeba wejść na strych, ale to już jutro rano. A wy nie jesteście czasem głodne?

– Oj właśnie, Felciu! Na ciebie zawsze można liczyć. – Eliza podskoczyła niecierpliwie na krześle.

*

Po śniadaniu w „Iskierce” zapanował wielki ruch. Felcia z Anną wzięły się do pieczenia ciast, a Kaśka z Elizą za sprzątanie piętka. Z kuchni dochodził od czasu do czasu dźwięk trzepaczki, kuli wirującej w makutrze, brzdęk naczyń, postękiwania wydawane przy

zagniataniu ciasta albo krzyżowały się głośne słowa:

- Gdzieś położyłam zapach arakowy – nie widziałaś?
- Sprytnie to robisz, a jajka sparzyłaś?
- Ja zawsze kroję jabłka w talarki, a ty jakoś inaczej...
- Ja w szesnastki, teściowa mnie tak nauczyła!
- A mąkę zawsze przesiewasz?!

Na pięterku i schodach słyhać było chwilami tupot nóg, uderzenie wiadra o schody albo głośny śmiech Kaśki lub Elizy.

Po dwóch godzinach zapach pieczonych ciast unosił się po całym domu. Kiedy wszystkie zeszły się na werandę na południową kawę, było widać, że są zadowolone z dotychczas wykonanej pracy. Anna z Felcią jeły dywagować, jakie dania przygotować na najbliższe dni. Zgodziły się, że w sobotę obiad będzie autorstwa Felci, a przygotowuje go według starych kaszubskich receptur. Na niedzielę Anna przeforsowała swój poznański patent: kluski szagówki, pieczona wieprzowina z ciemnobrązowym sosem i modra kapusta. Nad zupą jeszcze się zastanowi, ale jeśli będzie gorąco, to poda zupę nic z kleksem z ubitego białka, a jeśli nieco chłodniej, wówczas pomidorową na gęsto ze świeżych pomidorów, w dużych kokilkach.

- Ty spryciaro! – Felcia łypnęła na Annę. – Też chciałam zrobić pomidorową kaszubską zupę, a teraz muszę wymyślić coś innego. – Zmarszczyła czoło. – O! Wiem! Zrobię dziadówkę! – roześmiała się. – Czegoś tak pysznego oni jeszcze nie jedli. Wy zresztą też.

- A co to takiego? Bo jej nazwa... taka sobie. – Eliza zrobiła minę.

- Zobaczycie dopiero na talerzach. A nie! Też ją podam w kokilkach, bo a nuż im nie posmakuje, a poza tym zjedzą więcej drugiego! – Wzięła się pod boki.

- A co podasz na drugie? – zaciękała się Anna.

- Najpierw myślałam o świeżej rybie, ale ją chyba zrobię po niedzieli. Stach załatwi wtedy sandacza albo szczupaka z Mausza. Na sobotę... – Felcia zawiesiła głos i potoczyła wokół wzrokiem – ...przygotuję sznurowaną kaczkę w żurawinach z bulwami i buraki tarte. Mniem! – Uniosła oczy w górę.

- Fajnie! – Kaśka rozmarzyła się. – A z tym sprzątaniem, Felciu, to chyba przesadziliśmy – uśmiechnęła się. – Czego nie dotkniemy, to odkurzone, wytarte...

- No niby tak – uśmiechnęła się Felcia. – Ewelinka codziennie zamiata, a zaś potem leci z wilgotną szmatą, później ja się jeszcze przejdę i też coś znajdę. Okna były myte w połowie lata...

- Felciu ! Tu u ciebie jest jak w muzeum! I to na co dzień! – Anna odchyliła się na krześle.

- Ale gdybym nie pilnowała, to byłoby zapuszczone. Lepiej codziennie godzinkę, niż raz w miesiącu cały dzień, no nie? – Felcia pacnęła dłonią w stół, aż zadzwoniły filiżanki.

- Felcia! – Anna spojrzała na nią z przestachem. – A z zakupami też jest zawsze tak samo. Wczoraj nazwoziłyśmy różnych dupereli, a kiedy chciałam je schować do lodówki, patrzę, a tam jak zwykle brak miejsca.

Nagle od bramy dał się słyszeć klakson, po kilku chwilach dobiegło je zbliżające się człapanie, a za moment na gazonie pojawił się rumiany Stach Janik, uginający się pod ciężarem niesionej skrzynki.

- Felicja Skierka? – zawołał głośno, łypiąc uśmiechniętymi oczami w kierunku werandy.

Felcia wstała.

– A, to pewnie pani! – Stach sapnął głośno. – Przywiozłem zamówiony towar! Zaraz mi go pani pokwituje – mrugnął do Elizy. – Same pijecie, a ja? Trza było zadzwonić, to bym zajechał szybciej, bym się nie pieprzył tak długo u tej kobity w Nakli – stękając, postawił skrzynkę w progu i opadł na wiklinowy fotelik, aż ten zachrzęścił.

– Stachu! Uważaj! – krzyknęła Felcia.

– Spokojnie, zrobiłem mu okresowe badanie techniczne, jak to się mówi w wojsku.– Spojrzał na Kaśkę i uśmiechnął się szeroko. – Ależ tutaj są cizie! – Potoczył wzrokiem wokół. – Dzisiaj już nie jadę do roboty!

– No, jak się pan od rana tyle już napie... – Eliza przyłożyła rękę do ust, krtusząc się ze śmiechu.

– Eliza! – Anna spojrzała na wnuczkę groźnie, ale śmiejącymi się oczami.

– Ona mnie tylko... – Stach podrapał się po mokrym czole i zakręcił palcem w powietrzu.

– Zacytowała. – Eliza pokazała zęby w uśmiechu i klepnęła go w ramię. – Upsss! – powachlowała dłonią.

Stach się uśmiechnął.

– Zlałem się przed chwilą naturalnym perfumem, ale jeszcze nie wysechł. Mała kawa, ale z podwójną wodą! – krzyknął za znikającą w sieni roześmianą Kasią.

– Panie Stachu... Bardzo proszę, żeby przyszedł pan w sobotę z żoną na imprezę rodzinną – Anna uśmiechnęła się słodko. – Brat z synem przyjeżdżają.

– No, słyszałem coś.

– Tylko macie być i to w czas! – Felcia doprecyzowała zaproszenie Anny.

– Ale zdaje się, że my nie jesteśmy rodziną... O! Gorąca! – Stach dotknął palcem szklanki z kawą i szybko go cofnął. Kaśka pokręciła głową.

– Pan i Stefcia nie jesteście naszą rodziną? Jesteście, i to jeszcze jak! – Anna nachyliła się nad stołem i zmrużyła po swojemu oczy.

– Ale my nic nie rozumiemy po amerykańsku! – zaśmiał się Stach.

– Za to oni mówią niezłe po polsku!

– Ale garnituru nie mam!

– Można być w dzinsach...

– Ja lubię dużo zjeść!

– Może pan przyjść głodny.

– Na pusty żołądek nie jadam – Stach zarechotał.

– Ma pan jeszcze jakiś wykręt? – uśmiechnęła się Anna.

Stach włożył rękę do kieszeni, pogmerał w niej i pokazał dłoń, na której leżało kilka śrubek przemieszanych z drobinkami trocin i pasemkami pakuł.

– Mam tylko kilka nowych wkrętów. – Dmuchnął na trociny, które opadły na stół i podłogę.

– Stachu! – krzyknęła Felcia.

– Przecież posprzątaacie na ich przyjazd, no nie? – Łypnął na nią okiem.

– Pan to jest model! – zawołała Eliza.

– Stary, ale nieprzerabiany.

– Stachu, jak już wypijesz kawę, to mógłbyś zejść na chwilę do piwniczki?

– Żebyś mnie tam zamknęła? Hi, hi, hi...

– Chciałam dzisiaj wejść po coś do kotłowni, ino zapomniałam po co – zaśmiała się Felcia. – Ale jak już tam poszłam, to zobaczyłam, że żarówka się przepaliła, a kiedy uchyliłam drzwi, wydało mi się, że gdzieś przy zaworze woda kapie. Zobaczysz, czy tam się coś nie stało?

– Ja i bez schodzenia wiem, co tam się stało.

Wszystkie kobiety skierowały na niego zdziwiony wzrok.

– Żarówka pierdyknęła i pewnie woda kapie z zaworu, he, he, he – uśmiechnął się.

– Przy schodach na szafce położyłam żarówkę, kombinerki i szweda... albo francuza. – Felcia wskazała za siebie kciukiem. – Ja ich zawsze myślę.

– Przecież przyjechałem tylko na kawę, a tu znowu robota – stęknął Stach, podniósł się ciężko i ruszył w kierunku sieni, człapiąc klapkami.

– Wesoło z nim masz, Felciu – uśmiechnęła się Anna.

– Złoty człowiek, ciągle młody, mało takich. Nigdy nie odmówi. – Felcia pokiwała głową.

Eliza zaczęła zbierać naczynia ze stołu.

– Dasz radę, córcia? – Kaśka spojrzała w jej kierunku.

– Mhm!

– Krucafuks! Szlag mnie trafi! – rozległ się nagle wrzask Stacha z piwnicy.

– Kasiu, zobacz, czemu on się tak wydziera.

Kaśka zniknęła w sieni, a po chwili wybiegła z powrotem na werandę.

– Woda sika jak cholera, a on stara się coś dokręcić. Mam znaleźć jakąś latarkę i poświecić mu przez okno.

– W kredensie, w szufladzie...

Kaśka pobiegła z latarką do okna na zewnątrz, a Felcia zeszła do piwnicy.

– A co tam ci się stało? – krzyknęła od progu do Stacha, który kuczał w kącie pomieszczenia i świecił komórką po podłodze.

– Mnie nic, ale korek wywaliło i nie mogę go znaleźć! O mam go, cholere. Kaśka! Nie to okno! To drugie! – krzyknął.

Po chwili snop światła rozświetlił kotłownię. Woda z otworu w rurze, z której wyleciał korek, biła na przeciwległą ścianę. Stach Janik robił przed nią uniki.

– Widzicie! Dobrze, że mam w kieszeni trochę pakuł, bo stare się wypłukały. Gdzieś mi tu tylko, krucafuks, ten klucz spadł. Kaśka, tutaj poświeć! Prosto w dół, pod okno! Teraz dobrze! – Stach stękał, kucając, i macał po podłodze, na której przybywało wody. – O! Mam go! No, to teraz już pójdzie szybko. Tutaj świeć, tu gdzie moje ręce! Tylko nie po oczach!

Sprytnie owinął pakułami gwint stalowego korka i wcisnął go całą siłą w otwór w rurze. Woda zaczęła bryzgać na boki, a on, posapując, starał się go przekręcić mokrymi palcami. Pysznic wodny malał, a po chwili zupełnie zniknął.

– Krucafuks! Udało się! – Stach wypuścił powietrze. – Reszta żabką. No! Wkręcaj się, cholero! No, jeszcze trochę, jeszcze trochę! – krzyczał i sapał, wkręcając korek. – No! Udało się! – Opuścił zmęczone ręce w dół; spoglądał po sobie, kręcąc głową. – Dzisiaj nie muszę się już kąpać, he, he, he! – Łypnął okiem na Felę. – Poświadczysz Stefci, okej? Żarówkę jutro rano wpadnę wymienić. Na dzisiaj mam już dość!

– A czemu, Stachu, nie zakręciłeś głównego zaworu, jak ci korek wywaliło? – spojrzała na niego Felcia.

– Bo właśnie w czerwcu miałem go wymienić, pamiętasz? Rączka w starym zaworze się urwała, a mnie pilnie wyciągnęli na awarię w gminie. No i się potem zapomniało, bo one przyjechały! – Pokazał na Kaškę w oknie.

– Jo. Tak było – uśmiechnęła się Felcia. – To kiedy wpadniesz... bo to chyba ważna sprawa, ten zawór? – spytała Felicja z nadzieją w głosie.

– Najpierw muszę go kupić. Wpadnę, jak będę gdzieś w pobliżu.

Stach Janik spojrział na swoje mokre spodnie i stopy w klapkach, które już prawie schowały się pod wodą.

Jadą goście, jadą



*R*obiety siedziały na werandzie, wpatrzone w widoczny odcinek drogi z Bytowa.
– Długo jadą... Może coś się stało? – Anna spojrzała na Kaśkę.

– Wyjechali dwadzieścia minut temu z Bytowa, więc lada moment będą. Przecież nie znają tej drogi.

Komórka zagrała *Most na rzece Kwai*.

– Max! – rzuciła Eliza. – Jamno? To już zaraz! Będę na górcie podskakiwać i machać. Jaki kolor? Złoty? Okej!

Ledwie Eliza dobiegła do zbrocza, ujrzała dostojnie sunące, złote auto, zbliżające się do ostatniego ostrego zakrętu przed ich wzgórzem. Kiedy minęło zakręt, zaczęła podskakiwać i machać rękoma. Po chwili dojrzała machanie z samochodu. Citroen ostrożnie skręcił z szosy w drogę na wzgórze i zatrzymał się obok niej. Z samochodu wyskoczył młody, barczysty chłopak ostrzyżony na jeża, w dzinsach i T-shircie z napisem USA.

– Eliza? – zadudnił.

– Max?

Skoczyli ku sobie. Max porwał Elizę w górę i zaczął nią kręcić jak na karuzeli.

– Max! Tylko nie zrób jej krzywdy! – ze śmiechem zawołał jego ojciec, który zdążył już też wysiąść z auta.

– Poczekaj, tata, tylko ją jeszcze wycaluję! – Postawił ją na ziemi. – Jaka ty jesteś śliczna! – Taksował wzrokiem Elizę.

– A ty... wielki! – pisnęła.

– Zostaw trochę i dla mnie! – Teraz i Włodek Zalewski wyściskał Elizę.

Złoty citroen wjechał na podwórze. Na parkingu czekały już Anna, Felcia i Kaśka. Powitaniom nie było końca.

– Ładna hacjenda... – Włodek Zalewski rozglądał się wokół – ...i ładnie położona.

– To wszystko należy do Felicji. Gości nas tutaj już od dwóch miesięcy. – Anna przytuliła się do niej. – Nasz dom... – Anna wskazała na Kaśkę, Elizę i siebie – ...jest w Poznaniu.

– Pokażę wam pokoje – zadeklarowała się Eliza. Felcia skinęła głową.

– To niech się rozgoszczą, a potem przyprowadź ich na werandę. – Anna zmrużyła oczy.

Eliza zaprowadziła Władka i Maxa do starego budynku wozowni, przerobionego na pomieszczenia gospodarstwa agroturystycznego.

– Ależ tu wszystko jest pomysłowo zrobione...

Władkowi szczególnie mocno podobały się wielkie, potrójne wrota na froncie ceglanoego budynku, szachulcowa elewacja i lukarna w dwuspadowym dachu, z umieszczonym nad drzwiami okrągłym okienkiem, wychodzącym na niewielki tarasik. Wybrał sobie do spania właśnie pokój z tarasikiem.

Stali we troje na nim, podziwiając gospodarstwo.

– Mam widok na całe podwórze, no i słońce mnie chyba obudzi...

– A ja, jeśli można, chętnie bym spał na dole, bo tam jest salonik z telewizorem. Lubię

długo w noc siedzieć – zadudnił Max.

– Tak, a potem w ciągu dnia ziewa i ziewa – zaśmiał się Władysław.

– Zaraz przybiegnie Ewelinka i przeniesie pościel...

– Daj spokój, Eliza! Ja w kampusie cały czas przenosiłem się z pokoju do pokoju i mam w tym wprawę. Zrobię to sam przed nocą.

Eliza zastała kobiety na werandzie pochłonięte rozmową o Władku i jego synu.

– Są zachwyceni, Felciu – doniosła Eliza, kiedy przysiadła obok niej. – Władek wybrał górkę, a Max pokój na dole. – Felcia aż podskoczyła. – Spokojnie! Powiedział, że sam sobie przeniesie pościel.

– Ale ten pokój nie był tak wyrychtowany jak ten u góry! – Felcia pokręciła głową.

– Mówiłam przed chwilą, że jestem pod wrażeniem Władka. Zresztą Maxa również. Tak się z nimi rozmawia, jakbyśmy się znali od dawna. – Anna spojrzała na Elizę.

– My mamy tak samo! – Na werandę nieoczekiwanie wkroczyli Władek i Max. – Podśledzałem twoje ostatnie słowa, Anno, przepraszam – uśmiechnął się dobrotnie.

– Macie tutaj przepiękny widok. Dzisiaj słońce zachodzi ładnie na czerwono.

– Bo idzie deszcz i wiatry. – Zafalowała ramionami Felcia. Władek spojrzał na nią. – Nie ma co się dziwić, tak będzie! – uśmiechnęła się.

– Syn Felci, Maciej, jest profesorem biologii morza, ale jego drugą specjalnością jest meteorologia. Wszystkiego z tej dziedziny nauczyła go ona. – Anna wskazała na Felcię palcem i uśmiechnęła się. Władek z wrażenia przysiadł.

– Wy mi się tutaj nie dziwujcie pogodą... – Felcia pokazała w uśmiechu wszystkie zęby – ...tylko idźmy na kolację. Słońce zaraz zajdzie, a widokami będziecie się jutro zachwycać.

– Co prawda jedliśmy obiad na granicy, ale... – Władek zaczął, ale w słowo wszedł mu Max.

– Smakował mi obiad, bo jedliśmy kotlet schabowy z kapustą... – Podniósł oczy w górę. – Powiedzieli nam w restauracji, że to tradycyjne polskie jedło, ale teraz jestem już głodny – zadudnił swoim głębokim głosem.

Felcia rozpromieniła się.

– I tak to ja lubię! Max, ja cię zaraz tak nakarmię, że na pewno nie będziesz mieć z głodu żadnych snów. No, chodźcie! – Zakręciła spódnicą i ruszyła do kuchni, a wszyscy podążyli za nią.

W kuchni czekał na gości suto zastawiony stół. Max oniemiał na jego widok.

– To tak jak u nas na Święto Dziękczynienia – zadudnił.

– Albo na wesele – dodał Władek.

– Dzisiaj to coś więcej niż te uroczystości, co je wymieniliście, razem – uśmiechnęła się Felcia. – Czestujcie się, a ja jeszcze zagrzeję kiszkę.

Goście zaczęli sięgać do półmisek, wypytyjąc o wszystkie potrawy. Po chwili zapachniało podsmażanym boczkiem z cebulką. Max poderwał się i poszedł do kuchni.

– Boczek? Takie małe kawałeczki? – Spojrzał na patelnię.

– Na tym będę podpiekała kiszkę kaszubską – wyjaśniła Felcia, wskazując na grube talarki przysmaku leżące na desce na kredensie.

– Mogę...?

– Nie rusz! – ze śmiechem rzuciła Felcia. Max posłusznie cofnął dłoń. – To się je po upieczeniu, wtedy jest najlepsze. Siądź, a ja za parę minut przyniosę.

Max wrócił na miejsce, ale czasu do czasu wodził za Felcią wzrokiem. Kiedy zaczęła

przekładać podpieczona kiszka z patelni na półmisek, zatarł ręce.

– Ale zapach! Nie wiem jeszcze, co to jest, ale na pewno będzie pyszne!

Po kilku minutach podpieczona kiszka trafiła na stół i dopiero wówczas Felcia powiedziała kilka słów o tej potrawie.

– Nigdy bym nie pomyślał, że ze zmieszanych z jajkiem ziemniaków, kaszy i cebuli można takie чудо zrobić – odezwał się Max po dłuższej chwili smakowania.

– Ta potrawa została wymyślona niedaleko stąd, właściwie z biedy. Tam są marne ziemie, więc zboże słabo rodziło. Lepiej gryka, a i to mówi się, że tylko co siódmy rok daje dobre plony. No i kombinowali, aż wykombinowali – zaśmiała się Felcia.

– To tylko świadczy o tym, że gospodarze bardzo kochali tę ziemię. – Władek pokiwał głową. – Mama opowiadała, a resztę doczytałem z pamiętników, że bardzo kochała Parchowo. Gdyby tutaj miała rodzinę, na pewno by została, ale była sierotą.

Felcia i Anna posmutniały.

– Cieszcie się, że dane nam było się zobaczyć – uśmiechnął się do nich. – Gdyby nie Eliza i przypadkowe sprawdzenie przez Maxa starego konta pocztowego...

– Ja tam wierzę w znaki, przeczucie, intuicję. – Anna spojrzała na przyrodniego brata. – W Parchowie przecież zatrzymałyśmy się zupełnym przypadkiem...

– Kiedy mi to opisała Eliza, nie mogłem uwierzyć – zadudnił basem Max. – Długo z rodzicami o tym dyskutowaliśmy. – Spojrzał na Annę, a potem na Elizę. – Przeczucie cały czas mi mówiło, że takich historii nie da się wymyślić, ale dopiero kiedy tata przeszedł szczegółowo pamiętniki mamy i jeszcze odpowiedziałaś na nasze dodatkowe pytania, to byliśmy pewni, chociaż cały czas łapaliśmy się za głowy!

– U nas tak samo się działo. Eliza pisała i rozmawiała z wami, a nam przekazywała wszystko telefonicznie z Helu. – Anna pokiwała głową.

– A czemu nie ma twojej przyjaciółki Wiki? – zdziwił się Max.

– Jutro będziesz mógł ją poznać – Eliza uśmiechnęła się. – Przyjedzie też Igor – zmrużyła oczy.

– O! Super! – Max roześmiał się głośno.

– Kasiu! – wykrzyknęła Felicja. – Zapomniałyśmy o nalewce! Dawaj ją! – Bo wiesz, Władek... Jedzenie bez toastów jest nie okiej! – zaśmiała się.

Kiedy Kaśka postawiła na stole karafkę, doskoczył do niej Max.

– Mam młodsze nogi niż tata – zadudnił. – Babcia Krysia też kiedyś robiła. Eliza, a gdzie twój kieliszek? – spojrzał na nią i rozejrzał się po stole.

– Jeszcze nie dorosłam... – Eliza spuściła śmiesznie oczy.

– Żartujesz?

– Tak na poważnie, to nie mam smaka na takie cosie. – Wskazała głową na karafkę. – Dobry humor mam i bez wspomagania – zaśmiała się. – Czasami wypiję lampkę szampana, ale i to niekoniecznie.

– Posłuchajcie. – Felicja zmarszczyła czoło. – Jako gospodyni mam prawo i obowiązek coś powiedzieć. Mówią, że do odważnych świat należy, ale wasza odwaga... – spojrzała na Władka i Maxa – ...a wcześniej Ani – przykryła jej dłoń swoją dłonią – jest tak niewyobrażalna, że po prostu brak mi słów. Wypijmy więc za wasze spotkanie, za wasze szczęście, ale też i za moje szczęście, że mogę to wszystko wraz z wami przeżywać – uśmiechnęła się i uniosła kieliszek.

Anna spojrzała na Władka i sięgnęła za siebie, w jej ręku pojawił się owinięty

wstążeczką pakiet z kopertami. Podała go ponad stołem Władkowi.

– Otwórz i popatrz albo zrobisz to potem, a teraz posłuchaj.

Anna opowiedziała całą historię odnalezienia listów w biurku, wyprawy na Kaszuby, przypadkowej awarii w Parchowie, rozmowy z dziadkiem Kiedrowskim, odkrycia grobu ojca, opowiedzenia przez Felcię zapamiętanej przez nią wersji wydarzeń z tamtego przedwojennego lata, a potem rozpoznania przez nią jej, jako Basi Zalewskiej, oraz przeczytania zapisów w księgach w parafii i gminie.

Władek siedział zaszuchany, wpatrując się z uwagą w przyrodnią siostrę.

– Dużo tego było. – Anna pokiwała głową. – Nowe fakty i usłyszane opowieści potwierdzały te wcześniejsze. Felcia pokazała mi też spalone zabudowania rodziców i opowiedziała wzruszającą historię o głosie naszej mamy – Anna na moment zamilkła. – Listy to było jedno, ale te kilka dni, podczas których wszystko z nich się potwierdziło, też przeżyłam ciężko. Teraz chcę się już tylko cieszyć... A wiecie, że gdyby nie upór Elizy, to niewykluczone, że całą tę sprawę odłożyłabym w ogóle ad acta? – Przebiegła wzrokiem wokół stołu. – Jej zachowanie też potraktowałam jako znak. Nie mówię już o tym, że szybkie nawiązanie kontaktu z wami to także jej zasługa. – Anna spojrzała na wnuczkę zza zmrużonych oczu, wszystkie spojrzenia przeniosły się na Elizę.

Max kolejny raz napełnił kieliszki nalewką w kolorze ciemnego bursztynu. Władek chrząknął.

– Eliza... tak... oczywiście. Anno, Felicjo, Kasiu, wypijmy najpierw wasze zdrowie. To jest naprawdę niepojęte. Historia naszej rodziny, moja historia, jest także niewiarygodna. – Władek pokręcił głową. – Mama usynowiła mnie przecież przypadkiem. Święta kobieta. Dzięki jej pracy mamy to, co mamy... Oczywiście my także ciężko pracujemy, ale gdyby nie ona... Zanim Krysia mnie usynowiła, nosiłem nazwisko Bielski. Powiedziała mi to dopiero wówczas, kiedy uzyskałem pełnoletność. – Pokiwał głową. – Moi rodzice byli jedynekami, a do tego ich rodzice już nie żyli. Oprócz kilku dokumentów nic po nich nie zostało – zamilkł.

Władek spojrzał na pakiet listów. Anna podążyła za jego wzrokiem.

– Chętnie bym kiedyś przeczytała pamiętniki Krysi... mamy... – uśmiechnęła się.

– Dostaniesz je, Anno. One były pisane chyba tylko dla ciebie – wyszeptał Władek.

– Kiedy przynieśli mnie ze spalonego pola i zobaczyłam, co się stało... – Felicja przymknęła oczy – ...jedyną pociechą było dla mnie to, że Krysia trzymała w rękach swoją ulubioną wiśniową skrzyneczkę ze skarbami... – zawiesiła głos. Władek i Max spojrzeli po sobie.

– Czy Krysia pokazywała ci, jakie tam miała skarby? – Władek spojrzał pytająco na Felicję.

– A cóż ta biedna sierotka mogła mieć... Może zdjęcie Florentyny albo jakąś laleczkę, którą od niej dostała, a może listy od niej? Myśmy dopiero zaczęły się przyjaźnić, jeszcze wszystkiego nie zdążyłyśmy sobie pokazać, powiedzieć – Felicja uśmiechnęła się melancholijnie. – Ja miałam dużą kolorową puszkę po landrynkach ze swoimi skarbami, ale planowałam ją pokazać Krysi dopiero na gwiazdkę. Przyjaźń przyjaźnią, ale dziewczęce skarby to największa tajemnica! Przechowuję ją na strychu. – Spojrzała na Annę; ta skinęła głową.

– Ciocia dostanie też tę wiśniową skrzyneczkę – powiedział Max i spojrzał radosnymi oczami na ojca. Władek skinął głową i uśmiechnął się.

– Twoja nalewka, Felicjo, trochę mi przypomina Passover Slivovitz,^[25] którą zawsze mnie częstuje mój przyjaciel Natan – zmienił temat i wskazał na karafkę. – Ma tylko ciemniejszy kolor i czuję w niej coś jeszcze w smaku, czego nie potrafię określić.

– Dodatkiem jest tarnina – Felcia uśmiechnęła się. – To stary kaszubski przepis mamy, po jej babci. Po śliwkach krzepa, a po tarninie zdrowie! Kiedyś zdradzę wam, jak się to robi...

Władek podniósł kieliszek, zachęcając pozostałych do wypicia.

– Kiedy ukończyłem studia, próbowałem szukać korzeni moich biologicznych rodziców, ale na roku tysiąc osiemset siedemdziesiątym wszystko się urywa. – Władek rozłożył ramiona. – Jechali pociągiem z Pittsburgha do Chicago, by poprawić swój byt; tyle wynika z listów, jakie mieli przy sobie. Straszna katastrofa... a ja mam tylko niewielką szramę za uchem – Władek zamilkł i przymknął oczy. – Mama przekazała mi to, co po nich zostało: dokumenty, torebka z listami, książeczka do nabożeństwa i taty zegarek na łańcuszku. Nie udało im się dojechać do Chicago, a ja zostałem tam na całe życie – zapadła cisza. – Musiałem tutaj przyjechać, bo chciałem zobaczyć, skąd pochodziła ta złota kobieta.

– Tato, to ja chciałem tutaj przyjechać! – Max znowu zadudnił.

– Trzeba przyznać, że początkowo się wahałem, ale Max ma taki dar przekonywania, że ulegliśmy. Potem to już sam się niecierpliwiłem – zaśmiał się Władek. – Bardzo chciałem poznać ciebie, twoją córkę i Elizę, no i oczywiście przyjaciółkę mamy. – Spojrzał na Felcię.

– A ja chciałem koniecznie zrozumieć, co znaczy to trudne słowo kondzella – zadudnił śmiechem Max. Władek zaśmiał się i machnął dłonią.

– Co takiego? – spytała Kaśka, trzepocząc rzęsami.

– Przeczytałem gdzieś niedawno sformułowanie: poznać swoje korzenie po kądzieli, a on to tak wymawia! Ciągle odnajduję nowe polskie wyrazy – uśmiechnął się.

– Razem z Wiką weźmiemy się od jutra za jego wymowę – pisnęła ze śmiechem Eliza.

– Za mnie? – ponownie zadudnił śmiechem Max.

– Za twoją wymowę... – Eliza poruszyła ustami, nie przerywając śmiechu.

*

Kiedy Wika pojawiła się w „Iskierce” w sobotę po śniadaniu, Max uniósł ją w górę, jak poprzedniego wieczoru Elizę, i zakręcił nią w powietrzu. Nie obeszło się bez mocnego wyciałowania. Cofnął się dwa kroki i spoglądał to na Elizę, to na Wikę.

– Ale wy jesteście śliczne. U nas takich dziewczyn nie ma. Tata! Ja się zastanawiam, czy jest sens wracać...

Max nie mógł oderwać wzroku od obu dziewcząt. Kiedy pojawił się Igor i serdecznie przywitał z Elizą, Max pokiwał głową. Od tego momentu jego oczy głównie koncentrowały się na Wice.

Przed południem dwie grupy ruszyły z „Iskierki” na spacer. Grupie starszej z Anną, Kaśką i Władkiem przewodziła Felcja, a drugiej – młodzieżowej, z Elizą, Maxem i Igorem – Wika.

Pierwsza grupka ruszyła wolno poprzez łąki w kierunku cmentarza i dalej do wsi, druga nieco zwawszym krokiem skierowała się do wsi szosą.

Dwa razy ścieżki obu grup skrzyżowały się obok GOK-u; pozdrawiali się głośnym śmiechem i rozchodzili. Starsi spacerowali wolno, w skupieniu, mieli czas, aby zajrzeć do

kościół, zatrzymać się przy pałacyku oraz dotrzeć do wszystkich zakamarków wsi. Młodzi popatrzyli w kierunku kościoła tylko z daleka, decydując się wstąpić tam dopiero w drodze powrotnej, rzucili okiem na pałacyk i obeszlą pozostałą część wsi szybkim krokiem. Max bardzo chciał zobaczyć Parchowski Młyn, o którym wspomniała Wika.

Około południa wszyscy spotkali się znowu na werandzie na kawie. Wymieniali się uwagami o spacerze po wsi. Władkowi i Maxowi podobało się wszystko.

Obiad był wielkim sukcesem Felicji. Władek i Max częstowali się dwukrotnie zupą dziadówką. Trzeba było o kwadrans opóźnić drugie danie, żeby zrobiło się trochę miejsca w żołądku – tak śmiejąc się, ocenił Władek. Od sznurowanej kaczki z żurawinami i z bulwami, i z dodatkiem tartych buraków, nie chcieli wstawać.

– Mama robiła pyszne jedzenie, ale to, co było dzisiaj, to największe moje kulinarne przeżycie od wielu, wielu lat.

Felcia nie posiadała się ze szczęścia.

*

Stodoła Felicji po raz drugi w ciągu ostatnich niewielu dni stała się miejscem dużego spotkania. Tym razem, z okazji przyjazdu Władka z Maxem, Anna wraz z Felicją zaprosiły na rodzinną kolację szerokie grono swoich parchowskich przyjaciół. Kiedy pod wieczór wszyscy zaczęli się tam z wolna schodzić, czekała ich miła niespodzianka. Z niewielkiej sceny witał ich ubrany w stroje ludowe trzyosobowy zespół, grający stylizowane kaszubskie melodie. Byli to Klaus z Joasią i Miłozsem. Wnętrze stodoły zostało przystrojone kaszubskimi motywami, zaś na stole królowała kaszubska porcelana.

– To przeszło moje najśmielsze oczekiwania! – Felcia wzięła się pod boki. – Marysiu, niech cię uściskam. – Przytuliła filigranową Marysię Sołygę, która czekała na nie przy wejściu.

– To jest moja przyszywana córka, a tam jej mężczyzna z dziećmi – Felcia przedstawiła Władkowi i Maxowi Marysię, a potem wskazała na scenę.

Władek i Max stanęli jak urzeczeni; nie wiedzieli, co bardziej podziwiać: stylizowane na kaszubską chatę wnętrze, nakryty stół czy grający zespół.

– Pani mąż i dzieci to prawdziwi Kaszubi! Wczoraj do nocy oglądałem albumy od Felicji, więc już rozpoznaję tutejsze stroje – uśmiechnął się Władek.

– Mąż, mówi pan? Klaus nie jest Kaszubem – Marysia zachichotała. –Przepraszam na chwilę. – Ruszyła żwawo w kierunku stołu.

Władek popatrzył za nią, potem spojrział na scenę i pokręcił głową.

– Oj, Władku, widzę, że coś ci się nie zgadza. – Anna wzięła go pod rękę. – Oni są razem! Klaus pochodzi z Niemiec, dzisiaj jest Kaszubem, ale dzieci są ich.

Władek miał minę, jakby to tłumaczenie nie wystarczało, ale nie było mu dane dalej rozwiewać swoich wątpliwości, gdyż podszedł do nich proboszcz.

– Witam zagranicę – odezwał się jowialnie.

– Niech będzie pochwalony – odparł z uśmiechem Władek. – Czy ja naprawdę wyglądam jak zagranica? Od wczoraj przerabiają mnie tutaj na Kaszuba.

– I słusznie. No, a gdyby pan się jeszcze przebrał tak jak oni, to nikt by na pewno nie miał wątpliwości, że pan jest Kaszubem. Nawet rysy ma pan tutejsze.

– A ten pan – Władek wskazał na Klause – jest Kaszubem czy Niemcem? To mąż tej

drobnej pani?

– To jest jej oblubieniec... – Proboszcz uniósł oczy w górę i się przeżegnał. – Bardzo porządny człowiek, nie dalej jak wczoraj uciałem sobie z nim dłuższą pogawędkę.

– No, to już mi się wyjaśniło. – Władek się uśmiechnął. – Marysia tak dziwnie o nim mówiła, a Anna jeszcze zakręciła i nabrałem wątpliwości, czy ja dobrze wszystko rozumiem.

– To prawda, że nasz język jest trudny. – Proboszcz ponownie podniósł oczy w górę. – A jak, Władku, odbierasz Parchowo? – Wziął go pod łokieć i ruszyli w kierunku stołu.

– Jestem pod wrażeniem! Mam zamiar co roku przyjeżdżać tutaj na wakacje.

– No coś takiego! To będę miał letniego parafianina – uśmiechnął się proboszcz. – A razem to planujecie, rozmawialiście o tym? – Proboszcz wskazał na zbliżającą się Annę i Felcię.

– One jeszcze nic nie wiedzą, ale proszę się czasem nie wygadać! – szepnął Władek.

– Tajemnica jak przy spowiedzi! – odszepnął proboszcz i kolejny raz podniósł oczy w górę.

– Czy ja dobrze słyszałam, że było coś o spowiedzi? – Anna uśmiechnęła się. – Mam słuch absolutny. – Dotknęła ucha, ale proboszcz pokręcił przecząco głową.

Podszedł do nich Stach Janik z żoną. Przywitali się.

– Jakbyś potrzebował fachowca do czegokolwiek, dzwoń do niego – mrugnął proboszcz.

– Tylko w jednej sprawie nie masz po co do mnie dzwonić, zresztą wtedy już kto inny za ciebie gdzieś tam zadzwoni. He, he, he! – Stach błysnął oczami.

– Jesteś, Stachu, niepoprawny. – Proboszcz pogroził mu palcem.

– Ale zawsze obiecuję poprawę – uśmiechnął się Stach i ruszył z żoną w kierunku sceny.

– Siadajmy już! – zawołała głośno Felicja.

Miejsca za stołem zapełniały się.

– Żeby nasi goście nie pomyśleli sobie, że już coś po kaszubsku rozumieją, zagramy i zaśpiewamy „Welewetkę”^[26]... – rzuciła uśmiechnięta Joasia do mikrofonu i usiadła za klawiszami. – Ja sama niewiele z tych słów rozumiem – dodała, rozkładając dłonie.

Zabrzmiała krótka przygrywka na klawiszach. Potem popłynęły słowa piosenki śpiewanej przez Joasię:

Wele wele wetka, dzeż tē bēla
Wele wele wetka, ù starēszczi
Wele wele wetka, cēż tē dosta
Wele wele wetka, miskā pēszczi.
Wele wele wit, nóm tata przëniósł
Wele wele wit, wej fùl miech slëwów
Wele wele wit, to szmakô dobrze.

Joasia i jej klawisze ucichły, a melodię powtórzyła śpiewnie gitara. Joasia przeniosła się w tym czasie szybko do perkusji. Nagle gitara zamilkła, a Joasia rozpoczęła mocną rytmiczną przygrywkę na perkusji, po której włączył się soczystym riffem Miłosz, a po chwili dołączył Klaus. Obie gitary zaczęły się ścigać, melodyjnie parafrazując melodię, jakby ze sobą konkurowały. Stodoła wypełniła się ich dźwiękami, szyby drżały w oknach,

zastawa dzwoniła. Gitary raptownie ucichły, tylko Joasia wybijała rytm melodii na perkusji. Słowa drugiej zwrotki zaśpiewała tylko z jej towarzyszeniem:

*Wele wele wetka, biěj na brzôdnik
Wele wele wetka, wez le wiénce
Wele wele wetka, szmakôj wszëtkò
Wele wele wetka, biěj na tûńce.
Wele wele wit, ju gòsce jidą
Wele wele wetka, le spiéwają
Wele wele wit, ze stołów jedzą
Wina dobrze so popijają.*

Po wybrzmieniu ostatnich słów soczystym riffem popisał się tym razem Klaus, a po chwili dołączył Miłosz oraz Joasia szalejąca na perkusji. Obie gitary powtórnie konkurowały ze sobą. Stodoła wypełniła się znowu ich dźwiękami. Gdy skończyli, zza stołu rozległy się oklaski.

– Chyba musieliście ten ostatni utwór dużo trenować – rzucił Władek, gdy zasapani Klaus z dzieciakami usiedli przy stole. Cała trójka uśmiechnęła się.

– Kilka dni temu obgadaliśmy, jak chcemy, żeby to wyglądało, potem każde z nas coś tam sobie indywidualnie ćwiczyło, wczoraj zrobiliśmy cichą próbę w domu, a dzisiaj, kiedy byliście na spacerze, jedną głośną próbę i już – wyjaśnił Miłosz.

– Ale to niemożliwe – zadudnił Max.

– Możliwe, możliwe. – Klaus położył dzieciom ręce na ramionach i przyciągnął je do siebie. – To geny.

– Co to będzie, jak zaczniecie robić częste próby? – Anna zmrużyła oczy.

– Inne zespoły zaczną się nas bać – rzuciła rezolutnie Joasia.

– A o czym była ta piosenka, bo ja prawie niczego nie zrozumiałem? – spytał Władek. – No na przykład ta wele wele wetka?

– To akurat chyba nic nie znaczy – odparła Joasia i spojrzała na Felicję, a ta skinęła głową. – Przynajmniej dotąd nie słyszałam, ale brzôdnik to brzózka, a biěj to bielizna, tylko ciężko złożyć z tego jakąś logiczną całość – zaśmiała się.

– To dziwne, dziwne! – Władek był niepocieszony i zadziwiony.

– Ale za to jak brzmi! Bardzo tę piosenkę lubimy, chociaż nie wszystko w niej jasne!

– Wiesz, Klaus... – Władek nachylił się nad stołem. – Jesteśmy mniej więcej jednego wzrostu. Może byś pożyczył mi ten strój do zdjęcia, miałbym pamiątkę z Parchowa. – Spojrzał proszącym wzrokiem.

Klaus rozejrzał się wokół.

– Maciej mnie coś da, a ja tobie. Nie ma sprawy!

Władek do końca imprezy nie zdjął kaszubskiego stroju. Był w siódmym niebie. Joasia musiała jeszcze kilka razy zaśpiewać „Welewetkę”, a on zmieniał partnerki i za każdym razem tańczył z coraz większą werwą.

*

Władek i Max postanowili wybrać się na niedzielną mszę z mieszkankami „Iskierki”.

– Przyjechaliśmy przecież was poznać, zobaczyć, jak żyjecie, jak spędzacie czas, więc wizyty w kościele nie możemy sobie podarować. W Chicago czasem też idziemy w niedzielę do kościoła – wyjaśnił Władek.

Anna i Felicja usiadły w ławce, reszta zaś stanęła niedaleko przy ścianie. Niedaleko od nich stali także Marysia z Klausem. Kaśka i Marysia pomachały sobie dyskretnie. Sporo parafian przyglądało się Amerykanom z zainteresowaniem, bo po wsi rozeszły się wieści o ich przyjeździe. Podczas mszy modlono się za ofiary II wojny światowej oraz w intencji uczniów rozpoczynających w poniedziałek nowy rok szkolny. Na zakończenie proboszcz odczytał, jak to w niedzielę bywa, ogłoszenia parafialne. Kiedy już odłożył wszystkie kartki, a niektórzy zaczęli przygotowywać się do błogosławieństwa i wyjścia z kościoła, nagle okazało się, że proboszcz ma jeszcze jedną rzecz do przekazania. Poprosił o ciszę i wyciągnął spod komży złożoną kartkę.

– Przepraszam was, wytrzymajcie jeszcze chwilę, bo to bardzo ważna sprawa. Zapowiedź przedślubna! – powiedział dobitnie i potoczył po wiernych wzrokiem; zapadła absolutna cisza. – Klaus Berg... – zaczął czytać dokument – ...kawaler, zamieszkały w Rottweil, Niemcy, parafia Świętego Krzyża tamże, oraz Maria Sołyga, panna, zamieszkała w Parchowie, parafia tutejsza, planowana data ślubu dwudziestego drugiego września bieżącego roku w naszej świątyni... – Od pierwszych słów wygłaszanych przez proboszcza zapowiedzi zaczął narastać szmer, proboszcz spojrzął na wiernych, ale oczy wszystkich były skierowane na Marysię i Klauza.

Marysia zasłoniła z wrażenia usta, a Klaus spoglądał na nią z radosną miną. Proboszcz podniósł głos, żeby przebić się poprzez gwar wiernych.

– Słuchajcie! Uwaga! Czy ktoś zna przeszkody, dla których to małżeństwo nie mogłoby być zawarte?

Zamiast odpowiedzi, dało się słyszeć zrazu pojedyncze klaśnięcie, za moment przyłączyli się inni, a po chwili cały kościół huczał od braw. Proboszcz spoglądał na uczestników mszy, którzy ani myśleli się uciszyć. Nie pozostało mu nic innego, jak pobłogosławić ich z uśmiechem na ustach.

– Pan z wami... Idźcie, ofiara spełniona.

Przed kościołem wokół Marysi i Klauza natychmiast utworzył się wianuszek ludzi.

*

Powrót z kościoła do „Iskierki” był burzliwy.

– Ale jak ona mogła mi nic nie powiedzieć? – jęknęła Felicja.

– Przecież ona naprawdę nic nie wiedziała. Chyba widziałaś jej minę – ripostowała Anna.

– Bo ja wiem...?

– Do chwili ogłoszeń parafialnych kilka razy spotkałyśmy się wzrokiem... na pewno nic nie wiedziała – powiedziała z przekonaniem Kaśka. Felicja wzruszyła ramionami.

– A pamiętasz, Anno, jak wczoraj pytałem cię, czy Klaus jest jej mężem? Pewnie nie chciałyście mi zdradzić, że nie? – Władek pogroził palcem, Anna przysłoniła oczy. – Gdyby ona mi powiedziała, że to jej mąż, dałbym spokój, ale ponieważ się wykręciła, a ty mnie zbyłaś, więc musiałem spytać proboszcza. Ja zawsze muszę wszystko wiedzieć! Proboszcz o mało co się nie zdradził – roześmiał się Władek.

- Uparciuch jesteś! A co ci proboszcz powiedział?
- Że to jej oblubieniec, więc przyjąłem, że mąż, i już nic więcej nie pytałem, ale on mnie okłamał. Pogadam ja sobie jutro z nim przy tej kawie!
- Powiedział prawdę! – odezwała się Felicja. – Gdybyś z uwagą słuchał czytania z Biblii, to byś wiedział, ale jak w kościele drzemiesz... – Władek zrobił oczy. – Ee! Za dużo tłumaczyć.
- Ja w ogóle nie rozumiem, po co o tym rozmawiać. Takiego show dawno nie widziałem. Wow! – zadudnił Max. – Stawiam, że Marysia nic nie wiedziała, a to wszystko sprawka Klausa. Co za gość! Odważny jak cholera! Ona mogła zemdleć.
- Cały czas na nią patrzyłam i szykowałam się, żeby jakby co, podskoczyć i ją podtrzymać! – wtrąciła Eliza. Anna potargała ją po czuprynie.
- A ja się jednak upieram, że proboszcz o mało co by mi się wygadał – nie ustępował Władek.
- Język polski jest bardzo trudny, a Felcia ma rację ... – Anna uśmiechnęła się.
- Jo! – podsumowała krótko Felcia.
- Ale...
- Posłuchaj, Powiedział oblubieniec, czy tak...? – Władek skinął głową. – Mężczyzna, bliska sercu osoba, oblubieniec, już wybranek, ale jeszcze nie mąż. Proboszcz powiedział prawdę. Myślę, że cię naprowadzał i przypuszczał, że to rozumiesz, ale kiedy zauważył, że jednak nie, to zaprosił cię na kawę.
- Żeby mi wszystko wyjaśnić?
- Tak!
- Równy z niego gość, a język polski rzeczywiście trudny.

*

- Felcia po obiedzie spoglądała zatroskanym wzrokiem w niebo.
- Dzisiaj będzie padać – zakomunikowała i zmarszczyła czoło.
 - Przecież chmurki są całkiem ładne. – Władek podążył za jej wzrokiem. – To mi nie wygląda na deszcz.
 - Na brzegach chmur pojawia się od czasu do czasu szary kolor, to znaczy, że dostały wilgoci od chłodnego i wilgotnego wiatru. Ten wiatr u góry napcha wnet na nasze niebo inne wilgotne chmury. Tak to działa.
 - Felciu, posłuchaj. – Władek aż zszedł z werandy na gazon. – Nic takiego nie widać.
 - Władeczku, ona ma rację. Obiecała, że pójdzie z nami na dożynki, i martwi się o pogodę. – Anna spojrzała na Felcię, która potwierdziła jej słowa skinieniem głowy.
 - No, to weźmiemy pelerynki – zadudnił Max.
 - Będę paradował w pelerynce, jak kobieta? – obruszył się Władek.
 - Jak macie coś, to weźcie; w sieni jest jeszcze duży parasol. – Felcia pokazała za siebie.
- Za godzinę byli już na przyszkolnym boisku, na którym zwykle odbywały się wszystkie dożynkowe imprezy. Na niebie pojawiało się coraz więcej szarych chmur. Władek od czasu do czasu spoglądał to na nie, to na Felcię, i kręcił głową.
- Tak na mnie nie patrz, bo ja przecież nie zamawiałam deszczu. Aż taka dobra nie jestem – uśmiechnęła się Felicja. – On idzie sam, ja tylko rozumiem oznaki, które wypatrzę, albo jakoś inaczej je odczytuję.

– Czy ty to rozumiesz? – Władek spytał Macieja.

– Całkowicie – roześmiał się zapytany. – Mama kiedyś mnie tego wszystkiego przecież nauczyła. Ma rację... – spojrzał w niebo – ...deszcz się zbliża.

– Idę zapolować na jakieś miejsca przy stołach, bo ciągle ktoś nas ubiega – nerwowo rzuciła Kaśka, która już kolejny raz usiłowała bezskutecznie dobiec do zwalnianego miejsca.

– A młodzieży to już nie mamy? – zdziwiła się Anna.

– Widziałam ich niedawno przy straganach, a potem przy bryczce, ale teraz ich nie ma. Nie zginą!

Na scenie występowały jedne po drugich ludowe zespoły. Na Władku duże wrażenie zrobił parchowski zespół Modraki, tym bardziej, że od wczoraj rozróżniał już niektóre piosenki kaszubskie. Podrygiwał w rytm granej muzyki.

– Dobrze, że dzieci uczą się tego języka, a potem występują, bo to je dopinguje. Ważna jest tradycja. Wele, wele wetka... – zanucił.

– I nawet sobie już języka nie łamiesz – uśmiechnęła się Anna.

– U was w tym Czikago to chyba takich występów nie ma, co? – Felcia spojrzała na Władka.

– Ksiądz z parafii przygotowuje z dziećmi jasełka w grudniu, występy na Święto Trzeciego Maja i na Święto Niepodległości. Zawsze w programie są jakieś polskie tańce albo piosenki ludowe.

Kaśka podskakiwała przy stołach. Pokazywała palcami, że ma trzy wolne miejsca. Felcia i Anna ruszyły w jej kierunku.

– A jak ci się podoba ten instrument, gdzie chłopak pociąga czy szarpie za kiteę z końskich włosów? – spytał Maciej, kiedy zostali sami.

– To jest instrument?

– Kaszubski instrument, nazywa się burczybas!

– No, dajcie ludzie spokój. To jakby beczka czy coś?

– Beczka, ale bez dna, z naciągniętą z jednej strony skórą. Jeden chłopak ciągnie włosianą kiteę, a drugi polewa ją wodą i wtedy instrument wydaje lepsze dźwięki. A widzisz obok ten kij z głową diabła w kapeluszu? To też instrument.

– No nie opowiadaj...

– No! Na czapce diabła są blaszki, które przy uderzeniu kijem o ziemię dzwonią, a do deski pośrodku kija, która wygląda jak skrzypce, jest przytwierdzone metalowe pudełko z grzechoczącymi przedmiotami. To są diabelskie skrzypce. Aha! Od deski do góry instrumentu rozciągnięte są jeszcze stalowe druty, które brzęczą, jak się w nie uderzy albo szarpnie.

– Kaszubi są, jak widzę, pomysłowi! – Władek pokręcił głową. A gdzie się podział Max? Jakies pół godziny temu zniknął mi z oczu, a przecież chciałem spróbować waszego piwa. – Wskazał na bufet.

– Pewnie dziewczyny porwały dokądś jego i Igora. A może było odwrotnie? – Maciej zaśmiał się. – Spójrz! Właśnie wracają bryczką! – Władek ruszył we wskazanym przez Macieja kierunku.

Spiker na scenie podszedł do mikrofonu.

– Szanowni państwo, teraz wystąpi zespół ludowy z Tomaszowa Lubelskiego. Zaprezentuje nam kilka pieśni z lubelskiego i wiązanek tańców kaszubskich. Zespołem

kieruje Jan Werra, który urodził się niedaleko stąd, w Gołczewie.

Felcia zbladła.

– Niemożliwe – wyszeptala i przyłożyła dłoń do czoła.

– Co się stało? – Anna spojrzała w jej oczy.

– To... mój Jan – pokazała palcem.

Przy stole pojawiła się Eliza z Wiką.

– Byliśmy aż przy naszych zakrętach – pisnęła Eliza.

Anna przyłożyła palec do ust i wskazała na Felcię, a potem na scenę.

– Nie rozumiem. – Eliza wzruszyła ramionami.

Kaśka przywołała córkę i szepnęła jej coś do ucha. Felcia siedziała bez ruchu i wodziła wzrokiem za ubranym na ludowo starszym mężczyzną, który dyrygował zespołem. Po popisach wokalnych mężczyzna zapowiedział tańce z Lubelszczyzny i Kaszub. Dostał brawa, kiedy dodał, że nie mogło zabraknąć tańców z tego regionu, bo jego serce ciągle bije po kaszubsku. Felcia uśmiechnęła się blado.

Władek z Maxem przynieśli z bufetu butelki z napojami i szklanki.

– Dla siebie mamy piwo, a dla was wzięliśmy inne napoje. Fajny występ – rzucił Władek; obaj z Maxem zupełnie nie rozumieli rozgrywającej się wokół nich sceny.

Anna skinęła głową. Zabrzmiały dźwięki kolejnego tańca.

– To „Marëszka”. Tańczyliśmy ten taniec kiedyś razem – odezwała się cicho Felcia. Spojrzała w stronę Anny, a potem Macieja.

– Śliczna melodia... – Władek razem z publiką falował rękoma i usiłował nucić.

Jan Werra podszedł do mikrofonu.

– A na zakończenie piosenka *Żebë wrócył ten czas*^[27], którą dedykuję mojej ukochanej... – na widowni rozległ się szmer – ...Felicji Skierce – dodał.

Ostatnie jego słowa zagłuszył narastający gwar i oklaski.

– To wszystko twoja sprawka... – Felicja spojrzała na syna.

– Mówiłem ci przecież, że go znajdę – uśmiechnął się Maciej.

Rozległa się przygrywka i Jan Werra zaczął śpiewać.

*Na naszi łące jô bėdło pasł
To bėł nòlepszi w mim zėcu czas
Spiėwòł jem trele o naszi wsė,
A dzysò teskno mie za nią je.*

*Żebë wrócył ten czas
Czedėm bėdelko pasł
Żebėm mógł wrócėc do swoich strón
Gdze mój òjczėsti dóm.*

Publiczność wtórowała do refrenu; tutaj wszyscy znali tę pieśń. Władek starał się powtarzać razem ze wszystkimi, odgadując kolejne słowa.

*Pod starą lėpą kaszebsczi dwór
To mój kochany, rodzynny dóm
Nòlepsze lata ostatė w nim,*

A dzysô dalek od niego jem.

*Žebë wrócył ten czas
Czedëm bëdelko paśł
Žebëm mógl wrócëc do swoich strón
Gdze mój òjczësti dóm.*

*Na naszi górze są krëszczy dwie
Pod nima milé przebël jem dnie
Wzérôł jem chatno z tëch naszëch gór
Na mój kochany, kaszëbsczy dwór.*

*Žebë wrócył ten czas
Czedëm bëdelko paśł
Žebëm mógl wrócëc do swoich strón
Gdze mój ójczësti dóm.*

– Ale nam zrobiliście przyjemność – odezwał się Władek, kiedy pieśń dobiegła końca.– Tak to wszystko przygotowaliście... – Z podziwu kręcił głową.

– Tata, nie wiem jak ty, ale ja tu zostaję – zadudnił rozradowany Max.

– Władku, to wszystko dzieje się naprawdę – Anna powiedziała cicho. – Maciej odnalazł gdzieś w Polsce swojego ojca, tego mężczyznę, który śpiewał, i namówił go do przyjazdu.

– Nic już z tego nie rozumiem.

Do ich stołu zbliżył się Jan Werra, postawny mężczyzna o rumianej twarzy, błękitnych oczach i ciemnym zaroście. Na twarzy miał dobrotliwy uśmiech. W dłoni trzymał bukiet kwiatów. Zdjął kapelusz. Ludzie znajdujący się w pobliżu przyglądali mu się z zainteresowaniem.

– Felciu kochana – podał jej bukiet i przyklęknął. – Masz wspaniałego syna...

– Tato! – Maciej spojrzał na Jana.

– Masz rację. Mamy wspaniałego syna. – Jan próbował się uśmiechnąć. – Felciu... Już wszystko sobie z Maćkiem wyjaśniliśmy. Jeśli jesteś w stanie mi wybaczyć, to chciałbym wrócić do ciebie... do was, do domu – zadrżał mu głos.

Szoglądali sobie w oczy. Felicja westchnęła głęboko i pogładziła go po głowie.

– Tak... tak! – powiedziała dobitnie. – Wstań... Chcę wracać do domu. Ludzie patrzą – uśmiechnęła się blado. – A w ogóle to zaczyna padać! Nic tu po nas. – Machnęła dłonią. – Jo! – uśmiechnęła się szeroko.

Krople deszczu, z początku delikatnie, z każdą chwilą zaczęły coraz intensywniej uderzać o stoły.

Na widowni zrobiło się zamieszanie, ludzie przestali im się przyglądać, szukając schronienia przed narastającym deszczem. Władek rozłożył parasol i zaprosił pod niego Felicję. Anna, Kaśka i dziewczyny rozłożyły małe parasolki. Max wyciągnął z plecaka peleryny i jedną z nich podał Janowi. Maciej spojrzał w niebo i rozłożył ręce; krople deszczu uderzały w szkła jego okularów, a on stał i się uśmiechał. Po chwili przetaił je i ruszył za całą gromadą w kierunku „Iskierki”.

*

Pod wieczór, kiedy się wypadało, Felcia poszła z Janem na spacer. Wrócili, gdy nad Parchowem zapadła już ciemna noc. Potem zapukała jeszcze do Anny.

– On trzy lata temu wystąpił z zakonu – wyszeptwała. Anna zrobiła oczy.

– Ale nie mógł ci o tym napisać?

– To moja wina. Niedługo po wyjeździe napisał list, że odezwie się, jak się rozmówi z Bogiem, lecz ja byłam taka zapiękła w tej rozpacz i złości na cały świat, że odpisałam mu, żeby się nie ważył ani pisać, ani dzwonić. No to nie pisał. To jest ostatnia sprawa, o której ci skłamałam. Już nie chcę o tym mówić, bo bym chyba musiała się długo samobiczować, żeby za to zrobić pokute. – Machnęła ręką i spojrzała Annie w oczy. – Wybaczysz?

– Ale przecież...

– Nie, Aniu. To, co było pomiędzy mną a Maciejem, powinno zostać pomiędzy nami, a ja rozszerzyłam to także na Jana. Byłam głupia. Przeszłam za to wszystko długą drogę krzyżową, ale już sobie z Janem wybaczyliśmy.

– Jakże się cieszę, Felciu. – Przytuliły się do siebie.

– On studiował potem etnologię i muzykę. Ech, zdolny człowiek. Wykładał na KUL i współpracował z zespołami pieśni i tańca. Kiedy wystąpił z zakonu, przeniósł się do Tomaszowa Lubelskiego. Tam właśnie znalazł go Maciej. Jego przyjazd tutaj razem obmyślili – uśmiechnęła się. – Ja teraz, Aniu, też już będę miała tak dobrze jak ty – rozplakała się ze szczęścia. – Na dniach pojedzie tylko zamknąć... tamto życie. – Machnęła szeroko ręką – ...I wróci do mnie, do domu. Już go nigdy, nigdzie stąd nie wypuszczę! – Znów przytuliły się do siebie.

*

Kiedy po śniadaniu podjechali na przystań, czekał już na nich bosman z Dalmoru. Tak go nazywał Stach Janik i większość wczasowiczów. Ogorzała i nieogolona twarz z wąsem, czarna chustka w czerwone grochy na głowie, znoszone džinsy, czerwona koszulka bez rękawów, z wizerunkiem pirata z przodu i napisem captain z tyłu. Bosman jak się patrzy.

– Zapraszam. – Wykonał gest ręką.

Kobiety zbiły się gromadkę, spoglądały do wnętrza łodzi i żadna nie chciała wejść pierwsza. Bosman ponownie wykonał zapraszający gest.

– No, czego nie wsiadacie? – zawołał tubalnie Stach. – Czekacie na mnie?

– Woda na ławkach – mruknęła Felcia, kiedy Stach podszedł bliżej.

– A co ma być? Przecież wczoraj padał deszcz. Czekajcie... – Wskoczył do łodzi i dłonią pozgarniał wodę ze wszystkich ławek. – Już można wsiadać!

– Stachu, a nie masz może jakichś suchych szmat? – spytał Maciej.

– Bosman, nie masz suchych szmat? – jak echo powtórzył Stach, ale bosman przecząco pokręcił głową.

– Czekajcie! Zaraz przyniosę. – Wylazł sapiąc, na pomost i ruszył do auta.

– Poczekajcie! Poczekajcie na mnie! – Nagle spomiędzy domków i drzew rozległo się wołanie.

Eliza odwróciła się i dostrzegła biegnącą Wikę. Oparła się o Żabę.

– Myślałam, że już zapomniałaś – rzuciła, mrużąc oczy, kiedy Wika wyhamowała przy niej.

– Nie zapomniałam, ale Kacperek gdzieś się rano urwał i musiałam go znaleźć – dyszała Wika. – Piernik jeden!

– Dzień dobry paniom i panom! Cześć, Max! – odezwała się Wika. Przywitały ją miłe słowa i uśmiechy.

– Fajnie, że jesteś! – Max uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wika zna jezioro jak mało kto! – pochwaliła ją Eliza.

– A wszędzie już tu byłaś? – spytał Maciej Skierka.

– Znam doskonale Mały Mausz, Dobrzynicę i tę zatoczkę po lewej, za tym półwyspem.

– Wika wskazała dłonią – Tamta część jeziora, od strony Sulęczyna, czeka jeszcze na moje odkrycie – uśmiechnęła się.

W międzyczasie bosman uruchomił silnik „Deneboli”^[28], który nieznośnie kopcił i terkotał. Za to siedzenia już błyszczały wytarte do sucha. Wszyscy powiadali, Stach zrzucił cumy i ruszyli.

– A paliwo bosman masz? – rzucił Stach.

– Powinno starczyć, a jakby co, to w skrzyni mam kanisterek – odparł bosman. Stach uchylił klapę schowka.

– Pytam, bo już kiedyś zabrakło paliwa. He, he, he!

Popłynęli w kierunku Dobrzynicy. Maciej Skierka opowiadał o jeziorze, o tym, jak powstało, jak zmieniało się przez tysiąclecia, co żyło w nim kiedyś, a co teraz. Władek i Max spoglądali na niego z podziwem i respektem. Czasami wtrącała jakąś ciekawostkę Wika.

– Mama opowiadała, że z dzieciństwa w latach sześćdziesiątych pamięta, że było tu dużo raków. Wczasowicze zbierali je wieczorami przy świetle latarek. Potem jak domków przybywało, raki zaczęły ginąć. Teraz od kilku lat znowu pojawiły się, tylko mniejsze.

– Kiedyś żyły tutaj raki szlachetne, szerokoszczypcowe – szewcy. Określane były barometrem czystości wód. – Po tych słowach Macieja wszyscy wpatrzyli się w niego jak studenci w auli uniwersyteckiej. – One dorastają do dwudziestu centymetrów. Na przełomie wieków przywleczona została z Ameryki Północnej do Europy racza dzuma, a potem uodporniony na nią, pręgowany rak amerykański. – Maciej spojrzał na Władka i Maxa.

– *Chicken* – wypalił Max. Eliza i Wika zachichotały.

– Tak się niestety dzieje. Amerykański rak wyparł raka szlachetnego. Po jakimś czasie okazało się, że jest nieprzydatny gospodarczo, bo ma gorszy smak i mniejsze rozmiary, dorasta tylko do trzynastu centymetrów. – Spojrzał na Wikę. – Teraz podejrzewa się go, że sam jest raczej nosicielem dzumy. – Na łodzi zapadła cisza. – Potem jezioru zaszkodziły wycieki z nieszczelnych szamb przy domkach, nawozy splukiwane z pól przez deszcze. Powoli zaczęto z tym walczyć i pierwsze efekty już są. Masz więc rację, Wika, że woda jest czysta. Mausz ma znowu najwyższą klasę czystości wód! – ostatnie słowa Maciej podkreślił głośno. – Pojawiły się ponownie raki, ale te amerykańskie, z charakterystycznymi czerwonymi pręgami na odwłoku.

– No, diabli nadali z tymi amerykańskimi rakami! – Władek zaperzył się i uderzył pięścią w kolano.

– Może kiedyś uda się odtworzyć raka szlchetnego? – Maciej spojrział na niego dobrotnie.

– Dobry, Maćku, jesteś. – Anna zmrużyła oczy.

– Wiadomo, profesor – zadudnił Max.

– Moja krew – z dumą powiedziała Felicja.

– Patrzcie, przy konarach zwalonych drzew wygrzewa się płóć. – Wszyscy spoglądali we wskazanym kierunku.

Kiedy wpłynęli na Mały Mausz, Władek westchnął.

– Szmat drogi przejechaliśmy, żeby takie cuda zobaczyć. Czuję się jak na Amazonce.

– A byłeś tam kiedyś? – Maciej spojrział na Władka.

– Pamiętam ją z filmu o anakondzie. Siedziałem jak zamurowany w fotelu... bałem się. Tutaj też przyglądam się, czy czasem nie wypłynie – zaśmiał się.

– Chyba też oglądałem ten sam film. U nas wyświetlany był pod tytułem *Anakonda*. Ale tutaj takich straszycieli nie ma – Maciej zaśmiał się. – Nie musisz się bać... – Obok tej wyspy razem z Kasią upolowaliśmy niedawno szczupaka – wskazał Maciej. – Miał dobre czterdzieści centymetrów.

– A smaczny był? – spytał Max.

– Wypuściliśmy go, żeby jeszcze urósł.

– Łowić, żeby wypuszczać? Dziwne... – Max wzruszył ramionami.

– W Europie musimy to robić, jeśli chcemy zostawić coś potomnym – powiedział Maciej z emfazą.

– Ej, bosman, coś ten silnik przerywa. Sprawdź stan paliwa – Stach Janik zaniepokoił się.

– No faktycznie. Wskazówka stoi na zero.

– Krucafuks, a mówiłem, żebyś spojrział – warknął Stach.

– Pytałeś, czy mam w razie czego zapas.

– Rzuć kotwicę, póki płytko, to dolejesz. O wszystkim trzeba przypominać!

Kotwica chlupnęła. Bosman zgasił silnik. Wyciągnął kanister ze schowka i odkręcił korek wlewu do zbiornika łodzi.

– A ty wiesz, bosman, co w tym kanistrze jest? – wrzasnął nagle Stach, który uniósł kanisterek w górę i powąchał. – Benzyna, krucafuks, a nie olej!

Bosman zrobił przerażoną minę. Stach machnął ręką.

– Dzwon, żeby przywieźli ci olej!

– Ale kto?

– Ratownik!

– Ale on przed wpeł do pierwszej nie może, bo jest na pomoście...

– No to dzwoni, żeby nie polazł sobie na drzemkę, bo wczoraj na pewno balował.

Pasażerowie łodzi chichotali, przyglądając się dramatycznym scenom.

– Wy się tak nie śmieją, bo będziemy tak się tutaj bujać z półtorej godziny. No dzwoni!

– Szwagier, ty tak nie wrzeszcz, bo ci żyłka pęknie.

– No, to mamy rodzinną imprezkę na środku jeziora – zaśmiała się Eliza.

– Jo! – Felcia mrugnęła do Władka.

– Jakbym nie widział, że to przypadkiem, pomyślałbym, że to w ramach programu wycieczki – roześmiał się Władek.

– No dobra szwagier, dzwoni.

- Kiedy nie mam telefonu – bosman uśmiechnął się przepraszająco.
 - Krucafuks! – poniósł się Stacha okrzyk po jeziorze. – Dawaj numer do niego.
 - Mam go zapisanego w kajecie, w bosmanówce...
 - No nie! A co ty w ogóle masz?
 - Mam cztery piwa, ale nie starczy dla wszystkich...
- Na łodzi wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Stach pokręcił głową, ściągnął z niej czapkę, zanurzył w wodzie, pozwolił, by napełniła się do pełna, a potem naciągnął na głowę. Woda spływała mu po twarzy i ramionach, mocząc koszulkę i spodnie. Łypnął okiem i roześmiał się.

- No, to mamy przerabane. Kto chce piwo? Widzisz, szwagier, ilu chętnych? Musisz skoczyć po więcej. He, he, he! A gdzie masz jakiś kanisterek z benzyną?

- Za kratą koło gaśnicy!

Na łodzi wbrew zaistniałej sytuacji panował dobry humor. Łyk chłodnego piwa też zrobił swoje. Stach wybrał jakiś numer w telefonie.

- Pytasz, czego potrzebuję ...? No tak, zawsze jest odwrotnie... He, He, He. ... Jesteśmy „Denebolą” na Małym Mauszu tuż przy małej wyspie, a twojemu piratowi jakiś czubek zamienił kanistry. No! Wszystkiego się domyśliłeś, nadajesz się na kierownika! He, he, he. Tylko mu powiedz teraz, bo w czasie przerwy to wiesz! No, cześć!

- A nie mogłeś niżej zadzwonić? – Bosman z wrazenia otarł pot z czoła. Stach łypnął na niego.

- Przecież on ma swoje biuro na parterze. He, he, he!

Łódź zakołysała się od śmiechu.

- Dobrze i mocne to piwo – skrzywiła się Felcia.

- Ja też zrobiłam łyk i jest wcale, wcale – odpowiedziała Anna.

- A ten z kanistrem nie mógłby przywieźć jeszcze kilku flaszek? – zapytał Władek.

- No widzisz, bosman! Na przyszłość miej ze sobą telefon, mniej paliwa w baku, a za to dwie skrzynki piwa i wszyscy będą chwalili, że wycieczka była super! Ja po telefonie od ciebie będę przyjeżdżał kasować po dysce, to ci ze dwie blaszki zawsze odpalę. He, he, he!

Za godzinę dojrzeli motorówkę zmierzającą od przesmyku w ich stronę. Ratownik podpłynął, coś zagadał, podał kanister i odpłynął.

- Nie mogłeś mu powiedzieć, żeby poczekał i trochę nas przeciągnął poza te chwasty?!

- Stachu! Toż to *elodea canadensis* – powiedziała z wyrzutem Kaśka, mrużąc oczy.

- Widzisz, jak ja szkolę? – Maciej zaśmiał się. – Chyba ruszymy, chociaż nas trochę wepchnęło na płyciznę.

- Ruszymy, spoko – mruknął bosman.

Manipulował chwilę, żeby unieść wyżej śrubę, ale nie dała się ruszyć. Bezradnie spojrzał na Stacha.

- Nie wiesz, co zrobić? Do wody! Będziesz pchał.

Bosman, chcąc nie chcąc, zdjął sandały i podwinął spodnie. Po chwili był w wodzie. Zaparł się, ale łódź ani drgnęła.

- Sam chyba nie dam rady – jęknął.

- No, to ja pomogę. – Max po chwili był obok bosmana.

Zaparli się we dwóch, a łódź znowu ani drgnęła. Powtórnie, kolejny raz... Łódź przysała się. Maciej poderwał się z siedzenia.

- Ty nie! Poczekaj! – zawołał Władek. – Tyle świata zjechać i nie wejść do Mausza?

Schłodzę się. – Zdjął buty, podwinął spodnie i zsunął się ostrożnie z burty. – Poczekaście, na hej raz, pchamy. – Max i bosman skinęli głowami. – No, to... Hej raz! – wrzasnął. Zaparli się mocno, pchnęli i łódź z wolna ruszyła. – Ale zatrzymajcie się! – krzyknął Władek w kierunku łodzi.

– Nie mamy hamulca! He, he, he! Trudno, musicie dopłynąć, jakoś was wciągniemy. Rzućcie spodnie i koszule, a tu się ubierzecie... Tylko szybko, raz, raz! Ale się Feli udało! Wieczorem pójdzie mniej wody... He, he, he!

Po chwili trzy pakunki pofrunęły w stronę łodzi. Zawiniątko bosmana złapała Wika, ale ubrania Władka i Maxa, o centymetry minęły wyciągnięte dłonie. Łódź kolejny raz zachybotała się od śmiechu.

*

Po powrocie Władek i Max poszli się przebrać do swoich pokoi. Po kilku minutach zeszli do saloniku

– Ja tu naprawdę zostaję. – Max spojrzał na ojca dziwnym wzrokiem.

– Co ty mówisz? – Władek otworzył oczy, chwilę spoglądali po sobie. – A wiesz, że tam, na jeziorze, nasza mnie podobna myśl? – Uśmiechnął się i zamilkł na chwilę. – W tym Parchowie coś mi się w środku poprzestawiało. – Pokazał na głowę i serce. – Sam nie wiem, o co chodzi. Ja zawsze twardy, a tu patrz. Na amerykańskie raki się wściekłem, jakby to była moja wina! Zawsze się mówi, że u nas wszystko większe. – Usiadł na fotelu. – Tak się mówi! Wieżowce, pomniki, samochody, autostrady, no wiesz. A tu patrz. Ich raki, znaczy nasze polskie raki, są większe i zdrowsze! Chciałbym, żeby im się tu z nimi udało.

– Ojciec, nigdy bym cię nie podejrzewał, że możesz tyle słów na raki stracić. Cały czas biznes, akcje, nowe domy, wizyty... A tu monolog o rakach... To o kąpieli coś jeszcze powiedz...

– Wiesz, ten Stachu to taki model, ja nie wykluczam, że razem ze szwagrem to wykombinowali.

Spoglądali po sobie, uśmiechając się.

– Oni tutaj wszyscy są tacy... – Władek wykonał gest przytulania – ...jakbym ich znał od bardzo dawna. Nikt nie krępuje się mówić o swoich sprawach. Rozmawiamy o wszystkim ot tak po prostu, jakby nigdy nic...

– Dobrze, że udało mi się przesunąć rozpoczęcie pracy na październik. Teraz już bym się spinał, a tak mam spokój. – Max podszedł do okna.

Władek popatrzył na syna. Studia go zmieniły, a przecież jeszcze kilka lat temu miał do niego ciągle jakieś uwagi; poważnie się martwił o jego przyszłość. Wystarczyła jedna rozmowa i Max wydorosłał. Trzeba jednak z dziećmi rozmawiać... Pokręcił głową. Ładny mi dzieciak, prawie sześć i pół stopy^[29] wzrostu. Ich wzrok się spotkał.

– Już ja się tam rozprawię z niektórymi naszymi polonusami... – Władek zrobił groźną minę i pogroził palcem w powietrzu.

– O co ci, ojciec, chodzi? – Max zdębiał.

– Niektóre durnie opowiadają polish jokes, a o Polsce i Polakach gównem wiedzą. Popatrz, wszyscy tutaj są dobrze wykształceni, mają pracę. No, może nie wszyscy, ale nie widać meneli, brudasów, pijaków jak u nas.

– Tata, ale myśmy prawie nigdzie nie zdążyli być!

– Jak to nigdzie? Jechaliśmy tutaj od granicy, to mało? Widziałeś gdzieś budy z tektury albo ze skrzynki? Jakichś obdartusów przy drogach widziałeś? Pewnie też są gdzieś biedni ludzie, ale chyba jakoś inaczej tutaj załatwiają takie sprawy...

– To prawda.

– Te pegeery, co o nich Felcia opowiadała... ach, ty nie słyszałeś... Takie jak u nas duże farmy, tyle że państwowe. Jak mur w Berlinie obalili, to polikwidowali je tutaj, ludzie stracili pracę, ale od tego czasu wieś się przecież rozbudowała. Felcia mówiła, że niektórzy byli załamani i pili, dużo się porozjeżdżało. Ale nie widać walących się ruder! Pełno za to nowych domów!

– Czysta wieś, ale można by jeszcze wiele...

– Max! Zawsze można jeszcze to i tamto poprawić. Popatrz! Maciej to profesor i teraz ma lepiej, ale to przecież chłopak stąd, z tego niby zacofanego Parchowa! A Ryszard? Albo popatrz na Annę i Kaśkę! Eliza, Wika i Igor studiują. Stach Janik, ten jaki mądry! Wszyscy do niego leżą. – Machnął dłonią. – Całe życie uczy się czegoś nowego, nie umie chyba tylko tego, czego jeszcze nie wymyślono! – zaśmiał się. – Albo Kaszub z importu Klaus, nie mówiąc o Marysi. A ich Miłosz i Joasia? Wszyscy tacy kochani.

– Zastanowiłeś się nad tym, co proponowałem jeszcze w domu?

Władek spojrział za okno i pokiwał głową.

– Nawet gdybyś ty nie chciał, to ja teraz chcę – uśmiechnął się. – Oczywiście na wszystko, zgodnie z testamentem, musi być twoja zgoda.

Max rzucił się do ściskania ojca.

– Zostaw, bo mnie udusisz...! Dobrze, że nikt tego nie widział... – Władek wyzwolił się z ramion syna i rozejrzał na boki.

– No jasne, że ciągle chcę! – wrzasnął Max. – Teraz może jeszcze bardziej, bo myślę tutaj przyjeżdżać w przyszłości.

– Poważnie? Ja też tak myślę. Może uda się na następne wakacje, a może trzeba będzie wcześniej?

– Jakby trzeba było, to ja z tobą. A po co wcześniej?

– Jak zaczniemy rozmawiać z Anną o szczegółach spraw spadkowych i o darowiźnie, to nie wiadomo, czy nie będzie trzeba.

– No tak. A o wiśniowej skrzynce chyba jeszcze też coś powiesz?

Władek zamyślił się, pokręcił głową.

– Udało nam się wtedy wyhamować – uśmiechnął się, Max skinął głową. – To może być za dużo jak na ten raz... Poczekajmy do następnego przyjazdu. – Spojrzał poważnie na syna.

– Chciałbym, żeby dowiedziała się już teraz, ale chyba masz rację. To byłoby za dużo. – Max znowu podszedł do okna. – Stachu przyjechał! Idziemy wędzić sielawę – uśmiechnął się.

*

Władek i Max nieśli dwa pręty, z których zwisały uwędzone sielawy. Na słupkach w pobliżu ogniska czekały na nie specjalne zawieszki.

– To był prawdziwy koncert Stacha – zaśmiał się Władek. – Wszystko według zegarka, ale on wcale na niego nie patrzył. A tutaj już ogień jest? Dziewczyny zrobiły? – Spojrzał na

Kaśkę i Elizę, ale te pokręciły głowami. – To kto? – Felcia i Anna też zaprzeczyły.

– To pan Stachu... w międzyczasie – prychnęła Eliza.

– Ze dwa razy tutaj przychodził – potwierdziła Kaśka.

– Chyba trzy – poprawił Stach.

– Nie zauważyłem, przecież wędziliśmy razem... – Władek pokręcił głową i spojrzał na Stacha.

– Ja też niczego nie widziałem – uśmiechnął się Jan i spojrzał na Felcię, a potem na Stacha. – Uczyłem się wędzić... – Ponownie spojrzał na Felcię, uśmiechnęła się do niego.

– Nieważne, ważne, że jest żar. He, he, he! – zaśmiał się Stach. – Kładziemy? – Wskazał na zawiniątka w folii.

– A tamto to co? – Władek spojrzał na nie i przełknął ślinę.

– Sandacz w warzywach – rzuciła Felcia. – Takiego cymesu to jeszcze nie jedliście i nigdzie oprócz Parchowa nie zjecie – zaśmiała się. – To jest dzisiejszy obiad!

A potem było jedzenie ryb i podziwianie niezrównanego ich smaku przez Władka i Maxa. Od czasu do czasu Max napełniał malutkie kieliszki nalewką, po której Władek każdorazowo wznosił oczy w górę.

– Tata, ja nie wracam. – Max już dwa razy w ciągu godziny zrobił taką zapowiedź i za każdym razem sięgał po dokładkę.

Kiedy zaspokoili głód, Władek rozejrzał się wokół i chrząknął.

– Aniu! – uśmiechnął się – Dzisiaj porozmawialiśmy sobie z Maxem o pewnych... ważnych sprawach. – Rzucił okiem na syna, a ten potwierdził skinieniem. – Jesteśmy zamożni i chcemy ci zaoferować część naszych pieniędzy na urządzenie sobie w Parchowie życia... – zawiesił głos, gdyż dojrzał z jej strony gest przeczenia. – My nie musimy ciebie pytać o zgodę! – Położył palec na ustach; Anna otworzyła szeroko oczy. – Anno, widzimy, że czujesz się tutaj wspaniale, tutaj są ludzie, z którymi chcesz żyć, a oni ciebie też potrzebują... – Anna zatrzepotała rzęsami. – Chcemy tu przyjeżdżać, do ciebie, do was i cieszyć się razem z wami. To naprawdę nie ma żadnego znaczenia, że nie jesteś moją rodzoną siostrą – czujemy się tak, jakbyśmy was tu wszystkich znali od bardzo dawna. U nas takie bliskie więzy pomiędzy ludźmi z innych rodzin też się zdarzają, ale częściej na filmach niż w rzeczywistości. – Pokiwał smętnie głową. – To wszystko, o czym mówię, ta decyzja, zapadła w znacznym stopniu po jego naleganiach. – Wskazał na Maxa. – On już tym męczył nas w Chicago, ale dopiero teraz przekonałem się, że miał dobre przecucia.

– Tata, chyba zaraz się rozryczę – teatralnie zadudnił Max.

– Tylko, Aniu... – Władek spojrzał na nią poważnie. – My ruszamy w środę i to trzeba bystro załatwić. Najpóźniej jutro!

– No, ale przecież macie tam w Ameryce rodzinę... – zachnęła się Anna.

– Rodzina Betty dostała już potąd! – Władek wykonał gest dłonią ponad głową. – Znam ją, ucieszy się! Trzeba, Anno, załatwiać – uśmiechnął się.

– Ale przecież już jest wieczór, a w ogóle, to jak to tak?

– Aniu! Siostro! Lubię postawić na swoim. – Potoczył wzrokiem wokół. – Nie rozmawiamy o tym, czy, ale ustalamy kiedy. A kiedy to znaczy najpóźniej jutro, a najlepiej zaraz, natychmiast! Chyba macie jakiegoś prawnika?! – Spojrzał na Annę, a zaraz potem na Felcię.

– Dzwon do Ryszarda! – odezwała się Felicja i mrugnęła do Władka.

– Ale, Felciu! Tak nagle i prawie po nocy?

– Jaka to noc? – Felcia spojrzała w kierunku doliny. – Ty jesteś jak dziecko! – Poruszyła się nerwowo. – Dzwon! No!

– Dzwon, Aniu. Prawnicy najlepiej pracują po nocach. – Władek znowu uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Chyba coś wiem o tym – westchnęła Anna melancholijnie. – Jest tylko jedna kwestia...

– Aniu, nie ma żadnej kwestii!

– Tata, jakby co, to ja po niego skoczę! – Max zerwał się z pniaka. – Eliza albo Wika mi pomogą, albo obie! – zaśmiał się tubalnie.

– Nie, nie, nie! Poczekajcie! Kasiu, pożycz mi telefon... Załatwione. Jedzie – uśmiechnęła się Anna po krótkiej rozmowie z Ryszardem i potoczyła wzrokiem wokół ogniska.

– Ależ on za tobą szaleje! – zachichotała Felcia.

Nie minęło pół godziny, a Ryszard siedział z nimi przy ognisku i zajadał wędzoną sielawę.

– To bardzo miło, że mnie zaprosiliście. – Uniósł lekko w górę kawałek ryby. – Gdybym wiedział, wziąłbym jakieś dobre wino. Straciliście.

– Wolę wina niż nalewki, chociaż najbardziej znam się na mszalnych... – uśmiechnął się Jan.

– W takim razie moja piwniczka ma szansę na przewietrzenie... – mrugnął Ryszard. – Zapraszam.

– Chętnie... – odpowiedział mrugnięciem Jan – ...przynajmniej kiedyś obejrzę.

– Zjedz spokojnie, Ryszardzie, zaraz opowiem ci, o co chodzi, albo ty to zrób, Władku, bo jeszcze coś pokręcę.

– Ale jeść mogę? – Ryszard spojrzał na Annę i Władka, rozbawiona Anna tylko machnęła ręką.

Władek jeszcze raz opowiedział, jakie ma plany wobec Anny. Ryszard kiwał głową, nie przerywając delectowania się rybą. Potem Anna przypomniała krótko, co wynika z zapisów w księgach w gminie.

– Pyszna ta sielawa! Sandacza zostaw mi kawałek na jutro; dzisiaj już nie dam rady. – Złożył palec w kółeczko w kierunku Stacha Janika, wykorzystując moment ciszy, gdy Anna skończyła.

Wytrzeł ręce, pokiwał głową, łyknął miętowej herbaty i potarł czoło.

– Przepisanie gospodarstwa można szybko załatwić na Władka – na ciebie, Anno, długo i trudno!

– Ależ, Ryszard! – Władek spojrzał na niego zdziwiony, Anna pokiwała głową, że myśli podobnie.

Ryszard przyłożył obie ręce do piersi i pochylił głowę.

– Trochę dziwnie to zabrzmiało, rozumiem. Widzę, że sobie ufacie... – zawiesił głos, Anna i Władek potwierdzili – ...więc szukam najszybszego, ale i najbardziej efektywnego rozwiązania. Muszę to sobie wszystko poukładać, a jutro dokończymy rozmowę. Przygotuję wariantowe rozwiązania, żebyście oboje czuli się bezpieczni. – Spojrzał na Annę, a potem na Władka.

Za godzinę, po spisaniu z dokumentów Anny, Władka i Maxa niezbędnych informacji, Ryszard był gotowy do powrotu do Bytowa. Spojrzał na płonące szczapy i zatarł dłoń.

– Fajnie tu, ale ja mam robotę! Na godzinę trzynastą meldujcie się jutro na Zamku. Zjemy wspólnie obiad! Oczywiście na mój koszt! – uśmiechnął się. – Tacy klienci nie zdarzają mi się co dzień. Mam zamiar sporo na was zarobić – roześmiał się głośno, pożegnał i ruszył w kierunku bramy.

Kiedy odjechał, zapadło milczenie. Anna i Władek spoglądali po sobie w świetle płomieni. Stach Janik chrząknął.

– Nie spać! Cieszyć się! – krzyknął i rzucił na ogień zielone gałązki. Zadymiło, a po chwili snop iskier wzbił się wysoko.

– Uwielbiam zapach jałowca – zadudnił Max, gdy poczuł zapach dymu. – Tata! Wracasz do Paryża sam! – zaśmiał się.

– Ile razy będziesz mi o tym mówił? – Władek uniósł kieliszek z nalewką. – Nie myślałem, Felciu, że miętówka może być tak smaczna. Max, odstawiamy whisky, a zabieramy się za nalewki! – zaśmiał się. – Ten Ryszard to złoty człowiek. Jak ty go znalazłaś, Aniu? Ty się go trzymaj! – Zaświeciły mu się oczy.

– Jak obedrze nas ze skóry, to przestaniesz go chwalić – uśmiechnęła się Anna i machnęła dłonią.

– On od was nie weźmie złotówki – wtrąciła Felcia z przekonaniem.

– Ale tak nie można. – Władek pokręcił głową.

– Nie znam się na tym, ale według mnie może, jeśli chce. – pokiwała głową Felcja. – I tak wyjdzie na moje.

– Aha! Miałam ci powiedzieć, jak to było z tym znalezieniem się z nim... To on mnie znalazł, a nie ja jego... – Anna zwróciła się w kierunku Władka.

– Czyżby, babciu? – wtrąciła Eliza.

Anna popatrzyła na nią, potem na Władka, potoczyła wzrokiem wokół i znowu spojrzała na Elizę. Mierzyły się zmrużonymi oczami.

– No faktycznie, ty go sobie przypominałaś... To w takim razie, wszystko twoja wina! – Anna roześmiała się.

– Ojej, widzę, że bez Elizy niewiele by się tutaj wydarzyło... – zadudnił Max śmiechem.

*

Poprzedniego wieczoru, kiedy Stach Janik spytał kobiet, czy nie chciałyby się wybrać na grzyby, bo jest wysyp kozaków, Anna nie wyraziła chęci. Natomiast Władek i Max zainteresowali się taką wycieczką. Eliza postanowiła wybrać się razem z nimi. Rano przyjechał po nich Stach Janik. Wysiedli w pobliżu brzozonej przecinki. Ruszyli w las.

– Posłuchajcie, chłopcy! Tak wygląda czerwonogłowiec, a tak zwykły kozak. – Stach schylił się i podniósł z traw grzyby.

Władek i Max przyglądali się im z zaciekawieniem.

– Bez grzybów nie ma wigilii! – krzyknęła Eliza.

– No i co teraz z nimi robicie...? – Max obracał w rękach kozaka, a Władek czerwonogłowca.

– Można zjeść smażone z cebulką... najpierw się je obgotowuje. Z bulwami pycha! – Podniósł oczy w górę. – Można je suszyć i wtedy, jak Eliza mówi, czekają na wigilię...

– Zapach zupy grzybowej... to jest cymes! – Eliza zrobiła kóleczo z palców.

– Albo można dodać trochę grzybków do bigosu... niebo w gębie. – Stach znowu

podniósł oczy w górę. – Najlepsze są prawusy, ale dzisiaj w tej przecince chyba ich nie dostaniemy.

– Prawusy...?

– Borowiki albo prawdziwki... tak się one prawidłowo nazywają – wyjaśniła Eliza.

– Albo robi się z nich marynaty... Prawusy najlepsze, potem kurki, podgrzybki, maślaki... zapomniałem o podgrzybkach. Też są super. Może nawet lepsze od prawusów...? – Stach poklepał się po brzuchu.

– Wy chcecie nas chyba zdenerwować – zaśmiał się Władek. – Już się ślinię na samą myśl!

– Tata, ja tu zostaję... – zadudniło Maxowym śmiechem. – Wrócę po wigilii!

– Ale bigos robi się dopiero na Sylwestra – zauważył przytomnie Stach.

– No, to zostanę jeszcze jeden tydzień!

– Max! Od pierwszego października idziesz do roboty! – zaśmiał się Władek.

– O! mam czerwonogłówca. Super! A jaki on twardy... I jeszcze dwa! No, to przyda się kosz. – Max ucieszył się jak dziecko. – A myślałem, że będę musiał nosić pusty.

*

Felcia opierała się przed wyjazdem do Bytowa.

– To wasza sprawa, a mnie tam nic do tego – krygowała się.

– Przyjaciółko, przeginasz. – Anna zmrużyła oczy.

– Muszę wyprawić Jana, bo jedzie do Tomaszowa Lubelskiego.

– Felciu, możesz spokojnie pojechać... Autobus mam po czternastej, dam radę sam – Jan uśmiechnął się dobrotliwie. – Gdyby nie to, też pojechałbym z wami.

– No widzisz – uśmiechnęła się Anna.

– Ale to do jakiejś restauracji – Felcia zaśmiała się niepewnie. – Jeszcze plamę dam.

– To najwyżej nie będziesz jadła.

– A co to ja jakaś stara szkapa, żebym o suchym pysku siedziała? – Wzięła się pod boki.

– Wrobiłaś mnie w tego prawnika, to teraz będziesz go pilnowała, żeby nie wziął od nas ani złotówki – zaśmiała się Anna; Felicja skinęła głową.

– Jak tak, to tak. Niech no tylko on się pilnuje!

Władek, Max i dziewczyny przyglądali się tej scenie ze śmiejącymi oczami.

– Jakby kto was nie znał, to pomyślałby, że to na poważnie – odezwał się Władek.

– To stara aktorka, a ja tylko staram się jej dorównać – roześmiała się Anna.

– Tylko nie stara! – Felicja pogroziła palcem. – Co do aktorki, to może być...

– Takich ciotek to ja w Ameryce nie mam. Tata, ja nie wracam! – Maxowy śmiech rozległ się po całym domu.

Gdy wysiedli przed zamkiem, Max zaniemówił, pociągnął Elizę za sobą.

– W takim małym Bytowie taki wielki zamek! Ze w Anglii są, to wiedziałem, ale że u was?

– Tak, bo myśmy wczoraj zeszli z drzew – prychnęła Eliza. – To jest pozostałość po Krzyżakach, ale żebyś zobaczył nasze polskie zamki... Wawel, Książ, Łańcut, Czocho, Pieskowa Skala, w Warszawie...

– Znałem tylko pająki krzyżaki... – zadudnił. Eliza przeszła go wzrokiem. – No, to w zamkach, jak słyszę i widzę, jesteście lepsi od Ameryki.

– Znalazłoby się jeszcze to i owo, w czym jesteśmy lepsi – zaśmiała się Eliza.

– I gdzieście tak długo byli? – Kaśka spojrzała z dezaprobatą na Elizę, kiedy po kilkunastu minutach weszła z Maxem do restauracji zamkowej.

– Robiłam mu wykład z Krzyżaków wokół murów...

– Jak będzie czas, to ci dopowiem to i owo. – Ryszard spojrzał na Maxa.

– Myślałam, że Eliza rzuci się na mnie z pazurami...

– Ona jeździła na turnieje rycerskie. Jest waleczna! Spotkaliśmy się tutaj w dziewięćdziesiątym czwartym.

– Tak długo się znacie? – Władek zaniemówił.

– To długa opowieść. – Anna skinęła głową. – My w zasadzie znamy się długo...

Ryszard opowiedział historię swojej znajomości z Mikołajem, włączając w nią wyjazdy na turnieje, w tym spotkanie z Elizą w Bytowie.

– ...no i kiedy Anna znalazła się w potrzebie spotkania z jakimś prawnikiem, Eliza przypomniała sobie, jak piliśmy tutaj duże piwo – uśmiechnął się.

– Można tu wypić piwo? – spytał Władek. Ryszard skinął głową. – A jakie tu się dostanie?

– Jest duży wybór. – Skinął na kelnera.

Przy obiedzie Ryszard przedstawił warianty rozwiązania spraw spadkowych. Podsunął Annie dwa przygotowane dokumenty. Rzuciła na nie okiem i podała natychmiast Władkowi.

– Nie przeczytasz dokładnie? – zdziwił się Ryszard.

– Może potem. Niech przeczyta Władek, on na pewno lepiej się na tym zna – spieszyła się Anna. – Tam jest tyle dziwnych wyrażeń... – uśmiechnęła się przeprasząco.

– Jakby co, mogę objaśnić.

Władek czytał dokumenty ze zmarszczonym czołem. Od czasu do czasu przymykał oczy.

– On tak zawsze. Ma głowę do umów i takich tam, chociaż prawa nie kończył. Mama go wyszkoliła – szepnęła Max Elizie na ucho.

– Może zrobimy sobie dziesięć minut przerwy przed kawą. Chętnie przejdę się tak jak młodzi wokół zamku. – Władek skończył czytanie dokumentów i spojrzał na Ryszarda.

– Jeśli damy pozwolą... – Ryszard rozejrzał się wokół.

– Max, ty zostań i zabawiaj damy. – Władek skinął dłonią, gdy zobaczył, że syn też podrywa się do wyjścia.

– Wniosek procesowy jest okej. Czytałem tylko zasadniczą treść, bo waszych paragrafów nie znam – rzucił Władek, kiedy wyszli na dziedziniec zamkowy. – W propozycji aktu notarialnego dodałbym jeszcze klauzulę, że nie mogę się wycofać jednostronnie z przyrzeczenia darowizny. – Pokiwał głową, widząc zdziwienie w oczach Ryszarda. – Ja się nie wycofam, ale Anna różnie może sobie myśleć, tym bardziej więc chcę, żeby to było tak... no wiesz...

– Łopatologicznie – uśmiechnął się Ryszard.

– Patrz, nie pamiętałem takiego słowa. Właśnie o to mi chodzi! Ona nie czuje dokumentów prawnych, widziałeś przecież, a do tego jest taka ufna.

– Do wieczora zrobię tę korektę.

– A zdążysz jeszcze przygotować pełnomocnictwa dla siebie, żebym je podpisał?

– Myślałam, że może przyjedziesz na sprawę.

– Tylko jeśli to będzie z jakichś względów absolutnie konieczne – uśmiechnął się Władek. – Będę musiał inaczej poukładać swoje sprawy w Chicago, bo chcę tutaj czasami przyjeżdżać. Dotąd zawsze miałem na wszystko czas.

– No tak, rozumiem. Przygotuję korektę i pełnomocnictwa, i wieczorem jestem.

– Dam ci jeszcze telefony do mojego prawnika, uprzedzę go. Pogadacie sobie, wymienicie mailami, prześlesz mu papiery. Do czasu mojego powrotu do Stanów on już przygotowuje wszystko, co trzeba...

– Jeśli mamy wszystko ustalone, to teraz trochę poopowiadam ci o zamku. Stoimy pod jedną z czterech jego baszt, Basztą Młyńską... – popłynęła opowieść o konstrukcji zamku i jego historii na przestrzeni dziejów.

– Już zamówiliśmy... – odezwała się Anna, gdy Ryszard z Władkiem wrócili do stołu. – Kelner zaraz przyniesie kawę i lody.

Rozmowa zesłała na Bytów i okolice. Ryszard popisywał się swoją znajomością historii.

– Ależ tu się działo... Nigdy bym nie pomyślał! – Max kręcił głową.

– Mówiłem ci kiedyś, że historia Polski jest frapująca, a ty uważałeś, że Stany mają najlepszą historię – zażartował Władek.

– Bo ty mnie chciałeś uczyć historii, każąc mi pamiętać daty. Kiedy widzę takie budowle jak tutaj, to wszystko do mnie lepiej trafia.

Anna słuchała rozmów z uśmiechem. Ciekawa była, dlaczego nie wracają do tematu spraw spadkowych. Po jakimś czasie uznała, że na pewno ten temat wypłynie ponownie po powrocie do Parchowa.

Przed kolacją znów przyjechał Ryszard. Kiedy kobiety zaczęły przygotowywać stół, Ryszard z Władkiem wyszli na werandę i rozłożyli na stole dokumenty. Władek przebiegł je wzrokiem.

– Teraz jest wszystko okej. – Podniósł kciuk. – Podpisuję w takim razie pełnomocnictwo, a z resztą będzie tak, jak się umawialiśmy.

– Ach, tutaj jesteście – powiedziała zdziwiona Felcia po wejściu na werandę. – Myślałam, że poszłicie na podwórze. Chciałam też chwilę odetchnąć, więc wyszłam wam naprzeciw. – Ty chyba jesteś Ryszard błyskawica... – Wskazała głową na dokument podpisywany przez Władka.

– To pełnomocnictwo dla mnie. Jutro rano przecież Władek i Max wyjeżdżają – uśmiechnął się Ryszard.

*

Pożegnaniom nie było końca. Anna miała łzy w oczach. Max na odchodnym zakręcił jeszcze długiego młynka Elizą w powietrzu.

– Już za wami tęsknię. Nauczyłem się wczoraj wieczorem tego słowa od ojca. Piękne słowo... powiedział.

– Anno, koło dwudziestego jesteśmy w Stanach i natychmiast załatwię wszystko to, co ustaliliśmy z Ryszardem. Trzymaj się, siostró – objęli się mocno. – Odezwę się najszybciej, jak tylko będę mógł.

Anna przyglądała się Władkowi, jak żegna się z Felcią i jej dziewczynkami. Czowała niedosyt. Wydawało jej się, że jeśli idzie o sprawy spadkowe, czegoś chyba nie wie. Ale teraz, kiedy oni już prawie odjeżdżają, nie chciała o nic pytać. Nie wypadało. A tak

w ogóle, to on sam powinien jej powiedzieć. Naprowadzała go od wczoraj wieczora, a on się tylko uśmiechał. Tak jakby załatwiali jakieś interesy za jej plecami. Pomachała za odjeżdżającym samochodem.

*

– Max przysłał maila! – Eliza z tupotem zbiegła z góry, wrzeszcząc wniebogłosy.

– No i co tam? Mów! – poprosiła Anna.

– Pisze, że nie mogą się nagadać o Parchowie. Jego mama teraz żałuje, że nie przyjechała z nimi. Zapowiedziała im, że na kolejny wyjazd na pewno się wybierze, ale nie na kilka dni, tylko co najmniej na dwa tygodnie – Eliza zaśmiała się. – Zrobią sobie u nas dłuższe wakacje!

– To mi się podoba! – Felicja klasnęła. – Dłuższe, a do tego powiedziałaś „u nas”! Jesteś kochana... Podejź, niech cię uściskam!

– Miło, że byli... – Anna rzuciła melancholijnie i spojrzała na Felcię – ...jednak to nie zmienia faktu, że wciąż są to obcy ludzie. – Felicja po tych słowach usiadła i wpatrywała się w Annę uważnie, a ta kontynuowała: – Może i coś z tego, co mówili, się stanie, ale jeśli nie... – zawiesiła głos – ...to my musimy poważnie się zastanowić, czego naprawdę chcemy. Eliza idzie na studia, dojazd z Poznania bez problemów. Twoja praca – spojrzała na córkę. – Czy to jest praca stała, czy sezonowa? Przyznam szczerze, że trochę się w tym pogubiłam. A jeśli stała, to jak to sobie wyobrazasz? Gdzie będziesz mieszkała? – Podkreśliła pytanie ruchem dłoni. – A co ja mam robić? Wracać sama do Poznania?

Kaśka i Eliza zaniemówiły, Felicja nie potrafiła ukryć wzburzenia.

– O czym ty w ogóle mówisz? Ile my będziemy jeszcze o tym gadać? Ty jak nie z tej, to z tamtej strony? Przecież macie gdzie mieszkać! – podniosła głos. – Czego mieszasz dziewczynom w głowach! Aniu... – powiedziała łagodniej i spojrzała jej w oczy. – Władek to uczciwy człowiek i mówił od serca. Zrobi wszystko to, co powiedział, obiecał! Przecież oni podpisali już te papiery!

– Jakie papiery? – Anna wyprostowała się.

– Jak to jakie? Na werandzie podpisali, przed kolacją! – Felicja podkreśliła gestem dłoni; Anna pokręciła głową. – Nic nie wiedziałas? No, to porozmawiaj sobie z Ryszardem! Przecież masz telefon, języka w gębie ci zabrakło...?

Zapadło milczenie.

– No dobrze, Felciu, może to i były jakieś ważne papiery, ale dziewczynki, jeśli mamy zacząć poważnie myśleć o zamieszkaniu tutaj, to musimy sprzedać srebra rodowe!

– Jakie srebra? – Eliza potrząsnęła głową.

– Nasze! To znaczy dom na Sołaczu i mieszkanie na Szamarzewskiego, miejsca, w których spędziliśmy tyle cudownych chwil! Za coś tutaj musimy się przecież urządzać!

– No nie! Mówiłam! Jak nie z tej, to z tamtej mańki, a do tego próbujesz jeszcze mnie obrazić! Jutro jedziesz do Bytowa, skoro nie umiesz zadzwonić! – zachnęła się Felicja.

*

Po powrocie z Bytowa Annę roznosiła radość.

– Felciu, wiesz... Oni nie chcieli mnie kłopotać tymi wszystkimi papierami. Ryszard

mówił, że Władek go poprosił, aby mnie oszczędzać. Ale jak on to zobaczył?

– Ja też to widziałam. – Felcia pokiwała głową. – W restauracji, jak Ryszard dał ci te papiery, to zrobiłaś minę, jakby ci się jaka krzywda stała, i zaraz podałaś je Władkowi.

– To przez ten język prawniczy... Gdyby to było coś choćby o...

– Muzyce! – zawołała Eliza.

– No na przykład. Przy takich tekstach to mi się zaraz te... – Pokręciła palcem obok głowy – ...zwoje przegrzewają – zaśmiała się.

To wreszcie kim ja jestem?!



– Dziadziuś, coś ci jest? – Wika spojrzał na dziadka, który westchnął kolejny raz, odkąd minęli zakręty, a teraz jeszcze cmoknął.

Znała go dobrze. Wiedziała, że za takim zachowaniem kryje się na ogół jakieś wzruszenie. Niczego nie zauważyła, kiedy wyjeżdżali z działki, ale teraz... Spojrzała na niego, ich wzrok się spotkał.

– Gdybym wiedział, że to za wsią, to bym nie pojechał, sama byś ich zaprosiła.

– Ale o co chodzi?

– Mam przykre wspomnienia sprzed wojny związane z gospodarstwem niedaleko za wsią, które się spaliło, i wołałbym się tam nigdy nie pojawiać! Zawsze jeżdżę do Bytowa przez Gołczewo, chociaż jak widzę, ta droga jest lepsza!

– To może wysadź mnie koło ZOZ-u?

Dziadek pokręcił głową. Jechali dalej. Kiedy Wika pokazała mu wjazd pod górkę, znowu cmoknął. Małe suzuki radziło sobie dzielnie – dziadek wpatrywał się w łąki, zabudowania, do których się zbliżali, i las za nimi. Kiedy wysiadł z samochodu, rozejrzał się wokół, a potem spojrzał na napis nad bramą.

– „Iskierka”... Fajna brama... i płot też. – Pokiwał z uznaniem głową, przyglądając się grubym deskom, zawiasom i okuciom. – Tak jakby Stacha robota.

Weszli przez furtkę na teren gospodarstwa. Zatrzymali się przed domem pośrodku gazonu. Dziadek omiótł wzrokiem elewację domu, werandę i ukwiecony taras. Rozejrzał się znowu wokół. Pokiwał głową. Wika rozpoznała ten gest – podobało mu się. Dziadek wydał jej się nieco spokojniejszy.

– A kogoż tu Wika przyprowadziła? – Felicja, która nagle wyrosła w progu werandy, uśmiechnęła się do przybyłych.

– Mój dziadek...

– Kuszer Mieczysław, dzień dobry. Pani pewnie gospodyni, znaczy właścicielka?

– Tak, zgadza się. Skierka. – Felicja spojrzała badawczo na dziadka Wiki.

– Wie pani, mieszkałem tutaj gdzieś niedaleko latem w trzydziestym ósmym roku, ale waszego domu chyba tutaj nie było, a tamte zabudowania całkiem spłonęły – zawiesił głos.

Felicja zeszła na podwórko, spoważniała i jęła uważniej się przyglądać gościowi. Dziadek Wiki wodził oczami po ścianie lasu.

– To było chyba gdzieś w tamtym kierunku – wybrał wreszcie i wskazał ramieniem.

– A co takiego tu się niby stało? – spytała Felicja suchymi ustami.

– Wydarzyła się tragedia podczas burzy. Pożar od pioruna i wszystko spłonęło.

– A pan to widział czy tylko słyszał? – Felicja wpatrywała się w jego twarz uważnie.

– Nie, no byłem! – zaperzył się. – Inaczej bym przecież nie opowiadał.

– A pan mieszkał wtedy... gdzieś we wsi? – Spojrzała na niego szklanym wzrokiem.

– Nie, ja mieszkałem w tym gospodarstwie, co to spłonęło... – dziadek Wiki westchnął i cmoknął.

– Ja też tu byłem w czasie tej burzy, doskonale pamiętam to zdarzenie i też zdążyłam jeszcze zobaczyć, jak gospodarstwo zaczęło płonąć... Potem zemdlałam...

Felicja i dziadek Kuszer wpatrywali się w siebie badawczo.

– Byłam wtedy na spacerze z małą Basią Zalewską w dużym i ciężkim wózku, a z nami był młody chłopak, Tadeusz z Gdyni... – Patrzyła szeroko otwartymi oczami na dziadka Wiki – ...no właśnie, nazywał się Kuszer, ale miał na imię Tadzio – wyszeptła.

Dziadek Wiki przełknął ślinę, westchnął i cmoknął.

– To ja jestem tym Tadzkiem... – Zatrzęsła mu się broda. – W dowodzie mam Mieczysława, ale od dziecka wszyscy mówili na mnie Tadzio.

Felicja uniosła ręce do twarzy i zasłoniła oczy. Wika przyglądała się obojgu z przestrawieniem pomieszanym z ciekawością.

– To pani jest Felcia? – dziadkowi Wiki zadrżał głos.

Felicja skinęła głową. Spoglądali na siebie w milczeniu. Obojgu łzy napłynęły do oczu. Podeszli do siebie i bez słowa przytulili się.

– Tyle lat... Tadzio... – Felcia odsunęła się i zaglądała mu w oczy. – Ale mam dla ciebie dobrą wiadomość. – Jej oczy zabłyśły, dziadek Wiki spoglądał na nią przez załzawione oczy. – Basia Zalewska żyje! – Tadziewi znowu zatrzęsła się broda. – Jest właśnie u mnie. O! Eliza. – Spojrzała na werandę. – Wika z dziadkiem przyjechali.

– Stałam na werandzie i wszystko słyszałam. Dzień dobry.

– Poproś tutaj w takim razie Basię, znaczy babcię Anię.

Po chwili na werandę weszła Anna w towarzystwie Kaśki i Elizy. Przedstawili się sobie z dziadkiem Wiki. Poznaniarki przyglądały się dziadkowi Wiki zza zmrużonych oczu.

– Czyli pan jest tym Tadzkiem, co to wówczas nie miał zbyt wielkiej ochoty pójść ze mną na spacer?

– To nie do końca było tak... – Dziadek Kuszer próbował się tłumaczyć, ale kiedy zobaczył śmiejące się oczy Felci i Anny, też się uśmiechnął.

– Lubiliśmy się, Aniu, przekomarzać, on zagadywał mnie zawsze Gdynią, ale w końcu mi ustępował i znowu szliśmy nad staw. Wtedy też.

– Mam nadzieję, że teraz, kiedy wszystko się szczęśliwie wyjaśniło, zawita pan tutaj od czasu do czasu. – Anna podeszła do niego i uchwyciła za dłonie.

Tadzio Kuszer podniósł jej małe dłonie w górę i ucałował, przytulili się. Jeszcze raz podszedł do Felci i uczynił podobnie.

– A ja tak się bałam jeździć tędy do Bytowa... – Otarł oczy i westchnął. – Myślę, że w takim razie panie nie będą miały nic przeciwko, żeby mówić sobie tak jak wtedy po imieniu? – Spojrzał pytająco na Felicję i Annę; potwierdziły skinieniem głowy.

– Usiądźmy na chwilę. – Felicja wskazała na stół.

– Przyjechałem, żeby zaprosić mamę Elizy na ognisko, no i ją samą też. – Spojrzał na Kaśkę i Elizę, uśmiechnął się i cmoknął. – W tym roku jest wyjątkowo ciepło i sucho, więc jeszcze z żoną siedzimy, ale... wszystkie panie zapraszam. Przyjedziecie? – Dopiero teraz rozblęśły mu oczy.

– Oczywiście – odpowiedziała Felicja za pozostałe.

– Ładna nazwa gospodarstwa – Tadeusz się uśmiechnął.

– To ty mówiłeś na mnie Iskierka, stąd ta nazwa.

Dziadek uśmiechnął się zmieszany i podrapał po głowie.

– Tak było... teraz przypomniałem sobie. – Pokiwał głową. – Pełno było cię wszędzie, nie ustawaś w miejscu, no i ten staw. – Spojrzał w kierunku doliny.

– Wszystko pamiętasz... – Felicja pogłaskała Tadeusza po dłoni.

Anna, Kaśka, Eliza i Wika przenosiły wzrok z Felicji na Tadeusza jak zaczarowane.

– Ale powiedz mi, Felciu, jak to się stało, że się spotkałyście z Basią... Anią?

Felicja uśmiechnęła się i położyła swoją kościstą dłoń na małej dłoni Anny.

– To jedno pasmo dziwnych i przypadkowych zdarzeń... – zaczęła opowieść, którą dokończyła Anna.

– To wszystko jest niewiarygodne... – Dziadek Wiki uśmiechnął się i pokręcił głową.

Przyglądał się Annie dobrotliwie; cmoknął.

– Tylko, że prawda jest nieco inna, niż mi tu opowiedziałyście.

Felicja i Anna wyprostowały się.

– Jaka prawda? – spytała Anna.

– Część z tego, co teraz powiem, podsłuchałem, kiedy mama rozmawiała z Krysią, a o innych sprawach zdążył mi opowiedzieć mój brat Józio w czasie wojny. Niedługo potem został aresztowany i wywieziony przez hitlerowców do Mauthausen. – Zatrzęsła mu się broda.

Felcia złapała go za dłoń.

– Już dobrze... ta wojna! – dodała zmienionym głosem.

Zapadło krótkie milczenie. Tadzio Kuszer uspokoił się.

– Basiu... Aniu... ty... nie jesteś córką Zalewskich... – Tadeusz spojrzał poważnie w jej oczy.

– Jak to? No, a opowieści Felci, grób ojca, a teraz jeszcze wizyta Władka i Maxa... Przecież oni wszystko potwierdzili.

– Potwierdzili to, co Władek wiedział od matki, znaczy Krysi Zalewskiej. To, co ona chciała mu przekazać.

– O czym ty, Tadzio, chcesz nam powiedzieć? – Anna przechyliła się przez stół i złapała go za dłoń; za drugą złapała go Felcia. – Mów!

– Sam słyszałem, jak Krysia mówiła do mojej mamy, że boi się, żeby to się nie wydało. Obie z mamą strasznie płakały, więc nie słyszały, że jestem w drugim pokoju; potem się wymknąłem. Zresztą Krysia od tamtego razu była już zawsze w dobrym humorze... Ładnie tyła, brzuch się zaokrąglał. Wiecie, ja wtedy miałem trzynaście lat i bardziej mnie interesowało podawanie piłek na korcie niż brzuchy kobiet – zaśmiał się.

– No, ale co dalej? – ponagliła go Anna.

– Krysia urodziła Anię, a potem została u nas do wiosny. – Felicja i Anna skinęły głowami. Tadzio popatrzył raz na jedną, raz na drugą. – W tamto lato było mi trochę dziwne, że i mama jakoś tak przytyła, i bardziej się męczyła, a potem długo była blada. – Felcia i Anna zrobiły oczy. – Ja o tym wszystkim zapomniałem, aż do ostatniego spotkania z Józkiem w czasie wojny... – Kolejny raz zatrzęsła mu się broda i zamilkł. Felcia i Anna gładziły go po dłoniach.

Kaśka, Eliza i Wika przypatrywały się całej scenie z oczami szeroko otwartymi ze zdziwienia.

– Tuż przed aresztowaniem Józka przez Niemców porozmawialiśmy sobie... – cmoknął i westchnął. – Obaj działaliśmy wtedy w Tajnym Hufcu Harcerzy w Gdyni, on oprócz tego był kontaktowym z oddziałami Armii Krajowej. Nie powiedział mi tego nigdy – konspiracja, ale ja tak podejrzewałem. Po wojnie okazało się, że tak faktycznie było... Podczas tamtej rozmowy powiedział mi, bo byłem już dorosły, miałem osiemnaście lat – abym nigdy nie wygadał się przy mamie, że wiem, że Basia Zalewska była naszą siostrą. Na

wszelki wypadek miałem o tym nie rozmawiać także z Olą, moją siostrą... pamiętasz ją, Felciu... – Anna odsunęła się od stołu i przycisnęła plecami do oparcia krzesła, oczy zasłoniła rękoma. – On nie wiedział, czy ja wiem o tym, czy nie wiem, ale przestrzegł mnie, ponieważ mama strasznie przeżyła śmierć Basi. Wtedy dopiero skojarzyłem sobie to słabsze zdrowie mamy z jesieni trzydziestego siódmego roku z urodzinami Basi. Na zakończenie Józio mi powiedział: działamy jak w konspiracji, rozumiesz? – Tadziovi zadrżał głos.

Felcia spoglądała raz na Annę, raz na niego.

Zapadło głębokie milczenie, Anna zamknęła oczy. Dziadek Wiki patrzył na nią szklanym wzrokiem.

– Czyli, Anno, jesteśmy rodzeństwem, bo twoją matką była Józefa Kuszer – powiedział po chwili drżącym ze wzruszenia głosem.

Ponownie zapadło milczenie. Kaśka spoglądała na matkę z niepokojem. Bała się, żeby tej rozmowy nie przypłaciła znowu pogorszeniem zdrowia. Anna jednak po chwili opuściła ręce, na jej twarzy błąkał się dziwny uśmiech.

– Czy w takim razie ktoś może wreszcie mi powiedzieć, kim ja tak naprawdę jestem? Może jest jeszcze jakaś inna prawda? – powiedziała dziwnym głosem, mrużąc nerwowo oczy. – A kim w takim razie jest mój ojciec? – Wbiła spojrzenie w Tadeusza.

– Tego niestety nie wiem... – Uciekł wzrokiem w bok.

– Nie wiesz, czy nie chcesz powiedzieć?

– Wolę powiedzieć, że nie wiem, bo...

– Dosyć tego! – Felicja ocknęła się. – Aniu, Tadzio! Idziemy! – Zakręciła spódnicą i ruszyła w kierunku zejścia z werandy. – No chodźcie! Idziemy nad staw!

Szli kilkadziesiąt metrów w milczeniu.

– Jeśli ja jestem córką Józefy, to nie mogę być jednocześnie córką i spadkobierczynią Zalewskich! Jasne? – Anna zatrzymała się nagle, spoglądając na Felcię i Tadzia.

– Nie krzycz, uspokój się, idziemy! – Felcia spiorunowała ją wzrokiem i ruszyła dalej.

Po kilku metrach jak na komendę wszyscy stanęli.

– Co ty właściwie przez to chciałaś powiedzieć? – Felcia zamachała obiema rękami.

– Przecież sama mówiłaś, że widziałaś papiery, że jesteś córką Zalewskich! – dodał Tadeusz. – To, co usłyszałem od brata, może być prawdą albo i nie, a jeśli nawet to prawda, to przecież i tak byłaś córką Zalewskich! Jesteś!

– Jo! Słusznie mówisz, boś najstarszy – mrugnęła do niego szelmowsko Felcia, Tadeusz zaśmiał się.

– Zobacz, Tadzio, jak pod wieczór słońce ładnie odbija się w wodzie. – Felcia machnęła głową w stronę stawu.

– Nic się nie zmieniłaś... – Tadeusz pokręcił głową.

– W zasadzie nie, tylko podskakiwać już tak nie mogę jak kiedyś – zaśmiała się głośno.

Za chwilę siedzieli już na ławce, wpatrując się w wodę.

– Pamiętasz, Tadzio, co mówiłam ci wtedy o kolorach? – Felicja wskazała na wodę. – One się nie zmieniły od tamtego czasu – uśmiechnęła się.

– A jak z księżycem?

– Teraz przychodzę go oglądać z Anią. Mogę na niego patrzeć i patrzeć.

– To masz ciągle osiem lat... – zaśmiał się Tadeusz.

– Tadzio! To najpiękniejszy komplement, jaki słyszałam od dawna. Czy ty mnie czasem

nie podrywasz? – Cała trójka roześmiała się.

– Wiecie... Dzisiejszy spacer podoba mi się bardziej niż tamten sprzed wojny – Anna zmrużyła oczy. – Szkoda, że nie przywiozłeś do nas Wiki choćby trzy dni temu, poznałbyś Władka.

– No, szkoda... ale na pewno jeszcze przyjadą.

– A wiesz, z kim o tobie rozmawiałam...?

– O mnie? A kto może mnie znać w Poznaniu? Chyba, że ktoś z rodziny zięcia... – Tadeusz spojrział na Annę.

– Z Feliksem Kiedrowskim.

– Żyje jeszcze – potwierdziła Felicja.

– Ten Kiedrowski? Felek? – Tadeusz wskazał na wieś. – Felciu! Wiesz, ty jesteś i dziewczynka, i stara jędzka w jednym – zachichotał Tadeusz.

– A żebyś wiedział i dobrze mi z tym.

– Ja przez te wszystkie lata wolałem jeździć do sklepów do Sulęcyna, a dopiero od paru lat jeździmy do Bytowa, bo żona coś tam sobie umyśliła. Mówię o tym, bo to w ogóle był jakiś przypadek, że zaczęliśmy przyjeżdżać nad Mausz. To znaczy Dalmor miał tu swój ośrodek wczasowy, ja w tej firmie pracowałem, ale pierwszy raz żona z córkami przyjechały tutaj same; pozostało mi tylko się na to zgodzić. No, a potem sam polubiłem Mausz, a że emerytura była blisko, kupiliśmy działkę. Ciągle nie zapuszczałem się tutaj, a tylko do Sulęcyna. Same przypadki...

– A wiesz, że my z Anią też uważamy, że naszym życiem rządzą znaki i przypadki?

– Ja coś takiego powiedziałem?

– Przed chwilą

– Już sam nie wiem... – zamyślił się Tadeusz. – Może coś w tym jest?

– Kolejnym znakiem było to, że Eliza poznała się z Wiką. Wy tutaj macie działkę, one wcześniej się poznały i dzięki temu myśmy mogli znowu się spotkać. – Anna znów zmrużyła oczy. – Inaczej by się to nie zdarzyło.

– Do czego jeszcze chcecie mnie przekonać? – Tadeusz parsknął śmiechem; po chwili spoważniał i zamyślił się. – Ale przyznam, że to wszystko, co mówicie, ma jakiś sens.

– Wiecie co? Tak sobie tutaj fajnie gadamy, a ja się zastanawiam, co by z tym wszystkim zrobić. – Anna spoglądała na nich z poważną miną.

– To znaczy z czym? – Felicja zmierzyła Annę wzrokiem.

– Z sobą, spadkiem, darowizną...

– A co ty z tym chcesz na Boga zrobić? – Felicja zamachała rękami.

– Przecież wiecie, że ja mam dom w Poznaniu. To dobra lokata. Mam za co żyć.

– I? – Felicja spojrzała badawczo na Annę.

– Wpadł mi do głowy pomysł, żeby coś z mojego spadku po Zalewskich, o ile trafi do mnie... – Anna zaśmiała się – ...przekazać na rzecz gminy, dzieci... No, jeszcze nie wiem ile i jak, bo to tylko pomysł.

– Aniu, jesteś naprawdę wielka! – Felicja przytuliła ją. – To jest mądre i szlachetne. I tak myśl, a inne pomysły odrzucaj.

– Ale posłuchajcie! – Tadeusz poderwał się z ławki. – Dokończmy tę rozmowę u nas na działce. Jedźmy na ognisko, bo dostanę po uszach – zaśmiał się.

Dziadkowie Wiki w najskrytszych snach nie spodziewali się takiej imprezy. Wika i Eliza pomagały babci Julii zawijać w folię pstrągi, plastry karkówki i kaszanke. Kaśka zajęła się przygotowaniem sałatki warzywnej. Stach Janik wyręczał dziadka Tadeusza w utrzymaniu ognia i przewracaniu srebrnych zawiniątek na ruszcie. Maciej pomógł poustawiać siedziska wokół ogniska z grillem. Felicja, Anna i babcia Julia siedziały koło siebie zadowolone i wesoło rozprawały o splotach wydarzeń tego lata.

– Cieszę się, że wreszcie będziemy mogli jeździć do Bytowa lepszą drogą – powiedziała babcia Julia. – Bo Tadzio... – ściszyła głos – ...na tych wąskich przez Gołczewo, to już tak słabo... – Felicja i Anna pokiwały głowami.

– Zapraszam was do „Iskierki”, kiedy tylko macie czas i ochotę. – Felicja cieszyła się z pozyskania nowej koleżanki. – Zresztą możecie u mnie siedzieć nawet do późnej jesieni. Niedługo wróci mój Jan i będziecie mogli go poznać. – Złapała Julię za dłoń.

– Opowiedz coś o nim – poprosiła Julia.

Felcia kręciła na boki głową; jej oczy błyszczały się szczęściem.

– Nie potrafię... Po prostu bardzo go kocham – szepnęła i ścisnęła dłoń Julii. – Przyjedziecie, to go poznacie... On wszystko sam opowie.

– Ostatni raz chyba tak dużo ludzi było u nas, kiedy został ukończony duży domek... – babcia Julia była rozradowana. – Takich miłych gości dzisiaj poznałam! Aż chce mi się śpiewać:

*Gdzie strumyk płynie z wolna,
rozsiewa ziola maj,
stokrotka rosła polna,
a nad nią szumiał gaj...*

– zaintonowała, Felicja zawtórowała, a do nich przyłączyli się po chwili pozostali.

– Juluś! Nie trzeba. Co ludzie powiedzą? – syknął Tadeusz i zrobił zgorzowaną minę.

– Tadziu, przecież nikogo już nie ma. Wszyscy wyjechali...

– A ty zawsze swoje...

– Tadziu, Tadziu... – babcia Julia roześmiała się i machnęła dłonią.

– Dzień dobry wszystkim ! – rozległo się donośne wołanie od bramy; wszyscy skierowali oczy w tamtą stronę.

– Igor! A ty tutaj gdzieś przypadkiem? – zawołała Wika i zasłoniła usta dłonią.

– To miała być niespodzianka... – wyjaśniła, mrużąc oczy Eliza. – Dla mnie – roześmiała się. – Odpowiedziałam mu na SMS-a i trafił!

– Trudno nie trafić, jak taki piękny harcerski śpiew niesie się daleko. – Igor przywitał się z wszystkimi.

– Widzę, że Igorek zna się na piosenkach... – uśmiechnęła się babcia Julia.

– Było się trochę harcerzem...

– A to znasz Igorku?

*Czerwony pas, za pasem broń,
I topór, co błyszczy z dala.
Wesoła myśl, swobodna dłoń
To strój, to życie górala!*

*Tam szum Prutu, Czeremoszu
Hucułom przygrywa,
A wesóła kołomyjka '
Do tańca porywa.*

*Dla Hucula nie ma życia,
Jak na poloninie.
Gdy go losy w doły rzucą,
Wnet z tęsknoty ginie.*

Chóralny śpiew znowu poniósł się po lesie, okolicznych wzgórzach i dotarł aż do jeziora. Jedzenie, rozmowy i śpiewy trwały do późna.

Po powrocie do „Iskierki” wszyscy zebrali się w kuchni.

– Co za miły wieczór... a Julcia wprost przeurocza... – Felicji świeciły się z radości oczy.

– Co za dzień... Zyskałam brata i nową rodzinę. – Anna nie posiadała się ze szczęścia.

Koniec pewnego świata



Elizie spodobała się na propozycja wyjazdu na plener zdjęciowy, którą złożył jej Igor, i chętnie się na nią zgodziła. Rozmawiali o tym już dawno temu, ale dopiero teraz udało się Igorowi pożyczyć od ojca samochód, bo bez tego ani rusz. Jeszcze podczas ogniska u dziadków Wiki rozważali opcje: Kalwaria w Wielu albo Kalwaria w Wejherowie. Wybrali tę drugą, bo leżała na trasie do Żarnowca, gdzie także chcieli porobić trochę zdjęć. W czasie jazdy do Wejherowa rozmawiali o tym, co było i co będzie za niecały miesiąc. Eliza dopiero wówczas uzmysłowiła sobie, że początek roku akademickiego już za trzy tygodnie.

– Tak mi dobrze, że straciłam poczucie czasu – przeciągnęła się leniwie.

– A gdzie będziesz mieszkała?

– Myśmy o tym zupełnie zapomnieliśmy! – Zrobiła oczy. – Czy ty musiałeś dzisiaj o tym mówić?

– Spytałem tak po prostu. Ja będę mieszkał w akademiku we Wrzeszczu, tam gdzie dotąd. Dziesięć minut pieszo do uczelni.

– A w Gdyni są akademiki uniwersytetu?

– Chyba nie. Są w Oliwie, w Sopocie, w centrum Gdańska i na Brzeźnie. I wiesz co? Wydaje mi się, że dokumenty trzeba było składać do końca sierpnia.

– No to mnie teraz ładnie nastraszyłeś! – Eliza poderwała się na siedzeniu.

– Eliza ostrożnie, bo aż autem zarzuciło – zaśmiał się Igor.

Eliza wachlowała się ręką. Po chwili rozchmurzyła się.

– Tak sobie myślę, że jak jutro zadzwonię na uczelnię i potwierdzi się to, co mówisz, chyba zamieszkać gdzieś na kwaterze prywatnej. A ile to kosztuje?

– W akademikach średnio dwieście złotych za miesiąc, a w kwaterach prywatnych nawet trochę ponad czterysta. – Igor zerknął na Elizę.

Zamyśliła się. Wpatrywała się w mijane pola, lasy.

– Dramatu nie ma strasznego, ale mama mi będzie suszyć głowę, że nie pomyślałam. Ale ona też nie pomyślała! – roześmiała się.

– Ona nie musiała, a ty tak...

– A jest moją mamą?

– Jesteś niemożliwa. – Igor pogładził się po włosach.

– Żartowałam. Dzisiaj wieczorem przyznam się, bo nie ma co kręcić. Obiecałam sobie, że nie będę Kasiuli więcej denerwować. – Spojrzała na Igora, mrużąc oczy.

– Kasiula miała w te wakacje adrenaliny, że hej! – mrugnął Igor.

– No miała... Wiesz, przez ostatnie trzy lata dałam jej nieźle popalić. To jak miała sobie życie ułożyć? Jak wracała z wyjazdu, to ciągle ze mną było coś do roboty.

– Aż tak źle? – Igor spoważniał.

– Prawdę mówiąc, wszystko miałam pod kontrolą, ale byłam zołza. Robiłam jej ciągle na złość. Ech! Ty nie zrozumiesz...

– A może?

– Co może?! Chciałam jakoś ją sprowokować, żeby zerwała z Piotrem. Przecież ona się

miotła, przywykła do tego układu. Ee, po co ja to mówię! – Zaciśnięła usta. – To jej sprawa... i trochę moja.

– Masz rację, ale przecież już kiedyś rozmawialiśmy o naszych rodzicach.

– Bardziej o Krzyśku i Zuzannie. – Spojrzała na Igora. – A ty postawiłeś na swoim – zaśmiała się. Igor pokazał zęby w uśmiechu.

– Mówiłem ci, że postawiłem im warunek, przeciągnęli termin, ale teraz jest dobrze. – Pokiwał głową.

– A tu jeszcze Kasiula się pojawiła i powrót do przeszłości...

– Może dziwnie zabrzmieć, ale to była dla nich obojga dobra lekcja – powiedział. – A wiesz, podoba mi się Maciej. – Igor mrugnął.

– Tobie się podoba? – prychnęła Eliza.

– Ty to naprawdę potrafisz być zołza.

– A pocałowałeś mnie chociaż dzisiaj na dzień dobry? – zmieniła zalotnie temat i spojrzała na Igora z udawaną pretensją.

Igor nachylił się ku niej.

– Czy ty zwariowałeś! – wrzasnęła. – Trzymaj fajkę!

– Tylko żartowałem. Wszystko miałem pod kontrolą. – Nieco zwolnił i przyglądał się poboczemu. – Tutaj... – Zahamował i zaparkował.

Pochylił się ku ustom Elizy.

– Nie trzeba było tak od razu, na dzień dobry? – Kiedy skończyli pocałunek, Eliza zaczerpnęła powietrza, zmrużyła oczy i przytuliła się do Igora.

– Bo wiesz...

– Nie, nie tłumacz się, tylko całuj.

Igor powtórnie pochylił się ku ustom Elizy. Z przejeżdżającego szosą samochodu doszedł dźwięk klaksonu.

– Zazdrośnik – roześmiał się Igor.

– Może nie kazałby się prosić. No dobra, Igorio. – Eliza odchyliła się do tyłu. – Wymusiłam, ale i tak smakowało. – Uniosła jedną brew w górę. – Na jakiś czas wystarczy. Jedźmy.

Igor jeszcze raz przywarł do jej ust. Po chwili odsunął się nieco i spojrzał jej w oczy.

– Dobrze mi z tobą. – Popatrzył w jej zmrużone oczy. – No dobrze już, ruszamy – uśmiechnął się. – Do Kalwarii w Wejherowie już niedaleko, a potem pojedziemy do Żarnowca, okej?

Eliza skinęła głową i spoglądała na szosę.

– A ty byłeś już kiedyś w tym Żarnowcu?

– Byliśmy tam z wycieczką, jest tam piękny klasztor i kościół. Wieś leży na północnym brzegu Jeziora Żarnowieckiego. Tam, dokąd dzisiaj pojedziemy, czyli na miejscu niewybudowanej elektrowni jądrowej, byłem tylko raz przejazdem i oglądałem zza szyby auta. To jest na południu jeziora, a ono ma ponad siedem kilometrów długości. W naszym województwie było w dziewięćdziesiątym roku referendum w sprawie dalszej budowy tej elektrowni i prawie dziewięćdziesiąt procent mieszkańców było przeciwnych. Tata mi kiedyś opowiadał. – Pokiwał głową. – A jak jest u was z tym Klempiczem?

– U nas chyba nie było żadnego referendum. – Eliza pokręciła głową. – Fachowcy wypowiadają się różnie, mieszkańcy raczej są przeciw, ale ja jestem za budową. – Podniosła brew.

Zapadło milczenie. Igor po kilku chwilach pacnął się w czoło i uśmiechnął.

– W kieszeni na drzwiach są płyty. Może coś wybierzesz? Ale nie pokazuj mi wcześniej, co to.

Eliza skinęła i wyciągnęła plik płyt. Zaczęła wertować. Po chwili uruchomiła odtwarzacz. Zabrzmiała muzyka. Rytmicznie przebierała palcami po kolanie, wybijając rytm i pomagała sobie poruszając głową.

– Myślałem, że takiej muzyki nie lubisz. – Zerknął na nią.

– Wiem, że „Joshua tree” to najbardziej znana płyta U2, ale nie dlatego ją wybrałam...

– Eliza na chwilę zawiesiła głos, przymknęła oczy – Też miałam taką. Wpadła mi w ręce dwa lata po śmierci dziadka. – Zwróciła się w kierunku Igora. – Za dużo by opowiadać, przy niej i płakałam, i śmiałam się. Teksty tłumaczyłam sobie po swojemu. Mama ciągle w rozjazdach, a jego nie było... – Ucichła na chwilę i znowu przymknęła oczy. – Z babcią miałam dobry kontakt, ale rozmawiałam z nią tylko na słodkie tematy. Rozumiesz?

– A ja myślałem...

– Potrafię się maskować – uśmiechnęła się smutno. – Kiedy mamy nie było, a miałam dość słodkich rozmów z babcią, puszczałam płytę. Tak katowałam się przez ponad rok, aż ją zajeździłam. Potem miałam fazę wagarów, mówiłam ci. – Machnęła dłonią.

– Ale twoja babcia jest taka dobra...

– Tak, tak! Tylko ona nie była moim powiernikiem. Ja przecież wszystko opowiadałam dziadkowi... rozumiesz? – Wbiła w Igora wzrok. – Wszystko! Ech! Raczej nie rozumiesz... Tak się jakoś utarło i już zostało! Babcia była do słodkich rozmów, mama, jak wracała – do przytulania, a dziadek do całej reszty. Tego, co najważniejsze! Tacy powinni być wszyscy mężczyźni... – Przymknęła oczy; spod jej powiek wypłynęły łzy.

Igor zwolnił, spoglądał na Elizę z niepokojem. Zjechał na przydrożny parking. Delikatnie otarł palcami łzy i przytulił ją. Znowu nachylił się do jej ust. Całowali się namiętnie. Gładził jej ramiona, plecy. Uspokoila się. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się.

– Masz, Igorio, zadatki... – zmrużyła oczy.

– Na co?

Pokręciła głową.

– Na kogo! – poprawiła. – Ale zadatki masz...

Znowu zmrużyła oczy i przywarła do jego ust.

Złapała jego dłoń i położyła na swoich piersiach. Pozwoliła mu się pieścić. Zapomnieli się. Wreszcie Eliza ocknęła się i otworzyła oczy.

– Czy my, Igorio, dokądś jedziemy? – uśmiechnęła się. – Zmień płytę i jedźmy, proszę.

– Ale to dopiero piąty utwór. – Spojrzał na wyświetlacz.

– Zmień na coś weselszego. Chcę! Teraz ja nie patrzę! – Roześmiała się i odwróciła w stronę okna.

Zabrzmiała muzyka. Eliza poderwała się.

– O! Super! Roxette! – Poruszyła biodrami i uniosła w górę ręce. – Ruszaj już, Igorio!

Do samej Kalwarii doszli pieszo, samochód zostawili jakieś pięćset metrów od niej. Eliza była w dobrym humorze. Uśmiechnęła się do siebie.

– Inicjatorem i fundatorem tej kalwarii był Jakub Wejher. Jej plan powstał na podstawie Drogi Krzyżowej Chrystusa w Jerozolimie. Szczegółowe wyliczenia odległości pomiędzy kaplicami wykonał jeden z cystersów oliwskich, ojciec Robert z Werden.

– Nigdy bym nie pomyślała...

– Dlatego ta Kalwaria często nazywana jest Jerozolimą Kaszubską. Tutaj się zaczyna, to jest Góra Oliwna, to kaplica Wniebowstąpienia, tam Kaplica Ogrójca, a dalej Kaplica Judasza. Cała trasa, gdyby iść jak powinno się, liczy ponad pięć kilometrów.

Igor o każdej kaplicy miał coś interesującego do powiedzenia. Robili zdjęcia każdy po swojemu.

– Ale potem dasz obejrzeć swoje? – Eliza uśmiechnęła się.

– Oczywiście, tylko nie sugeruj się moimi dziwnymi ruchami i rób wszystko po swojemu, tak jak czujesz.

Spędzili tam blisko trzy godziny, po czym Igor poprowadził Elizę starymi uliczkami na rynek.

– To kościół Świętej Trójcy. Budynek szachulcowy w narożniku rynku to jeden z najcenniejszych zabytków Wejherowa, a ufundowała go pierwsza żona Jakuba Wejhera. To był wówczas szpitalik dla ubogich.

Odpoczęli w kafejce przy rynku. Eliza wodziła wokół wzrokiem. Zmrużyła oczy i liczyła na palcach.

– Co tak rachujesz?

– Liczę kaszubskie rynki, na których byłam tego lata. Wyszło mi sześć i pół – uśmiechnęła się

– I pół?

– No bo... Chojnice, Człuchów, Bytów, Kartuzy, Kościerzyna i Wejherowo mają rynki, wszystkie zresztą piękne, a Hel? Byłam tam, ale rynku tam raczej nie ma, co? – Przechyliła głowę, spoglądając w oczy Igorowi.

– Masz rację, jeszcze nie! – Nachylił się ku niej i pocałował.

– Ale ten jest pierwszym rynkiem, na którym się całuję – wyszeptła.

– Zrobił się przez to jeszcze ładniejszy. – Igor uśmiechnął się; Eliza znowu zmrużyła oczy.

– Masz rację... Śliczny ten rynek, podoba mi się zresztą całe Wejherowo...

– Bo zdarzył się tutaj w siedemnastym wieku ciekawy życia, silny i bogaty człowiek, Jakub Wejher. Przede wszystkim był dobrym żołnierzem. W służbie cesarskiej dowódca chorągwi, za zasługi u niego uzyskał tytuł hrabiowski. Potem w służbie polskiego króla został pułkownikiem i wreszcie generałem. Był także starostą i wojewodą. Zbudował Władysławowo i założył Wejherowo. Wiedział, czego w życiu chce, ale niestety żył za krótko. Jest pochowany w podziemiach kościoła Świętej Anny, którego też był zresztą fundatorem. Rzucimy tam jeszcze na chwilę okiem.

– Sporo wiesz o nim.

– To bardzo kontrowersyjna postać. Nawet na dziwne czasy, w jakich żył, ale na pewno wielki polski patriota. Dobrze tu o nim pamiętają.

Za kilkanaście minut byli już znowu na trasie.

– Gniewino to też włości rodu Wejherów od szesnastego wieku. Wcześniej należało do cysterek z Żarnowca.

– Jakie zaradne dziewczynki! – mrugnęła. – Ale tam wielki wiatrak! – Eliza nie mogła się powstrzymać, aby nie wskazać ręką.

– Ma już dziesięć lat. Ponad trzydzieści metrów wysokości, a moc taką, że zasili co najmniej dziesięć gospodarstw – Igor rzucił chełpliwie.

– Czysta energia. Podoba mi się.

Jeszcze kilka zakrętów, droga przez las i wyjechali znowu na odkryty teren. Przy drodze pojawił się znak drogowy GNIEWINO. Po chwili stali już przed okazałą budowlą z cegły.

– Ta świątynia została zbudowana jako kościół protestancki pod koniec dziewiętnastego wieku. – Igor spojrzął na Elizę. – W połowie siedemnastego wieku, kiedy tutaj panował już protestantyzm, stary kościół spłonął. Takie to dziwne dzieje tych ziem... – dodał, widząc jej zdziwienie.

– Obiecałyśmy sobie z Wiką, że zajmiemy się poznaniem lepiej tych spraw, to znaczy jak to na Kaszubach było z protestantyzmem.

– Chwalebne postanowienie! – Igor przyciągnął ją do siebie. – Nie zobaczymy wnętrza kościoła, zamknięte – rzucił, pociągając za klamkę. – Może jak będziemy wracać..?

– Mhm! To teraz dokąd?

– Pojedziemy nad sztuczny zbiornik w Czymanowie, to niedaleko stąd. To górny zbiornik elektrowni szczytowo-pompowej, największej w Polsce. – Wydał wargi i zrobił pocieszoną minę.

– Się napracowałeś przy nim! – Eliza zaśmiała się.

– Gdybym ja tam pracował, zbiornik byłby największy w Europie!

– Ee, myślałam, że większy... – powiedziała Eliza, gdy po niedługiej jeździe wysiedli z samochodu i podeszli na szczyt wału okalającego zbiornik.

– Ale to i tak jest powierzchnia około stu boisk piłkarskich. – Igor wskazał na jezioro. – Jest w nim tyle wody, że moc osiągnięta z turbin zapewni zasilanie województwa pomorskiego przez prawie sześć godzin. – Eliza pokiwała głową.

Za kilka minut zjeżdżali już w dół wijącą się szosą. Pomiędzy drzewami co i raz pokazały się wody Jeziora Żarnowieckiego.

– Wielkie jezioro – odezwała się Eliza. – No tak, mówiłeś, że to ponad siedem kilometrów długości. To woda nimi szoruje? – Wskazała ręką na ciągnące się od wzgórza w dół do jeziora, cztery olbrzymie, niebieskie rury.

– Ładnie to nazwałaś... – uśmiechnął się. – Mają sześć metrów średnicy. Nimi pompowana jest woda w górę w nocy, kiedy zapotrzebowanie na energię spada, a w ciągu dnia szoruje nimi w dół i napędza turbiny. Taki duży akumulator... – dodał.

– Ludzie to jednak potrafią wymyślić. A tamte budowle na drugim brzegu?

– Tam właśnie jedziemy. To niedokończona elektrownia jądrowa. Chcę porobić zdjęcia, aby pokazywać innym, czego nie powinno się nigdy robić. – Eliza spojrzała na niego z zaciekawieniem.

Po kilku minutach wolnej jazdy i wyszukiwania przez Igora odpowiedniego miejsca do robienia zdjęć, wysiedli z samochodu. Igor wyciągnął z bagażnika skrzynkę, a z niej aparat z długim obiektywem. Osadził go szybko na rękojęści, przypominającej pistolet.

– O! masz fotosnajpera!

– Dostałem na osiemnastkę, kiedy miałem świra na punkcie robienia zdjęć ptaków. Teraz używam go rzadko, ale tutaj jak znalazł. Wiesz, zbliżenia.

Przemieszczał się, wybierając coraz to inne miejsce dla zrobienia zdjęć.

– Ciekawych ujęć tutaj nie będę miał, ale chcę pokazać, jak wiele pieniędzy zmarnowano i jak zniszczono przyrodę! Nasze piękne Kaszuby! To będzie tutaj straszłyło kilkaset lat!

– A mnie się wydaje, że jednak stracono bezpowrotnie pieniądze, nie kończąc tej budowli! – Eliza wykrzyknęła w kierunku Igora. – Przecież to mogło być kilkanaście

tysięcy miejsc pracy, tak myślę. Aglomeracje wokół by skorzystały, kraj by się lepiej rozwijał... – Gestykulowała zawzięcie, aż Igor ze zdziwienia opuścił aparat. Ruszył w jej kierunku wolnym krokiem.

– Eliza! Czy ty to mówisz poważnie? – Stał blisko i spoglądał na nią zimnym wzrokiem.

– Jak najbardziej! – zaperzyła się.

– No, to wybuduj sobie w dolinie waszej Warty elektrownię jądrową! A pamiętasz jeszcze Czarnobyl, czy już nie? Świństwo dawali do picia i cały czas oszukiwali. Tyle pamiętam. Rzygać się chciało! A czy ty wiesz, ile ludzi u nich zginęło? Nie mówili prawdy, kazali im pracować bez odpowiednich zabezpieczeń. Żołnierzom, więźniom...

– A skąd ty to wiesz?

– Jak byłem w liceum, to opowiadał mi ojciec. On w czasie tamtego referendum był w Komitecie organizacyjnym. Skąd się dało, zbierali różne informacje. Dał mi potem te wszystkie materiały. Przystudiowałem je dokładnie!

– Ale przecież w kraju brakuje energii! – zawołała Eliza histerycznie.

– Eliza, to też kłamstwo! Elektrownie produkowały energię dla kopalni i hut, huty produkowały stal dla kopalni i elektrowni, a kopalnie węgiel dla elektrowni i hut. I tak ta produkcja bez sensu się kręciła!

– No i właśnie ta elektrownia miała to wszystko poprawić, odmienić! Produkcja energii bez szkody dla środowiska! – Eliza zacisnęła pięści.

– Dziewczyno! Chyba jednak zapomniałaś o Czarnobylu. Tam nie byli gotowi na taką awarię! Tereny wokół już są nie do odzyskania. Przynajmniej na setki lat. A pył węglowy osiadzie, piasek nawieje i przykryje go, deszcze i śniegi wymyją. Owszem, szkodzi, trzeba się zabezpieczać, ale tamto, w razie awarii, zabija natychmiast!

– Teraz są już lepsze systemy zabezpieczeń. Przecież się uczyłam! – Tupnęła nogą.

– Zróbcie sobie referendum dla tego Klempicza, to zobaczycie, co ludzie wybiorą! Chociaż wy poznaniacy jesteście tacy rozsądni, więc może wam to będzie pasowało! Zobacz! Inni od tego odchodzą – powoli, ale jednak. Niemcy, Amerykanie... Teraz już można o tym przeczytać, bo jeszcze parę lat temu nic. I to się będzie rozszerzało! Nam potrzeba energii alternatywnej: wiatraków, źródeł słonecznych, geotermii. To jest to! Na Kaszubach już takie powstają i to ma sens! Widziałas przecież u góry. – Wskazał w kierunku czterech rur pnących się w górę. – Tutaj norda^[30] zawsze wieje...

– Igor, chcę już wracać! Natychmiast! – krzyknęła Eliza, zamachała rękoma i ruszyła w kierunku samochodu.

– Eliza! To tylko rozmowa, a ty eksplodowałaś!

Nawet się nie odwróciła. Machnęła ręką i pokręciła energicznie głową. Igor ruszył za nią. W samochodzie próbował coś jeszcze wyjaśnić, ale się zacięła.

– Masz charakterek! – rzucił wreszcie zrezygnowany i spojrzał na nią, marszcząc czoło. Eliza uniosła brew i jeszcze mocniej się zachmurzyła.

Podróż powrotną do Parchowa odbyli, wymieniając tylko zdawkowe uwagi.

*

Kaśka wróciła nieco wcześniej z Kartuz. Nieczynny przez całe lato telewizor, ukryty w kuchni w wiszącej szafce, był już włączony. Któryś już raz pokazywano uderzenia

samolotów pełnych pasażerów, uprowadzonych przez arabskich porywaczy, w budynku World Trade Center w Nowym Jorku.

– Max miał tam pracować od września, ale z powodu wycieczki do Europy przełożył rozpoczęcie pracy na październik! – Rozemocjonowana Eliza na przemian to podskakiwała na krześle, to nerwowo wachlowała się dłonią.

– Niewyobrażalne... – Anna z przerażeniem na twarzy spoglądała na powtarzane sekwencje filmów. – To prawdziwy armagedon^[31]!

– Mamuś, ja tam byłam... to Dolny Manhattan. Teraz z tych pięknych wież została tylko kupa gruzu. Boże! – Kaśka miała łzy w oczach.

– Tylu ludzi zginęło. Szatany nie ludzie! – Felicja kiwała głową. – Samolotami z ludźmi, to już koniec świata. – Przeżegnała się.

– Masz rację, Felciu, to jest koniec świata, jaki znamy. Oni już się przed niczym nie powstrzymają. Nawet w Ameryce. A wydawało się, że tam jest tak bezpiecznie.

– Ja chyba zadzwonię do Maxa... – Eliza rozglądała się za telefonem.

– Daj, dziecko, spokój. Urlop mają, a teraz jeszcze to. Nie ma co zawracać mu głowy. Jestem pewna, że też to śledzą. – Kaśka spojrzała wymownie na córkę. Aż do wieczora siedziały przykute do telewizora, oglądając dyskusje na temat Al-Kaidy^[32], liczby ofiar i strat.

– Dobrze przynajmniej, że to daleko od nas... – Felcia próbowała się pocieszać.

– Samoloty latają i tutaj... – wyrwało się Elizie.

– Ja już nigdy nigdzie nie polecę – postanowiła Anna, kręcąc głową.

– Mamo, ale to mamy przestać latać, podróżować? Przecież im o to chodzi, żeby nas zastraszyć! – Kaśka podniosła głos.

– Tam, gdzie miałam być, to byłam, więcej już nie muszę – rzekła stanowczo Anna i spojrzała na Kaśkę. – A ty też już nie musisz.

– No, a ja?! – zaperzyła się Eliza. – Tak nie może być! Ja chcę zwiedzać świat!

– Ale jak ty sobie to wyobrażasz? – uśmiechnęła się gorzko Anna.

– No mówią przecież... Trzeba choćby na początek zwiększyć kontrole na lotniskach.

– Eliza! A potem? Mnie się to niestety źle kojarzy i nic na to nie poradzę – odparła Anna.

– Mnie też – wtrąciła Felicja.

– Ale jak się tak głębiej zastanowić, że mogą być również zagrożone statki, pociągi, komunikacja miejska... Przyznasz, że najlepiej to wszystko nie wygląda. – Kaśka spoglądała na Elizę.

– Takie wielkie armie, wywiady, służby specjalne nie dadzą sobie z nimi rady? – Eliza potrząsnęła głową.

– Słyszałaś o syndromie oblężonej twierdzy? Nie za bardzo? A może komuś o to właśnie chodzi. – Pokiwała głową Anna.

– Mamuś! Chyba tak nie myślisz! – Kaśka z wrażenia aż się wyprostowała.

– Powiedziałam, co powiedziałam. Mnie takie myśli niestety nachodzą.

– Ależ, babciu, przecież teraz gett już nie ma!

– Powiedziałaś mądrą rzecz, Eliza... Nie wiem, czy chcący, czy niechcący, ale o czymś takim też myślę. – Anna znowu uśmiechnęła się gorzko.

– Mamo, ale to przecież niemożliwe! – Kaśka z emocji szarpnęła stołem.

– A te komórki to co? – Anna złapała w dłoń telefon Elizy. – Słuchałaś pewnie w telewizji, że trafili rakieta kogoś na Bliskim Wschodzie, chyba z Hezbollahu, namierzając jego komórkę. A teraz jeszcze w komórkach zaczynają instalować GPS-y. Nie słyszałaś? Bo ja o tym czytałam. I nie przestawiaj Felci stołu, bo stał przecież idealnie!

– No właśnie Kaśka! Anna ma rację. Zostaw przynajmniej w spokoju mój stół! – prychnęła Felicja. – Wy się w tej naiwności czasami zapominacie i pozwalacie tym tam za dużo – Felicja uniosła rękę w górę. – Ale wiecie co? Teraz już przynajmniej wiem, dlaczego nie chcę mieć komórki – zaśmiała się ponuro. – Tego wszystkiego, co opowiadałaś, Aniu, nie wiedziałam. Mnie samej nie trafia, ale do waszego samochodu, jeśli nie będą wyłączone wszystkie komórki, już też nie wsiądę! – Wzięła się pod boki.

– Tak żeście mnie nastraszyły, że wszystkiego się odechciewa! – Machnęła ręką Eliza.

– Przepraszam, ale ja tylko opowiedziałam, co mówili w telewizji o tym namierzaniu... A tamto cię nie przeraża? O! Nas już chyba namierzili! – Zmrużyła oczy i pchnęła po stole komórkę w kierunku Elizy. Komórka wygrywała *Most na rzece Kwai*.

– Ale śmieszne... – prychnęła Eliza. – To Max! Witaj Max! ...czy wiemy?... cały czas oglądamy!...Boże!... To straszne!... ale dzwonił do niego?... Aha!... Strasznie przykro.... no to miał szczęście... nie przerwiecie urlopu... a Włochy jak?... fajnie, mówisz... dziewczyny ładne... tylko co...? ...że szybko się starzeją? No, ty to jesteś oryginał... Aha!... Słowianki ładniejsze!... i jakie jeszcze...? a ty na pewno dobrego słowa użyłeś...? nie mylisz się...? okej... pozdrów także! Trzymajcie się!... dobrze! Codziennie będę sprawdzać. Hej!

Odłożyła komórkę na stół. Spoglądała wokół i kręciła głową. Przykryła twarz dłońmi.

– Miał pracować w biurze biznesowym na czterdziestym czwartym piętrze w Północnej Wieży – relacjonowała poruszona. – W biurze miał być dzisiaj jego przyszły szef i sekretarka, natomiast on i dwóch kolegów mieli zaplanowane spotkanie u klienta na mieście. Dzięki temu żyją. Jest przerażony.

Kaśka przytuliła Elizę.

– Widzicie? Ten dramat i nas jakoś dotyka – powiedziała cicho Anna.

– Nie wie, co teraz będzie z pracą. Kolega nie mógł się dodzwonić do szefa, ale jak wieź nie ma... – Eliza smarknęła w chusteczkę. – Max się boi, że mogli zginąć, i jest załamany. Powiedział, że dzisiaj upije się na smutno. Nie chce mieszkać w USA i myśli o przeprowadzce do Polski! – Spojrzała wokół. – Tak powiedział! Boi się wracać do Chicago...

– Biedny Max, rozumiem go. – Anna pokiwała głową.

Zapadło milczenie.

– A co on ci mówił o Włoszkach i Słowiankach, że tak się dziwiłaś? – spytała po chwili Kaśka. Eliza wytarła oczy i wydmuchwała nos.

– Żeby mnie rozweselić, opowiadał, że przyglądał się dobrze tamtejszym dziewczynom. – Eliza spojrzała wokół i zmrużyła oczy. – Mówi, że są ładne, niektóre oryginalne, ale szybko się starzeją.

– Że co? – Kaśka roześmiała się.

– Powiedział, że bardziej podobają mu się Słowianki, bo są długo młode i świeże! – prychnęła Eliza.

– Jakie?

– Świeże! Tak powiedział. Słyszałyście chyba, że pytałam go, czy się nie pomylił, ale wyjaśnił mi, że wie, jakiego słowa użył, i że ono dobrze oddaje tę różnicę.

– Max to prawdziwy model! – zaśmiała się smętnie Kaśka.
– A ja uważam, że ma rację... – Felicja krygując się, pogładziła się po policzkach, wzbudzając śmiech pozostałych.
Kolacja była jednak na smutno. Siedziały w kuchni przed telewizorem do późnej nocy.

*

Kiedy następnego dnia rano, przed wyjazdem do Kartuz, Kaśka weszła do kuchni, zastała Annę i Felcię siedzące przy włączonym telewizorze. Wysłuchiwała razem z nimi kolejny raz powtórki wiadomości, ale w myślach machnęła ręką. Postanowiła sobie, że będzie się pocieszać myślą o piątkowym przyjeździe Macieja.

– Spróbujcie, dziewczynki, oderwać się od telewizora. To jest smutne, ale my już im nie pomożemy. Zajmijcie się sobą! Idzie przecież weekend. Felciu, do soboty wróci Jan. Mamo, ty pomyśl o Ryszardzie, a ja puszczę sobie w Żabie Oldfielda i podumam o Maćku!
– dodała ciszej i mrugnęła. – Pa!

– Wiesz, Aniu... Kaśka ma rację. Nie pogrążajmy się tak, tylko może coś zrobimy. A ty już, Kacha, leć i nie podsłuchuj! – Machnęła dłonią w kierunku sieni i zaśmiała się. – Bo się niby pożegnała, ale stanęła za framugą i kikowała na nas – uśmiechnęła się do Anny.

– Dobrze, tylko obejrzymy jeszcze te wiadomości do końca. – Anna położyła palec na ustach, po chwili potarła czoło i przeniosła wzrok z ekranu na Felcię.

– O co ci chodzi? – Felicja wyczuła jej wzrok.

– Czy myśmy czasem nie zapomnieliśmy, co ma być za półtora tygodnia?

– A co?

– Felciu! Wesele Marysi i Klausa!

– Wyłączam w takim razie tego kłamota. – Felcia raptownie wstała, bezceremonialnie wyłączyła telewizor i zasunęła drzwiczki szafki. – Ty byś pewnie powiedziała finito!

– Właśnie tak! Finito!

– Czy już zastanawiałas się, jaki prezent im zrobić? – Felicja spojrzała badawczo na Annę.

– Jakoś nie bardzo był na to czas. – Anna rozłożyła dłonie.

– No tak, tyle ostatnio zważyło się różnych spraw, a jeszcze ten Niu Jork – zgodziła się Felicja.

– Chciałabym im sprezentować coś oryginalnego, ale nigdy nie widziałam ich domu. To musi być coś, co będzie im pasować.

– Dom jak to dom. – Felicja mrugnęła. – Pościele ani zastawy nie wchodzi, moim zadaniem, w rachubę.

– Też tak myślę. To musi być coś oryginalnego.

– Może byście wpadły tam, gdzie kupowałyście dla Amerykanów?

– To niezły pomysł. A masz na myśli coś konkretnego?

– Nie, ale jak będziecie kupowały od siebie, to i ode mnie coś tam weźmiecie. Tylko to musi być coś extra! No i drogo! – Felcia klepnęła dłonią w stół i zaśmiała się głośno.

– Ty cwaniaro! – Anna zmrużyła oczy. – My mamy za ciebie wybrać. – Spojrzała na Felcię i dojrzała skinienie głową. – Może jakiś obraz albo płaskorzeźbę, albo wiem! Kupię jej skrzynkę na kosmetyki!

– To ostatnie to chyba nie. – Felicja pokręciła głową.

Do kuchni, szurając klapkami, weszła zaspana Eliza. Obie spojrzały na nią.

– Tak wcześnie...? – zdziwiła się Anna.

Eliza wzruszyła ramionami.

– Czy wy, dziewczyny, musicie w środku nocy tak głośno konferować i śmiać się? – Złapała z półmiska plaster żółtego sera. – Obudziłyście mnie, to i zesłam. A o czym gadacie tak wesoło?

– O prezentach na ślub.

– Na mój? – Eliza strzeliła oczami.

– Jo! Na twój też, ale najpierw na Marysi i Klause.

– No fakt. Czas pomyśleć. – Eliza żuła kanapkę. – A macie jakieś pomysły? – Spojrzała raz na jedną, raz na drugą.

– Ania myśli o obrazie albo o czymś innym.

– To drugie jest chyba lepsze, hi-hi! – Eliza siorbnęła z kubka.

– No to wymyśl coś lepszego! – Anna machnęła ręką, ale zaraz się uśmiechnęła, widząc, że Felci to się spodobało.

– Rusz swoimi zwojami. – Felicja poczochnęła Elizę po czuprynie.

Ta szykowała sobie kolejną kanapkę.

– A gdzie ona robi wesele?

Felicja i Anna spojrzały po sobie.

– Chyba jeszcze nie mówiła. – Felicja spowaźniała.

– A gdzie w Parchowie można zrobić wesele?

– Może w szkole albo w GOK-u?

– A dobrze by się tam czuła? – Eliza zmrużyła oczy.

Felicja i Anna znowu spojrzały po sobie i obie zgodnie pokręciły głowami.

– No właśnie. To przecież nie żadna dzierlatka, jak ja, która się ucieszy ze wszystkiego, no nie? – Eliza spojrzała kolejno na babcię i Felicję. Dojrzała w ich oczach potwierdzenie swoich słów. – A może sprezentujecie im wesele?!

Na kilka chwil zapadła cisza.

– Jak można sprezentować wesele? – Felcia łypnęła na Elizę, wpatrywały się w siebie. – Czy ty może myślisz...? – Spojrzała pytająco na Elizę; ujrzała skinienie głowy. – Dobre, patrz, Aniu, jaka ona mądra. Prawie na czczo, a jakie ma myśli... – Znowu poczochnęła Elizę po czuprynie. – Doskonały pomysł! A obrazek czy jakie inne fiu bǫdziu będzie tylko jako dodatek! Ze też my na to nie wpadłyśmy! – Spojrzała na Annę.

– Ale co, wesele w prezencie...? – Anna wyglądała, jakby nie do końca dotarł do niej pomysł wnuczki.

– Tak, babciu! Czy oni będą mieli do tego głowę? Spytajcie oddzielnie Marysię i Klause, dowiedźcie się, co lubią, jaką kulinarną niespodziankę chcą zrobić drugiemu i już! Tutaj będą się czuli dobrze, tak myślę! Jakoś na pewno też się włączą.

Zapadło milczenie, przerywane tylko cichym ciamcianiem kanapki przez Elizę.

– No! To postanowione! – Felcia wzięła się pod boki. – Dobrze, że tak głośno gadałyśmy, bo gdyby nie to, to byśmy zabrnęły nie wiadomo dokąd.

– To teraz wypadałoby tylko zaprosić Marysię i Klause, żeby im to ogłosić! – Anna zmrużyła oczy.

– No, to dzwoń i spytaj, czy przyjdą na kawę albo na kolację. – Felcia klasnęła i wstała, szurając krzesłem. – Jak już coś ustalisz, to przyjdź na gazon! – Zakręciła spódnica

i pomaszerowała w kierunku sieni.

*

Marysia była kompletnie zaskoczona propozycją prezentu weselnego. Poprosiła o czas na przemyślenie, ale zaproszenie na kolację przyjęła z ochotą. Felcia ucieszyła się nadzwyczajnie, kiedy zobaczyła ich oboje.

– Widzę, córcia, że dorosłejesz...

– Oj tam, oj tam. Przecież zawsze mieszczę się w kwadransie – roześmiała się perliście Marysia.

– Mam nadzieję, że przyjmujecie Felci i moją propozycję wesela... znaczy prezentu weselnego – uśmiechnęła się Anna do Marysi i Klause.

– Ale to jest takie krepujące. Będziecie miały kłopot, nie mówiąc już o kosztach. – Marysia zerknęła na Klause, jakby szukała wsparcia.

– Ja! Marysia ma rację, ale bierzemy, to oczywiste... – Klaus złożył ręce na piersiach.

Wokół stołu rozległ się wybuch śmiechu.

– Klaus! Jak masz tak mówić po polsku, to już lepiej mów po niemiecku. – Marysia machnęła ręką.

– Dobrze powiedział! – uśmiechnęła się Felcia. – Twoje zdrowie Klaus!

Kieliszki z nalewką powędrowały w górę.

– Zastanówcie się na spokojnie do niedzieli, co chcecie mieć extra na stole, a my spełnimy wasze marzenia.

– Felciu, dziękujemy wam mocno. Co prawda rozmawiałam w GOK-u i szkole, kłopotu nie ma, ale to prawda, że tam nie czułabym się zbyt dobrze... – Marysia potrząsnęła głową.

– Rozmawiałam dzisiaj wstępnie z Wojtkiem i Adamem – wtrąciła Kaśka. – Przyjadą, jeśli się zgodzicie... – Zmrużyła oczy. – Zagrają do tańca, że hej!

Marysia złapała się za głowę.

– Ale dlaczego wy to wszystko robicie?

– Córku kochana, przecież jesteśmy jedną dużą rodziną! – Felcia powiedziała to podniosłym tonem. – Myśmy na to wpadły z Anią...

– Akurat! – prychnęła Eliza.

– No faktycznie, podpowiedziała nam Eliza. Co my byśmy tutaj bez niej zrobili?

– Jak my się wam odwdzięczymy? A mamy jeszcze jedną prośbę... – Marysia spoglądała wokół.

– Mów, co tam jeszcze wam potrzeba? – spytała Anna.

– Chcielibyśmy, aby Kasia i Maciej zostali naszymi świadkami. – Marysia stuliła ramiona i uśmiechnęła się z lekkim zawstydzeniem.

– Super, Marysiu! Cieszę się! – wrzasnęła Kaśka, aż zadzwoniły szklki na stole.

– Naprawdę? A Maciej? – Marysia przeniosła wzrok na Felcię.

– Na pewno z radością się zgodzi! – uśmiechnęła się Felcia i machnęła dłonią.

– Jeszcze dzisiaj będę do niego dzwonić... – wtrąciła Kaśka.

– Zapomniałam na śmierć! – wrzasnęła Eliza, aż wszyscy się wzdrygnęli. – Po południu, jak byłam się przewietrzyć, zadzwonił Max... Ależ to była rozmowa...

– No mów już... – Kaśka zmrużyła oczy.

– Poczekaście chwilę, niech sobie tylko to ułożę chronologicznie. – Przyłożyła dłonie do policzków i przymknęła oczy. – Aha, już wiem! Wczoraj byli w Rzymie; dzisiaj ruszyli w trasę przed szóstą, bo chcieli być na dziewiątą na Monte Cassino....

– Patrzcie, jacy oni są. I jeszcze nie zapomnieli o naszych żołnierzach. – Anna przyłożyła dłoń do ust i pokręciła głową.

– Położyli wiązankę na grobie generała Andersa. Potem Max mówił, że kiedy jechali z Neapolu do Sorrento, był w strachu, żeby czasem Wezuwiusz nie wybuchnął.

– Nie myślałam, że jest taki wrażliwy – uśmiechnęła się Kaśka.

– Słowiańska dusza, Kasiu, nie poznałaś się. – Felcia postukała palcem w stół.

– I co tam dalej, opowiadaj – niecierpliwiła się Anna.

– Zjedli obiad w Sorrento, nad samym morzem przy największej marinie. Z jednej strony morze, jachty, łodzie, motorówki, a z drugiej skaliste zbocza z przyklejonymi do nich domkami

– Ciekawe, czy to tam, gdzie ja kiedyś byłam... – rozmarzyła się Anna. – Siedziałam z Mikołajem w niedużej knajpce przy Via del Mare, jedliśmy *spaghetti con frutti di mare*^[33]. Czerwone wino, światła portu, światła w domach na wzgórzu, pochodnie przy marinie i cudowna włoska muzyka.

– A gdzie ja wtedy byłam? – zapytała Kaśka.

– Jak to gdzie? W domu, z dziadkami.

– To było wtedy, kiedy dostałam takie duże muszle?

– Tak. Jedna nam pękła w walizce.

– Różowa...

– Czy ja mogę dalej opowiadać? – zawołała Eliza, przesywając gniewnym wzrokiem babcię i mamę.

– No właśnie, czemu nie opowiadasz? Już myślałam, że to koniec. – Anna uśmiechnęła się do Elizy; Kaśka i Marysia prychnęły.

– I wtedy przy obiedzie w Sorrento Max postanowił, że nie chce już mieszkać w Chicago. – Eliza potoczyła wzrokiem wokół.

– No przecież ma pracować w Nowym Jorku, to chyba tam będzie mieszkał, no nie? – wtrąciła przytomnie Marysia, Kaśka skinęła głową.

– On chce się z Ameryki w ogóle wyprowadzić do... – Eliza zawiesiła głos. – Do Parchowa!

– No nie! – Anna potrząsnęła głową.

– No i dobrze! – Felicja wydeła wargi. – Jemu tutaj będzie dobrze!

– I prosił mnie, żebym rzuciła hasło jakiejś pracy dla niego, pomysłu na jakiś biznes. Na początek zgodzi się na wszystko, byle tylko zahaczyć się jakoś. Potem sam coś wymyśli.

Kaśka ze zdziwienia uniosła ramiona i zrobiła wielkie oczy.

– To będzie nas już dwa obce – pokiwał głową Klaus.

– Jacy wy obcy? – Machnęła dłonią Felicja. – Mówiłam już. Wy jesteście nasza rodzina, no nie? – Spojrzała na Annę.

– Tak powiedziałaś, a ja z tym się zgadzam.

– On powiedział jeszcze, że na początek ojciec da mu okrągłą sumkę na rozpoczęcie, a potem się zobaczy. I to już wszystko! – Eliza wypuściła powietrze.

– No! Nie ma co się zastanawiać. Dzwon do niego, że może już przyjeżdżać! – Felicja

wskazała na komórkę Elizy. – On jest swojak i coś mu tutaj na pewno załatwimy – dodała.

– Ale poczekajcie, nie tak galopem. Musi najpierw wrócić do Stanów, zorientować się, co tam z tą jego firmą się dzieje, powoli – mitygowała Anna.

– A, jeszcze jedno! – Eliza klepnęła się w czoło. – Przeglądał w drodze na Capri przewodnik okolic Neapolu i zobaczył w nim zdjęcie kwiatków zupełnie podobnych do naszych kocanek. Przeczytał mi po łacinie ich nazwę ... zaraz, o, już pamiętam: *hylichrysum litoreum*. W komentarzu znalazł, że pola lawy, leżące na zboczach Wezuwiusza, są kolonizowane przez różne rośliny, w tym przez kocanki. On jest pewien, że to kocanki! Muszę to jeszcze dzisiaj sprawdzić w moich albumach albo w internecie. – Eliza wskazała głową na sufit. – Zwiedzali dzisiaj po drodze Pompeje, ale wszystko im się kojarzyło z WTC. Odlewy ludzkich postaci, z gipsu albo z przezroczystego tworzywa, wykonane w pustej przestrzeni szybko zastygającej lawy, zasypane domy, zniszczenia spowodowane przez spadający deszcz^[34] lapilli i wulkanicznego popiołu.

– Ja też miałam podobne skojarzenia wczoraj, jak pokazywali ten pył, który opadał po zawaleniu się wież WTC. Makabra... – Anna machnęła dłonią.

– Myśmy zagadali się o Amerykanach, a tu córca przyszła ze swoim wybrankiem na kolację. – Felcia uśmiechnęła się do Marysi i Klause.

– To wszystko było takie ciekawe, ale myśmy już chyba w międzyczasie wszystko ustalili, nie? – Marysia potrząsnęła końskim ogonem.

– W zasadzie tak – potwierdziła Anna.

– Córca, zrób listę wszystkiego, co byś widziała na stole... albo nie. My przygotujemy ją z Anią do soboty, wy naniesiecie jakieś uwagi do poniedziałku rano i zaczynamy realizować. Okiej? – Felcia uśmiechnęła się szelmowsko.

– No dobrze, ale nie chciałabym...

– Chciałabym, chciałabym! Chciałabym, chciała! – przerwała jej Eliza śpiewnie i zmrużyła oczy. Marysia uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– O ty mała zołzo! Przedrzeźniasz mnie! – Potrząsnęła końskim ogonem.

– No! Ale ktoś kiedyś był pierwszy! – Eliza zaśmiała się. – Skojarzyło się jakoś... – Rozejrzała się wokół. – Nie ma Ludwisi, więc możemy zaśpiewać całość!

A gdybym miał cię zjeść... to co byś powiedziała?

A ugryźć gdybym chciał, czy coś byś przeciw miała?

Chciałabym, chciała, chciałabym, chciała...^[35]

– rozbrzmiały w kuchni słowa piosenki, wywołując drzenie szkła i porcelany.

– Ale piosenka! Marysiu! Takiej cie nie znałem! – Klaus ucałował Marysię, kiedy skończyły wspólny popis.

– Ty mnie dopiero teraz poznasz!!! – Marysia zrobiła groźną minę.

Bez gniewu do Gniewu



Ma inauguracyjne spotkanie nowego kółka muzycznego w GOK, którym miał opiekować się Klaus Berg, przyszła spora grupa młodzieży. Większość wiedziała, kim on jest, bo wielokrotnie miała okazję słuchać go podczas tegorocznego i wcześniejszych „Poboczy Folku”. Wszyscy zapisywali się albo na gitarę, albo na instrumenty klawiszowe.

– Trochę mnie tylko martwi, że nikt nie chce uczyć się gry na naszych tradycyjnych instrumentach. – Szefowa GOK nachyliła się do ucha Klause.

– Pani Baszu... Nie miałem ich w planach, ale o jakich instrumentach pani myśli? Niektóre z nich widywałem tutaj na dożynkach... – Klaus spojrział na nią.

– No, choćby akordeon.

– Nie ma sprawy, potrafię i na nim grać, więc jakby co, mogę go zagospodarować w ramach mojego kółka – uśmiechnął się.

– A burczybasy, diabelskie skrzypce, bazunę? – Szefowa GOK poprawiła okulary i zaczesła za uszy opadające kosmyki włosów.

– Mogę i o tym pomyśleć, ale najpierw chciałem, żeby powstał tutaj młodzieżowy zespół rockowo-folkowy. Może później pójdą zupełnie inną drogą, początkowo można ich jakoś zachęcać, żeby wykorzystywali takie instrumenty.

– Nie jestem pewna, czy gmina zaakceptuje taki kierunek. – Szefowa ponownie poprawiła okulary i zaczesła za uszy opadające kosmyki włosów.

– Mogę panią wspomóc w takiej rozmowie. Mam ukończoną wyższą szkołę muzyczną, równolegle studiowałem pedagogikę nauczania muzyki.

Kobieta zdjęła i przetarła okulary.

– Przepraszam, ja myślałam, że pan tylko tak... – Nałożyła okulary i kolejny raz odgarnęła za uszy niesforne kosmyki włosów.

– Brzdąka... Pani Baszu, czy możemy na chwilę wyjść, żeby dzieciaki nie słuchały naszej rozmowy? – rzucił półgłosem; dojrzał gest zgody. – Dziesięć minut przerwy! Możecie dotykać gitar, klawiszy, tylko ostrożnie, żeby nam trochę posłużyły.

Wyszli przed budynek.

– Przepraszam pana... – Szefowa GOK znowu wykonała swój zestaw gestów z okularami i kosmykami włosów.

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się. – Pani Baszu, ja już niczego nie muszę, mogę tylko pomóc. Jeśli dzieciakom nie będzie się podobać, zrezygnuję. – Spojrział na nią. – Uwagi oczywiście przyjmuję i można się ze mną dogadać.

– A gdybym zaproponowała, żeby kierownik zespołu „Modraki” współpracował z panem, to znaczy podglądał kółko, a czasami nawet coś podpowiedział?

– To byłoby super!

– Poważnie?

– Nie chciałem dzisiaj jeszcze o tym mówić, ale na pewno bym do tego doszedł. – Klaus skinął głową. – Potrzebuję wsparcia merytorycznego. Myślę przecież o stylizowaniu tutejszej muzyki ludowej – dodał.

– Nie rozmawialiśmy jeszcze o wynagrodzeniu.

- To nie jest dla mnie zasadnicza sprawa, na pewno się porozumiemy – odparł Klaus.
- W takim razie idę po kierownika zespołu, pana Waldemara Kapiszkę. To bardzo zasłużona dla Parchowa i całego regionu osoba... – Pani Basia aż przytknęła oczy. – Dzięki niemu nasze „Modraki” powstały i działają. Wiele innych przedsięwzięć kulturalnych powstało w gminie także z jego inicjatywy – znów sięgnęła do okularów.
- To tym bardziej będzie mi miło go poznać...

*

Kaśka po powrocie z Kartuz przyglądała się ukradkiem Elizie. Wydało jej się, że jest apatyczna, wyciszona. Kilkanaście minut temu poszła do góry na internet, a już przed momentem pojawiła się znowu na dole.

- Max nie napisał, nikt inny też nie. Nuda... – ziewnęła.
- A nie mogłaś się umówić z Wiką?
- Proponowała mi wyjście z kijami nad wodę, ale nie chciało mi się. – Omiotła matkę apatycznym wzrokiem.
- A co robisz w weekend?
- Mam książki, może przepiszę wreszcie na komputer opowiadanie, które wam czytałam w lipcu.
- O! Słusznie. – Kaśka skinęła głową.
- A ty co robisz?
- Czekam na sygnał od Macieja, że rusza, a potem się zobaczy. – Kaśka zmrużyła oczy.
- Fajnie masz.... – Eliza opadła na krzesło.
- Zobacz, kto przyjechał!

Eliza odwróciła się w stronę okna, spojrzała na matkę, zmrużyła oczy, ponownie spojrzała w okno i wrzasnęła: „Igorio!”, po czym wybiegła galopem z kuchni.

Przywitanie na gazonie przed werandą było widowiskowe. Eliza rzuciła się z rozpędu w ramiona Igora i oplótła go nogami w pasie. Wcale się nie krępowali, że ktoś ich może oglądać.

– Przepraszam cię, że wtedy się wygłupiłem – odezwał się Igor. – Nie powinienem tego mówić. – Spoglądał Elizie w oczy.

– Nie, to ja cię sprowokowałam. Już sama nie wiem, jak było, jak jest... Ale powiedz mi, jak to powinno być z elektrowniami? – Eliza zmrużyła oczy, a Igor uśmiechnął się.

Objęli się ramionami, poszeptując cicho. Po chwili odsunęli się od siebie i jak na komendę wybuchnęli głośnym śmiechem.

– Co was tak rozśmieszyło? – usłyszeli głos Kaśki dochodzący ze schodów werandy. Odwrócili się jak na komendę.

– Ustaliliśmy, że na razie mamy w nosie budowę elektrowni jądrowych! – zawołała Eliza.

- Że co? – Kaśka zrobiła oczy.
- Powiedziałem Elizie, że moim zdaniem jeszcze dużo wody upłynie, zanim zacznie się u nas budowa pierwszej takiej elektrowni, więc szkoda naszych nerwów.
- O czym wy mówicie? – Kaśka potarła czoło.
- Zgodziłam się z Igorem, że to mieszkańcy regionu, gdzie planowana jest taka inwestycja, powinni wyrażać zgodę na jej budowę – wyrecytowała Eliza.

– No, to akurat chyba jest oczywiste... – wyjąkała Kaśka.
– Oj mam. Może nie dla wszystkich było, ale już jest. – Eliza machnęła ręką. A Kaśka uśmiechnęła się. Zrozumiała.
– Mam propozycję na jutro dla Elizy. – Igor zmienił temat i spojrzał na Elizę, a potem przeniósł wzrok na jej matkę. – Chciałbym ją porwać do Gniewu, na zamek.
– A cóż takiego ciekawego w połowie września będzie się tam działo? – zdziwiła się Kaśka.
– Koncert muzyki dawnej i celtyckiej. Interesuję się nią i chciałbym, żeby i ona posłuchała. Zawsze kończy się potańcówką.
– No tak, ale to dosyć daleko, więc jak powrót? – zmarszczyła brwi Kaśka.
– Zarezerwowałem już nocleg, żeby czasem nie było pokusy wracać po nocy – uśmiechnął się Igor.
Kaśka wpatrywała się w córkę i Igora. W jej głowie kłębiły się dziwne myśli.
– Igor, a może weźmiemy ze sobą Wikę? Oczywiście najpierw trzeba by ją spytać. – Eliza spojrzała na matkę.
Kaśka uśmiechnęła się i skinęła głową.
– Tak, to jest dobry pomysł. W takim przypadku nie ma sprawy. – Rozłożyła dłonie i potrząsnęła głową.
To jesteśmy w domu, Kasiu! Byłam pewna, że o to właśnie ci chodzi. Ma być z nami przyzwoitka, pomyślała Eliza i uśmiechnęła się słodko do mamy.
– Na wszelki wypadek zarezerwowałem w dormitorium^[36] celę czteroosobową. Trzeba tylko mieć karimaty i koce, ale to nie problem, ja załatwię. Kolega jest tam rycerzem – uśmiechnął się. – To dzwoni w takim razie do Wiki, żeby od razu wszystko było jasne. – Poglądził Elizę po policzku.
– Wika? Powiedz, czy miałabyś ochotę wybrać się z nami do Gniewu?
Eliza wywijając najpierw nogą, a potem wykonując dziwne ruchy całą sobą, opowiedziała jej przez telefon wszystko, co wiedziała o eskapadzie.
– Dobra, to oddzwoni. Czekam – zakończyła rozmowę.
– Musi uzgodnić z dziadkami? – domyśliła się Kaśka.
– Głównie z rodzicami, ale powiedziała, że może jej tato także się wybierze, bo też lubi taką muzykę.
– No, to teraz jestem już zupełnie spokojna – Kaśka odetchnęła głęboko. – Idźcie się przejść, ale przyjdźcie na dziewiętnastą na kolację.
– Pa! – Eliza podniosła jedną rękę w górę, a drugą pociągnęła Igora za sobą w kierunku bramy. Jaka ta Kasiuła przewidywalna... Ale kocham ją, pomyślała.

*

Malbork przywitał ich lekką mżawką. Monumentalna bryła kompleksu zamkowego wywarła na Elizie ogromne wrażenie.

– Teraz nie dziwię się, że Jagiełło nie zdobył zamku!
– Nie zdobył, bo nie chciał. – Igor lekceważąco machnął dłonią.
– Jak to? Dlaczego? – prawie jednocześnie spytały Eliza i Wika.
– To strasznie skomplikowane – odparł Igor. – Jesteśmy na terenie Podzamcza, albo jak kto woli Niskiego Zamku... – przemówił podniosłe, aż kilka osób spojrzało w ich

kierunku; dziewczyny uśmiechnęły się. – To Karwan, niegdyś zbrojownia i wozownia krzyżacka, a dzisiaj ośrodek konferencyjny... Jakby jakieś pamiątki, to tam! – Wskazał na niewielkie stragany przycupnięte pod czerwonym murem.

Potem kilka godzin zwiedzali Średni Zamek, Wysoki Zamek, Wielki Refektarz, Salę Królewską, Celę Witold, Gdanisko... O każdym elemencie kompleksu Igor miał coś ciekawego do powiedzenia.

– Mam wrażenie, że nauczyłeś się tego wszystkiego na pamięć – powiedziała Eliza, mrużąc oczy. – Na Helu Wika też ładnie opowiadała o kościele, ale posiłkowała się ściągą. – Mrugnęła do niej.

– Kiedyś brałem udział w międzyszkolnym konkursie znajomości historii zamków pomorskich oraz z Warmii i Mazur, a w ubiegłym roku zdawałem na przewodnika po tutejszym zamku – uśmiechnął się.

– No i co? – zaciekawiła się Wika.

– Zdałem pierwszą część, ale w przerwie przed drugą dostałem SMS-a o wypadku w pobliżu i musiałem tam pojechać. – Rozłożył ramiona. – Ale dzięki temu mogliśmy dzisiaj chodzić w małej grupie .

Obiad w gustownej restauracji w piwnicach zamkowych smakował wszystkim.

– Igor, ja chyba pęknę! – Eliza wskazała widelcem na talerz.

– Ogromny zamek, to i ogromny obiad – zaśmiał się Igor.

– No i stąd był ogromny głód...! – mrugnęła Wika.

– Kiedy oglądałam *Krzyżaków*, to jeśli idzie o sceny z Malborka, największe wrażenie zrobiła na mnie, oprócz wjazdu przez bramy poselstwa Władysława Jagiełły, uczta w Wielkim Refektarzu, kiedy zdejmowali obrusy razem z całym zastawami – zaśmiała się Eliza.

– Ale tutaj chyba nie zrobią nam tak samo! – wtrąciła Wika, wskazując na stół.

– ...dzisiaj natomiast zaskoczył mnie system ogrzewania podłogowego, jaki już wówczas mieli. Nie pomyślałabym. – Eliza pokręciła głową.

– W zeszłym roku dostałem skądś szkice tego systemu, z piecami pod refektarzem, i chyba ze dwa dni zgłębiałem, co i jak!

– Za to ich podziwiam – powiedziała Eliza. – Za całą resztę nie!

*

Niecałą godzinę później parkowali już przy zamku w Gniewie. Tutaj deszcz nie padał, nawet co rusz wyglądało zza chmur słońce.

– Dopiero kiedy ogląda się takie zamki, widać, jak potężny był Zakon. Malbork, Gdańsk, Kwidzyn, Gniew, Bytów, Toruń, Świecie, Radzyń Chełmiński, Golub-Dobrzyń, a to jeszcze nie wszystkie miejsca, gdzie były takie lub podobne budowle.

– Miałeś się czego uczyć na konkurs... – uśmiechnęła się Wika.

– Dziadek pożyczył mi przedwojenne albumy, ojciec też się trochę tą tematyką interesował, więc miałem sporo materiałów. Po drugiej klasie liceum prawie dwa tygodnie jeździłem po zamkach i innych budowlach, które miały krzyżacki rodowód. Kupa folderów, kolejne albumy...

– Ale teraz już cię to nie pasjonuje, co? – spytała Eliza.

– Nie, dlatego! Pasjonuje, tyle tylko, że już byłem tam, gdzie chciałem być, a teraz

przeoglądałam materiały, ale tylko wówczas, kiedy mam nadmiar wolnego czasu. – Rozłożył dłonie.

– Czyli prawie wcale...? – Wika zmrużyła oczy.

– Tego lata nie udało się, poznawałem i ciągle jeszcze poznaję inne, nowe obiekty... – Przeniósł wzrok na Elizę i uśmiechnął się. – A za wami Pałac Marysieńki. To budowla z drugiej połowy siedemnastego wieku. Według niektórych, zbudował go Jan Sobieski dla swojej żony Marii Kazimiery, ale jeszcze zanim został królem, a był starostą gniewskim.

– Musiał ją mocno kochać.

– No dobra, dzieciaki – prychnęła Wika. – Zamek czeka, idźmy! – Odwróciła się i ruszyła żwawo w stronę bramy.

Eliza i Igor omietli się wzrokiem, uśmiechnęli i podążyli za nią wolnym krokiem.

– Fajnie tutaj! Nastrojowo... Podoba mi się! – przywitała ich okrzykiem Wika, kiedy dotarli do dziedzińca.

– O, scena! Fajne dekoracje! – Eliza rozglądała się wokół.

– Krzyże celtyckie! – Wika wskazała na zwisające z dwu stron sceny duże płachty z wyrysowanym znakiem.

– Kiedy tutaj byłem poprzednim razem, kończono remont kaplicy zamkowej. – Igor spojrział na dziewczyny. – Myślę, że najpierw obejrzymy wnętrze, a potem zamek z zewnątrz.

Grupę takich jak oni przyjezdnych oprowadzał miejscowy przewodnik. Zaczęli od kaplicy. Wymalowana na biało, z pięknymi sklepieniami, obrysowanymi siatką z cegieł. W gotyckich oknach kolorowe witraże. Następnie odrestaurowana klatka schodowa w wieży i krużganki. Z nich roztaczał się piękny widok na dolinę Wisły i miasto. Gdy wracali na dziedziniec, pokazano im także cele w dormitorium.

– Właśnie w takiej jak ta będziemy dzisiaj spać – rzucił Igor.

– Spartańskie warunki. Drewniane łóżka... – Eliza uśmiechnęła się.

– Jesteśmy w zamku. Przecież zakonnicy, a potem rycerze polscy, lepiej tutaj nie mieli. Jak na niecałe dziesięć lat prac, to i tak wiele już zrobiono. – Igor wyduł usta.

– A co się działo wcześniej? – Eliza spojrzała pytająco.

– Jakoś nikt się nie kwapił. Dopiero po dziewięćdziesiątym drugim roku zaczęto odgruzowywać wnętrza i ruszyły remonty. I to wszystko z funduszy lokalnych, jakichś zakładów pracy, prywatnych sponsorów.

Zwiedzanie zamku zakończyła wizyta w zbrojowni i izbie tortur.

– Całkiem tutaj niefajnie – prychnęła Eliza po wyjściu z niej. – To łamanie kołem... brrr!

– Dziewczyny, poczekajcie kilka minut na zewnątrz, a ja pójdę porozmawiać z kolegą, o którym wam mówiłem. Mignął mi, pójdę go poszukać.

Eliza i Wika znalazły ławkę opodal bramy. Spoglądały na wysokie czerwone mury, narożne wieże i gotyckie okna w murach.

– Ładny, ale ten w Bytowie jest jakiś cieplejszy – uśmiechnęła się Wika.

– Gotycki zamek i cieplejszy... fajna zbitka. Tam jest większy dziedziniec, ale może masz rację z tym ciepłem. – Eliza skinęła głową.

– Dobrze, że wzięłam polar. Czuję, że w tych murach wieczorem będzie chłodno.

Nie wiadomo kiedy pojawił się obok nich Igor.

– W sesji wieczornej będą grały dwa zespoły: White Garden i Carrantuohill. Oba mi się

podobają. Wcześniej wystąpią młodzieżowe zespoły muzyki dawnej, a wszystko rozpocznie się koncertem chóru gregoriańskiego w kaplicy. Osprzęt do spania też już załatwiłem. Mam na wszelki wypadek klucze do dwóch pokojów, gdyby wam nie pasowało, że chrapię – zrobił pocieszoną minę. – Kawa czy spacer?

Eliza i Wika spojrzały po sobie. Nie podzieliły się głośno swoimi myślami, ale zapewne było tam też o dwóch kluczach. Głośno zadeklarowały spacer na rynek, żeby rzucić okiem na gniewskie zabytki. Znowu Igor mógł się popisywać znajomością oglądanych obiektów.

– To ratusz. Jak poznajecie, styl gotycki. Przyziemia pochodzą z trzynastego, może czternastego wieku. Ciągłe pełni swoją funkcję. Niektóre kamienice wokół rynku pochodzą z piętnastego wieku. Kościół stojący w narożniku rynku pod wezwaniem Świętego Mikołaja został zbudowany w czternastym wieku i zrekonstruowany w dziewiętnastym. Pójdźmy, obejrzymy wnętrze.

Po powrocie na zamek kawa w podziemiach przedłużyła się, przez co ledwie zdążyli na koncert miejscowego chóru gregoriańskiego

– Jakbym słyszała EREĘ i ich „Ameno” – szepnęła zdyszana Eliza do Wiki, gdy chór rozpoczął swój występ. – Mam ich płytę.

– Ja też... – odszepnęła Wika.

Jedna po drugiej płynęły pieśni gregoriańskie. Przy końcu występu Igor dyskretnie wyszedł z kaplicy.

– Zajmę miejsca na dziedzińcu – szepnął do Elizy przed wyjściem.

Podczas koncertu siedzieli w pobliżu studni pośrodku dziedzińca. Po występach młodzieżowego zespołu muzyki dawnej oraz zespołu studenckiego, wykonującego dawne tańce, cała trójka przyglądała się instalowaniu na scenie zespołu White Garden. Muzyka spodobała się dziewczynom. Igora szczególnie cieszyło, że radość Elizy jest prawdziwa.

– Nie wiem, dlaczego dotąd nie odkryłam takiej muzyki – rzuciła w czasie przerwy między utworami. – Chociaż przypominam sobie, że podczas któregoś z moich pobytów z dziadkiem w Bytowie, występował jakiś podobny do tego zespół.

– A w którym roku to było?

– W dziewięćdziesiąty czwartym albo rok wcześniej. – Eliza podrapała się po czole.

– To mogli być oni, bo ten zespół został założony chyba w dziewięćdziesiątym drugim.

– Tyle że wówczas nie wywarli na mnie specjalnego wrażenia. A dzisiaj jest zupełnie inaczej. Po Oldfieldowej szkole u mamy lubię tego typu klimaty.

– Teraz słuchajcie, a potem pogadacie – uciszyła ich Wika.

Kawałki instrumentalne przeplatane były utworami wokalnymi śpiewanymi przez ładną dziewczynę o czarnych włosach. Po ostatnim utworze zerwała się burza oklasków.

Kiedy zespół opuścił scenę, kasztelan zamku ogłosił, że ostatni punkt programu opóźni się. Zespół, który miał wystąpić jako kolejny, utknął pod Warszawą z powodu awarii busa, ale ich zastępcy już pędzą z niedalekiej Brodnicy. Najpierw na widowni rozległ się jęk, ale kiedy kasztelan dodał w uzupełnieniu, że zespół nosi nazwę Ostatnia deska ratunku, rozległy się brawa.

Nerwowo wyczekiwany występ zespołu rozpoczął się z prawie półtoragodzinnym opóźnieniem. Nieoczekiwanie chyba dla wszystkich, był najlepiej przyjęty podczas całego koncertu. Zespół grał muzykę w klimatach celtycko-irlandzkich, ale także szanty i utwory folkowe. Nie trzeba było wiele czasu, żeby te rytmy porwały do tańca sporo osób z widowni. Eliza najpierw podrygiwała na siedząco, ale potem także ruszyła na dziedziniec,

pociągając za sobą Wikę. Dołączyły do pływających tuż przy studni białogłów i ich rycerzy, członków występujących wcześniej zespołów instrumentalnych i tanecznych; ciągle byli w służbowych szatach. Spoglądała od czasu do czasu na Igora. Gdy ich wzrok się spotykał, uśmiechał się sztucznie, z czego wnioskowała, że nie czuje specjalnej potrzeby, żeby dołączyć do tańczących. Z jednej strony przyzwyczaiła się już trochę do jego stosunku do tańca, ale z drugiej strony oceniła to dzisiaj jako gnuśność. Tak, dobrego słowa użyła: gnuśność!

Koncert i tańce zakończyły się już po północy. Niespodziewanie kasztelan zaprosił wszystkich na błonia przed zamek, na pokazy sztucznych ogni. Po kilku minutach od rozpoczęcia pokazu zaczęła z nim rywalizować natura, demonstrując przeraźliwe grzmoty i srebrzyste zygzaki błyskawic, przebiegających przez cały nieboskłon. Zwyciężyła rzecz jasna burza, przeganiając szybko z błoni zmoczonych i przestraszonych obserwatorów, a potem przyćmiewając donośnością i częstością swoich salw fajerwerki wystrzeliwane przez zamkowych artylerzystów.

Kiedy dotarli do dormitorium, do celi zarezerwowanej przez Igora na nocleg, Eliza dostrzegła, że dwa z łóżek, a właściwie drewnianych prycz, były zsunięte razem, a dwa inne stały oddzielnie po ścianą. Bez wahania wybrała pojedynczo stojące łóżko. Zauważyła zdziwienie w oczach zarówno Wiki, jak i Igora. Nie analizowała, kto z jakich pobudek się zdziwił, ale miała pewną koncepcję. Uśmiechnęła się więc do własnych myśli, a to znowu, jak dostrzegła, zaintrygowało oboje jej przyjaciół.

Celebrowanie układania się do snu trwało długo, także ze względu na dwufunkcyjność pomieszczenia łazienko-ubikacji. Najpierw zabawili się jak dzieci zapalkami i Eliza wylosowała najkrótszą – ostatnia w kolejce do mycia. Kiedy tam weszła, aż ją zatkało. Wieczorna toaleta w umywalce? Ojejku! Jakoś sobie ostatecznie poradziła, ale przy okazji też przyrzekła, że na przyszłość będzie zwracała bacniejszą uwagę na wygodę.

Kiedy wróciła do celi, światło było już zgaszone. Po drodze dostrzegła wyciągniętą w górę dłoń Wiki i cichy szept: „Dobranoc”. Uścisnęła jej wyciągniętą dłoń i już miała opaść na swoje łóżko, kiedy dojrzała podniesioną w górę także dłoń Igora. Przecież jemu też mogę powiedzieć dobranoc, pomyślała. Zbliżyła się do jego łóżka i poczuła, że jego ręka pochwyciła jej dłoń. Poczuła, jak silnie pociąga ją w dół. Próbowała się wyswobodzić, ale właściwie to ją rozśmieszyło. Przecież mogę chyba na chwilę przysiąc, pomyślała. Nawet się nie zorientowała, kiedy i jak, jej usta przykryte zostały ustami Igora. Zrobiło jej się ciepło, a po chwili miło. Przez moment poczuła, że jakaś ręka, ale to nie była jej ręka, zaczyna zwiedzać wnętrze bluzy dresowej. Trzech rąk chyba nie mam? Parsknęła cichym śmiechem, bo to pytanie, które pojawiło się w myślach, już samo w sobie było śmieszne, a zwiedzanie wnętrza jej bluzy przez obcą rękę, mimo pewnej niewygody, okazało się bardzo miłe. Wydało jej się, że ktoś niedaleko chrząka. Przecież to chyba nie Wika? Dlaczego miałaby chrząkać? Przecież ta trzecia ręka jest pod jej bluzą dresową, a nie Wiki. Cóż więc może jej przeszkadzać? Eliza znowu parsknęła śmiechem. Tym razem padły wypowiedziane głośnym szeptem słowa:

– Słuchajcie, rozumiem, że jesteście dorośli... ale raz, że chce mi się spać i te wasze chichy-śmichy mnie rozpraszają, a dwa, jeśli chcieliście, to trzeba było pójść do drugiej celi. Dobrze mówię?

– Dobrze mówisz, Wika! – całkiem przytomnie i też głośnym szeptem odparł Igor. – Co ty na to?

To pytanie było chyba skierowane do Elizy. Ciągle czuła trzecią rękę i ciągle było jej przyjemnie, a tu takie dziwne pytanie. Postanowiła zatem odpowiedzieć nieco wykrętnie, ale też pytaniem.

– Czy ty na pewno chrapiesz?

– Jeszcze nie...

Teraz zaśmiała się Wika.

– Was chyba naprawdę pogięło, przepraszam za wyrażenie. Tak naprawdę bawi mnie ta cała sytuacja, więc idźcie sobie powiedzieć dobranoc do drugiej celi, a potem albo się rozejdźcie, albo tam zostańcie. Mnie to rybka...

– Jaka rybka? – rzuciła Eliza odruchowo.

Wika ponownie się roześmiała, a Eliza poczuła, że do spania ma tak daleko, jak z Gniewu do Malborka, a może nawet jeszcze dalej.

– Chodź, Igor, w takim razie idziemy tam... – Eliza wskazała kierunek którąś ręką, ale nie była pewna, czy to jedna z tych trzech, co to już uprzednio odkryła, czy skądś się wzięła nagle czwarta ręka.

– No! Już was nie ma! – tłumiąc śmiech, konspiracyjnym szeptem wrzasnęła Wika.

Igor się zerwał, Eliza podniosła się razem z nim i tłumiąc śmiech, pomaszrowali do drugiej celi. Tam już nikt nie chrząkał, nie gadał i nie śmiał się. Elizie znowu było miło, ciepło, nawet aż za ciepło. W pewnym momencie poczuła, że bluza dresowa jest jej zupełnie niepotrzebna. Zrzuciła ją. Podciągnęła w górę koszulkę, bo dalej było zbyt ciepło. Czuła wszędzie pocałunki i wędrowniki wielu rąk. Jakoś tak się stało, że zupełnie zbędne okazały się jej spodnie od dresu – nawet nie była w stanie ocenić, czy też od nadmiaru ciepła. Czuła teraz, jak owłosione Igorowe nogi mile łaskoczą jej gładziutkie, wypielęgowane łydki i uda. Lubiła to. Rąk jakby wciąż przybywało, czuła je wszędzie. Swoimi, żeby nie były bezrobotne, też wyczyniała cuda na Igorze. Ach! Niedługo potem zapomniała się... i zasnęła. Ocknęła się, bo coś jej przeszkadzało... Jakiś hałas...? Warkot, który to cichł, to się wzmagał. Otworzyła oczy. Zidentyfikowała kierunek źródła hałasu. Poznała. Igor! Uśmiechnęła się i pocałowała go. Na moment przestał chrapać; mlasnął. Wymacała bluzę i spodnie dresowe. Nałożyła je. Kiedy wróciła do celi, gdzie była Wika, szybko zasnęła jak kamień.

Wesele z mimozami w tle



Cały tydzień minął na przygotowaniach do wesela. Zakupy, dekorowanie stodoły, pieczenie ciast, gotowanie i sprzątanie. Felcia i Anna były w swoim żywiole. Obie lubiły coś organizować, czymś zarządzać, kłopotać się, gdy coś się nie udawało – były wtedy w siódmym niebie. Doskonale się dogadywały i nie wchodziły sobie w drogę. Intuicyjnie dzieliły między siebie obowiązki.

– Kiedy dojrzałam, że myjesz warzywa, od razu poznałam, że myślisz o sałatce warzywnej. Ja nie mam do tego cierpliwości. – Felcia pokręciła głową. – A zrobisz, Aniu, rolady serowe?

– Tak, ale dopiero w czwartek pod wieczór!

Uśmiechały się do siebie, podśpiewywały, a robota paliła im się w rękach. Stach, niepytany, przywiózł nie wiadomo skąd dużą lodówkę, którą udało się wcisnąć między szafki.

– Ja tak czułem, krucafuks, że ona wam się tu przyda. He, he, he. Pasuje, jakby była stąd.

– Może powinna tu zostać? – zastanawiała się głośno Felcia; Anna skinęła głową.

– Trzeba się zdecydować, bo jak nie, to ją komuś dam – naciskał Stach.

– A na ile liczysz to danie jej komuś? – Felcia spojrzała szelmowsko na Stacha.

– Wymieniłem uszczelkę od drzwi, nową żarówkę wstawiłem, trochę przemyłem i fertyś! – Łypnął oczami Stach. – Jak dla takiej gospodyni, to dwie stówki. Za dużo...? – spytał, nie czekając na odpowiedź, i znowu łypnął na Felcię.

– Gra i bucy! – Felcia mrugnęła, sięgnęła do szuflady i podała Stachowi dwa banknoty. Ten chuchnął na nie i schował do pularesu.

– I tak to się kręci. He, he, he. Każdy jest zadowolony!

Anna spoglądała na tę scenkę i nie mogła się nadziwić.

– A może też potrzeba jakiejś lodówki? – Stach uśmiechnął się do niej.

– Teraz nie! Ale kiedyś... chyba zrobimy biznes – uśmiechnęła się Anna.

Za przygotowanie stodoły wzięła odpowiedzialność Kaśka. Eliza z Joasią zaplatały girlandy i dmuchały baloniki, a potem razem z Miłozem zawieszały według wskazówek Kaśki. Długo debatowali nad ustawieniem stołów. We wtorek pod wieczór pojawiła się na moment Marysia i wtedy przesądziła o ustawieniu ich w literę „U”. Krzesła mieli w piątek po lekcjach przynieść ze szkoły uczniowie z klas Joasi i Miłozsa.

Stojąc na scenie, przyglądali się sali.

– Czegoś mi tu jeszcze brakuje. – Kaśka podrapała się po czole.

– Może obrazów przodków? – zaśmiał się Miłoz.

– A wiesz? – Kaśka przechylała głowę, upatrując dla nich miejsca. – Co myślicie, żeby wisały na ścianie za młodymi?

– Młodymi? – prychnęła Joasia.

– Młodymi. Innej nazwy nie ma! – Kaśka uśmiechnęła się. – A poza tym oni są młodzi, tacy młodzi jak ja!

Rozśmieszyła tym całą trójkę.

- To my jacy jesteśmy? – spytała Eliza, mrużąc oczy.
- A wy? Jeszcze młodszy! Co powiecie, żeby dodatkowe girlandy były tam, gdzie obrazy?
- Może... – zmarszczyła czoło Eliza. – Ale zdecydujemy dopiero, jak będą te obrazy.

Ale skąd je załatwić?

- Pomyślałam o Stachu albo Ryszardzie. Podzwonię do nich.

- A może jeszcze nad sceną baner z jakimś napisem?

Zeszli na podłogę i spojrzeli w jej kierunku.

- To nie jest głupi pomysł, tylko co tam napisać? I skąd taki duży baner wziąć?

- Mamy w szkole, gdzieś tak cztery metry długości na jeden szerokości. – Miłoz pokazywał rękoma. – Stachu by zawiesił haki... Ale nie mam pomysłu, co napisać..

- Skoro oni są młodą parą, to może po prostu „Szczęścia młodej parze” – uśmiechnęła się Joasia. – Albo jakoś tak.

- No i super! – podchwyciła Eliza.

*

Przed nocą Felicja zapukała do Anny.

- Co masz takie smutne oczy...?

- A bo kiedy poszłyście do siebie, zadzwonił Jan... – Machnęła dłonią.

- I coś się stało?

- On sobie kawalerkę kupił w Tomaszowie Lubelskim, jak opuścił zakon, i teraz czekał, aż uda się sprzedać. Wiesz, on trochę idealista... Myślał, że jak da ogłoszenie, to zaraz się pojawią kupcy – uśmiechnęła się. – Ale nie pojawili się i wszystko potrwa nieco dłużej, niż zamyślił. Nie zdąży na wesele Marysi i Klaususa.

- Szkoda...

- Tak. Ale wreszcie odważył się z kimś porozmawiać i trafił do pośrednika, żeby za niego sprzedał mieszkanie. Okazało się, że to jego niegdysiejszy student... – Felcia uśmiechnęła się. – Jan kiedyś zrobił prawo jazdy, ale nigdy nie jeździł, prawie trzydzieści lat temu – prychnęła. – Wziął teraz kilka lekcji i mówi, że nawet dobrze się czuje za kierownicą.

- I co, chce kupić auto...?

- Nie! Ten pośrednik rzucił myśl, że ma starego busika, który służy mu czasami jako bagażówka, i może mu pożyczyć na przeprowadzkę...

- A co on chce przewozić?

- Też go spytałam... On się tylko roześmiał i powiedział mi, że skoro zgodziłam się go przyjąć, to razem z całym dobytkiem... – Felcia uśmiechnęła się. – No jasne, że chcę go ze wszystkim, co tam ma... A ma biurko, a raczej duży sekretarzyk, i fotel do niego, lampę, trochę obrazów, których nie chce nikomu oddać, bo jest z nimi emocjonalnie związany, no i całą masę książek. Dlatego te lekcje jazdy i ta bagażówka. Sam wyjechał i sam chce wrócić! – Podniosła brodę do góry. – Niech ludzie widzą, że nie przyjechał golec. Tak powiedział! – zachichotała.

- Ambitny... i kochany.

- Jo! Masz rację. To drugie szczególnie kocham, ale to pierwsze też fajnie, że ma.

- A myślałaś, jak się tutaj rozlokujecie...?

- Wiesz... tamte kilka dni, co on tu był po dożynkach, jako gość, mieszkał w tej

służbówce naprzeciw mojego pokoju. Tam sobie zrobi gabinecik, musi go mieć. On ciągle coś pisze... Ale jak wróci, to zafasujemy też sobie duże łóżko i będziemy zasypiać, trzymając się za ręce i budzić się tak samo... – Objęła się tęsknie ramionami. – A w nocy niech chrapie, jeśli chrapie, a ja będę na niego cały czas patrzyła i patrzyła... Należy mi się to za te wszystkie lata samotności – zaszłochała i przytuliła się do Anny.

*

Kolejne dni mijaly w „Iskierce” pracowicie. Felicja i Anna dzialaly w kuchni, a Kaśka z młodzieżą w stodole. W kuchni zapełniały się stopniowo lodówki i coraz bardziej pachniało, w stodole zaś sala weselna wyglądała coraz uroczyściej. Na banerze pojawił się napis zaproponowany przez Joasię, a pośrodku podobizny Marysi i Klause. Stach przywiózł skądś kilka dużych wyściełanych krzesel dla młodych i świadków. Marysia wreszcie dostarczyła listę gości, którzy mieli pojawić się na weselu. W piątek wieczorem na stołach położono obrusy, Ryszard przywiózł portrety swoich dziadków, a na fotele młodych naciągnięto białe pokrowce. Na sobotę rano pozostało już tylko przystrojenie stołu kwiatami i ustawianie zastawy.

*

Widzów czekających pod kościołem na młodych spotkało spore zaskoczenie. Kawalkadę samochodów otwierał policyjny łazik z włączonym kogutem, potem na przystrojonym harleyu-davidsonie jechała młoda para, a dalej samochody z gośćmi. Marysia w białej sukni z fruującym welonem, z pastelowym makijażem i mocną wiśniową pomadką, doskonale współgrała z Klausem w błyskającym zdobieniami, czarnym motocyklowym kombinezonie. Przywitały ich oklaski. Do ołtarza młodych poprowadzili świadkowie: Marysię – Maciej, a Klause – Kasia. Potem odbyła się uroczysta msza z porywającym kazaniem proboszcza, który z nadzwyczaj ciepłą nutą przywołał polskie przysłowie: „Lepiej późno niż wcale”, nawiązując do treści biblijnych.

Po przeniesieniu Marysi przez próg w stodole młodzi oniemieli. Marysia spłakała się i tuliła na przemian do Felci, Anny, Kasi i dziewcząt. Klaus stał jak wmurowany i skubał wąsik.

– No, niezły czad... – tylko tyle dał radę powiedzieć.

Ze sceny huknęło *Sto lat* – to Wojtek i jego kapela z Erin. Z tacą pełną kieliszków szampana podszedł Ryszard.

– Nie dziwcie się, bo to odpowiedzialna funkcja – uśmiechnął się. – Nie dość, że roznoszę alkohol, to jeszcze muszę ostrzec, by nie tłuc kieliszków, bo pożyczone z zamku. Wy już macie szczęście.

– Ale jak to? Trzeba stłuc, bo szczęście przygląda się. – Felcia obejrzała się wokół, spojrzała nawet tam, gdzie leżało przedwojenne siano.

– No, ale Ryszard... – Marysia zawahała się.

– Oj, dziecko! – fuknęła Felcia. – Macie stłuc i to efektownie, a nie jak jakaś młoda pindzia i nieopierzony guguś... – zachichotała.

Ryszard stał skonsternowany.

– To się jakieś odkupi... – cicho powiedziała Anna, spoglądając na unikalny kształt

kielichów.

– Nic się nie odkupi. Mam na strychu sześć cudnych kryształowych, sama im zawiozę – podsumowała Felcia.

– No, to orkiestra, jeszcze raz *Sto lat*. Musieliśmy się naradzić, w którą stronę rzucać! – krzyknął Ryszard.

Utwór zabrzmiał jeszcze raz, tyle że głośniejszy i ze śpiewem wszystkich gości. Na zakończenie Marysia i Klaus cisnęli kieliszkami za siebie. Wylądowały tuż pod obrazami przodków, rozbijając się w drobny mak.

– Ups! Przepraszam, dziadek – zaśmiał się Klaus. – On podobny do mojego dziadka, naprawdę! – Ryszard śmiejąc się, pogroził im.

Jadło było bajeczne. Mięsa, wędliny, kaszubskie specjały, ciasta i serowa rolada Anny, która zrobiła prawdziwą furorę. Toast wygłosił Ryszard, wywołując co i rusz salwy wesołości. A potem Marysia szalała na parkiecie co najmniej tak żywiołowo, jak Eliza, Wika i Joasia.

– Ty jesteś naprawdę młoda... panna... – wysapała w pewnym momencie Kaśka, wpadając na nią.

– Czekałam na ten dzień przez tyle lat. Zbierałam kondycję! – Marysia zakręciła piruet i popłynęła dalej.

W pewnym momencie, kiedy znowu byli wszyscy przy stole, wstał proboszcz. Wrzawa ucichła.

– Proszono mnie, żebym coś powiedział. Ale to nie będzie toast, bo tutaj mamy mistrza tego typu mów. – Wskazał na Ryszarda. – Nie powiem też żadnej przypowieści biblijnej, co mi się zdarza przy takich okazjach, ale nie im. – Skłonił się w stronę Marysi i Klause. – No, to co ja mogę wam w takim razie powiedzieć? – Rozłożył ramiona. – Prowadźcie więc się, młodzi... – przerwał i pokazał dłońmi, jakby trzymał je na kierownicy motocykla – ...tak jak dotąd. Bezpiecznie, ale i bogobojnie. Przekazuję wam Jego słowa. – Spojrzał wymownie w górę.

Burza oklasków i znowu *Sto lat*, a potem „gorzko, gorzko”! Marysia i Klaus nie szczędzili sobie pocałunków.

Zabawa trwała długo w noc. Hela z urzędu gminy podeszła na pożegnanie do Felicji.

– Mamy w październiku wesele syna, miesiąc ma „R” w nazwie – uśmiechnęła się. – On jest teraz w Niemczech i to jedyny czas, że może wziąć kilka dni urlopu...

– Ale do rzeczy, Hela – mrugnęła Felcia.

– Może to wesele u was bym mogła im zrobić? Wiesz, rodzice młodej...

– Hela, wszystko wiem! Możesz! Pogadamy po imprezie na koniec sezonu. Jo?

– Jo!

*

Poprawiny były nie mniej huczne niż wesele. Dla złapania oddechu korowód gości ruszył na spacer przez wzgórze w kierunku doliny i stawu. Każdy chciał mieć zdjęcie na Felcinej ławeczce. Po powrocie wszyscy z nowym zapałem wrócili do jedzenia i tańców.

*

Eliza zrobiła sobie spacer do Wiki. Szła wolno przez pola i przyglądała się pracującym tam ludziom. O! Pierwsze wykopki. A tamto...? To chyba buraki pastewne. Kurczę, jaka ja jestem dobra! Niedawno uczyłam babcię o rzepaku! Przed żniwami pola są jednak ładniejsze... Złoci się, srebrzy... pachną kwiaty polne, ptaki śpiewają. Przecież żniwa dopiero co się skończyły... Jak ten czas pędzi! No tak! Wczoraj lato się skończyło i dzisiaj już jesień... Ach! Zaraz trzeba się szykować do Gdyni... Tutaj lato trwa krótko ... No tak, ale za to jakie piękne. Nie zauważyłam wielu rzeczy... Dużo jeździłam: Poznań, Parchowo, Gdynia, Hel. Wszystko działo się jak na przyspieszonym filmie... Ale było pięknie! I wszystko jest po mojemu... Kasiuła, moja kochana, uśmiechnęła się. Teraz zakochała się nie na żarty. A babcia? Dobrze, że i jej się jakoś układa z Ryszardem. Co za człowiek... A mój Igorio? Ma zadatki! – roześmiała się głośno.

– Dzień dobry! – zawołała do dziadków Wiki krzątających się po działce; odpowiedzieli jej z uśmiechem.

– A czego tak się chichrałaś tam? – Wika zmrużyła oczy i pokazała na drogę.

– Było słychać? Pomyślałam sobie o Igorio! – szepnęła jej do ucha.

– I co?

– Ma zadatki... – dodała, też mrużąc oczy. – A cóż to za piękny wysoki, żółty kwiat? O, tam w rowie – wskazała.

– To nawłóć. Mimoza.

– Mimoza? Zaraz, zaraz... To Niemen śpiewa:

*Mimozami jesień się zaczyna,
Złotawa, krucha i miła.
To ty, to ty jesteś ta dziewczyna,
Która do mnie na ulicę wychodziła...*

Eliza zaintonowała, ale zaraz dołączyła do niej Wika. Ich śpiew niósł się wokół. Babcia Julia i dziadek Tazio z uśmiechem spoglądali w ich kierunku. Gdy skończyły, zaklaskali im.

*

Długo odkładany wyjazd na Gochy do domu rodzinnego Ryszarda doszedł wreszcie do skutku. Stefania, jego mama, ucieszyła się, że znowu może gościć Annę, a kiedy ujrzała jeszcze Felicję, Kaśkę i Elizę, usiadła z wrażenia.

– Nareszcie przy stole będzie pełno, jak kiedyś. To, że Rysio potrafi dochować tajemnicy, temu się nie dziwię... ale ty... – Stefania spojrzała z udawanym wyrzutem na córkę. – Taką mi zrobiliście radość! Ale jak ci się udało utrzymać język za zębami? – Przytuliła ją.

Na stole znowu znalazła się zastawa z bawarskiej porcelany, Maria Sommerstraus, którą poprzednio zachwycała się Anna.

– Jakież to cudo... – Felcia westchnęła z podziwu, a Kaśka i Eliza skinęły głowami.

– To mój prezent ślubny – uśmiechnęła się szczęśliwa Stefania. – Jak to się stało, Felicjo, że nic o sobie nie wiedziałyśmy? Ania o tobie tak pięknie opowiadała. Tak się cieszę szczęściem moich dzieci. – Złapała za dłonie Annę i Ryszarda. Anna podziękowała

uśmiechem, Ryszard zaś podniósł oczy do góry.

Kaśka i Eliza prawie prychnęły, aż Felicja pogroziła im palcem.

– Aniu, ty z jednej mojej strony, Felicjo, ty z drugiej, a wy, Kasiu i Elizo, siądźcie naprzeciw – poprosiła Stefania.

Ryszard i Elżbieta spojrzeli po sobie i ruszyli do kuchni.

– Ania sporo mi o was opowiedziała. – Spojrzała na Kaśkę i Elizę. – Jeszcze o to i owo spytam sama, a teraz pozwólcie, że pogawędzę chwilę z nową kaszubską przyjaciółką. – Poglądziła Felicję po dłoni. – Słyszałam, że wykierowałaś syna na profesora! – Felcia i Anna spojrzały poprzez Stefanię na siebie.

– No tak... Może nie do końca był w tym mój udział, ale tego i owego nauczyłam go kiedyś, jako młodego chłopaka.

– Taka skromność, zupełnie niepotrzebna. Jestem pewna, że gdyby tutaj był, to by powiedział coś zgoła innego. O dopingiu przez wszystkie dorosłe lata, podczas studiów... Bo to i doktorat, później habilitacja. Tyle spraw, a to jednak dzieci i bez matki mogą pobłądzić w tej mgle. Mój Rysio też zawsze stara się najpierw zaprzeczać, ale jak co do czego, to potem przyznaje mi rację.

Ryszard wszedł z wazą, gdy brzmiały ostatnie słowa.

– Mamo, masz moją carte blanche na wszystko, co dzisiaj chcesz o mnie powiedzieć – uśmiechnął się do matki.

– Widzisz, Felciu, na wszystko już się zgadza, bo wie, że i tak stanęłoby na moim. Na pewno też ostro trzymałaś swojego Macieja. – Zajrzała Felicji w oczy. – Po spojrzeniu widzę, że nie miał z tobą łatwo. Ale teraz za to jest profesorem!

– Jakby tak szczerze powiedzieć, to było między nami czasem bardzo ostro. – Felicja spojrzała badawczo na Stefanię.

– No śmiało, mów. Sama rodzina...

– Powiem, że wiele lat to trwało, a tamto ostro, jak się temu przyjrzeć, raz było z jego strony, a wiele też i z mojej.

– No, kochane, częstujcie się. Najlepsze dzieło mojej Elżuni to rosółek i te kluseczki w nim, sama robiła.

– Mamuś!

– Widzisz, Felicjo, jakie te kochane dzieci skromne. To też moja twarda nauczycielska ręka.

– Do dzisiaj mam siniaki na tyłku od pasa – zaśmiał się Ryszard, a Elżbieta podniosła oczy w górę.

– Dobry prawnik. – Felicja wskazała na Ryszarda.

– Kiedyś chciał być muzykiem. To też moja decyzja!

– Jesteś pewna, mamo? – Ręka Ryszarda z łyżką rosółu zawisła w powietrzu. – Zawsze myślałem, że to było odwrotnie...

– A widzisz? Było przecież tak, jak ja mówię. Widzisz, Felciu. Z Elą miałam łatwiej.

– Znacznie łatwiej... – Elżbieta poprawiła okulary.

Stefania spojrzała na nią.

– Nie rób mu takiej złej opinii. – Przeniosła wzrok na syna, a potem na Annę. – Nie było tak źle. Aniu, słyszałam, że blisko jest już decyzja o zostaniu tutaj. Tak bym chciała...

– Tak, raczej tak. Ryszard dużo mi pomógł.

– Wiesz, Felicjo, że ja jestem stąd, z Gochów. Całe życie przeżyłam w tym domu... to

znaczy od ślubu, ale pochodzę z Brzeźna Szlacheckiego, a przodkowie Ryszarda po mieczu ... ale to, Rysiu, powiedz już sam, jeszcze coś pokręcę.

– Pamiętasz, Anno, jak wspomniałem w Łebie o Wiedniu? – Anna skinęła głową. – Nasz prapraprzodek pociągnął tam pod wodzą Teodora Grafowskiego, dziedzica z Brzeźna. Walczył jak lew, trzy razy był ranny, sporo niewiernych musiał... – wykonał w powietrzu ruch i świsnął.

– Rysiu, to tylko legenda – zaśmiała się Stefania. – Pewnie taka sama jak to, że Zerwikaptur ściął mieczem trzy głowy pod Zbarażem.

– Mamo, on się nazywał Longinus Podbipięta. Zerwikaptur to był jego miecz, a potem herb.

– Przecież to wszyscy wiemy. Mów o swoich przodkach.

– No więc... – Ryszard zamilkł, widząc, że matka spojrzała na niego badawczo. – To polonistka, inaczej nie może. – Pokręcił komicznie głową, Stefania pogroziła mu palcem. – Czyli był wielokrotnie ranny. Dostał od króla Sobieskiego tytuł szlachecki, a za nadzwyczajne męstwo człon Lew przy nazwisku. Za dodatkową nagrodę w talarach stać go było, żeby kupić sobie blisko Borowego Młyna, bo stamtąd pochodził, trochę ziemi i do dzisiaj to jest nasza posiadłość. Dziadowie przez lata sprzedawali po trochu i dzisiaj zostały tylko trzy hektary, no i ten dom.

– Cudowna posiadłość – uśmiechnęła się Anna. – I ta aleja czereśniowa...

Stefania skinęła głową.

– Poznałam się tu z mężem na zabawie ludowej. Faktycznie to było jedno z wielu spotkań tajnego nauczania. Kaszubi musieli, chcieli utrzymać swój język, polskość i w ten sposób się maskowali. Tak mi się to wówczas spodobało, że później sama działałam w tajnym nauczaniu. Spodobał mi się oczywiście także mój przyszły mąż, który tamtego dnia prowadził lekcje w kilku grupach.

– Rozmawiałam sobie z córcią, po jej powrocie z Helu, o możliwości nauczania się języka kaszubskiego – odezwała się Kaśka, patrząc na Stefanię.

– Szczytny pomysł. Teraz to łatwo, ale kiedyś...

– Naprawdę chcecie się uczyć? – Felcia pokręciła głową. – Nic nie mówiłyście.

– Tak jakoś wyszło... Mrozu na monitoringach trochę uczył mnie i Wikę i to się da ogarnąć – wtrąciła Eliza.

– A mnie by się przydało, bo czasami przychodzą klienci i zasuwiają coś między sobą...

– Kaśka uśmiechnęła się – ...to dobrze byłoby wiedzieć, oczywiście w celach biznesowych, co oni tam sobie gadają.

– Aleś ty, Kacha, jest artystka. Ja was będę uczyć – Felicja wydeła usta.

– Jak to dobrze sobie czasami porozmawiać... – uśmiechnęła się Stefania. – Dzisiaj na ogród trochę jest dla mnie za chłodno, więc przed kawą przenieśmy się na sofę i foteliki, poczekamy, aż dzieci uprzątną.

Stefania złapała za dłonie Felicję i Annę i pociągnęła na sofę.

– Poszli... – obejrzała się, czy Ryszard i Elżbieta już zniknęli w sieni. – Obiecałam ci, Anno, opowiedzieć o tej sofie.

Annie rozszerzyły się oczy.

– Po uciekających Niemcach przyszli tu Ruscy, nagle.

Felicja przymknęła oczy i pokiwała głową.

– Ta sofa ma skrytkę, taką dużą skrzynię w siedzisku. W ostatniej chwili mąż mnie tam

wepchnął, nie było czasu na żadne chowanie się. My jesteśmy na uboczu, nikt nie uprzedził, że szukają. – Pokiwała głową. – Mąż mi opowiadał, że oddziałem dowodził chłopak z Moskwy o twarzy anioła. Jak zobaczył fortepian, spytał, kto na nim gra. Mąż był przerażony i nie był w stanie skłamać. Powiedział, że żona, ale pojechała do ciotki, bo ta źle się czuje. On popatrzył i powiedział swoim bojcom, żeby poczekali na zewnątrz, bo już się brali do dziurawienia wszystkiego bagnietami. Tak też szukali kobiet. Nagle usłyszałam, jak gra na fortepianie. To nie była muzyka, jaką lubiłam, ale leżąc tam... – pokazała za siebie – ...wyobrażałam sobie, jaki musiał być uduchowiony, grając ją. Na pewno był absolwentem konserwatorium. Igor Strawiński, *Święto wiosny*. Znasz? – zwróciła się do Anny.

– Bardzo trudny technicznie utwór – odpowiedziała. – Niektórzy mówią, że najgenialniejszy spośród całej muzyki dwudziestego wieku.

– I on to gra... Ja tego nie lubiłam i do dzisiaj nie lubię, teraz już wiem dlaczego, wtedy nie wiedziałam. Ale... tutaj wojna, najpierw Niemcy, teraz Ruskie, a słyszę geniusza. Zachwyciłam się. Tam są takie dynamiczne fragmenty... jak całe ręce biją akordy – pokazała rękoma. Anna skinęła głową. – Myślałam, że rozwali ten fortepian. Ile w tym było gniewu, determinacji, wylewał całą swoją nienawiść do procederu, w jakim brał udział. Nagle przerwał. Zapadła cisza. Mąż mówił, że ukrył twarz w dłoniach, jakby się wzruszył, płakał. Po chwili wstał i coś dobitnie powiedział. Padł strzał. Poczulałam pieczenie. – Odchyliła szal, pod którym powyżej lewego łokcia była ciągle widoczna szrama. – Zabrakło kilku centymetrów, trafiłby w samo serce. Po ponad dwóch godzinach mąż wrócił zdyszany. Wyciągnął mnie, opatrzył. Płakaliśmy oboje długo. Wcześniej, zanim mąż wrócił, usłyszałam niedaleko kilka serii z pepeszy. Ten młody chłopak, oficer, który musiał stać się zwierzęciem, został rozstrzelany, ale wcześniej puścił męża i kazał mu uciekać do lasu. Powiedział, że jeśli żona gra na fortepianie, to on nie chciał robić dokładniejszego przeszukania. Prawie zapłakał, kiedy to mówił, ale co się stało, dlaczego go rozstrzelano, mąż nie miał pojęcia. Wojna. Potem poszedł tam i pochował go na skraju lasu. Do dzisiaj pielęgnujemy to miejsce.

Felcia, Anna i Kaśka siedziały jak sparaliżowane, słuchając opowieści Stefanii, nie były w stanie wykonać żadnego ruchu. Stefania pokiwała głową. Złapała dłoń Anny, odchyliła kilim i szepnęła:

– Wycujesz otwór...

Anna pomacała palcem, skinęła głową i przytuliła się do niej.

– A mnie uratował ojciec, przebijając za chłopaka. Ścięli mi włosy i schowali w stodole... Też miałam sporo szczęścia... – Felicja pokiwała głową. Stefania uścisnęła mocno dłonie obu kobiet.

Zapadło milczenie.

Raszubska studniówka



– Aniu! Przyszedł list z Ameryki! – rozległo się głośnie wołanie Felicji.

Po kilku chwilach Anna weszła do kuchni, a tuż za nią Kaśka i Eliza. Wszystkie spoglądały na dużą kopertę leżącą na stole.

– No, otwieraj! – zachęciła Felicja.

Anna przysunęła kopertę do siebie i uniosła ją. Spojrzała na swoje nazwisko, a potem na Felcię.

– No! – Skinęła głową Felicja, a Kaśka i Eliza zrobiły to samo.

Anna otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej zieloną teczkę ze srebrnym nadrukiem NOTARIUSZ i małą kopertę. Najpierw spojrzała na akt notarialny. Przebiegała wzrokiem tekst.

– Władek przyrzeka mi darowiznę gruntów, własności Krystyny i Bronisława Zalewskich, o ile sąd uzna jego prawo do dziedziczenia po Krystynie Zalewskiej. – Anna spojrzała na Felcię, a potem na córkę i wnuczkę. – Zrobił to. Jakim on jest dobrym człowiekiem. – Przyłożyła dłonie do policzków.

– Przecież obiecał, Aniu. Ty wątpiłaś? Ja ani przez sekundę. Przeczytaj list.

– Zaraz, zaraz. Tutaj jest jeszcze jeden zapis, ale przeczytam wam, bo jakoś... nie rozumiem. – Pokręciła głową. – Niniejszy akt darowizny nie może być zmieniony ani cofnięty bez zgody obdarowanej...

– O czymś takim jeszcze nie słyszałam. – Zdziwiona Felcia pokręciła głową.

– Ani ja – dodała Kaśka. – Bo wiesz, mamuś, jest tak, że akt darowizny można odwołać, tak jak można zmienić testament. Dużo było takich przypadków zmian, które czasami źle się kończyły dla niektórych oczekujących spadku. A tutaj on gwarantuje tobie, że ten akt jest w zasadzie nieodwoływalny!

– Brak mi słów... – Anna przymknęła oczy.

– Aniu, on jest po prostu dobrym człowiekiem, ale tobie się to należy... Czytaj list!

Annie coś się jednak nadal nie zgadzało, dalej kręciła głową.

– No, przeczytaj najpierw list – popędzała ją Felcia.

Anna rozpostarła kartkę listu napisanego ładnym, męskim charakterem. Przebiegała wzrokiem treść.

– Przeczytam wam całość – powiedziała i nabrała powietrza.

Kochana Anno!

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie od siebie, Betty i Maxa. We dwa dni po powrocie z Europy załatwiłem wszystko, do czego Tobie się zobowiązałem, bo papiery wysłane przez Ryszarda już czekały. Akt notarialny przyrzeczenia darowizny powinien Cię uspokoić i ułatwić prowadzenie pierwszego etapu spraw. Wprowadziłem tam w porozumieniu z Ryszardem dodatkową klauzulę. Jeśli będzie potrzebne jeszcze cokolwiek innego, pisz natychmiast maila, bo to dzisiaj najszybciej. Mój prawnik nie widział jeszcze tak perfekcyjnie przygotowanych dokumentów, jak te, które Ryszard mu przesłał. Obeszło się bez jakichkolwiek poprawek lub uzupełnień, co jest niespotykane. To słowa mojego

prawnika.

Z Ryszardem jestem w nieustannym kontakcie telefonicznym i mailowym. Wszystkie dokumenty potrzebne do prowadzenia spraw będę stał wprost do niego, żeby Ciebie nie fatygować. Obiecał mi, że będzie wykonywał notarialne kopie tych dokumentów dla Ciebie, żebyś mogła śledzić, co i jak się dzieje.

Anno! Podtrzymuję wszystko, o czym mówiliśmy w Parchowie. Chcę sfinansować budowę domu, jakiego tylko zechcesz, i oczywiście w miejscu, jakie wybierzesz. Ufam Ci całkowicie. Moim jedynym marzeniem jest przyjeżdżać do Ciebie, do Was, tak często, jak tylko będziemy mogli, tym bardziej, że jak wiesz, Max przekonał nas, że chce przeprowadzić się do Parchowa. Ma w tej chwili co prawda jakieś nowe myśli, ale nie chcę uprzedzać faktów. Tyle mogę napisać, a resztę na pewno on sam przekaże w liście do Elizy.

Ściskam Cię gorąco. Pozdrawiam całą Twoją Rodzinę, w tym Felicję, a także wszystkich poznanych Przyjaciół oraz księdza proboszcza. Fajny z niego człowiek.

Do usłyszenia,

Twój brat Władysław

Chicago, 20 września 2001 roku

– A jak ten list znalazł się tutaj, Felciu?

– Przywiózł go wprost z Warszawy specjalny kurier. Powiedział mi, że chyba list przekazywany był w jakiejś specjalnej procedurze, bo jemu pierwszy raz zdarzyło się jechać z jednym listem.

– Dwudziestego napisany, a dzisiaj jest dwudziesty czwarty. Jakież ten Władek uruchomił znajomości i koszty. Felciu, dziewczynki! – Spojrzała po kolei na wszystkie. – Muszę te sprawy sama sobie ułożyć, przemyśleć... – Znowu omiotła je wzrokiem. – Pójdę do świątyni dumania... Wybaczcie mi, proszę – uśmiechnęła się blado.

– Mamo, weź chociaż szal...

Felcia i dziewczyny nie ruszyły się przez czas jej nieobecności z kuchni. Rozmawiały o wizycie Władka i Maxa oraz emocjach Anny. Przypominały sobie miłe zdarzenia i rozmowy z nimi. Co chwilę któraś z nich spoglądała jednak w okno.

– Tak sobie myślę, że Betty też musi być nadzwyczajną kobietą. Bo przecież zgodzić się, żeby Władek podejmował takie inwestycje za granicą.

– Władek jest prawym człowiekiem, ale trafił też na wyjątkową kobietę. Warci są siebie. O, idzie Ania!

Wyraz twarzy Anny oraz błysk w oczach wskazywał na zdecydowanie. Gdy usiadła, spojrzała kolejno na Felicję, Kaśkę i Elizę.

– Najpierw powiem wam o pewnej wątpliwości...

– Znowu? – Felicja poruszyła się, aż zaskrzypiało krzesło.

– Przecież nie powiedziałam jeszcze Władkowi o tym, że poznałam Tadeusza i że z jego opowiadania wynika, jakoby moją biologiczną matką była Józefa Kuszer. Czy zwróciłyście uwagę na jego reakcję, kiedy powiedziałam, że chętnie bym przeczytała pamiętniki Krystyny? – Spojrzała wokół.

– Coś powiedział tak cicho, że nie dosłyszałam – odparła Eliza.

– A wy? Chodzi mi właśnie o te ciche słowa, prawie szept.

– Sądziłam, że nic takiego w jego słowach nie było... nie pamiętam. – Kaśka pokręciła głową.

– Ja się wtedy zamyśliłam, ale dosłyszałam to, co wiemy, że Krysia pisała pamiętniki. – Felicja spojrzała na Annę.

– Czyli żadna z was nie usłyszała, że jego zdaniem Krysia pisała je chyba tylko dla mnie? – Wszystkie skinęły głowami, a Anna pokręciła swoją. – Wtedy puściłam to mimo uszu, ale dzisiaj przypomniałam sobie tę scenę dokładnie. Tłumaczę to sobie teraz tak, że oni mogą o wszystkim wiedzieć od matki albo z pamiętników...

– Ale jakby wiedzieli, to by chyba coś powiedzieli. Dlaczego mieliby to ukrywać?

– Tego właśnie nie rozumiem. Chyba, że o tym nie chciała w pamiętnikach napisać. – Anna zamyśliła się. – Tak też może być, chociaż o Florentynie napisała, a mogła tego również nie robić.

– Gdybym to ja pisała pamiętnik, taka sprawa byłaby w nim najważniejszą informacją – odezwała się nagle Eliza.

– Już myślałam, że żadna z was tego nie powie. Dziękuję, Eliza. – Anna uśmiechnęła się do wnuczki.

– No jo! Masz rech. – Felcia skinęła głową.

– A ty, Kasiu, co sądzisz?

– Faktycznie, bo to albo pamiętnik, albo niepamiętnik. – Kasia wzruszyła ramionami.

– No bo Tadzio mówił na pewno prawdę. – Felicja chwyciła dłoń Anny. – Ja mu wierzę, że jesteś córką Józefy!

– Ani przez sekundę nie wątpiłam w jego opowieść. Napiszę Władkowi długi list o Józefie i Tadeuszu, niech wiedzą, że i ja wiem! – uśmiechnęła się. – Zobaczymy, co mi odpiszą. Muszę być wobec wszystkich w porządku.

– Babciu, tylko napisz mu to delikatnie – wtrąciła Eliza.

– On ma gołębie serce. – Anna objęła się ramionami. – No dobrze, dość już mazania się! – Spojrzała wokół śmiejącymi się oczami. – Powiedz mi, Kasiu, co słyhać u pana Henryka Dziedzica?

– Porozumiał się z Edwardem Długołęckim i sprawa jest w toku. To znaczy Dziedzicowie na pewno muszą opuścić „Zielony Dwór”, ale raczej uda im się uzyskać wyższą kwotę, niż początkowo Henryk sądził.

– Dobrze i to. Zal mi go, natomiast myślę, że przy jego charakterze mogą mu pomóc tylko kolejne ważne wyzwania. Dzwon do niego natychmiast i spytaj, czy podjąłby się pokierowaniem projektowania dużego domu, a właściwie całego siedliska, z parkiem i ogrodem.

– Mamo, ale tak nagle?

– Kasiu, myślę o tym od dawna, nie mogłam inaczej. Ten list i akt notarialny... Muszę się spieszyć, bo nie jestem młoda, a chcę odplacić dobrem za dobro, które mnie spotkało. Dla Władka, dla was, dla Dziedziców, dla Felci, dla Tadzia, dla... Mogłabym tak długo wyliczać... – zamilkła, spoglądając w roześmiane oczy Felci i swoich dziewczynek. – Myślałam o wielu różnych wariantach, ale dzisiaj ostatecznie zdecydowałam. Jeśli Henryk się zgodzi, to będzie mógł dalej się w tym wszystkim wyżywać, administrując siedliskiem – zmrużyła oczy. – Nie patrzcie tak na mnie. To jest wymarzony kandydat! Oj! Żeby tylko się zgodził. Dla niego przeznaczę jakiś placyk na domek i też mu to wszystko sfinansuję.

– Jo! To mi się podoba! Działasz jak prawdziwa Baśka Zalewska. – Felicja uśmiechnęła się od ucha do ucha, ale po chwili pacnęła się w głowę. – Kurczę! Mimo że nie jesteś Zalewska, tylko Kuszerówna, to działać zaczynasz jak córka gospodarza! – Wzięła się pod

boki. – Tak czy owak jesteś swojaczka i fajna dziewczucha! A do tego jesteśmy rodziną!

– Aha, Kasiu! Tylko o tym placyku i domu nic mu jeszcze nie mów, chcę mu to sama przekazać. Najpierw musi się zgodzić tu przyjechać, obejrzyć miejsce i wybrać lokalizację na domy. – Anna spoglądała wokół z triumfującą miną. – Boże! – Nagle złapała się za głowę. – Tylko skąd ja na to wszystko wezmę pieniądze? Zagalopowałam się.

– No właśnie... – prawie jednocześnie wyszeptały Kaśka i Eliza.

– A co wy nagle wszystkie takie pesymistki? – zawołała Felicja. – To jest wiele hektarów, więc jesteś bogata! Aniu, ściągnij tutaj na jutro Ryszarda, bo musisz wszystko z nim przedyskutować, a ty, Kaśka, dzwoni wreszcie do Henryka!

– Jutro z rana spotkam się w takim razie z Ryszardem, a potem pójdę do gminy i do proboszcza – uśmiechnęła się Anna.

– Ależ mi się to wszystko podoba! – pisnęła Eliza.

– W zasadzie mnie też, tylko... – Kaśki reakcja była bardziej stonowana.

– Kaśka! Ty musisz się jeszcze podciągnąć! – Felicja zaśmiała się wesoło. – Bo wiesz, że tylko tak pomożesz matce. No, dzwoni wreszcie! – wrzasnęła. Kaśka poderwała się od stołu i ruszyła pędem w kierunku sieni.

*

Ryszard przyjechał koło dziesiątej. Obejrzał przesłany przez Władka akt notarialny, wysłuchał, co postanowiła Anna, i uśmiechnął się.

– Anno, na razie jest super. Eliza, przynieś jakiś kajet. No wiesz, musimy coś porysować.

– Porysować? – zdziwiła się Anna. – A pieniądze? – spojrzała na Ryszarda.

– Zostaw na razie na boku kwestie pieniędzy. – Ryszard machnął dłonią. – Władek myśli o wszystkim poważnie, chce tu szybko przyjechać! – zaśmiał się. – Pewnie chodzą ci jakieś pomysły po głowie, więc dobrze byłoby to jakoś naszkicować i opisać. Trzeba się zorientować, ile potrzeba na to wszystko ziemi, żebyś mogła komuś deklarować, oczywiście wstępnie, jakąś darowiznę.

– Jo! Ty masz głowę. Ty już się go, Ania, trzymaj – zarzała Felicja, wywołując śmiech pozostałych. – Władek też tak ci mówi!

Anna zmrużyła tylko oczy.

– Eliza, chyba cały tornister opróżniłaś! – zaśmiał się Ryszard, gdy dziewczyna pojawiła się znowu przy stole kuchennym, przynosząc blok rysunkowy, flamastry i zeszyt. – Zeszyt daj babci.

– Mnie? A to za mnie nie ma kto już pisać? Córcia, zajmij się tym, ja będę myślała.

– Jo! Ty się robisz jak tutejsza cwana baba. Zupełnie jak ja! – Felicja wzięła się pod boki. – Są gorsze wzorce, więc nie wybrałaś źle.

– Ależ tu u was wesoło. Może tak jakąś kawkę wypijemy? – Ryszard spojrzał pożądliwie w kierunku Felicji.

– A co się tak na mnie glapi!

– Ja nie mogę, bo myślę... – Anna zmrużyła po swojemu oczy.

– Ja będę pisała. – Kaśka podniosła długopis w górę.

– A ja biegałam po schodach i jeszcze jestem zdyszana. – Na dowód swoich słów Eliza głęboko oddychała.

– Zaczy kazał pan, musiał sam – roześmiał się Ryszard i podszedł do kuchenki. Napelił czajnik wodą, włączył go i otworzył wiszącą szafkę.

– Niech mi tylko tam nie grzebie! – Felcia poderwała się. – To kto chce jeszcze kawę?

– Ja chcę! Słyszałem pytanie! – z sieni doszedł okrzyk Stacha i człapanie chodakami. – Tak sobie jeżdżę od chaty do chaty i wszędzie już wypili, a tutaj patrzcie! – łypnął białkami. – A ja tak patrzył, czyja to limuzyna ten audik... Ryszard, witam! A tu sandacz na przyjazd Jana. – Podał Felci karton.

– Bóg zapłać, Stachu. – Felcia uściśnęła go.

– Oj, dobrze, że jesteś – uśmiechnął się Ryszard.

– A co to, widzę, że robicie konkurs rysunkowy? Eliza, daj mi też kartkę. Ja będę rysował małe i duże prosiaki, mogę też narysować chatę, o, jeszcze studnię z żurawiem umiem. – Wyciągnął język i z przejęciem malował na kartce. – Takich już nie ma, a ja ciągle potrafię. He, he, he!

– Powiedz mi, Stachu, ile hektarów mają grunty Zalewskich, tak mniej więcej? – spytał Ryszard.

– Tam jest więcej niż mniej. Kiedyś chciałem to kupić i już nawet zbierałem gorzałę, żeby przyjść i przekonać Felę do tego...

– Niedoczekanie twoje. A na co chciałeś tę ziemię? Przecież ty nie gospodarz!

– Postawiłbym płot wysoki jak cholera, na środku bym zamontował taki hamak, że hej, a potem rozebrał się na golasa i tam sobie leżał, i leżał... He, he, he.

Wokół stołu rozległ się śmiech.

– No dobra, odsuńcie trochę te papiery, kawa idzie. – Felcia zamachała dłońmi od kuchni.

– A tak na poważnie, co kombinujecie? – Stach potoczył wokół wzrokiem.

– Władek przysłał akt notarialny, że daruje mi tę ziemię – odparła Anna.

– Aaaa! To już wszystko rozumiem, chcecie porysować, co i jak. – Wszyscy skinęli głowami.

– To jest tak. To będzie gdzieś tak siedemset na trzysta metrów. – Narysował duży nieregularny prostokąt.

– O, ty huncwocie! Naprawdę to zmierzyłeś! – Felci zrobiły się z oczu szparki.

– Przygotowywałem się do dzisiejszego rysowania. Ktoś musiał. – Stach błysnął białkami. – A co tu byście chcieli postawić?

– Chciałabym połowę dać w darowiźnie.

– Mnie? A na cholere mi to? Czy ja nie mam kłopotów?!

– Stach, jak ja cię kocham!

– Żebym ja to kurde wiedział, to bym tu z półlitrem już przylazł. Ech, te baby – mrugnął do Ryszarda.

– Co ja bym chciała? – Anna zmrużyła oczy. – Mam pomysł, żeby postawić duży pensjonat dla chorych dzieci, żeby można je było leczyć hipoterapią, albo dom pracy twórczej, albo... bo ja wiem?

– No, a mieszkać gdzie? – Ryszard spojrzał na Annę.

– No też gdzieś tam.

– To zapisz, Kasiu: dom mieszkalny, taki 10 na 10 metrów.

– A po co im dom i do tego taki duży? – prychnęła Felcia.

– No jak to po co? One są trzy, a jeszcze jak Eliza będzie miała młode... – Stach

mrugnął.

– Stach ma rację – zaśmiał się Ryszard. – No i jeszcze pokoje dla Zalewskich.

– To teraz placyk na dom dla Dziedziców.

– A kto one są? – Stach wypuścił powietrze.

Kasia w skrócie opowiedziała mu ich historię.

– Wiesz co, Elizka, daj ty jakieś nożyczki, zrobimy inaczej. – Stach wyrwał z zeszytu środkową kartkę. – Masz zgrabne łapki, to tnij i opisuj. Niech dziesięć metrów to będą trzy centymetry...

– No popatrz, masz rację... – Ryszard spojrzał na Stacha z uznaniem.

– Bo wiesz, wy teoretycznie, a ja praktycznie. He, he, he! Teraz ta działka dla Dziedziców. Już lubię tego Henryka. – Łypnął białkami. – Czyli kwadrat sześć na sześć, bo to tak dwadzieścia na dwadzieścia metrów.

– A ten pensjonat jaki według ciebie miałby być duży? – Kaśka spojrzała na matkę.

– Bo ja wiem?

– Co najmniej jak nasz duży sklep na skrzyżowaniu. – Stach machnął ręką w kierunku wsi.

– Teraz stajnia na konie, sześć na dwanaście metrów... Co tak patrzysz? Aha! Nie dzieli się... To wytnij prostokąt dwa na cztery centymetry – tam jest mały zapas! No i łączka do ujeżdżania – dwadzieścia na dwadzieścia metrów, to będzie gdzieś sześć na sześć centymetrów.

– O! Sporo się tego narobiło! – Anna spojrzała na opisane kwadraciki.

– Teraz potrzeba fachowca, żeby to dobrze rozmieścił. Chodziło o to, żeby zobaczyć, jak to pasuje do powierzchni. Czy w ogóle się mieści.

– Ale będzie fajnie! – pisnęła Eliza.

– Jeśli Eliza tak się cieszy, to jeszcze placyk zabaw dla dzieci. I nie można zapomnieć o parkingu, tak na dziesięć aut, a ognisko, trawnik, warzywnik...

– I jakiś gazon – uśmiechnęła się Anna.

– A kiedy ten Henryk ma przyjechać? – Stach spojrzał na Annę.

– W piątek – rzuciła z boku Kaśka.

– To nie zapomnijcie wtedy o mnie! He, he, he! Przynajmniej znowu napiję się kawy w dobrym towarzystwie.

– Dobrze, chłopie, żeś ty przyszedł. – Ryszard wystawił w kierunku Stacha dłoń do piątki.

– Intuicja – zaśmiał się Stach.

– Z tego, co widzę, Anno, możesz wstępnie obiecać w sumie pięć, sześć hektarów, ale zastrzegaj, że dokładnie powiesz, jak będzie zrobiony plan. – Ryszard ustawiał wycięte prostokąty na dużej kartce.

– Pięknie, Aniu! – Felicja pokiwała głową. – A o pieniądzach na razie nie myśl.

– W ogóle! Raz, że nie wszystko trzeba budować od razu, dwa, to Włodek obiecał dać na dom, trzy – macie coś tam w Poznaniu do sprzedania, to będzie przecież kupa pieniędzy – gestykulując, wyjaśnił Ryszard. – A w przyszłości pomyślimy o fundacji! No nic, na trzynastą muszę być w Bytowie, mam spotkanie z ważnym klientem. Pędzę!

– Ja też pędzę, bo muszę zdążyć na kawę do takiej jednej... He, he, he! Jadę zaraz stawiać płot w Parchowskim Młynie.

– To ja chyba się przejdę do gminy i proboszcza. – Anna spojrzała pytająco na Felicję.

– Ty teraz tutaj pani na włościach! Nie patrz na mnie, idź sama. Tak będzie lepiej.

*

Felicja czekała, aż Anna i Eliza zjedzą spokojnie obiad.

– Posłuchajcie! Co roku robię imprezę na koniec letniego sezonu. Zwykle to jest ognisko, a potem siedzimy do nocy w kuchni. Najważniejsza w tym jest nazwa tej imprezy. Musi się kojarzyć z czymś ciekawym z lata. W zeszłym roku nazywała się po prostu „Milenijna”, chyba jasne... – Spojrzała wokół. – A dwa lata temu „Kielbaski Marcysi”. Była tutaj z dziadkami uroczą dziewczuszka, która codziennie chciała, żeby jej piec kielbaski, bo tak jej się to spodobało od pierwszego wieczoru.

– Podoba mi się... To tak jak z piciem twoich nalewek bez toastu – zaśmiała się Anna.

– Nie przystoi pić bez toastu, oj nie, bo wtedy to pijaństwo!

– No dobra, to wymyślajmy. – Eliza zapaliła się do projektu. – Mogę zapisywać propozycje... – zmrużyła oczy – ...a potem, jak wróci mama, zrobimy głosowanie.. – Felcia i Anna skinęły głowami.

– Zaraz się skupiam, tylko chciałam wam powiedzieć jeszcze ciekawostkę – uśmiechnęła się Anna. – Wczoraj liczyłam dni od podjęcia w Poznaniu decyzji o wyjeździe tutaj – wyszło dziewięćdziesiąt siedem. W sobotę mija więc równo sto dni. – Pokręciła z niedowierzaniem głową. – Aż nie chce się wierzyć. Miało być kilka dni, a wyszła studniówka! Boże!

– No to już jest nazwa! – wrzasnęła Felcia. – Studniówka. Tylko trzeba coś jeszcze do tego...

– Kaszubska...? – rzuciła Anna.

– Jesteś genialna, babciu! Kaszubska studniówka!

– Bardzo mi się podoba. I koniec zabawy w wymyślanie nazwy! Teraz Elizka będzie pisała gości. Podam najpierw swoich: Gulewscy, Zagórcy, Mądrykowie, ale tych zapisz w nawiasie. To ci od Marcysi – Felicja uśmiechnęła się. – Stach z żoną, proboszcz, Marysia z Klausem i dziećmi, no i... ktoś jeszcze miał być, ale zapomniałam... Potem sobie przypomnę.

– To teraz ja – zgłosiła się Anna. – Ryszard, Stefania i Elżbieta, Tadzio z żoną, może też Leti i Olek, to chyba wszyscy z mojej strony. A to nie będzie za dużo?

– Im więcej, tym lepiej! Kiedyś przyjdą na pogrzeb, a ja lubię huczne imprezy! – zarżała Felicja.

– Ale ty jesteś... To może jeszcze Hela z gminy – zaproponowała Anna; Felcia skinęła głową.

– Teraz ja: Wika, Igor... – Eliza przymknęła oczy

– A nie odwrotnie? – zawołała Felcia.

– Co odwrotnie?

– No, najpierw Igor, potem Wika.

– Oj, Felciu, zawsze coś znajdziesz! No dobra: Igor, Wika, ale ja tutaj nie mam jeszcze innych znajomych – zasmuciła się Eliza. – Może zaproszę Mroza...?

– Ale jakościowo twoi biją nawet dziesięcioro innych!

– Jo! Babcia ma rację.

– Mówicie, dziewczynki? – Teraz Eliza zmrużyła oczy. – To jeszcze podam za Kasiulę.

– Kasiule? – Anna spojrzała z uśmiechem na wnuczkę.
– No, moja kochana mamula Kasiula!
Felicja poczochnęła Elizę po czuprynie.
– No to pisz za tę swoją Kasiule.
– Więc... – przykneła oczy. – Więc: Krzysztof z żoną, Adam i Cherubin, Wojtek z zespołem i to chyba wszystko. Kasiula się ucieszy.
– A może jeszcze Feliksa Kiedrowskiego z żoną i córką? – spytała Anna.
Felcia oparła się o siedzenie.
– Tego Feliksa...?
– Bo zapomniałam ci, Felciu, powiedzieć, że dziadek Wiki spotkał się z Feliksem. – Eliza spojrzała na nią z przepraszającym wyrazem twarzy.
– I co tam gadali?
– Wika była u niego z dziadkiem. Najpierw przez pół godziny ryczeli... – Eliza pokiwała głową. – Potem rysowali sobie na ziemi te ulice i nazwy pensjonatów, jak w trzydziestym ósmym. Okazało się, że dziadek Kuszer zapomniał nazwy jednego z nich i przypomniał mu dopiero dziadek Kiedrowski. Następnego dnia pojechali tam znowu, a Feliks zażyczył sobie kawy. Od kilku lat nie pił! Rozmawiali o Gdyni, o tych zapaśnikach, tenisie i wrzucaniu snopków na wóz. Znowu śmiali się i płakali. Feliks odzyskał formę. Wybrali się do Gdyni na wycieczkę. Na wszelki wypadek Wika prowadziła. Odwiedzili ulicę Matejki i Villa Rosa, tam gdzie dziadek Tadzio mieszkał przed wojną, byli na kortach tenisowych, pochodzili po Polance Redłowskiej. Potem jeździli pooglądać, jak wyglądają inne pensjonaty. Byli na Skwerze Kościuszki, zjedli dobry obiad... Kiedrowski jest teraz w formie, że ho, ho!
– Mówisz w formie... No jasne, Aniu, zapraszamy ich! – Felcia spojrzała na Annę badawczo. – To wiesz, kogo ja jeszcze zaproszę? – zawiesiła głos i spoglądała z triumfującą miną. – Zoche! Nie dziw się! Zoche!
Jeszcze raz wróciły do listy gości, kiedy Kaśka przyjechała z Kartuz.
– To mówisz, że podałaś już za mnie, za Kasiule. Dobrze podałaś! Felciu, co ty na to, gdybym zaproponowała chłopakom z zespołu wzięcie swoich żon? Pomieszczą się?
– To nie wiesz, że w stodole są jeszcze cztery pokoje? – Felicja wzięła się pod boki.
– Tego nie wiedziałam, ale wiem, że Maciej przyjedzie już w piątek wczesnym popołudniem.
– Jan też... albo nawet wcześniej?! – Felcia przycisnęła dłonie do policzków.
– Sporo serc odnalazło się na naszym wzgórzu tego lata – powiedziała Anna cicho, przenosząc wzrok po kolei na Felcię, Kaśkę i Elizę.
– Ładnie to powiedziałaś, mój ty prezencie imieninowy. – Felicja objęła Annę. – Na moim, naszym wzgórzu nie zawsze było mi dobrze, choć tu zawsze świeci słońce... Przeżyłam trudne chwile i czasami zastanawiałam się, dlaczego... Przecież słońce, jak od niepamiętnych czasów wierzyli ludzie, a wiem to z moich książek ze strychu... – podniosła palec w górę – powinno dawać ciepło, miłość, powodzenie, szczęście. Musiało więc tutaj czegoś albo kogoś brakować i teraz już wiem kogo. Was! Dzięki wam tego lata i mnie się spełniło – Felicja uśmiechnęła się.
– Jakaś ty mądra, Felciu! – Anna zachwyciła się. – Mów tak zawsze, teraz już nie musisz się maskować! Ty byłaś tutaj, jesteś ciągle, jako strażniczka, kapłanka tego wzgórza. Pilnowałaś dobra w nim ukrytego, dlatego tak wiele mogło nam się spełnić... Prawda,

dziewczynki? Bo to jest wzgórze pełne słońca!

*

Kaśka zrobiła sobie w piątek wolne. Po śniadaniu wraz z Anną wróciły raz jeszcze do rozmowy z proboszczem i w gminie.

– Teraz muszę się poważnie zastanowić, co zrobić z tą darowizną. Pomysł proboszcza, że mógłby tam powstać jakiś dom sezonowy dla gości zapraszanych do parafii lub dla niewielkich wakacyjnych grup dzieci, też mi się podoba.

– Poczekaj, co obmyśli Henryk. – Kaśka spojrzała na matkę.

– I wtedy jeszcze raz porozmawiacie. Bo jeśli coś tam jeszcze chcecie budować, to wszystko musi do siebie pasować... O! nawet mi się rymnęło – zaśmiała się Felcja. – A o której Dziedzice wyruszyli? – Spojrzała na Kaśkę.

– Diana przysłała po ósmej SMS-a, że ruszyli, czyli będą na dwunastą.

– To niedługo, już dochodzi jedenasta. Widać, że dzisiaj będzie ładnie. – Spojrzała w okno. – Kawę, jak przyjadą, wypijemy chyba na werandzie.

– A byście dały chociaż kawałek ciasta. Tak ładnie pachnie... – Eliza spojrzała na dwie blachy przykryte ściereczkami i się oblizała. – Co tam upiekłyście? Czuję trochę jabłka, trochę śliwki.

– Dobrze trafiłaś. Okazało się, że Felcia ma antonówki w ogrodzie i one jak raz nadają się już na szarlotkę. No to ją zrobiłam...

– A ja upiekłam kruche ciasto ze śliweczkami, też prosto z ogrodu, z niewielką kruszonką. Mniam! – mrugnęła Felcja.

– I nie dacie kawałka?

– Nie ma mowy. – Felcia i Anna pokręciły głowami.

– Potem zjesz po dwa kawałki! – zaśmiała się Kaśka.

– Nie mogłyście mi zołzy powiedzieć tak jak... Kasiula? – Eliza zmrużyła oczy.

Kobiety zaniosły się śmiechem.

– Idę na wzgórze patrzeć za nimi. – Eliza ruszyła do sieni.

Długo nie musiała czekać. Zielonkawa astra wspinała się na wzniesienie. Eliza poznała Dziedziców i zamachała rękoma. Samochód zatrzymał się obok niej.

– Przepraszam bardzo. Czy mogłaby panienka podpowiedzieć, czy gdzieś tutaj mieszkają może trzy panie z Poznania? – spytał z galanterią Henryk Dziedzic. Eliza dojrzała, jak na tylnym siedzeniu włączają się dołeczki w policzkach Diany.

Eliza rozejrzała się wokół.

– Ale wie panienka co? Widzę podobieństwo do pewnej takiej Elizy, co to na początku lata ją poznałem, tylko ona miała na głowie płonące ognisko, a tutaj widzę, jakby panienka pożyczyła pióra od wrony. Śliczny kolor i śliczna fryzurka, nie mówiąc już rzecz jasna o buzi... Henryk Staroświecki jestem. – Wysiadł z samochodu i uklonił się.

Eliza zanosila się od śmiechu.

– Panie Henryku, jak mi się to spodobało! – pisała i rzuciła mu się w ramiona.

– Same widziałyście – zwrócił się do żony i córki, które także wysiadły. – Jakaś czarna Kaszubka rzuciła się na mnie, to chyba tutejszy zwyczaj – roześmiał się jowialnie.

– Zostaw i dla mnie troszeczkę Elizy. – Teraz pani Adela wzięła się za ściskanie i przytulanie Elizy.

– Mamcia, a ja? – Diana i Eliza objęły się na przywitanie.

– To tam. – Eliza wskazała na „Iskierkę”.

– Tam mieszkacie teraz, a gdzie ma być to nowe?

Eliza wskazała dłonią pas wzdłuż ściany lasu.

– To wszystko? – Pan Henryk powachlował się dłonią. – Toż to... bo ja wiem... ze trzydzieści hektarów?!

– Tyle to nie, dokładnie dwadzieścia dwa, ale i tak sporo!

– Sporo? Tyle hektarów to jak cała preria! I ta górka też? – Dojrzał skinienie głowy Elizy. – A ta kotlinka przed wyniesieniem przy zakręcie szosy? – Eliza znowu skinęła głową. – Ho, ho, ho, ależ tu ziemi do wyżycia się!

– My z Dianą się przejdziemy, a państwo niech wjeżdżają na podwórze. Parking jest za domem.

Kurz opadł za odjeżdżającym samochodem. Diana spojrzała na dolinę, a potem ponownie na „Iskierkę”.

– Jak tutaj cudownie. Nie dziwię się wam, że nie chcecie wracać do Poznania – powiedziała cicho.

– Powiedz mi, jak tata przede wszystkim... Jak jego serce?

– Trochę lepiej, ale teraz mama czuje się gorzej. – Diana spojrzała na Elizę smutnymi oczami.

– Kiedy tutaj przyjechałyśmy i stanęłam na szczycie wzgórza, pomyślałam sobie, że to wymarzone miejsce dla mnie. I zobacz, spełniło się. – Eliza zapatrzyła się w dal.

– Nie uwierzysz... Przed chwilą też tak sobie pomyślałam. – W policzkach Diany na moment włączyły się radosne dołeczki. – Ale to byłoby zbyt piękne... – zmarkotniała.

– To teraz ja ci coś powiem. – Eliza zmrużyła oczy. – To wzgórze ma wielką moc. Dobrym ludziom spełnia marzenia, jeśli o nich sobie pomyślą, gdy pierwszy raz staną na szczycie. – Objęła Dianę ramieniem. – Pomyślałaś tak sobie, nie wiedząc o tym, i teraz ci się na pewno spełni. Wam wszystkim się spełni, bo ty myślałaś i mówiłaś za całą swoją rodzinę.

– Mogłabyś pisać bajki. – Dianie znów włączyły się dołeczki. – Ja ci wierzę. Nie wiem dlaczego, ale wierzę... Czuję, że zostaniemy tutaj. – Spojrzała na Elizę.

– Wiesz, tego lata wiele się nauczyłam. Kiedyś opowiem ci o moim dziadku, bo to trochę z nim się wiąże. Trzeba marzyć, ale trzeba też sobie w marzeniach pomagać i trochę ryzykować. Zapomniałam kiedyś o tym i dlatego miałam czerwone włosy jak Ania z Zielonego Wzgórza.

– A do tego ja mam na imię Diana.

– No widzisz...? Historia lubi się powtarzać... Chyba naprawdę zacznę pisać bajki, albo takie książki jak Lucy Maud Montgomery – uśmiechnęła się Eliza.

– Ależ piękny dom... – Diana stanęła przed gazonem i zadarła oczy w górę. – Tata chyba też jest zachwycony. Mam po nim sporo kiczu w żyłach. Tak czasem mówi mama, jak się czymś z tatą wzruszamy.

Z werandy dochodził gwar.

Dianie włączyły się dołeczki, kiedy spojrzała pod nogi, na gazon.

– A jak cudownie urządzona weranda! – Złożyła dłonie z zachwyty, wchodząc na nią po stopniach.

– Prawda? To samo powiedziałem, jak tutaj wszedłem – zgodził się pan Henryk.

Diana przywitała się z Felcją, Anną i Kaśką. Obejrzała się wokół z błyszczącymi oczami. Usiadła obok Elizy i przysłuchiwała się słodkiemu paplaniu mamy i radosnym, dowcipnym wtrętom swojego staroświeckiego taty. W pewnym momencie uderzyła kilkakrotnie łyżeczką o brzeg filiżanki.

– Mamo, tato... – Spojrzała na rodziców. – Kochane panie... – Wszyscy zerkali na nią z zaciekawieniem. – Przed chwilą, tam na wzgórzu, pomyślałam sobie coś i ponieważ bardzo chcę, żeby mi się to spełniło, postanowiłam, że... – potoczyła wokół wzrokiem – ... że zostaję tutaj.

Po tych słowach spokojnie uniosła filiżankę z kawą i zrobiła łyk.

Zapadła cisza. Przerwał ją Henryk, który głęboko westchnął i przełknął głośno ślinę. Adela kręciła głową na boki, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Ale córcia, jak to tak – odezwał się sztucznym głosem Henryk.

– Cóż to ci przyszło, kochanie, do głowy? Ni stąd, ni z owąd – pisnęła Adela i zaczęła silnie oddychać, jakby zrobiło się jej duszno.

Anna popatrzyła wokół. Teraz ona uderzyła kilkakrotnie łyżeczką o brzeg filiżanki. Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Znowu zapadła cisza.

– A dla mnie kawa też jest? – w ciszę wdarł się okrzyk pędzącego od bramy Stacha. – Zapomniałem, bo jedna baba chciała mnie dzisiaj zgwałcić... – Stał na szczycie werandy, wszyscy obecni wlepili w niego oczy – ...zgwałcić na robotę na kredyt! I się jej udało! He, he, he. Ależ fajne babki tu przyjechały! – przywitał się z Adelą i Dianą. – Ależ ty masz fajne te – pokazał na dołeczki. – A to jest pewnie wasz kierowca? – Podszedł do Henryka. – My się chyba skądś znamy... – Popatrzył na niego, lecz ten wykonał przeczący ruch głową. – Nie? To się musimy szybko poznać! He, he, he. Jestem Stachu. – Janik unosił filiżankę z kawą w górę; dwie filiżanki stuknęły się delikatnie. – Ależ ty będziesz miał tutaj roboty! Krucafuks! Tylko pamiętaj, że one znalazły pod jabłonią kociołek pełen złotych monet! He, he, he.

– Ładne *entrée* – uśmiechnęła się Anna. Stach Janik spojrzał na nią i przewrócił białkami.

– Przecież powiedziała antre, no nie? – Felcia popatrzyła na Stacha.

– A ja myślałem, że to nie po naszymu. Ale jeśli to antre, to wszystko jasne.

– Panie Henryku, myślę, że coś pan sobie w głowie już układał po rozmowie z Elizą. Kiedy pójdziemy na spacer, wszystko panu pokażę, ale najpierw sprawa zasadnicza. – Anna spojrzała mu głęboko w oczy, Henryk przełknął ślinę. – Proponuję panu nadzór nad projektowaniem całego siedliska, o którym za chwilę parę słów, nadzór nad realizacją, a potem pracę, tak długo, jak tylko pan będzie chciał! – Anna zmrużyła oczy. Adela głęboko westchnęła, a Dianie włączyły się dołeczki.

– Zanim pani odpowiem, bo chcę, żeby wszystko było jasne, dziękuję za prawnika. – Podkręcił wąsa. – To jest prawdziwy prawnik, a ten mój to był... lewnik! – podniósł głos. Anna uśmiechnęła się. – Udało się dokonać korekt w akcie przejęcia własności przez nowych właścicieli, trzeba było tylko chcieć! Wobec tego można było powrócić do kwoty odstępnego i ona mnie teraz satysfakcjonuje. To będzie nieco ponad osiemset tysięcy, ale oni się cieszą, bo już mają kupca na kwotę trzy razy większą od mojej części – Henryk chrząknął. – Gdyby nie to, że tyle serca tam zostawiliśmy, byłaby pełnia szczęścia – załamał mu się głos.

– Henryk! Za te pieniądze pobudujemy wam tutaj porządny dom i jeszcze dzieciom na

długo starczy! – zawołał Stach Janik. – A w ogóle...

– Stachu... – Anna położyła palec na usta. – Kochani... – Spojrzała kolejno na Henryka, Adelę i Dianę. – Stach też ma dużo racji, ale mam inną propozycję. Swoje pieniądze zostawi pan na posag i prezenty ślubne dla dzieci, a tutaj będziemy wspólnie zarabiać i przejadać mój poznański dom, no i pieniądze od mojego brata Władysława! – uśmiechnęła się triumfalnie.

– Ależ droga pani Anno....

– Będzie pan tutaj administratorem! – Anna uzupełniła wcześniejszą myśl.

Henryk z wrazenia cofnął szczękę, ale po chwili pokręcił przecząco głową.

– Pani Anno... Muszę to z przykrością powiedzieć, że na administratora niestety nie zgadzam się. – Spojrzał na Annę i podkreślił węża; zapadła cisza. – Ale... – zawiesił głos i podniósł palec – ...na włodarza owszem! A nawet się wpraszam! – zaświeciły mu się oczy i nagle zasłochał.

– Przestańcie już tak gadać, bo i ja zacznę ryczeć. – Felcia smarknęła głośno w chusteczkę.

Wzruszeni byli wszyscy. Tylko Dianie włączały się i wyłączały dołączki jak szalone, choć także miała wilgotne oczy. Stach Janik spojrzał wokół zakłopotany.

– Wy to sobie myślicie, że ja mam jakiś specjalny zbiornik na łzy? Dzisiaj już sikałem i teraz nie mam już czym ryczeć! – zaśmiał się, ale tak jakoś sztucznie.

– Pani Anno, Eliza wskazała mi mniej więcej obszar waszych włości. Piękny teren. Tam miałem około pięciu hektarów, a tutaj jest dużo więcej!

– Dwadzieścia dwa – zmrużyła oczy Anna. – Daj, Elizka, tę kartkę i wycinanki...

Przez chwilę tłumaczyła Henrykowi, jaką ma wizję. Adela i Diana słuchały i patrzyły z błyszczącymi oczami.

– Pani Anno, ależ ja tutaj słyszę o kolejnych szlachetnościach! Przecież pani nie może tak rozdawać pieniędzy – zawołał Henryk patetycznie.

– Z wiôldzégò miecha dobrze są gòspòdarzi... – rzuciła z uśmiechem Felcia – co znaczy, z wielkiego worka dobrze się rozdaje, to takie nasze kaszubskie powiedzenie. Często się go używa w złym znaczeniu, ale tutaj jest inaczej. To kobieta o wielkim sercu i we wszystko, co robi, wkłada całą siebie. Duszę! Ona może rozdawać. – Felcia pokiwała głową.

– Panie Henryku! Kochani! Przecież te pieniądze zostaną tutaj z nami, z naszymi i waszymi dziećmi, one będą procentować. Niedługo poznacie też jednego z moich braci, a kiedyś drugiego. – Anna zmrużyła po swojemu oczy. Adela, Diana i Henryk spoglądali po sobie zdziwieni. – Tego lata tyle się pozmieniało w moim, naszym życiu, więc trzeba z niego korzystać, a dobrem się dzielić.

– Jest pani złotą kobietą. Kiedyś, gdy poznaliśmy się z Kasią... – spojrzał na nią – ...coś mi tam piknęło. – Wskazał na serce. – A jak mi tam piknie, a tego nie da się oszukać... to ja już wiem! – Podkreślił węża. – Tylko nie wiedziałem, nie myślałem, że to się aż tak potoczy.

– My tutaj wierzymy w znaki, w wagę przypadkowych spotkań. – Felcia wskazała na Annę, Kaśkę, Elizę i siebie. – Spotykamy kogoś w życiu przypadkiem, przyglądamy się, ale nie wiemy, że to jest po coś! – podkreśliła ostatnie słowo. – Często zastanawiamy się, dziwimy, po co, dlaczego? A właśnie wszystko jest po coś, tylko nie wolno za dużo chcieć, trzeba być otwartym i brać życie takim, jakie jest. Zawsze odpłacać dobrocią, a wszystko

wróci wiele razy wzmocnione.

– Ależ pięknie to powiedziałaś... – Anna spojrzała na nią z podziwem.

– Mówiłam ci już o czytaniu książek, co to leżą na strychu. Mam tam wiele bardzo mądrych, a zima jest długa, Aniu. – Felicja pokiwała głową. – Tyle lat ciągle była u mnie zima, ale teraz jest lato, a dobro wróciło do mnie Niagarą. Wzgórze pełne słońca! – Zasłoniła oczy. Anna głaskała kościstą dłoń przyjaciółki.

– Krucafuks! – zawołał Stach Janik. – Bo zaraz się rozkleję! Tak nie wolno... Zdecydowałem przed chwilą, że za to was obzdulę, że hej. He, he, he!

– Bzdul nas, Stachu, bzdul. Ty jesteś taki jak my, tylko masz nieco grubszą skórę – powiedziała Anna. Stach uszczypnął się w policzek. – Masz grubszą, ale tylko na dłoniach – zmrużyła oczy. Stach wpatrzył się w swoje wielkie spracowane dłonie.

– Idźcie sobie teraz na spacer, a ja tutaj trochę ogarnę. – Felcia nieoczekiwanie wstała i bezceremonialnie zaczęła zbierać naczynia ze stołu, jej oczy błyszczały ze szczęścia – No idźcie, idźcie już, zobaczcie, jak tu pięknie! A kto tam trąbi na podwórzu? Stachu...? A nie, ty tutaj jesteś! A może...?

Poderwała się i wybiegła galopem z kuchni.

– Chyba Jan wrócił do domu! – Anna podniosła dłonie do policzków. – Felcia tu wszystkich nauczyła i nikt nie waży się trąbić... Janowi pewnie nie zdążyła powiedzieć!

– A kto to jest ten rzeczony Jan...? – Henryk wstał i podkręcił wąsa.

– To jej mężczyzna... ale resztę sami opowiedzą.

Anna wskazała na drzwi do kuchni, w których po kilku chwilach pojawili się Felicja i Jan Werra.

– Maciej jest już w Sulęczynie! – wrzasnęła Kaśka, spoglądając na komórkę. – Pędzi pomóc rozładować się ojcu!

– Co za dzień! – Anna powachlowała się dłonią.

*

Wszyscy zaproszeni przybyli na imprezę kończącą letni sezon. Rozpoczęło ją, jak zawsze, ognisko. Królował tam Stach Janik, któremu sekundowali Jan i Maciej. Gwiazdą tej części imprezy była oczywiście Marcysia, bohaterka sprzed dwóch lat, dzisiaj już rezolutna uczennica drugiej klasy. Uściskała się mocno ze starą przyjaciółką Joasią, ale szybko też zaprzyjaźniła z Elizą i Wiką; nie odstępowała ich ani na krok. Kiedy zaczęło szarzyć, Felcia zaprosiła wszystkich do stodoły. Wchodzących witał zawieszony nad sceną baner z napisem KASZUBSKA STUDIÓWKA, zdobiony w regionalne wzory. Kiedy wszyscy już usiedli, Felicja postukała nożem w kieliszek, a gdy zrobiło się całkiem cicho, zabrała głos.

– Kochani! Gdyby mi ktoś powiedział trzy miesiące temu, że tak będzie wyglądała impreza kończąca ten sezon, na pewno bym nie uwierzyła. Chociaż i wtedy było już nieco inaczej niż dawniej. – Rozejrzała się wokół. – To wszystko dzięki przypadkom, znakom, i takim tam – zaśmiała się. – Ale przede wszystkim dzięki tym trzem dziewczynom! – Wyszukała przy stole Annę, Kaśkę i Elizę. – Jasne, że inni też się do tego przyłożyli, ale bez awarii ich Zaby, burzy, nocy u Marysi, spotkania Elizy z Wiką... i można by tak długo wymieniać, taka impreza jak dzisiaj by się nie od-by-ła! Spójrzcie sami na siebie i zastanówcie się, jak wiele przeżyliście tego lata i to w większości dzięki nim! Brakuje tu tylko Betty, Władka i Maxa Zalewskich. Może więc najpierw wypijmy ich zdrowie, bo

potem i tak będzie nieustanny toast za zdrowie poznańskiej trójeczki.

Gwar spowodowany wypiciem toastu trwał chwilę. Felcia ponownie postukała w kieliszek.

– Zanim oddam głos Annie, bo ona też ma coś do powiedzenia, cieszę się szczególnie, że moje zaproszenie przyjęli Zosia i Felek. Przepraszam was za wszystkie moje złe słowa i uczynki, ale pamiętajcie... – pogroziła im palcem, błyskając jednocześnie roześmianym okiem – ...mój dom jest dla was zawsze otwarty!

Uśmiechnięta opadła na krzesło; podziękowały jej oklaski. Po chwili zerwała się ponownie.

– Muszę się poprawić... Nasz dom jest dla wszystkich zawsze otwarty! Nasz! – Wskazała na siedzącego obok Jana, który wstał i ucałował ją. – Oczywiście Maciej też jest współgospodarzem... – Pokazała na siedzącego naprzeciw syna i zamyśliła się – ...Zdarzyło się bowiem to, co przepowiedziała mi kiedyś pewna dobra wróżka... – Wskazała z uśmiechem na Annę. – Tak mi powiedziała: Felciu, jak patrzę na te bociany, to myślę, że ty, Maciej i Jan też tak kiedyś zrobicie jak one. Do tej pory ciągle zataczacie wielkie koła i dlatego nie możecie się ani dojrzeć, ani spotkać! Kiedyś to będzie wreszcie małe koło, na którym zdołacie się zobaczyć, a potem szczęśliwie razem wylądujecie. I to mi się spełniło – to mówiąc, pochyliła się do Anny i uściskała ją.

Rozległy się głośnie brawa.

– Skoro zostałam wywołana – zaczęła Anna, gdy oklaski ucichły – chcę wszystkim podziękować za całe dobro, jakie nas tutaj spotkało, ciągle spotyka – rzekła, mrużąc po swojemu oczy. – A przede wszystkim dziękuję mojej starszej przyjaciółce, mojej właścicielce... – uśmiechnęła się – ...bo jestem też jej prezentem imiennym, jeśli ktoś o tym wcześniej nie słyszał... najlepszej gospodyni, niestrudzonej towarzysze rozmów, mogłabym tak jeszcze długo wymieniać, ale o jednym na pewno nie zapomnę: najlepszej producentce nalewek, kochanej Felci. Mojej Felci!

– To musi być z akompaniamentem. Poczekajcie chwilkę! – zawołał Wojtek Szantymen. – Chodźcie, panowie....

Dotarcie do sceny i pochwylenie instrumentów trwało kilka chwil. Krótka przygrywka i pod dach stodoły wzniosło się głośnie *Sto lat!* A potem jeszcze *Niech jej gwiazda pomyślności...*, a na specjalną prośbę babci Julii *Gdzie strumyk płynie z wolna*. Kiedy muzycy wrócili do stołu i jako tako się uciszyło, Anna jeszcze raz wstała. Trzymała w ręku list.

– W ciągu tego lata wysłuchałam wielu uwag, sugestii, sama dużo myślałam o tym, co usłyszałam, a chodzi mi teraz o kwestię powrotu do nazwiska rodzowego. Informuję... – zmrużyła oczy – ...że nieodwołalnie zostaję tą, którą pierwszego i drugiego dnia naszego pobytu w Parchowie poznały Marysia i Felcia. Bo to było i jest moje prawdziwe życie! Sześćdziesiąt trzy lata! – przesuwając spojrzenie wokół stołu. – Więc niech tak już zostanie. – Podniósł się szmer. – Będę dla jednych Basią, a dla innych mogę być Anią, Zalewską albo Kuszer, ale przeżyłam te wszystkie lata jako Anna Nagengast-Prawosz, więc niczego nie chcę zmieniać. Tak będzie najlepiej! – pokiwała głową. – Szukałam korzeni, byłam ponoć jedynaczką z sąsiedztwa – uśmiechnęła się do Felci. – Znalazłam natomiast brata – wskazała na Tadeusza – a właściwie dwóch braci, bo drugi jest teraz hen za morzem. Wszyscy jesteście, jak tu siedzimy, moją rodziną!

Podniósł się szmer, Anna przyłożyła dłoń do serca i skinęła głową.

– Przeczytam wam teraz list od Władka, brata z Ameryki.

Obecni słuchali w ciszy. Anna po przeczytaniu uśmiechnęła się i włożyła kartkę do koperty.

– Otrzymam, jak usłyszeliście, darowiznę, którą chcę się podzielić z innymi. Zostawię Poznań, choć to wcale nie będzie łatwe. Postanowiłam zamieszkać tutaj na zawsze. Bo tutaj jest mój dom! Na tym wzgórzu pełnym słońca!

- [1] TASK, Trójmiejska Akademicka Sieć Komputerowa.
- [2] Harrods, luksusowy dom towarowy przy Brompton Road w Londynie.
- [3] Pytoki (pytace), dwaj górale na jednakowych koniach, którzy zapraszają ze śpiewem gości na wesele, potem prowadzą orszak weselny, a na weselu kierują obrzędem „cepowin” – oczepin.
- [4] *Ad absurdum*, *lac.* doprowadzenie do absurdu, niedorzeczności.
- [5] „Przyroda nie zna pojęcia: urlop, weekend, nobreak-spacea, święto... nie zna tego ludzkiego podziału czasu” to cytat z wywiadu ze śp. prof. Krzysztofem Skórą; <http://radiogdansk.pl/index.php/audycje-rg/gdynia-glowna-osobista/item/17740-oceanograf-prof-krzysztof-skora-w-rg-bylem-hipisem-w-wersji-soft.html>
- [6] Na motywach wywiadu ze śp. prof. Krzysztofem Skórą; <http://radiogdansk.pl/index.php/audycje-rg/gdynia-glowna-osobista/item/17740-oceanograf-prof-krzysztof-skora-w-rg-bylem-hipisem-w-wersji-soft.html>
- [7] Jerzy Sawicki, *Zburzenie Warszawy. Zeznania generałów niemieckich przed polskim prokuratorem, członkiem polskiej delegacji przy Międzynarodowym Trybunale Wojennym w Norymberdze*, Instytut Wydawniczy Kolumna, Warszawa 1949.
- [8] Na wojnie ludzie się nie rodzą, lecz umierają – przysłowie kaszubskie.
- [9] Tajna Organizacja Wojskowa „Gryf Pomorski” (TOW „Gryf Pomorski”); polska wojskowo-cywilna organizacja konspiracyjna o charakterze katolickim, na której czele stał ks. płk Józef Wrycza, działająca na Pomorzu i w części Prus Wschodnich, w okresie od połowy 1941 do końca marca 1945.
- [10] Por. Barbara Bielecka, *Regi – Królówi*, Gdynia Kolibki 2009.
- [11] Bindaż (*niem.* binden – wiązać), aleja obsadzona obustronnie drzewami lub pnączami, których pędy splatają się nad drogą, tworząc sklepienie.
- [12] Dobry koń bez bata jedzie, ale widzieć go musi – przysłowie kaszubskie.
- [13] Dëtczi (*kaszb.*) – pieniądze.
- [14] *Funiculì, funiculà* (*wł.* funicular – kolejka linowa), piosenka w dialekcie neapolitańskim z 1880 roku, napisana z okazji otwarcia kolejki linowej na Wezuwiusz; kompozytor Luigi Denza, słowa Peppino Turco.
- [15] Gioacchino Rossini, *Wilhelm Tell*, czteroaktowa opera. Najbardziej znana jest uwertura z tej opery; Anna zagrała jej finał.
- [16] *Georgia On My Mind*, piosenka z 1930 roku; najbardziej popularny wykonawca Ray Charles, 1960.
- [17] *What a Wonderful World*, utwór Louisa Armstronga (pseudonim artystyczny Satchmo) z 1967 roku.
- [18] Lanson, jeden z lepszych gatunków szampana, pochodzący z wytwórni założonej w Reims w 1760 roku, w regionie Szampania-Ardeny, Francja.

- [19] *Comfortably Numb*, ballada rockowa zespołu Pink Floyd z płyty *The Wall* z 1979 roku, jedna z najbardziej znanych piosenek zespołu, ze względu na solo gitarowe Davida Gilmoura.
- [20] Najślynniejszy przebój (ballada rockowa) amerykańskiego zespołu Eagles z 1977 roku.
- [21] Vibrato, technika gry na gitarze, polegająca na tym, że podczas grania określonego dźwięku przyciska się strunę palcem, wprawiając ją w drgania. Daje to efekt wibrującego dźwięku.
- [22] Tremolo, technika gry na gitarze, polegająca na energicznym i notorycznym szarpaniu strun piórkiem/kostką. Wykorzystanie tego sposobu ma na celu uzyskanie wrażenia długości, ciągłości jednego dźwięku.
- [23] Powiedzenie kaszubskie.
- [24] Jarosław Ellwart, *Kaszuby, Przewodnik turystyczny*, Gdynia 2009, wyd. X.
- [25] Passover Slivovitz, śliwowica paschalna, produkowana z zachowaniem zasad koszerności, pod nadzorem przedstawiciela gminy żydowskiej.
- [26] Jedna z najbardziej znanych i popularnych ludowych kaszubskich piosenek. Językoznawcy i historycy różnią się w tłumaczeniu znaczenia tytułu i słów piosenki.
- [27] Tekst pieśni zaczerpnięty z kaszubskiego śpiewnika ze strony: www.kaszubi.pl (piosenka XX).
- [28] Denebola, trzecia co do jasności gwiazda w gwiazdozbiorze Lwa.
- [29] 1 stopa = 30,48 cm; Max ma 6,5 stopy wzrostu, co w przybliżeniu stanowi ok. 198 cm.
- [30] Norda, kasz. wiatr z północy.
- [31] Armagedon, *przen.* totalna katastrofa, zagłada. Pochodzi od biblijnego Har-Magedon (Armageddon) – miejsca zapowiadanej w Apokalipsie św. Jana ostatecznej bitwy między siłami dobra i zła.
- [32] Organizacja sunnicka (fundamentalistów islamskich) posługująca się metodami terrorystycznymi, z przywódcą Osamą bin Ladenem.
- [33] *Wł. spaghetti con frutti di mare*, spaghetti z owocami morza.
- [34] Mowa o rozżarzonych kamykach wyrzucanych podczas erupcji wulkanu (*łac.* lapillus–kamyk).
- [35] Piosenka *Klub wesolego szampana* zespołu Formacja Nieżywych Schabuff.
- [36] *Łac.* dormitorium, wspólna sypialnia zakonników w klasztorach i zamkach krzyżackich.

Spis treści



Ala co w życiu ma sens...?

Kamienna cisza

Wpadka na Maxa

Gaska i góral

Dwa koguty

Trzy burze i dwa kace

Zbieranie patyków

Słyszać, ale nie widzieć

Złośnica łagodnieje

Trochę dobrze, trochę źle

Kielskie ocieplenie

Gdzie ci mężczyźni?!

Chatka na kocankach

Jak żyć?! No jak?

Kartuskie „crash bum-bum”

Canossa Macieja

Wielkie sprzątanie

Jadą goście, jadą

To wreszcie kim ja jestem?!

Koniec pewnego świata

Bez gniewu do Gniewu

Wesele z mimozami w tle

Kaszubska studniówka